

*Začlanje
mitojski*

KRISTEN
ASHLEY

KRISTEN
ASHLEY

*Zadanie
mitojei*

PRZEKŁAD
Agata Suchocka



Tytuł oryginału: *The Will*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Grażyna Muszyńska*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Barbara Milanowska (Lingventa)*

Zdjęcie na okładce: © Inara Prusakova/Shutterstock

Copyright © 2014 by Kristen Ashley

All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2021

© for the Polish translation by Agata Suchocka

ISBN 978-83-287-1583-7

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2021

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY Moja bezpieczna przystań
ROZDZIAŁ DRUGI To, co najcenniejsze
ROZDZIAŁ TRZECI Czwarta pani Spear
ROZDZIAŁ CZWARTY Tylko tutaj
ROZDZIAŁ PIĄTY Udany wieczór
ROZDZIAŁ SZÓSTY Namiętny
ROZDZIAŁ SIÓDMY Otucha
ROZDZIAŁ ÓSMY Trzeba podejmować wyzwania
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Niestety
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Pokaż, jak to się robi
ROZDZIAŁ JEDENASTY Udawanie
ROZDZIAŁ DWUNASTY Rozpad
ROZDZIAŁ TRZYNASTY Zajębiście by jej się spodobał
ROZDZIAŁ CZTERNASTY Świat u jego stóp
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY Wyszeptał jej imię ostatnim tchnieniem
ROZDZIAŁ SZESNASTY Rozkosznie
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY Przepadł. Na dobre.
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY Przynajmniej dwa razy
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY Dobra odpowiedź
EPILOG Na zawsze i całym sercem

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Moja bezpieczna przystań

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...

Chyba na usta wystąpiła mi piana, gdy usłyszałam te słowa. Dobrze, że kaznodzieja nie mógł widzieć moich oczu, skrytych za ciemnymi okularami i wielkim rondem czarnego kapelusza. Przeniosłam wzrok z przykrytego czerwonymi różami lśniącego wieka trumny na mówiącego.

Miałam ochotę zerwać się z krzesła, pochwycić te słowa w powietrzu i wepchnąć mu je z powrotem do gardła.

Ale przecież to nie w moim stylu, nie byłam taka.

Ale on mówił o Buni. O Buni, mojej Buni. To jej ciało spoczywa w trumnie.

Wprawdzie można się tego było spodziewać, w końcu miała dziewięćdziesiąt trzy lata. Ale to wcale nie znaczy, że chciałam, by odeszła. Pragnęłam, żeby żyła wiecznie.

Teraz został mi już tylko Henry. Nikogo więcej nie miałam.

„Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”.

Bunia nie była prochem. Była dla mnie wszystkim.

Gdy to sobie uświadomiłam, zaczęłam płakać. Na szczęście nie łkałam głośno. Ostatni raz pozwoliłam sobie na prawdziwą rozpacz dekady temu. Wówczas obiecałam sobie, że to się więcej nie powtórzy. Przeniosłam wzrok na trumnę. Nie chciałam, by ktokolwiek widział, że płaczę, więc pozwoliłam łzom płynąć swobodnie. Nawet nie drgnęłam.

I nagle poczułam dziwną obecność. Przyjrzałam się osobom zgromadzonym wokół trumny. Zamarłam, gdy spojrzałam na jego twarz i oczy ukryte za okularami. Żyłam już długo i byłam chyba wszędzie, ale nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć takiego mężczyzny. Ani razu.

Miał na sobie granatowy garnitur, pod spodem dyskretną, szarą koszulę i krawat w podobnym kolorze. Wiedział, w czym dobrze wygląda. Kto w tym miasteczku nosił garnitury od Hugo Bossa? Pewnie dziedzic „nowych pieniędzy”, cwany dorobkiewicz. Musiał być właśnie kimś takim.

Co ciekawe, facet wcale nie wyglądał na dzianego. No, nie licząc garnituru. W czarnych włosach połyskiwały pasma siwizny, a fryzura wyglądała na taką, której nie trzeba specjalnie układać, jakby nie miał czasu na przejmowanie się takimi rzeczami. Na czole widoczne były zmarszczki i mogłam się założyć, że były również wokół skrytych za okularami oczu. Uwodzicielskie usta. Ogorzała twarz sugerowała częste przebywanie na słońcu.

Ale to jego postura przykuwała uwagę: był wysoki i barczysty, przywykły do znajdowania się w centrum uwagi. Ale nie, to nie to... on się domagał uwagi.

Miałam już do czynienia z takimi ludźmi. Z jego sylwetki biła jakaś niewytłumaczalna siła: mocno zarysowane brwi, kwadratowa szczęka, wydatna grdyka i umięśniony kark. Nawet kości policzkowe jak wycyzelowane. Kiedyś zapewne miał szlachetny nos, ale najwyraźniej ktoś go złamał, a właściciel nie zatroszczył się o to, by porządnie go nastawiono, co koniec końców jeszcze dodało mu charakteru. Całości dopełniała blizna biegnąca przez lewy policzek.

Choć staliśmy w dość znacznej odległości od siebie, wiedziałam, że mnie obserwuje; w jego twarzy pojawiło się jakieś napięcie i byłam pewna, że wbija we mnie spojrzenie.

Dziwne... Dlaczego mnie obserwował? Niepokojące.

Odetchnęłam z trudem, powstrzymując płacz i wówczas zauważyłam chłopaka, może dwudziestoletniego. Błękitna koszula, szary garnitur i krzykliwy krawat. Pewnie był synem

tajemniczego mężczyzny. Nieopodal stała znudzona, rudowłosa dziewczyna, coś w jej posturze mówiło, że była jego córką. Miała nie więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Przeniosłam wzrok i dostrzegłam chłopca z zaczerwienioną od płaczu twarzą, którego powierzchowność zdradzała przynależność do rodziny. Opierał się o mężczyznę, a ten trzymał dłonie na jego ramionach. Musiał znać Bunię. Wszyscy ją znali, w końcu przyszli na pogrzeb, ale ten mały musiał być do niej przywiązany.

Często rozmawiałam z Bunią i opowiadała mi o ludziach z miasteczka. Niektórych kojarzyłam, bo mieszkałam tu jako mała dziewczynka. Ale o tej rodzinie nigdy mi nie wspomniała.

Zapamiętałabym ich.

Przeniosłam wzrok na trumnę. Nie miałam ochoty poznawać matki tych wszystkich dzieci. Sądząc po dzieciach, musiała być rudowłosa. Mimowolnie zaczęłam ją sobie wyobrażać: albo bardzo szczupłą, albo ponętnie krągłą, ciekawe, co lubił taki mężczyzna? Z pewnością nie pozwoliła sobie na zapuszczenie się po trzech ciążach. Gdyby tak się stało, na pewno by go straciła. Nie zniósłby przy swoim boku nieatrakcyjnej kobiety, znalazłby nowszy, lepszy model. Pewnie wyglądała na młodszą, niż była. I zadawała sobie wiele trudu, by to osiągnąć. Z pewnością była ikoną mody, w drogich ciuchach i markowych butach, z fryzurą układaną godzinami przez stylistę. Zero odrostów. Wypielęgnowane dłonie, pedicure.

Taki facet wymagał dużo. Najwięcej.

Oczyściłam umysł, bo pastor właśnie dziękował wszystkim za przybycie w imieniu swoim i moim.

Drażnił mnie, ale musiałam to przeżyć, bo Bunia bardzo go szanowała i regularnie chodziła do kościoła. A gdy nie mogła już chodzić, wielebny Fletcher wysyłał po nią auto, które przywoziło ją na mszę, a potem na śniadanie i do domu. Gdy nie było pod ręką nikogo innego, pastor posyłał własną żonę.

Miło z ich strony. Bunia musiała wychodzić do ludzi. Czasem wymagało to sprytniej aranżacji, bo była uparta i nie lubiła prosić o pomoc. Przyjmowała ją jednak, gdy ktoś oferował. A od pastorostwa zawsze.

Pastor skinął na mnie. Skryta za okularami i kapeluszem podeszłam do niego, a ludzie rozstępowali się, robiąc mi przejście. Wyciągnęłam do niego rękę, zaznaczając swoją prywatną przestrzeń. Nie lubiłam, gdy mnie dotykano czy przytulano. Pozwalałam na to tylko Buni.

Pastor złapał aluzję. Ujął moją dłoń w ciepłym i stanowczym uścisku.

– Będziemy tęsknić za Lydią, Josephine – szepnął.

A pewnie, że będziemy.

– Oczywiście, że tak, pastarze – przytaknęłam. – To była piękna msza, dziękuję.

– Nie ma za co, moja droga. – Jego dłoń zacisnęła się mocniej. – Jeśli zostaniesz w mieście na dłużej, wpadnij do nas na obiad. Ruth i ja z przyjemnością cię ugościmy.

– To miło z waszej strony, pastarze. Zastanowię się i dam wam znać – odpowiedziałam cicho i wysunęłam dłoń z jego uścisku, choć byłam pewna, że nie zaszczycę ich swoją obecnością.

Bunia była towarzyska.

Ja przeciwnie.

Uśmiechnęłam się nieznacznie. Chciałam jak najszybciej wsiąść do auta i wrócić do Lawendowej Willi. Na szczęście babcia nie życzyła sobie kliwej stypy, a to znaczyło, że mogłam wymigać się od spotkania z obcymi ludźmi, którzy, przezuwając przystaweczki, składaliby mi oklepiane kondolencje całymi godzinami.

Bunia była taka wspaniała. A teraz już wcale jej nie było.

Babcia wiedziała, że nie znosiłam takich spędów. Wiedziała również, że jej dwaj synowie pewnie nie pojawią się na pogrzebie. Ojciec i wuj zniknęli z jej życia dawno temu, z mojego również. Nie potrafiłam sobie wyobrazić ich na stypie, usiłujących wymieniać grzeczności, dlatego z tym większą ulgą przyjął fakt, że zgodnie z przewidywaniami jednak się nie pojawili. Choć nie widziałam ich od lat, byłam przekonana, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

Byli podobni do dziadka. A ten był wrednym egocentrykiem i uwielbiał mieć kontrolę do tego stopnia, że w końcu ktoś podał w wątpliwość jego zdrowie psychiczne. Na szczęście od lat wahał kwiatki od spodu.

Jak podejrzewałam, przebiecie się przez tłum ludzi pragnących złożyć mi wyrazy współczucia zajęło trochę czasu. Nie przypuszczałam, że Bunia miała tak wielu oddanych znajomych. Miło było wiedzieć, że troszczono się o nią. Co nie znaczyło, że przyjmowanie tych dowodów sympatii i smutku sprawiało mi przyjemność. Ale nie mogłam przecież powiedzieć im, że mam to wszystko gdzieś. Babcia chciałaby, żebym pozwoliła im się wygadać, poczuć, że w jakiś sposób pomagają mi sobie z tym poradzić.

Więc pozwalałam.

Udało mi się po drodze zaliczyć tylko dwa uściski. Nawet się nie potknęłam, Henry byłby ze mnie dumny, Bunia byłaby zawiedziona, że nie dałam przedstawienia.

Uwielbiała moją niezgrabność i za każdym razem, gdy słyszałam jej śmiech za plecami, wiedziałam, że nie śmiała się ze mnie, tylko wspierała mnie tym śmiechem. Wpajała mi, że powinniśmy akceptować samych siebie, nawet wszystkie nasze małe wady. „Kochaj te drobiazgi, które składają się na ciebie i czynią cię wyjątkową!” – mówiła.

Moja wyjątkowość polegała na byciu niezgrabą. Bunia sądziła, że to urocza cecha. Gdy coś mi się przytrafiało, nawet Henry się uśmiechał. I choć bardzo się starałam akceptować tę swoją „wyjątkowość”, to bardzo mnie to wkurzało.

No i teraz właśnie sobie o niej przypominałam, gdy szpilki markowych butów grzęzły mi w miękkiej ziemi. Dobrnęłam do wynajętego auta. Cmentarne alejki były zatłoczone, trzaskały drzwiczki, mruzczały silniki, koła buksowały w żwirze.

– Tato! – rozległ się dźwięczny, świdrujący dziewczęcy głos.

Kto mógł tak wrzeszczeć na cmentarzu? Zatrzymałam się przy uchylonych drzwiczkach i rozejrzałam dookoła.

Jakieś cztery auta dalej, po drugiej stronie alejki, zaparkowano bordową półciężarówkę. Zdawała się nowa. To było duże, czterodrzwiowe, rodzinne auto. Z jednej strony praktyczne, z drugiej szpanerskie. Dostrzegłam mężczyznę, który mnie wcześniej obserwował. Starszy syn wsiadał od strony pasażera. Młodszy już siedział z tyłu. Ojciec stał przy otwartych drzwiczkach kierowcy, a córka na środku alejki, w wojowniczej pozycji. Żony nie było nigdzie widać. Dziwne.

Coś poszeptali, po czym dziewczyna skrzywiła się brzydko, pochyliła i krzyknęła:

– Mam to gdzieś!

Tego było już za wiele. Czy ona nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie się znajdowaliśmy i jaka ceremonia się przed chwilą zakończyła? Inni uczestnicy pogrzebu odwracali wzrok, jakby nie zauważali sytuacji. Ale mnie to zainteresowało. Mężczyzna znowu coś mruknął, a córka znowu krzyknęła:

– Przecież mówię, że mam to gdzieś!

Już nie mruknął.

Ryknął.

– Na Boga, wsiadaj do auta, Amber!

Znowu się skrzywiła, a jej ciało przybrało pozę charakterystyczną dla klasycznego focha, ale wsiadła do auta. Mężczyzna zatrzasnął za nią drzwi i zajął fotel kierowcy.

Coś się tu nie zgadza. Dlaczego facet ubrany w markowy garnitur wydzierał się na swoją córkę na cmentarzu, po pogrzebie staruszki? Ale przecież Bunia zaczęłaby się naśmiewać z całej tej sytuacji. Może nawet zaczęłaby się wtrącać w rodzinny spór. Wytrenowała się na mojej niezgrabności i potrafiła sprawić, by ludzie z własnych przywar robili zalety albo przynajmniej podchodzili do nich z przymrużeniem oka. Nigdy nie brała siebie zbyt poważnie i uczyła innych tego podejścia. Wystarczająco długo musiała być poważna dla mężczyzny, którego poślubiła, i synów. Gdy zniknęli z jej życia, zamiotła za sobą nogami i zupełnie zmieniła spojrzenie na świat. Tylko ja miałam monopol na wnoszenie powagi do jej życia. Tak mnie wychowano. Tak mnie ukształtowano. Byłam zimna. I Bunia pozwalała mi na to. Tylko ona i Henry mi na to pozwalali.

Zanim zapuściłam silnik i spoglądałam w lusterka, bordowa ciężarówka minęła mnie.

Nikt z tej rodziny nie podszedł, aby złożyć mi kondolencje. Może to i lepiej, bo jeśli moje przypuszczenia by się potwierdziły, na co zresztą wskazywało zachowanie mężczyzny i jego córki, to nie chciałam mieć z nimi do czynienia.

Gdy zniknęli z pola widzenia, poczułam dziwną ulgę, wiedziałam jednak, że to krótkotrwały stan.



– Powinienem być pojechać z tobą – wymruczał głos Henry’ego w telefonie.

Westchnęłam, patrząc na morze za oknem.

– Wszystko w porządku, Henry – zapewniłam go.

– Nie powinnaś być tam sama.

– Nic mi nie jest – powtórzyłam. – Masz zobowiązania. Robisz tę sesję dla „Tisimo” co roku.

– Tak, więc może najwyższa pora zacząć robić coś innego.

Znowu westchnęłam, zasiadając na poduszkach w wykuszowym oknie.

Zachodzące słońce rozświetliło niebo brzoskwińową łuną. Spomiędzy lawendowych kłębiastych obłoków gdzieś wystrzeliwały złote promienie.

Tęskniłam za takimi nadmorskimi zachodami. Szkoda, że nie było przy mnie Buni.

– Jak tylko uporam się ze zdjęciami, przylatuję do ciebie – zadeklarował Henry.

– Jak tylko się uporasz, musisz lecieć do Rzymu – przypomniałam mu.

– Muszę być przy tobie!

Zamknęłam oczy, odcinając się od ciepłego blasku.

Przez dwadzieścia trzy lata byłam asystentką Henry’ego Gagnona, utytułowanego fotografa mody, reżysera teledysków, przystojnego, niespokojnego, skorego do przygód i ryzyka, wyszczebanego bawidamka, i wiedziałam, że gdy wygłaszał takie oświadczenia, nie chodziło o to, że cenił moją pracę. Nie chodziło o to, że lubił mnie za to, kim byłam. Nie chodziło nawet o to, że dzieliliśmy ze sobą dwie dekady życia i znaleźliśmy się jak łyse konie (a przynajmniej jemu tak się zdawało i nie miał pojęcia, ile informacji o sobie zataiłam, bo taki po prostu miałam charakter). Nie. Chodziło o coś zupełnie innego. Teraz jednak było już za późno.

Choć nie jestem pewna, czy kiedykolwiek była odpowiednia pora. Miał modelki i aktorki na wyciągnięcie ręki (i innych części ciała). Straciłam rachubę, ile już razy widziałam jego uwodzicielski uśmiech rzucony pięknej kelnerce czy przypadkowej turystce znad kawiarnianego stolika. Kilka minut później siedziałam sama, siorbiąc kawę, z perspektywą spędzenia kilku

leniwych godzin w parku czy na zakupach, bo Henry udawał się do hotelu w czyimś towarzystwie i wiedziałam aż nazbyt dobrze, jak spożytkuje ten czas.

Nie było możliwości, żeby Henry Gagnon zwrócił na mnie swoje piękne oczy i mnie właśnie rzucił taki uśmiech. Nie wtedy, gdy byłam jeszcze młoda. I tym bardziej nie teraz, gdy byłam w połowie drogi od czterdziestki do pięćdziesiątki i okres świetności miałam już dawno za sobą. Henry, który za rok miał przekroczyć pięćdziesiątkę, wcale się tym nie przejmował.

Chociaż... Jego dwie ostatnie kochanki miały trzydzieści dziewięć i czterdzieści dwa lata.

Gdy głębiej się nad tym zastanowiłam, zauważyłam, że dobierał sobie kobiety stosownie do wieku. Dwudziestolatkę miał... kiedy? Chyba ostatnio wówczas, gdy sam był w tym wieku, no, może gdy świeżo przekroczył trzydziestkę.

– Josephine?

Otrząsnęłam się i wróciłam do rozmowy.

– Spotkamy się w Rzymie. Albo w Paryżu – obiecałam. – Muszę jeszcze zostać na odczytanie testamentu i zorientować się w tutejszej sytuacji. Pozamykać sprawy. Szybko się uwinę.

Dlaczego tak bardzo troszczyłam się o to, by go o tym zapewnić? Od tak dawna zajmowałam się jego sprawami, że nie potrafiłam już robić czegokolwiek innego.

Czekało mnie niełatwe zadanie rozdystrybuowania rzeczy Buni, którymi jej dom był wypełniony po sufit. Nie bardzo wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Mogłam zatrudnić agencję nieruchomości, która zajęłaby się ewaluacją i sprzedażą jej dobytku, a potem domu. Na myśl o tym poczułam niemal fizyczny ból w piersi, więc znów zwróciłam się do Henry'ego.

– Zajmie mi to jakiś tydzień, góra dwa – wyjaśniłam.

– Jeśli dłużej niż tydzień, to przylecę – zapewnił mnie.

– Henry...

– Jo, przestań. Niańczyłaś mnie przez dwadzieścia trzy lata. Raz, chociaż raz ja mogę zrobić coś dla ciebie.

– To miło z twojej strony – powiedziałam miękko.

Po chwili ciszy odpowiedział:

– Chcę zająć się dla odmiany moją Josephine.

To właśnie dlatego trzymałam się go przez wszystkie te lata.

Nie, nie tylko dlatego.

Po pierwsze, ta praca wcale nie była trudna. Henry nie był rozkapryszonym bucem, choć biorąc pod uwagę ogrom jego talentu, mógł nim być. Nie kaprysił. Nie musiałam zajmować się jego praniem (no, tylko czasem...) ani latać po mieście w poszukiwaniu kawiarni, która przyrządziłaby mu latte na niepasteryzowanym mleku.

Po drugie, świetnie mi płacił. Nieprzyzwoicie dobrze! No i dawał premie. I prezenty (między innymi te buty od Manolo, które miałam na sobie, i bransoletkę z diamentami, którą przyozdobiłam nadgarstek na pogrzeb).

Po trzecie, wiele podróżował i zawsze zabierał mnie ze sobą do pierwszej klasy. No i cele tych podróży to były same przepiękne, ekscytujące miejsca. Może nie bardzo podobało mi się w Wenezueli, Kambodży, na Haiti i w Kosowie, no ale wówczas to nie była fotografia modowa, tylko inne zlecenia, więc nie zatrzymywaliśmy się w Ritzu.

Henry lubił przygody, ja przeciwnie. Zawsze jednak dotrzymywałam mu kroku. Zawsze. Teraz to był jedyny wyjątek.

Po czwarte, potrafił być przesłodki. Bywał taki niemal cały czas.

– Masz codziennie do mnie dzwonić! – zażądał. – Opowiadać mi, co się dzieje.

Meldować się. Dawać mi znać, że wszystko w porządku.

– Jesteś zbyt zajęty na to, żeby codziennie rozmawiać ze mną przez telefon – oznajmiłam mu oczywistość, bo choć „Tisimo” przyznało mu młodego asystenta, Daniela, na czas mojej nieobecności, to znałam jego plan na najbliższe dni na pamięć.

– Może jednak sam zdecyduję, na co nie mam czasu, co, kochanie? Chyba powinnaś już wiedzieć, że dla ciebie zawsze go znajdę.

O rety. Tak. Przesłódko.

– Henry... – szepnęłam.

– A teraz zrób sobie jakąś małą przyjemność. Wskocz do jakiegoś klubu, kup butelkę świetnego wina i wypij ją przed telewizorem, oglądając jakiś durnowaty program na odmóżdzenie, a potem przepytam cię, co w nim było najokropniejsze. Nie siedź, siorbiąc herbatę i nie próbuj zbawiać świata na odległość. Na przykład przestań wypisywać e-maile do Daniela, nie trzeba go sprawdzać. No i nie zaczynaj czytać *Wojny i pokoju* po raz setny.

– Kiedyś dokończę! – zadeklarowałam niewyraźnie.

– Może jednak nie dzisiaj, co? – odpowiedział i mimowolnie się uśmiechnęłam.

– No to wino i jakiś reality show – zdecydowałam.

– Grzeczna dziewczynka – mruknął i dosłyszałam uśmiech w jego głosie. – Jutro zdasz mi relację, co te damy i wieśniaczki wyprawiały.

– Mam robić notatki? – zapytałam z uśmiechem.

– Biorąc pod uwagę fakt, że dosłownie wszystko będzie cię w nich wkurzać, może to i dobry pomysł, bo i tak nie spamiętasz.

– Zrobi się.

– No i super! – Słyszałam ten uśmiech, wciąż. – A teraz wino. Telewizor. A skoro już idziesz po zakupy, to nie zapomnij o czymś pysznym do jedzenia. I nie jakiś tam wyrefinowany brie. Raczej kubełek z KFC.

Skrzywiłam się na ten pomysł, czego na szczęście nie widział, i odrzekłam:

– Zrobi się i to.

– Kłamczuszka! – wyszeptał tym roześmianym głosem.

– Starczy tego.

– Do jutra, owszem. Jutro znów porozmawiamy.

– Do jutra, Henry!

– Możesz być niegrzeczna – dorzucił na pożegnanie.

– Spróbuję – odpowiedziałam, ale oboje wiedzieliśmy, że nie spróbuję.

Po krótkiej chwili dodał:

– Głowa do góry, Josephine! Jak zawsze!

– Jest w górze. Zawsze.

– Dobrze, kochanie, jutro pogadamy.

– Na razie, Henry.

– Do później, słodziutka.

Rozłączyłam się i rzuciłam telefon na poduszkę w wykuszu. Znowu spojrzałam na morze. Żółto wygasło, oranż bladł i lawendowy odcień zaczynał powlekać nieboskłon półmrokiem. Widok zapierał dech i żałowałam, że Henry’ego nie ma przy mnie. Zrobiłby wspaniałe zdjęcie.

Siedziałam w zachodnim pokoju w Lawendowej Willi, domu, który Bunia odziedziczyła po rodzicach. Umarli na krótko po tym, jak się rozwiodła.

Pomieszczenie było na ostatnim, piątym poziomie, wchodziło się do niego po spiralnych schodach. Usytuowane w baszcie. Okna rozmieszczono dookoła, więc można było podziwiać widoki. Morze. Skaliste wybrzeże i plaże wzdłuż zatoki Magdalene. Stuletnie, maleńkie

miasteczko i cudny krajobraz wokół niego.

Ten pokój zrobiony niemal z samych okien był magiczny. Na środku okrągłego pomieszczenia stało biurko, przy którym Bunia pisywała listy do mnie. Czasem stąd właśnie dzwoniła. Tutaj wypełniała rachunki. Tutaj spisywała przepisy. Pewnie i tutaj otwierała listy ode mnie i czytała je.

Stała tu również półokrągła kanapa, która idealnie tu pasowała. Potrzeba było siedmiu ludzi i dźwigu, by wciągnąć ją na górę przez okno. Bunia dopilnowała, by znalazła się na miejscu.

Uwielbiała to pomieszczenie. Ja również.

To właśnie tutaj siedziałam wiele lat temu, gdy wydobrzałam na tyle, by się swobodnie poruszać po tym, jak zaatakował mnie ojciec. To właśnie tutaj znalazłam schronienie, po tym gdy zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że po prostu muszę się od niego uwolnić.

Tutaj był mój prawdziwy dom. To tutaj zapomniałam o ojcu. To tutaj zapomniałam o całym świecie. To tutaj odebrałam telefon od przyjaciółki, która przeprowadziła się do Nowego Jorku, by poszukać szczęścia w świecie mody. Chciała zaczepić się przy czymkolwiek i udało jej się. Została pupilką wyjątkowo kapryśnego projektanta, któremu zdawało się, że był gwiazdą, choć całkiem niedawno wymówiono mu fuchę projektowania ciuchów do taniej sieciówki.

To właśnie ta przyjaciółka powiedziała mi, że Henry Gagnon szuka asystentki, a znała moją miłość i do ciuchów, i do jego zdjęć, więc zasugerowała, że szepnie słówko komuś, kto zna kogoś, kto mógłby zorganizować nasze spotkanie.

I tutaj właśnie odebrałam telefon, w którym informowała mnie, że udało się zorganizować to spotkanie. To właśnie w tym pokoju moje życie dwukrotnie się skończyło i dwukrotnie rozpoczęło od nowa.

Ten pokój wciąż pachniał Bunią, choć przez ostatnie lata nie miała już siły, żeby wspinać się po schodach.

W całym domu czuło się jej obecność, ale najbardziej w tym pokoju.

Wiedziałam, że w końcu pękne. Cieszyłam się tylko, że nie stało się to na cmentarzu, nad jej trumną, przy tych wszystkich obcych ludziach, tylko właśnie tutaj, w najbezpieczniejszym miejscu na świecie.

Pierwszy raz od dwudziestu lat płakałam rzewnymi łzami, pozwalając, by szloch wstrząsał moim ciałem. I choć to nie przynosiło ulgi, a wywoływało fizyczny ból, płakałam długo i głośno.

Nie wyszłam po wino. Nie kupiłam śmieciowego żarcia. No i nie oglądałam *Dam i wieśniaczek* w telewizji.

Zasnęłam na poduszkach w wykuszu, łzy zastygały na moich policzkach. Wszędzie wokół czułam Bunię. W tym najbezpieczniejszym miejscu świata.

ROZDZIAŁ DRUGI

To, co najcenniejsze

– Ach, Josephine Malone! Jestem Terry Bagiński!

Wstałam z poczekalnianego krzesła i uściśnęłam wyciągniętą do mnie dłoń.

Terry uczesana była w dziewczęcy, gładki kucyk, co pasowało tylko osobom o określonym typie urody. Albo bardzo wyrazistym, albo wręcz przeciwnie. A ona nie była żadnym z tych typów. Co za wredna myśl.

Miałam ochotę dać jej lekcję stylu. Z tak mocnym makijażem wyglądała groteskowo, a przy swojej pozycji nie powinna ubierać się w garsonki, które przypominały mundur. Kobiecość, właściwie podkreślona, miała o wiele większą moc niż takie ostentacyjne manifestowanie pewności siebie.

Jej zbyt mocny uścisk ręki był równie pretensjonalny. Ścisnęła moją dłoń tak mocno, że poczułam ból w nienaturalnie powyginanych palcach. Mogłaby już mnie puścić.

– Pan Spear się spóźnia, ale to w jego stylu. Może usiądziemy w biurze? Sekretarka zaparzy nam kawę.

Odwrociła się na pięcie, jakby wcale jej nie obchodziło, czy za nią pójdę. Albo jakby było to oczywiste.

– A gdzie jest pan Weaver? – zwróciłam się do jej pleców.

Arnold Weaver był prawnikiem babci. Miły człowiek. Znałam go dobrze. Gdy przyjeżdżałam na Boże Narodzenie, odwiedzałyśmy państwa Weaver przy okazji świątecznego przyjęcia. Byłam u nich kilkakrotnie i przekonałam się, że Arnie i Eliza są niezwykle ludźmi, tak, jak powszechnie się o nich mówiło.

– Ach, no tak – rzuciła Terry przez ramię i weszła do biura. – Arnie wziął urlop. – Odwróciła się w moją stronę. – Jego żona zachorowała. Rak. Przykra sprawa, bo kiepsko rokuje.

Pani Bagiński chyba nie zauważyła, jak bardzo dotknęła mnie informacja o tym, że przemiła Elizabeth Weaver ma raka i „kiepsko rokuje”. Wskazała mi krzesło stojące naprzeciwko gigantycznego biurka. Wszystkie meble tutaj były monstrualne, o wiele za duże do tak małego biura.

– Skoro pan Spear się spóźnia, pozwoli pani, że w międzyczasie omówię kilka ważnych spraw ze współpracownikami?

Nie, nie pozwolę.

Spotkanie wyznaczono na wpół do dziewiątej. Przyszłam o ósmej dwadzieścia pięć. Ona się spóźniła i nie miało to nic wspólnego z tajemniczym panem Spearem. A teraz zamierzała mnie tu zostawić na nie wiadomo jak długo.

Kim, u licha, jest ten pan Spear, o którym co chwilę wspominała, i dlaczego na niego czekaliśmy?

– Przepraszam, ale nie rozumiem – powiedziałam, gdy zmierzała do drzwi. Odwróciła się i pytająco uniosła brwi, kiepsko maskując zniecierpliwienie. – Kim jest pan Spear?

Przekrzywiła głowę.

– Jest drugim spadkobiercą dziedziczącym po pani babci.

Gapiałam się na nią z zaskoczoną miną, nawet nie próbując ukryć szoku.

– Zaraz wracam – rzuciła, zostawiając mnie z moim skonfundowaniem.

Co ona właściwie przed chwilą mi powiedziała?

Wiedziałam, że babcia była kochana i szanowana. Nie zdziwiłabym się, gdyby na

odczytaniu testamentu zjawił się tuzin osób. Nie zdziwiłabym się, gdyby zdecydowała się rozdystrybuować swoje dobra połowie miasta. Zdziwiłam się jednak, że miała pojawić się tylko jedna osoba, kompletnie mi nieznana.

Kilka minut później pojawiła się jakaś młoda kobieta i zapytała, jaką lubię kawę. Gdy odeszła, napisałam w telefonie e-mail do Daniela, żeby przypomnieć mu o naładowaniu iPod'a Henry'ego przed wylotem do Rzymu. Henry lubił słuchać muzyki podczas długich lotów, a dystans między Los Angeles i Rzymem do krótkich nie należał.

Wróciła dziewczyna z kawą. Zdążyłam wypić połowę, gdy pojawiła się pani Bagiński. Minęła dziewiąta. Byłam już nieźle wkurzona.

– Jeszcze go nie ma? – zapytała, wchodząc do biura i rozglądając się niecierpliwie.

– Pani Bagiński... – zaczęłam i w tej samej chwili w drzwiach stanęła ta sama młoda dziewczyna.

– Terry, pan Spear dzwonił i przeproszał za spóźnienie. Coś go zatrzymało, ma jeszcze jakieś pięć minut do biura – oznajmiła.

– Skoro tak mówi, to oznacza dwadzieścia minut... – mruknęła Terry Bagiński i sięgnęła do telefonu. – Dzięki, Michelle! – rzuciła i spojrzała na mnie. – Mamy jeszcze chwilę, więc pozwól pani, że podzwonię.

Oczywiście, że nie zamierzałam na to pozwalać, ale zanim się odezwałam, już wybierała numer. Zasiadła w swoim wielkim krześle i odsunęła się, zakładając na ucho zestaw głośnomówiący.

Zacisnęłam usta, spojrzałam na swoje stopy i zaczęłam tupać nogą. Na szczęście miałam na sobie piękne buty. Nie posiadałam ani jednej pary trampek czy kłapek i miałam nadzieję, że tak będzie zawsze.

Uwielbiałam buty i torebki. Mówiąc szczerze, to miałam obsesję na punkcie wyglądu.

Mój dzisiejszy strój nie niósł żadnego pocieszenia, bo znowu byłam ubrana na czarno. Stwierdziłam, że to stosowne do okazji. Wybrałam czarną ołówkową spódnicę, przylegającą jak druga skóra. Sięgała aż za kolana i gdyby nie rozporek z tyłu, nie mogłabym chodzić. Do tego czarna jedwabna bluzka z wysoką stójką, dużą kokardą z przodu i wycięciem z tyłu, ukazującym łopatki.

Nie chciałam się rzucać w oczy i choć strój był uszyty z najwyższej jakości materiałów i podkreślał moje kształty, nie był krzykliwy. Butów za to nie sposób było nie zauważyć.

Szare kozaczki z czarnej skóry na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Za to obcas i podeszwa w kolorze fuksji. Boskie!

Włosy jak zwykle zebrałam w lekki kok na karku. Nadałam mu nieco objętości, ale nie był niedbały i przylegał do szyi.

No i nieskazitelny makijaż.

I choć zwykle starałam się nie myśleć o tym, jak wyglądam, bo Bunia uważała to za bezsensowny przejaw snobizmu, teraz, patrząc na groteskowy makijaż Terry i jej ubrania ściągnięte z jakiegoś przypadkowego, nieodpowiedniego do okazji wieszaka, czułam się naprawdę stylowo.

Bunia byłaby rozczarowana, ale te myśli naprawdę mi pomagały.

Terry mamrotała do telefonu.

Pochyliłam się do przodu i siorbnęłam jeszcze kawy. Odstawiałam właśnie kubek na biurko, gdy usłyszałam za plecami:

– Przyjechał pan Spear.

No proszę, a jednak. W sekundę później do biura pewnym krokiem wszedł mężczyzna, który obserwował mnie na pogrzebie.

Ubrany był na czarno od stóp do głów, w wysokie buty i dopasowany blezer. Choć był to strój o wiele mniej formalny niż garnitur z poprzedniego dnia, o wiele lepiej do niego pasował.

Spojrzał na mnie.

Moje starannie umalowane usta rozchyliły się mimowolnie. Zapomniałam, że część szminki została na kubku.

– Mam tu sprawę, to potrawa chwilę – rzuciła Bagiński do telefonu. – Oddzwonię.

Prawie jej nie słuchałam, bo byłam skupiona na mężczyźnie. Zatrzymał się kilka kroków za krzesłami. Prawie fizycznie odczułam jego obecność w małym pomieszczeniu, jakbyśmy znajdowali się w amfiteatrze, na którego arenie prezentował swoją domagającą się uwagi powierzchowność.

– No w końcu, zaczynajmy! – zaordynowała Bagiński. – Pani Malone, zna pani Jake’a Speara?

Podniosłam się powoli i uniosłam rękę, przez cały czas czując się przytłoczona jego obecnością. Odwróciłam się, chcąc wyjść zza krzesła.

On również uniósł dłoń, która wydała mi się ogromna, choć przecież nie byłam jakoś specjalnie drobna. Na myśl o tym, że ta wielka dłoń za moment uściśnie moją, przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz.

I właśnie wtedy, gdy o tym myślałam, nosek mojego buta utknął w niedopasowanym łączeniu wykładziny i potknęłam się. Przed tym mężczyzną!

Musiałam skupić się, żeby nie wyłożyć się jak długa. Wyciągnęłam przed siebie rękę, szykując się na twarde lądowanie, ale poczułam, że on pewnie ujmuje moją wyciągniętą wcześniej dłoń.

Nie wiem, czy na moje szczęście, czy raczej na zgubę, pan Spear przesunął się tak, że zamiast wylądować na podłodze wpadłam prosto na niego!

Wolną ręką objął mnie w talii i nagle staliśmy tak blisko, że mogłam prawie posmakować jego skóry.

Wczoraj był gładko ogolony. Dziś jego policzki pokrywała czarno-srebrna szczecina. I to też do niego pasowało. Bardzo.

Spojrzałam mu w oczy. Były szare i w jakiś niepokojący sposób diablo atrakcyjne. Wspaniale pachniał; choć zdarzało mi się wyczuwać już różne wody kolońskie, ta była wyjątkowa. Była taka sama, jak on: agresywna, atakująca zmysły, odbierająca dech.

No i z bliska był jeszcze potężniejszy. Ciało miał jak z kamienia.

– Wszystko w porządku? – zapytał niskim, grzmiącym głosem, od którego zawibrowało całe jego ciało. I moje również.

Powinłam się odsunąć. Powinłam czuć się niezręcznie. Napięłam mięśnie i on zrobił to również, niejako odruchowo, zanim mnie puścił.

– Już dobrze? – zapytał.

– Tak – szepnęłam. – Przepraszam. – Odsunęłam się jeszcze, dając mu znać, że już może mnie puścić.

Ale nie puścił.

– Nic się nie stało – odrzekł i uśmiechnął się nieznacznie. – A więc to pani jest Josie.

Zesztywniałam, bo nikt mnie tak nie nazywał. Nikt, za wyjątkiem Buni.

– Tak, to ja jestem Josephine Malone. Wnuczka Lydii.

Znowu uśmieszek.

– Wiem. Sporo o pani słyszałem. Josie.

Nie byłam pewna, czy ta sytuacja mi się podoba.

– Skoro w końcu pan przybył, to możemy zaczynać. Mam pełny grafik i to spóźnienie już

przesunęło mi wszystko o pół godziny – wtrąciła się Terry, niezbyt grzecznie, jakby to nasze niezręczne powitanie zadziało jej na nerwy.

No tak, to przez niego mieliśmy opóźnienie i choć zadzwonił z przeprosinami, to zrobił to w ostatniej chwili i nie mógł już cofnąć czasu.

Na dźwięk jej słów coś we mnie pękło. Może to przez zażenowanie, jakie odczułam, wpadając na tego mężczyznę. Może przez to, że dopiero wczoraj złożyłam w grobie ukochaną babcię. Może przez to, że przeplakałam całą noc i prawie nie spałam. A może dlatego, że ta kobieta była niegrzeczna od chwili mojego pojawienia się w biurze. Przybyłam na odczytanie testamentu babci, a nie do babci na pączki. Za moment miałam otrzymać potwierdzenie, że ona bezpowrotnie odeszła, utwierdzić się w tym, że została mi tylko tęsknota, i ta cała pani Bagiński powinna mieć choć odrobinę wyczucia. No i nie wytrzymałam. Gdy Spear w końcu mnie puścił, odwróciłam się do niej.

– Ciekawe, co to za pilne sprawy czekają? Przyjęła mnie pani w korytarzu i porzuciła, wracając do swoich obowiązków. Tymczasem wnuczka pani klientki siedziała jak ten kołek przez prawie pół godziny! – Wróciłam na krzesło, chwyciłam ciemnoróżową torebkę i usadowiłam się. – Nie cieszę się na to, co za moment się stanie, i nie wiem, co myśli o tej sytuacji pan Spear... – Założyłam nogę na nogę. – Ale chciałabym już mieć tę sprawę za sobą, więc jeśli się pani w końcu do niej weźmie, to będę zobowiązana.

Zacisnęła usta. Wyglądała to kiepsko, ale ona ogólnie wyglądała kiepsko. Jednak to nie cały ten entourage był nieprzyjemny, tylko ona sama.

Bagiński wyprostowała się za biurkiem i mruknęła:

– Nie opóźniajmy więc.

– Wystarczy mi pół godziny czekania – dodałam.

Rzuciła mi nienawistne spojrzenie. Nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Z mojego sąsiada wydobył się dźwięk przypominający pomruk rozbawienia i zdziwienia. Udawałam, że nie słyszę, wytrzymując spojrzenie kobiety. Pierwsza odwróciła wzrok i zaczęła przerzucać papiery na biurku, mamrocząc coś o rozpoczynaniu procedury. Chyba w końcu dotarło do niej, co o tym wszystkim myślę.

Wydobyła jakieś arkusze, postukała nimi o biurko, układając je w dłoniach w równy plik, po czym spojrzała na nas.

– Pani Malone zleciła przygotowanie dokumentu prawnego, szczegółowo opisującego podział jej majątku i nieruchomości po śmierci. Napisała jednak list, który poleciła odczytać zamiast oficjalnych papierów. Opisała w nim swoją wolę w bardziej przystępny sposób. Dlatego też – kontynuowała Bagiński – odczytam teraz ten list.

Wzięłam głęboki wdech, przygotowując się na wysłuchanie ostatniej woli Buni.

– Ja, Lydia Josephine Malone – zaczęła prawniczka – będąc zdrową na umyśle, ale niestety nie na ciele, przekazuję niniejszym wszystkie moje ziemskie dobra mojej wnuczce, Josephine Dianie Malone. Wlicza się w to Lawendowa Willa i przyległe zabudowania, wszystkie przedmioty znajdujące się w domu oraz ziemia, na której stoi. Dotyczy to również zasobności moich kont bankowych i lokat oszczędnościowych w banku w Magdalene. Przekazuję jej również zawartość skrytki bankowej numer sześć trzy trzy. Klucz do skrytki znajduje się w szufladzie biurka w pokoju dziennym w Lawendowej Willi. Na koniec przekazuję jej również fundusze, które zainwestowałam poprzez moich doradców.

Lawendowa Willa i dwa hektary ziemi, na której stała, na samej krawędzi klifu, były warte grube pieniądze. Widok i lokalizacja podbijały jej wartość. Do tego babcia zaoszczędziła mnóstwo pieniędzy, bo choć nie była sknerą, nie była również rozrzutna.

Nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Nigdy jej ich nie brakowało, więc temat nie

wypływał. Byłam już po rozmowie z pracownikami banku i zasugerowali mi, że suma jest spora, ale nie ekstrawagancka.

Podchodziłam do tego bez emocji. Cokolwiek znajdowało się w skrytce, nie było Bunią. Skoro ja dostawałam wszystko, to po co był tutaj ten cały pan Spear?

– Moim ostatnim życzeniem jest – kontynuowała Bagiński – by sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów z moich oszczędności złożone zostało na fundusze inwestycyjne dla dzieci pana Jamesa Markhama Speara: Connera Markhama Speara, Amber Joelynn Spear i Ethana Jamesa Speara.

No i się wyjaśniło.

– Jezu Chryste... – wyszeptał Spear.

Spojrzałam na niego odruchowo. Wyglądał na zszokowanego. I poruszonego. Wzruszonego nawet. Jego twarz stała się wyjątkowo łagodna. To nagłe złagodnienie sprawiło, że stał się jeszcze przystojniejszy.

Kolejny raz wzięłam głęboki wdech.

– Jake – czytała dalej Bagiński – wierzę, że mądrze zainwestujesz te pieniądze. Dzieci nie powinny chyba wiedzieć o tych funduszach, dopóki nie skończą dwudziestu jeden lat. O ile pójdą na studia. Jeśli nie, to nie powinieneś pozwolić nimi dysponować do dwudziestego piątego roku życia. Trochę wysiłku będzie to kosztowało, bo wszyscy znamy zamiłowanie Amber do kosmetyków i butów na koturnie.

Bunia musiała dobrze znać tego człowieka, skoro zwracała się do niego tak poufale. To wszystko niepomiernie mnie dziwiło, bo widząc, ile serca i pieniędzy Bunia przekazywała temu człowiekowi, po raz kolejny się zastanawiałam, jak to było możliwe, że nigdy wcześniej o nim nie słyszałam.

– Na koniec – odczytała pani Bagiński – moją najcenniejszą własność, którą ukochałam ponad wszystko inne, to jest moją wnuczkę Josephine Dianę Malone, przekazuję niniejszym Jamesowi Markhamowi Spearowi.

Żachnęłam się na ten absurdalny zapis. James Markham Spear wymruczał dość rozbawione: „Co jest, do cholery?”.

Terry Bagiński nawet nie uniosła wzroku, czytała dalej:

– Jake, moja Josie jest dość niezdarna i nie chodzi mi tylko o to, że jest ciamajdą, choć o to też. Akurat ta cecha jest dość urocza i na pewno ci się spodoba. Jest pedantką, więc mam nadzieję, że nauczysz ją tego, że nabałaganienie od czasu do czasu może sprawiać frajdę. No i nie potrafi się bawić, jednakże jestem pewna – podkreśliła Bagiński z emfazą – że i tego ją nauczysz. Przede wszystkim ma najwrażliwszą duszę i najdelikatniejszy dotyk, a jeśli ci się uda, wydobędziesz z niej najcudowniejszy blask, który i ciebie opromieni. Ufam, że pod moją nieobecność dobrze się nią zaopiekujesz. Wiem, że tak właśnie będzie.

Mrugałam raptownie, jakby to miało mnie obudzić, a Bagiński doczytała treść listu:

– To moja ostatnia wola i życzę sobie, żeby była wypełniona. A jeśli nie, to wiedźcie, że na pewno się o tym dowiem i zasmucę. Wiem, że nie chcielibyście, aby tak się stało. Bądźcie szczęśliwi, moja droga Josie i Jake’u. To moje ostatnie, najważniejsze życzenie. Zróbcie wszystko, co w waszej mocy, żeby je wypełnić.

Terry Bagiński odłożyła papier i spojrzała na nas.

– Czy Lydia zapisała mnie w testamencie tobie? – zapytałam rozbawionym tonem.

Powstrzymałam się od parsknięcia śmiechem. Jake uśmiechał się otwarcie, ukazując garnitur białych zębów.

– Oczywiście przekazanie w spadku istoty ludzkiej nie jest wiążące – wtrąciła się prawniczka. – Ten zapis może być zignorowany, jednak reszta jest wiążąca.

Przesunęła w moim kierunku papierową teczkę.

– To uwierzytelnione kopie dokumentów pozostawionych przez panią Malone.
– Wskazała palcem, jakby nie było to dość oczywiste. – List, który przed chwilą odczytałam, informacje o darowiznach i tym podobne. Jeśli nie zechce pani zostać w Magdalene, są tam również informacje kontaktowe do firmy Stone Incorporated, która była zainteresowana nabyciem Lawendowej Willi.

Że co? Ktoś chciał odkupić od Buni dom? Nigdy mi o tym nie mówiła!

– Te dokumenty są dla pani – oznajmiła, po czym wstała i oparła się rękoma o biurko, pochylając się do przodu. – No a teraz, jeśli nie ma więcej pytań...

Ta niegrzeczna sugestia wskazywała, że mamy więcej nie marnować jej czasu.

Miałam milion pytań, ale nie zdążyłam ich zadać.

– Papier nie jest legalnie wiążący, ale więzy krwi zobowiązują – zwrócił się Spear do Bagiński.

Spojrzałam w jego stronę.

– Słucham? – zapytała prawniczka.

– Słowa na papierze nie muszą być prawnie wiążące – powtórzył głębokim głosem i przeniósł wzrok na mnie. – Ale więzy krwi zobowiązują.

Poczułam niepokój, gdy zaatakował mnie tymi słowami. Mój oddech przyspieszył.

– Chyba nie wyobraża pan sobie, Jake, że może odziedziczyć kobietę? – rzuciła Bagiński od niechcenia.

– Odziedziczyć nie – kontynuował Spear – ale zrobić dokładnie to, co Lydia chciała, bym zrobił, to i owszem.

O mój Boże! Mówi to serio? Czułam, że mój oddech wariuje, jak po sprincie.

– Babcia... – szukałam właściwych słów – ...Bunia zawsze chciała mnie chronić.

– No i zapisała mi panią w testamencie, żebym to teraz ja dla odmiany się tym zajął?

– Sama potrafię się sobą zająć! – poinformowałam go chłodno.

Grymas przemknął przez jego twarz.

– Słyszałem co innego... – szepnął.

Chyba się przesłyszałam!

– Co Bunia panu naopowiadała? – zażądałam wyjaśnień.

– Przepraszam, ale czy mogę prosić, żeby powyjaśniali sobie państwo te sprawy gdzie indziej? – zasugerowała Bagiński. – Naprawdę mam jeszcze dziś sporo zajęć!

Uznałam, że to świetny pomysł. Nie wyjaśnianie. Miałam dość tej niedorzecznej sytuacji. Po prostu chciałam już być gdziekolwiek indziej.

Zerwałam się z krzesła i poczułam, że Spear też wstaje. Dostrzegłam jego wyciągniętą dłoń.

– Potrafię sama wstać, panie Spear! – wypaliłam.

– Ostrożności nigdy za wiele. – Przyglądał mi się z beczelnym uśmiechem.

Choć zarówno jego głos, jak i ten beczelny grymas były atrakcyjne, to niezmiernie mnie irytowały.

Spojrzałam na prawniczkę.

– Czy muszę podjąć jakieś działania, żeby fundusze przeznaczone dla dzieci pana Speara trafiły do niego? – spytałam, mając cichą nadzieję, że nie.

Terry Bagiński pokręciła głową.

– Nie. Pani Malone już się tym zajęła, nasza kancelaria zleci przelewy. – Spojrzałam na Speara. – Będziesz musiał odprowadzić podatek od tej darowizny, Jake.

– Serio? – zapytał.

Zdałam sobie sprawę, że znają się z prawniczką nie od dziś. I że za sobą nie przepadają.

Przynajmniej ona na pewno za nim nie przepadała. Nie obchodziło mnie to. Obchodziła mnie tylko ucieczka z tego miejsca. To oraz załatwienie spraw z posiadłością Buni, a potem wylot do Rzymu. Czy też Paryża. Jak najszybciej.

Bez zbędnej zwłoki zawiesiłam torebkę na ramieniu, chwyciłam teczkę z dokumentami i powiedziałam na pożegnanie:

– Jeśli to wszystko, to nie zabieram więcej czasu i dziękuję za zaangażowanie.
– Odwróciłam się do Speara i dodałam: – Choć Bunia o panu nie wspominała, najwyraźniej darzyła sympatią pana i pańskie dzieci.

Nie pozwolił mi dokończyć i rzucił z tym rozbijającym uśmiechem:

– Ach, Josie, chyba wszystkich nas darzyła tą sympatią.

– Powinnam więc chyba powiedzieć, że miło było pana poznać. – Przeniosłam wzrok na prawniczkę. – Zostawiam państwa. Miłego dnia.

Co rzekłszy, opuściłam biuro, uważnie stawiając każdy krok.

– Zaczekaj, Josie! – zawołał za mną Spear.

Nie zaczekałam, bynajmniej. Przyspieszyłam kroku.

– Hej, kobieto, zaczekaj chwilę! – usłyszałam zbyt blisko, tuż za moimi plecami.

Nie zatrzymałam się, minęłam recepcję.

– Nie chcę być niegrzeczna – powiedziałam w przestrzeń – ale mam sprawy do załatwienia, a poza tym jak najszybciej muszę udać się do Rzymu.

– Do Rzymu? – zapytał, gdy położyłam dłoń na klamce.

Uniosłam na niego wzrok.

– Dokładnie – rzuciłam, otwierając drzwi i kierując się do wynajętego auta.

Nie odezwał się, ale czułam, że za mną idzie. Gdy zatrzymałam się przy samochodzie, chwycił mnie za przedramię. Obrócił mnie w swoim kierunku.

– Josie, poświęć mi chwilę! – powiedział cicho.

– Oczywiście, panie Spear, ma pan chwilę. Nie więcej. – Spojrzałam na niego.

– Jake.

– Słucham?

– Mam na imię Jake.

– No tak – przytaknęłam. – Chwila mija.

Nie puścił mojej ręki i przyglądał mi się wyjątkowo przenikliwie, prześlizgując wzrokiem po mojej twarzy.

Wówczas właśnie uderzyła mnie niezwykłość jego oczu. W sztucznym świetle biura wydawały się szare, ale teraz, w słońcu, okazały się jasnoniebieskie. Niezwykle jasne. Niespotykane, intrygujące i uderzające. Bum!

– Panie Spear... – zaczęłam, czując, że jego palce oplatają moje ciało coraz ciaśniej i przyciąga mnie nieco do siebie.

– Jake – wymruczał.

– Czy zatrzymuje mnie pan tylko dlatego, aby wymusić zwracanie się do siebie po imieniu? – dociekałam.

Te jego niezwykle oczy były wciąż skupione na mnie.

– Czy zawsze mówisz w ten sposób? – zapytał zamiast odpowiedzieć.

– W jaki?

Usta mu zadrgały, chyba znowu zamierzał się ze mnie nabijać. Wskazał głową w stronę budynku, z którego właśnie wyszliśmy.

– Chyba przed chwilą wydarzyło się tam coś ważnego.

– Faktycznie – potwierdziłam. – Jeśli martwi się pan, że będę robić trudności z powodu

prezentów, które babcia rozdysponowała pańskim dzieciom, to niepotrzebnie. Wiem, że Bunia zachowała pełnię władz umysłowych do samego końca, więc jeśli zdecydowała się przekazać dzieciom te pieniądze, to jej wola się wypełni.

– Lydia wykazała się pięknym gestem – odpowiedział. – Ale nie mówię o pieniądzach. Mówię o tym drugim prezencie.

– Czyli o czym? – zapytałam, udając, że nie wiem, o co chodzi.

– Josie – powiedział rozbawiony i bardzo mnie to rozeźliło, bo... brzmiało uroczo. – Dała mi ciebie.

Próbowałam zignorować skurcz w żołądku, jaki wywołała ta deklaracja, i wyrównując oddech, oznajmiłam:

– Nikt nie nazywa mnie „Josie”.

– Lydia nazywała.

No tak. Bunia musiała mu o mnie opowiadać.

– Niech będzie. Nikt, poza babcią, tak mnie nie nazywał.

– Ja to robię.

Wciągnęłam powietrze ze świstem. Poczułam, że wciąż mnie trzyma za rękę, więc zażądałam:

– Proszę mnie puścić!

Próbował się opanować, ale nie mógł ukryć uśmiešku.

– Puszczę, jeśli obiecasz, że nie uciekniesz.

– Nie mogę tego obiecać.

– No cóż... – Puścił mnie, ale się nie odsunął.

Ja również się nie odsunęłam. James Markham Spear nie będzie mnie onieśmielał.

– Pójdziemy na kolację dziś wieczorem – oznajmił.

Otworzyłam torebkę i wyciągnęłam okulary. Każda szanująca swoją urodę kobieta wiedziała, że w taką pogodę nie można się obyć bez dwóch rzeczy: dobrego kremu z filtrem pod podkładem i okularów, żeby nie nabawić się zmarszczek od mrużenia oczu.

– Obawiam się – oznajmiłam, wsuwając okulary na nos – że kolacja nie wchodzi w grę.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? – zapytałam.

– Josie, widzę, że próbujesz udawać, że ta sprawa nie miała miejsca, ale to naprawdę się wydarzyło.

– Tak, rzeczywiście – westchnęłam.

– Skoro się zgadzamy, to kolacja dziś wieczorem.

– Nie, żadnej kolacji.

Przechylił głowę i już miał się odezwać, ale byłam szybsza.

– Proszę posłuchać, panie Spear...

– Jake – wtrącił, jakby nieco zniecierpliwiony.

– Oczywiście. – Nie dałam zbić się z tropu. – Jak już wspomniałam w biurze pani Bagiński, Bunia była bardzo opiekuńcza. Byłyśmy ze sobą bardzo blisko i bardzo się kochałyśmy. Ale w przypadku takiej głębokiej zażyłości jednej ze stron może się wydawać, że wciąż jest bardzo potrzebna, kiedy w rzeczywistości już nie jest. Z tego listu wynika, że zaszło właśnie takie nieporozumienie.

Twarz mu stężała, spojrzenie miał mrożące.

– Więc twierdzi pani, że już nie potrzebowała Lydii?

– Nie o to chodzi – szepnęłam, odczuwając kolejny skurcz spowodowany emocjami, o wiele bardziej dokuczliwy. Chyba to dostrzegł, bo na jego twarz wypłynęła troska, jednak nie

zamierzałam zaprzestać wyjaśnień: – Potrzebowałam mojej babci, dalej jej potrzebuję. Ale nie w taki sposób.

– Ona twierdziła coś innego – powiedział cicho, łagodnym, ciepłym głosem.

– Najwidoczniej się myliła.

– Josie...

– Josephine – poprawiłam go niecierpliwie.

– Jak tam sobie chcesz. – Teraz to on się zniecierpliwił. – Znałem Lydię siedem lat. To oznacza, że właśnie gdzieś w tym okresie napisała ten list. Zgaduję, że niedawno. To oznacza, że wciąż czuła tę troskę i postanowiła powiedzieć to w tym liście. Czy to naprawdę nic dla ciebie nie znaczy? Zignorujesz to?

– Tak właśnie – odparłam szybko, a on zamarł, coś zmieniło się w jego twarzy, w całej jego sylwetce.

Ale co to było, nie byłam w stanie zdefiniować.

– Nie rób tego – szepnął.

Zamarłam jak słup soli.

– Nie rób tego, Josie – powtórzył. – Ona widziała nas razem.

On nie mówił poważnie.

– Co pan wygaduje? – szepnęłam przez zaciśnięte usta.

– Usiłuję powiedzieć – zaczął – że przynajmniej powinniśmy spróbować lepiej się poznać. Chociaż to możemy dla niej zrobić. Jesteśmy jej to winni, oboje. Znam cię tylko z jej opowieści i z tych dwudziestu minut, które spędziliśmy razem, ale wiem, że przyznasz mi rację.

„Chociaż to możemy dla niej zrobić”. Ale co dokładnie? Bunia знаła tego człowieka od siedmiu lat. Zostawiła jego dzieciom gigantyczne pieniądze. No i mnie zostawiła jemu. Nie rozumiałam tego. Rozumiałam za to moje odczucia wobec całego tego galimatiasu i wcale nie były przyjemne.

– Kolacja – zachęcił mnie łagodnie. – Nic więcej. Uważasz mnie za dupka, widzę to, ale nie będę dupkiem dla ukochanej wnuczki Lydii, bo ona wiele dla mnie znaczyła, dla mnie i dla moich dzieci. Jeśli nie zmienisz swojego myślenia o mnie, to się pożegnamy. Ale pozwól chociaż zaprosić się na kolację.

Na tyle chyba mogłam mu pozwolić. Chyba nawet musiałam, bo było jasne, że nie podda się, dopóki się nie zgodzę. Zgodziłam się więc.

Nie zamierzałam pojawić się w umówionym miejscu. Miasto nie było duże, ale Lawendowa Willa stała na obrzeżach. Mogłam tam się przed nim schronić. I w chwilę potem wyjechać.

No to miałam plan.

– Dobrze. Kolacja – skłamałam.

Uśmiechnął się.

– Świetnie!

– Gdzie mam się pojawić? – zapytałam, a na te słowa jego uśmiech zniknął, a brwi podjechały pytająco na czoło.

– Pojawić? – zapytał.

– Tak. Dokąd mam się udać?

– Josie, mężczyzna zapraszający kobietę na kolację odbiera ją spod drzwi i w to samo miejsce odstawia.

Niepokojąca deklaracja. Choć sama nie randkowałam, chyba nigdy, to dość często spędzałam czas z randkującymi kobietami. W dzisiejszych czasach ludzie po prostu spotykali się w umówionym miejscu. Nie podobało mi się takie podejście. Jeśli facet nie miał na tyle

przyzwoitości, żeby po mnie przyjechać, to nie był wart mojego czasu. Jak widać, James Markham Spear podzielał moje poglądy na te sprawy. I to również było niepokojące.

– Nie wiem, co się dziś wydarzy. – Tym razem powiedziałam prawdę. – Muszę wykonać pewne zadania dla mojego pracodawcy. – Kłamstwo. – No i muszę podomykać sprawy związane z odejściem babci. – Prawda. – Wolałabym swobodnie dysponować moim czasem i nie musieć się martwić o to, żeby być w domu o umówionej porze i czekać na pańskie przybycie. Wieczorem pewnie i tak będę gdzieś w mieście, więc mogę podjechać tam, gdzie będziemy jeść.

Znowu przyglądał mi się uważnie.

– No więc? Gdzie i o której się spotkamy? – spytałam w końcu.

– W Lobster Market, o wpół do siódmej – powiedział po przedłużającej się przerwie.

Wpół do siódmej.

Kiepska pora. Byłam sową i nigdy nie jadałam kolacji tak wcześnie. Kładłam się zazwyczaj grubo po północy. Jeśli zjem tak wcześnie, będę musiała jeszcze coś przekąsić przed snem, a w domu Buni nie było żadnych przekąsek, no i miałam inne nawyki żywieniowe.

– Do zobaczenia na miejscu – powiedziałam. – O wpół do siódmej.

– Świetnie.

– Świetnie.

Nie poruszył się. Już zamierzałam go popędzić, ale w końcu odsunął się o krok.

– Cieszę się, że w końcu cię poznałem, Josie – rzekł cicho.

Mówił szczerze, to było widać.

Znowu poczułam to przedziwne wrażenie na skórze. Musiałam coś powiedzieć, coś zrobić, nie wiedziałam jednak co.

– Do zobaczenia na miejscu – mruknął.

– Tak jest.

– Do później, Josie!

– Do widzenia.

Machnął ręką na pożegnanie i odszedł.

Obserwowałam go, myśląc, że ma niezwykle lekki krok jak na kogoś o tak imponującej posturze. Nie chciałam przyznać się przed sobą, że mogłabym obserwować go jeszcze przez minuty, przez godziny. Przez wieczność.

Cóż za nedorzeczna myśl! Znowu poczułam skurcz w żołądku. Nacisnęłam przycisk na pilocie i otworzyłam samochód. Musiałam ruszyć się w końcu spod biura i zająć sprawami niecierpiącymi zwłoki, a potem wyjechać z Magdalene.

Na zawsze. To oznaczało ostateczne pożegnanie się z Bunią. A tego bałam się najbardziej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czwarta pani Spear

Siedziałam na tarasie Breeze Point, sącząc likier malinowy. Ta świetna restauracja w miasteczku sąsiadującym z Magdalene została wybudowana na klifie, podobnie jak Lawendowa Willa. Widok był spektakularny, zarówno w dzień, jak i teraz, po zmierzchu.

W granatowej, upstrzonej gwiazdami ciemności błyskała latarnia morska. Gdybym zostawiała zapalone światła w domu, również mogłabym je dostrzec. Bywałyśmy tutaj z Bunią i kiedyś zrobiliśmy taki eksperyment. Faktycznie było stąd widać światła Lawendowej Willi.

Pamiętałam te wyprawy, od pierwszej wiele lat temu aż do tej ostatniej, zeszłego lata. Zawsze się stroiliśmy i przyjeżdżaliśmy tu na zupę krem z homara, pieczone kraby i deser markizowy.

Zamówiłam te same dania i choć były jak zwykle przepyszne, nie smakowały mi tak bardzo jak wówczas, gdy Bunia była przy mnie.

Drugim powodem, dla którego wybrałam się właśnie do tego lokalu, był fakt, że znajdował się w znacznej odległości od Lobster Market, gdzie miałam spotkać się z Jamesem Spearem. Miałam przed sobą jakiś tydzień unikania go, więc musiałam nabrać wprawy.

Odetchnęłam chłodną bryzą i szczelniej okryłam się miękkim szalem. Wspominałam ten pełen niespodzianek dzień. Po odczytaniu testamentu wybrałam się do banku i przekonałam, że błędnie oceniłam stan majątku babci. Miała jakieś czternaście tysięcy na rachunku bieżącym. Dwadzieścia siedem tysięcy w depozycie. I pół miliona na kontach oszczędnościowych. Jakby tego było mało, zainwestowała kolejne pięć milionów. A ostatnia wycena Lawendowej Willi opiewała na siedem milionów dolarów. Siedem. Milionów. Dolarów! Dom był świetnie położony, miał pięć sypialni, ale żeby aż siedem baniek??

Nie wróciłam do domu po kluczyk od skrytki. Wiedza o tym, że Bunia była warta prawie trzynaście milionów, to wystarczająca rewelacja jak na jeden dzień.

Zgodnie z obietnicą zadzwoniłam do Henry'ego. Opowiedziałam mu o tej okropnej Terry Bagiński. Powiedziałam też o pieniądzach. Oczywiście fakt, że babcia podarowała swoją ukochaną wnuczkę w spadku jakiemuś niezwykle męskiemu samcowi, przystojniakowi z trójką dzieci, zataiłam. O forsie, którą im darowała, również nie powiedziałam. Wolałam z tym zaczekać do czasu, gdy już znajdziemy się razem w Rzymie albo w Paryżu i gdy cały ten cyrk będzie już za mną.

– No to nieźle dziana jest teraz moja Josephine! – podsumował Henry.

Miał rację. Babcia nieźle mnie ustawiła. Miałam również swoje oszczędności. Świetnie mi płacono, a że niemal bez przerwy podróżowałam, zajęta bardziej życiem Henry'ego niż swoim własnym, nigdy nie zainwestowałam zarobionych pieniędzy w dom. Gdy na jakiś czas zatrzymywaliśmy się w Los Angeles, mieszkowałam w domku gościnnym w posiadłości Henry'ego. W podróży to on płacił za wszystko. Tym sposobem zaoszczędziłam mnóstwo pieniędzy przez te dwadzieścia trzy lata. Naprawdę dużo. W zasadzie na koncie miałam już odłożone na spokojną emeryturę. Jeśli doliczyć odziedziczone pieniądze, mogłam już tylko leżeć i pachnieć do końca swoich dni, nie szcędząc na to wydatków.

Chyba zanudziłam się na śmierć, więc ta myśl zgasła w mojej głowie równie szybko, jak się pojawiła. Co wcale nie znaczyło, że nie przytłoczył mnie stan finansów Buni.

Rozwiodła się z dziadkiem przed moim urodzeniem. Zmarł, zanim dorosłam na tyle, żeby go poznać. Opowiadała o nim, gdy to już się stało, jakby jego życie miało usprawiedliwić zachowanie mojego ojca, a co za tym idzie moje kiepskie wybory, jeśli chodziło o mężczyzn.

Mawiała: „Ku zrozumieniu, bo zrozumienie przynosi duszy spokój”. Mojej nie uspokoiło, ale może jej i owszem.

Zrozumiałam jednak to, że aby uwolnić się od dziadka, babcia odeszła od niego z pustymi rękoma. Pracowała do siedemdziesiątego ósmego roku życia jako recepcjonistka w prywatnej przychodni. Uwielbiała to, a pacjenci uwielbiali ją. Do końca pozostawała energiczna i zaradna, a rzuciła pracę tylko dlatego, żeby mieć więcej czasu na brydża, robotki na drutach, pogaduszki z przyjaciółkami i wściubianie nosa w cudze sprawy. Było oczywiste, że jej rodzice, właściciele wspaniałego domu na palach, musieli zostawić jej niezłą sumkę, bo nie było przecież możliwe, żeby zarobiła takie pieniądze, siedząc w rejestracji w przychodni.

To wszystko nie dawało mi spokoju. Nie chodziło o to, że Bunia miała pieniądze, a ja o tym nie wiedziałam. To dobrze, że żyła wygodnie i na poziomie. Dawała mi to odczuć. Chodziło o to, że chyba w rzeczywistości niewiele o niej wiedziałam, choć zdawało mi się, że świetnie ją znam.

– Czy mogę się dosiąść?

Uniosłam głowę i zobaczyłam mężczyznę, którego zauważyłam w lokalu, zanim wyszłam napić się likieru na taras. Miał na sobie niezły garnitur. Nie był nieatrakcyjny, ale w porównaniu z Henrym Gagnonem, dla którego pracowałam, i Jamesem Spearem, z którym spotkałam się rano, wypadł naprawdę nieciekawie.

Ale nie dlatego nie chciałam jego towarzystwa.

Od zawsze byłam samotniczką, od wczesnego dzieciństwa. Odnajdywałam przyjemność tylko w towarzystwie Buni i mojego pracodawcy. No i nie byłam w nastroju na pogaduszki. W mojej głowie kłębiło się milion spraw, które były ważniejsze od wdzięczenia się do jakiegoś obcego faceta i podtrzymywania rozmowy o niczym. A już na pewno nie miałam ochoty na seks, a ten facet ewidentnie na mnie leciał. Gdybym chciała, po prostu znalazłabym sobie kochanka, wybrała takiego, który podobałby mi się fizycznie i zaprosił go do łóżka. Może nawet wzięłabym od niego numer telefonu i umówiła się ponownie na spotkanie. Potrafiłam jednak sama doskonale się sobą zająć. Szybciej, łatwiej i w większości przypadków o wiele przyjemniej.

Niełatwo nawiązywałam intymną więź, choć często odnajdywałam przyjemność w seksie. No ale nieczęsto trafiałam na naprawdę zdolnego kochanka, a gdy już się udało, to zanim uświadamiałam sobie, że być może warto poważniej się wokół niego zakręcić, okazywało się, że jest już zajęty.

Po tym facecie było widać, że brak mu fantazji w łóżku. Był pewny siebie, ale miał w sobie coś z arogancji Terry Bagiński. Gotowa byłam się założyć, że w łóżku dbał głównie o swoją przyjemność, a to nie było fajne. Z takimi mężczyznami były tylko problemy: nie dawali się łatwo spławić i zdawało im się, że mogą dziewczynę przegadać i namówić do wszystkiego. Po wydarzeniach ostatnich dni naprawdę nie miałam ochoty na jakieś słowne utarczki i udowadnianie mu, że nie dostanie tego, na co ma ochotę. Postanowiłam kłamać.

– Mógłby pan się dosiąść, gdyby nie fakt, że mój partner miałby na pewno obiekcje.

– Miałby obiekcje, gdybym chciał postawić pani kolejnego drinka? – zapytał mężczyzna z wystudiowanym uśmiechem.

Obserwowałam jego sylwetkę obrysowaną romantycznymi światłami tarasu, zastanawiając się, dlaczego powtarzał pytanie, skoro już dostał odpowiedź.

– Jestem pewna, że miałby. – Staralam się brzmieć tak, jakby ta świadomość nieco mnie rozczarowywała, ale byłam kiepską aktorką.

Chyba jednak się nabrał, bo podsunął sobie tarasowe krzesło i usiadł obok mnie.

– Gdybym był tym mężczyzną, pewnie miałbym obiekcje – rzucił, rozsiadając się wygodnie.

Nie odezwałam się. Niestety, on gadał dalej, niskim, modulowanym głosem:

– Gdybym był nim, nie pozwoliłbym pani jadać samotnie.

Musiał mnie wcześniej zauważyć. Ale czy to było takie dziwne, skoro i ja go zauważyłam?

– Jest zajęty, a ja miałam ochotę na krem z homara – wyjaśniłam.

Użyłam niewłaściwych słów. Gdy powiedziałam, że „miałam ochotę”, przeniósł wzrok na moje usta.

– Gdybym był tym mężczyzną – rzekł, patrząc mi w oczy – postarałbym się sprostać wszystkiemu, na co miałaby pani ochotę.

Zwalczyłam potrzebę przewrócenia oczami czy rzucenia mu kpiarskiego uśmiešku, zamiast tego odchyliłam plecy na oparcie krzesła, żeby zwiększyć dystans.

– Tak się składa, że Jake wie, iż potrafię sama zadbać o swoje potrzeby.

– Jake?

– Jake Spear.

Kolejny błąd. Widziałam to po jego minie. Również oparł się o krzesło, spojrzął na mnie ze zdziwieniem i to na jego ustach wykwitł nieprzyjemny uśmiešek.

Choć byliśmy w miasteczku sąsiadującym z Magdalene, te małe społeczności przenikały się i każdy, kto żył tu czy tam, z pewnością wiedział, co się działo w okolicy. Nie miałam siły walczyć. Ten dzień wbrew pozorom wcale nie był przyjemny, a już ta konfrontacja z pewnością do przyjemnych nie należała. Przedwczoraj dowiedziałam się o śmierci Buni, wczoraj uczestniczyłam w jej pogrzebie. Nie byłam sobą. Dlaczego tak dziwnie zareagował?

– Spotyka się pani z Jakiem Spearem? – zapytał.

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego zbeształam się w myślach.

– Pani? – dociekał natręt.

Nie odzywałam się.

– Była pani jedną z jego tancerek? – dopytał, świdrując mnie spojrzeniem.

Co to w ogóle było za pytanie? Dziwne i niepokojące. I obraźliwe!

– Oczywiście, że nie! – odparłam.

– Z tego, co widzę – kontynuował facet – gust się w końcu Jake’owi wyrobił.

Teraz to już naprawdę przegiął. Poziom obraźliwości wypadł poza skalę.

– Że co proszę? – wypaliłam.

– Kochanie, usiłujesz zostać czwartą panią Spear? Coś ci powiem, bo najwyraźniej nikt cię przed nim nie ostrzegł. Może i zbił niezłą fortunę na tym klubie go-go, więc zapewni ci siorbanie kremu z homara przez jakiś czas. Miej jednak na uwadze, że zmienia kobiety jak rękawiczki i najprawdopodobniej szybciotko wymieni cię na nowszy model, tak jak robi to co roku ze swoim autem.

Czwartą panią Spear? A niech mnie. I klub go-go?? No ładnie! Te rewelacje były szokujące i tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że mój podrywacz był podłym facetem, więc odrzekłam:

– Coś dużo pan wie o Jake’u.

– Mieszkam tu całe życie, a w takim przypadku ciężko nie słyszeć co chwilę o kimś takim jak „Truck”[1].

Podkreślił ostatnie słowo, a ja nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Wstał.

– Proszę zrobić mi przysługę i nie wspominać Jake’owi, że chciałem pani postawić drinka. Gdy tak dłużej się pani przyglądam, to mam wrażenie, że może jednak przypadnie mu pani do gustu na dłużej, i wolę nie myśleć, jak Truck zareagowałby na to, że się narzucałem.

Tak. Śliski typ.

– Zanim się więc pan oddali, proszę wyjawić mi swoje nazwisko i się zobaczy – odparłam.

Przez chwilę na mnie patrzył, a potem pokręcił głową i wrócił do wnętrza restauracji. Obserwowałam, jak się oddala, a cała ta konfrontacja wywoływała we mnie tylko obrzydzenie i niepokój. Nie ruszyłam się jednak z miejsca, nie chcąc znowu wpaść na tego typu. Być może czałł się jeszcze na jakąś inną kobietę. Zamiast wstać i udać się wprost do Lawendowej Willi zwróciłam oczy na piękny, mroczny krajobraz i sączyłam likier, jakby nic się nie stało.

Niestety, stało się. Zawiesiłam wzrok na horyzoncie i usiłowałam skupić się na słodczy likieru. Myślałam jednak o trzech paniach Spear, klubie go-go i czym, do cholery, jest ten Truck??



Poranne słońce pieściło moją twarz. Przewróciłam się na drugi bok w łóżku o kutym wezwłowi, wśród pościeli w kwiatowy rzucik. Materac był wygodny i miałam wokół mnóstwo poduszek z prawdziwego pierza. Uchyliłam powieki i ujrzałam za oknem połyskujące morze i jasne niebo. Światło załamywało się w kryształowych szybach. Przeniosłam wzrok na stojący przy łóżku budzik. Siódma trzydzieści. Dość wcześnie, ale ciągle jeszcze leżakowałam w strefie czasowej Los Angeles. Niezależnie, o której wstawałam, musiałam napić się kawy.

Odrzuciłam kołdrę, usiadłam i spuściłam nogi z łóżka. Miałam na sobie dziewczęcą nocną koszulkę, ledwie zakrywającą biodra, w odcieniu pudrowego różu. Była dziewczęca i urocza, ale przede wszystkim wygodna, dlatego ją kupiłam.

Podeszłam do tapicerowanego fotela stojącego w rogu pokoju i zgarnęłam z niego kremowy szlafroczek, narzuciłam go, nawet nie zawiązując paska, w końcu byłam sama w domu. Wydawało mi się jednak dość nieprzyzwoitym, by snuć się po domu w kusej piżamce.

Gdy wychodziłam z sypialni, zebrałam włosy w niedbały węzeł na karku, po czym zesłam dwa piętra w dół. Nawet się nie rozglądałam. Zazwyczaj chłonełam każdy szczegół wystroju, wspominając wszystkie poprzednie wizyty, rozpamiętując zapachy, odgłosy; chciałam zapamiętać wszystko aż do kolejnego powrotu do tego miejsca. Doczłapałam jakoś do kuchni.

To tutaj Bunia spędzała najwięcej czasu; i w pokoju na samej górze. Kuchnia była wspaniała, a babcia była cudowną kucharką. Poznałam tu tysiąc nowych, smakowitych zapachów i przepysznych smaków. Często tu dla mnie gotowała. Nawet nauczyła mnie co nieco z tej sztuki. Wiedziałam, że zachowam te wspomnienia głęboko w sercu.

Podeszłam do czajnika i gdy uniosłam dłoń, żeby go włączyć, zauważyłam, że woda już się grzeje. Gapiłam się na urządzenie. Miał programator, ale nigdy nie nauczyłam się używać tej funkcji. Czytanie instrukcji to nie było moje ulubione zajęcie. No i dioda przy znaczku programatora się nie świeciła.

– Co jest, do...? – mruknęłam, ale mój głos przeszedł w pisk, gdy usłyszałam za sobą głęboki głos.

– Nie lubię być wystawiany.

Odwróciłam się gwałtownie i dostrzegłam Jamesa Speara siedzącego w kącie, przy wysłużonym drewnianym stole, pod oknem z małych, szklanych szybek. Przed nim stała filiżanka kawy.

– Co... co pan tu ro... robi? – zająknęłam się.

Poruszyły się tylko jego usta, ale bynajmniej nie po to, żeby odpowiedzieć na moje

pytanie.

– Kosztowało mnie to sporo wysiłku. Nie było łatwo namówić Amber, żeby zajęła się młodszym bratem. Dziewczyna się ceni, dwadzieścia dolarów za godzinę. Była już umówiona ze znajomymi i musiała zmienić plany, więc nie omieszkła o tym wspomnieć. Musiałem obiecać jej powrót o godzinę później w sobotni wieczór, a cholera wie, co też dziewczyna taka jak ona zrobi z dodatkową godziną. Może wpadnie do jakiegoś klubu, gdzie da się związać, albo pozwoli sobie zmajstrować w tym czasie dziecko?

– Jak pan tu wszedł?

Włożył rękę do kieszeni spodni, a gdy ją wyciągnął, na palcu dyndał kluczyk na kółku.

– Czasem pomagałem Lydii, a ona pomagała w opiece nad Ethanem po szkole. Mamy klucz. Wszyscy.

– Będę musiała prosić o zwrot tych wszystkich kluczy...

– Jaja sobie robisz? – Jego brwi podjechały do góry.

– Nie, wcale nie żartuję.

Zetknęły się nad nosem.

– Jezu, Josie, wystawiłaś mnie!

– Może tak to wygląda, ale i tak nie zamierzałam iść na tę kolację, więc z mojego punktu widzenia wygląda to jednak nieco inaczej.

– Jak chuj... – mruknął.

– No i proszę – brnęłam – ...się tak nie wyrażać.

– Nie mów mi, do kurwy nędzy, jak mam się wyrażać! – wciął się. – I nie gadaj mi tu pierdół, stojąc w kuchni Lydii!

Wyprostowałam się.

– Chyba się przesłyszałam!

– Stoisz tak sobie tutaj i ignorujesz jej życzenia!

Wskazał na siebie palcem.

– Zrobiłaś ze mnie durnia, każąc mi czekać przez trzy kwadransy na swoją jaśniepańską dupę! Moja córka zmieniła plany, choć czekała na spotkanie z przyjaciółmi. Nie każdy ma tyle wolnego czasu, żeby wyczekiwać beczynn timer w restauracji! Ja na pewno nie mam! Zrobiłaś z nas idiotów.

Poczułam się głupio, bo przecież po części miał rację. W zasadzie po całości. Zepsułam wieczór jego córce (choć przecież nie mogłam znać jej planów ani wiedzieć o tym, że będzie musiała zostać z bratem). Zgodził się na coś, na co nie chciał się zgadzać i z czego mogły wyniknąć kłopoty. A ja sobie siedziałam i wciągałam zupkę. Gdyby ktoś wykręcił mi taki numer, nieźle bym się wkurzyła. Spojrzałam mu w oczy i zrobiłam to, co należało. Przeprosiłam.

– To było niegrzeczne z mojej strony – zaczęłam. – Powinnam była jaśniej się określić, a wówczas nie zmarnowałabym czasu pańskiego i pańskiej rodziny.

– No raczej!

– No więc, przepraszam raz jeszcze.

– Masz za co.

Nie zamierzałam się więcej odzywać, ale on najwyraźniej miał inne zamiary.

– No więc, maleńka, mamy nowy początek.

Maleńka??

Nikt nie śmiał mnie tak nigdy nazwać, a on uczynił to z taką nonszalancją, że poczułam wściekłość.

– Nie ma żadnego początku, panie Spear...

Wstał, gdy usłyszał swoje nazwisko, zbijając mnie z tropu. Jakaś energia wypełniła całe

ogromne pomieszczenie, aż wydało się całkiem małe.

– Josie, już ci mówiłem, że mam na imię Jake... – wycedził.

– W porządku – szepnęłam.

– Nie muszę pytać, jak zaczniemy, bo twoje zdanie w tej kwestii w ogóle mnie nie obchodzi.

Czy na coś takiego można było w ogóle odpowiedzieć?

– Znałaś Lydię. Wiesz, że ten wczorajszy numer bardzo by ją wkurzył.

Miał rację, niestety. Bunia považała tego człowieka i gdyby wiedziała, że wywinę coś takiego, istotnie byłaby wściekła.

– Wiem – potwierdziłam.

– Wyraziła się jasno w liście. Ona rozdawała swoją miłość garściami. Ty miałaś jej najwięcej, ze wszystkich ludzi na ziemi. Niemożliwe, żeby ktoś, kto kochał cię tak bardzo, błędnie pokierował twoim losem.

Chlapnęłam głupio:

– Czy Lydia wiedziała, że prowadzisz klub go-go?

Miałam wrażenie, że wypełnił pomieszczenie jakąś gorącą energią, która zaczęła parzyć moją skórę i odbierać mi dech. Usiłowałam się cofnąć, ale o krok za mną był kuchenny blat.

Głos Jake'a wibrował wściekłością.

– Tak, Josie, zdaje się, że wiedziała, gdy pożyczła mi pieniądze na jego zakup.

– Naprawdę? – Zamrugałam, kompletnie zbita z tropu.

– Zgadza się, do cholery. Spłaciłem ją na takich warunkach, które pozwalały mi zatrzymać siłownię i zapewnić dzieciom wikt, opierunek i przyzwoite życie!

– Opłacone pieniędzmi zarobionymi w klubie ze striptizem? – Mój głos stał się piskliwy ze zdziwienia.

Jego oczy się zwęziły.

– Ja pierdołę! Czy Lydia wiedziała, jak bardzo kij wrósł ci w dupę?

Co? Mnie?

– Panie Spear! – Wykonałam sugestywny gest dłonią. – Jest pan właścicielem klubu nocnego!

Pochylił się w moją stronę i ryknął:

– JAKE!

Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej w moim życiu ktoś tak mnie wkurzył, i to z samego rana. Straciłam panowanie nad sobą, również się pochyliłam i rzuciłam drwiąco „Mam to gdzieś!”, choć nigdy wcześniej tak się nie wyrażałam.

– W tym biznesie wyzyskuje się kobiety!

– Że co, kurwa? – oburzył się.

– Wyzysk. Wykorzystywanie. Zmuszanie kobiet, które stoją nad przepaścią, żeby robiły poniżające rzeczy za pieniądze!

– Mała, gdy szukam tancerki, to daję ogłoszenie w gazecie. Nie jeżdżę po nocy po ulicach i nie porywam dziewczyn, nie zmuszam ich siłą, żeby weszły na scenę.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi! – syknęłam.

– Tak? – Zaczął żywo gestykulować. – Co za opresywny dupek ze mnie! Powiedz to najmniej utalentowanej z moich dziewczyn, która zarabia pięć stówek za wieczór, i to taki, gdy jest mało klientów. Pewnie wszystkie płaczą, idąc po pracy na parking w butach za siedemset doliców i wsiadając do swoich corvett!

Pięćset? Za noc? Zamurowało mnie. To były naprawdę niezłe pieniądze.

– Moje dziewczyny nie są głupie. Faceci myślą fiutami i one to wiedzą. Wystarczy

takiego obtańcować, a kasa sama znajduje się za ich stringami. Mają na żarcie dla dzieci, na dobre meble i świetne auta, odkładają na emeryturki, a na wakacje jeżdżą na Bahamy. Czy to jest definicja opresyjności? Założę się, że one widzą to inaczej. Ale skoro chcesz mieć klapki na oczach, to twój wybór, nie mam zamiaru się tłumaczyć.

Już miałam coś powiedzieć, ale on najwyraźniej jeszcze nie skończył.

– Kobięce ciało jest piękne: stojące, siedzące, leżące, a już na pewno tańczące. One to wiedzą, używają tych informacji, nie mam pojęcia, co może być w tym złego. Ale twój punkt widzenia mówi o tobie aż za dużo, skoro patrzysz na nie z góry.

W myślach znowu przyznałam mu rację. Ciało kobiece jest istotnie piękne. A o tańcu na rurze nigdy nie myślałam w ten sposób.

– Czy to nie dziwne, że pan wie tyle o mnie, a ja nic o panu? – zapytałam.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem – odpowiedział sarkastycznie. – Może ma to coś wspólnego z faktem, że jesteś oceniającą ludzi po pozorach suką z kijem w dupie, która zareagowałaby świętym oburzeniem, jak to przed chwilą zademonstrowałaś, gdyby dowiedziała się czegokolwiek o mnie?

Gapiłam się na niego, mocno poirytowana tą całą sytuacją.

– Może i ma pan rację. Pewnie miałabym dość krytyczne zdanie na temat pomysłu pożyczania pieniędzy na zakup klubu go-go facetowi, który był trzykrotnie żonaty.

Skrzyżował ręce na piersi, a jego twarz stężała.

– Wypytywałaś o mnie?

– Nie. Wczoraj jakiś śliski typek podbijał do mnie w Breeze Point, a że ostatnie dni były dość trudne, użyłam pańskiego nazwiska, żeby się odczepił. Powiedziałam, że się spotykamy. Podzielił się ze mną mnóstwem informacji, żeby odzyskać twarz. Na dobre wyszło mi to o tyle, że się odczepił. Na złe wyszło mi to, czego się nasłuchiwałam o panu.

Znowu poczułam tę przytłaczającą energię, która wbiła mnie w blat.

– Jakiś fiut do ciebie podbijał?

– To nie jest w tej chwili istotne – wyjaśniłam.

– A co jest istotnie, Josie? – zapytał retorycznie. – Myślisz, że mnie znasz, a nic o mnie nie wiesz. Wydaje ci się, że mnie rozgryzłaś, ale nie masz o mnie pojęcia. Chcesz, żebym się odpieprzyła, a twoja babka chciała, bym był obecny w twoim życiu. No więc o co chodzi?

– Nie wiem, o co chodzi! Naskakujesz na mnie, a ja nawet się jeszcze nie obudziłam! Nawet nie wypiąłam łyka kawy!

– Naskakuję?

– Besztasz mnie! – wyjaśniłam, a on się jeszcze bardziej nasrożył. – Strofujesz!

– Wiesz, maleńka, to jest dość słodkie. Ty w tej nocnej koszulce – stwierdził, zakreślając w powietrzu obrys kobiecego ciała.

Zapomniałam, że mam na sobie piżamę i rozchełstany szlafrok, więc natychmiast zasłoniłam się połamami i zawiązałam pasek.

– Jesteś urocza z tym zadzieraniem noska – kontynuował, chwając moją „słodkość”.

– Ale jednocześnie słabe jest to, że ustawiasz wokół siebie jakiś murek zamiast żyć pełnią życia.

Poczułam w sercu dziwny skurcz.

– Nie znasz mnie. Jak możesz wygłaszać takie osądy? – szepnęłam.

No przecież mnie nie znał. Nie wiedziałam jednak, co Bunia mu o mnie naopowiadała. Czy ona tak samo o mnie myślała?

– Maleńka, nie musisz cię znać osobiście, wystarczy, że znam ten typ. I wierz mi, znam cię chyba lepiej, niż ty sama znasz siebie. Bo coś mi się widzi, że nie masz o sobie pojęcia.

Powiedziawszy to, ruszył w kierunku kuchennych drzwi i zniknął za nimi. Po chwili usłyszałam trzask drzwi wejściowych.

Przez chwilę gapiłam się w puste miejsce po jego ogromnej sylwetce. Przeszłam do saloniku, w którym nad kominkiem wisiały całe tuziny rodzinnych zdjęć oprawione w różnorakie rameczki. Obrzuciłam je wzrokiem, choć przecież dobrze wiedziałam, kogo przedstawiają. Wizerunki mojego ojca i wujka, gdy byli jeszcze niemowlakami, potem dziećmi, ale tylko do wieku mniej więcej dziewięciu lat. Potem, jak wyjaśniała mi babcia, przeszli na ciemną stronę. No i moje zdjęcia, od nastolatki po dorosłą kobietę. Zdjęcia moich pradziadków i ciotki Julii, która zginęła pod kołami samochodu w wieku jedenastu lat.

Za dwiema zwróconymi do siebie kanapami stały wąskie stoliki, również zastawione oprawionymi w srebrne ramki zdjęciami, w większości czarno-białymi. Ciotka Julia. Pradziadkowie. Ich rodzeństwo i dzieci. A także mnóstwo jeszcze starszych zdjęć w sepii, przedstawiających członków rodziny, którzy kiedyś mieszkali w tym domu.

I ja.

Największe zdjęcie zrobił mi Henry kilka lat temu na pokazie Dolce&Gabbana. Siedziałam przy wybiegu, z łokciami opartymi o kolana i twarzą złożoną na dłoniach, cała natchniona, choć widoczna ledwie z profilu.

Uwielbiałam to zdjęcie. Henry sprezentował je Buni pod choinkę tamtego roku. Zaraz po wejściu do pokoju i spojrzeniu w lewo widziało się mnie.

Mnie.

Wycofałam się z pokoju do hallu i dalej, w głąb domu. Serce mi waliło. Coś usiłowało przebić się do mojej świadomości, kierując moimi stopami wbrew mojej woli.

Gawra.

Bunia tam właśnie urządziła sobie sypialnię, gdy już nie była w stanie wchodzić po schodach. Nie weszłam do tamtego pokoju. Nie chciałam tam wchodzić. Ale to zrobiłam i bolesna strata zaatakowała mnie z nową mocą, gdy objęłam wzrokiem to intymne wnętrze, jej zapach ciągle unoszący się w powietrzu.

Podeszłam do łóżka. Było niepościelone. Pielęgniarka, która się nią zajmowała, znalazła ją właśnie tutaj. Stąd ją zabrali.

Zniknęła.

Nikt nie pościelił jej łóżka.

Tutaj umarła, w tym łóżku, pod tą pościelą. Tutaj zaczerpnęła ostatni oddech.

A potem zgasła.

Przeniosłam wzrok z łóżka na nocną szafkę.

Kolejne zdjęcie w srebrnej ramce. Ja i Bunia. Zrobione tamtego lata, kiedy to porzuciłam swoje życie i przyjechałam do niej. Siedziałyśmy w ogrodzie wśród lawendy. Bunia siedziała w wiklinowym fotelu, a ja pochylałam się w jej stronę, obejmowałam ją, przyciskałam swój policzek do jej policzka. Patrzyłyśmy w obiektyw. Uśmiechałyśmy się.

Zamknęłam oczy, a potem przeniosłam wzrok na stolik po drugiej stronie łóżka. Podeszłam, by unieść dużą ramkę bliżej do twarzy.

Jake Spear i jego dzieci wśród lawendy, a za nimi morze. Zrobiono je przed domem. Córka stała obok niego, obejmowała go w pasie, przyciśnięta do boku ojca. Po drugiej stronie starszy syn. Jake obejmował go ramieniem. A przed siostrą najmłodszy chłopiec, opierał się swobodnie o jej ciało. Wszyscy się uśmiechali.

Usiadłam na łóżku, wciąż wpatrując się w fotografię.

Trzymała ich zdjęcie przy łóżku. A mimo to nigdy mi o nich nie opowiadała. Przez ostatnie siedem lat weszłam do tego pokoju może raz i nie zauważyłam tego zdjęcia. A stało tuż

obok niej. Aż do dnia jej śmierci. Mieli klucze do jej domu. Zostawiła im w spadku sporo pieniędzy.

A mnie zostawiła w spadku temu mężczyźnie.

– Dlaczego mi o nim nie powiedziałaś, Buniu? – wyszeptałam do zdjęcia.

Wyrzałam przez okno na lawendowe pole i dalej, na morze.

– A co jemu naopowiadałaś o mnie? – spytałam w przestrzeń.

Woda migotała od promieni słonecznych, a lawenda łagodnie falowała.

Pokręciłam głową.

– Jaki był twój plan?

Ani lawenda, ani morze, ani ten pokój nie mogły mi odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tylko tutaj

Zaparkowałam na podjeździe przed Lawendową Willą, zatrzasnęłam za sobą drzwiczki i otworzyłam bagażnik, żeby wyciągnąć zakupy. Miałam tu zostać przez jakiś czas i musiałam się zaadaptować.

Po wyjściu Jamesa Speara zostałam sama z nękającymi mnie pytaniami. Postanowiłam zrobić coś dla siebie i ugotować coś pysznego.

Dźwignęłam dwie papierowe torby i skierowałam się do domu, gdy na parking wjechał lśniący, czarny SUV.

Spojrzałam zza okularów na kierowcę, ale nie rozpoznałam go. Zbliżał się, a ja wcale nie miałam ochoty na kolejną konfrontację. Miałam ciekawsze rzeczy do roboty. Nawet rozpakowywanie zakupów było ciekawsze od nieproszonego gościa. Może był spóźnionym żalobnikiem, który chciał złożyć kondolencje? Mógł po prostu zadzwonić, jak tuzin innych osób po śmierci Buni. Nie musiał pojawiać się w jej domu.

Czułam, że obserwuje mnie zza okularów. Wsiadł z auta. Był wysoki, szczupły i miał na sobie najpewniej szyte na miarę granatowe spodnie i błękitną koszulę. Krawata brak.

Brązowe włosy elegancko przystrzyżono.

I nie musiałam się przyglądać, żeby wiedzieć, że same jego okulary kosztowały pięć stów.

– Może pomogę z zakupami? – zapytał, gdy był jakieś trzy metry ode mnie.

– Nie chcę być niewdzięczna, ale nie znamy się, więc muszę odmówić – odpowiedziałam.

– Zaraz to naprawimy. – Zatrzymał się metr ode mnie. – Jestem Boston Stone.

Przez moją twarz musiał przemknąć jakiś grymas na dźwięk tego absurdalnego nazwiska, bo mężczyzna uśmiechnął się, jakby nie zdarzało się to pierwszy raz. Ładnie się uśmiechnął.

– Matka twierdziła, że była pod wpływem jakichś znieczulaczy po porodzie – wyjaśnił.

– W czym mogę pomóc, panie Stone? – odpowiedziałam uśmiechem.

Przechylił głowę, jakby oczekiwał ode mnie jakiejś żywszej reakcji, po czym powtórzył:

– Nazywam się Boston Stone, jestem dyrektorem Stone Incorporated.

Nic na to nie odpowiedziałam.

– Terry musiała o mnie wspomnieć? – naciskał.

– Terry?

– Terry Bagiński. Prawniczka z Weaver and Schuller, kancelarii zajmującej się testamentem pani babki.

Poczułam, że sztywnieję. Stone Incorporated. Zdążyłam już zapomnieć o tej firmie. O tym Bunia również nie wspominała. To oni chcieli kupić Lawendową Willę.

– Tak – odpowiedziałam w końcu. – Pani Bagiński coś wspominała.

– Skoro jest pani zajęta – wskazał głową na torby – to zapytam tylko, czy nie zechciałyby pani zjeść ze mną jutro lunchu i opowiedzieć mi, jakie ma pani plany co do tego domu?

Poczułam się jeszcze gorzej. Boston Stone ze Stone Incorporated. To on stał za tą firmą. Nie rodzina z dziećmi, w której żona ścinałaby lawendę, żeby przyozdobić stoły w salonie i w kuchni, zerkając na bawiące się w ogrodzie dzieci, wokół których tańczyłyby płatki wisterii, podczas gdy mąż naprawia usterkę, bo zna się na wszystkim i potrafi utrzymać domostwo w świetnym stanie...

Poczułam w ustach kwaśny smak.

– Panie Stone, jestem zajęta, jak pan widzi – wycedziłam. – I, jak pan zapewne wie, moja

babcia odeszła nieledwie pięć dni temu. Mam mnóstwo spraw na głowie, a omawianie planów dotyczących domu przy lunchu nie jest jednym z nich.

Nie była to do końca prawda, bo przecież coś z tym domem musiałam zrobić. Ale na pewno nie w tej chwili. Obecność tego człowieka sprawiła, że sprawa wydała mi się nagląca, i było to bardzo nieprzyjemne uczucie.

– Oczywiście, bardzo przepraszam. Pospieszyłem się – mruknął.

– Rzeczywiście – potwierdziłam.

– No to może zjemy lunch tak po prostu, żeby oderwała się pani od nieprzyjemnych myśli?

Przetrawiłam jego słowa. Dopiero co się przedstawił, na podjeździe domu mojej zmarłej babki, i próbował mnie poderwać. Mimo że był przystojny, a oferta nie była nachalna, a raczej złożona z szacunkiem, to jednak było w tym coś niesmacznego.

– Panie Stone...

– Pani Malone, tylko posiłek, żadnych interesów. Oderwie się pani od ponurych myśli. Znam restaurację, w której podają wyśmienite mule. Jeśli jest pani fanką owoców morza, z chęcią panią tam zabiorę.

Był miły. A ja uwielbiałam owoce morza. Nie miałam jednak ochoty na lunch z nim.

– To bardzo miłe z pana strony – powiedziałam cicho. – Ale obawiam się, że tylko straciłby pan czas. Nie mogę sobie teraz pozwolić na odrywanie się od ponurych myśli. Mam wiele do przemyślenia i wiele do zrobienia.

Pokiwał głową i niepewnie uniósł dłoń, ale zaraz ją opuścił.

– Oczywiście. Jeśli zmieni pani zdanie, w papierach, które dała pani Terry, jest do mnie numer. Proszę dzwonić i umówimy się.

– Jeśli zmienię zdanie – rzekłam, choć nie zanosilo się na to – to na pewno zadzwonię.

– Bardzo mi przykro z powodu pani straty. – Jego głos stał się jeszcze łagodniejszy.

– Uwielbialiśmy Lydię z wielu powodów. Łączę się w bólu.

Poczułam węzeł w gardle, więc tylko przytaknęłam.

– Mam nadzieję, że jednak pani zadzwoni – rzekł tym niskim, łagodnym tonem.

– Przemyślę to. Miłego dnia, panie Stone!

Patrzyliśmy na siebie zza ciemnych szkieł, aż w końcu skinął nieznacznie głową, odwrócił się i ruszył do auta. Patrzyłam, jak wsiada i zatrząskuje za sobą drzwiczki, po czym weszłam do domu, popychając drzwi stopą.

To było jak uderzenie.

Kurz tańczył w promieniach słońca wpadających przez szybki, sprawiając, że aura stała się niemal magiczna.

Przestrzeń umeblowana tapicerowanymi antykami była przytulna i wygodna. Wszędzie stały małe bibeloty, z których część była pewnie bezwartościowa, a może bezcenna. Każdy miał za to ogromną wartość sentymentalną. Drewniane blaty starych stołów lśniły od wieloletniego polerowania. Za oknami salonu było widać skalistą plażę i molo. Strzelisty budynek okalała liliowa kałuża rozrośniętych krzewów lawendy. Trawniki przystrzyżono. Tuż przy klifie stała porośnięta wisterią altana z białymi punkcikami ogrodowych mebli. Z oranżerii wychodziło się na wykafelkowane patio z widokiem na lagunę. Posesję otaczał niski, biały płotek.

Moja rodzina mieszkała w tym domu przez półtora wieku. Bunia w nim dorastała. Tutaj straciła siostrę. Wróciła do tego miejsca, gdy miała dość przemocy ze strony męża. Ja również znalazłam tutaj schronienie po tym, gdy jej syn stosował przemoc wobec mnie.

Tylko tutaj bywałam naprawdę szczęśliwa.

Tylko tutaj.

Przeszłam do kuchni i złożyłam zakupy na blacie. Przesunęłam okulary na czubek głowy i rozejrzałam się. Wielopalnikowa kuchenka, dzięki której powstało tak wiele pysznych posiłków. Podłoga wyłożona łupkiem. Kremowe fronty szafek z ich małymi szybkami i ryflowane szafki podłogowe. Wyjście do oranżerii, w której przez cały rok rosły zioła. Na środku pomieszczenia duża wyspa z wysłużonym, drewnianym blatem.

Wróciłam do samochodu po ostatnią torbę sprawunków.

W dalszym ciągu czułam się zdezorientowana. Nie mogłam znaleźć spokoju. Mój umysł pracował na wysokich obrotach, jakby mózg miał się zaraz przegrzać. Nie czułam niepokoju. Czułam się po prostu źle. Coś było nie w porządku. Wszystko było nie w porządku. Świat się rozsypał, bo nie było w nim już Lydii Josephine Malone.

Znałam tylko jeden sposób na to, żeby sobie z tym poradzić.

Odniosłam sprawunki do spiżarni i podeszłam do telefonu. Obok leżał notes z kontaktami. Przejrzałam wszystkie nazwiska na M, ale nie znalazłam tego, czego szukałam.

Przeszłam do J, ochłonęłam, widząc swoje imię zapisane ozdobnym pismem.

Nie zapisywała imion i numerów równo w liniach, gryzmoła sobie radośnie we wszystkich kierunkach. Uśmiechnęłam się, choć oczy zaczynały mnie piec.

Na stroniczce widniał mój numer komórki, a kilka wcześniejszych skreślono, bo dość często je zmieniałam. Obok numer Henry'ego i jego adres w Los Angeles, z notatką „Dom z Basenem”. Te kilka informacji zajmowało całą stronę.

Westchnęłam i zamknęłam oczy.

Na końcu książeczki odnalazłam wreszcie numer i uniosłam słuchawkę aparatu przytwierdzonego do ściany. Był tak stary, że miał jeszcze rozciągliwy, spiralnie skręcony kabel, który był tak długi, że mogłabym przemieszczać się z nim po całej kuchni. Często obserwowałam Bunię, gdy jednocześnie rozmawiała i gotowała, nie mogąc sięgnąć do piecyka. Wystukałam numer i przyłożyłam słuchawkę do ucha. Po trzech sygnałach usłyszałam:

– Halo?

– Czy pan Weaver?

– Tak.

– Mówi Josephine Malone.

– Josephine, moja droga – odezwał się po krótkiej przerwie. – Jak miło cię słyszeć.

– Mnie również – odezwałam się łagodnie i przełknęłam, zanim przeszłam do rzeczy:

– Dzwonię, bo pani Terry Bagiński przekazała mi informację o pańskiej żonie.

– No tak... – Znów po krótkiej pauzie. – Powinienem był zadzwonić i wyjaśnić, dlaczego nie zjawiliśmy się na pogrzebie.

– Absencja jest zrozumiała – mruknęłam. – Dzwonię, aby powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu waszej sytuacji.

– Tak, to rzeczywiście przykra sytuacja... – zauważył oczywistość, ale powiedział to w taki sposób, żebym nie wyszła na idiotkę.

– Czy pani Weaver czuje się na tyle dobrze, by ją odwiedzić?

Znowu chwila ciszy, a po niej łagodny głos:

– Myślę, że bardzo by się ucieszyła, Josephine. Zawsze lubiła wasze spotkania. Rano najlepiej się czuje. Może jutro około dziesiątej?

Tak naprawdę wcale nie miałam ochoty wpadać do nich jutro około dziesiątej. Wcale nie chciałam odwiedzać pani Weaver stojącej nad grobem ani jej męża, który obserwował powolne odejście ukochanej żony. Ale Bunia by ich odwiedziła. I chyba bym sobą pogardzała, gdybym nie odwiedziła umierającej Elizy Weaver i nie dała jej do zrozumienia, że uważam ją za miłą osobę, która wniosła coś do mojego życia.

- Myślę, że... tak, to dobra pora – potwierdziłam.
- Nie może przyjmować kwiatów ani...
- Przyniosę tylko siebie – zapewniłam go.
- Oboje będziemy na siebie czekać.
- To miłe. Do zobaczenia jutro!
- Do zobaczenia, Josephine!
- Proszę na siebie uważać, panie Weaver.
- Ty także, moja droga. Do widzenia!

Odwiesiłam słuchawkę na ścianę. Zaczęłam znowu wertować notatnik i po chwili wystukałam kolejny numer.

Po pięciu sygnałach rozległo się nagranie z automatycznej sekretarki:

„Dodzwoniliście się do rezydencji Fletcherów. W tej chwili nie możemy odebrać telefonu, ale proszę zostawić wiadomość”.

Poczekalam na piknięcie i powiedziałam:

– Tu Josephine Malone, pastorce. Tak się złożyło, że zostaję w Magdalene przez jakiś czas i... wspominał pan o kolacji? Z chęcią zjem kolację z panem i panią Fletcher. Albo jeszcze lepiej: przyjedźcie do Lawendowej Willi, a ja ugotuję dla was coś pysznego. Byliście bardzo dobrzy dla Buni. Dajcie znać, kiedy macie czas, z radością was ugoszczę. Możecie dzwonić na ten numer albo na komórkę.

Wyrecytowałam numer, pożegnałam się i odwiesiłam słuchawkę.

Odetchnęłam głęboko i otworzyłam notes na S.

Nie dziwiło mnie, że pod tą literą nie było żadnych notatek, więc przeskoczyłam na J.

Jedna strona za mną, czarno na białym. „Jake” i numer telefonu. Wpatrywałam się w zapiski przez chwilę, zanim podjęłam decyzję.

Podeszłam do blatu, wydobyłam z torebki telefon i wpisałam numer. Nie zadzwoniłam jednak. Ta konfrontacja musiała się odbyć twarzą w twarz.

Podeszłam do komody i otworzyłam szufladę, pamiętałam, że to właśnie w niej Bunia trzymała książkę telefoniczną.

Wertowałam kartki z cieniutkiego, żółtego papieru, nie wiedząc właściwie, czego szukam. Ale przecież wiedziałam. Otworzyłam książkę na stronie, na której mignął mi większy napis „Tancerki Egzotyczne”.

No i proszę, miałam już numer telefonu i adres. Wyrwałam stronę z książki i wsunęłam ją do tylnej kieszeni jeansów.

Teraz mogłam iść na górę, żeby w pokoju z widokiem znaleźć kluczyk do szafki depozytowej.



Obserwowałam budynek, siedząc w aucie na parkingu. Fasada nie miała okien, ale parking był dobrze oświetlony. I zapachy autami.

„Cyrk” – tak głosił szyld na froncie, o dziwo dość elegancki, czarny, a nazwę wykaligrafowano niebieskimi literami. Żadnych migających lampek, krzykliwych neonów. Jeden był, na szczycie budynku, ale niewielki. No i brakowało takiego na słupie, wabiącego klientów z głównej drogi.

Znajdowaliśmy się w przysłowiowym środku nicości. Stał tu tylko ten jeden budynek,

przy dużym parkingu, oczyszczonym z chwastów. Czarna farba była świeżo położona, podkreślone na szaro krawędzie budynku zaznaczone precyzyjnie. Żadnych napisów na murach, wszystko jak spod igły.

Drzwi wejściowe były obite czarną, pikowaną skórą. Pilnował ich ogromny facet w granatowej wiatrówce i czarnych spodniach. Spod gzymsów wyzierały obiektywy kamer. Dzięki nim i sutemu oświetleniu miało się poczucie bezpieczeństwa.

Wysiadłam i zamknęłam samochód pilotem. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że trzeba było się przebrać. Nigdy nie byłam w takim miejscu. Nie miałam pojęcia, co zakładało się na wizytę w klubie ze striptizem. Przyszłam w ciuchach, w których spędziłam cały dzień: byłam na bazarze, ścierałam łóżko Buni, robiłam pranie, rozpakowywałam się i pisałam maile do Daniela, przypominając mu, jak należy troszczyć się o Henry'ego. Miałam na sobie jeansy, top w kolorze oberżyny z lejącym się dekoltem i granatowe lakierki na obcasach od Manolo. Przed wyjściem odświeżyłam makijaż, spryskałam się perfumami, narzuciłam na ramiona włoską skórzaną kurtkę i udałam się w drogę. Teraz niewiele już mogłam z tym zrobić.

Przeszłam przez parking w stronę drzwi. Gdy podeszłam, ochroniarz skinął głową, wymruczał pod nosem „Proszę pani” i otworzył mi drzwi.

Zdziwiłam się jego brakiem zdziwienia tym, że kobieta wchodzi do takiego klubu. I jego dobrymi manierami. Rzuciłam mu uśmiezek i weszłam, ale tuż za progiem przystanąłam.

Moje oczy musiały przyzwyczaić się do mroku. Moje uszy do ogłuszającej muzyki. I ogólnie musiałam otrząsnąć się z szoku. Tak samo, jak fasada, wewnątrz było eleganckie i czyste. Ale można je było opisać również na milion innych sposobów.

Na środku pomieszczenia znajdowała się okrągła scena, a na niej chromowane rury do tańca, ze zdobieniami. Pięć tancerek popisywało się przy nich. Pod ścianami mieściły się dwa wysokie wybiegi, na nich również tańczyły przy rurach dziewczyny. Miały na sobie jedynie stringi, ale akurat to szokiem nie było. Zdziwiło mnie, że wszystkie były atrakcyjne, opalone, a na stopach miały modne, odważne buty. Miały również niezłe fryzury, za wyjątkiem jednej rudowłosej, która chyba trochę przesadziła z wyborem intensywności odcienia.

Wokół scen rozrzucone były strefy relaksu, każda z okrągłym stolikiem i czarną, tapicerowaną, półkolistą kanapą. Nie brakowało również stylowych stołów i krzeseł oraz większych, ekskluzywnych, granatowych kabin, które znajdowały się pod ścianami.

Bar był bardzo elegancki, ze ścianą luster i zmyślnym oświetleniem rzucającym refleksy na kryształowe kieliszki wiszące nad ladą i butelki z drogimi alkoholami na półkach. Stały przy nim hokery z oparciami, obite granatową skórą.

Klub znajdował się pomiędzy Magdalene i miasteczkiem leżącym jakieś piętnaście mil na północ i był jedynym takim przybytkiem w okolicy, dlatego panujący tu tłok nie powinien mnie specjalnie dziwić. Nie było żadnej konkurencji w promieniu wielu mil.

No i co najbardziej zaskakujące, bywalcy nie wyglądali na śliskich zboczków, nie mieli na sobie trenczy i nie gmerali po świńsku w kieszeniach. Niektórzy nawet nie zwracali specjalnej uwagi na tancerki, tylko rozmawiali albo spokojnie sączyli drinki, nie ekscytując się zbytnio.

Trzy budki przy scenie wypełnione były rozbawionymi dziewczynami. Miały na głowach tiary, a jedna szyję okręconą wątpliwej jakości boa z piór. Na głowie miała dziwaczne skrzyżowanie tiary ze znakiem drogowym, na którym widniał napis „panna na wydaniu”.

Dziwaczne.

Podeszłam do baru i usiadłam na hokerze przy samej ścianie. Czekałam, aż podejdzie do mnie atrakcyjny barman w klubowych barwach.

– Co podać? – zapytał z niewymuszonym uśmiechem.

– Koktajl Shirley Temple. I proszę powiadomić pana Speara, że przyszła Josephine

Malone.

Barman spoglądał na mnie nieufnie.

– Życzy sobie pani Shirley Temple? – powtórzył moje zamówienie.

– Tak. Życzę sobie również, żeby poinformowano właściciela o moim przybyciu, jeśli to nie kłopot.

Skinął głową i oddalił się. Przyglądałam się, jak miesza bezalkoholowy drink. Wyłowił wzrokiem z tłumu kolejnego mężczyznę w granatowej koszuli i czarnych spodniach, który podszedł do baru. Barman przechylił się przez ladę i szepnął coś do niego, wskazując głową na mnie. Wielkolud zerknął w moją stronę, pokiwał głową i zniknął w tłumie, sięgając ręką do tylnej kieszeni spodni po telefon.

Barman przyniósł mi drinka. Podziękowałam i zapłaciłam. Odszedł, by obsłużyć gości przy strefie tanecznej.

Dojrzałam za barem kelnerkę, która również była elegancko ubrana. Na górze miała zjeżdżającą z ramienia bluzkę, która ukazywała nieco biustu, ale w bezpiecznych granicach. Szyję przecinała czarna obróżka. Nawet z tej odległości widać było, że bardzo dba o włosy.

Sączyłam drinka i wypatrywałam w tłumie podobnie odzianych kelnerek. Miały na sobie krótkie, granatowe spódniczki, kryjące czarne rajstopy i lakierki na koturnach.

Cała załoga lokalu była atrakcyjna. Nikogo bladego, z zapadniętymi oczami czy znudzonym spojrzeniem. Kelnerki nawet szczerze się uśmiechały do klientów. Wszyscy byli po prostu w pracy.

Gdy tak rozglądałam się po tym przybytku, musiałam przyznać w myślach rację Jake'owi Spearowi. Oceniałam go z góry.

Znowu poczułam w ustach kwaśny smak, ale musiało to być złudzenie. Spłukałam go łykiem słodkiego drinka.

Jakieś pięć minut później wrócił ten duży mężczyzna, lecz nie skierował się do barmana, ale bezpośrednio do mnie.

– Pan Spear jest teraz nieosiągalny, pani Malone. Czy przekazać mu jakąś informację?

To mnie wcale nie zdziwiło. Po tym, jak go potraktowałam, miał prawo się odegrać. Pokręciłam głową, ale uniosłam głos, żeby przekrzyczeć muzykę.

– Nie trzeba, ale dziękuję za fatywę!

Skinął głową i odszedł.

Sączyłam napój, obserwowałam ruch w klubie i rozważałam różne opcje. Musiałam go przeprosić. Ponownie.

Potrzebowałam odpowiedzi.

Nie bardzo wiedziałam, gdzie ich szukać, bo najwyraźniej Jake Spear nie zamierzał mi żadnej udzielić. Ja na jego miejscu też bym sobie nie odpowiedziała.

Sięgnęłam do torebki po telefon i wybrałam jego numer. Zatkaną drugie ucho palcem, wsłuchując się w sygnał połączenia. Po piątym usłyszałam: „Tu Spear, zostaw wiadomość”.

Zaczekałam na piknięcie i powiedziałam do telefonu:

– Panie Spear, eee... Jake, tu Josephine Malone. Dzwonię, bo chciałam przeprosić za swoje zachowanie i to, co nawygadywałam rano. Chciałabym omówić pewne inne... sprawy. Masz prawo się na mnie gniewać, bo zachowałam się okropnie. Będę jednak wdzięczna za szansę... poprawy. – Nie bardzo wiedziałam, jak zakończyć ten monolog. – Mam nadzieję, że oddzwonisz. Trzymaj się.

Rozłączyłam się, odłożyłam telefon do torebki i wróciłam do sączenia drinka, mając wielką chęć na porozmawianie z rudowłosą dziewczyną i uświadomienie jej, że chyba nie przemyślała do końca tego odcienia. Skoro lubiła rudości, lepiej pasowałby jej kasztanowy.

A tamtej blondynce przydałaby się kuracja keratynowa. Miała długie, gęste włosy i najwyraźniej nikogo do pomocy przy suszeniu. Można było lepiej je wygładzić. Sama pewnie męczyła się niemilosiernie. Gdyby użyła peleryny gładkich włosów w tańcu, zarobiłaby jeszcze więcej, choć zza jej majtek i tak wystawało sporo banknotów. Może i jeździła corvetta i widać było, że ma talent do tego, co robi, ale kto nie chciałby zarabiać jeszcze więcej.

Skończyłam drinka, zaczekałam, aż barman na mnie spojrzy, i pożegnałam się, skinąwszy głową. Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam z portfela pięciodolarowy banknot, wsunęłam go pod szklankę, po czym skierowałam się do wyjścia z klubu.

Gdy wychodziłam, facet przy drzwiach życzył mi miłego wieczoru. Odpowiedziałam uprzejmie, po czym spektakularnie się potknęłam. I wtedy dojrzałam Jake'a Speara opartego o mój wóz. Miał na sobie jeansy i białą koszulę pod czarną, skórzaną kurtką.

Gdy się potknęłam, spojrział na swoje buty i jego twarz zniknęła w cieniu. Na szczęście zdołałam się nie wywalić, ale przecież i tak się zbłaźniłam. Zatrzymałam się metr od niego.

– Cześć, Jake – przywitałam się, gdy podniósł na mnie wzrok.

– W końcu mówi do mnie po imieniu... – mruknął w odpowiedzi.

Zacisnęłam usta, nie wiedząc, co o tym myśleć.

– Odsłuchałem twoją wiadomość, mała – rzucił.

Szybki Lopez.

– To dobrze – odpowiedziałam.

– Przywlekłś dupę, by poogłądać inne dupy i spotkać się ze mną?

– No... tak – potwierdziłam oczywistość, bo przecież staliśmy przed barem z „dupami”.

– Troszkę podniosłś prestiż wnętrza – kontynuował.

– Widziałeś mnie?

– Wszędzie są kamery, wewnątrz również – oznajmił, wskazując głową na budynek.

– No tak, te na zewnątrz zauważyłam. To dobrze, że dbasz o bezpieczeństwo swojego przybytku.

Na jego ustach pojawił się ironiczny grymas, zanim odpowiedział:

– Przybytek jest mi wdzięczny, gdy pijane, napalone dupki biorą się za coś, co uczyniłoby z nich jeszcze większych dupków, i można to powstrzymać, zanim się na dobre zacznie.

– Chyba niezbyt sobie cenisz swoją klientelę? – zauważyłam po tym komentarzu.

– Większość klientów płaci za drinki i daje dziewczynom napiwki, dzięki którym mogą opłacić rachunki. Nie o nich mi chodzi, a o pijanych, napalonych dupków.

No tak, skoro tak to ujął.

– Oczywiście... – mruknęłam.

Patrzył mi w oczy, nie odzywając się więcej.

Nie było to przyjemne spojrzenie, a ja przecież musiałam jeszcze wypowiedzieć to wszystko, na co nie miałam najmniejszej ochoty. Wiedziałam jednak, że tak trzeba.

Pomyślałam, że mogę z tym jeszcze poczekać.

– Wiesz, Jake, nie wiem, czy masz jakichś doradców, którzy zajmują się ogólnym dekorum. Zakładam, że masz, bo budynek wygląda bardzo dobrze. Chętnie bym jednak z nimi pomówiła. Na przykład ta ruda tancerka... Przy jej karnacji lepszy byłby odcień kasztanowy. A brąz uczyniłby ją zabójczą.

Coś zmieniło się w jego spojrzeniu i choć był to drobiazg, wyczułam to.

– A tej blondynce – kontynuowałam, gdy się nie odezwał – przydałaby się kuracja keratynowa. Ma piękne włosy i to by ułatwiło ich codzienną pielęgnację. Mogłaby użyć ich jako... eee... rekwizytu, przy tańcu, i pewnie więcej zarobić.

Nic nie mówił, po prostu gapił się na mnie. A ja nie mogłam przestać trajkotać.

– Za to buty kelnerka to był świetny wybór! Te platformy nie dość, że wydłużają nogi, to jeszcze są super wygodne. No i wygląda się w nich niezwykle atrakcyjnie.

Gdy skończyłam tyradę o butach, wybuchł śmiechem, którego dźwięk wypełnił nocną ciszę.

Zacisnęłam usta, żeby nie czuć pokusy odezwania się po raz kolejny. Przestał rechotać, ale wciąż się uśmiechał, po czym szepnął:

– Lydia miała rację. To urocze.

– Słucham?

– Nic, maleńka – mruknął, ale dokończył już bardziej stanowczym tonem: – Zdaje się, że zamierzałaś powiedzieć mi coś bardziej znaczącego?

No to luuu. Nie mogłam już tego unikać, nie chciałam zbłąźnić się po raz kolejny.

– Dziś rano zachowałam się okropnie...

– No ba! – przerwał mi, ale głosem już o wiele łagodniejszym. – Już to słyszałem, Josie, nagrałaś mi się. Możemy iść dalej.

Miło z jego strony, że nie kazał mi się powtarzać. Ale musiałam powiedzieć coś jeszcze, więc wzięłam głęboki wdech.

– Chciałabym cię zaprosić do Lawendowej Willi na kolację. Jutro.

– Ta? – zapytał, przekrzywiając głowę.

– Tak, ale... – Przez moment się zawahałam. – Myślę, że miałeś rację, mówiąc, że Buni bardzo zależało na tym, abyśmy lepiej się poznali, więc... może jednak powinniśmy to zrobić.

– Pewnie, że powinniśmy – potwierdził znowu tym delikatnym, poufałym tonem.

No dobra, teraz trudna część.

– Ale... nie wiem, co ona miała na myśli, pisząc, że powinniśmy się poznać. To chyba musimy dopiero ustalić. To znaczy, wydaje mi się, że...

– Maleńka – wtrącił się. – Nie wiem, co sobie tam roisz. Jesteś śliczna, cholernie śliczna, i masz mnóstwo różnych przymiotów, ale kompletnie mnie nie kręcisz.

Zgłupiałam.

– Nie kręcę?

– Nie jesteś w moim typie. Kręcą mnie bujne fryzury – wyjaśnił, powstrzymując uśmiezek – i inne bujne kształty. No i nie mam nic przeciwko, żeby moje kobiety odsłaniały to i owo. Jesteś naprawdę rasowa, ale ja wybieram inne.

Rozumiałam, co miał na myśli, i jeszcze trzy sekundy temu, zanim to wszystko powiedział, byłam przekonana, że odczuję ulgę po takim stwierdzeniu. Nie odczułam jednak. To znaczy odczułam mnóstwo innych emocji, ale na pewno nie ulgę. Znowu pojawiła się ta tańcząca po mojej skórze elektryczność, która zaprzeczała zdrowemu rozsądkowi. Nie chciałam, żeby zauważył, że coś mną miota, więc spojrzałam na chodnik gdzieś przy swoich stopach. Ale musiał coś wyczuć, bo przysunął się do mnie i złożył swoją wielką dłoń na mojej szyi. Spojrzałam w górę.

– Cholera, maleńka... – Zamilkł na sekundę. – Wierz mi, ja również nie jestem w twoim typie.

– Nie jesteś – potwierdziłam i brnęłam dalej w kłamstwo: – I chyba źle odczytałaś moją reakcję na swoje słowa.

Zacieśnił uścisk dłoni.

– A jaka jest twoja reakcja na moje słowa?

– Nie rozumiem, czego ona oczekiwała. Po co nas ze sobą zetknęła.

– Może chciała, żebyśmy się zaprzyjaźnili? – zapytał, jednocześnie odpowiadając.

– Może chciała, żeby ktoś się o ciebie zatroszczył, zaopiekował się tobą, wysłuchał cię i krył cię

nie tylko wówczas, gdy będziesz w kłopotach, ale przez cały czas?

No proszę. To była jakaś odpowiedź. Ale wciąż nie rozumiałam, dlaczego Bunia uważała, że potrzebuję kogoś takiego.

– Pewnie tak – szepnęłam. – Pewnie chciała, żebym miała kogoś takiego. Ale to nie ma sensu, bo wie, że mam już Henry’ego.

– Szef zawsze pozostanie szefem – oznajmił, dając mi do zrozumienia, że Bunia wtajemniczyła go w szczegóły mojej zawodowej kariery. – Może wydawać ci się, że łączy was coś więcej, ale koniec końców szefostwo zawsze wypływa na wierzch.

Przecież zdawałam sobie sprawę z tego, że Henry jest moim pracodawcą. Czasem ta świadomość była niezwykle bolesna. I w miarę upływu lat stawała się coraz boleśniejsza.

– Henry jest dla mnie... – zaczęłam.

– Kim jest? – przerwał mi. – Możesz go usprawiedliwiać na milion sposobów, ale gdyby naprawdę mu na tobie zależało, siedziałby przy tobie i trzymał cię za rękę, gdy chowałeś łzy za okularami na pogrzebie babki.

No proszę, znowu racja. Jake widział, jak płakałam na pogrzebie.

– Gdyby mu zależało, nie musiałabyś wczoraj jeść samotnie kolacji i znosić zaczepki jakiegoś pojeba. Przemyśl to sobie, zanim raz jeszcze powiesz, kim jest dla ciebie Henry.

Spojrzałam mu w oczy, myśląc o tych ciężkich słowach.

Henry chciał przylecieć, naprawdę chciał, ale namówiłam go, żeby jednak zrobił tę sesję. Miał kontrakty, umowy, plan był gotowy. Nie można było ot tak wszystkiego odwołać. Sesja dla znanego magazynu angażowała mnóstwo ludzi i kosztowała mnóstwo pieniędzy. Poza tym Henry był profesjonalistą, nie robił takich numerów. Nawet z grypą strzelał sesję bikini na Alasce. Miał opinię rzetelnego, łatwego we współpracy, utalentowanego fotografa, który się nie patyczkował i nie strzelał fochów. Ale Jake miał rację. Henry tylko czekał na to, żebym to ja wzięła na siebie odpowiedzialność za jego nieobecność.

– Josie. – Dotyk Jake’a przywrócił mnie do rzeczywistości. – Jadłaś kolację?

– Nie jestem głodna.

– Kochanie, musisz jeść.

Tylko cztery osoby na tym świecie mówiły do mnie per kochanie. Ojciec, gdy był w dobrym humorze albo odwrotnie – gdy narozrabiał i zamierzał przeproszać. Bunia. Henry. A teraz Jake. I tak samo jak w przypadku babci i szefa, to było miłe. Przez moment cieszyłam się tym odczuciem, po czym zapewniłam go:

– Zrobiłam dziś duże zakupy. Zjem trochę sera i owoców po powrocie do domu.

– Dobrze. I mam nadzieję, że nie znikniesz, gdy jutro pojawię się na kolacji. I uprzedzam, że będę z Ethanem. Nie zamierzam po raz kolejny targować się z Amber o dodatkowe godziny, które mogłaby spędzić ze swoim przygłupim chłopakiem.

Słabo to zabrzmiało. Nie informacja, że się pojawi, ale fakt, że będzie z dzieckiem. Nie lubiłam dzieci, tego, że były głośne i nieustannie wymagały uwagi. Pałętały się pod nogami, przeszkadzały. Rozlewały wszystko wokół siebie. Jęczały. Nie chciały jeść dań, których nawet nie spróbowały. A jeśli już jadły, to mlaskały, co było obrzydliwe.

Nie podzieliłam się tymi spostrzeżeniami z Jakiem.

– Czy jest jakieś danie, za którym nie przepadacie? – spytałam zamiast tego.

– Ethan zna tę kuchnię jak własną kieszeń, często gotował razem z Lydią. Nauczyła go, że nie wolno grymasić, więc zjemy, cokolwiek przygotujesz.

Nie byłam tego wcale pewna, szczególnie, jeśli chodziło o Ethana, czego oczywiście również nie zwerbalizowałam.

– Przyjedziemy o szóstej.

Szósta. Wczesnie. Świetnie.

Wczesnie przyjdą, wczesnie wyjdą. Jego syn pewnie miał jakieś lekcje do odrobienia, musiał wstać do szkoły rano następnego dnia, przed lekcjami nakarmić klasowego chomika, czy co tam robiły dzieciaki w jego wieku.

- W porządku – zgodziłam się.
- Dobra. – Znów się uśmiechnął.

Cisza.

Trwaliśmy tak jeszcze przez długą chwilę, a ja czułam się dziwnie pewnie dlatego, że jego dłoń, która wciąż spoczywała na mojej szyi, wcale nie była nieprzyjemna, więc w końcu odezwałam się pierwsza:

- Czy to wszystko?
- Nie na dłuższą metę – odpowiedział. – Ale póki co tak.
- No to dobranoc, Jake.
- No tak... – Ku mojemu zaskoczeniu pochylił się i ucałował mnie w czoło. – Dobranoc,

Josie!

To również było zaskakująco miłe, aż nazbyt przyjemne, więc wywołało znowu ten przeszywający dreszcz. Który zamieniał się niepokojąco w zupełnie inne odczucie.

Odsunął się i posłał mi uśmiech na pożegnanie. Musiałam siłą oderwać wzrok od jego oddalającej się sylwetki.

Wsiadłam do auta, zatrzasnęłam drzwiczki i odjechałam, nie zerkając we wsteczne lusterko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Udany wieczór

Byłam tak podniecona przygotowaniami i całodziennym oczekiwaniem, że gdy następnego wieczoru cztery minuty po szóstej rozległ się w końcu dzwonek do drzwi, ledwie oddychałam ze zdenerwowania.

Wpatrywałam się w rzeźbione, drewniane drzwi i nagle zdecydowałam, że przyszła najwyższa pora, żeby je wypolerować. Robiłam to wiele razy, Bunia również.

Zastanawiałam się, czy wybrałam odpowiedni strój na tę okazję. Nie wystroiłam się w nic eleganckiego, bo przecież była to rodzinna kolacja. Założyłam wyblakłe dzwony i różowy sweterek z motylkowymi rękawami. Chciałam dodać sobie wzrostu, więc zdecydowałam się na platformy z wycięciem na palce, w neutralnym kolorze. Zrobiłam delikatny makijaż, a włosy zebrałam we wdzięczny kok. Takie uczesanie bardziej pasowało do wieczorowej sukni, ale podobał mi się kontrast wyrafinowanej fryzury i prostego stroju.

Ja tu snuję rozmyślenia o stroju i drzwiach, podczas gdy Jake i jego syn czekają po drugiej stronie. Otworzyłam i zamarłam.

Jake wyglądał świetnie w granatowym golfie, spranych jeansach i wysokich, brązowych butach. Ten strój sprawiał, że jego nachalna męskość stała się jeszcze bardziej ewidentna.

Jego syn miał na sobie bluzę z logo drużyny i gapił się na mnie z otwartymi ustami zza grzywy rozczochranych, czarnych włosów.

Zamarłam jednak nie przez nich, ale przez obecność córki, która stała przy boku ojca ewidentnie na fochu. Jej spódniczka była tak krótka, że pewnie przy każdym ruchu pokazywała zbyt wiele, a fryzura i krzykliwy makijaż mogłyby śmiało konkurować z tymi, które przy rurach eksponowały klubowe tancerki.

Nie miało jej tu być. Obecność jednego dzieciaka mogłam znieść, ale nastolatka? I to taka, której wygląd sugerował, iż zamierza kontynuować tradycje rodzinne i zostać striptizerką? Raczej nie.

– Cze, mała! – przywitał się Jake dość swobodnie. – Miałem dzwonić, ale Amber zasłużyła na szlaban jakieś dwie minuty przed naszym wyjściem z domu, więc i tak nic by to nie zmieniło. Jak widzisz, wolałem ją zabrać ze sobą niż przykuć w domu do kaloryfera. Jeśli nie ma dla niej porcji, zamówię pizzę czy coś.

– Znajdzie się dla niej porcja. – Zmusiłam się do uśmiechu.

– Fajowo – odpowiedział.

I tak staliśmy naprzeciwko siebie.

Niezbyt grzecznie z mojej strony tak trzymać gości w progu.

– Cześć, Amber. Jestem Josephine. Miło w końcu cię poznać.

Rzuciła mi puste spojrzenie i mruknęła:

– Jak tam sobie chcesz.

– Młoda! – rzucił Jake ostrzegawczym tonem.

Zerknęła na niego, a potem znów na mnie.

– Bry – mruknęła.

Wystarczyło mi tych wymuszonych grzeczności, więc zwróciłam się do chłopca:

– Cześć, Ethan.

Dwie sekundy zajęło mu podjęcie decyzji, po czym rzucił się i przywierając do mnie całym ciałem, oplótł mnie w pasie ramionami.

Nigdy wcześniej nie spoufalałam się tak z żadnym dzieckiem. Nigdy wcześniej żadne

mnie nawet nie dotknęło. Nie miałam pojęcia, jak się zachować, więc stałam jak skamieniała, odsuwając od niego ręce, mając nadzieję, że nie gapię się na jego kędzierzawą głowę ze zgrozą wymalowaną na twarzy. Chyba nawet nie zauważył, że go nie dotknęłam. Po chwili odskoczył w tył i spojrzał na mnie.

– Lydia ciągle o tobie opowiadała! – oznajmił.

To było miłe, nawet bardzo, ale, niestety, nie mogłam odwdzińczyć się tym samym. Chyba jednak wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– Jesteś o wiele ładniejsza niż na tych wszystkich zdjęciach i w jej opowieściach.

No proszę... Postanowiłam odwdzińczyć się komplementem.

– Z ciebie też niezły przystojniak! – powiedziałam.

Uśmiechnął się uroczo.

– No wiem. Jestem podobny do taty, a on jest najgorętszym towarem w mieście!

Nie mylił się.

– Nieprawda! – wtrąciła się Amber, przyciągając do siebie brata i przepychając się obok mnie. – Mickey jest o wiele fajniejszy od taty, a Coert to już w ogóle.

– Wcale nie! – zaprotestował Ethan.

– Wcale tak! – wypaliła Amber. – A i tak wszyscy wiedzą, że najlepszym towarem do wzięcia w Magdalene jest Boston Stone.

A z tym to bym się raczej nie zgodziła. Może i pan Stone miał kasę, ale przecież pieniądze to nie wszystko.

– Może i Boston Stone jest dziany, ale poza tym nic w nim nie ma ciekawego. No i nazywa się jak jakiś przygłup! – wyklócał się Ethan.

Nie powiedziałabym tego tak dosadnie, ale coś mi się zdawało, że w tej materii mieliśmy z Ethanem podobne zdanie.

– Josie.

Szept blisko, za blisko.

Tak blisko, że w ciągu ułamka sekundy Jake dotknął mojego biodra, pochylił się i musnął ustami mój policzek.

Ojej.

Pachniał obłądnie i ten aromat zaatakował mnie w bardzo przyjemny sposób. Był tak obezwładniający, że z trudem zbierałam myśli, szczególnie, że w przytłumionym świetle hallu jego oczy znów zmieniły kolor i teraz zdawały się granatowe.

– Cześć, Jake – wymamrotałam, starając się nie myśleć o ich boskim kolorze.

Uśmiechnął się szeroko i pchnął mnie lekko do wnętrza, zamykając za nami drzwi. No tak, zachowywałam się jak idiotka, trzymając ich przed domem. Nawet Jake dał mi to do zrozumienia, patrząc wymownie na dom.

Pospieszyłam do kuchni. Gdy tylko weszłam, Ethan wykrzyknął:

– Super pachnie!

– O Jezu, Josie, faktycznie! – zawtórował mu Jake. – Nie byłem głodny, ale te aromaty sprawiają, że cieknie mi ślinka!

Te wszystkie komentarze sprawiły, że zrobiło mi się ciepło na sercu.

– Tak pachnie mięso – oznajmiła Amber, gdy na nią spojrzałam.

– Tak może pachnieć mnóstwo rzeczy, ale na pewno nie mięso – odparował Jake.

Zignorowała jego odpowiedź i patrząc mi wyzywająco w oczy, oznajmiła:

– Jestem wegetarianką.

– Ta, dziś rano o tym zdecydowała – uzupełnił Jake.

– Mordowanie zwierząt, żeby ludzie mogli je zjadać, jest ohydne!

– Ciekawe, jakie jest mordowanie córek, które są wrzodami na dupach ojców? – mruknął Jake tak cicho, że tylko ja go usłyszałam, i z trudem opanowałam wybuch śmiechu.

– O w mordunię! – zawołał Ethan i gdy się odwróciłam, zauważyłam, że zagląda do lodówki. – Co to jest? – zapytał zdziwiony.

– To beza Pavlova.

– Co?

– Beza przekładana kremem i udekorowana truskawkami. Będzie na deser – wyjaśniłam, po czym spojrzałam na Amber. – Czy jako wegetarianka jadasz jajka?

– Tak – odpowiedział za nią Jake.

– Nie – odpowiedziała Amber i ich głosy się nałożyły.

– No to szkoda, bo bezę robi się z białek – wyraziłam ubolewanie.

– To i tak nieważne – odparła. – Nie jadam deserów. Moje dupsko jest już wystarczająco grube.

Spojrzałam w dół na to „dupsko” i stwierdziłam coś zgoła odwrotnego. Nie skomentowałam, choć miałam na to wielką ochotę. Jak mogłabym coś takiego skomentować? Poza tym dzieciaki dorwały się do jakichś niebieskich napojów energetycznych, które nie wiem kto i kiedy kupił, i teraz wyklócały się o butelkę.

– Też chcę taki, gnojku! – zażądała Amber.

– To nie nazywaj mnie gnojkiem! – odparł Ethan.

Zrobiła minę. On również.

– Kolacja prawie gotowa. Nie chcę was długo zatrzymywać, bo pewnie macie coś jeszcze do zrobienia w domu. Lekcje na przykład. A rano pewnie trzeba nakarmić klasową kosztatniczkę.

– Wzięli lekcje ze sobą, Josie – poinformował mnie Jake.

– A w klasie mamy chomika, a nie kosztatniczkę. I tak nie pozwalają mi się nim zajmować, bo poprzedniego niechcący zabiłem, kiedy wziąłem go na weekend do domu – wyznał Ethan moim plecem.

Chyba nie chciałam tego wiedzieć.

Rozsiadł się wygodnie obok ojca. Amber buszowała w lodówce. Zachowywali się jak u siebie i to było dziwne. Ale również przyjemne.

– Tata powiedział, że umarł, bo był już stary, a nie dlatego, że go upuściłem.

Zamrugalam.

– Wiercił się. Nie chciał siedzieć spokojnie u mnie w rękach i wyleciał – tłumaczył się dalej Ethan.

Nic na to nie odpowiedziałam.

– Nie martw się, kochanie, kupiliśmy do klasy kolejnego – zapewnił mnie Jake.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, Ethan zapytał:

– Mogę pomagać?

– Możesz, ale prawie wszystko już zrobione. Muszę tylko utłuc ziemniaki.

– Ja umiem, jestem w tym mistrzem! Lydia mnie nauczyła!

Mnie też nauczyła. A świadomość, że przekazała tę wiedzę i jemu, rozgrzała mi serce.

– No dobrze – zgodziłam się, podchodząc do kuchenki. – Odleję je i do roboty!

– Amber, dziecinko, dołóż jeszcze jedno nakrycie – usłyszałam Jake’a, gdy prznosił garnek z kuchenki nad zlew.

Tym sposobem wszyscy się zaangażowali w podawanie kolacji. A Ethan faktycznie był mistrzem w ugniataniu ziemniaków.

Amber za to wiedziała doskonale, gdzie znajdują się talerze i sztuce. Mieliśmy zjeść przy kuchennym stole, bo to nie było żadne formalne przyjęcie, tylko rodzinna kolacja. Jake

poprosił Amber o wyłożenie groszku, kukurydzy i marchewek do misek, a także podgrzanych bułeczek do koszyczka.

Gdy przyniosłam na stół główne danie, wszystko było już gotowe.

– No nie, to pieczeń rzymska?

Zaniepokoił mnie ten ton, ale gdy uniosłam wzrok na Jake'a, uśmiechał się szeroko.

– Tak, z rozmarynem. W sosie pomidorowym – wyjaśniłam.

– Ale super pachnie! – Ethan gapił się rozszerzonymi oczami na danie.

– Pieczeń rzymska z rozmarynem w sosie pomidorowym... – powtórzył Jake za mną, dziwnie mi się przyglądając.

– Nie lubicie pieczeni...? – zaniepokoiłam się.

– Lubimy – uspokoił mnie. – Ale piękna kobieta w butach za pięćset dolców i sweterku za dwieście serwująca pieczeń rzymską to dość kuriozalne połączenie. Cholernie szokujące! Bałam się, że będziemy musieli zmuszać się do zjedzenia jakichś wyszukanych głupot...

Moje buty kosztowały sześćset dolarów, a sweter czterysta, ale nie zamierzałam go o tym informować. No i zanotowałam w pamięci, że jeśli kiedykolwiek jeszcze będę dla nich gotować, muszę unikać „wyszukanych głupot”, choć w zasadzie tylko w takich daniach się specjalizowałam.

Jake kontynuował wywód, więc nawet nie miałam szansy skomentować:

– Choć rozmaryn w klopsie też będzie dla mnie nowym doznaniem, jednak po zapachu stwierdzam, że nie mogę się go doczekać.

Odłożyłam kuchenne rękawice i mruknęłam, zasiadając do stołu:

– Mam nadzieję, że nie zawiedzie twojego podniebienia.

– A ja się cieszę, że jest dużo warzyw i są bułeczki – wtrąciła się Amber.

Jake westchnął.

– Możemy już jeść? – niecierpliwił się Ethan.

– Częstujcie się! – zachęciłam.

No i poczęstowali się.

Gdy już pokroiłam klops, a talerze i miski w ekspresowym tempie zaczęły krążyć między gośćmi, zdecydowałam, że możemy trochę pokonwersować.

– A co robi dziś twój najstarszy syn... Conner? – spytałam Jake'a.

– Pewnie skutecznia jakiś trójkącik... – mruknęła Amber.

Ethan zachichotał. Spojrzałam na nią w niedowierzaniu.

– Amber! – warknął Jake.

Spuściła wzrok na swój talerz.

Jake spojrzał na mnie.

– Pracuje w mieście, na Wayfarer's.

– Ach tak...

Nie było w tej materii nic więcej do dodania, więc przez chwilę znów jedliśmy w ciszy.

Bułeczkę, którą smarowałam masłem, kupiłam na targu Wayfarer's, jedynym w mieście, który oferował tak doskonały wybór organicznych warzyw, mięsa i owoców morza. Mieli tam też świetne sery i piekarnię.

– Ile macie lat? – zapytałam po chwili.

– Ja osiem! – wyrwał się Ethan z buzią pełną jedzenia.

Amber milczała, więc Jake odpowiedział za nią:

– Amber ma szesnaście lat, kończy gimnazjum. Conner za chwilę skończy osiemnaście.

– Tak? – Zaskoczył mnie wiek Connera, bo wyglądał na starszego.

Po kolejnej przedłużającej się chwili milczenia Jake stwierdził:

– To jest naprawdę smaczne, mała!

Podziękowałam mu z uśmiechem, znów odczuwając to przyjemne ciepło gdzieś w okolicach serca. Mrugnął do mnie i wrócił do pałaszowania. Miałam motyle w brzuchu, uczucie podobne do strachu, ale nadzwyczaj przyjemne. To nie była pora na zastanawianie się nad takimi drobiazgami, więc przeniosłam wzrok na Amber, która zazdrośnie patrzyła na pieczeń.

Uśmiechnęłam się nieznacznie. Też mi wegetarianka! Choć nałożyła sobie na talerz górę warzyw, ślinka jej ciekła na widok mięsa, które jej brat i ojciec zajadali ze smakiem. Nie miałam prawa decydować o tym, co zje, ale podsunęłam jej koszyk z bułeczkami.

– Może jeszcze jedną? – zaproponowałam.

Spojrzała na mnie, potem na swój talerz.

– Wystarczy, dzięki.

Przyglądałam się jej dyskretnie, odstawiając koszyczek. Była już prawie dorosła, więc wcale mnie nie dziwiło, że miała chłopaka. Pewnie przebierała w nich jak w ulęgalkach. A gdyby nie ubierała się tak wyzywająco, wybór pewnie byłby jeszcze większy.

Postanowiłam wkroczyć do akcji.

– Amber – zagadnęłam ją. – Nie wiem, czy Lydia ci opowiadała, ale pracuję w przemyśle modowym.

– Coś wspominała – mruknęła dziewczyna, zerkając na swój prawie już pusty talerz.

Czy ona w ogóle potrafiła mówić pełnymi zdaniami? Szkoda, że nie za bardzo, bo miała przyjemny głos. Ale do tego nie zamierzałam się teraz odnosić. Priorytety!

– Więc chyba nie będziesz miała mi za złe, gdy powiem, że masz niezwykłą urodę?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

Jak mogła się temu dziwić? Przecież na pewno miała w domu lustro! Choć patrząc na to, jak wykonany był jej makijaż, nie byłam tego taka pewna...

– Przykrywasz jednak swoje przymioty zbyt grubą warstwą makijażu. Eyeliner to nie marker, a ołówek do brwi ma uzupełniać ich linię, a nie rysować je w zupełnie nowym miejscu.

Twarz Amber przybrała dziwaczny, zniekształcony wyraz, a atmosfera zgęstniała.

Ale skoro w ich życiu nie było żadnej kobiety, ktoś musiał jej to uświadomić. Równie dobrze mogłam to być ja, więc nie przestawałam mówić:

– Jean-Michel DuChamp nauczył mnie sztuki makijażu – rzuciłam nonszalancko, a jej oczy się powiększyły. – Jeśli chcesz, z chęcią pokażę ci kilka sztuczek, których mnie nauczył. Wiesz, jakie kolory ci pasują, ale przesadzasz z ilością.

– Znasz DuChampa? – wydukała.

– A i owszem – potwierdziłam.

Zamachała rękami, po czym zaczęła trajkotać:

– Mam oba jego albumy. Ten, w którym tak wariacko malował supermodelki, jedną przerobił na laleczkę, a z Acadie to już całkiem zaszalał w tym futurystycznym stylu. I ten drugi też, z hollywoodzkimi gwiazdami!

Znałam Acadie. Była prześliczna i przesłodka. A te albumy znałam, bo przy jednym z nich pracował Henry.

– Henry robił sesje do tego z modelkami – powiedziałam dziewczynie.

– OESU... – szepnęła. – Dlaczego o tym nie wiedziałam? Lydia mówiła, że pracujesz z Henrym Gagnonem, powinnam była się domyślić!

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem, czemu się nie domyśliłaś. W tym albumie chodziło o wizje Jeana-Michela, nie o zdjęcia Henry'ego. On już taki jest. Czasem chodzi o same zdjęcia, a czasem o to, co one

przedstawiają. Jeśli o to drugie, Henry nie lubi stawiać siebie ponad wizją. Oczywiście jego nazwisko pojawia się w albumie, ale gwiazdą tego projektu jest Jean-Michel. Swoite wynagrodzenie wystarczyło Henry'emu jako gratyfikacja, o ile pamiętam.

– Cool – szepnęła.

– Jeśli chcesz, zrobię ci zdjęcie i wyślę je Jean-Michelowi, zapytam, jakie ma sugestie. Często robi dla mnie takie rzeczy. Robię sobie zdjęcie w stroju na konkretną okazję, a on wysyła mi maila z instrukcjami, jak powinnam się do tego umalować. Jestem pewna, że z chęcią zrobi coś takiego dla ciebie.

Oczy ciągle jej się powiększały, ale głos nie nabrał wolumenu.

– Czy to są jakieś jaja?

– No coś ty! – zaprzeczyłam.

– OESU, o Boziu! – wyszeptala ledwie słyszalnym głosem, po czym spojrzała na ojca.

– Musisz anulować mi bana na komórkę, bo Taylor i Taylor muszą się o tym dowiedzieć!

Jake już miał coś odpowiedzieć, ale uprzedziłam go pytaniem:

– Taylor i Taylor?

– Jej psiapsioły – wyjaśnił Ethan. – Pierwsza to Taylor dziewczyna, a drugi Taylor to facet, gej.

– Chce być makijażystą, jak Jean-Michel! – dodała Amber. – A Taylor chciałaby zostać modelką.

– Powiesz im jutro w szkole – wtrącił się Jake, a Amber spojrzała na niego na poły błagalnie, na poły nienawistnie.

– Tato! Błagam! Serio, mówimy o Jeanie-Michelu DuChampie! – prawie krzyknęła.

– Muszą się dowiedzieć natychmiast!

– Gdybyś nie wyczyniała tych pierdół, które nawywijałaś, dowiedzieliby się natychmiast – nie ustępował Jake – ale nawywijałaś, więc dowiedzą się jutro. Jasne?

– To niesprawiedliwe i durne! – odparła. – To tak, jakby napatoczył się Jimmy Choo i chciał dać mi górę butów, a ty byś powiedział, że nie mogę pochwalić się przyjaciółom.

No proszę, miałyśmy z Amber więcej wspólnego, niż początkowo zakładałam.

– Jutro, Amber! – uciał Jake.

– Boże... – Amber odchyliła się na oparcie krzesła.

– To jest rzeczywiście dość bolesna lekcja – stwierdziłam, patrząc na nią i czując jednocześnie na sobie spojrzenia pozostałych gości. – Nie wiem, jakich pierdół nawywijałaś, ale najwyraźniej mocno zdenerwowały twojego ojca. Możesz oczywiście czuć się pokrzywdzona i robić sceny, ale najprostszym sposobem osiągnięcia celu jest po prostu stosowanie się do wskazówek ojca. Wtedy skończą się bany na telefon i nie będziesz się czuła tak podle, jak teraz. No i będziesz mogła swobodnie dzielić się radosnymi nowinami z przyjaciółmi.

– Akurat! Robić to, czego on chce, gdy to jest totalnie bez sensu? – syknęła Amber.

– Co jest bez sensu? – spytałam.

– To, że on nie lubi Noah – odpowiedziała.

– A kim jest Noah?

– Moim chłopakiem. I jest świetny!

– Chyba nie bardzo rozumiem... – powiedziałam. – Twój tata każe robić ci rzeczy bez sensu, bo nie uważa Noah za świetnego?

– Nie. Bez sensu jest to, że nie pozwala mi pojechać na koncert do Bostonu, a wszyscy jadą! To tylko jeden stan dalej, a nie jakieś Miami! No i chyba tacie nie spodobało się, gdy oznajmiłam mu, jak bardzo bezsensownie się zachowuje.

– Było dużo słów na „pe” – uzupełnił Ethan. – Chyba milion.

Dobry Boże! Słowa na „pe”? Ktoś musiał wziąć się za tę dziewczynę, a skoro już siedzieliśmy w domu Buni, a jej tu nie było, musiałam to być ja.

– Po pierwsze – zaczęłam – damy nie przeklinają. I nie ma tu dyskusji. Zdarza się, że trzeba użyć dosadniejszego słowa, ale to nie są częste okazje. Po drugie, szesnastoletnia dziewczyna podróżująca do innego stanu ze swoim chłopakiem to jest niedorzeczność.

Gapiła się na mnie, a Jake zaczął coś mrużyć, ale nie dałam się zbić z pantałyku.

– Amber, nie muszę ci przypominać, że twój ojciec jest mężczyzną... – zaczęłam, ale wtrąciła się.

– No o tym akurat nie musisz.

– Jak mówiłam, jest mężczyzną, a to oznacza, że kiedyś był młodym chłopakiem, jak Noah. Jesteś nadzwyczaj ładną młodą kobietą. Ten fakt na pewno twojemu ojcu nie umknął. Założę się, że wie on o wiele więcej od ciebie o młodych mężczyznach, w końcu był jednym z nich. Więc skoro Noah mu się nie podoba, to jest po temu jakiś poważny powód.

Znowu mruknięcie Jake'a, tym razem rozbawione. Ethan śmiał się, nawet tego nie ukrywając, ale ja kontynuowałam wywód:

– Nawet jeśli Noah jest chodzącym ideałem, to jeśli twój tata cię kocha, nie będzie on mu się podobał. Jeśli nie przejmowałby się twoimi randkami, to byłby dopiero powód do niepokoju. Fakt, że się przejmuje, świadczy o tym, że powinnaś go wysłuchać.

Skończyłam tyradę i w tym czasie cały entuzjazm zniknął z twarzy dziewczyny, a i panowie nie wyglądali na specjalnie zadowolonych. Domyśliłam się dlaczego. Wiedzieli o mnie zbyt wiele. Wiele wiedzieli o Buni. A także o moim dziadku i ojcu. I o tym, że on w ogóle się mną nie przejmował. Wcale. Nic a nic.

Amber odezwała się, więc mogłam oderwać umysł od tych ponurych przemyśleń.

– Tak właśnie powiedziałaaby Lydia. Nie użyłaby pewnie sformułowania „chodzący ideał”, ale znaczenie byłoby takie samo.

– A skoro moja babcia była najmądrzejszą osobą na świecie, to może powinnaś posłuchać? Skoro mamy to za sobą, to może zjesz trochę pieczeni? – dodałam. – A może Noah jest wegetarianinem i boisz się, że jeśli dowie się, że jesz mięso, to się odkocha?

– Słyszałam, że nie jedząc mięsa, można szybko schudnąć – odpowiedziała Amber.

– To bzdura! – wyjaśniłam. – To mit, którego niektórzy używają, aby ukryć próby zrzućcia wagi. A ty w ogóle nie musisz się tym przejmować, bo masz wspaniałą figurę.

– Też jej to mówię – wtrącił Ethan.

– Ty masz osiem lat i jesteś moim bratem! – Amber spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– Ale ja nie mam ośmiu lat, nie jestem twoim bratem, za to pracuję na pokazach *haute couture* od dwudziestu trzech lat – uświadomiłam ją. – Więc możesz mi wierzyć, gdy mówię, że masz świetną figurę. Dwa razy wspominałaś już o odchudzaniu, a jesteś tu niecałą godzinę. Przestań, bo to jest niedorzeczne. A jeśli ktoś twierdzi inaczej, możesz spokojnie powiedzieć mu o tej niedorzeczności.

Zamrugnęła, jakby coś wpadło jej do oka.

Ethan wybuchnął śmiechem.

– Więc – kontynuowałam, przekrzykując jego śmiech. – Robimy po kolacji to zdjęcie dla Jeana-Michela czy nie?

– Robimy! – szepnęła i już przestałam się zastanawiać nad tym, dlaczego mówi tak cicho.

– Świetnie. Będziesz musiała zmyć makijaż – poinstruowałam ją. – Artysta potrzebuje czystego płótna.

– Nie ma sprawy – zgodziła się.

– Świetnie – ucieszyłam się i zwróciłam do pozostałych gości: – Ktoś życzy sobie dokładkę?

– Jaaaaa! – krzyknął Ethan.

I choć nie było powodu do tego, by się tak wydzierać, nawet mnie to nie zdenerwowało, bo Ethan był rozkosznym i słodkim chłopcem.

– Podaj mi swój talerz – poprosiłam i nałożyłam mu sporą porcję.

Podziobałam w swoim talerzu i poczułam coś dziwnego.

Uniosłam wzrok i zauważyłam, że Jake mnie obserwuje. Jego twarz miała łagodny wyraz, a w oczach było coś, czego nie potrafiłam odszyfrować. Zanim się nad tym zastanowiłam, uśmiechnął się tak, że aż oddech mi przyspieszył, po czym rzucił do córki:

– Podaj bułeczki, skarbie.

Naprawdę chciałam wiedzieć, co kryło się za tym spojrzeniem. Co on sobie myślał? I więcej: co czuł? Ale nigdy się tego nie dowiem, ponieważ nigdy go o to nie zapytam.

Postanowiłam zaserwować deser. Klops wyszedł mi nadspodziewanie dobrze, choć musiałam szukać przepisu w internecie. Jednak to moja Pavlova była clou programu!



Po kolacji i deserze dzieciaki zajęły się odrabianiem lekcji przy kuchennym stole, a Jake i ja zmywaliśmy. Nie sądziłam, że taki mężczyzna jak Jake zechce mi pomóc. Dziwnie przyjemnie było sprzątać razem z nim. Gdy gotowałam dla Henry'ego, również pomagał mi zmywać i wówczas też czułam się dobrze.

– Kolacja była wyborna, maleńka. A ten deserek, no w mordę! – mruknął Jake, wycierając talerz.

– Cieszę się, że ci smakowało.

– Powtarzałam Lydii, że przydałaby jej się zmywarka.

– A ona zawsze mówiła, że już ma dwie. Własne ręce.

– No tak, zawsze tak odpowiadała. – W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie i melancholia.

Nie wdałam się w dyskusję na ten temat, bo ja odczułam wyłącznie melancholię.

– Miałaś udany dzień? – zapytał.

Nie.

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Dlaczego nie? – zainteresował się, odkładając kolejny talerz.

– Rano złożyłam wizytę Elizie Weaver.

– Komu?

– Elizie Weaver, żonie Arnolda Weavera.

– Prawnika?

Przytaknęłam, a on zmarszczył brwi.

– Coś nie tak z testamentem?

Pokręciłam głową i zajęłam się spoczywającymi na dnie zlewu sztućcami.

– Weaverowie są przyjaciółmi rodziny. Eliza jest chora – powiedziałam cicho, wspominając szpitalne łóżko stojące na środku salonu ich domu. – Umierająca.

– O Jezu, przykro mi, maleńka... – szepnął.

– Widzieć ją w takim stanie... To było okropne. – Wręczyłam mu kilka mokrych

widelców. – Kiedyś była pełna życia. – Pogmerałam w zlewie w poszukiwaniu noży. – A mąż ją uwielbia. Od zawsze. Uważałam, że to urocze, a teraz nie mogłam patrzeć, jak cierpi.

– To straszna kicha, Josie... – mruknął Jake.

– Faktycznie. – Wręczyłam mu więcej sztućców. – Pan Weaver poszedł na zwolnienie, ale to niełatwe, bo jest współnikiem w kancelarii. Zaoferowałam, że będę zostawać rano kilka godzin z jego żoną, żeby mógł zająć się ważnymi sprawami. Pani Weaver jest już zmęczona towarzystwem pielęgniarek. Jej przyjaciółki muszą pracować. A ja nie mam nic do roboty, więc mogę trochę z nią posiedzieć.

Jake nie odpowiedział. Nie odebrał również z moich rąk ociekających wodą sztućców, za to patrzył na mnie w skupieniu.

– Coś się stało? – spytałam.

Otrząsnął się i odebrał ode mnie srebra.

– To bardzo miło z twojej strony, kochanie.

Spuściłam wzrok na mętną wodę w zlewie.

– Byli przyjaciółmi Buni.

– Ciebie najwyraźniej też lubią.

Lubili, dlatego tym trudniej było mi patrzeć na ich ból.

– Jak długo zostaniesz w Magdalene? – zapytał Jake.

– Nie wiem.

Bo nie wiedziałam. Nie skontaktowałam się z żadnym domem aukcyjnym. Nie zadzwoniłam do żadnej agencji nieruchomości. Nie zaczęłam przeglądać rzeczy babci.

Po zrobieniu zakupów w mieście i wizycie u Weaverów ubrałam się w najgorszy top i kalosze Buni i rzuciłam się do roboty w ogrodzie, żeby przygotować go na zimę.

Musiałam wybrać się do jakiegoś marketu po roboczy strój. Ale przecież to nie miało sensu, skoro to była moja ostatnia ogrodowa robota. Więc po co mi takie ciuchy?

– A co potem? – zapytał Jake, wyciągając korek ze zlewu.

– Muszę lecieć do Rzymu.

– Kiedy?

No właśnie, kiedy? Henry poleciał dziś, więc ja powinnam jutro. Ale to przecież nie było możliwe.

I nagle wizja pakowania się, jazdy na lotnisko, uwięzienia w samolocie przez kilka godzin i rozpakowywania w kolejnym anonimowym pokoju hotelowym, nawet tak wspaniałym, jakie są w Rzymie, wydała mi się odstręczająca.

– A potem Paryż – powiedziałam bez sensu, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

– Co?

– Nic, tak tylko głośno myślę. Może dołączę do Henry’ego w Sydney.

To za jakiś miesiąc. I choć uwielbiałam Sydney, nie ciągnęło mnie tam. Może powinnam dołączyć do niego, dopiero gdy będzie miał przerwę w pracy i wróci do Los Angeles? Dopiero za trzy miesiące.

– Josie... Co się dzieje? – usłyszałam.

Odwrociłam się do Jake’a i spojrzałam mu w oczy.

– Wczoraj pojawił się tu Boston Stone – poinformowałam go.

Znowu poczułam tę gorącą energię wypełniającą pomieszczenie, a jego oczy się zwężyły i wyszeptał groźnym tonem:

– Czego chciał?

– Chce kupić Lawendową Willę – odpowiedziałam.

– Ta! – zawołał Ethan zza stołu. – Może sobie chceć, ale Lydia kazała mu spadać i wskoczyć do oceanu!

– Wcale tak nie powiedziała! – sprzeciwiła się Amber, od razu gotowa na słowną przepychankę. – Powiedziała: „Po moim trupie!”.

Poczułam skurcz żołądka, atmosfera zgęstniała, a Ethan rzucił siostrze jadowite spojrzenie.

– Jesssu, Amber, ty chyba nie możesz być już większą idiotką! – wypalił, ale dość niepewnie.

Nie musiał tego mówić, bo zdała sobie sprawę z gafy i spojrzała na mnie, cała pobladła.

– Przepraszam, Josie – powiedziała cicho.

No cudnie. Teraz nawet dzieciaki nazywały mnie Josie.

– Nic się nie stało – odpowiedziałam sztywno.

– Co powiedziałaś Stone’owi?

– Że nie jestem gotowa na omawianie tej sprawy, zwłaszcza z kimś, kto zjawia się bez zapowiedzi pięć dni po śmierci mojej babki.

– A będziesz gotowa na omawianie tej sprawy?

Pokręciłam głową, zanim to pytanie wybrzmiało.

– Nie.

Podjęłam tę decyzję w chwili, w której mu odpowiedziałam.

– Więc zatrzymasz dom? – zapytał Jake.

– No chyba! – odpowiedział za mnie Ethan, więc spojrzałam na niego przez ramię.

– Lydia mówiła, że jedyną osobą, która kocha Lawendową Willę bardziej niż ona sama, jest Josie i że nigdy nie pozwoli, by rodzina go straciła.

Poczułam, że mój umysł pustoszeje; przytrzymałam się mokrą dłonią krawędzi zlewu.

– Maleńka? – usłyszałam głos Jake’a, ale nie odpowiedziałam. Jego ciepła ręka dotknęła mojej szyi, a szeroka pierś ograniczyła pole widzenia. – Josie, wszystko w porządku?

Zerknęłam w górę.

– Jedyną osobą, która kocha Lawendową Willę bardziej niż Bunia, jestem ja i nigdy nie pozwolę, by rodzina ją straciła – powtórzyłam szeptem. – Tak, odpowiedź na twoje pytanie jest taka, że zatrzymam ten dom.

Ale po co? Lawendowa Willa nie pasowała do życia, które prowadziłam. Nie mogłam pozostawić tak wielkiego domu bez opieki i podróżować sobie po całym świecie. Nie mogłam również się go pozbyć. Nigdy. Przenigdy.

Byłam ostatnia z rodu i w tym wieku nie planowałam już potomstwa, więc po mojej śmierci dom przestanie być własnością rodziny. Ale nie wcześniej.

– Fajnie! – zawołał Ethan, ale powściągnął entuzjazm, patrząc na Jake’a, który stał bez ruchu, wciąż trzymając dłoń na mojej szyi. – Wiedziałem! Będziemy mogli wciąż wpadać w odwiedziny, ale teraz to Josie będzie dla nas gotowała!

– Fajnie – dorzuciła Amber z nieco mniejszym entuzjazmem, choć wykrzesać z siebie większy niż entuzjazm jej brata byłoby raczej trudno.

– Maleńka. – Jake wciąż patrzył na mnie, a ja skinęłam głową, dając mu do zrozumienia, że wróciłam myślami do niego. – Wszystko dobrze?

– Nie – stwierdziłam zgodnie z prawdą.

– Jutro porozmawiamy – rzekł cicho – już bez obecności dzieci.

Znowu przytaknęłam, choć nie wiedziałam, dlaczego nagle stałam się taka spolegliwa.

– Dolej sobie wina i spróbuj się zrelaksować – dodał, zaciskając delikatnie palce na mojej szyi. – Ja dokończę zmywanie.

– Mogę dokończyć – sprzeciwiłam się.
– Maleńka! – Jego głos i dotyk przeszły w tryb rozkazujący. – Przecież coś powiedziałem.

Ten dyktatorski, rozkazujący ton był dość zaskakujący. Tym bardziej zdziwiłam się sama sobie, że bez szemrania wykonałam polecenie.

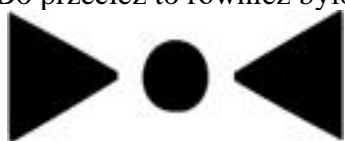
Dzięki temu przez kwadrans siedziałam przy kuchennym stole z dziećmi, sącząc wino, a potem przeszliśmy do salonu, żeby pooglądać telewizję. Wcześniej pomagałam Ethanowi w ćwiczeniach z tabliczki mnożenia za pomocą kalkulatora w mojej komórce, bo byłam beznadziejna z matematyki.

Pomylił się tylko raz na trzydzieści przykładów.

Prócz tego, że był słodki i zabawny, to jeszcze mądry.

Mojej opinii o nim nie zmieniłam nawet wtedy, gdy najtrudniejszy przykład musiał policzyć na palcach, a z buzi wystawał mu koniuszek języka.

Bo przecież to również było urocze!



Wieczór miał się ku końcowi. Staliśmy przy aucie przed domem. Rozmawiałam z Amber.

– Dam znać twojemu tacie, gdy Jean-Michel się do mnie odezwie.

Wcześniej zmyła makijaż i zrobiłyśmy portretowe zdjęcie. Miałam zamiar wysłać je dopiero następnego dnia, bo w Nowym Jorku było już zbyt późno.

– Jasne – mruknęła w odpowiedzi.

– Cieszę się, że cię poznałam – kontynuowałam.

– Ja też – odpowiedziała ledwie słyszalnie, po czym wykonała jakiś dziwny gest, który miał być chyba machnięciem na pożegnanie, i wsiadła do samochodu.

Ethan rzucił się na mnie i objął tak samo, jak na powitanie. Tym razem na chwilę złożyłam dłoń na jego ramieniu.

– Super było cię poznać, a jedzenie było zaaajeeepyyszne! – zawołał.

– Bardzo się cieszę, że ci smakowało. I również się cieszę, że cię poznałam – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się, pomachał zamaszycie i pognął do auta.

Jake stanął przy mnie i oznajmił:

– To był udany wieczór.

Rzeczywiście, chyba wszyscy tak uważaliśmy, więc tylko przytaknęłam.

– Jutro o dziewiątej w Szopie.

Spojrzałam na niego ze zgrozą, ponieważ Szopa to była po prostu... szopa. Słyszałam wcześniej o tej spelunie na nabrzeżu, gdyż Bunia była tam raz czy dwa. Przybytek robił wrażenie... upiorne.

– W Szopie? – zapytałam z wątlym uśmiechem.

– W Szopie, piękna – powtórzył, ale czemu dodał „piękna”, nie miałam pojęcia.

– O dziewiątej.

– A może... – spróbowałam. – Zrobiłabym ci śniadanie?

– Mogłabyś, ale wówczas nie postawiłbym ci omletu z owocami morza, który jest przepyszny. I chciałbym, żebyś była skupiona na opowiadaniu mi o tym, co dzieje się w twojej pięknej nieuczestanej, a nie na gotowaniu.

Pięknej nieuczեսanej? Czy on miał na myśli moją głowę?

Znowu motyle w żołądku.

– Więc dziewiąta. Szopa.

– W porządku – westchnęłam zrezygnowana.

Uśmiechnął się, znowu musnął ustami mój policzek i cofając się o kilka centymetrów, szepnął:

– Dzięki za udany wieczór.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Nawet w nikłym świetle padającym z domu widziałam, że jego twarz się rozjaśniła, zanim pożegnał się zdawkowym „Nara, maleńka”.

– Eee... nara? – zawołałam za nim.

Patrzyłam, jak wsiada do auta.

Pomachałam Ethanowi, wygłupiającemu się na tylnym siedzeniu.

Gdy silnik zamruczał i koła zazgrzytały na żwirze podjazdu, wróciłam do domu. Zamknęłam za sobą główne drzwi i weszłam do kuchni, żeby pogasić światła. I wtedy to poczułam. Poczułam, że coś jest nie tak. Że jest zbyt pusto. Zawsze czuć w nim było energię i życie. A teraz otoczyła mnie pustka. I samotność.

„Może to odczucie jest w tobie, kwiatuszku”.

Powiedziałam to sama do siebie, ale znaczenie tych słów było tak niepokojące i poruszające, że czym prędzej chciałam o nich zapomnieć, więc sięgnęłam do wyłącznika światła.

Moja ręka jakby sama zmieniła kierunek i zamiast tego sięgnęła po butelkę wina. Wylałam resztkę do swojego kieliszka.

Gasiłam za sobą światła, gdy szłam na górę do pokoju z widokiem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Namiętny

W domu było ciemno i przejmująco cicho. Jake sięgnął do szuflady biurka, którą przed chwilą otworzył. Wydobył stertę kopert przewiązanych błękitną wstążką w kolorze oczu Josie. Westchnął, rozwiązując wstążkę. Odszukał w stosiku listów swój ulubiony. I najsmutniejszy. List spoczywał w różowej kopercie. Odłożył na bok cały stosik, po czym wysunął z niego drugą kopertę, tym razem niebieską. Przeszedł w stronę stojącego przy oknie fotela z butelką piwa w rękę. Rozsiadł się wygodnie, spoglądając na delikatne pismo.

Najdroższa Buniu,

przed chwilą skończyłyśmy rozmowę telefoniczną, ale nie mogę przestać się o Ciebie martwić. Może to dziwne, bo przecież rozmawialiśmy o tym, że to Ty martwisz się o mnie.

Proszę, nie martw się. Proszę.

Ja naprawdę jestem szczęśliwa, Buniu. Szczerze!

Chciałam Ci to powiedzieć, ale nie bardzo wiedziałam, jak Ci to uświadomić. Może nie potrafiłam zmusić się do powiedzenia tego głośno, aby jeszcze bardziej Cię nie zasmucić.

Ale musisz wiedzieć, że jestem szczęśliwa, żyjąc w pojedynkę. To mój wybór. Pozostaję mu wierna. No i przecież cały czas jestem w otoczeniu jakichś ludzi. Wiesz, co mam na myśli.

Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień jest ich widok w kuchni. Ona leżała na podłodze, wiesz przecież, jak to było. Opowiadałam Ci. A kolejne wspomnienia są jeszcze mniej przyjemne i o nich opowiadałam Ci również.

Tak, to na mnie wpłynęło. Sprawilo, że nie chcę się angażować w żadne związki. Wiem również, że dla Ciebie to jest niezdrowe, ale naprawdę, wszystko jest w porządku.

Niektórzy potrzebują innych ludzi, niektórzy nawet wielu. To, co się wydarzyło, wykluczyło mnie z grona takich osób. To oznacza też, że jeśli już zaangażuję się w jakiś związek, to on naprawdę coś znaczy, a nie jest tylko wypełniaczem czasu i przestrzeni. Nigdy nie czuję się samotna, więc nie potrzebuję przy sobie nikogo.

Jeśli szukałabym partnera, musiałby być bardzo delikatny, cierpliwy i dobry, rozsądny i ciepły, i pewnie, że chciałabym, aby był również przystojny i wyrafinowany. No i musiałby być inteligentnym człowiekiem sukcesu. I najważniejsze: musiałby mieć swoje życie, bo nie chciałabym, żebyśmy byli od siebie zależni i spędzali cały czas ze sobą. Ja lubię być sama. Lubię swoje własne towarzystwo.

Pewnie, że czasem pragnęłam delikatnego dotyku, oczu omiatających mnie pożądliwie. Pragnęłam wspólnego budowania historii w taki sposób, że po pewnym czasie do wzajemnego zrozumienia wystarczyłyby tylko uśmiech i wymiana spojrzeń.

Dawno porzuciłam te pragnienia. Spotkałam na swojej drodze wielu mężczyzn, ale ten jeden, jedyny, z którym mogłabym spędzić życie, po prostu nie istnieje, Buniu. Pogodziłam się z tą myślą. Stworzyłam swoje życie sama, mam mnóstwo zajęć, które dają mi satysfakcję i szczęście.

Naprawdę.

To doprawdy niezwykle, że po wszystkim, co przeżyłaś, wciąż wierzysz w miłość. Jesteś romantyczką, która wierzy w szczęśliwą przyszłość. Cieszę się, że chciałabyś tego wszystkiego dla mnie. Musisz jednak zrozumieć, że choć doceniam to, iż chciałabyś, bym doświadczyła wszystkich tych pięknych uczuć, doskonale sobie radzę bez nich.

Twoja miłość wystarcza mi w zupełności.

W zamian daję Ci moją.

W całości i na zawsze.
Twoja Josie

Jake pociągnął z butelki, po czym odstawił ją na pobliski stół i otworzył różową kopertę.

Przełknął i spojrzał na niechlujne, dziewczęce pismo.

Babciu!

O rety, nie uwierzysz!

Alicja usłyszała to od Tiffany, więc mi powiedziała, ale nie uwierzyłam, dopóki nie podszedł do mnie podczas lunchu.

Andy Collins!

To było cudowne! Przesiedział ze mną całą przerwę i rozmawialiśmy. I obiecał, że jutro też się dosiadzie!

Wiesz, że ja jestem bardzo wybredna! Mój chłopak musi być silny, wysoki, przystojny i mądry, opiekuńczy i namiętny, tak bardzo NAMIĘTNY, cudowny i musi mnie wielbić. No i namówię go do przeprowadzenia się do Maine, zamieszka ze mną w Lawendowej Willi i będziemy mieli trójkę dzieci (dwie córki i synka, oczywiście syn najstarszy, żeby mógł zajmować się siostrami). A ja będę zajmować się ogrodem i gotować, a on może sobie łowić ryby, czy co też tam robią faceci.

Jestem pewna, że Andy sprostą tym wymaganiom, w końcu jest w drużynie futbolowej, więc jest wysoki i silny.

Szkoda, że nie mogę pokazać Ci jego zdjęcia.

Oczywiście tata mówi, że nie mogę chodzić na randki, zanim nie skończę siedemnastu lat, co jest dziwaczne i wredne, bo większość moich koleżanek randkuje już od piętnastki (wiadomo, bez numerków w autach), a ja skończyłam już szesnaście (nawet zrobiłam prawo jazdy, do diaska!), no i przecież dwóm chłopakom już odmówiłam! Byli beznadziejni! Wszyscy robią z tego wielkie halo, a ja uważam, że to żałosne!

Żaden z nich nie był Andym, a on jest najprzystojniejszym chłopakiem w szkole!

Jutro znowu napiszę i dam Ci znać, czy przysiadł się podczas lunchu.

Szkoda, że nie rozmawiasz z tatą. Może mogłabyś go namówić nie tylko na wakacje w Lawendowej Willi, ale i na moją randkę z Andym (oczywiście gdyby mnie w końcu zaprosił, ale przecież to jasne, że bardzo tego pragnę!).

Dobra, muszę kończyć. Jeszcze lekcje na mnie czekają (algebra, fuj! Pan Powell to taki nudziarz!).

Chciałam tylko, żebyś wiedziała. Teraz muszę gwizdnąć kilka znaczków z biurka taty. Jeden na ten list i drugi na jutrzejszy, w którym, mam nadzieję, napiszę Ci, że Andy znowu się przysiadł.

Kocham Cię. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Tęsknię.

Zacznij znowu rozmawiać z tatą. Proszę! Tęskniłam za Lawendową Willą zeszłego lata.

Ale przede wszystkim tęskniłam za Tobą.

Ślę Ci moją miłość. Całą i na zawsze.

Josie

Jake odłożył listy ze świadomością, że Andy dosiadł się nazajutrz.

I zrobił o wiele więcej.

Pobił jej owieczkę.

Zamknął oczy, usiłując odegnąć słowa Lydii, ale one nie zamierzały odejść.

Tak bardzo chciała się spotykać z tym chłopakiem, że wymykała się z domu. Przez ponad rok. Gdy ojciec w końcu się o tym dowiedział, pobił ją. Tak dotkliwie, że spędziła tydzień w szpitalu.

Jake otworzył oczy i pociągnął z butelki.

Pobił ją.

Wziął głęboki wdech.

Pobił ją tak dotkliwie, że spędziła tydzień w szpitalu.

Wyjrzał przez okno, ale nic za nim nie dostrzegł.

„Mój chłopak musi być silny, wysoki, przystojny i mądry, opiekuńczy i namiętny, tak bardzo NAMIĘTNY, cudowny i musi mnie wielbić”.

Te warunki mógł spełnić.

„Musiałby być bardzo delikatny, cierpliwy i dobry, rozsądny i ciepły, i pewnie, że chciałabym, aby był również przystojny i wyrafinowany. No i musiałyby być inteligentnym człowiekiem sukcesu”.

Taki nie mógł być.

Pociągnął kolejny łyk z butelki.

Pobił jej owieczkę.

Poczuł, że zaciskają mu się szczęki, i z trudem powstrzymywał się przed ciśnięciem butelką. Gdyby to zrobił, musiałyby posprzątać i pewnie przy okazji obudziłyby dzieci.

Włożył listy z powrotem do kopert, wstał i podszedł do biurka. Odłożył listy na stosik i przewiązał je wstążką. To Lydia dała mu te listy. Już miał je włożyć z powrotem do szuflady, gdy na jej dnie dojrzał ramkę ze zdjęciem.

Przedstawiało Josie.

Była opalona, siedziała na plaży. Bryza wiała tak silnie, że dziewczyna musiała przytrzymać włosy, żeby całkiem nie zasłoniły jej twarzy. Mimo to kosmyki fruwały na wszystkie strony. Druga dłoń spoczywała na biodrze. Uśmiechała się. Wiatr zwiewał jej szalik do tyłu, okulary zasłaniały oczy, a sukienka przylegała do ciała, smukłego i ponętnego.

Ten cholerny fotograf zrobił to zdjęcie, Josie podarowała je Lydii, a ona dała je jemu.

Wyglądało jak fotka jakiejś włoskiej seksbomby z lat pięćdziesiątych. Włoskiej, bo Josie miała w sobie coś wyrafinowanego. Egzotycznego. Jakby była z wyższej półki. Nie wyglądała na Amerykankę, ale na cudzoziemkę, tajemniczą i niedostępną.

Niemożliwą.

„Zaofiarowałam, że będę zostawać rano kilka godzin z jego żoną, żeby mógł zająć się ważnymi sprawami”.

Jake wziął jeszcze kilka łyków, wciąż patrząc na zdjęcie.

„Więc możesz mi wierzyć, gdy mówię, że masz świetną figurę. Dwa razy wspominałaś już o odchudzaniu, a jesteś tu niecałą godzinę. Przestań, bo to jest niedorzeczne. A jeśli ktoś twierdzi inaczej, możesz spokojnie powiedzieć mu o tej niedorzeczności”.

Uśmiechnął się do zdjęcia.

Pobił ją.

Uśmiech zniknął.

Ten pieprzony dupek, fotograf, miał ją przy sobie przez lata.

A mimo to siedziała przy trumnie sama.

„Tak, odpowiedź na twoje pytanie jest taka, że zatrzymam ten dom”.

Zatrzyma ten dom. Więc być może i im uda się zatrzymać ją. Jake musiał po prostu dopilnować, by tak się stało. Złożył zdjęcie na dnie szuflady i położył na nim listy, po czym zamknął ją na klucz. Dokończył piwo, wyłączył światła, przeszedł do sypialni i rzucił się na

łóżko. Było późno, a on musiał wypocząć.
Jutro rano miał spotkać się z Josie na śniadaniu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Otucha

Wśluchiwałam się w stukot obcasów wysokich butów na chodniku i pilnowałam, żeby wiatr nie porwał mojej apaszki od Alexandra McQueena. Wybrałam ten szaliczek, bo bardzo podobał mi się jakże charakterystyczny deseń małych, różowych czaszek na jasnym materiale, ale teraz żałowałam, bo wcale nie dawał ochrony przed wiatrem.

Wyglądał jednak świetnie, a wiadomo, że człowiek albo ubierał się adekwatnie do pogody, albo chciał świetnie wyglądać. Ja przez lata doбираłam stroje, kierując się kryterium świetności.

Zza okularów (choć dzień był szary i pochmurny, zanosilo się na deszcz) wypatrzyłam Jake'a siedzącego przy oknie Szopy. Jakby wyczuwając, że się zbliżam, Jake uniósł głowę, zlustrował mnie dokładnie i uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami. Podszedł do mnie, jednocześnie krzycząc gdzieś w stronę zaplecza:

– Zawołaj, gdy będą gotowe, Tom!

– Jasne! – odkrzyknął niewidzialny Tom.

Zatrzymaliśmy się przy bufecie w głębi pomieszczenia, przy stole zastawionym pysznościami.

– Dzień dobry, Jake – przywitałam się.

– Dzień dobry, Śliczna – odrzekł z uśmiechem.

Zamrugłam. Śliczna...? Dobry Boże, takie mi nadał przezwisko? Już miałam zaprotestować, ale wyciągnął w moją stronę rękę, w której trzymał biały papierowy kubek.

– Kawa – rzekł, jakby nie było to dość oczywiste.

Uważałam się za dobrze wychowaną, więc zdecydowałam, że podziękowanie za kawę jest ważniejsze niż strzelanie focha z powodu przezwiska.

– Tu są wszystkie pierdoły, które się dodaje. – Postawił swój kubek na stole i zdjął pokrywkę.

Ze zgrozą stwierdziłam, że śmietanka była tylko w proszku, a na domiar złego nie było słodzika.

– Myślałem, że Fellini umarł – zauważył bez sensu, sypiąc do kawy cukier z cukiernicy zamkniętej srebrnym wieczkiem z rurką. Nie żałował sobie.

– Że co proszę? – spytałam.

Dosypał jeszcze cukru, po czym oznajmił:

– Wyglądasz, jakbyś wyszła z planu filmu Felliniego.

– Oglądałeś filmy Felliniego...? – spytałam z niedowierzaniem.

Nie przestawał się uśmiechać.

– Nie, ale to nie znaczy, że nie wiem, jak wyglądają te seksowne kociaki ze starych plakatów. Zawsze są świetnie ubrane, mają na nosach okulary, a szaliczki powiewają im jak przy huraganie.

Chyba usiłował sprawić mi komplement. Dość udany, przyznaję. Oczywiście jak na możliwości Jake'a Speara.

– Te szaliczki... Ciepła nie dają, a gdy tak fruują wokół głowy, to zdaje się, że jest jeszcze zimniej – kontynuował.

Ciągle gapiałam się na niego bez słowa.

– Josie? Obudziłaś się już? – zapytał w końcu, gdy cisza się przedłużała.

– Za dużo słodzisz! – wypaliłam.

– Ta – rzucił, mieszając kawę. – Nie ty pierwsza mi to mówisz.

Ciekawe, kto mówił to przede mną?

– Będziesz coś dodawać?

Ukryłam niesmak spowodowany jakością tych wszystkich „dodatków”, spojrzałam na Jake’a i pokręciłam głową. Zwykle dodawałam odrobinę chudego mleka i słodzik, ale w tej sytuacji zdecydowałam, że wypiję czarną.

– No dobra, to siadamy – zarządził Jake, wyrzucając mieszadełko do postawionego na stole kubek, który był oblepiony najróżniejszymi substancjami, niekoniecznie będącymi kawą.

Ruszył w stronę zbieraniny białych, rdzewiejących stolików i krzeseł, które były czyszczone chyba tylko przez morską bryzę.

– Ale gdzie siadamy? – zapytałam, podążając za nim. – Na zewnątrz?

Wybrał stolik, a było w czym wybierać, bo poza nami, póki co, nie było innych gości, po czym zapytał:

– Coś ci przeszkadza w siedzeniu na zewnątrz?

– Zwykle nie. Jadanie w ogródku jest zwykle urocze, ale nie wtedy, gdy szaleje dziesiątka w skali Beauforta.

– Jadanie w ogródku... – powtórzył.

– Przed restauracją – wyjaśniłam, a on uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wiem, o czym mówisz, Śliczna – połajał mnie. Już miałam się sprzeciwić, ale nie pozwolił mi się odezwać. – Przydałby ci się porządny szalik.

– To jest porządny szalik! – zaprotestowałam. – Od Alexandra McQueena!

– Możliwe, ale chyba ten cały Alexander nie był nigdy w Maine.

Ta rozmowa była absurdalna, a skoro Jake się nie ruszył, to zdecydowałam, że jednak usiądę. Żałowałam, że nie mam przy sobie jakichś chusteczek odkażających, całego pudełka, którymi mogłabym przetrzeć stolik i krzesło. Siorbałam kawę bez przekonania.

Zdziwił mnie więc jej wyborny smak i świetny aromat.

– Tom się nie opierdala, jeśli chodzi o kawę – wyjaśnił Jake, gdy zwróciłam na niego pytające spojrzenie.

– Rzeczywiście.

Znowu uśmiech.

Odstawiłam kubek na stolik i położyłam obok niego torebkę, którą zsunęłam z ramienia.

– Jak poranek? – zapytał cicho.

– Póki co nieźle – odpowiedziałam, ponownie biorąc do ręki kubek.

– Kiedy się wybierasz do domu przyjaciół?

– Po tym spotkaniu.

Patrzył, jak pociągam łyk, przekrzywiwszy głowę.

– Na pewno jesteś na to gotowa? To spore poświęcenie, a ty ostatnio dużo przesłaś.

Miał rację. Ale musiałam to zrobić.

– Panu Weaverowi przyda się chwila wytchnienia.

– Nie wątpię, ale na pewno zrozumiałaby, gdybyś odmówiła.

– Sama się zaoferowałam – zauważyłam. – Nie mogę teraz się wycofać.

Nie odpowiedział, tylko przyglądał mi się, sącząc kawę.

– Polubiłam twoje dzieci – zwierzyłam się, gdy cisza się przeciągała.

– One również cię polubiły.

Poczułam, jak moje brwi podjeżdżają na czoło w zdziwieniu. To, że Ethan mnie polubił, było ewidentne, w końcu obłapiał mnie i się przytulał. Co do Amber nie byłam taka pewna.

– Córka również? – zapytałam.

– Amber lubi chłopaków, makijaż, buty i szmatki. Wspominałem o chłopakach? Trzy punkty macie wspólne, więc pewnie się do ciebie przyssie. Nie lubi za to szkoły, ojca, matki i obowiązków domowych. No i nalewania benzyny do baku. O tym ostatnim wiem, bo pięć razy musiałem podjeżdżać do niej z kanistrem, a prawo jazdy ma od dwóch miesięcy.

– O rety... – mruknęłam tylko.

– No właśnie.

Chciałam poprawić mu nieco humor, więc zapytałam:

– A czy to nie jest normalne, że dziewczyna w tym wieku nie lubi tego wszystkiego, z rodzicami włącznie?

– Może i jest. A mnie nie lubi dlatego, że jestem dokładnie taki, jak opisałaś: protekcyjny ojciec, który wie, co takiemu Noah chodzi po głowie, gdy zaprasza jego córkę na koncert z noclegiem w Bostonie. W tych sprawach jestem surowy. Chciałbym, żeby miała dobre oceny, bo wiem, że jest cholernie mądra i powinna zacząć w końcu używać rozumu do jakichś konkretów. A matki nie lubi, bo dla niej liczą się tylko faceci, a im młodszy, tym lepsi. Kryzys wieku średniego dopadł ją wyjątkowo wcześnie, więc przeszła w tryb kocicy i Amber zaczęła postrzegać ją jako konkurencję.

Chyba zachnęłam się, zniesmaczona.

– No właśnie.

– Czy to również matka... Ethana?

Pokręcił głową.

– Conner i Amber są z jednej matki. Gdzieś pomiędzy nimi poślubiłem taką jedną, ale szczęśliwie nie zaciążyła, bo cały ten cyrk trwał zaledwie trzy miesiące. Z matką Ethana byłem związany przez trzy lata. Mieszka w Raleigh z innym facetem i podlizuje mu się, jak może, rozpieszczając jego bachory. Zapomniała, że ze mną zostawiła swojego.

– Och... – szepnęłam, bo brzmiało to wszystko doprawdy okropnie.

– No tak, ale mogę ich wychować – rzucił, popijając kawę.

Biedny Ethan. Biedna Amber.

– Yo! Jake! Żarcie! – usłyszałam za nami i odwróciłam się.

Na ladzie stały dwa styropianowe pojemniki, a gdzieś w cieniu rozwalającej się budy kręcił się wciąż niewidzialny Tom.

Jake postawił przede mną pojemnik, na którym leżały jeszcze jednorazowe sztućce w przezroczystym opakowaniu i serwetka.

– Omlet z krabem, serkiem śmietankowym i zieloną cebulką – oznajmił jak wytrawny kelner.

Z niedowierzaniem stwierdziłam, że brzmi to przepysznie.

Otworzyłam pojemnik, skuszona opisem. Danie wyglądało wspaniale i pachniało obłędnie. Odstawiłam kawę i sięgnęłam po sztućce.

– Jak długo byłeś z matką Connera i Amber?

– Siedem lat – odpowiedział. – Mieszka tutaj, ale wolałbym, żeby również wyprowadziła się do Raleigh. – Zamyślił się, po czym dorzucił: – Albo do Bangladeszu.

Spojrzałam na niego rozbawiona.

– Mówiłeś, że... Amber dostaje kieszonkowe za pilnowanie brata i że Bunia się nim zajmowała. – Nabiłam na widelec pierwszy kęs. – Póki tu jestem, mogę pomóc, jeśli potrzebujesz dla niego opieki.

– Wracamy do początku, Śliczna – zagaił i zanim mogłam w końcu powiedzieć mu, żeby skończył z tymi wygłupami, dodał: – Czy już wymyśliłeś plan na resztę życia?

Wymyśliłam, popijając wino i gapiąc się w ciemność przez wielkie okna. Postanowiłam

uchylić przed nim rąbka tajemnicy.

– Zdecydowałam, że zabawię tu dłużej. Wezmę coś w stylu dziekanki. Wiele rzeczy mogę robić zdalnie, przez telefon albo mailowo. Bunia tego nie potrzebowała, ale przecież podłączenie internetu to nie problem. Nie będę się nudzić. Ale po jej stracie chciałabym choć przez chwilę... – szukałam właściwego słowa – ...poczuć, że gdzieś przynależę.

Gdy już się wywnętrzyłam, wzięłam do ust pierwszy kęs. Faktycznie, było to przepyszne. Wyczułam czosnek, świeżo zmielony pieprz, a mięso kraba było soczyste. Wyśmienite.

– To świetny pomysł, Josie. – Uniosłam wzrok i dojrzałam, że przygląda mi się uważnie.
– Zwolnij nieco. Pogódź się z odejściem Lydii. – Uśmiechnął się. – Spędź trochę czasu z nami, z ludźmi, którzy kochali ją tak samo, jak ty.

Choć ostatnie lata spędzone na walizkach i lotniskach były satysfakcjonujące i ekscytujące, ta opcja również brzmiała wspaniale. Mogliśmy sporo spraw omówić, sporo się o sobie dowiedzieć. Odpowiadało mi to. Odkroiłam kolejny kawałek i odezwałam się, zanim wpakowałam go do ust:

– Chciałabym to lepiej zrozumieć, Jake.

– Co lepiej zrozumieć?

Przeżułam, połknęłam i znowu na niego spojrzałam.

– Jak to się stało, że byliście z Bunią tak blisko.

– Teraz nie mamy czasu na takie rozmowy, bo zaraz musisz być u Weaverów.

To brzmiało jak miganie się, ale uniósł dłoń, zanim zaprotestowałam.

– Wszystko ci opowiem, kochanie, ale to bardzo długa i zawiła historia. Pewnie będziesz miała sporo pytań, a ja chciałabym mieć czas i odpowiednią atmosferę, żeby na nie odpowiedzieć.

No tak, przemyślał to i wiedziałam, że ma rację, więc tylko kiwnęłam głową i wróciłam do jedzenia.

– Zabiorę cię na kolację i wszystko opowiem – usłyszałam, gdy pałaszowałam ze smakiem.

– To da się zorganizować – rzekłam, przełknąwszy.

Uśmiechnął się szeroko.

Zadzwoił telefon w mojej torebce, ale zignorowałam dzwonek i kontynuowałam posiłek.

Zadzwoił ponownie.

– Nie odbierzesz? – zapytał Jake.

– Nie. Niegrzecznie jest rozmawiać przez telefon podczas posiłku w towarzystwie.

– Mała, nie mam nic przeciwko temu. To nie żaden wyrafinowany posiłek. Siedzimy przed Szopą.

Nie byłam przekonana, czy dobre wychowanie uznawało takie podziały. Wzięłam kolejny kęs, a telefon znowu się rozdzwoił.

– Maleńka, odbierz w końcu! Nie obrażę się, a ktoś dobija się pewnie z czymś ważnym.

Sztućce były tak lekkie, że obawiałam się, iż odfruną niesione bryzą, więc wetknęłam je pod resztki omleta i sięgnęłam po torebkę.

Na wyświetlaczu widniało imię Henry'ego.

– Przepraszam, to Henry. Może coś się stało.

Jego twarz nieznacznie się zmieniła, spochmurniała, ale mimo to wskazał brodą na telefon.

Przyłożyłam telefon do ucha i przywitałam go:

– Henry.

– Co jest, do cholery?

Zamurowało mnie, gdyż Henry nigdy wcześniej nie był tak opryskliwy. Przynajmniej

wobec mnie.

– Słucham? – zapytałam.

– Co się dzieje, do cholery, Josephine?

No właśnie, co się dzieje?

– P-przepraszam – jękałam się. – Czy coś się stało?

– A owszem, stało się! Nie dzwonisz od dwóch dni.

Oj. Faktycznie.

– Henry...

– Martwiłem się o ciebie, Josephine. Miałas się meldować, informować mnie, pozostać w kontakcie.

– Wczoraj byłeś w podróży do Rzymu – przypomniałam mu.

– Tak, ale choć to długi lot, to przecież nie trwa rok. Znasz mój rozkład zajęć. Wiesz, o której wystartowałem, o której wylądowałem. Wiesz, w jakich godzinach musiałem wyłączyć telefon.

Wiedziałam to wszystko. Zawsze wyłączałam telefon w ostatniej chwili przed startem i włączałam go w momencie lądowania.

– Przepraszam, Henry. Tutaj... dziwnie się dzieje.

– Co to znaczy dziwnie? – zapytał, zanim wybrzmiały moje słowa.

Oparłam się i spuściłam wzrok.

– Dziwnie na różnych płaszczyznach. Nie mogę teraz zagłębiać się w szczegóły, bo jem śniadanie z Jakiem i zaraz muszę jechać do Weaverów. Zadzwoń później i wszystko ci wyjaśnię.

– Z Jakiem?

– Tak, z Jakiem.

– Kim jest Jake?

– Przyjacielem Buni.

– Znam go?

Henry był w Magdalene i przedstawiłam mu mnóstwo znajomych babci. Byłam jednak pewna, że Jake'a wśród nich nie było.

– Nie sędzę.

– Czy to jakiś kumpel od brydża?

Wyobrażenie Jake'a grającego w brydża ze znajomymi Buni, którzy byli po siedemdziesiątce, sprawiło, że się uśmiechnęłam.

– Nie.

– Więc kim on jest, Josephine?

Dlaczego tak bardzo dociekał?

– To długa historia, Henry. Przepraszam, ale teraz nie mam czasu, żeby o tym opowiadać. Siedzę przed tawerną na nabrzeżu i omlet mi stygnie. Jest pyszny, więc wołałabym go zjeść, póki jest ciepły. A Jake siedzi naprzeciwko i czuję się niezręcznie, rozmawiając z tobą, bo to niegrzeczne.

Tym razem cisza po drugiej stronie się przedłużyła.

– Henry? Jesteś tam? – zapytałam w próżnię.

– Jestem – odpowiedział. – Jesz omlet na nabrzeżu?

– Tak. I jest przepyszny.

Nie skomentował.

– Henry?

– Zadzwoń do mnie, gdy będziesz wolna – zażądał szorstko. – Nieważne, która u mnie

będzie godzina. Po prostu zadzwoń, bo się zamartwiam. Wiele na ciebie spadło i jesteś tam zupełnie sama.

A więc Jake się mylił. Henry był zły, ale to wynikało z troski o mnie. Owszem, był moim pracodawcą, ale zależało mu na mnie i w sferze prywatnej. Jednak Henry również się mylił. Nie byłam sama. Jake był ze mną. Choć było dotkliwie chłodno, znowu poczułam to rozgrzewające mnie, mentalne ciepło.

– Zadzwoń – zapewniłam go.

– Powiem Danielowi, żeby odwołał zobowiązania w Paryżu.

Uniosłam wzrok na łódzie kołyszące się przy molo.

– Nie możesz tego zrobić.

– Mogę. I zrobię.

– Ale przecież to teledysk, przygotowania trwały całe miesiące! – przypomniałam mu.

– Będą musieli znaleźć innego reżysera – oznajmił stanowczo.

– Dee-Amond chce pracować tylko z tobą – zauważyłam, choć przecież dobrze o tym wiedział.

Rzeczywiście, Dee-Amond pracował wyłącznie z Henrym przez ostatnie siedemnaście lat. Był znanym artystą hip-hopowym, który zaprojektował własną linię odzieżową, bardzo oryginalną. Szybko odniosła sukces. Henry robił zdjęcia jego projektów, a przy okazji reżyserował jego teledyski.

Amond był oprócz tego diablo przystojnym, czarnoskórym zabijaką, któremu w młodości przedstawiono kilka dość poważnych zarzutów. Ustatkował się jednak i potrafił być czarujący. Pewnie właśnie dlatego spędziłam z nim dość intensywną noc siedem lat wcześniej po gali rozdania nagród muzycznych. Zasugerował, żebym dołączyła do jego „dworu”, i przyznaję, że odrzuciłam tę propozycję z wahaniem, gdyż był doprawdy szalenie przystojny, szalenie czarujący, a ta noc była szalenie przyjemna.

Nie mogłam jednakże opuścić Henry’ego. No i nie byłam przecież kobietą, która odnalazłaby się jako jedna z wielu „dam dworu”.

Henry oczywiście nigdy się o tej przygodzie nie dowiedział. Oboje z Amondem byliśmy w tej kwestii niezwykle dyskretni.

– W takim razie przełożę zdjęcia na inny termin, w którym obaj będziemy dyspozycyjni – skwitował Henry.

– Henry, nie wiem, czy to...

– Spotkasz się ze mną w Paryżu? – wtrącił się.

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe – odpowiedziałam cicho.

– W takim razie odwołuję.

– Czy możemy później to omówić? – spytałam, westchnąwszy.

– Pewnie. Teraz omlet i Jake.

Nie zabrzmiało to dobrze, był ewidentnie podminowany. Zacisnęłam usta.

– Później porozmawiamy – powiedział Henry.

– Pewnie – mruknęłam.

– No to do później, Josephine.

– Do później, Henry. Do usłyszenia.

Nie pożegnał się, po prostu przerwał połączenie. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Gapiłam się na telefon, po czym odłożyłam go do torebki, sięgnęłam po sztućce i mruknęłam do Jake’a:

– Przepraszam. Ta rozmowa niepotrzebnie się przeciągnęła.

– No i nie brzmiała zbyt dobrze.

– Odwołuje zawodowe zobowiązania, żeby tu przylecieć.
Mimowolnie zacisnął usta, ale widać było, że usiłował ukryć tę reakcję.
– Chyba przyjemnie będzie mieć przy sobie kogoś, kogo dobrze znasz.
– Nie powinien niczego odwoływać. To zdjęcia do teledysku. Musieli zdobyć pozwolenia na kręcenie w mieście. Załatwienie wszystkiego wymagało mnóstwa czasu, pieniędzy i zaangażowania.

– Jesteś warta tego wszystkiego.

Chociaż zrobiło mi się miło, musiałam zaprotestować.

– To wariactwo.

– Jesteś warta odrobiny szaleństwa.

Żeby odwrócić uwagę od mieszaniny uczuć, jaką wywoływały we mnie jego słowa, postanowiłam dokończyć teraz już zupełnie zimny omlet.

– Kiedy przylatuje? – zapytał Jake.

– Praca w Rzymie potrwa tydzień z okładem. – Spojrzałam na niego. – Jeśli faktycznie odwoła Paryż, to będzie tu w następną sobotę.

– Ach tak.

Pociągnęłam łyk kawy i dokończyłam omlet.

– Twoja oferta, chyba na nią przystanę – rzucił Jake, a ja ponownie uniosłam na niego wzrok.

– Moja oferta?

– Opieki nad Ethanem. On, Con i Amber wpadliby do ciebie po szkole. Gdy mam jakieś sprawy do załatwienia, to starsze rodzeństwo przejmuje opiekę. Muszą go gdzieś prowadzić, zapewniać rozrywki. Lydia już młoda nie była, ale dzieciaki ją uwielbiały. To nie było tak, że w jakiś szczególny sposób się nimi zajmowała. Po prostu cieszyli się swoim towarzystwem, a młodzi mieli dokąd pójść po szkole. Lubię zapewniać moim dzieciom wszystko, co najlepsze, a Lydia była zdecydowanie najlepsza.

W tej kwestii się zgodziliśmy.

– Amber potrzebuje dobrego kobiecego wzorca – dodał. – Tym również była dla niej Lydia.

Niewątpliwie.

– Amber zachowuje się tak okropnie po części dlatego, że nie radzi sobie z bólem po jej odejściu. Ethan jest zbyt młody i nie rozumie jeszcze, co się tak naprawdę wydarzyło. Con również ją uwielbiał, ale jest już prawie mężczyzną i wydaje mu się, że musi ukrywać emocje. Mając wokół siebie to wszystko, Amber nie wie, co ze sobą zrobić. Lydia dawała jej wiele, a to oznacza, że Amber wiele utraciła. – Zniżył głos. – Zresztą już pewnie sama się zorientowałaś.

Zaiste.

– W twojej osobie będą mieli jej namiastkę.

Choć nie byłam matką, takie ojcowskie rozumowanie było dla mnie jasne.

Bycie namiastką kogoś takiego jak Bunia wcale nie było złe, wręcz przeciwnie. Czy byłam dość dobra, by zająć jej miejsce? To zdawało się niewyobrażalne. Pokiwałam tylko głową.

– Amber ma szlaban na ten tydzień, a to oznacza, że i tak będzie siedzieć z Ethanem, czy to w domu, czy w Lawendowej Willi. Gdy kara się skończy, a ty zastąpisz ją przy młodym, z pewnością odetchnie. Ma szesnaście lat. Jest stanowczo zbyt młoda, żeby matkować ośmiolatкови, ale z całym majdanem klubu i siłowni na głowie zbyt często muszę ją nim obarczać.

– Odetchnie, zastąpię ją – powiedziałam cicho.

– Byłbym wdzięczny.

– Czy powinnam zacząć... już dzisiaj?
– Nie. Musisz się trochę zadomowić. Jutro sobota. Amber nie pójdzie na randkę, bo wczoraj miała niewyparzoną gębę. Posiedzą razem w weekend. Myślę, że zaczniemy od poniedziałku.

Znowu pokiwałam głową.

– Skoro Amber ma dyżur babysitterki, jutro zabiorę cię na kolację. Wszystko ci opowiem. Kolacja z Jakiem. Bez dzieci. Znowu odczułam tę dziwną ekscytację i ze zdziwieniem stwierdziłam, iż bardzo odpowiada mi towarzystwo tego mężczyzny. Dlaczego jednak to uczucie nachodziło mnie z taką intensywnością również wtedy, gdy siedział tuż obok mnie?

– Możesz się wystroić, bo tym razem zabiorę cię do porządnego lokalu – powiedział. Uczucie uderzyło mnie znowu i skumulowało się w strefach erogennych.

O rety.

– Uhm... w porządku – odpowiedziałam.

– Będę u ciebie o siódmej.

No, w końcu jakaś normalna godzina na kolację!

– Będę gotowa.

– Skończyłaś? – Wskazał brodą na omlet.

Przytaknęłam.

– No to czas, byś ruszyła do Weaverów.

Pozbierał wszystko ze stołu, zostawiając jedynie moją kawę. Wyrzucił wszystko do pustej beczki, która najwyraźniej służyła za pojemnik na odpady z całego nabrzeża, nie tylko z Szopy.

Panowie wymienili pożegnalne „nara”, ale i tym razem nie udało mi się dostrzec w czeluściach Szopy rzeczzonego Toma.

– Omlet był przepyszny! – krzyknęłam, choć pewnie nie raz już to słyszał.

Miło jednak było usłyszeć komplement i chciałam zrobić mu przyjemność, bo naprawdę bardzo mi smakowało.

– Dzięki, kochana! – odkrzyknęła ciemna nisza głosem Toma.

Jake chwycił mnie za rękę i ruszyliśmy chodnikiem, więc Tom natychmiast uleciał mi z głowy. Podobnie jak pamięć o oddychaniu. Moje serce chyba również zapomniało, że trzeba bić.

Prowadził mnie za rękę w stronę mojego auta tak, jakby nic innego nie robił w życiu. Zdawało się to całkiem naturalne.

No ale w końcu zaliczył już trzy żony, miał dorastającą córkę, a w tych kilku momentach, które spędziliśmy razem, pokazał, że potrafi być czuły i bezpośredni. Podejrzewałam, że nie tylko mnie trafiały się takie czułości. A tymczasem ja ostatni raz szłam za rękę z mężczyzną... w liceum.

Czułam się kompletnie rozbrojona. Oczywiście w bardzo pozytywny i przyjemny sposób.

– Dzięki za śniadanie – wydusiłam, gdy już przypomniałam sobie, że trzeba oddychać.

– Nie ma sprawy – mruknął.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

– Miałaś rację, omlet był przepyszny.

Odwzajemnił spojrzenie.

– A nie mówiłem?

Patrzyłam w jego oczy w kolorze burzowego nieba nad nami. Czułam to rozkoszne napięcie, gdy podprowadził mnie do auta. Pochylił się i musnął mój policzek. Znowu poczułam te zniewalające perfumy i przyjemne drapanie zarostu.

– To nara, mała – mruknął, odsuwając się.

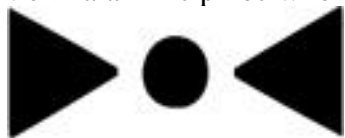
– Do zobaczenia jutro wieczorem.

Na moment ścisnął mocniej moją dłoń, po czym puścił do mnie oko i odszedł w stronę swojej ciężarówki.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam w stronę domu Weaverów.

Ciągle jednak to czułam. Rozkoszne napięcie.

Nie miałam nic przeciwko temu.



Wracałam od Weaverów. Ciągle miałam przed oczyma obraz umęczonego oblicza Elizy, jej zasznurowanych bólem ust, które z trudem otwierała, by udawać, że niezobowiązująca pogawędka nie sprawia jej trudności. Ból było widać w jej zmęczonych oczach o opadających powiekach.

Magdalene to niewielka miejscowość, a rada miejska robiła wszystko, żeby zachowała dawnego ducha nadbrzeżnej osady hrabstwa Maine. Wszelkie modernistyczne udogodnienia, fast foody i punkty usługowe starano się umieszczać z dala od ścisłego centrum. Nie znaczyło to jednak, że przy Cross Street, czyli głównej arterii, nie znajdowało się nic godnego uwagi.

Duży budynek, który niegdyś był marketem budowlanym, niedaleko skrzyżowania z Haver Way, miał teraz nowy szyld.

Od lat nie przejeżdżałam obok tego budynku. Teraz, gdy go minęłam, zawróciłam i wjechałam na duży parking przed frontowym wejściem. Złote, obwiedzione na czarno litery układały się w nazwę „Siłownia Trucka”.

I faktycznie, za skropioną mżawką szybą można było dostrzec sprzęt do ćwiczeń.

Nie była to jednak zwyczajna siłownia z bieżniami i rowerkami, ale lokal dla twardzieli, w którym znajdowały się dwa ringi, a z haków w suficie zwisały worki treningowe różnych kształtów. Pod przeciwległą ścianą faceci dźwigali sztangi i skakali na skakankach. I było ich kilku, co mnie zdziwiło, bo o tej porze zwykło się pracować, a nie boksować.

Tuż przy jednym z ringów dostrzegłam Jake’a. Przebrał się po śniadaniu i teraz miał na sobie długie czarne spodnie dresowe z charakterystycznymi białymi paskami i bluzę z długim rękawem. Nadzorował sparring na ringu, coś wykrzykiwał.

Wspominał o sali treningowej, więcej niż raz. Z pewnością to było właśnie to miejsce. No i szyld sugerował, że właścicielem był „Truck”. Tak właśnie określił go tamten palant z Breeze Point, a więc to nie mógł być przypadek.

Dowiadywałam się o Jake’u coraz więcej. I to coraz ciekawszych rzeczy. Najbardziej intrygowały mnie jego żony, w tym jedna z zaledwie trzymiesięcznym stażem. Musiał mieć prawo do opieki nad wszystkimi dziećmi, przynajmniej częściowe. Choć wspominał, że jedna z tych kobiet została w mieście, to jednak ani Amber, ani Conner nie mieszkali z nią. Jake był właścicielem klubu ze striptizem i sali treningowej dla bokserów, a były to dość rozbieżne przedsięwzięcia. Najwyraźniej był powszechnie rozpoznawalny, skoro i tamten dupek go znał, i Terry Bagiński również.

I gdy teraz obserwowałam, jak zagrzewa do walki bokserów, byłam pewna, że jeszcze wiele pozostało do odkrycia. Poczułam się zaintrygowana, choć przecież nawet nie zaczęłam poznawać wszystkich tych tajemnic.

Wycofałam z parkingu, skręciłam w Haver Way, a potem ruszyłam główną ulicą ku wylotowi z miasteczka, do Lawendowej Willi.

Wróciłam do domu, zaparzyłam sobie herbatę, po czym umościłam się na krzesło w pokoju dziennym, tuż przy oknie, i wybrałam numer Henry'ego. Choć różnica czasu była dość znacząca i we Włoszech było już późno, Henry z pewnością jeszcze nie spał. Był sową, jak ja.

– Josephine – rzekł, odbierając.

– Witaj, Henry.

Chyba oboje nie mieliśmy pojęcia, jak zacząć tę rozmowę, bo zapadła niezręczna cisza.

– Przepraszam, że nie dzwoniłam – powiedziałam pierwsza. – Przedwczoraj w domu pojawił się pewien człowiek. Wcześniej nachodził Bunię w sprawie odkupienia posiadłości, a teraz zaproponował to samo mnie. Bardzo mnie to poruszyło.

– Ktoś chce podkupić Lawendową Willę? – zapytał Henry.

– Tak, a Bunia mnie o tym nie poinformowała.

Nie powiedziała mi również o wielu innych sprawach, ale jakoś nie miałam teraz nastroju na naświetlanie ich wszystkich Henry'emu.

– I tak po prostu przyjechał do ciebie?

– Tak.

– Co za dupek! – mruknął Henry. – Przecież właśnie straciłaś babcię.

– W rzeczy samej.

– I w jaki sposób cię to poruszyło?

– Ja... – Wzięłam głęboki wdech. – Nie chcę rozstawać się z tym domem.

– Oczywiście, że nie chcesz.

Szybko przyswoił sobie tę informację.

– Pieprzyć to, kochanie – kontynuował Henry. – Każ mu zostawić cię w spokoju. Albo ja mu każę, gdy tylko się zjawię.

– Ale... – Chciałam zaprotestować, lecz Henry nie przestawał mówić.

– Pomyślałem, że obojgu nam przyda się chwila wytchnienia i że właśnie w Lawendowej Willi moglibyśmy odpocząć. No i czeka cię nieprzyjemna przeprawa, czyli przeglądanie wszystkiego, co Lydia po sobie zostawiła, z pewnością przyda ci się przy tym pomoc i wsparcie. Ale pojawił się pewien problem.

– Tak?

– Kazałem Danielowi odwołać zdjęcia w Paryżu, ale Amond się wściekł i przyczepił się do Cecile. Wypunktował jej wszystkie moje zobowiązania zapisane w kontrakcie. Teoretycznie mogę go zerwać, ale jeśli Amond się uprze, może narobić mi nieprzyjemności. Cecile poradziła, żebym nie pakował się w konflikt i nie rozwiązywał tej umowy. Za to spróbuje przełożyć Sydney. Będą mieli jeszcze sporo czasu, żeby znaleźć innego fotografa. Będzie w stanie to zrobić i zapewnić mi trochę wolnego po tym. Niestety, nie będę mógł więc dotrzeć do Magdalene jeszcze przez kilka tygodni.

Cecile była agentką Henry'ego od wielu lat. Skoro mówiła, że uda się odwołać Sydney, to znaczyło, że była w stanie to zrobić.

Odetchnęłam.

– To chyba dobry plan, Henry – powiedziałam.

– Jestem niepokojony, że zajmie to kilka tygodni – sprzeciwił się.

– Poradzę sobie – zapewniłam.

– Wiem, że sobie poradzisz, kochanie, ale mimo wszystko czuję się z tym źle.

Nie odpowiedziałam, ciesząc się w duchu, że zaczynał brzmieć znowu jak dawny Henry. Ale to trwało tylko chwilę, bo zaraz potem zapytał:

– No dobrze. Więc kim jest ten Jake?

Otworzyłam kilkakrotnie usta jak wyjęta z wody ryba.

– Jake i jego dzieci przyjaźnili się z Bunią. Jest w naszym wieku, ma trójkę dzieci, dwoje nastolatków i ośmioletniego syna, który spędzał w Lawendowej Willi wiele czasu. Oni wszyscy bardzo za nią tęsknią, więc... przeżywamy to razem. – Zniżyłam głos. – I to mi pomaga. Dobrze się czuję w towarzystwie ludzi, którzy ją kochali.

Chyba zgubił meritum mojej wypowiedzi, bo skupił się tylko na jednym:

– Dobrze się czujesz w towarzystwie tego Jake'a?

– O co ci chodzi?

– Jadłaś z nim dziś śniadanie – przypomniał mi i zaczynałam rozumieć, co sugerował.

– To nie tak – zaczęłam wyjaśniać. – Nie jestem w jego typie. Woli napompowane fryzury i... eee... napompowane inne rzeczy. No i on też raczej nie jest w moim typie.

Skłamałam, przynajmniej w ostatnim zdaniu.

Mimo to ciągnęłam:

– Jest właścicielem lokalnego klubu go-go i sali bokserskiej.

W głosie Henry'ego zabrzmiało rozbawienie.

– Czego jest właścicielem?

Powtórzyłam, a Henry zagwizdał, po czym wybuchł śmiechem.

– Lydia zadawała się z gościem, który ma jakiś ekskluzywny burdelik?

Powiedział to takim tonem, że aż zjeżyły mi się włosy na karku.

– Może i jest nieokrzesany, ale jest również miły. Jest też dobrym ojcem i bardzo kochał

Bunię.

Nie skomentował. Ale ja tak.

– Jest dla mnie miły i się o mnie troszczy. A jego córka nieco się pogubiła, za to synek jest przeuroczy. – Musiałam to powiedzieć: – Dobrze jest mieć ich przy sobie.

– No to cieszę się z tobą, kochanie. Ja również będę niedługo przy tobie, gdy tylko zdołam się wyrwać.

Potaknęłam, choć przecież nie mógł tego zobaczyć.

– Nie mogę się doczekać twojego przyjazdu.

– Nie zatrzymuję cię, ale pamiętaj, żeby dzwonić.

– Zadzwoń, Henry.

– Dobrze, kochanie. Dbaj o siebie i jeśli tylko poczujesz potrzebę, dzwoń o każdej porze.

Jake mylił się co do Henry'ego. Zależało mu na mnie, nie tylko jak na pracownicy.

– Na pewno – dodałam z uśmiechem.

– Niedługo się odezwę, Josephine.

– Dobranoc, Henry.

– Do usłyszenia, kochanie.

Rozłączyłam się i przez moment sączyłam herbatę, obserwując unoszącą się za oknem mgłę. Rozległ się dzwonek stacjonarnego telefonu. To była Ruth Fletcher, żona pastora. Po wymianie kilku niezręcznych grzeczności stanęło na tym, że wpadną do mnie w niedzielę po mszy, a ja coś ugotuję. Wolałam tak, a nie odwrotnie.

Zanim doszłam z powrotem do krzesła, zadzwoniła komórka. To był Amond. Odebrałam.

– Amond.

– Piękna, co się dzieje?

O rety.

– Amond posłuchaj, Henry jest...

– W dupie mam Henry'ego, wiem, jaki on jest. Gdyby ktokolwiek mógł zrobić za niego tę robotę, to na pewno bym go puścił. Chodzi mi o to, że straciłaś babcię i nawet nie zadzwoniłaś?

– Słucham? – Zamrugałam, wyglądając przez okno.

– Josephine, jesteś moją dziewczynką, wiesz o tym, jesteś nią, choć oficjalnie tego nie przyznajesz. Wiesz przecież, że wciąż mi cholernie na tobie zależy. Cecile powiedziała, że to była twoja jedyna krewna. A teraz ona odeszła, ty wleciesz swoją słodką białą dupkę do Maine i nawet nie powiesz o tym swojemu mężczyźnie?

– Ja... eee...

– I Henry puścił cię samą, do cholernego Maine?

– Henry ma zobowiązania – wyjaśniłam.

– Wiem, bo sam mu jedno zleciłem. Ale i tak brzmi to wszystko do dupy.

Wyprostowałam się.

– Amond, przecież to właśnie ty nie pozwoliłeś mu przesunąć zdjęć, by mógł tu przylecieć.

– Narailiśmy sobie tę robotę na długo przed śmiercią twojej babci.

Znowu ta sama gadka, z każdym facetem w moim życiu. Nawet z tymi, którzy pozornie nie znaczyli dla mnie tak wiele.

– Potrzebujesz towarzystwa?

– Poradzę sobie – zapewniłam go.

Ale chyba nie uwierzył.

– Na pewno? – dopytywał.

– Na pewno, Amond – odpowiedziałam łagodnym tonem. – Bunia miała mnóstwo przyjaciół i dobrze się tu mną opiekują. Prawie przez cały czas ktoś jest przy mnie. Wszystko w porządku, przysięgam.

– Dobra – odpowiedział po chwili wahania.

– Miło mi, że się o mnie troszczysz – powiedziałam, wzięwszy głęboki oddech.

– Josephine, za każdym razem, gdy jestem na czerwonym dywanie, myślę o tym, że sunia przy moim boku nie jest tobą. Masz klasę. Na zewnątrz jesteś królową śniegu, gorącą królową śniegu, wiesz, o czym mówię. A w środku... jesteś taka piękna i ciepła. Wiem, że to ciepło nie jest dla mnie, ale i tak je zauważyłem. Nawet mimo to mogę się troszczyć i coś ci dać. Więc jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała, dzwoń, słyszysz?

Rozłożył mnie tym monologiem na łopatki. To było bardzo miłe, słodkie i niespodziewane. Wiedziałam, że mu się podobam, bo dał mi to odczuć nie tylko podczas tamtej pamiętnej nocy, ale o wiele wcześniej, a także później. Nie wiedziałam jednakże, że to zauroczenie przetrwało tyle czasu.

– Wrócę niedługo, Amond – oznajmiłam.

– No jasne, jak tylko pojawisz się w Los Angeles, przywieziesz swój tyłeczek do mnie. Ugotuję ci coś pysznego i posłucham, jak opowiadasz o Babuni.

– Zapiszę sobie w terminarzu. – Uśmiechnęłam się.

– Dobra, piękna, nie zatrzymuję cię.

– Dzięki za telefon, Amond.

– Nie ma sprawy. Do później, Josephine!

Rozłączyłam się.

Poczułam się dziwnie, nie źle czy dobrze, po prostu dziwnie, jakby coś mi umknęło, coś, czego nie potrafiłam nazwać. Gdy tak rozmyślałam, popijając herbatę i wyglądając przez okno na szare morze, znowu zadzwonił stacjonarny telefon.

Westchnęłam, odstawiłam kubek i poszłam odebrać.

– Lawendowa Willa – rzuciłam do słuchawki.

– Josephine?

– Tak.

– Mówi Boston.

Sfrustrowana zamknęłam oczy.

– Panie Stone... – zaczęłam, ale przerwał mi.

– Nie dzwonię w sprawie domu. Po tym wszystkim, co pani babcia mi opowiedziała o tym domu i o sentymencie, jaki ma pani do tej posiadłości, zakładam, że nie zechce pani ostatecznie go sprzedać. Dzwonię, by zaprosić panią na kolację.

Dobry Boże, co tu się wyprawiało?

Na szczęście miałam gotową odpowiedź, która dla odmiany była szczerą prawdą.

– Niestety, mam już plany, panie Stone, przykro mi.

– Proszę mówić mi po imieniu.

Nie odpowiedziałam, bo nie byłam pewna, czy takie nedorzeczne imię przejdzie mi przez gardło.

– Pojutrze? – nalegał.

– Jem kolację z wielbnym Fletcherem i jego żoną.

– No to w poniedziałek.

Westchnęłam.

– Josephine? – zapytał niepewnie, gdy cisza się przedłużała.

– Panie Sto... eee... Boston, nie obraż się, ale nie jestem obecnie nastawiona na randkowanie.

– To zrozumiałe – szepnął, przełączając się w jakiś uwodzicielski tryb – ale pozwolę sobie zauważyć, że w twojej sytuacji każde spotkanie będzie lepsze od tego, co zajmuje ci umysł.

To była prawda. Mimo to akurat z nim nie zamierzałam się spotykać. Zanim sformułowałam jakąś wymijającą odpowiedź, znowu się odezwał:

– Jesteś przepiękną kobietą. Spodobałaś mi się tak bardzo, że nagiąłem zasady dobrego wychowania, by dać ci to do zrozumienia.

– To bardzo mi schlebia, ekhm, Boston. Ale...

– To drink.

Nie bardzo za nim nadażałam.

– Słucham?

– Skoro nie na kolację, to skoczmy chociaż na drinka. Przyjechałbym po ciebie, ale mam wrażenie, że wolałabyś być niezależna. W Klubie. Podam twoje nazwisko na bramce. Poniedziałek, o siódmej.

Westchnęłam.

Klub był niegdyś ekskluzywnym lokalem dla magdaleńskich nuworyszów, w którym nowobogacy mogli spotykać się i integrować bez niechcianego towarzystwa gorzej sytuowanych obywateli miasta. Ostatnimi laty dodali do baru również salę restauracyjną i choć nigdy tam nie byłam, Bunia opowiadała mi, że było to bardzo przyzwoite miejsce z pięknym widokiem na morze.

Ja miałam piękny widok na morze z własnych okien, i to pod różnymi kątami, ale czułam, że Boston Stone nie da się tak łatwo spławić. W końcu był najbardziej pożądanym kawalerem w mieście. Mogłam dać mu do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana, tylko podczas spotkania twarzą w twarz. Na przykład przy drinku, co właśnie zamierzałam uczynić.

– Dobrze. Poniedziałek. Siódma.

– Nie mogę się doczekać, Josephine! – Słyszałam, że się uśmiecha. – Do zobaczenia!
– dodał, gdy nie odpowiedziałam. – Spróbuj trochę wypocząć.

– Z pewnością to zrobię. Ty również.

– Nie omieszkam. Do widzenia, Josephine!

Przerzucaliśmy się grzecznościami, aż w końcu się rozłączyłam i zdecydowałam nie odbierać więcej telefonów. Nie zamierzałam również myśleć o tym spotkaniu, bo miało być wyłącznie okazją do zerwania wszelkich dalszych kontaktów z Bostonem Stone'em. Właśnie dlatego nie zwracałam sobie głowy żadnymi związkami. Mężczyźni potrafili być naprawdę upierdliwi!

Gdy tak siedziałam, siorbiąc herbatę, przypomniałam sobie o czymś, co powiedział Henry, i to zmusiło mnie do odstawienia kubka po raz kolejny i udania się do pokoju Buni na dole.

Nawet nie prześcieliłam łóżka. Musiałam jednak przywrócić temu pomieszczeniu jego dawną funkcję i jak najszybciej zapomnieć o tym, że to właśnie tutaj Bunia wydała ostatnie tchnienie.

Myśl o tym, że pod koniec życia nie mogła korzystać ze wszystkich pomieszczeń tego domu, choć przez całe dekady mieszkała w nim sama, przyprawiała mnie o ból serca. Musiałam jak najszybciej wyrzucić stąd wszystko, co kojarzyło się z niedołężnością i śmiercią.

Podeszłam do szafy. Otworzyłam drzwiczki i spojrzałam na jej ubrania. Natychmiast je zamknęłam i wyszłam z pokoju z gulą w gardle. Łzy przyćmiły mi wzrok. Mój umysł opustoszał, gdy szłam po schodach z powrotem do saloniku i wzięłam do ręki telefon. Wybrałam numer. Po pięciu sygnałach usłyszałam: „Spear. Zostaw wiadomość”.

– Jake? Tu Josephine. Czy ty, gdy... Zadzwoń do mnie, gdy będziesz miał wolną chwilę?

Rozłączyłam się bez pożegnania.

Dlaczego w ogóle do niego zadzwoniłam? Patrzyłam tępo na telefon, zadając sobie w duchu to pytanie. Nie znałam na nie odpowiedzi, a może właśnie znałam ją aż za dobrze.

Wlokłam się z powrotem do miejsca przy oknie, myśląc o tym, co mogłabym jeszcze zrobić tego dnia, byle oderwać się od tego wszystkiego, gdy usłyszałam dzwonek komórki.

Dzwonił Jake, więc bez zastanowienia przesunęłam palcem po ekranie, żeby odebrać.

– Jake?

– Josie, wszystko gra?

– Ja... – O Boże, co ja wyrabiałam?? – Ja... ubrania Buni – rzuciłam bez sensu i nic więcej nie mogłam wykrztusić.

– Co z nimi, kochanie?

– Poszłam do pokoju na dole – wyjaśniłam. – I zobaczyłam jej ubrania. Nie są mi potrzebne. Ktoś mógłby je przecież jeszcze nosić. I, ja... Ten pokój musi być znowu przytulny, nie mogę myśleć, że ona tam... – Przełknęłam ślinę. – Chcę, by odzyskał dawną funkcję.

Nie minęła nawet sekunda, gdy odpowiedział:

– Nie myśl o ubraniach. Nawet tam nie zaglądam. Ja się tym zajmę. Sprowadzę ekipę, przearanżujemy pokój.

Poczułam w piersi błogie ciepło i było to tak intensywne, że aż przysiadłam.

– Dziękuję... – szepnęłam do telefonu.

– Nie ma problemu, maleńka.

Ten głęboki, słodki, łagodny głos rozgrzał mnie jeszcze bardziej.

– Ja... już cię nie zatrzymuję.

– Nie ma sprawy. Możesz dzwonić w każdej chwili.

Jeszcze więcej ciepła.

– Dobrze to wiedzieć.

– Lepiej ci? – zapytał.

– Tak.

– Jestem w robocie, ale mogę wpaść później. Skoczmy na piwo? Pogadamy?

Już wiedziałam.

Wiedziałam.

Tego właśnie chciała dla mnie Bunia i dlatego zapisała mnie w spadku Jake'owi Spearowi.

Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego zataiła przede mną jego istnienie.

– Już mi lepiej, Jake. To bardzo miłe z twojej strony. Miałam tylko... – zawahałam się
– ...chwilę słabości.

– Możesz dzwonić do mnie w każdej chwili słabości.

Tak. Tego właśnie chciała dla mnie Bunia.

– Dziękuję ci, Jake – szepnęłam.

– Jestem do dyspozycji, kochanie, w każdej chwili. Poradzisz już sobie?

– Tak.

– No to do jutra.

– Do jutra.

– Do zobaczenia, Śliczna.

Znowu ten dreszcz... Rozłączył się, zanim zdążyłam zaprotestować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Trzeba podejmować wyzwania

Josie dobiegła do drzwi Lawendowej Willi w trzydzieści sekund po tym, jak Jake zadzwonił. Zamarł, widząc ją w progu.

– Cześć, Jake – rzuciła. – Wezmę tylko płaszcz.

Nie poruszył się. Widok Josie wypalał się w jego umyśle i było to bardzo przyjemne odczucie. Odwróciła się i mógł obejrzeć ją również z tyłu. I dalej stał jak wryty.

Widok jej pleców tym razem powodował niechciane poruszenie w jego rozporoku i z tym uczuciem już desperacko próbował walczyć.

Satynowa sukienka miała kolor zielonkawego, dojrzewającego jabłka. Cienkie ramiączka, dekolt-woda, obcisła góra, która podkreślała każdą krągłość. Postrzępiony rąbek muskał kolana. A z tyłu...

W mordę!

Z tyłu nic nie było! Mógł dokładnie obejrzeć sobie jej kształtne ramiona, plecy, aż do miejsca, pod którym zaczynały się pośladki. O boszzz...

Upięła włosy w niski kok na boku głowy. Jak zawsze elegancko, ale jednocześnie zadziornie. I cholernie seksownie! Choć podobało mu się to uczesanie, wołał, gdy nosiła włosy rozpuszczone, jak na zdjęciu, które posiadał. Rozpuszczone, ale nie targane wiatrem. Rozrzucone na jego poduszce.

A ta sukienka jeszcze lepiej niż na niej wyglądałaby rzucona niedbale na podłogę jego sypialni.

Wyglądała obłędnie od stóp do głów. A skoro o stopach mowa... Te pomalowane na kurewską czerwień paznokcie wyglądające z butów, które był zrobione z płataniny srebrnych rzemyków... Nikt nie byłby w stanie tego powiązać, więc z tyłu był zamek.

Zabójcze, cieniutkie obcasy.

Jak można było utrzymać równowagę na takich szpilach? A do tego na nich chodzić?

Udawało jej się i tym razem nawet się nie potknęła. Patrzył, jak przemieszcza się z gracją w stronę krzesła, z którego zgarnęła płaszcz.

W końcu się ruszył, odbierając go od niej.

– Wezmę to, Śliczna – mruknął, przytrzymując płaszcz, żeby mogła wsunąć ręce w rękawy.

Zdziwiła się, spoglądając przez ramię; usiłował odwrócić wzrok, ale gdziekolwiek nie spojrział, coś go nęciło. W końcu okrył ją połyskliwym, srebrnym płaszczykiem.

Jak niby miał zjeść z nią tę kolację, powstrzymując się od wrzucenia jej do auta, odwiezienia do domu i przelecenia, zanim wejdą dalej niż do przedpokoju??

Wczoraj miał takie same myśli, widząc ją w tych eleganckich butach, eleganckich okularkach, z szaliczkiem powiewającym na wietrze. I jakoś się opanował. Na pewno da radę i dziś. Jakoś.

Chwyciła torebkę i odwróciła się do niego.

– Jestem gotowa – powiedziała cicho, w ten kulturalny, melodyjny sposób.

– Dobrze – mruknął i ujął jej dłoń, przesuwał się w stronę wyjścia. – Zamykamy?

– Tak.

– Świetnie – mamrotał bez sensu.

Pierwszy wydobył swój klucz i zamknął za nimi drzwi. Znowu wziął ją za rękę i poprowadził w stronę swojego auta.

– Dobrze wyglądasz – zauważyła.
– Dzięki – odpowiedział rozkojarzony, wyobrażając sobie, że rozkłada przednie siedzenie i wyprawia z nią mnóstwo bezceństw, zanim gdziekolwiek pojedą.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała, gdy otwierał jej drzwiczki, usiłując okiełznać budzącą się w rozporoku bestię.

– Eaves – odpowiedział, gestem kierując ją ku fotelowi pasażera.

Zatrzymała się.

– To bardzo droga restauracja, Jake! – szepnęła.

– Maleńka, spójrz na siebie – odpowiedział. – Gdzie indziej mógłbym zabrać tak wystrojoną, światową dziewczynę?

Zawstydziła się, co również było cholernie seksowne, i pomyślał, że chciałby ją tak zawstydzić, błędząc rękoma po jej ciele, albo jeszcze lepiej ustami, ale na szczęście oderwała go od tych myśli, stwierdzając:

– Wczoraj zabrałeś mnie do Szopy.

– I zafundowałem ci najlepszy omlet w kraju – uzupełnił.

– No, to niestety prawda... – mruknęła jakby do siebie, co było urocze i wywołało jego uśmiech.

– To zdecydowanie prawda. Pakuj tyłeczek do wozu.

Przez moment się wahała, aż w końcu postawiła ten niedorzeczny bucik na stopniu i musiał chwycić ją w talii, by podsadzić.

– Dziękuję – powiedziała, gdy już się umościła. – Nie byłam pewna, czy dam radę wsiąść sama.

– No i wsiadłaś, Śliczna! – zauważył.

Już miała coś odpowiedzieć, ale wycofał się, rzucając:

– Zapnij pas!

Okrążył maskę, wskoczył do wozu po stronie kierowcy, zapiął pas i zapuścił silnik.

Ruszył wzdłuż ulicy, postanawiając mieć najtrudniejszą przeprawę za sobą.

– Jutro skończymy. Przyjdę pierwszy, by popakować rzeczy Lydii do pudeł, a potem wpadną pomocnicy. Zajrzę około dziesiątej, dołączą godzinę później. Do tego czasu musisz zdecydować, co mamy zrobić z tym pokojem. Przewiozę meble Lydii do magazynu. Jeśli zechcesz je sprzedać, Con wystawi je na aukcję. Jeśli zechcesz je odzyskać, dasz mi znać i przywiozę je z powrotem.

– W porządku, Jake – szepnęła.

– No to załatwione – odpowiedział. – Ale chłopaków targających meble będzie trzeba nakarmić. Nie musisz się specjalnie starać, pizza wystarczy.

– Nie ma problemu – rzekła, tym razem głośniej. – I dziękuję. Nie wiem, co mam powiedzieć, robisz dla mnie to...

– Nic nie musisz mówić, Josie – przerwał jej łagodnym tonem.

Usłyszał, jak wzdycha.

– Jeśli dzieci mają ochotę, niech wpadną wieczorem – zaproponowała. – Fletcherowie przychodzą na kolację, ale mogę ugościć was wszystkich.

– Nie jestem pewien, czy wolebny Fletcher będzie miał ochotę łamać się chlebem z właścicielem lokalnego klubu go-go... – odpowiedział Jake.

– Oj – szepnęła i dodała głośniej: – O tym nie pomyślałam...

– Przyjdziemy w poniedziałek. Con ma wolne, a Ethan tyle opowiadał o twojej pieczeni, że poczuł się wykluczony.

– Chętnie poznam twojego najstarszego syna, ale w poniedziałek nie mogę. Może we

wtorek?

- Nie da się, Con pracuje – odparł. – A co takiego robisz w poniedziałek wieczorem?
- Idę na drinka z Bostonem Stone'em do Klubu.

Wzjął nagły wdech, zaciskając dłonie na kierownicy i wycedził przez zaciśnięte wargi:

- Co proszę?
- No wiem – westchnęła zrezygnowana, przyznając: – Wkurzająca perspektywa.

Spojrzał na nią i faktycznie wyglądała na zirytowaną. Zwrócił wzrok z powrotem na drogę.

- Nagabuje cię w sprawie domu?
- Powiedział, że odpuścił sobie dom – wyznała. – Chciałby za to... – Przerwała, po czym dokończyła sfrustrowanym głosem: – Poznać mnie.

W mordę. Kurwa.

- Podrywa cię w kilka dni po śmierci babci?
- Najwyraźniej próbuje, no i ciężko go spławić. Postanowiłam zrobić to twarzą w twarz. O nie, nie dojdzie do tego.

Jake go spławi.

Postanowił dać jej to do zrozumienia.

- Zajmę się nim.
- Słucham?
- Zajmę się nim – powtórzył.
- Jak niby?
- Nie martw się tym jak. Wiedz, że sprawa będzie załatwiona, a ja i dzieci wpadniemy w poniedziałek.

– Ale... – Chwila przerwy, a potem: – Może zadzwonię i dam mu jaśniej do zrozumienia, że nie mam zamiaru dać mu się poznać?

- Mała, co ja przed chwilą powiedziałem?
- Co powiedziałeś?
- No właśnie, co powiedziałem?
- Że...
- Że ja się nim zajmę.

Zamilkła.

A on się gotował.

Boston Stone, pieprzony fiut!

Jake w zasadzie go nie znał, ale po tej jednej sytuacji stwierdził, że facet jest pieprzonym fiutem.

Niestety, był dla niej idealną partią. Pieniądze, klasa, władza. Wcale się nie dziwił, że Josie wpadła mu w oko. Miał fundusze, by dostać to, co najlepsze, a do tego wyczucie, co to dokładnie było. Nie musiał wcale go znać, by wiedzieć, że wiedział, co robić z tymi pieniędzmi, jak się nimi cieszyć. Woził się po całym mieście, jakby był jego właścicielem.

Chyba postanowiła zmienić temat, bo zapytała:

- Co dzieciaki robią dziś wieczorem?
- Amber strzela focha, bo musiała z powodu szlabanu odwołać randkę z Noah. Ma również bana na komórkę, więc nie może wisieć z nim na telefonie godzinami, jak ma w zwyczaju. Ethan pewnie wyżera całe śmieciowe żarcie, jakie tylko znajdzie, więc ból brzucha obudzi go o drugiej w nocy. To oznacza ni mniej, ni więcej, tylko i moją pobudkę o tej porze. A Con zawsze mnie kryje, więc zamiast wyjść z jedną ze swoich dziewczyn zaprosi ją do domu, żeby zajęła się Ethanem zamiast Amber, która znowu mogłaby coś nawywijać.

– Jedną ze swoich dziewczyn...?

– Ma pięć. Jednocześnie.

Zapadła niezręczna cisza.

– Jak może mieć pięć dziewczyn jednocześnie?

– Nie mam pojęcia, jak on to koordynuje, Śliczna, ale wiem, że to robi. Co wcale nie znaczy, że podoba im się dzielenie jednym facetem. Nie mam pojęcia, jak on wynagradza im taki układ.

– Nie widzę przyszłości dla takiego układu, Jake – oznajmiła. – Kobiety nie lubią się dzielić. Taki stan rzeczy może przetrwać chwilę, ale na pewno nie będzie trwać wiecznie.

– Skoro włożył łapę do miski ze słodyczami i nie zamierza jej wyciągać, musi liczyć się z tym, że w końcu ktoś go w nią boleśnie trzaśnie.

– To będzie dotkliwa lekcja – mruknęła.

– Conner jest jak jego ojciec. Uczy się na własnych błędach.

Wiedział, że znów na niego patrzy, gdy zaprotestowała:

– Ale w tym układzie są jeszcze inni ludzie, w tym wypadku dziewczęta i ich serca, które bardzo łatwo jest złamać.

Zerknął na nią, żeby upewnić się, że na niego patrzy, po czym pokręcił głową i zwrócił wzrok z powrotem na drogę.

– To jest ta bolesna część, Josie. Facet nie byłby facetem, gdyby nie złamał jakiegoś serca i w ten sposób nie nauczył się, żeby więcej tego nie robić. Dobrze, jeśli nauczy się, mając siedemnaście lat, a nie dwadzieścia pięć, kiedy to związki mogą już być poważne.

Dopóki nie zjechał na nabrzeże z Cross Street, milczała. W końcu się odezwała:

– A ty kiedy się tego nauczyłeś?

– Jak myślisz, dlaczego byłem żonaty trzy razy? – odpowiedział.

– No wiesz? – zapytała, a on znowu poczuł jej wzrok.

– Wcześniej. Może nie w wieku siedemnastu lat. Wypatrzyłem i rozdziewiczyłem jedną dziewczynę na pierwszym roku studiów. Czuję się jak kawał gnoja, bo w istocie nim byłem. Jak ona na mnie patrzyła... – Pokręcił głową. – Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia.

– No i to właśnie doprowadziło cię do trzech małżeństw?

– Nie chciałem widzieć tego wyrzutu. Nie wiedziałem, jak się tych kobiet pozbywać, więc zamiast tego oświadczałem im się.

– Ty... – Przerwała, a jej głos stał się piskliwy. – Żeniłeś się z nimi zamiast zrywać?

Zaśmiał się do przedniej szyby.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem Einsteinem.

– Faktycznie, nie jesteś – mruknęła.

– Ile tej prawdy jeszcze chcesz? – zapytał.

– Ile... prawdy?

– Szczerości. Bezpośredniości. Ile tego jeszcze zniesiesz?

– A czy do tej pory nie byłeś wystarczająco szczery, Jake?

Kolejne krótkie spojrzenie na nią.

– Poznajemy się dogłębnie?

– Tak.

– Jesteś moja?

– Słucham? – zapytała zszokowanym tonem.

– Czy Lydia zapisała mi ciebie w testamencie, maleńka? – doprecyzował.

– No... tak.

Tak, do cholery. No i proszę. Należała do niego.

– Więc jesteś moja – stwierdził – a to oznacza, że należysz również do moich dzieci. A to oznacza, że musimy kopać naprawdę głęboko, wywlec wszystko na światło dzienne. Niczego nie możemy ukrywać, przynajmniej ja nie mam nic do ukrycia. Trochę nawywijałem, popełniłem wiele głupich błędów, wiele spieprzyłem, ale się trzymam, a moje dzieci są zdrowe i szczęśliwe. Nie liczę oczywiście fochów Amber i jej upierdliwości, równoległych randek Cona i żałoby Ethana po jedynej babci, jaką kiedykolwiek znał.

Po chwili przerwy zapytała cicho:

– A co z jego pozostałymi babciami...?

– Moja matka nie żyje, ojciec również – odpowiedział Jake. – Ojciec jego matki też już nie żyje, a matka mieszka w Bridgewater. Słodka staruszka, ale nieco walnięta. Cierpi na zbieractwo, w ogóle nie wychodzi z domu i nie chcę, żeby mój syn zbliżał się do takiego przybytku. No i dzieli nas kawał drogi. Rozmawiają czasem przez telefon. To tyle, jeśli chodzi o dziadków.

– Przykro mi słyszeć to wszystko. O twoich rodzicach również – powiedziała łagodnym tonem.

– Tak się umówiliśmy, Josie – odparł równie delikatnie.

Nie zapytał o jej rodziców. Wiedział przecież, że jej ojciec nie żyje. Dowiedział się od kumpla gliniarza. Lydia poprosiła go o zasięgnięcie języka i Coert go o tym poinformował, jak również o tym, że jej wuj ciągle żył. Wiedział też, że jej matka po ucieczce od tego cholernego dupka, ojca Josie, ukrywała się tak skutecznie, zapewne pod fałszywą tożsamością, że nie sposób jej odnaleźć, nawet teraz, gdy ten sukinsyn od dawna nie żył.

Suka. Powinna była zabrać ze sobą córkę. Tak ją w myślach nazywał, bo zostawiła dziecko na łasce potwora.

– Może opowiesz mi coś więcej o tym, jak zginęli twoi rodzice? – zapytała ostrożnie.

Nie wahał się, był gotowy się tym podzielić.

– Ojciec miał wylew, w pracy. Kilka miesięcy przed odejściem na emeryturę. Padł i już nie wstał. Ethan urodził się trzy miesiące po jego odejściu.

– Jake... – To było wszystko, co zdołała wydusić.

– Matka umarła, gdy Ethan kończył dwa lata. Nawet jej nie pamięta. Złapała jakąś infekcję, ale zbagatelizowała to, bo sądziła, że jest po prostu smutna i przemęczona po śmierci męża. Zanim zrobiła jakiegokolwiek badania, spustoszenia w sercu były znaczące, zbyt rozległe, by dało się to wyleczyć. Kilka miesięcy później po prostu się nie obudziła. Amber była z nią blisko. I tak samo jak w przypadku Lydii, źle zniosła jej śmierć.

Nie było nic więcej do dodania. Spojrzał na moment w bok i dostrzegł, że Josephine wygląda przez okno. Kurde, ale był złamasem!

– Josie, przepraszam – powiedział łagodnie. – Przepraszam, maleńka, nie powinienem obarczać cię tym wszystkim.

– Takie jest życie, Jake – odpowiedziała cicho. – A ty po prostu... – zawahała się – ...jesteś szczery.

Zbyt szczery.

– Kończymy ten temat.

Nie odpowiedziała.

– A skoro już przy szczerości jesteśmy... – odezwała się po chwili milczenia. – Co z tymi twoimi żonami?

No miodzio.

Ze złamasa zmieni się w idiotę, jeśli zaczniesz się z tego spowiadać.

– Pierwsza, Donna, ją kochałem. Chyba nie powinienem był się z nią rozwodzić, ale się

upierała. Nie wiedziałem dlaczego, ale puściłem ją wolno.

– Dziwnie to brzmi...

– Bo to było dziwne – zgodził się. – Do dziś nie rozumiem, co się tak naprawdę stało, ale staram się o tym nie myśleć, bo gdy zaczynam, to tylko się wściekam.

– Nie musisz się wdawać w szczegóły.

Uśmiechnął się.

– Mała, chyba trochę na to za późno, nie sądzisz? Już trochę kart pokazałem.

– Faktycznie – potwierdziła i musiał rzucić na nią okiem, by potwierdzić, że zrobiła to z uśmiechem. To krótkie spojrzenie... Była ładna, ale gdy się uśmiechała...

Cholera.

– Nie chcę, żebyś się denerwował – zapewniła.

– To było dawno temu, emocje już opadły.

– No to mów.

– Nie wiem, co w niej siedziało – zaczął – ale przez to sporo się kłóciliśmy. Upierała się przy wszystkim, nie chciała mi odpuścić, aż nagle zapragnęła się uwolnić z tego związku. Zaczęło się chyba od tego, że zażyczyła sobie nowego samochodu. Nie mogłem sobie pozwolić na nowkę, więc kupiłem z drugiej ręki. Był lepszy od tego, którym jeździła wcześniej, więc sądziłem, że będzie zadowolona. Nie była. Stwierdziła, że nigdy jej nie słucham. Słuchałem, ale przecież nie mogliśmy sobie pozwolić na auto z salonu. Wkurzyła się i w końcu wykopała mnie z domu. Straciła faceta, ale nowe auto w końcu sobie kupiła.

– To jest niedorzeczne! – wtrąciła Josie, a jej nagła złość sprawiła, że z trudem powstrzymał rozbawiony grymas. Lubił, gdy wzbudzała w nim to uczucie.

– Zdarza się. Pokajała się i chciała się ponownie zejść, ale ten jej charakterek ciągle wpływał, więc choć sądziłem, że byliśmy dobrym małżeństwem, ostatecznie się nie udało. Nie mogłem być z kimś, kto przedłożył nową furę nad małżeństwo i rodzinę.

– Nie mogę się nie zgodzić – stwierdziła i tym razem już nie walczył z uśmiechem.

– No cóż, życie potoczyło się dalej. Gdybym został z Donną, Ethan by się nie urodził, więc ostatecznie dobrze się ułożyło.

– Pewnie – zgodziła się.

Zabrzmiało to poetycko i nie wiedział, co miała na myśli, ale podobał mu się ten ton.

– Mandy, druga, była niezłą laską – opowiadał dalej. – Chyba też ją kochałem. Była bardzo za mną, starała się również matkować dzieciom. Gdy się oświadczyłem, zdałem sobie sprawę, że chce mnie tylko dla siebie, cały czas. Ale nie mogła zająć w ciążę. I pewnego dnia po prostu zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Papiery rozwodowe przyszły pocztą. Od tamtej pory jej nie widziałem. Dzieci cieszyły się, że zniknęła, ale mną trochę to wstrząsnęło.

– Wstrząs brzmi nieprzyjemnie...

Jake pokręcił głową, nie mógł się przyzwyczaić do tego, jak się wysławiała.

Sposób, w jaki dobierała słowa, i ten zachowawczy ton, wszystko to sprawiało, że co chwilę miał ochotę albo się roześmiać, albo ją pocałować.

Tego drugiego nie mógł uczynić, no i nie był pewien, czy doceniłaby to pierwsze, więc profilaktycznie nie robił nic z tych rzeczy.

– Spokojnie, kochanie, nie masz się co martwić. Szybko przebolełem jej narzekający tyłek. Nie było to fajne, przyznaję. Ale ona po prostu taka była. Pozbyłem się jej szybko, bo nic innego mi nie pozostało w tej sytuacji.

– A ostatnia? – dopytała, gdy przerwał.

– Sloane, matka Ethana?

– Tak.

– I serio chcesz, żeby było szczerze?

– Tak, Jake, chcę, żeby było szczerze.

Jednak uśmiechnął się, słysząc ten ton, po czym oznajmił:

– Była niesamowita w łóżku.

– I tyle? – zapytała, gdy najwyraźniej nie zamierzał kontynuować.

– Nie – odpowiedział. – Była w łóżku przezajebista!

– No wiesz... – zaczęła niepewnie. – To brzmi tak, jakbyś wcale nie chciał się z nią rozstawać.

– Otwierasz oczy i nagle dostrzegasz znaki. Gdy masz je zamknięte, to gównowo widzisz. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, to każda z nich dawała mi pretekst do tego, żeby z nią zerwać, zanim zrobi się poważnie. Nie dostrzegałem tego, bo byłem za miękkim facetem, by chcieć to widzieć.

Po chwili ciszy powiedziała:

– Nie bardzo znam się na tych sprawach, Jake, ale uważam, że mniej męskie byłoby niespróbowanie, skoro było się zakochanym. Trzeba podejmować wyzwania.

Trzeba podejmować wyzwania.

A chuj tam.

– A więc, oprócz matki Ethana, której najwyraźniej nie kochałeś, po prostu szedłeś za głosem serca.

Za głosem serca. W mordę jeża!

– Jake? – zagaiła, gdy nie odpowiadał.

– Słucham cię, mała.

– Ja nie... – Chwila ciszy. – Wszystko w porządku?

– Wyspowiadałem się z brudów, przyjąłeś je godnie – odpowiedział, odszukując jej dłoń wolną ręką. – Doceniam to, naprawdę.

– Nie ma sprawy – mruknęła, zanim odwzajemniła delikatny uścisk jego palców.

Nie wycofał dłoni, spoczywającej grzbietem na jedwabiu okrywającym jej udo. Zaciśnęła palce, jakby odruchowo. Nie puścił jej aż do momentu, w którym wjechali na podjazd przed The Eaves i zatrzymał się tuż przed głównym wejściem.

Przerzucił na jałowy bieg, otworzył drzwiczki i wyskoczył z auta, okrążył maskę i otworzył jej drzwi.

– Wsiądź tutaj, parking jest zawsze nabit. Nie chcę, żebyś się nachodziła – wyjaśnił.

– Dziękuję, Jake, to miło z twojej strony.

Odpięła pas, a gdy postawiła ostrożnie ten seksowny bucik na stopniu, ujął ją w pasie, asekurowając. Złożyła dłonie na jego ramionach, więc praktycznie wyjął ją z auta i postawił na chodniku.

Ponownie ujął jej dłoń i poprowadził przez drzwi.

Gdy schroniła się przed zimmem w foyer, dotknął jej karku i szepnął, pochylając się:

– Zaraz wracam.

– Zaczekam – mruknęła, lustrując go błękitnymi oczami, gdy odchodził pospiesznie z uśmiechem.

Gdy wrócił, jej widok w tej sukni poraził go. Odebrano już jej płaszcz.

Spojrzała w jego stronę, kąciki jej ust uniosły się, spojrzenie pojaśniało, po czym powiedziała:

– Spytałam o nasz stolik, jest już gotowy.

Wyciągnęła do niego dłoń.

Mógłby ująć jej dłoń i dać się poprowadzić dokądkolwiek, wszędzie. Ten uśmiech, to

spojrzenie i mogłaby poprowadzić go do samego piekła, zrozumiał to właśnie w tej chwili.

Popieprzona myśl.

Wiedział również, że była w głębokiej żałobie po Lydii. Nie zamierzała sprzedać domu, bo to złamałoby nie tylko serce Lydii – gdyby jeszcze mogło – ale i jego dzieciom. Czuwała przy umierającej kobiecie, którą ledwie знаła, by jej mąż mógł odpocząć. I potrafiła przebić się przez ścianę, którą zbudowała wokół siebie jego wiecznie nafochowana, dorastająca córka. Córka, która dzięki Josie porzuciła idiotyczny pomysł przejścia na wegetarianizm. Josie pomogła jego synowi odrabiać lekcje. A do tego, gdy wylał na nią szambo swoich niepowodzeń życiowych, przeinterpretowała to tak, że stał się rycerzem w lśniącej zbroi. No i gdy sobie z nim nieładnie zagrała, wystawiając go, za chwilę przybiegła z przeprosinami.

Był ślepy, wchodząc w układ z Donna i Mandy. Jednak teraz jego oczy był szeroko otwarte i bardzo podobało mu się to, co widzi. Zrobił krok w przód i ujął wyciągniętą dłoń. Pozwolił jej opleść się ramieniem, gdy podchodzili do hostessy.

– Tak, jak mówiła moja towarzyszka. Spear.

– Oczywiście, proszę za mną.

Trzymał Josie tuż przy sobie, gdy podążali do stolika. Nigdy wcześniej, z żadną kobietą u boku – a było ich sporo i wszystkie wyglądały nieźle – nie czuł się tak dumny, idąc przez lokal. Gdy doszli do jego ulubionego stolika, na samym środku sali, tak, że wszyscy mogli podziwiać piękność, z którą przybył, odsunął dla niej krzesło. Usadowiła się z niewymuszoną gracją i pozwoliła hostessie rozłożyć na swoich kolanach lnianą serwetkę. Jake chwycił swoją, bo przecież nie zamierzał pozwolić, by kobieta obsługiwała go w taki sposób.

Dostali menu i czekali na kelnera, który miał opisać im specjalność wieczoru, po czym hostessa odplynęła i pojawił się ktoś, kto napełnił ich kieliszki do wody.

– Dziękuję – rzuciła Josie, unosząc wzrok.

Później spojrzała na niego płomiennym wzrokiem. Poczul w piersi coś na kształt strachu, po raz drugi tego wieczoru.

Josie przechyliła się przez stolik, gdy zostali sami.

– Byłam tu z Bunią trzy razy – powiedziała.

Cholera. Czyżby źle zinterpretował ten szklany wzrok i oczy błyszczały jej od łez?

– Uwielbiam to miejsce – kontynuowała. – Dwa razy były to moje urodziny, raz jej. To jedna z moich ulubionych restauracji na całym świecie.

Uff, to chyba dobrze.

Uśmiechnęła się, ukazując ładne, białe zęby, aż cała jej twarz się rozjaśniła.

Ścisnęło go za mostkiem. Widział już jej uśmiech, ale nie taki. Fenomenalny.

– Zajrzałam już do Breeze Point, bo również tam bywałyśmy, częściej, gdyż ceny nie są tak kosmiczne. Dziwne wspomnienie, bo choć byłam sama i dopadł mnie melancholijny nastrój, pojawił się jakiś dziwny mężczyzna i wszystko zepsuł – zwierzyła się, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. – Ale teraz, gdy jestem taka wystrojona, a ty taki przystojny w garniturze, szarmancki i uroczy, gdy tak siedzimy sobie w eleganckim lokalu i za moment zjemy przepyszny posiłek, wiem, że Bunia byłaby szczęśliwa, iż dzielimy te chwile ze sobą. Nie jestem więc już smutna.

Upiła łyk wody, patrząc na niego. Nie był w stanie odpowiedzieć, ten uśmiech go onieśmielał, a słowa dawały do myślenia.

– Stworzymy razem cudowne wspomnienie, czyż to nie wspaniałe? – zapytała.

– Pewnie, mała – wydusił z siebie odpowiedź.

Kolejne zdanie, wygłoszone z tym zniewalającym uśmiechem, znów zatrzęsło jego światem w posadach.

– Dziękuję, że to dla mnie robisz. To naprawdę wiele znaczy.

– Nie ma sprawy, kochanie – szepnął.

I wówczas coś stało się dla niego jasne. Gdy po raz pierwszy ją zobaczył, była szalenie okryta woalem żałoby, choć udawała, że jakoś sobie z tym radzi, z dnia na dzień załatwiając swoje sprawy. Teraz była po prostu szczęśliwa. I to on stał się przyczyną tego szczęścia. To było cholernie świetne uczucie!

Pochyliła głowę nad menu i mruzczała do siebie:

– Ciekawe, co wyjątkowego dziś serwują? Zawsze mają jakieś świetne danie w ofercie...

– Nie żałuj sobie, Śliczna, zamawiaj, na co masz ochotę – odpowiedział, a ona znów na moment uniosła wzrok i posłała mu olśniewający uśmiech.

Odpowiedział tym samym, zerkając w kartę dań.

Zanim się zdecydował, pojawił się kelner i Jake dostrzegł ze zdziwieniem, że stawia przed Josie kieliszek szampana.

– Dobry wieczór – rzucił, a Jake przeniósł wzrok najpierw na Josie, a potem na niego.

– To od tamtego dżentelmena przy barze – rzekł z uśmiechem, wskazując dyskretnie głową.

Kelner dopytywał, co jeszcze podać do picia, ale Jake go nie słuchał, patrząc ponad ramieniem Josie, która odwróciła głowę w stronę baru.

No tak, pieprzony Boston Stone. Skurwiel miał czelność postawić drinka kobiecie, którą przyprowadził Jake!

– Proszę pana? – dopytywał kelner.

– Budweiser, w butelce, jeśli macie – zamówił szorstko.

– Oczywiście – potwierdził kelner. – Czy opisać specjalność wieczoru?

Jake spojrzął na Josie, która gapiła się na kieliszek.

– Proszę wrócić za chwilę – rzucił.

– Jak pan sobie życzy. – Kelner oddalił się.

Jake nie musiał się długo zastanawiać, co czuje jego towarzyszka, bo syknęła, gdy tylko kelner się oddalił.

– Co za bezczelność! Całkowity brak taktu! Jestem na kolacji w towarzystwie mężczyzny, a on ma czelność wysłać tu jeden kieliszek, tylko dla mnie? Tak się nie robi! To niegrzeczne i aroganckie. Czy jemu naprawdę się wydaje, że w ten sposób mi zaimponuje? Gdy wszystko, ale to absolutnie wszystko będzie robił niewłaściwie?

Gdy skończyła monolog, Jake wstał, odrzucił serwetkę na stolik i chwycił przyniesiony przez kelnera kieliszek. Już okrążył stolik, a krew się w nim gotowała, gdy poczuł, że Josie chwyta go za nadgarstek.

Spojrzał na nią, wyglądała na zmartwioną, pobladła.

– Jake... – szepnęła.

– Wszystko w porządku, mała – zapewnił ją. – Zostań tutaj, zaraz wracam.

Ucisnął delikatnie jej dłoń i krokiem przypominającym skradanie się drapieżnika podążył w stronę Stone'a.

Postawił kieliszek na barze tuż przy nim i warknął:

– Na zewnątrz!

Nie odwrócił się, by spojrzeć, czy mężczyzna podąża za nim. Może nie znał go osobiście, ale znał ten typ. Mimo tego, że pięciocentymetrowa i piętnastokilogramowa przewaga Jake'a były oczywiste, Stone nie mógł nie podjąć wyzwania, bo to ubodłoby jego męskie ego.

Wyszli na zewnątrz, stanęli twarzą w twarz.

– Masz jaja – zaczął Jake.

– To chyba oczywiste – odparł Stone z rozbawionym grymasem.

– Nie staram się być zabawny, dupku! – uciał Jake. – Poważnie? Posyłasz drinka kobiecie siedzącej ze mną przy stoliku?

– Zamówiłem całą butelkę, ale resztę postanowiłem wypić sam zamiast marnować taki trunek jak Dom Perignon na ciebie – odpowiedział Stone gładko, pewny swego.

Jake zignorował te słowa. Nie było istotne to, co Stone o nim myślał. Ani wcześniej, ani teraz.

Liczyło się tylko to, że ten dupek starł uśmiech z twarzy Josie, która przysłała tu, żeby świetnie się bawić.

– Josie jest zbyt wysublimowana, by z tobą rozmawiać – zaczął Jake – ale po drodze opowiedziała mi o twoim nedorzecznym zaproszeniu na drinka. Oznajmiła również, że wcale nie ma ochoty na to spotkanie. Razem zdecydowaliśmy, że to ja cię o tym poinformuję. No i proszę, okazja sama się nadarzyła. Słuchaj uważnie. Ona nie jest tobą zainteresowana, więc odpuść sobie. Zagranie, które przed chwilą odstawiłeś, tylko zirytowało kobietę, która ma tak wielką klasę.

– W poniedziałek się przekonamy, czy faktycznie Josephine nie jest mną zainteresowana. Czy ten koleś był głuchy, czy głupi?

– Nie usłyszałeś mnie? – powtórzył Jake. – O niczym się nie przekonasz, bo gdy ty będziesz warował w Klubie, gapiąc się na drzwi, ona będzie szykowała kolację dla mnie i dla mojej rodziny.

Przez twarz Stone'a przemknął grymas zniecierpliwienia, ale szybko się opanował i uniósł butnie głowę.

– Może i ma jakiś chwilowy kaprys, by obniżyć poprzeczkę, ale takie kobiety zawsze idą po rozum do głowy, gdy już stwierdzą, że osłabł dreszczyk emocji.

Co było z nim nie tak??

– Właśnie straciła babkę, dupku! – przypomniał mu Jake.

– W chwilach smutku dobrze zająć umysł czymś przyjemnym, a skoro zgodziła się dać mi szansę, żebym to zrobił, to już ja się postaram, by myślała tylko o przyjemnościach.

– O Boże, serio? – zapytał Jake. – Właśnie ci powiedziałem, że nie jest zainteresowana. Naprawdę myślisz, że jesteś taki wyjątkowy?

– Na szczęście ja nie muszę się z nikim porównywać i to nas różni. Wszystko nas różni, Spear. No, z jednym wyjątkiem. Obaj wiemy, że Josephine Malone jest laską do przelecenia. Dziś się o tym przekonałem, gdy zobaczyłem ją w tej kiece. I jeśli ty masz jaja, to zrób to szybko, najlepiej dziś, zanim twój urok przywiednie. Tylko proszę, nie w drzwiach Lawendowej Willi, bo tam ja ją będę brał, gdy już się jej znudzisz.

Wściekłość przyćmiła mu wzrok, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo weszła mu w pole widzenia. W nerwach nie usłyszał stukania jej obcasów, a teraz poczuł lekkie uderzenie w ramię, gdy go wymijała i wymierzyła Stone'owi siarczysty policzek.

Głowa Stone'a odskoczyła, a Jake rzucił się do przodu, by przytrzymać ją jedną ręką w talii, a drugą w poprzek piersi i odciągnąć od niego.

Była wściekła.

– Ty mendo! – syknęła, a furia Jake'a uleciała na dźwięk tej zabawnej obelgi; musiał zacisnąć zęby, by się nie roześmiać, bo było to jednocześnie słodkie i bardzo w jej stylu. – Jak śmiesz! Słów mi brak, by cię opisać! – syknęła.

Twarz Stone'a się zmieniła, patrzył wprost na nią, zaczął mrużyć jej imię.

– Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej! – warknęła gniewnie. – Myślę, że nie zdziwisz się, jeśli ci oznajmię, że po tym zachowaniu i po tym, co tu przed chwilą usłyszałam, nasze poniedziałkowe spotkanie jest nieaktualne. Powiem więcej: nie chcę cię nigdy więcej

widzieć! Czy wyrażam się jasno?

– Nie powinnaś była tego usłyszeć, ale pozwól, że wyja...

– Myślę, że świetnie się złożyło! – weszła mu w słowo. – Sądziłam, że jesteś po prostu nieczuły i arogancki, ale teraz widzę, że masz o wiele więcej wad. Szkoda, że popsujesz nam wieczór. Pierwszy naprawdę udany wieczór po śmierci mojej babci, a ty go zbrukałeś! Na szczęście jesteś łatwy do zapomnienia, więc możemy wrócić do środka i dalej cieszyć się tym wieczorem.

Jake słuchał tego wszystkiego i starał się zapamiętać, by nie wkurzać Josie.

Wyswobodziła się z jego ramion, ale ujęła jego dłoń.

– Chodźmy, Jake. Przynieśli twoje piwo, a ja nabrałam ochoty na martini.

Spojrzał na nią z uśmiechem, a potem zauważył, że Stone rzucił jej mroczne spojrzenie, co niezbyt mu się podobało. Ale teraz ten dupek nie mógł już nic zrobić. Przekreślił swoje szanse, jeśli jakiegokolwiek kiedykolwiek miał. Cała jego kasa, butelki najlepszego szampana, które mógł kupować jak oranżadę, przestały się liczyć. I on przestał istnieć dla Josie.

Pozwolił jej pociągnąć się w stronę restauracji, uśmiechając się do tych myśli i do niej.

Gdy tylko się odwrócili, straciła równowagę, ale to tylko dało mu okazję, by przyciągnąć ją do siebie i pewnie objąć ramieniem.

– Idź, mała, po prostu idź – szepnął. – Dałaś mu popalić. Mogłabyś nawet wywinąć orła w tych butach, a i tak wyglądałabyś świetnie. Dupek przestał istnieć, więc nic innego się nie liczy.

Asekurował ją na schodach i otwierał drzwi, gdy mruknęła:

– Ten facet to gad!

– O tego faceta możesz sobie wytrzeć obcasiki, bo właśnie wchodzimy do eleganckiej restauracji na martini i pyszny posiłek.

Odetchnęła, gdy przeprowadzał ją przez drzwi, i rzekła:

– Zaiste.

Poczuł jej ramię na plecach, gdy szli między stolikami.

Odsunął dla niej krzesło i zajął miejsce.

Gdy rozkładał serwetkę na kolanach, usłyszał:

– Nie myliłam się co do ciebie. Jesteś bardzo szarmancki.

– Co? – Uniósł na nią wzrok.

– To, co przed chwilą zrobiłeś, było odważne i honorowe. Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który tak by się zachował. Zareagowałeś natychmiast na moje wzburzenie.

Uśmiechnął się, zauważając:

– Zdaje się, że mnie komplementujesz.

Skinęła głową.

– Nie dziwię się, że Bunia cię lubiła. Zawsze ubolewała nad tym, że godność i rycerskość obumierają. Twierdziła, że takich mężczyzn spotyka się coraz rzadziej. Chyba jej zamysł ofiarowania mnie tobie staje się dla mnie coraz jaśniejszy. Chciała, bym tego doświadczyła.

Nic nie odpowiedział, znowu zmrożony jej słowami, które przenikały jego duszę.

– Nie rozumiem jednakże, dlaczego zataiła twoje istnienie. – Spuściła wzrok, odezwała się w podłogę: – To doświadczenie było nieprzyjemne. Moglibyśmy więc nie mówić już dziś o traumatycznych sprawach, a zamiast tego wrócić do rozkoszowania się tym wieczorem?

O Boże, tego już było za wiele! Cóż za urocze świergolenie!

– Możemy rozkoszować się, czymkolwiek zechcesz, Śliczna! – odpowiedział Jake z uśmiechem.

Jej oczy błysnęły, jakieś ciepło rozlało się po jej ciele i rozjaśniło całą jej osobę.

Uśmiechnęła się. Chłonał ten uśmiech, gdy kątem oka zauważył kelnera, który dyskretnie zbliżył się do ich stolika.

– Martini dla pani – rzucił Jake w jego stronę.

– Wódka i oliwki – uzupełniła Josie.

– Już się robi – odpowiedział kelner.

– Potem specjalność wieczoru – dodał Jake.

– Oczywiście. – Kelner ukłonił się nieznacznie. – Wrócę za chwilę.

– A teraz – zaczęła Josie, gdy odszedł – muszę wiedzieć, czy jest coś, czego Conner nie może jeść, żebym mogła zaplanować menu na poniedziałek.

Jake sięgnął po butelkę, ale nie nalał piwa do schłodzonej szklanki.

– Con jest uczulony na warzywa. – Pociągnął łyk, a gdy zobaczył, że jej oczy się rozszerzają, z jego twarzy zniknął grymas.

– To okropne! – zawołała. – Alergia na warzywa? Na wszystkie warzywa?

Odstawił butelkę i przechylił się przez stolik.

– Mała, tak się tylko mówi. Oczywiście, że nie jest uczulony, po prostu ich nie cierpi.

– Ach tak... – mruknęła, a jej spojrzenie się wyostriżyło. – Chyba powinien już z tego wyrosnąć. Brak warzyw w diecie jest bardzo niezdrowy!

– Możesz mu to powiedzieć w poniedziałek.

– Zrobię to niezwłocznie! – Wyprostowała się. – Zdaje się, że młodzi mężczyźni rosą jeszcze, nawet gdy już przekroczą dwudziestkę. Wprawdzie nie jest chucherkiem, ale kto wie, co by z niego wyrosło, gdyby zmienił dietę?

Noż w mordę, była niemożliwa!

– No właśnie, Josie, kto wie?

– Skoro już przy dietach jesteśmy, to mam ochotę na stek – zmieniła temat. – A ty, co byś zjadł?

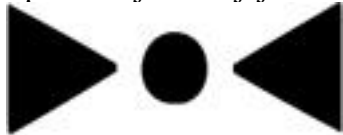
W tamtym momencie miał ochotę na uroczą, dorodną, elegancką cipkę, którą mógłby smakować, słuchając jęków właścicielki.

Oczywiście nie powiedział jej tego.

– Poczekam, co zaproponują – odpowiedział.

Uśmiechnęła się, skinąwszy głową.

A potem wjechało jej martini.



Jake siedział w wykuszowym oknie ze szklanką whisky. Obserwował taniec księżycowych promieni na powierzchni morza. Josie siedziała naprzeciwko, podwinęła pod siebie stopy, oparta o ścianę, wpatrywała się w okno.

Zaprosiła go do domu na drinka. Nalała mu szkockiej, a sobie dziwacznej purpurowej nalewki, która woniała jak lekarstwo na kaszel. Zdjęła buty (zaskoczyła go tym; po raz pierwszy pozwoliła sobie na odrobinę swobody w jego towarzystwie. Szkoda, że nie rozpuściła włosów) i poprowadziła go na górę, do ulubionego pokoju z widokiem.

To był bardzo udany wieczór. Przestał liczyć jej uśmiechy, bo uśmiechała się prawie bez przerwy. Kilka razy zaśmiała się w głos, słuchając jego historyjek o dzieciakach albo o tancerkach i wykidajkach, którzy ze sobą romansowali, zrywali i kryli się z tym wszystkim, bo w klubie panował zakaz umawiania się między pracownikami.

Ona również sprawiła, że się uśmiechał, czuł się zrelaksowany. Opowiadała o miejscach, które zwiedziła, o ludziach, z którymi pracowała. Nazwiska niektórych artystów znał, o dziwo, rozpoznał nawet imiona kilku projektantów.

Odczuł jednak pewien niepokój, a to przez sposób, w jaki o tym wszystkim opowiadała. Widocznie kochała tę pracę, a ludzi, z którymi się stykała, podziwiała i lubiła. Nawykła do podróży po świecie, do obracania się wśród elit świata mody i muzyki. Będzie niezwykle trudno przekonać ją, aby po czymś takim osiadła na wybrzeżu Maine, nawet jeśli miejscina była urocza, a jej dom stojący na klifie wspaniały.

Wyrwała go z zamyślenia, mówiąc cicho:

– Zanim u Buni pojawiły się problemy z nogami, często przesiadywałyśmy w tym pokoju. Gdy byłam młoda, wymyślałam różne historyjki, które jej opowiadałam. Wiedziała, że to były jakieś moje marzenia, mrzonki, ale nie komentowała. Siorbała swój likier czekoladowy, ja malinówkę i tak sobie siedziałyśmy, patrzyłyśmy na morze i po prostu byłyśmy, byłyśmy razem.

Jake milczał. W takim nastroju nie potrzebowała ani pocieszyciela, ani partnera do dyskusji. Potrzebowała kogoś, kto by jej wysłuchał. To właśnie zamierzał jej dać.

A jednak mylił się. Zdał sobie sprawę z tego, gdy po chwili milczenia spojrzała na niego i zapytała:

– Opowiesz mi, jak się poznaliście? – poprosiła cicho.

– Opowiem ci, co tylko chcesz, maleńka – odpowiedział równie cicho. – Moja siłownia przechodziła ciężkie chwile – zaczął, a ona uśmiechnęła się wygodniej, przechyliła głowę, słuchając. – Żeby wybić się w tym biznesie, musiałem mieć szeroką ofertę, jakieś obozy kondycyjne, zajęcia na rzeźbę, aerobik i inne pierdoły. W miasteczku takich rozmiarów siłownia bokserska to nie jest zbyt dochodowy biznes. Miałem wówczas na utrzymaniu trójkę dzieci i żonę, więc musiałem zarabiać. Jeden mój kumpel jest reporterem lokalnej gazety i gdy zdawało się, że siłownia upadnie, zrobił z tego wielką aferę, licząc na to, że przyciągnie nowych klientów: „Truck utraci siłownię. Dzieciaki utracą swoją drużynę”.

– Dzieciaki utracą swoją drużynę? – powtórzyła.

– Wprowadziłem kilku juniorów do ligi. Trenują po szkole trzy razy w tygodniu i jeżdżą na sparringi w weekendy. Dużo dzieciaków tu nie ma, ale dwudziestka, trzydziestka kręci się regularnie. Dochodu to żadnego nie przynosi, bo składki ledwie starczą na uzupełnianie braków w sprzęcie, no i na czas ich ćwiczeń siłownia jest zamknięta i nie zarabia na siebie. Ale skoro są na treningu, to nie szlajają się w tym czasie po mieście i nie pakują się w kłopoty. To wyrabia dyscyplinę, podnosi im samoocenę, pokazuje, że trzeba utrzymywać ciało w dobrej formie, i uczy, jak się o siebie zatroszczyć w razie kłopotów.

– Nigdy o tym nie wspominałeś – zauważyła.

– Aż tak długo się nie znamy, kochanie – odparł.

– Widziałam szyld „Truck”. Co to znaczy?

– Tak mówią na mnie.

– Że co proszę?

Wyszczrzył się.

– Ja jestem Truck, Josie. Kiedyś boksowałem i tak mnie nazywali.

Wyprostowała się.

– Jesteś pięściarzem?

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

– Eee... tak, jestem pięściarzem. Nawet niezłym, kiedyś. W ten sposób zdobyłem pozwolenie trenerskie, choć jest ważne tylko w tym mieście. Zacząłem boksować w młodym wieku, w ramach treningu osobistego. Nie kręciły mnie sporty zespołowe. A mojego ojca nie

kręciło posiadanie syna, który by tylko leżał na kanapie przed telewizorem. Boks mi odpowiadał. Gdy trenujesz, ludzie wpajają ci jakieś strategie, ale w ringu jest tylko przeciwnik, a to, co musisz z nim zrobić, jest dość ekstremalne. Musisz go spruć na kwaśne jabłko, żeby on nie zrobił tego samego z tobą.

– I byłeś całkiem niezłym bokserem? – zapytała, gdy przerwał.

– Ta.

– Jak dobrym?

– Odbyłem kilka płatnych walk w Vegas, tak dobrym.

– To jakiś wyznacznik? – zapytała, rozkosznie zagubiona.

– Tak, Josie – odpowiedział z uśmiechem. – To znaczy, że dobrym. Boksowałem w college’u, wypatrył mnie jakiś trener, porzuciłem szkołę po roku. Opłaciło się, bo odbyłem kilka ważnych walk. Zarobiłem przyzwoite pieniądze. Trochę podróżowałem do różnych fajnych miejsc. Lubiłem to, to było podniecające. Uwielbiałem boks. Trzeba jednak rozegrać karierę zmyślnie, wycofać się we właściwym momencie. Ciało nie może wiecznie znosić razów. Wycofałem się więc, wróciłem do Maine, założyłem siłownię.

– Ale ja ciągle nie rozumiem, dlaczego nazwali cię „Truck” – powiedziała.

– W college’u powaliłem chłopaka w trzeciej minucie pierwszej rundy. Gdy reporter gazetki zapytał go, jak się poczuł po nokaucie, stwierdził, że po moim prawym sierpowym poczuł się tak, jakby na ulicy walnęła go rozpędzona ciężarówka. I tak już zostało.

– W tym środowisku to chyba komplement...? – zapytała niepewnie.

– Tak, mała, i to wielki – potwierdził.

Błysnęła zębami w uśmiechu, zanim ponagliła go z opowieścią:

– Więc miałeś już stracić swój bokserski klub, gdy...

– No tak, gdy Lydia przeczytała o tym artykuł w gazecie. Złożyła mi wizytę. Wtedy chyba nie chodziło jej o to, że biedny „Truck” straci swoją siłownię, miała raczej na myśli dobro dzieciaków i ich małą bokserską ligę. Jakikolwiek były jej motywy, przyszła i zaoferowała mi pomoc finansową.

– Ach tak...

– Znałaś Lydię, wiesz, jaka była. Wyciągnęła ze mnie całą historię życia. Ojciec leżał już w grobie. Matka ledwie ciągnęła i w chwilę potem miałem się dowiedzieć, że jest umierająca. Skoro siłka ledwo zipała, stanąłem na bramce w Cyrku. Mieszkaliśmy na nabrzeżu w dwupokojowej norze, która cuchnęła rybami, jeśli akurat zawiewało od doków. Donna odkryła w sobie naturę kocicy, więc bardziej obchodziło ją szlajanie się niż opieka nad własnymi dziećmi w czasie jej przyznaniem. To oznaczało tylko tyle, że trafiły pod opiekę Sloane, bo Donna była zajęta puszczaniem się i opieką nad maluchem.

– Czy dlatego cię zostawiła?

– Nie zostawiła mnie, sam ją wykopałem.

– Ty zakończyłeś ten związek? – zapytała Josie zaskoczona.

– W końcu się nauczyłem, jak to się robi. – Pochylił się w jej stronę. – Życie czasem jest szambem, a wtedy pływałem już w nim po szyję. Wiedziałem, że żyjemy w norze. Nie chciałem, żeby moja rodzina wegetowała w takich warunkach. Byłem blisko z rodzicami i kiepsko sobie radziłem, gdy ich zabrakło. Nie byłem aż tak przywiązany do siłowni, byłem gotowy to odpuścić. Nie miałem siły o nią walczyć i chociaż ją kochałem, to przecież rodzina była ważniejsza. Pracowałem na dwa etaty, wracałem z klubu o trzeciej nad ranem, a o siódmej stawiałem się na siłowni. Drzemałem, kiedy tylko mogłem. Usiłowałem znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. A ona ją tylko pogarszała. Gdy twój facet tonie w szambie, powinnaś go wyciągać, a nie dopychać kijem.

– To prawda... – odpowiedziała szeptem.

– Tak, najprawdziwsza.

– Przykro mi, że cię wtedy nie wsparła.

Och, jakże to było słodkie!

– Mnie też było wówczas przykro – odpowiedział. – Ale gdy teraz na to patrzę, na to, jak odstawiła na bok nie tylko mnie, ale przede wszystkim Ethana, i poleciała więc sobie nowe gniazdko z nowym facetem, to wcale nie żałuję, że się jej pozbyłem.

Przez długą chwilę patrzyła mu w oczy, po czym zapytała:

– I wtedy Bunia zaoferowała ci pieniądze na wykupienie Cyrku?

– Ta – potwierdził. – To była straszna mordownia. A Dave, właściciel, był strasznym kutasem. Nie płacił dziewczynom, twierdząc, że mogą się utrzymać z samych napiwków. Miał tylko dwóch koleśi na bramce. W takich miejscach to jak proszenie się o kłopoty. Za barem stały panienki, które nie mogły pomóc w razie chryi. Ale i tak zarabiał. I to kupę kasy. I gdy postanowił sprzedać tę budę, to już wiedziałem, że jeśli ja stanę się właścicielem, to będę w stanie zarobić o wiele więcej.

– Więc powiedziałeś to Buni i ona podzieliła twoją wizję.

Jake znowu się uśmiechnął.

– Tak, uwierzyła w moją wizję. Powiedziała, że jeśli wyprowadzę na prostą siłownię, to dołoży mi resztę kasy na wykup klubu. Oczywiście odmówiłem.

Pochyliła się w jego stronę.

– Jak to odmówiłeś?

– A tak to. Miałem wziąć kasę od jakiejś litującej się nade mną staruszki?

– Ale przecież w końcu wzięłeś?

Pokiwał głową.

– Wziąłem, ale wcześniej odmówiłem chyba z tysiąc razy. A przy okazji zrozumiałem, że miała na myśli moje dobro, polubiliśmy się i wspieraliśmy się nawzajem. Poznała dzieciaki, zaangażowała się w nasze życie, a my z przyjemnością ją do niego wpuściliśmy. No i mnie urobiła. Wziąłem kasę na klub, a na siłownię pożyczkę, wykupiłem budynek. Zamknąłem Cyrk na dwa miesiące, wyremontowaliśmy go z kolegami, zrobiliśmy powtórne wielkie otwarcie. Spłaciłem Lydię po roku. Po trzech oddałem pożyczkę na siłownię. Kupiłem dom, w którym każde z moich dzieci ma własny pokój. Życie się odmieniło, przestało być do dupy. Stało się przyjemne. A to wszystko za sprawą Lydii.

– I tak się właśnie poznaliście... – powiedziała Josie delikatnie.

– Tak się właśnie poznaliśmy – odpowiedział równie łagodnie.

– Cieszę się, że była przy tobie, Jake.

– Ja też, kochanie.

Odwróciła głowę z powrotem w stronę widoku za oknem i dodała:

– Nie mogę jednak pojąć, dlaczego nigdy nie przedstawiła mi nikogo z was, ani ciebie, ani dzieci, skoro była tak bardzo zaangażowana w wasze życie.

To była nieprzyjemna strona tej sprawy. Może nie powinien wykonywać tego ryzykownego ruchu, ale postanowił, że weźmie na siebie ewentualne nieprzyjemne konsekwencje, o ile oczywiście takowe nastąpią.

– Mała, ona żyła każdym twoim przyjazdem – zaczął, a Josie odwróciła głowę w jego stronę.

– Słucham?

– Cały czas o tobie opowiadała. Byłaś dla niej wszystkim. I gdy zapowiadałaś przyjazd, bardzo się ekscytowała. Nie mogła się doczekać. Gdy wyjeżdżałaś, zaraz robiła się bardzo

smutna, tęskniła. Zgaduję, że gdy już się pojawiałaś, po prostu nie chciała się tobą dzielić.

– Ale przecież chodziliśmy na różne imprezy, spotykałam jej innych przyjaciół – zaoponowała Josie.

– Niby tak, ale ja przecież nie jestem w wieku jej innych przyjaciół, a moja rodzina nie siedzi wygodnie ulokowana w kręgu socjety, w którym ona się obracała. Nie zaprasza się nas na brydża ani herbatki po mszach.

– Co racja, to racja... – mruknęła.

– A z tego, co mi opowiadała, gdy cię nie było, rzucała się w towarzyski wir, zanim opadła z sił. Twoje przyjazdy były chwilami wytchnienia. Cieszyliście się sobą na każdej możliwej płaszczyźnie. Spijałyście nawzajem swoje życiowe doświadczenia.

Po chwili ciszy wtrąciła się:

– Przenikałyśmy się.

– Co proszę?

Spojrzała w okno.

– Gdy byliśmy razem, przenikałyśmy się. Myślałam, że tylko ja tęsknię za nią aż tak bardzo. Gdy tu byłam, chłonełam każdą chwilę z nią, każdą sekundę w tym domu. Zapisywałam je w pamięci. Nawet zanim... – przerwała na moment – ...nawet w czasach, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką. Uwielbiałam z nią być, przebywać z nią w tym domu.

– Może dlatego właśnie się nie poznaliśmy.

Znowu posłała mu spojrzenie.

– Ty i twoje dzieci nie jesteście psiapsiółkami od brydża, Jake, znaczyliście dla niej o wiele więcej. Wiem, że tak było. Na jej nocnym stoliku stoi wasze zdjęcie.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. No dobra. Wiedział, ale nie mógł tego zrobić. Nie teraz.

– Może na początku faktycznie tak to odczuwała, ale przez siedem lat...? – zastanawiała się głośno Josie.

Zgiął nogę w kolanie, pochylił się i sięgnął po jej dłoń.

– Nie znam odpowiedzi na te pytania, kochanie – powiedział łagodnie, ale czuł się z tym źle, bo przecież było to kłamstwo. – I, niestety, smutna prawda jest taka, że ona naprawdę odeszła. Zadręczasz się tym, ale musisz odpuścić, bo skoro jej już nie ma, to nikt na te pytania nie odpowie. Zaakceptuj to, że jakiegokolwiek były jej motywy, to jej wolą było również to, byśmy mieli siebie nawzajem.

– Mieli siebie nawzajem... – szepnęła.

– Dokładnie tak.

Poruszyła ręką i uściśniła jego palce, ujmując jego dłoń. Patrzyła mu w oczy i szepnęła:

– Bardzo mnie to cieszy, Jake.

– Mnie też, kochanie – odpowiedział, wytrzymując jej spojrzenie.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

Poczuł, że najbezpieczniej będzie się zbierać. Chciał wyrwać ją z tego melancholijnego nastroju i aż za dobrze wiedział, w jaki sposób usiłowałby to zrobić. Nie był Bostonem Stone'em. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, w tym wielkim czarnym kapeluszu, skrytą za okularami, poczuł zew myśliwego. Kto by nie poczuł przy takiej kobiecie?

Ale przecież znał już to uczucie, bo pojawiło się o wiele wcześniej, gdy oglądał jej zdjęcia, czytał jej listy, słuchał opowieści o niej.

Pragnął jej.

Nie miał pojęcia o zapisku w testamencie, ale przecież znał plany i pragnienia Lydii. Nigdy nie powiedziała mu wprost, że chciałaby ujrzeć ich razem, ale przecież nie musiała, bo

wciąż wysyłała sygnały. Jake uważał jednak, że Josie nie chciałaby mieć do czynienia z mężczyzną takim jak on.

Jednak gdy zbywał ją na parkingu, twierdząc, że nie jest w jego typie, wiedział, że nie mówi prawdy. Owszem, lubił natapirowane fryzury i duże cycki. Nie przeszkadzała mu ostentacyjna golizna. Ale poczuł, że kręci go również taka zgrabna dupka, smukłe nogi, zaokrąglenia we właściwych miejscach, długie jasne włosy i wielkie niebieskie oczy, wszystko to, czym natura obdarzyła Josie.

Zaskoczyła go, pojawiając się w klubie. Stwierdziła wtedy, że on również nie jest w jej typie, ale ewidentnie kłamała. Teraz jednak musiała skupić się na sobie. Straciła jedyną bliską osobę, która uratowała jej niegdyś życie, wyciągnęła ją z bagna. Stała na rozdrożu. Byłby skończonym złamasem, gdyby igrał z jej uczuciami w takiej sytuacji. Poczekaj.

Podczas kolacji powiedziała, że ten jej gówniany szef nie pojawi się przez jakieś trzy tygodnie, może dłużej. Miał więc trzy tygodnie, by zakraść się do jej serca. Delikatnie.

Na pewno przelecenie jej w okiennym wykuszu, w pokoju, w którym przesiadywała ze zmarłą dosłownie przed chwilą babką, nie było delikatne.

– Jutro czeka mnie targanie mebli, więc będę się zbierał. Muszę się wyspać.

Odruchowo zacisnęła palce na jego dłoni, jakby tym gestem próbowała go zatrzymać.

– W porządku, Jake – powiedziała wbrew sobie.

Dopił drinka i wstał, pociągając ją za sobą.

No i proszę, znowu udało jej się nie potknąć, ale przecież była na bosaka.

Trzymał ją za rękę na spiralnych schodkach, dziękując w duchu za to, że były dość szerokie, by mogli iść obok siebie. Odprowadziła go aż do drzwi.

Odebrał kieliszek z jej ręki, postawił obok swojej szklanki na stoliku stojącym przy drzwiach w holu. Wciąż nie wypuścił jej dłoni, a drugą dotknął najpierw jej karku, potem przesunął ją na plecy. Cmoknął Josie w czoło.

– To był kolejny udany wieczór, Śliczna.

Chciała coś odpowiedzieć, ale z jej ust dobyło się jedynie westchnienie, potem ciche potwierdzenie, gdy patrzyła mu głęboko w oczy, dając do zrozumienia, że wcale nie chce, żeby wychodził.

Tak. Był w jej typie. W życiu by tego nie powiedział. Nawet nie przeszło mu to przez myśl. Przez całe lata sądził, że to niemożliwe.

Ale wczoraj odkryła karty. Zadzwoiła do niego w chwili, w której zalała ją fala smutku, zrobiła to instynktownie, słyszał w jej głosie świeże emocje, gdy nagrała się na sekretarkę i potem podczas rozmowy telefonicznej.

Musiał wślizgnąć się do jej duszy, niespiesznie, głęboko. Być dla niej. Bo ona była dla niego. Dla jego dzieci. Dokładnie tak, jak życzyła sobie tego Lydia.

– Śpij dobrze, mała – mruknął.

– Ty też, Jake.

Uwolnił ją z objęć niechętnie, otworzył drzwi i wyszedł, rzucając na odchodne:

– Zamknij za mną.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Dobranoc! – zawołała, gdy się oddalił.

Przy aucie raz jeszcze się odwrócił, posyłając jej uśmiech i machnął na pożegnanie.

Również uniosła dłoń.

Po chwili zniknęła za zamkniętymi drzwiami.



Głosy z telewizora dobiegły Jake'a, gdy wszedł z garażu do kuchni. Odłożył kluczyki na blat i gdy zdejmował marynarkę, do pomieszczenia wszedł Conner.

Spojrzał na syna.

– O której macie być dziś w domu? – zapytał.

– Jest sobota, tato, mamy czas do północy.

– Ile ciastek zjadł Ethan?

– Trzy. – Conner się wyszczerzył.

– No cudnie... – mruknął Jake.

Conner oparł się o wyspę, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Pytasz, to odpowiadam. A Amber zachowywała się okropnie przez cały wieczór.

Chyba pora znów zawlec jej niesforny tyłek do Josie. Może po ich poprzednim spotkaniu nie stała się uroczym słoneczkiem, ale mieli dzień czy dwa spokoju.

– Zamienię z nią słówko.

– Może lepiej wygłoś jej kazanie – zaproponował Conner. – Ellie miała dosyć jej zrzędzenia, chciała nawet, żebym odwiózł ją do domu. Musiałem naprawdę się nagimnastykować, żeby została.

W sumie szkoda. Mogliby miziać się w aucie syna, a nie tutaj, na jego kanapie.

– Przecież mówię, że z nią pogadam, Con.

Twarz syna znowu się rozjaśniła.

– Jak tam kolacyjka? Udała się? – zapytał.

– Josie to jest to – odpowiedział.

– Trafiło cię? – spytał Conner, patrząc, jak ojciec wyciąga z lodówki butelkę wody.

– Będziemy tak sobie konwersować, podczas gdy twoja panna siedzi w salonie i gapi się w telewizor?

– Tak tylko pytam, bo Ethan twierdzi, że jest ładniutka.

– Sam się przekonasz w poniedziałek. Idziemy do niej na kolację. I, uważaj, martwi się, że nie jadasz warzyw. Ma klasę, ale jest też wnuczką Lydii, a ona truła ci tyłek przez zieleninę całymi latami. Josie dogryzła Amber pół godziny po poznaniu jej. Jestem pewien, że tobie się również dostanie.

Uśmiech syna nie zbladł.

– Wezmę to na klatę.

Jake tylko pokręcił głową, podszedł do syna i chwycił go za kark jak szczeniaka, ale pieszczotliwie.

– Wracaj do swojej laski – mruknął.

Conner butnie uniósł głowę.

Jake już miał wyjść z kuchni, ale w ostatniej chwili się odwrócił, wołając go raz jeszcze.

– Co tam? – zapytał Conner, patrząc na niego.

– Wybierz jedną – rzekł Jake cicho. – Zastanów się dobrze i dokonaj właściwego wyboru. I pozostałym daj spokój. Już się wyszumiałeś. Pora dokonać wyboru i nie zawracać im głów. To się nie przysłuży ani tobie, ani tym bardziej im, gdy w końcu zostaną porzucone. Kapujesz?

Uśmiech zniknął.

– Ale tato...

– Zaufaj staruszkowi – wciął się Jake. – Kobięce serca są delikatne i drogocenne. Nie bądź dupkiem, który je pokierusza buciurami.

Widział, jak Conner przełyka z trudem.

– To jak, rozumiemy się?

Conner zawahał się przez kilka sekund, po czym odpowiedział:

– Jasne, tato.

Jake pokiwał głową z aprobatą.

– Dobranoc, Con.

– Branoc, tato.

I to był koniec rozmowy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niestety

Gdy następnego dnia podjechałam pod dom, na podjeździe stała ciężarówka Jake'a, a on układał pudła na pace. Pudła pełne ubrań Buni. Poczułam ucisk w gardle.

Rano Jake zadzwonił i zasugerował, żebym opuściła dom na czas opróżniania pokoju. Nie musiałam tego oglądać, nie musiałam fundować sobie kolejnej traumy.

Jego troska rozgrzała mi serce (bo przecież zdążyłam się już przekonać o tym, że Jake jest bardzo troskliwy), więc zgodziłam się ulotnić. Chociaż była niedziela, zadzwoniłam do pana Weavera i zapytałam, czy nie zechciałby spędzić trochę czasu w swoim biurze, a ja posiedziałabym z jego żoną. Zgodził się z radością, więc zniknęłam z domu, dokładnie tak, jak sugerował Jake. Zostawiłam również pieniądze na pizzę dla chłopaków.

Teraz, o trzynastej, przy robocie został już tylko Jake.

Widziałam, jak zeskakuje z paki, więc wysiadłam z auta i podeszłam do niego, myśląc o tym, że sposób, w jaki zeskoczył z samochodu, wydał mi się atrakcyjny. Byłam jeszcze odurzona jego zachowaniem poprzedniego wieczoru, galanterią, dobrymi manierami, faktem, że był uważny wobec mnie i zabawny. To wszystko przydawało mu atrakcyjności, to nie ulegało wątpliwości.

– No co tam, Śliczna? – zapytał, rzucając mi uśmiezek.

Na widok tego seksownego grymasu przestałam myśleć o ubraniach w pudłach, odpowiedziałam uśmiechem i stwierdziłam:

– Nie bardzo wiem, jaką uraczyć cię odpowiedzią, Jake, bo nic konkretnego się nie dzieje. Jego grymas zmienił się w ponętny, jasny uśmiech.

Nagle zbliżył się, objął dłonią mój kark i przyciągnął mnie do siebie, po czym cmoknął w czoło.

Z trudem zwalczyłam pokusę, by unieść głowę i podstawić mu do pocałunku usta, a była to niezwykle silna pokusa, dokładnie taka sama, jaką poczułam poprzedniego wieczoru.

– Zrobione – rzucił cicho. – Chcesz zobaczyć?

Przytaknęłam.

Chwycił mnie za rękę i poprowadził do wnętrza domu.

Poczułam coś dziwnego, niedefiniowalnego, gdy stanęłam w progu i przekonałam się, że pokój wygląda jak niegdyś, wiele lat przed tym, nim Bunia przerobiła go na swoją sypialnię. Kilka rzeczy stało w niewłaściwych miejscach, trzeba było nieco przesunąć meble, ale ogólna atmosfera wróciła. Poczułam ulgę.

– Dziękuję ci, Jake – szepnęłam, omiatając wzrokiem pokój.

– W kilku pudłach umieściłem wszystko, co nie było ubraniami, są w sypialni na górze – poinformował mnie. – Do ciężarówki zapakowałem wyłącznie ubrania, tak, jak prosiłaś. Zabiorę je do Czerwonego Krzyża. Mamy to z głowy. Nie spiesz się z przeglądaniem jej rzeczy i zadzwoń, gdybyś potrzebowała pomocy.

Myliłam się.

Jake nie był po prostu miły. Był hojny, nie myślał o sobie i miał miękkie serce. On również kochał Bunię. Cała ta sytuacja z pewnością i dla niego nie była łatwa.

– Nie wiem, jak mam ci... – zaczęłam, ale przerwał, ściskając mocniej moją dłoń.

– Już wszystko załatwione. Nie musisz nic mówić ani nic robić. Po sprawie. Idziemy do przodu, kochanie.

Zacisnęłam usta i przytaknęłam.

– Chłopcy zjedli pizzę, więc sprzątnąłem pudełka i papierowe talerzyki. Wyniosłem śmieci, bo już uciekały z kubła.

Hojny.

Myślał o innych.

Miał miękkie serce.

Jake.

– Może zostaniesz chwilę i wypijesz piwo albo...? – Nie chciałam, by to brzmiało tak, jakbym go błagała.

Pokręcił głową, znowu ściskając moją dłoń.

– Chętnie bym został chwilę, ale Con jest w pracy, więc Amber zajmuje się Ethanem. Muszę ją zmienić, żeby przestała pakować mu bzdury do głowy pod moją nieobecność. Wpadniemy jutro o szóstej, jasne?

– Tak, Jake, uhm... jasne – zgodziłam się.

Uśmiech, uścisk dłoni, buziak w czoło.

Odsunął się i już mnie (niestety...) nie dotknął, ale wciąż się uśmiechał, a w końcu rzucił:

– To nara, mała!

Mrugnął, a ja poczułam motyle w brzuchu.

I odjechał.

Niestety.



W niecałe pół godziny po wyjściu Fletcherów zadzwoniła moja komórka. Odebrałam ją aż nazbyt pospiesznie, widząc, kto dzwoni.

– Jake! – przywitałam się.

– Cze, Śliczna! – odpowiedział. – Jak tam kolacyjka z wielebnym i jego panią?

Zamarłam, słysząc to.

Chciał po prostu pogadać.

Zrobiło mi się miło. Wręcz błogo.

– Było bardzo przyjemnie. Pastor jest bardzo interesującym człowiekiem, a jego żona jest doprawdy urocza! Bardzo troszczyli się o Bunię. Miło było ich ugościć.

– To super, mała.

– A co u Amber? – zapytałam, stawiając czajnik na gazie.

– Nie mam pojęcia, bo wyszła z pokoju tylko na chwilę, żeby złapać talerz z jedzeniem, i zniknęła z powrotem w swojej jaskini.

– O rety... – mruknęłam.

– Zwykle – zaczął – uczepliłbym się takiego zachowania, ale skoro i tak jemy, gapiąc się w telewizor, z talerzami na kolanach, to Amber niewiele traci. No i nie jest fanką footballu, więc wolę chyba, żeby zajęła się swoimi sprawami, a nie przeszkadzała nam w oglądaniu.

Fan footballu. Nie powinno mnie to dziwić, w końcu sam był kiedyś sportowcem. Zmartwiło mnie to, choć sama nie wiedziałam dlaczego. Może dlatego, że nie lubiłam sportów, żadnych, i nie poświęcałam im w ogóle uwagi, ponieważ mieszkając z ojcem, byłam na to skazana. A poza tym, mieliśmy się z Jakiem tylko przyjaźnić, więc kwestia wspólnych rozrywek w wolnym czasie nie miała żadnego znaczenia.

A jednak martwiłam się.

– No tak – powiedziałam na głos, nic więcej.
– Dziś jej daruję, ale jutro będzie musiała wyciągnąć nos z własnego tyłka.
– Nie zazdroszczę ci, że musisz sobie radzić z takimi sprawami.
– Ta – odpowiedział i zabrzmiało to tak, jakby był rozbawiony. – Sam sobie nie zazdroszczę!

Bez sensu, nikt by nikomu nie zazdrościł czegoś takiego.

– Jean-Michel odpisał na maila, więc może jeśli jutro opowiem o tym Amber, humor jej się trochę poprawi.

– Sądząc po jej zachowaniu ostatnio, to może zadziałać.

Uśmiechnęłam się, zadowolona z faktu, że mogę zrobić dla niej coś pozytywnego.

– Dobra, maleńka, muszę spadać. Con właśnie zjechał do domu z nachosami, więc pora na drugą połowę meczu i obżeranie się, aż puścimy pawia!

– Z nachosami?

– Z nachosami – powtórzył i wyjaśnił: – Otwierasz paczkę świeżych nachosów, do tego pikantna gotowa salsa, ser w puszcze, robisz z tego sosik i obżerasz się, moczając w tym meksykańskie chipsy.

Nie miałam pojęcia, jak smakuje „pikantna gotowa salsa”, ale na wspomnienie sera w puszcze poczułam mdłości. Znałam się na serach, próbowałam chyba wszystkich gatunków, ale ser w puszcze? Dostawałam skrętu kiszek od samego patrzenia na to świństwo.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy nie spróbowałam sera z puszki. No i proszę, skreślałam go, choć nawet nie znałam smaku. Zdecydowałam, że kupię ser w sprayu i wyrobię sobie o nim opinię empirycznie.

Nie mogłam jednak przestać mądrzyć się w myślach. Było już wpół do dziewiątej, a skoro dzieciaki miały iść następnego dnia do szkoły, to powinny niedługo położyć się do łóżek. Napchany żołądek nie sprzyjał zasypianiu, kto jadł o takiej porze?

Oczywiście nie powiedziałam tego na głos, zamiast tego rzuciłam:

– Nie mam wyjścia, muszę pozwolić ci wrócić na mecz.

– Powinnaś wpaść za tydzień pooglądać z nami.

Poczułam ciepło, ale nie na myśl o oglądaniu meczu czy jedzeniu nachosów z serem z puszki. Po prostu wizja robienia czegokolwiek z Jakiem i jego dziećmi była rozczulająca.

– Z miłą chęcią – odpowiedziałam.

– No to ustalone! – potwierdził Jake. – Do jutra, Śliczna!

No i znowu.

Śliczna.

Poprzedniego wieczoru stwierdziłam, że nie tylko lubię to przezwisko, ale wręcz je uwielbiam. Były w nim ciepło, poufałość i jakaś intymność, bo skoro mnie tak nazwał, to pewnie w jego oczach byłam ślicznotką. Nie mogłam jednak powiedzieć mu, jak wielką przyjemność sprawiało mi, gdy zwracał się do mnie w ten sposób.

– Do jutra, Jake.

– Do jutra, Josie! – usłyszałam gdzieś w tle głos Ethana.

I znowu poczułam rozlewające się po ciele ciepło.

– Powiedz Ethanowi, że nie mogę się już doczekać spotkania z nim – poprosiłam.

– Przekażę mu. Do jutra.

– Do jutra, Jake.

– Pa, Josie.

– Do widzenia.

W końcu się rozłączył.

Niestety.



Prawie rzuciłam się biegiem, gdy zabrzmiał dzwonek do drzwi. Dwie po szóstej.

Przyjechali Jake i dzieciaki.

Miałam dziś poznać Connera i przez cały dzień byłam z tego powodu podekscytowana. Z powodu przybycia Ethana i Amber także, a już najbardziej z powodu przybycia Jake'a.

Nie wiem, na jakiej podstawie zrobiłam założenie, że syn będzie odzwierciedleniem ojca. A skoro Jake był uważny, hojny, poświęcał się dla innych i miał miękkie serce, to Conner może również posiadać te cechy. Być może również troszczył się o swoją rodzinę, o Bunię i lubił spędzać z nimi czas.

Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę zawracała sobie głowę tym, co pomyśli o mnie siedemnastolatek. O tym, jaki osąd wyrobią sobie Ethan i Amber nawet przecież nie pomyślałam.

Wówczas jednak jeszcze nie znałam Jake'a. Teraz już wiedziałam, że jego młodsze dzieci mnie lubią. No i wiedziałam z całą pewnością, że ja lubiałam Jake'a. Czułam więc przemożną chęć zdobycia sympatii Connera.

Ubrałam się więc dość zwyczajnie, lecz jak zwykle z klasą. Jeansy. Zjeżdżający z ramienia lawendowy sweterek, obcisły pod biustem i na biodrach. Całości dopełniały zamśzowe, szare czółenka na dziesięciocentymetrowych szpilkach.

Wzięłam głęboki wdech, założyłam uśmiech numer pięć i otworzyłam.

Uderzyła mnie wizja jakże zbliżona do tej sprzed kilku dni. Jake wyglądał niezwykle przystojnie w swetrze z dekoltem w serek, Ethan miał na sobie bluzę z kapturem, a Amber prawie równie mocno umalowana i prawie równie niegustownie odziana, stała obok z kwaśną miną.

Conner, o wiele przystojniejszy z bliska, wyglądał prawie tak samo dobrze, jak jego ojciec. Przyglądał mi się wnikliwie.

Przełknęłam.

– Josie! – Ethan rzucił się na mnie i objął ramionami. Zdążyłam tylko położyć dłoń na jego ramieniu i spojrzeć na czubek jego głowy, gdy odskoczył raptownie, krzyząc: – Cześć!

Nie dał mi jednak czasu na odpowiedź i pognął do wnętrza domu.

– Mała... – Jake podszedł bliżej.

I jeszcze bliżej.

Poczułam jego dłoń na biodrze, ale tym razem nie cmoknął mnie w czoło. Odurzył mnie zapach jego perfum, gdy otarł się policzkiem o mój policzek i musnął ustami tuż przy moim uchu.

Z trudem powstrzymałam drżenie całego ciała wywołane tą niespodziewaną pieszczotą. Byłam w stanie odsunąć się nieco i szepnąć jego imię na powitanie.

Odwzajemnił uśmiech i przepchnął mnie delikatnie przez próg.

Znowu dotknął mojego biodra.

– Josie, poznaj mojego syna, Connera.

Wyciągnęłam do niego rękę z uśmiechem i powiedziałam grzecznie:

– Conner, słyszałam o tobie same superlatywy! Niezmiernie mi miło.

– Ty tak na poważnie? – Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Ależ oczywiście, że na poważnie! – odpowiedziałam.

Posłał mi bardzo atrakcyjny uśmiech i objął mnie poufale. Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować; właściwie niewiele było do zrobienia, bo był bardzo silny, więc tylko trwałam tak w jego uścisku, z rękoma opuszczonymi, czułam jego silne, chłodne ciało, a mimo to ten uścisk mnie rozgrzał.

Podobnie jak młodszy brat, Conner okazał się wylewny, lecz trwało to tylko chwilę. Odsunął się i powiedział:

– Najpierw Lydia, a potem Ethan ciągle o tobie opowiadali. Super, że mogę cię w końcu poznać.

– Tak... eee... super – jękałam się, po czym spojrzałam na dziewczynę. – Witaj, Amber. Ramiona jej opadły, spojrzała gdzieś poza mnie i mruknęła:

– Cze.

Wciąż na nią patrzyłam.

– Jeśli obiecasz nie marudzić, nie mamrotać i nie burczeć tego wieczoru, to pokażę ci maila, którego przysłał mi Jean-Michel. I zanim odpowiesz na tę propozycję, powiem ci tylko, że Jean-Michel był zauroczony twoją urodą i napisał o wiele więcej niż tylko kilka słów.

Uniosła na mnie wzrok.

Wytrzymałam jej spojrzenie.

– O wiele więcej!

– Naprawdę?

– W rzeczy samej! – odpowiedziałam.

– Był zauroczony moją urodą? – ciągle jeszcze szeptała, nie dowierzając.

– Nie wiem, dlaczego tak cię to dziwi, już ci przecież powiedziałam, że jesteś bardzo ładna.

Spojrzała na ojca, potem znów na mnie.

– Chyba mogę przystać na ten układ – powiedziała głośniej.

– Świetnie! – Ruszyłam w stronę kuchni, czując, że starsi członkowie rodziny Spear podążają za mną. – Pokażę ci, co zasugerował.

– Tato, jest piwo! – krzyknął Ethan, choć ojciec stał tuż obok, nie dalej niż o pięć kroków.

– Dzięki za to info, młody – odpowiedział Jake.

– Ethan, gdy już pozatwierdzimy swoje sprawy z Amber, będę robić sos holenderski. Przyda mi się pomoc – rzuciłam w jego stronę, patrząc, jak jego twarz się rozjaśnia.

– Nie wiem, co to sos holenderski, ale pewnie! – odpowiedział.

– To przepyszny sos, ale podstępny! – wyjaśniłam. – Trzeba być bardzo skrupulatnym przy przyrządzaniu go.

– Nie wiem, co to skrupulatny, ale cokolwiek to jest, wchodzę! – zapewnił mnie Ethan.

– To znaczy, że trzeba być bardzo dokładnym, Eath – wyjaśnił Jake, wchodząc dalej do pokoju.

– Umieć być dokładny – zapewnił Ethan.

Spojrzałam na Connera i dodałam:

– Polejemy nim szparagi. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś przynajmniej spróbował!

Przez jego usta przemknął uśmiech i odpowiedział:

– Pewnie.

Skinęłam na Amber i podeszłyśmy do stołu. Przystanąła obok mnie. Rzuciłam okiem na Jake'a, który sączył piwo z butelki i wcale się nie zdziwiłam, widząc, że Conner zaczyna buszować w lodówce. Ethan stał koło ojca.

– Kupiłam dziś komputer i drukarkę. Nawet już wszystko podłączyłam!

Leniwy uśmiech rozlał się na jego ustach, a ja odczułam to tak, jakby te usta rozlewały się po moim ciele. Chyba trochę ze mnie szydził, stwierdzając:

– Gratulacje, Śliczna!

Mimo to odpowiedziałam uśmiechem i kontynuowałam, niezrażona:

– Zadzwońłam również do firmy od kabłówki. Bunia ma instalację, ale nie miała podłączenia internetowego. Mogą to załatwić, ale będą musieli wejść do domu, żeby zmodernizować instalację.

– No tak – mruknął, a ja ciągle walczyłam z tym, by nie poddać się temu uśmiechowi.

– Zorientowałam się też, że ciągle płacę kosmiczne sumy za wynajęcie samochodu. Potrzebuję środka transportu. Niestety, auto Buni jest zupełnie nie w moim guście, poza tym i tak nie odpala.

Coś zmieniło się w jego twarzy, choć nie potrafiłam powiedzieć co. Zmiana była jednak na plus.

– Rzucimy z Conem okiem na tego buicka, a wy zróbcie w tym czasie sos – zaoferował.

– Będę zobowiązana – powiedziałam. – I poproszę o jeszcze jedną przysługę. Tylko raz w życiu kupowałam samochód i było to dla mnie dość nieprzyjemne doświadczenie. Zdaję sobie sprawę z tego, że sprzedawcy samochodów traktują mężczyzn poważniej niż kobiety. A ty jesteś dość rośłym mężczyzną, do tego lokalnie znanym pięściarzem, więc jeśli zechciałbyś mi towarzyszyć... Wiem, że proszę o wiele, ale...

Jake nie pozwolił mi dokończyć.

– Jak tylko będziesz gotowa, daj znać, chętnie pomogę.

Chętnie pomoże.

Zawsze chętnie pomagał w ważnych sprawach.

I to bardzo mi się w nim podobało.

– Dziękuję – odpowiedziałam cicho.

– Cokolwiek sobie zażyczysz, Josie – powiedział równie delikatnie.

Czułam, że szklą mi się oczy.

Wyczułam coś jeszcze i spojrzałam na Ethana, który uśmiechał się do ojca, potem na Connera, który przyglądał się nam naprzemiennie dociekliwym wzrokiem, a gdy spojrzałam na Amber, przekonałam się, że ona również coś podejrzewa.

– Amber. – Postanowiłam zacząć od niej. – Rzućmy okiem na materiały przysłane przez Jeana-Michela – dokończyłam, gdy spojrzała na mnie.

– Okej. – Kiwnęła głową.

Usiadłam przy stole, na którym leżała teczka z wydrukowanymi materiałami. Musiałam jakoś przenieść to na papier z telefonu, dlatego właśnie kupiłam komputer.

Amber stojąca nade mną westchnęła głośno. Bardzo przyjemny dźwięk, który sprawił, że wzięłam ją za rękę i przyciągnęłam bliżej.

– Jak widzisz, Jean-Michel naszkicował twoją twarz, jak i pojedyncze elementy, żeby lepiej się na nich skupić – wyjaśniałam, przekładając kolejną stronę. – Przy każdym rysunku dodał opis wykonania makijażu i zasugerował odpowiednie odcienie i produkty.

Odwracałam kartki, zerkając na pełną ekscytacji twarz Amber.

– Gdy już tata zdejmie ci szlaban, wybierzemy się razem do galerii handlowej i kupię ci kilka kosmetyków – zaproponowałam.

Gdy to usłyszała, oderwała wzrok od rysunku jej własnego oka, wycieniowanego brązami i zielenią, i spojrzała na mnie.

– Serio? – zapytała cicho i pomyślałam, że rodzina Spearów nadużywa tego słowa we wszelkich możliwych kontekstach.

– Tak – potwierdziłam.
– Ale... – zaczęła niepewnie – znam te marki i to wcale nie jest tanie.
– Potraktuj to jak prezent urodzinowy – odparłam.
– Ale urodziny miałam dawno temu – wahała się dalej.
– Spóźniony prezent urodzinowy – skwitowałam.
– Byłoby naprawdę super! – szepnęła i widziałam w jej urodziwej twarzy, że mówi szczerze.

– Świetnie, ale ta umowa ma ukryte drobnym drukiem dopiski – dodałam. – Warunki są takie, że będziesz nadal wyrażać się wyraźnie i poprawnie, no i wyrzucisz wszystkie swoje dotychczasowe kolorowe kosmetyki, aby nie ciągnęło cię do powrotu do dawnych, dramatycznych w wyrazie nawyków makijażowych.

Miałam ochotę jeszcze dorzucić, że powinna przestać ubierać się jak młodociana prostytutka, ale nie chciałam za bardzo naciskać.

Niestety, po tych słowach jej twarz nabrała podejrzliwego wyrazu.

– Chcesz mnie przekupić drogimi kosmetykami? – zapytała.

– Dokładnie tak – potwierdziłam.

Wytrzymałam jej intensywne spojrzenie, aż w końcu wybuchła śmiechem. Odetchnęłam z ulgą. Gdy się uśmiechała, robiła się jeszcze ładniejsza.

Spojrzała na ojca i oznajmiła:

– Wiesz, tato, pewnie byłabym mniejszym wrzodem na dupie, gdybyś i ty mnie przekupywał drogimi kosmetykami.

Jake patrzył na nią z ciepłym wyrazem twarzy.

– Zapamiętam – rzucił z uśmiechem.

Mogłam jeszcze zawrzeć w naszej umowie przekleństwa.

– No to mogę jechać na zakupy z Josie? – zapytała Amber ojca.

Podszedł do nas.

– Jak tylko szlaban się skończy, nie widzę przeciwwskazań.

Uśmiechnęłam się triumfalnie.

Gdy przeniósł wzrok na mnie, wciąż byłam rozanielona, walcząc jednocześnie z przebiegającym moje ciało dreszczem. Zbliżył się tak, że stało się to aż nieprzyzwoite, choć bardzo przyjemne, i rzekł cicho:

– Potrzebuję kluczyków do buicka, Śliczna.

– Leżą na blacie przy telefonie.

Kolejne przenikliwe spojrzenie, kolejny dreszcz. Stał tak blisko, nie poruszył się, by podejść po kluczyki...

– Mam je, tato! – zawołał Conner.

– Spoko – powiedział, wciąż patrząc mi w oczy, aż poczułam, że oddech zaczyna mi się rwać.

Pochylił się i szepnął wprost do mojego ucha:

– Niezła z ciebie petarda, Śliczna...

Nie rozumiałam, co miał na myśli, ale intencja była ewidentna. Sposób, w jaki to powiedział, mówił wszystko.

– To chyba komplement? – zapytałam.

– No raczej.

Jego bliskość i ten ton sprawiały, że ledwie kontrolowałam oddech i ciało, ale udało mi się utrzymać na ustach łagodny uśmiech. Odwzajemnił go i, niestety, odsunął się.

– Chodźmy – rzucił Conner.

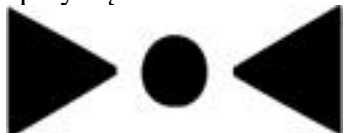
– Możemy już robić ten sos, Josie? – zapytał Ethan. – Umieram z głodu!

– Oczywiście – odpowiedziałam.

Amber wciąż siedziała przy stole i przeglądała szkice nadesłane przez Jeana-Michela. Napracował się, ale nigdy nie żałował innym swojego talentu.

– Sama chyba teraz widzisz – powiedziałam jej, a ona uniosła na mnie wzrok – że jesteś bardzo ładna, Amber. Bardzo. – Jej twarz znowu się rozjaśniła. – Nie ukrywaj tego, dziewczyno. Pozwól ludziom cieszyć oczy twoją urodą.

Rozchyliła usta, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale żaden dźwięk się nie wydostał. Dotknęłam delikatnie grzbietu jej dłoni, po czym zostawiłam ją z rysunkami i podążyłam za Ethanem przyrządzać sos.



– Nie przełączaj! – zażądałam.

Byliśmy już po kolacji i siedzieliśmy w saloniku, oglądając telewizję. Chwilę wcześniej Conner naprawdę próbował jeść szparagi, ale po każdym kęsie jego twarz zmieniała się w taki sposób, że widziałam wyraźnie, iż robi to tylko z grzeczności. W sumie takie zachowanie mówiło o nim wiele dobrego. Widziałam, jak się męczy, więc powiedziałam mu, że nie ma potrzeby się przymuszać. Postanowiłam następnym razem spróbować z brokułami.

Ethan siedział na podłodze i odrabiał lekcje przy niskim stoliku kawowym. Amber usadowiła się w fotelu i oznajmiła, że już wcześniej odrobiła swoje zadania domowe, co było dość podejrzane. Conner tymczasem oddalił się, by porozmawiać z jedną ze swoich „laseczek”, i nie wiedzieć czemu, gdy odebrał telefon, ojciec spojrział na niego świdrującym wzrokiem, a w odpowiedzi otrzymał tylko nieme „Wiem, wiem!”.

Siedziałam na kanapie obok Jake’a, który przyciągnął mnie do siebie za biodra, gdy przechodziłam obok.

Amber trzymała pilota i właśnie przełączyła na show, który bardzo lubiłam.

Gdy tylko się odezwałam, Jake mruknął:

– Maleńka, nie będziemy oglądać *Project Runway*.

– W życiu! – dorzucił Ethan.

– Ależ będziemy! – Spojrzałam na niego. – To świetny show! Widziałam już kilka odcinków i jest genialny!

Jake wytrzymał moje spojrzenie i oznajmił:

– Josie, żaden reality show nie jest świetny.

Ściągnęłam brwi i odpowiedziałam tonem znawcy:

– Tu nie chodzi o show, tylko o modę!

– To, że Josie tu zostaje, zwiastuje świetną zabawę! – oznajmiła Amber. – Teraz, gdy mam drugą dziewczynę w drużynie, możemy przeforsować programy o modzie i skończyć z tymi poniedziałkowymi meczami!

Ucieszył mnie jej komentarz, więc spojrzałam na Jake’a z triumfalnym uśmiechem.

– I tak przegapilibyśmy początek, więc w domu się nagrywa – poinformował towarzystwo. – Obejrzymy sobie po powrocie do domu. Ale teraz powinniśmy chyba wybrać coś, co odpowiada wszystkim?

– Pewnie – zgodził się Ethan.

Obawiałam się, że przepaść zainteresowań będzie nie do pokonania. Z pewnością Amber

i ja wolałyśmy popatrzeć na coś innego niż programy, które mogłyby zainteresować Jake'a, Ethana i Connera, jak już skończy pogaduszki ze swoją „laseczką”.

Ale to się przecież nie liczyło. Miałam ochotę obejrzeć *Project Runway*. Miałam też swoje sztuczki.

Przywarłam do Jake'a i zaszczębiałam łagodnym tonem:

– Jake, pozwól, że ci to wytłumaczę. W tym programie projektanci dokonują czegoś wyjątkowego. Artysta może zainspirować się wieloma rzeczami i nikt nie narzuca mu tych inspiracji. W tym programie tak się właśnie dzieje. Inspiracja jest z góry narzucana, a w takich warunkach tworzy się niezwykle trudno. Do tego czas na opracowanie projektów jest niemożliwie krótki, więc oglądanie tego to prawie jak oglądanie thrillera!

Usta mu drgnęły i uniósł brwi.

– Thrillera? – zapytał.

– Zaiste – odpowiedziałam całkiem serio. – A Tim Gunn jest wyjątkowo utalentowany. Ma oko, z jakim nie spotkałam się nigdy wcześniej, a przecież pracuję w tym biznesie od dwudziestu trzech lat. Do tego ma świetny sposób bycia, potrafi przekazywać emocje, ma eleganckie maniere i jest urodzonym dyplomata! Choćby ze względu na niego warto pooglądać ten program. Sędziowie natomiast znają się na rzeczy, a ich komentarze to złoto!

Jake śmiał się już prawie otwarcie, więc miałam nadzieję, że mięknie w nim również chęć pozbawienia mnie i Amber przyjemności oglądania. Przytuliłam się mocniej i zamierzałam dalej go kokietować, ale wtrąciła się Amber:

– O mój Boże! – wydyszała. – Teraz mnie oświeciło! Znasz Heidi albo Zaca?

Trochę zbiła mnie z tropu tym pytaniem.

– Zaca?

– Zaca Posena – wyjaśniła. – Zajął miejsce Michaela Korsy.

– O rajuśku! – szepnęłam, cała podekscytowana. – Zac Posen jest teraz wśród jurorów?

– No, i wymiata! – oznajmiła Amber.

No teraz to już musieliśmy to obejrzeć! Nie miałam czasu do stracenia.

– Zac Posen ma ogromny talent. I jest niezmiernie intrygujący! Odejdźcie Korsy to był cios, ale jestem doprawdy ciekawa, co wniesie do programu.

Aby podkreślić tę ciekawość, złożyłam dłoń na piersi Jake'a przy słowie „doprawdy”. Widziałam, że dopięłam swego. Jego twarz złagodniała, więc odczułam przyjemne, penetrujące ciepło. Penetrujące nie tylko moje serce.

– Obejrzyjmy ten wasz show – wymruczał, a ja uśmiechnęłam się szeroko, czego nie omieszkał nie zauważyć.

– Tato! – zaprotestował Ethan.

– To tylko godzinka, jakoś przeżyjesz. – Jake spojrział na syna.

– Póltorej – wyprowadziła go z błędu Amber.

– Łojezu... – mruknął zrezygnowany, co uznałam za bardzo zabawne.

Widziałam, że patrzy na moje usta, i przyjemne ciepło przesunęło się niżej.

– No to lecimy! – krzyknęła Amber, a gdy spojrzałam na nią, ponowiła pytanie: – No więc, znasz Heidi albo Zaca?

– Niestety nie – odpowiedziałam, a Amber zrzędzła mina. – Henry robił jej zdjęcia, więc kontaktowałam się z jej ekipą, ale gdy już plan był gotowy, ja byłam gdzie indziej, przygotowując lokacje do teledysku. Uczestniczyłam jednakże w przyjęciu, na którym była Nina Garcia. Rozboliła mnie głowa, więc musiałam udać się na spoczynek, zanim miałyśmy okazję porozmawiać.

– Porażka... – wymruczała Amber i miała rację, bo bardzo chciałam ją poznać.

Zignorowałam jej jakże trafną uwagę i umościłam się wygodnie, patrząc w telewizor.

– Zaczynamy, Amber! – rozkazałam.

– Ekstra! – Nacisnęła guzik na pilocie.

Śledziłam uważnie powtórkę poprzedniego odcinka, bo musiałam sporo nadrobić.

Poczułam jednak ramię Jake'a, które wślizgnęło się za moje plecy. Objął mnie i przyciągnął do siebie delikatnie. Jego ciało było ciepłe, pozycja zaś wygodna, ale żeby umościć się jeszcze bardziej komfortowo, podciągnęłam nogi na kanapę i przywarłam do jego boku.

W tym momencie pojawił się Conner i rzucił, zerkając na telewizor:

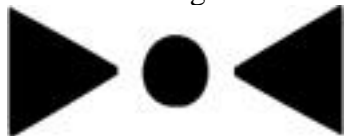
– Co za badziew? Serio? *Project Runway*?

– Szxxx! – syknęła Amber, wyprzedzając mnie.

Oderwałam wzrok od ekranu i zauważyłam, że zamiast patrzeć z odrazą na telewizor rzucił znowu podejrzliwe spojrzenie na swojego ojca i na mnie, potem przeniósł zdziwiony wzrok na Amber.

Jake umościł się wygodniej i przytulił mnie mocniej. Było mi dobrze. Oglądałam *Project Runway* z jego rodziną, komentując naprzemiennie z Amber. O dziwo, w większości kwestii się zgadzałyśmy. Gdy ostatecznie wygrał ten, którego typowałyśmy na zwycięzcę odcinka, a przegrał ten, który zaprojektował naprawdę dziwną, nieharmonijną kolekcję, i odpadł z programu, wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy.

To również rozgrzało mi serce.



– Proszę dać nam chwilkę – poprosił Jake sprzedawcę i odciągnął mnie za rękę.

Było popołudnie następnego dnia i właśnie wybrałam samochód. Auto, które, jak widziałam aż nazbyt wyraźnie, nie przypadło Jake'owi do gustu.

Zatrzymaliśmy się poza zasięgiem słuchu sprzedawcy.

– Maleńka, nie kupisz tego auta.

– Ale Jake! – zaprotestowałam. – Ma taki ładny kolor!

Spojrzał na mnie bezbrzeżnie zdziwiony.

– No i jest niedrogie – dodałam, choć przecież pieniądze nie miały tu znaczenia.

To ustaliliśmy wcześniej, dlatego zaczęliśmy wycieczkę po salonach od Porsche, Lexusa i Cadillaca, a teraz zatrzymaliśmy się w komisie w przyпыwie jakiegoś impulsu.

A tym impulsem było właśnie dojrzenie tego samochodziku na parkingu i mój krzyk:

– Zajeżdźmy jeszcze tutaj!

A Jake, jak to Jake, po prostu skręcił do komisji.

– Jest tani, bo w rok przejechał sześćdziesiąt tysięcy mil – stwierdził.

– A to dużo?

Znowu dziwnie na mnie spojrzał.

– Tak, to dużo. Taki przebieg oznacza, że pierwszy właściciel zajeżdźił to auto. A to niedobrze.

– Oj – mruknęłam tylko.

– Skoro cię stać, kupisz sobie cayenne – oznajmił.

No tak, cayenne... Bardzo luksusowe, a jazda próbna była wprost karmelowa.

Mimo to zauważyłam:

– Czy nie jest tak, że gdy kupuje się nowe auto, to traci ono bardzo dużo na wartości tuż

po wyjeździe z salonu?

– Jeśli chcesz je sprzedać po miesiącu, czy nawet roku, to rzeczywiście duża strata – odparł. – Ale w przypadku porsche płacisz za jakość. Problemy pojawiają się, o ile w ogóle, dopiero po bardzo długim użytkowaniu i będą wynikać po prostu ze zużycia pewnych części, a nie awaryjności. Porszakiem możesz jeździć przez dwie dekady, a twoim jedynym zmartwieniem będzie coroczny przegląd i wymiana oleju.

Nie miałam pojęcia, jak będą wyglądały kolejne tygodnie mojego życia, a co dopiero kolejne dwie dekady. Wiedziałam tylko, że póki co zostaję w Magdalene, w Lawendowej Willi. I właśnie do jazdy po miasteczku potrzebowałam samochodu. To był najprawdopodobniej mój pierwszy i ostatni zakup samochodu w życiu.

– No i czarny lakier – dodał Jake. – Czarny jest sexy. A czarne cayenne to już w ogóle. Ty będziesz wyglądać super za każdym kółkiem, ale za kółkiem czarnego cayenne... – Uśmiechnął się szeroko. – To klękajcie narody!

– Kupuję cayenne! – zgodziłam się.

– Dobry wybór, Śliczna! – pochwalił mnie z uśmiechem, który szybko odwzajemniłam.

Skierowaliśmy się w stronę wyjścia, trzymając się za ręce, a Jake rzucił jeszcze w stronę sprzedawcy:

– Dzięki za poświęcony czas!

Widziałam, jak mina mężczyzny rzednie.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do salonu Porsche, jakieś 30 kilometrów.

– Za tę pomoc jestem chyba wam winna kolejną rodzinną kolację.

– Kochanie, po wczorajszym łososiu, zająbistym sosie holenderskim i tym pysznym tiramisu na deser byłbym idiotą, odmawiając. Ale lubię twoje towarzystwo. Z przyjemnością zjeżdżę z tobą cały kraj i będę się sprzeczał ze sprzedawcami w twoim imieniu. Nic mi nie jesteś winna.

Chyba przestałam oddychać, gdy powiedział, że lubi moje towarzystwo. Ja również uwielbiałam jego towarzystwo. Bardzo. Z każdą chwilą coraz bardziej. Niestety, chyba lubiliśmy się w różny sposób. No cóż, przez lata trwałam u boku Henry'ego, żywiąc do niego potajemne uczucie, i jakoś przeżyłam. Mogłam przeżyć to jeszcze raz. Ale to nie było łatwe i stawało się coraz trudniejsze, w miarę jak poznawałam Jake'a i jego rodzinę coraz lepiej.

Wiedziałam, że będę to ciągnąć, bez względu na to, jak będzie trudne... Jak długo się da.

– W każdym razie, mogliśmy się obejść bez waszego show o modzie. Przynajmniej Ethan odrobił lekcje zamiast gapić się w telewizor, ale Conner to ledwie przeżył.

Zaśmiałam się do przedniej szyby.

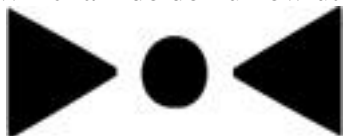
– Następnym razem przejdziemy z Amber do drugiego pokoju.

– O nie, jak przejdiesz, to nie będziesz siedzieć obok mnie na kanapie. Jakoś zniosę *Project Runway*.

Czułam, że mój uśmiech się poszerza. Rzeczywiście, lubił być przy mnie. Bardzo podobała mi się ta świadomość.

Dojechaliśmy do salonu.

Wróciłam do domu nowiutkim porsche cayenne, a Jake wytargował mi świetny upust.



Następnego dnia spędziłam sporo czasu w domu Weaverów, z niepokojem zauważając, że

choroba szybko postępuje. Wysłałam, jak tylko pan Weaver wrócił z biura.

Wsiadłam do nowiutkiego auta i chwyciłam w dłoń komórkę. Skierowałam się do centrum handlowego. No i musiałam zadzwonić do Henry'ego, jak co dzień.

– Josephine – powitał mnie z uśmiechem w głosie.

– Witaj, Henry.

– Jak się masz, serduszek? – zapytał.

– W porządku – odpowiedziałam. – Jestem bardzo zajęta. Jak już ci mówiłam, udało mi się wczoraj kupić nowy samochód. Utonęłam w papierach i straciłam całe popołudnie, więc dziś wybieram się na zakupy. W ogrodzie jest sporo roboty, a raczej nie włożę na tę okazję czegoś od Versace.

– Prace ogrodowe?

– Dokładnie. – Włączyłam kierunkowskaz i gładko skręciłam, zatrzymując się przed znakiem stopu. Jake miał rację co do tego wozu. Był świetny. – Muszę załatwić sprawunki i wracać do domu, bo Jake już dzwonił. Ma chętnego na buicka babci, więc musimy być na miejscu, gdy przyjedzie z kupcem.

– My musimy? – powtórzył Henry, jakby zdziwiony.

– Dokładnie tak – potwierdziłam, skręcając. – Ja przecież nie mam pojęcia, jak się sprzedaje samochody, więc Jake będzie dobijał targu. Jutro mają się pojawić monterzy od kablówki, żeby podłączyć Internet, no i mija też szlaban Amber, a obiecałam jej, że kupimy razem trochę kosmetyków. Przejmuję popołudniową opiekę nad Ethanem, ale jutro jeszcze jedzie z nami do galerii.

– Amber i Ethan?

– Dzieci Jake'a – wyjaśniłam. – Jest jeszcze Conner, najstarszy. Jego prawie nie widuję, bo pracuje w mieście i umawia się z kilkoma dziewczynami, więc nie ma czasu. – Zaczerpnęłam oddech i spytałam w końcu: – A co u ciebie?

Zanim odpowiedział, zabrzączał telefon.

– Sekundkę, Henry – mruknęłam, oderwałam telefon od ucha i spojrzałam na wyświetlacz. – Przepraszam cię, ale to Jake. Muszę oddzwonić, może przyjechał już kupiec buicka.

– Jose...

– Zadzwonię jutro – rzuciłam, chcąc zdążyć odebrać przychodzące połączenie od Jake'a.

– Mam nadzieję, że sobie radzisz. Trzymaj się, Henry!

Zanim odpowiedział, przełączyłam połączenia.

– Cześć, Jake!

– Cześć, Śliczna. Wszystko gra?

– U mnie tak, gorzej z Elizą.

– Cholera – zaklął po chwili ciszy. – Pogarsza jej się?

– Z dnia na dzień jest coraz gorzej.

– Musi jej być bardzo trudno. Współczuję Weaverom, ale ich nie znam. Zależy mi za to na tobie.

Zależy mu na mnie. Był taki uroczy!

– Wiesz, Jake, to okropne tak patrzeć na jej cierpienie, ale chcę być przy niej, bo wiem, że wiele znaczyła dla Buni. Cieszę się, że mogę choć trochę pomóc.

– To dobrze, kochanie – powiedział po krótkiej pauzie.

Chciałam skończyć ten niewesoły temat.

– Dzwonisz w sprawie buicka? – spytałam.

– Ta – odpowiedział. – Conner rozpuścił wici i mamy jeszcze jednego chętnego. Kazałem

mu przyjechać pół godziny po pierwszym. Jeśli oni się nie zdecydują, to plotka się rozejdzie i w końcu dostaniemy dobrą cenę.

– Cudnie!

– Ano. To co, u ciebie o czwartej?

– Tak, do zobaczenia na miejscu – potwierdziłam.

– Dobra, to na razie, Śliczna.

– Na razie, Jake.

Z jakiegoś powodu rozłączył się ze śmiechem.

Ja również się uśmiechałam, bo każda rozmowa z nim, nawet o błahostkach, wywoływała mój uśmiech.



Cztery godziny później stałam na podjeździe w towarzystwie Jake'a, patrząc za odjeżdżającymi autami. W pierwszym siedział kupiec buicka, w drugim jego żona w rzeczonym buicku, dla której go kupił, w trzecim rozczarowany chętny, który nie zdołał przebić ceny. Panowie tak się zaciętrzewili w licytacji, że nawet nie musieliśmy ich specjalnie zachęcać.

Cena stała się absurdalnie wysoka. Nie miałam pojęcia o cenach aut, ale widziałam, jak żona zaczyna się niepokoić, gdy w pewnym momencie przestało chodzić o dziesięcioletniego buicka, a zaczęła się walka na męskie ego.

Skończyło się to dla mnie bardzo korzystnie.

– Nieźle poszło – zauważyłam, gdy auta zniknęły nam z oczu.

Wybuchnął śmiechem i porwał mnie w ramiona.

– Naprawdę rozwalasz mnie na łopatki, maleńka!

Chyba nie chodziło mu tylko o negocjacje ceny buicka.

– I dobrze – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Muszę wracać do domu, dać dzieciom kolację i upewnić się, czy jeszcze żyją.

Poczułam rozczarowanie, ale musiałam mu przytaknąć. Zamarłam, gdy pochylił się i dotknął ustami mojego policzka, tuż przy kąciku moich ust, po czym potarł swoim nosem o mój. Walczyłam o oddech, naprawdę, i musiałam go wyrównać, gdy szepnął, odsuwając się powoli:

– Pogadamy później, Josie.

Pokiwałam głową, bo nie byłam w stanie się odezwać. Pomachałam mu na pożegnanie i zdałam sobie sprawę, że nie było już przed nami żadnego zaplanowanego spotkania. Poczułam się przybita.

Westchnęłam głęboko, zamykając za sobą drzwi Lawendowej Willi, myśląc o Jake'u Spearze. Myślałam o nim ostatnio aż za dużo i wiedziałam, że prędko to się nie zmieni...

Niestety...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pokaż, jak to się robi

Jeszcze spałam, gdy poczułam, że coś łaskocze mnie w nos. Machnęłam ręką, chcąc odpędzić to coś, cokolwiek to było. Odczucie powróciło, więc ściągnęłam brwi, ciągle nie otwierając oczu, i raz jeszcze machnęłam ręką.

Intruz był natrętny, więc uniosłam rękę i w półśnie go pochwyciłam.

To nie był owad.

To była czyjaś dłoń.

Dłoń??

Otworzyłam oczy i dostrzegłam Jake'a siedzącego na krawędzi łóżka, pochylającego się nade mną. Jedna ręka była już po drugiej stronie łóżka, a w wolnej dłoni trzymał kosmyk moich włosów, którym smyrał mnie po nosie.

Poderwałam się, zdecydowanie za szybko, więc głową uderzyłam go od spodu w szczękę, na szczęście zdążył już puścić moje włosy. Niestety, lutnęłam głową tak mocno, że przez chwilę poczułam ostry ból i on pewnie też go poczuł.

– Prze... przepraszam! – wyjąkałam. – Nie zrobiłam ci krzywdy?

– Nie, malutka. A zresztą dobrze mi tak, bo cię wystraszyłem.

– Co ty tu robisz? – spytałam.

Nie odpowiedział, bo był pochłonięty obmacywaniem mojej czaszki i sprawdzaniem, czy mam całą głowę.

– Jake? – powtórzyłam, bo był jak w transie.

– Fryzura nienaruszona... – powiedział cicho takim tonem, jakiego jeszcze nie słyszałam.

Jego głos pobrzmiwał nisko. Miałam wrażenie, że te niskie dźwięki wprawiają moje ciało w rezonans.

– Całkiem udana jak na fryzurę po pobudce – dodał, a zabrzmiało to jak pomruk bestii.

O rety.

– Dzięki... – szepnęłam.

Gapiliśmy się na siebie, zabrakło mi tchu. Ciekawe, co on czuł w tej sytuacji? Naprawdę chciałam coś powiedzieć, ale z moich ust wyrwało się tylko jakieś nieartykułowane westchnienie.

– No tak. – Głos już całkiem mu ochryplł, więc odchrząknął. – Zanim pojedziesz do Weaverów, zabiorę cię na siłkę i trochę poćwiczysz.

Chyba zamrugałam jak postać z kreskówki.

– Poćwiczę...?

– Ta – potwierdził.

– Ja... to znaczy... – Co ja w zasadzie chciałam powiedzieć?

Jake dla odmiany dostał słowotoku:

– Najpierw cię nakarmimy, bo do ćwiczeń potrzeba siły, a potem skoczmy do mnie na siłownię.

Zauważyłam, że miał na sobie granatowe spodnie od dresu z białymi lampasami i przylegający do ciała T-shirt, który doskonale podkreślał jego muskulaturę. Zaszło mi w ustach.

– Masz jakieś ciuchy do treningu?

Zrobiłabym wiele, by tylko przebywać blisko niego; mogłam oglądać mecze i zagryzać je nachosami maczanymi w płynnym serze, na koniec świata bym za nim poszła, ale ćwiczenie na siłowni to nie było coś, co chciałam robić w jego towarzystwie. Ani w żadnym innym.

Wymówki same przyszły mi do głowy.

– Nie, Jake – odpowiedziałam. – Nie mam żadnych sportowych ubrań.

– To jak się utrzymujesz w tak świetnej formie?

– Dużo spaceruję – wyjaśniłam, bo choć akurat teraz, gdy mój grafik wziął w łeb, nie miałam czasu na przechadzki po kolacji, to normalnie robiłam to bardzo często, żeby utrzymać się w formie i podnosić sobie poziom energii.

– Dzisiaj nie skończy się na spacerku – oznajmił Jake.

– Obawiam się, że nie mam odpowiedniego stroju do takich przedsięwzięć.

Wyszczerył się w uśmiechu, pochylił i zaszeleścił czymś, co stało na podłodze przy łóżku. Po chwili rzucił na kołdrę reklamówkę wypełnioną jakimiś ubraniami.

– Zeszłego lata Amber nagle odbiło i stwierdziła, że zacznie ćwiczyć. Myślę, że chciała mieć jakiś konkretny powód, żeby nakupować nowych ciuchów. Więc nakupowała. Wybierz sobie coś odpowiedniego, bo coś mi się wydaje, że koniec końców większości z tych szmatek ani razu nie włożyła.

Spojrzałam na reklamówkę dość pogardliwie, co okazało się błędem.

Jake pochwycił mnie za rękę, w drugą ujął torbę i postawił mnie na nogi tuż obok łóżka. Gdy już tak stałam, dość gwałtownie wyrwana spod kołdry, obrzucił mnie spojrzeniem, a miałam na sobie jedynie kuszą nocną koszulkę.

– A niech mnie, Śliczna! – mruknął Jake, głos znowu niebezpiecznie mu się obniżył, a przez jego twarz przemknął grymas jakże podobny do fizycznego bólu.

– Coś ci się nie podoba? – zapytałam głupio, bo przecież nie powinnam go pytać o zdanie na temat mojej nocnej bielizny.

– Mała, jeśli jakiś facet miałby obiekcje co do tej koszulki, to albo gej, albo kłamca.

Poczułam ulgę i coś na kształt dumy, że koszulka jednak mu się podobała.

Puścił moją dłoń i skierował się do wyjścia z sypialni.

– Ubieraj się! – rzucił.

Musiałam szybko znaleźć jakąś wymówkę, żeby wymigać się od tej siłowni, albo przynajmniej powiedzieć coś, co opóźniłoby moment wyjścia. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, bo zapatrzyłam się na mięśnie jego barków, poruszające się pod ubraniem.

W końcu krzyknęłam:

– Zanim zrobię cokolwiek, muszę napić się kawy!

– To całe szczęście, że kubek już stoi na twoim nocnym stoliku! – odparł i zniknął za drzwiami.

Rzeczywiście, na stoliku stał kubek czarnej kawy. Ale przecież potrzebowałam jeszcze śmietanki i słodzika.

Dziesięć minut później podziwiałam swoje odbicie w lustrze: nogi opięte czarnymi legginsami w lawendowy rzucik na lampasie, lawendowy, obcisły top z wbudowanym stanikiem i lekka kurteczka ze ściągaczami i wstawkami z siatki. Pod łóżkiem znalazłam buty do biegania.

Zeszłam na dół z kubkiem w dłoni.



– Co bierzesz, Śliczna?

Oderwałam wzrok od wystawki z pączkami.

– Przed treningiem jadasz pączki? – dopytałam.

– Nie zawsze, ale od czasu do czasu muszę sobie przypomnieć, po co właściwie to robię
– odpowiedział.

To było na swój dziwny sposób sensowne.

– Josie, muszę otworzyć siłownię, zdecyduj się!

Spojrzałam na oszkloną witrynę. Wybór był przebogaty, więc nie potrafiłam się zdecydować w ciągu sekundy.

– Eee... – zaczęłam i Jake stracił cierpliwość.

– Dwa z budyniem, dwa z lukrem, dwa cynamonowe precle, dwa z lukrem klonowym, dwa w czekoladzie i dwa maślanekowe.

– Jasne. – Sprzedawca potwierdził zamówienie i chwycił pudełko.

– Czy musimy kupować aż tyle? – spytałam, gdy Jake ponownie spojrzał na mnie.

– Muszę otworzyć siłownię o czasie, a ty nie możesz się zdecydować, więc wzięłam różne do wyboru. Czego my nie zjemy, rozdamy chłopakom.

– Ach tak.

Spojrzał na kubek, który wciąż ścisakałam w dłoni tak mocno, jakby od tego zależało moje życie. A przecież byliśmy w kawiarni.

– Podgrzać ci to?

Oj tak! Skinęłam głową.

– Moja dziewczyna prosi o podgrzanie kawy – rzekł z uśmiechem do sprzedawcy.

Jego dziewczyna. O rety.

– Nie ma sprawy! – Sprzedawca postawił pudełko na ladzie.

Kawę podgrzano.

Po drodze do siłowni zjadłam pączek z budyniem.



– Dobra, to teraz skakanka! – rozkazał Jake.

Spojrzałam na niego, jakby spadł z księżycy. Nie zdążyłam jeszcze dopić kawy.

Nie doceniłam ogromu tego przybytku, gdy mijałam siłownię pierwszy raz. Budynek był przepastny! Wewnątrz stały trzy ringi. Wszędzie było pełno sprzętu do ćwiczeń. Do biura na tyłach wchodziło się po kilku stopniach. Przeszkłone ściany pozwalały mieć oko na całą przestrzeń. Za biurem znajdowały się jeszcze trzy pomieszczenia, do których prowadziły opisane drzwi: „Szatnia”, „Sprzęt” i „Schowek”. Na ścianach wymalowano sugestywnymi czcionkami następujące cytaty: „Życie jest jak mecz bokserski. Porażkę ogłaszasz nie wtedy, gdy padasz, ale gdy odmawiasz podniesienia się”. Albo: „Mistrzowie nie rodzą się w salach treningowych. Mistrzowie rodzą się z tego, co mają głęboko w sobie – z pragnień, marzeń, wizji. Potrzeba do tego umiejętności i woli. Wola zaś musi być silniejsza od umiejętności” – Muhammad Ali. I jeszcze: „Mogę nauczyć cię boksować. Mogę pokazać ci techniki i sztuczki, ale nie uczynię cię wojownikiem. To pochodzi z wnętrza i nikt ci tego nie da” – Joe Louis.

No i ten, który spodobał mi się najbardziej: „Niemożliwe to tylko wielkie słowo rzucane przez małych ludzi, którzy wolą żyć w zastanym świecie zamiast odnaleźć w sobie siłę, by go zmieniać. Niemożliwe to nie fakt. To opinia. Niemożliwe to nie deklaracja. To wyzwania. Niemożliwe to potencjał. Niemożliwe trwa chwilę. Niemożliwe to nic” – Muhammad Ali.

Nie miałam okazji powiedzieć Jake’owi, że uważam te cytaty za bardzo pozytywne. Odebrał ode mnie kubek z kawą i wręczył mi skakankę. Zauważyłam, że miał drugą dla siebie.

– Mam skakać na skakance? – zapytałam.
– Musisz się rozgrzać – poinformował mnie. – No i trzeba spalić pączusia.
Gapiłam się na niego z niedowierzaniem.
– Dzięki skakance?
– Mała, niewiele jest bardziej efektywnych metod spalania kalorii. Poprawia się ciśnienie krwi, wzmacnia siła, rośnie zręczność i pracują wszystkie mięśnie.
– Ale skakanka? – zapytałam głupio.
Rzucił mi szeroki uśmiech i rozkazał:
– Nie gadaj, Josie, tylko skacz!
Przez chwilę jeszcze gapiłam się na niego, po czym przerzuciłam sznur za plecy i zaczęłam spokojnie skakać, noga za nogą, jak niegdyś, gdy byłam dziewczynką.
Jake obserwował moje poczynania z uśmiechem, przeniósł wzrok z moich nóg na twarz.
– Zatrzymaj się! – rozkazał ze śmiechem.
Przestałam skakać.
– Patrz uważnie.
Zaczął skakać, ale zupełnie inaczej. Jestem pewna, że gapiłam się na niego z rozdziawionymi ustami, gdy podskakiwał, a skakanka poruszała się tak szybko, że aż świstała.
– Spróbujesz tak? – poprosił, zatrzymując się.
– Oczywiście, że nie spróbuję! – odpowiedziałam, bo przecież nie zamierzałam tego robić. Z pewnością bym się wywaliła i zabiła, nie przesadzam. Ja, linka, prędkość i podskoki to nie była udana kombinacja. Przecież dobrze siebie znałam.
– Śliczna, to nie jest takie trudne! – zapewnił mnie.
– Jake, z pewnością już zauważyłeś, że nie jestem pełną gracji kocią – przypomniałam mu.
– No, na obcasach faktycznie nie jesteś... – skwitował.
– Bez obcasów również!
– A są chwile, w których nie masz na sobie obcasów?
– Dziś rano nie miałam, a i tak przygrzałam głowę w twoją szczękę!
– Bo cię zaskoczyłem.
Racja.
– Spróbuj – zachęcił.
Jak to się stało, że oto stałam o tak nieludzkiej godzinie (czyli kwadrans po siódmej) w siłowni Jake’a Speara, w ciuchach jego córki, z pączkiem w żołądku i za małą ilością kofeiny tamże, i zamierzałam skakać na skakance?
Wystarczyło spojrzeć na jego opięte sportowym strojem ciało.
No dobrze, przełożyłam skakankę za plecy i spróbowałam.
Przeleciała nad moją głowę raz, ale już przy drugim obrocie zaplątała się wokół mojej kostki i zachwiałam się niebezpiecznie.
– Nic się nie stało, jeszcze raz – mruknął Jake i dla zachęty zaczął skakać obok.
Odetchnęłam głęboko i spróbowałam ponownie.
Tym razem przeskoczyłam trzy razy.
– Dalej – rozkazał Jake, wciąż skacząc.
Spojrzałam na niego naburmuszona i znowu spróbowałam, ale po dziesięciu sekundach było po sprawie.
– Nie poddawaj się, maleńka! – zachęcał mnie.
Próba, porażka, próba, porażka.
Zatrzymał się, a ja spojrzałam na niego zrezygnowana.

– No dobrze, rób więc po swojemu – powiedział, wyraźnie rozbawiony. – Może nie jest to tak efektywne, ale jakoś się rozgrzać musisz.

– Czuję się jak idiotka! – mruknęłam, patrząc na swoje buty i przygotowując się do odstawienia dzieciennego podrygiwania rodem ze szkolnego podwórka, co wyglądałoby jeszcze żałośniej w kontraście z supermęskimi wyczynami Jake’a.

Poczułam, jak chwyta mnie za nadgarstek. Był bardzo blisko.

– Nie jesteś idiotką – szepnął. – Nigdy nią nie będziesz. Jesteś kobietą z klasą, we wszystkich aspektach. Jesteś też gapą, ale to również cię definiuje i jest przeurocze. Jeśli nauczysz się akceptować samą siebie, śmiać się ze swoich potknięć zamiast nimi pogardzać i pokażesz wszystkim, że są częścią ciebie i wcale nie są nieatrakcyjne, to staniesz się jeszcze bardziej atrakcyjna. Masz wszystko. Gdy to zaakceptujesz, staniesz się powalająca.

Serce mi waliło, ale nie od ćwiczeń.

– Jesteś przesłodki – wypaliłam.

– A ty jesteś przeurocza – odparł z uśmiechem. – A już z tą twardzielską skakanką w dłoniach to w ogóle. Ogarnij to.

To naprawdę było bardzo miłe i poczułam się tak fajnie, że mogłam jedynie przytaknąć. Bunia powtarzała mi to latami, ale znaczenie tych słów dotarło do mnie dopiero teraz, gdy wypowiedział je Jake. Zrobiłabym dla niego, niestety, wszystko.

Puścił mnie, również niestety, i odstąpił krok.

Znowu zaczęliśmy skakać, każde po swojemu. Gdy już nabrałam wprawy i sznur przestał mi się plątać między nogami, stwierdziłam, że to nawet przyjemne. Akurat gdy zaczynałam się dobrze bawić, zadzwonił telefon w biurze.

– Skacz dalej, Śliczna – rzucił Jake, zatrzymując się. – Przerwij, jeśli będziesz miała zadyszkę.

Potwierdziłam skinieniem. Ruszył do biura i w tej chwili otworzyły się drzwi za mną.

Usiłując nie zgubić kroku, odwróciłam głowę i dostrzegłam postawnego mężczyznę w dresie, ze sportową torbą przerzuconą przez ramię. Był kilka centymetrów niższy od Jake’a, choć ciągle wysoki, miał krótko, ale modnie przycięte ciemne włosy. Był wyraźnie umięśniony, ale nie rzucało się to w oczy tak bardzo, jak u Jake’a. Spojrzał na mnie i jakoś tak bezwarunkowo się uśmiechnął.

Skakałam sobie spokojnie po swojemu, niczym się nie przejmując, dokładnie tak, jak powiedział Jake, i chyba w oczach tego faceta nie wyglądałam na idiotkę.

– No cześć – przywitał się, podchodząc bliżej.

Miał przepiękne niebieskie oczy.

– Dzień dobry – odpowiedziałam, ciągle machając skakanką.

Zlustrował mnie z góry do dołu.

– Jesteś nowa w kobiecej lidze?

– Nie mam pojęcia, czym jest kobieca liga, więc pewnie nie – odpowiedziałam, a jego uśmiech się poszerzył.

– Chodzi o boksujące kobiety – wyjaśnił.

– No to tym bardziej nie.

– Dobrze wiedzieć, bo uderzanie rękawicą w taką twarz byłoby zbrodnią – zauważył.

Nie odpowiedziałam nic na ten zawołany komplement. Nie było co dodawać, bo zgadzałam się ze stwierdzeniem, że nikt nie powinien uderzać rękawicą w moją twarz.

– Jestem Mickey – przedstawił się z uśmiechem.

– Josephine.

– Miło cię poznać, Josephine.

– Wzajemnie.
– Błagam, powiedz, że Jake w końcu zdecydował się na lekcje aerobiku, a ty jesteś instruktorką! – powiedział przymilnie.
– Niestety, muszę zdruzgotać tę wizję – odrzekłam.
Roześmiał się, cholernie seksownym śmiechem.
– Skoro to siłownia bokserska, to może oświecisz mnie i wyjaśnisz, co tu wyrabiasz ze skakanką?
– Przyszła ze mną – dobiegł zza moich pleców głos Jake’a.
Mickey przeniósł wzrok na niego, ja również spojrzałam przez ramię, ciągle skacząc, o dziwo.
– Pora na przerwę, Śliczna.
Przerwałam.
– Mamy tu jakieś nowe przepisy? – zapytał Mickey Jake’a, który stanął tuż obok mnie.
– Tak, przepisy są takie, że skoro ja jestem właścicielem, mogę wpuszczać, kogo zechcę
– odpowiedział Jake.
– No cóż, jeśli obchodzi cię moje zdanie, to pochwalam taką politykę – odpowiedział Mickey i uśmiechnął się do mnie, odpowiedziałam tym samym.
Poczułam, że Jake przysuwa się do mnie.
– Przyjdiesz na sobotni mecz? – zapytał Mickey, patrząc mi w oczy.
– Na co? – zainteresowałam się.
– Liga seniorów – rzucił Mickey i chyba zdawało mu się, że to mi cokolwiek wyjaśni.
– Słucham? – zapytałam, ciągle nie rozumiejąc.
– Liga seniorów – powtórzył za niego Jake. Przeniosłam na niego wzrok. – Mick i ja jesteśmy w lidze seniorów. Walczymy w sobotnie wieczory.
Intrygujące...
– Co weekend? – dopytałam.
– Tak często się nie da, Śliczna – odpowiedział Jake. – Jeden mecz w miesiącu, krótkie rozgrywki, trzyrundowe.
– Jeśli chcesz wpaść, zostawię ci bilety w biurze – zaproponował Mickey.
Zanim zdążyłam się zgodzić, wtrącił się Jake:
– Zechce wpaść, ze mną.
– Z tobą przychodzi trójka dzieci i DeeDee. Ja się nią zajmę – zaoferował Mick.
Poczułam skurcz w żołądku. DeeDee? Kim jest DeeDee?
– Dee już nie ma, Mick – powiedział Jake cichym, złowieszczo brzmiącym głosem.
– Dobrze o tym wiesz – dokończył jeszcze groźniej.
Skurcz ustąpił.
– Przez dwa lata się bujaliście – odparł Mickey.
Znowu skurcz.
– To nieaktualne od pięciu miesięcy, Mick. – Głos Jake’a ciągle był cichy, ale teraz już pełen napięcia.
– No tak – mruknął Mick i zabrzmiało to tak, jakby nie dowierzał.
Nie byłam do końca pewna, co się dzieje. Czułam jednak, że robi się groźnie, i tylko ja mogłam rozładować to napięcie.
Rzuciłam więc nonszalancko w stronę Jake’a:
– Czuję, że już się rozgrzałam, Jake. Czy mogę teraz powalić pięściami w jakiś worek?
Spojrzał na mnie i widziałam, że wciąż jest spięty, zaciskał kurczowo szczękę. O rety.
Wyluzował się tylko odrobinę i odpowiedział:

– Jasne, mała. Pokażę ci, jak pracować z dużym workiem, a na koniec postukasz sobie w gruszkę.

– Świetnie – odpowiedziałam, choć nie miałam pojęcia, o czym mówił.

– Do roboty! – zarządził. Uniósł brodę i popychając mnie delikatnie, objął ramieniem w talii. – Nara, Mick! – dodał przez ramię.

– Nara, Jake – odpowiedział adwersarz i dodał, zwracając się do mnie: – Jeśli zdecydujesz się wpaść na mecz, Josephine, bilet będzie na ciebie czekał.

Jake wydał z siebie jakieś nieartykułowane mruknięcie, bardzo atrakcyjnie brzmiące, jak zresztą każdy dźwięk, który wydobywał się z jego gardła.

Nie chciałam być niegrzeczna, więc rzuciłam niezobowiązująco:

– Dziękuję, Mickey, miło było cię poznać.

– Wzajemnie! – usłyszałam za sobą, gdy Jake podprowadzał mnie do dużego, cylindrycznego worka.

Najbezpieczniejszym wyborem było zakończenie tej wymiany grzeczności z Mickeyem i poświęcenie uwagi Jake'owi, który wciąż wyglądał na rozdrażnionego. Spoglądał na worek takim wzrokiem, jakby miał ochotę zerwać go z łańcuchów i cisnąć nim przez okno.

– Dobrze, to co mam teraz robić? – zapytałam, żeby odwrócić jego uwagę od morderczych myśli.

Spojrzał na mnie i chwilę trwało, aby jego oblicze się rozjaśniło.

– Jesteś gotowa, by nieźle skopać ten worek?

– Ale nie było mowy o kopaniu... – odrzekłam zdumiona.

Wiedziałam przecież, że w takie worki również się kopało, ale przecież bokserzy nie używali w walce nóg.

– Właśnie tak sobie z nim poużywasz.

No bo w sumie dlaczego nie? Mogło być zabawnie.

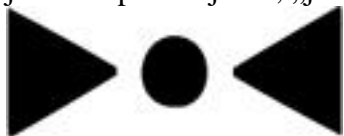
– Cudnie – stwierdziłam, zerkając na niego.

Odpowiedział uśmiechem i widziałam, że napięcie w końcu z niego zeszło.

– Dobra, Śliczna, pokażę ci, jak to się robi.

To oznajmiwszy, Jake odsunął mnie nieco i zaczął demonstrować „jak to się robi”.

Obserwowałam jego ruchy i stało się dla mnie jasne, dlaczego dałam się wywlec z łóżka i zaciągnąć do siłowni bokserkiej. Wiedziałam, że jeśli jutro przyjdzie mu do głowy to samo, to bez słowa protestu na to pozwolę. I kolejnego dnia również. I następnego. Bylebym tylko mogła patrzeć, jak Jake pokazuje mi, „jak to się robi”.



Po treningu, choć wcale o to nie prosiłam, Jake nie tylko odwiózł mnie do domu, ale też wszedł ze mną do środka.

Byłam spocona, a nigdy wcześniej, w całym swoim dotychczasowym życiu, nie miałam okazji się spocić. Czułam zmęczenie w całym ciele i to również był u mnie nieczęsty stan, no chyba że dzień pracy był wyjątkowo długi.

Więc gdy Jake zamknął za nami drzwi, przypominałam sobie, jak delikatnie mnie obudził, i poczułam obezwładniającą chęć wtulenia się w niego. Objęcia go za szyję. Przyłgnięcia całym złaknionym, wilgotnym ciałem do jego ciała i pocałowania go. Zanim dałam upust tym pragnieniom, Jake się odezwał:

– Szlaban Amber dziś się skończył. Możesz zająć się po południu Ethanem?
Patrzyłam na niego zaskoczona. Czy od ostatniej rozmowy na ten temat minął już tydzień? Najwidoczniej.

– Oczywiście, że mogę – odpowiedziałam.

– Kończy szkołę za kwadrans trzecia – dopowiedział. – Napiszę Amber esemesa, że jest wolna.

Pokiwałam głową.

– Muszę zająć się siłką, muszę zająć się klubem – kontynuował Jake – no i za chwilę rusza liga dziecięca, więc wokół tego również muszę się zakręcić. Przetrzymasz go na kolacji?
– dopytał.

Kolacja z Ethanem. To na pewno będzie przyjemny wieczór.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

– Bardzo mi to pomoże, Śliczna – podziękował.

– Ethan to bardzo miły towarzysz, więc to naprawdę nie problem, Jake – zapewniłam go całkiem szczerze.

Uśmiechnął się szeroko.

– Odbiorę go koło wpół do ósmej.

Ojjj... Znowu wczesna kolacja. No trudno.

– W porządku – odpowiedziałam.

– A jutro wieczorem idziemy na mecz futbolowy.

Chyba zamrugałam kilkakrotnie, zanim zapytałam:

– Słucham?

– Piątkowy mecz futbolowy w liceum. Zabieram ciebie i Ethana.

Serce mi zatrzępotało, ale nie było to bynajmniej spowodowane perspektywą oglądania meczu.

– Brzmi obiecująco – skłamałam.

Futbol mnie nudził, ale bycie blisko Jake'a to co innego. Perspektywa spędzania z nim czasu była kusząca, niezależnie od okoliczności.

Uśmiechnął się i zbliżył do mnie, a moje serce znowu zareagowało przyspieszonym biciem.

– Odbierzesz Ethana ze szkoły, a potem po was wpadnę. Skoczmy coś zjeść i pojedziemy na mecz.

– A Amber i Conner nie jadą? – zapytałam, z trudem panując nad drżeniem głosu.

– Amber będzie z przyjaciółmi, a Conner albo z dziewczyną, albo z kumplami. Oni są już w liceum. Siedzenie przy ojcu to dla nich żadna frajda. Ale będę tam, żeby mieć na nich oko, szczególnie na Amber, która gdzieś za kulisami będzie wyprawiać rzeczy, na myśl o których czuję skurcz w żołądku i pieczenie w ustach. Próbuję więc o tym nie myśleć... Bezskutecznie.

– A czy Amber jest... – szukałam właściwego słowa – rozwiązała?

– Mam nadzieję, że jednak nie – odpowiedział szybko, faktycznie z nadzieją w głosie.

– Chce być popularna, chce być lubiana, chce, by chłopcy zwracali na nią uwagę, a ten cały Noah jest w ostatniej klasie i jest jednym z najbardziej popularnych facetów w szkole, jak Con. Jest już zawodnikiem ligi, więc nie gra w szkolnych meczach, ale chodzi je oglądać. A skoro tak bardzo pragnie tej uwagi i w końcu udało jej się usidlić faceta, na którego miała oko od pierwszej klasy, to wszystko może się zdarzyć.

Nie zdziwiłam się, że Conner jest popularny, pamiętałam jednak z własnych czasów szkolnych, że sportowcy ciężko na tę popularność pracowali.

– A Conner jaki sport uprawia? – zapytałam.

– Poszedł w ślady tatusia i boksuje – odpowiedział Jake.
– Dobrze mu idzie?
– W swojej tabeli jest niepokonany od trzech lat – pochwalił się Jake, nawet nie próbując ukryć dumy.

No i już znałam sekret popularności jego syna.

– No to super!

– Nie wiem, czy tak dobrze – stwierdził Jake. – Widziałaś cytaty na ścianach siłowni?

– Owszem, miałam ci nawet powiedzieć, że są bardzo inspirujące i wypisanie ich na ścianach to był świetny pomysł.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Miło, że tak myślisz, Śliczna – zaczął – ale Con dosłownie żyje tymi cytatami. Jest głodny wiedzy i ma duszę wojownika. To dla niego założyłem ligę juniorów, choć był jeszcze za młody, gdy zaczynałem. Ale dorósł i radził sobie lepiej, niż się spodziewałem. Teraz, jeśli nie jest z dziewczyną albo w robocie, przesiaduje w siłowni.

Patrzyłam na niego zauroczona i jeszcze bardziej zauroczona słuchałam, jak głos mu się zmienia.

– Tym bardziej doceniam wszystko, co zrobiła dla mnie Lydia, bo pozwoliło mi to stworzyć miejsce do treningów dla mojego syna. Miejsce, które będę mógł mu przekazać, jeśli oczywiście zechce je przejąć.

– Wspaniale, Jake – powiedziałam łagodnie, nie mogąc się powstrzymać.

Było coś takiego w jego tonie, w sposobie, w jaki o tym opowiadał. Zapragnęłam poczuć z nim więź fizyczną, ale powstrzymałam się, choć tak bardzo łaknęłam dotyku.

– Dobra, to widzimy się o wpół do ósmej – oznajmił Jake. – Jeśli zechcesz poćwiczyć, daj mi znać i podjadę po ciebie o siódmej rano. Jutro zgram cię i Ethana o dziewiętnastej trzydziści. A w sobotę jedziemy oglądać pojedynki do hali w Blakeley. Sporo ich będzie, więc zaczynają się już o dziewiątej i jedziemy w górę według kategorii wagowych. Ja walczę w ciężkiej, więc będę na samym końcu, po dwudziestej. Możesz obejrzeć tyle, ile będziesz miała ochotę. Twój bilet będzie czekał w biurze.

Nie miałam ochoty na oglądanie wielu pojedynków. Nie byłam do końca pewna, czy mam ochotę patrzeć, jak walczy Jake, a co dopiero na oglądanie kogokolwiek innego. Wprawdzie patrzenie na Jake'a robiącego cokolwiek było bardzo przyjemne, ale nie miałam ochoty przyglądać się, jak ktoś wali go w twarz. Chciał jednak, żebym to zobaczyła. Zdecydowałam więc, że jednak się tam wybiorę.

– No to zaplanowane – mruknął Jake, zbliżając się do mnie. – Teraz musisz stawić się u Weaverów.

Przytaknęłam. Nie dość, że musiałam rozstać się z Jakiem, to jeszcze czekało mnie przyglądanie się deterioracji Elizy Weaver, która postępowała z dnia na dzień. Jake chyba wyczytał to wszystko z mojego cichego westchnienia, bo powiedział:

– Możesz zrezygnować w każdej chwili.

– Będę pomagać panu Weaverowi tak długo, jak będzie potrzebował – odpowiedziałam.

Spojrzał na mnie ciepłym wzrokiem, od którego przez moje ciało przemknęła fala gorąca. Ujął mnie pod brodę i musnął ustami mój policzek niebezpiecznie blisko kącika ust. Odsunął się odrobinę, wciąż wyczuwałam jego oddech na twarzy. Mój własny chyba całkiem zamarł.

– Do później, Śliczna – szepnął.

– Do później, Jake.

Patrzyłam, jak jego oczy rozjaśniają się od uśmiechu. Poczułam ciepło na widok tego światła w staloszarych oczach. Pochylił się ponownie, ale tym razem, oprócz delikatnego

pocałunku, poczułam przekorne pociągnięcie za kucyk.

Po tym czułym pożegnaniu odwrócił się i wyszedł z domu.



Podjechałam pod szkołę i młody prawie przyprawił mnie o zawał, gdy na widok mojego auta przebiegł przez ulicę, nawet nie rozglądając się na boki. Otworzył drzwi od strony pasażera i krzyknął:

– Nie mogę doczekać się przejażdżki tą superfurą!!

Wdrapał się do środka i zapiął pas. Pozwoliłam mu się poekscytować przez chwilę, zanim wyjaśniłam zasady przechodzenia przez ulicę.

– Ups! – odpowiedział tylko.

Uznałam, że przyswoił sobie mój wykład, i przystąpiłam do opisywania planu dnia.

– Ekstra! – wrzasnął.

Uśmiechnęłam się, patrząc na drogę.

Ethan cały czas coś szczebiotał, gdy robiliśmy zakupy w Wayfarer's. Nagle zauważył Connera.

– Con! – krzyknął, na co chłopak odwrócił głowę w naszą stronę.

Wypatrzył nas w tłumie i ruszył w naszym kierunku.

– Co tam, co robicie? – zapytał.

– Pysie, stary! – pospieszył Ethan z odpowiedzią.

– Super, dzieciaku! – Conner uśmiechnął się do młodszego brata.

– Cześć, Conner – przywitałam się.

– Hej, Josie. – Teraz uśmiechnął się do mnie. – Jak leci?

– Wszystko super, a u ciebie?

– Dziś mnie nic nie zdołuje! – oznajmił radośnie, na co i ja się uśmiechnęłam.

– Pogadałbym, ale muszę lecieć.

– Nara, brachu! – krzyknął za nim Ethan.

– Do widzenia, Conner! – rzuciłam.

Zrobił minę i machnął na pożegnanie zupełnie jak jego ojciec.

– Amber to wrzód na tyłku, ale brata mam super! – oznajmił Ethan.

– Amber to nastolatka, która szuka sobie miejsca na świecie i błędnie zakłada, że jej wartość zależy od tego, ilu chłopakom się spodoba, i od popularności wśród rówieśników. Twój brat ma mnóstwo pewności siebie, bo jest przystojny, a do tego przoduje w boksie. Gdy Amber odnajdzie swoje mocne strony, przestanie być wrzodem na tylnej części ciała.

– Mam nadzieję, że szybko je odnajdzie – mruknął Ethan.

– Ja również.

– Co to znaczy „błędnie zakłada”? – zapytał młody.

– Myli się – wyjaśniłam.

– Jasne. A „przodować”? – zapytał znów z uśmiechem.

– Być w czymś najlepszym.

Zapłaciłam za zakupy, a Ethan uparł się, że poniesie dwie z trzech toreb (jakże był w tym podobny do swego taty!). Uniosłam ostatnią torbę i wyszliśmy ze sklepu.

Cross Street wciąż była zatłoczona i już gdy przybyliśmy, nie mogliśmy znaleźć miejsca parkingowego w pobliżu sklepu. Gdy zmierzaliśmy w stronę auta obładowani sprawunkami,

Ethan znów zaczął trąkotać.

– Mają ptysie w piekarni, ale założę się, że nasze wyjdą lepsze! – zaczął.

– W Ameryce często przekłada się ciasto słodzoną bitą śmietaną albo budyniem waniliowym, my jednak zrobimy prawdziwy krem ptysiowy.

– A z czego robi się prawdziwy krem ptysiowy?

– Z boskiego tchnienia! – odpowiedziałam.

Wybuchnął bardzo przyjemnym śmiechem. Było mi niezmiernie miło, że go rozbawiłam, że lubił ze mną przebywać. Już miałam się do niego uśmiechnąć, gdy usłyszałam:

– Hej, Josephine!

Przechodziliśmy akurat przed remizą i dwa z luków samochodowych były otwarte. Zerknęłam w ciemność za lśniąca, czerwoną ciężarówką i w tym momencie wyłonił się z niej Mickey, którego poznałam na siłowni.

– Mickey! – wykrzyknął Ethan, który najwyraźniej go znał.

– Cze, Eath! – odrzekł mężczyzna, szczerząc się w uśmiechu do młodego.

Ten uśmiech był nadszpiewanie atrakcyjny.

– Znasz Josie? – zapytał chłopiec, a Mickey spojrzał na mnie, wciąż się uśmiechając.

– Poznaliśmy się dziś rano na siłowni – wyjaśnił Mickey.

– Byliście razem na siłowni? – dopytał Ethan, gdy przeniosłam na niego wzrok.

– Twój tata zabrał mnie rano na trening.

– Fajowo – pochwalił Ethan z uśmiechem aprobaty.

– Chcesz się rozejrzeć po remizie, młody? – zapytał niespodziewanie Mickey.

– Serio mogę? – szepnął dzieciak.

Zanim zdołałam wyrazić swoje zdanie na ten temat, mężczyzna odebrał od niego torby z zakupami.

– Pewnie, leć, przypilnuję tego.

Ethan puścił uchwyty i biegiem rzucił się do środka, znikając mi z oczu.

– Wiesz co, Mickey – zaczęłam – Ethan jest pod moją opieką i nie czuję się dobrze z tym, że sam gdzieś pobiegł.

Mickey odwrócił się w stronę ciemnej niszy i krzyknął:

– Hej, Jimbo! Mój mały kumpel Eath rozgląda się po remizie, miej na niego oko, dobra?

– Jasne! – rozległo się ze środka.

Mickey chciał coś powiedzieć i już otworzył usta, ale dodałam:

– Doceniam zaangażowanie Jimbo, ale nie znam go i wołałabym sama mieć oko na Ethana.

Usta mężczyzny, swoją drogą bardzo atrakcyjne, rozciągnęły się w uśmiechu i zapewnił:

– Nic mu nie będzie.

– Ale...

– Że tak zapytam – przerwał mi. – Masz plany na jutrzejszy wieczór?

Zamknęłam usta. Ojej. Czy kolejny facet w Magdalene właśnie próbował się ze mną umówić? Byłam tu zaledwie jakieś dziesięć dni, wliczając dzień pogrzebu, i właśnie dostawałam kolejną propozycję randki. To doprawdy robiło się zabawne, bo mężczyzna, który naprawdę mnie interesował, hojnie obdzielał mnie swoją uwagą, jednak nie w taki sposób, jakiego bym sobie życzyła.

– Ja...

– Zabrałbym cię jutro do Breeze Point – przerwał mi.

No tak, nie było wątpliwości, zapraszał mnie na randkę. Miejsce mówiło dużo o tym, jak chciałby widzieć ten wieczór. Elegancko. No ale jednak.

– Przepraszam cię, Mickey – powiedziałam cicho – ale na jutro jestem już umówiona z Jakiem.

Coś dziwnego stało się z jego twarzą i zanim się odezwał, zerknął konfidencjonalnie przez ramię.

– Wy razem coś teges?

Wiedziałam, o co pyta, ale myśl o tym, że mogłabym z Jakiem „coś teges” robić, była tak niespodziewana, a zarazem tak przeze mnie upragniona, że zapytałam tylko:

– Coś teges?

– Spotykacie się – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Chciałabym.

– Nie, po prostu się przyjaźnimy – wyjaśniłam i udało mi się ukryć rozczarowanie w głosie.

Twarz rozjaśniła mu się nieco i zapytał:

– W takim razie czy te piątkowe plany to coś poważnego?

Wszystko, co dotyczyło Jake’a, było poważne.

– Tak – odpowiedziałam pewnie.

– Jasne. W sobotę mam sparring, więc może skoczmy na kolację w niedzielę?

Już miałam odmówić, ale powstrzymałam się na chwilę. Jeszcze raz obrzuciłam go spojrzeniem i stwierdziłam, że faktycznie jest bardzo atrakcyjny. Choć stałam na obcasach, górował nade mną. Miał świetną sylwetkę i w niczym nie przypominał Bostona Stone’a. Uśmiechał się dużo i szczerze. W obyciu był swobodny, pewny siebie, ale nie arogancki. No i dogadywał się z Ethanem. No i manifestował zainteresowanie mną w nienachalny sposób.

– Z przyjemnością, Mickey – potwierdziłam.

– Świetnie – rzekł łagodnie, a ja odpowiedziałam uśmiechem. Wydobył z tylnej kieszeni spodni telefon i poprosił: – Daj mi swój numer, kochanie.

Kolejny mężczyzna tak mnie nazwał. I nie ukrywam, podobało mi się to. Podyktowałam numer, wpisał go do telefonu.

– Zadzwoń później – rzekł, wsuwając aparat do kieszeni – gdy już nie będziesz mieć na głowie Ethana.

– Jake odbiera go o wpół do ósmej.

– Zadzwoń chwilę po.

– Nie mogę się doczekać.

Naprawdę tak czułam. Wymieniliśmy uśmiechy i stwierdziłam, że bardzo przyjemnie się na niego patrzy.

Niestety, ptysie czekały.

– Będziemy się zbierać. – Tym razem w moim głosie słychać było rozczarowanie. – Mamy z Ethanem ptysie do zrobienia.

Na dźwięk słowa „ptysie” przez jego twarz przemknął bardzo czytelny grymas. Poczułam, że miękną mi kolana, gdy tak gawędziłam z nim przed remizą.

– Zostawcie mi jednego – poprosił, a przez moją głowę przemknęła wizja jego ust zamykających się na puszystym ciastku.

Odwrócił się i huknął w ciemność:

– Eath, ptysie na ciebie czekają!

Po sekundzie chłopiec wybiegł z remizy. Mickey odebrał ode mnie torbę, wziął jedną z tych, które zostawił młody, i podszedł z nami do auta.

– Świetna bryka, mała – rzucił, gdy już zamknął torby w bagażniku.

– Dzięki. – Poczułam się tak, jakby to mnie skomplementował.

Ethan wdrapał się do środka, a Mickey otworzył moje drzwiczki.

– Do zobaczenia w sobotę, a potem w niedzielę.

– Do zobaczenia! – odpowiedziałam.

Czułam lekkie mrowienie w całym ciele, gdy wyjeżdżałam z parkingu.

– Będziesz oglądała walki Micka i taty, Josie? – zapytał Ethan.

– Tak.

– Super! – stwierdził. – Zwykle też chodzę popatrzeć, ale jutro do kin wchodzi *Raptor zabójca* i idę do Josha. Lecimy do kina, a potem nocuję u niego. Nie mogę się doczekać!

– *Raptor zabójca*? – dopytałam.

– No! Najzajęfajniejszy film w dziejach!

– I jesteś pewien, że chcesz oglądać film o takim tytule?

– Ej no, Josie, tytuł brzmi *Raptor zabójca*! – podkreślił.

Jakoś do mnie nie przemówił, ale przecież nie byłam ośmiolatkiem.

– Dobrze, że masz takie ekscytujące plany na weekend – stwierdziłam.

– Super, c’nie? Czekaliśmy z Joshem na ten film całą wie-czy-no-si-ć!

– I w końcu wchodzi do kin.

– No! – zgodził się.

– Czy Amber i Conner pójną oglądać walkę taty? – zapytałam.

– Amber? W życiu! Koniec szlabanu, więc na pewno pójdzie z Noah na randkę, a jeśli to nie wypali, będzie łądził gdzieś ze znajomymi i strzelać fochy, że jej nigdzie nie zaprosił. Conner zwykle chodzi, ale postanowił rzucić kilka dziewczyn, więc będzie zajęty łamaniem serc w sobotę.

Zerknęłam zdziwiona na Ethana, potem przeniosłam wzrok z powrotem na drogę.

– Conner zrywa ze swoimi dziewczynami?

– Jedną sobie zostawi – wyjaśnił młody. – Tata postawił taki warunek. Powiedział, że już się zabawił i musi wybrać jedną. Słyszałam, jak Con gadał z jakimś kumplem przez telefon. Jeszcze nie zdecydował, którą zostawić, ale rzucił Shantay. Jeszcze trzy odpadną i będziemy wiedzieć, która wygrała.

Rozmowa z ośmiolatkiem na temat złamanych serc młodych kobiet to nie był dobry pomysł, więc skupiłam się na stwierdzeniu, że „tata postawił warunek”.

– Czy wiesz, kiedy wasz tata omawiał tę sprawę z Connerem?

– Nie wiem. Ale Shantay dostała kosza przez telefon w sobotę.

W sobotę wieczorem rozmawiałam z Jakiem na temat Connera i jego dziewczyn. Musiało to znaczyć, że Jake omówił tę sprawę z synem chwilę potem.

Poczułam coś dziwnego, ale jednocześnie pięknego i magicznego. Coś, co mogłam pokochać, nawet uwielbiać.

Potrzebę.

– Ale ja – kontynuował Ethan, więc skupiłam się na jego słowach i oderwałam myśli od tego uczucia – chciałbym, żeby wybrał Ellie. Jest najładniejsza i najśłodsza. I jest nieśmiała, a do tego nigdy mnie nie przegania, gdy się przy nich kręcę. A inne tak robią. I to, że jest taka ładna, a do tego taka nieśmiała, jest fajne. Nikt, kto jest tak ładny, nie jest nieśmiały. A ona jest. I ja to lubię.

Po tym opisie ja też ją polubiłam.

– Mam nadzieję – powiedziałam, skręcając z Cross Road i kierując się w stronę klifów – że Conner wybierze mądrze i okaże dużo taktu, rozstając się z pozostałymi dziewczętami.

– Conner bardzo je wszystkie lubi, więc na pewno dobrze to załatwi – zapewnił mnie Ethan.

Co za ulga.

– To dobrze – powiedziałam cicho.

– Mam nadzieję, że masz w domu coś pysznego, bo umieram z głodu! – Ethan zmienił temat z uśmiechem.

Często umierał z głodu. A ja miałam dużo pyszności. Lubiłam mieć pełną lodówkę, bo ostatnimi czasy często miałam towarzystwo. Spodobało mi się to.

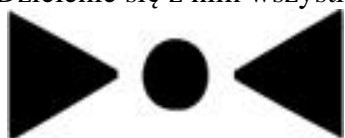
Podobała mi się również myśl, że Ethan będzie spędzał ze mną czas w Lawendowej Willi, jak niegdyś z Bunią. No i nie mogłam się doczekać, jakie wrażenie zrobi na Ethanie prawdziwy krem ptysiowy. Na pewno mu posmakuje. A ja z radością go dla niego przyrządzę.

– Poczęstujesz się, czymkolwiek zechcesz – powiedziałam mu.

– Supcio! – odpowiedział.

Uśmiechnęłam się i skręciłam na podjazd, myśląc, że Ethan ma rację.

Dzielenie się z nim wszystkim rzeczywiście było supcio.



– Bez jaj! Znasz Dee-Amonda? – zapytał Mickey.

Uśmiechnęłam się do szyby w wykuszowym oknie w pokoju z widokiem. Popijałam herbatę i gawędziłam z mężczyzną, który zadzwonił pięć minut po wyjściu Jake'a i Ethana.

Przejęcie syna odbyło się w typowej, przyjacielskiej atmosferze. Jake zjadł nawet ptysia i tak się zachwycił, że porwał mnie w ramiona, obrócił w powietrzu i stwierdził, iż nawet Bunia nie fundowała mu takich kulinarnych rozkoszy. Mogłabym gotować dla niego co wieczór, jeśli potem miał obsypywać mnie takimi podziękowaniami. Po tej myśli poczułam ukłucie, bo przecież ten scenariusz miał nigdy się nie ziścić. Chłopcy się spieszyli, bo Jake chciał wrócić do domu przed Amber, żeby upewnić się, że córka będzie o czasie i odrobi lekcje. Był takim dobrym ojcem. Chyba był dobry we wszystkim, co robił.

– Tak, znam Amonda – powiedziałam Mickowi. – Znam go od lat.

– Facet jest genialny! – podekscytował się Mickey.

Byłam fanką hip-hopu i uważałam, że to bardzo niedoceniana forma ekspresji, więc zgodziłam się z nim.

– Rzeczywiście jest – potwierdziłam.

– Podoba mi się, jak się wysławiasz – usłyszałam po chwili ciszy.

Jak miło.

– To miłe – odpowiedziałam łagodnie.

Rozmawialiśmy już chyba z godzinę, a pogawędka szła gładko i naturalnie. Opowiedziałam mu już sporo o sobie, nie tylko to, że znam Dee-Amonda. Ja natomiast dowiedziałam się, że Mickey był rozwiedziony, a opiekę nad dwójką dzieci dzielił pół na pół z byłą żoną. Był strażakiem ochotnikiem, a zawodowo układał dachy. Boksem zajmował się z doskoku, odkąd skończył dwadzieścia lat, czyli ponad połowę życia, bo za trzy lata miał skończyć pięćdziesiątkę.

Wyższy ode mnie. Bardzo przystojny. Nieco starszy. I świetny partner do rozmowy. Uroczo pod każdym względem.

– Niestety, musimy powoli kończyć. Wielka szkoda, bo świetnie się gada, ale jutro muszę być na siłowni z samego rana, a potem biegnę do pracy.

Niestety.

– Rozumiem, Mickey – powiedziałam, choć humor mi siadł.

– Widzimy się przy ringu w sobotę.

O rety. Przy ringu? Tak blisko? Nie byłam wcale pewna, czy mam ochotę siedzieć tak blisko walczących. Nie powiedziałam mu tego.

– Do zobaczenia w sobotę – rzuciłam tylko.

– Nie mogę się doczekać.

– Ja również.

A po chwili dorzucił rozbawionym głosem:

– Nara, mała.

– Nara, Mickey.

Rozłączyłam się, rzuciłam telefon na poduszkę, pociągnęłam łyk herbaty i spojrzałam w atramentowe niebo rozświetlone blaskiem księżycy wiszącego nisko nad wodą.

Pozostanie na jakiś czas w Magdalene było jednak dobrą decyzją. Tutaj, w Lawendowej Willi, czułam się najbezpieczniej. Poznałam Jake'a i jego rodzinę. Teraz poznałam Micka. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio zasiedziałam się tak w jednym miejscu i nie byłam nieustannie zajęta pracą, kolacjami i imprezami z prominentami, telefonami i e-mailami, ustaleniami, planami i załatwianiem różnych drobnych spraw. Miałam nadzieję, że Henry pozwoli mi pracować zdalnie, tak, żebym nie musiała ruszać się z za komputera, który teraz stał podłączony do Internetu na biurku Buni. Obawiałam się jednak, że się nie zgodzi. Choć wiele mogłam dokonać za pomocą telefonu i komputera, w niektórych momentach po prostu musiałam stać przy jego boku. Po raz pierwszy, odkąd zaczęłam pracować z Henrym, nie chciałam wracać do tego wszystkiego.

Miałam wspaniałe życie, bywałam w cudownych miejscach, widziałam mnóstwo pięknych rzeczy i poznałam całe tłumy pełnych pasji, interesujących ludzi. Nie chciałam, by to wszystko zniknęło, nie na zawsze. Jednak siedzenie w przytulnym wykuszu, siorbanie herbaty i pogawędka z przystojnym mężczyzną również były przyjemne. Jak również wiedza, że następnego dnia znowu spędzę sporo czasu z Ethanem i Jakiem. Oraz to, że moje życie było kompletne, ale dopiero teraz doceniłam tego wartość.

Zadzzwonił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz, chwyciłam aparat i usiadłam na baczność, przykładając komórkę do ucha.

– Witaj, Jake.

– Hej, Śliczna. Zapomniałem zapytać, czy mam cię jutro zabrać na siłkę.

Poczułam nieprzyjemny ból w całym ciele, który nie był wprawdzie bardzo dokuczliwy, ale na pewno nie był też niczym przyjemnym.

– A czy Amber ma jeszcze jakiś strój do pożyczenia? – zapytałam.

– Znajdzie się z siedem kompletów – odpowiedział Jake rozbawiony.

– Wobec tego jadę. Ale spotkamy się na miejscu i przebiorę się w szatni.

– Mogę przyrządzić ci na miejscu koktajl proteinowy – odpowiedział.

Nie zabrzmiało to zachęcająco, więc tylko coś mruknęłam.

– Będę na miejscu o szóstej trzydzieści i masz być już na nogach. Przywiozę ci ciuchy.

Szósta trzydzieści?? Wcześniej mówił, że o siódmej... A to i tak było o godzinę albo i dwie za wcześnie na pobudkę.

– Ekhm... – powtórzyłam niewyraźnie.

– I bądź już po kawie.

– Ale Jake... – zaczęłam.

– Cholera! – rzucił. – Wrócił Con i ma niewyraźną minę, coś się chyba stało. Muszę kończyć.

Pewnie chodziło o porzucenie kolejnej dziewczyny. A skoro faktycznie się o nie troszczył, jak twierdził jego młodszy brat, to pewnie niełatwo było mu się z nimi rozstawać. Potrzebował wsparcia ojca. A Jake, jak to on, na pewno mu go udzieli.

Poczułam ból w sercu, w duszy i w umyśle. Przecież już raz to przeżyłam, z Henrym. Ból eskalował, aż do momentu, w którym uświadomiłam sobie, że to, co miałam, było lepsze niż nic.

– W porządku, Jake. Widzimy się jutro – powiedziałam.

– Tak, mała, do zobaczenia – odpowiedział cicho. – Śpij dobrze.

– Ty też.

– Do jutra.

– Do jutra, Jake.

Rozłączył się.

Przez chwilę gapiłam się na telefon. Westchnęłam, odrzuciłam aparat na siedzenie, pociągnęłam łyk herbaty i zwróciłam oczy na niebo za oknem.

Byłam posiadaczką luksusowego samochodu. Byłam posiadaczką wspaniałego domu z cudnym widokiem, który pełen był pięknych wspomnień. Stałam się częścią świetnej rodziny. Budowałam przyjaźń ze wspaniałym mężczyzną. Dodatkowym pocieszeniem była świadomość, że dostałam to wszystko od babci, która bardzo, bardzo mnie kochała. To wszystko było teraz moje. O wiele więcej niż wszystko, co jeszcze do niedawna zdobyłam. Nie miałam powodów do narzekań. Miałam za to wiele małych powodów do radości.

Pociągnęłam łyk herbaty, postanawiając pogodzić się z tą sytuacją. Postanowiłam również wybrać się nazajutrz z Ethanem do centrum handlowego i kupić jakieś sportowe ubrania. A może weźmiemy ze sobą Amber i kupię jej również obiecane kosmetyki. Może Ethan nie za bardzo się ucieszy z wycieczki na zakupy, ale Amber na pewno.

Małe powody do radości.

Zacznę się cieszyć jutro rano, po kawusi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Udawanie

Udawałam. Przez cały dzień, bez wątpienia.

Zaczęłam od tego, że nie nastawiłam budzika, a więc Jake znowu musiał mnie obudzić. Tym razem jednak nie usiadł nade mną i nie połaskotał mnie kosmykiem włosów. Zamiast tego pochylił się, odgarnął włosy z mojej szyi i zakreślił palcem zarys mojej brody, szepcząc:

– Obudź się, śpioszku!

Ten głos i te słowa rozgrzały mnie bardziej niż puchowa kołdra, którą byłam okryta. Otworzyłam oczy. Jego twarz stała się pierwszą rzeczą, jaką oglądałam po przebudzeniu. Drugi dzień z rzędu.

Pragnęłam tego doświadczać już każdego kolejnego poranka, co było niedorzecznym marzeniem, biorąc pod uwagę stopień naszej zażyłości.

– Wcisnęłaś drzemkę czy zapomniałaś nastawić budzik?

– Zapomniałam – skłamałam.

Uśmiechnął się szeroko. Potem, niestety, wyprostował się i rzekł:

– Ciuchy w torbie. Zrobię kawę.

Wskazał głową w stronę fotela, na którym spoczywała sportowa torba, po czym wyszedł z sypialni. Na pocieszenie mogłam dokładnie obejrzeć sobie jego szerokie plecy i barki pod granatowym sportowym strojem.

Mickey, zgodnie z zapowiedzią, również pojawił się na siłowni z samego rana. I choć dawał wyraźne sygnały, że chce do mnie podejść, Jake stał tak blisko przez cały czas trwania treningu, jakby był moim syjamskim bliźniakiem. Do tego zachowywał się jak niewyżyty kapral, wydając mi komendy, jak mam walić i kopać w worek. Tym razem miałam już obwiązane dłonie, więc nie czułam się jak ostatnia gapa, no i sposób, w jaki Jake je zabezpieczał, był rozkoszą dla zmysłu wzroku i oczywiście dotyku.

Gdy tylko skończyliśmy, Jake prawie wypchnął mnie z siłowni, twierdząc, że muszę zaraz być u Weaverów, a on „ma jakiś badziew do załatwienia”. Dokonał tego manewru, gdy Mick boksował akurat worek, odwrócony plecami do nas, więc nawet nie zauważył, jak wychodziliśmy.

Jake nie zawiózł mnie jednak prosto do Weaverów, ale do domu. Znowu zaprowadził mnie do środka, pocałował w policzek (tak blisko ust...), pociągnął za włosy i przypomniał o naszych planach na wieczór.

Wzięłam od niego również numer telefonu Amber i wysłałam jej esemesa z pytaniem, czy wybierze się ze mną i z Ethanem do centrum handlowego.

Odpowiedziała dopiero po godzinie i przeprosiła za opieszałość, ale była jeszcze na zajęciach, gdy przysłała wiadomość ode mnie. Zachowała się grzecznie i nie chciała pisać spod ławki. Dość żywiołowo wyraziła entuzjazm i postanowiła nam towarzyszyć. Mogłam więc dalej udawać, że byłam częścią życia zarówno Jake'a, jak i jego rodziny.

Odebrałam Ethana ze szkoły, a Amber czekała na nas w Lawendowej Willi.

Przekonałam się, że Ethan lubił gotować, ale nie cierpiał zakupów. Przygotowałam dokładną listę produktów, bo wiedziałam już, co najlepiej służy mojej cerze, nawet zanim użyłam próbek; w sklepie sportowym też poszło nam sprawnie, lecz mimo to Ethan jawnie manifestował swoje niezadowolenie.

Uspokoił się, gdy po ogłoszeniu, że umiera z głodu, dostał ode mnie wielki napój gazowany i precelki, które można było zanurzać w zatrważająco pomarańczowym płynnym

serze. Jemu jednak bardzo to smakowało, a najlepszym dowodem na to był fakt, że pochłonął wszystko w pięć minut.

Wróciliśmy do domu i zasiadliśmy z Amber za kuchennym stołem, żeby wypróbować jedną z makijażowych sugestii Jeana-Michela. Patrzyłam, jak Amber nakłada kolory przy użyciu nowych pędzli i ręcznego lusterka, i dostrzegłam, że jest już prawie ekspertką, więc koniec końców obie byłyśmy zadowolone z efektu. Ja szczególnie. Była ładną dziewczyną bez specjalnych starań. Ale ten makijaż wydobył z niej piękno i nie wahałam się, aby jej to powiedzieć. Jej reakcja na moje słowa utwierdziła mnie w przekonaniu, że powinnam jak najczęściej prawić jej komplementy.

Niestety, Ethan był bardzo niezadowolony ze wszystkich tych „dziewczyńskich zabiegów”. On również nie wahał się, by pokazać nam, jak bardzo brzydziły go kosmetyki i akcesoria do makijażu. Zrobiwszy to, udał się do pokoju telewizyjnego.

Nawet gdy strzelał fochy, był przeuroczy, więc tylko patrzyłam na niego z pobłażliwym uśmiechem. Niedługo potem przybył Jake, by zabrać nas na kolację, a potem na mecz.

Gdy spojrzał na córkę umalowaną delikatnie, ja ciągle udawałam: udawałam, że jest moim mężczyzną, a ja muszę mu wynagrodzić tę wspaniałą ojcowską reakcję. A reakcja była taka, że ujął dziewczynę pod brodę, uważnie jej się przyjrzał, po czym stwierdził cicho:

– Jezu, kochanie, wiedziałem, że jesteś śliczna, ale nie miałem pojęcia, jak wiele tego piękna jest jeszcze do odkrycia.

Twarz dziewczyny zmieniła się, rozpromieniła i spojrzała na ojca z nadzieją, a ja poczułam, jak ciepło otula moje serce.

Pochylił się, żeby pocałować córkę w policzek, a ciepło wokół mego serca zintensyfikowało się. Amber odwróciła się w moją stronę i rzuciła:

– Dzięki, Josie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, ślicznotko! – odpowiedziałam.

Uśmiech nie schodził z jej twarzy, gdy oznajmiła:

– Muszę lecieć do Taylorów. Nara!

– Nara, mała! – pożegnał ją Jake.

– Baw się dobrze, Amber! – dodałam.

Rzuciła mi szeroki uśmiech, po czym wrzasnęła w stronę salonu:

– Na razie, kurdupłu!

– Nie mów na mnie kurdupel! – odkrzyknął Ethan.

Wymieniliśmy z Jakiem uśmiechy. Jego uśmiech nie dotyczył jednak przekomarzanek dzieci. Był inny, głębszy, przepełniony wdzięcznością i czymś, czego w pełni nie rozumiałam, ale wiedziałam, że ma to wielką wartość i jest bardzo pozytywne. Bardzo podobał mu się nowy wygląd córki i nie wahał się tego powiedzieć. I był wdzięczny, że ja przyłożyłam do tego rękę. Bardzo podobał mi się ten stan rzeczy. Nie cieszyłam się tylko z powodu reakcji Jake’a, ale przede wszystkim z powodu Amber.

Rozgrzana tym przejmującym uśmiechem, wciąż udawałam, gdy dotarliśmy do restauracji Weatherby na kolację. Udawałam, że należę do niego, gdy trzymał mnie za rękę i we trójkę wchodziliśmy do lokalu. Udawałam, że zasługuję na te wszystkie zazdrosne spojrzenia kobiet, które obrzucały go wzrokiem i zorientowawszy się, że trzyma moją dłoń, odwracały wzrok rozczarowane. Fantazjowałam dalej, gdy usiedliśmy i poczułam jego ramię na swoich plecach. Udawałam, że to nie tylko przyjacielski gest, ale również podkreślenie przynależności do niego. Udawałam, że nie usiadł tak po prostu dlatego, że nie mieścił się na kanapie i nie miał co zrobić z rękami.

Zdawałam sobie sprawę z tego, iż wszystkie moje wyobrażenia są ułudą, lecz mimo to nie

mogłam przestać. To fantazjowanie bardzo mi się spodobało. Było wszystkim, co mi pozostało, nie miałam dostać niczego więcej.

Udawałam więc dalej, gdy już wyszliśmy z restauracji i jechaliśmy na szkolny stadion, wysłuchując żywiołowego trajkotania Ethana. W czasie kolacji nie mieliśmy okazji porozmawiać, bo młody był tak absorbujący i rozgadany, że odpowiadaliśmy tylko na jego pytania.

Głównym tematem jego monologów był *Raptor Zabójca*, więc zalewały nas fale entuzjazmu spowodowane tym, że czekanie wreszcie się skończyło.

Udawanie nie skończyło się, gdy Jake znowu wziął mnie za rękę i poprowadził z parkingu w stronę trybun stadionu. Musiałam wciąż udawać, bo w naszą stronę kierowały się kolejne spojrzenia. Nie znałam tych ludzi, ale Jake najwyraźniej znał, bo rzucał im skinienia głową. Byli jednak i tacy, z którymi zdążyłam się zapoznać, więc uśmiechałam się i machałam. Bawiłam się świetnie, a Jake tymczasem wybrał dla nas miejsca na trybunach i rozłożył gruby wełniany koc na metalowej ławce, strząsając z niego jakieś pyłki. Zanim jednak usiedliśmy, okręcił moją szyję bordowym szalikiem, poprawił węzeł pod szyją i szepnął:

– Żeby moja dziewczyna nie zmarła.

Byłam jego dziewczyną. Och, jak bardzo pragnęłam, żeby to była prawda!

Wieczór był chłodny, a Jake musiał zapamiętać, że chroniłam szyję szaliczkiem podczas spotkania w Szopie. O tak! Pragnęłam, by to jednak była prawda. Nieważne, że szalik nie pasował do reszty mojego stroju.

Walczyłam ze zbuntowanym oddechem, gdy ujął mnie pod brodę, spojrzał głęboko w oczy i poinformował:

– Lydia wydziergała go dla mnie trzy lata temu. Dostałem pod choinkę.

Bunia zrobiła ten szalik dla niego. Poczułam, jakby delikatna wełna naprawdę rozgrzewała się wokół mojej szyi, a do oczu napłynęły mi łzy. Nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa. Chyba wyczuł moje wzruszenie, bo powiedział cicho, pochylając się w moją stronę:

– Do twarzy ci w nim. To jednak prezent od Lydii, więc chciałbym go odzyskać.

Pokiwałam głową i wydusiłam przez ściśnięte wzruszeniem gardło:

– Oczywiście.

Uśmiechnął się kącikami ust, wzrok mu pojaśniał. Ale to wystarczyło. Przytuliłam się do niego. Jego spojrzenie zmieniło się, nabrało ciepła i intensywności. Ale i pełnego pasji mroku. A to podobało mi się jeszcze bardziej.

Krzyk Ethana przerwał tę intymną chwilę.

– Tato! Tam są Josh i Bryant! Mogę do nich iść?

Jake przez chwilę jeszcze patrzył mi w oczy i wciąż trzymał dłoń przy mojej twarzy, ale w końcu opuścił ją i zwrócił się do syna:

– Tak, ale chcę cię mieć w zasięgu wzroku.

– Jasne! – potwierdził Ethan, wskoczył na pustą ławkę przed nami, a potem popędził w dół schodkami w stronę dwóch podrostków stojących przy płocie odgradzającym trybuny od murawy.

– Siadaj, Śliczna – zachęcił mnie Jake.

Przeniosłam wzrok z chłopców na niego i usiadłam. Zajął miejsce obok, objął mnie w tali i przyciągnął do siebie, niwelując dystans kilkunastu centymetrów, więc stykaliśmy się teraz biodrami i udami. Rety. Znowu zadrdzał mi oddech.

Póki co, zarówno boisko, jak i ławki zawodników stały puste. Ławki dla kibiców gości wypełniały się, ale nie tak szybko jak te po stronie gospodarzy. Wszędzie migały klubowe barwy: błękit i żółć.

Zauważyłam cheerleaderki rozgrzewające się na skraju pola. Aura była niesprzyjająca, więc kibice odziani byli w grube kurtki, szaliki i czapki, a niektórzy nawet w rękawiczki. Dzieciaki poubierane grubo, ale młodzież wyszykowana jak na pokaz mody, a nie na chłód. Widać było, że wolą popisywać się strojem i zmarznąć niż zakrywać od stóp do głów.

Nagle uświadomiłam sobie, że ostatnim wydarzeniem sportowym, jakie oglądałam na żywo, musiał być szkolny mecz w czasach licealnych. I przypomniałam sobie, że wówczas, przez ten krótki czas, uwielbiałam futbol.

Andy, chłopak, z którym się potajemnie spotykałam, był zawodnikiem, więc biegałam na każdy mecz. Podglądałam również treningi, bo uwielbiałam obserwować go na boisku. Czekałam na piątki i w te dni wybierałam się na mecze z koleżankami, przyglądałam się swojemu chłopakowi, a po meczu kryliśmy się gdzieś i całowaliśmy tak długo, aż robiło się niebezpiecznie późno.

Byłam wówczas szczęśliwa. Byłam normalna. Nie musiałam niczego udawać. Miałam wszystko. A potem ojciec mi to wszystko odebrał.

– Wszystko dobrze?

Głos Jake'a wyrwał mnie z tej galopady wspomnień.

– Tak – odpowiedziałam.

– Ciepło ci? – dopytywał.

– Bardzo, Jake. – Zniżyłam głos: – Dzięki za szalik.

Uśmiechnął się, złagodniał.

– Dobrze widzisz?

Był taki opiekuńczy, myślał o wszystkim! Niesamowite! Pokiwałam głową.

– To dobrze – skwitował, przyciskając mnie jeszcze mocniej do swojego boku.

Chciałam dalej udawać. Naprawdę. Przytulić się do niego mocniej. Opleść go ramionami, przylgnąć do jego ciała. Ale nie mogłam dłużej tego ciągnąć. Poza tym musiałam znaleźć toaletę.

– Zanim cokolwiek się zacznie, muszę iść na stronę. – Spojrzałam na jego profil; odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Dobra, Śliczna. Sławojki są za stoiskiem z pamiątkami, na południowym skraju boiska – poinformował mnie, wskazując kierunek głową.

– Dzięki, Jake – mruknęłam. – Zaraz wracam.

– Masz sporo czasu, mecz zaczyna się za jakiś kwadrans – powiedział, ale szybko dodał: – Więc, znając ciebie, lepiej się pospiesz.

– Tak zrobię – zapewniłam.

Teraz to już naprawdę poczułam, że muszę się pospieszyć.

Gdy umyłam ręce i wyszłam z toalety, postanowiłam wrócić ze świata fantazji. Owszem, miło było tak się łudzić, ale przecież nie mogłam robić tego wiecznie. Gdybym się zatraciła, powrót do prawdy byłby zbyt bolesny. Nie mogłam dłużej udawać.

Coś mignęło mi w kąciu oka i dostrzegłam Connera stojącego w pobliżu słupa oświetleniowego, mniej więcej w połowie drogi od stoiska z pamiątkami. Obok niego stała wysoka, bardzo atrakcyjna, kształna blondynka. Jej strój sugerował wycucie stylu, ale i pewną nonszalancję, szczególnie wielki, perłowy szal, którym była szczelnie okutana. Zwróciłam uwagę na jej sztruksową kurtkę w kolorze przydymionego różu i urocze mitenki. Patrzyła na Connera z uwielbieniem, ale było w tym wzroku coś nieśmiałego. To musiała być Ellie i patrząc na nią, byłam pewna, że to właśnie ona będzie ostatecznym wyborem Connera.

Chłopak musiał wyczuć mój wzrok, bo spojrzał w moim kierunku i skinął głową. Gdy Ellie zauważyła, że na nich patrzę, odruchowo przylgnęła do niego, a on objął ją ramieniem. Uroczo razem wyglądali. Pomachałam im z uśmiechem, postanawiając jednak nie podchodzić.

Byliśmy na meczu licealistów, młodzieniaszek konwersujący ze swoją dziewczyną (czy też jedną z dziewczyn) nie potrzebował asysty osoby dorosłej.

Wracając, spozrzałam na stoisko z czapeczkami i koszulkami. Zauważyłam również, że chociaż zawodnicy już rozgrzewali się na murawie, to mecz jeszcze się nie rozpoczął. Wpadłam również na pomysł kupienia jakichś ciepłych napojów na rozgrzewkę.

Stałam na końcu długiej kolejki i wydobyłam telefon, żeby zadzwonić do Jake'a.

– Zgubiłaś się? – zapytał zamiast zwykłego „Halo?”.

Zaśmiałam się cicho i odpowiedziałam:

– Nie, Jake. Stoję w kolejce po napoje. Co wolisz, kawę czy gorącą czekoladę?

– Zaraz do ciebie przyjdę.

Jakie.

To było.

Zdumiewające.

– Jake, dam radę przynieść dwa kubki. Co chcesz?

– Będę tam za minutę i pomogę ci.

– Jake, postawiłeś mi kolację w Eaves, omlet na śniadanie i dziś znów kolację. Mogę dla odmiany kupić dwa napoje i przynieść je na trybuny. A poza tym ktoś nam zajmie dobre miejsca, jeśli się oddalisz.

– Zostawię koc – odpowiedział, a ja się roześmiałam.

Jakie.

To było.

Zadziwiające.

– Musisz cały czas się o mnie troszczyć, prawda? – zapytałam, gdy już śmiech przycichł.

Odpowiedział takim tonem, że znowu poczułam motyle w brzuchu:

– Miło, że zauważyłaś.

Nie sposób było nie zauważyć, no i udawałam przez cały czas głównie za sprawą jego zachowania. Odpowiedziałam głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

– Pozwól, że kupię ci coś do picia.

– W takim razie czekolada – złożył w końcu zamówienie, a ja uśmiechnęłam się do telefonu.

– A dla Ethana? – zapytałam.

– Ethan dostał dziesiątaka, kupi sobie, co zechce. I z pewnością nie będzie to czekolada, a jakiś chemiczny badziew.

– No dobrze – odpowiedziałam z uśmiechem i podeszłam pół kroczy, bo kolejka prawie się nie ruszała. – Kilka minut mi tu zejdzie.

– Wracaj szybko, Śliczna.

– Wrócę.

Rozłączyłam się.

Przede mną stał dość niski, drobny, zniewieściały chłopak odziany w spodnie w pepitkę, mokasyny i czarny golf, i gapił się na mnie z rozdziawionymi ustami. Przydałby mu się jeszcze jakiś fikuśny kapelusik, ale i tak byłam pod wrażeniem tych stylistycznych wyborów.

– Cześć! – rzuciłam, gdy nie przestawał mi się przyglądać, jakby zdumiony.

– Ty jesteś Josie – stwierdził, co bardzo mnie zdziwiło.

– Faktycznie jestem – potwierdziłam. – A ty to...?

Wyciągnął do mnie dłoń.

– Jestem Taylor, najlepszy psiapsiół Amber. A przynajmniej jeden z najlepszych.

Ach tak. Wielbiciel Jeana-Michela. To by wyjaśniało spodnie i mokasyny.

Uścisnęłam jego dłoń.

– Niezmiernie miło cię poznać, Taylor. Amber o tobie opowiadała.

Odwzajemnił uścisk entuzjastycznie i odpowiedział:

– A Amber o tobie. I to dużo. Uważa, że niezła z ciebie petarda!

To, zdaje się, był komplement i tak to odczułam, więc uśmiechnęłam się.

– Twój strój jest bardzo stylowy – skomplementowałam go. – I nosisz się z dużą dozą pewności siebie, ale przydałby ci się jeszcze kapelusz.

– Racja? Też tak uważam! – Twarz mu pojaśniała, wyprostował się. – Nie jestem jednak pewien, czy fedora uszłaby mi na sucho podczas meczu... Będę miał szczęście, jeśli nie zgarnę kilku kuksańców tylko za te spodnie.

Machnął ręką gdzieś w dół, chyba wskazując na swoje nogi.

Poczułam, że brwi zbiegają mi się na czole.

– A dlaczego ktoś miałby uraczyć cię kuksańcem?

– Eee... Dlatego że jestem siedemnastoletnim gejem, który na mecz nosi ciuchy w pepitkę?

Och. To chyba miało wszystko wyjaśnić.

– Rozumiem – szepnęłam. – Żałuję, Taylor, ale nie mam na to żadnej rady. Wszędzie zdarzają się ludzie o małych rozumkach, a ci, którzy mają odwagę być sobą, muszą znosić ich dokuczliwość. Taki twój los i ciężko coś na to poradzić. Ale przynajmniej wiesz, że podczas gdy twój świat jest kolorowy i soczysty, ich są małe i zalane betonem. A to los o wiele gorszy.

Skończyłam wywód i już miałam upomnieć Taylora, żeby przesunął się do przodu, gdy usłyszałam za plecami głosy. To byli jacyś chłopcy. Ich rozmowa w ciągu sekundy pochłonęła całą moją uwagę.

– W ogóle nie zwracałeś na Amber uwagi, jakby jej tam nie było – powiedział jeden.

Zamrugłam szybko, a oczy Taylora się rozszerzyły.

– Dobrze dziś wygląda. Świetnie. Coś się zmieniło w jej twarzy – mruknął drugi.

– Skończyłeś z nią?

– Sunia za bardzo sobie pogrywa – odezwał się inny głębokim głosem. – Nie lubię takich kokietek. A Amber Spear to kokietka pełną gębą. Grzywa włosów, krótka spódniczka. Ale ręki pod nią włożyć to już nie pozwoli. Pieprzę taki układ.

Wyprostowałam się, a Taylor pobladł.

– A jej ojciec to wrzód na tyłku – kontynuował głębokim głosem.

– Spear rozniósłby cię na kawałki, nawet jeśli jest już staruchem.

Co proszę?? Jake nie był staruchem! No dobrze, może nie znałam jego wieku, ale na pewno nie był stary, sądząc po tym, jak zasuwiał na siłowni.

– Mniejsza o to – ciągnął. – Nie puści jej na koncert Bounce do Bostonu. Serio? To jest posrane! Chelsea i Brooke jadą i ich starzy mają na to wyjechane.

Mówili o koncercie, na który chciała jechać Amber. Dobrze, że orientowałam się w sytuacji. Kolejne zdanie wypowiedziane tym głębokim głosem sprawiło, że postanowiłam działać, choć może nie była to najmądrzejsza decyzja.

– Myślałam, że w końcu ją bzyknę. Niezła z niej laska, ale skoro tak sobie ceni swoją cnotę, to niech ją sobie zatrzyma.

Widziałam, jak Taylor zamyka usta i zaciska szczęki, i w tej sekundzie się odwróciłam. Było ich czterech. Wysocy. Przystojni. Najwyższy i najprzystojniejszy miał hebanową skórę. Coś mi podpowiadało, że to właśnie był Noah. Mógł się Amber podobać, to jasne. Ale nie miała położyć na nim rąk. Czy może raczej, on nie miał położyć rąk na niej.

– Jesteś Noah, prawda? – spytałam.

Na usta powoli wypełził mu uśmiech. Pewnie uważał, że jestem jakąś fanką, w końcu był szkolnym gwiazdorem i musiałam o nim słyszeć.

– Ta, jestem Noah Young – potwierdził.

– Więc, Noah Young, chcę, abyś wiedział, że Amber nie zaszczyci cię swoim towarzystwem na koncercie, bo wybiera się tam ze mną i z Taylorami. Lavon nie lubi tłumu za kulisami, więc Amber postanowiła rozdać przepustki, które załatwiłam, swoim najlepszym przyjaciółom. Najwyraźniej nie należysz do tej grupy – skłamałam.

Ale tylko na chwilę. Szepnę słówko ludziom Lavona i kłamstwo stanie się prawdą. Lavon Burkett był frontmanem kapeli Bounce. Henry zrobił dla nich cztery teledyski. Lavon go uwielbiał, i mnie przy okazji. Dałby mi nawet tysiąc przepustek, gdybym o to poprosiła, choć prawdą było, że nie lubił tłumów podczas after parties. Często spełniał moje zachcianki, bo był bardzo wylewny wobec przyjaciół. Po pierwszym teledysku przysłał mi kwiaty, po drugim najdroższego szampana, po trzecim oprawiony rękopis tekstu mojej ulubionej piosenki z ich repertuaru, a po czwartym diamentowe kolczyki.

Noah patrzył na mnie osłupiały, ale dopiero się rozkręcałam.

– Twierdzisz, że Amber jest kokietką? Nie jest. Po prostu aż tak bardzo jej się nie podobasz.

To już była wierutna bzdura i Taylor za mną zareagował na nią jakimś mimowolnym parsknięciem za moimi plecami. Mimo to ciągnęłam tę gierkę:

– Choć twierdzi, że jesteś dość przystojny, uważa, że jej nie szanujesz i ma z tym problem. A byłeś już tak blisko ostatniej bazy... Niestety, takimi komentarzami jak przed chwilą jej nie zaliczysz. – Wytrzymałam jego wzrok i zniżyłam głos. – Widzisz, młoda kobieta, która zna swoją wartość, wie, że jej serce jest kruche, a jej młodość bezcenna. Nie da nic facetowi, który nie szanuje tego, co już dostaje. – Noah wciąż się na mnie gapił, więc uniosłam głos. – A poza tym od jakiegoś czasu gawędzi sobie przez Skype'a z Julianem. To Francuz, ale mieszka w Kanadzie, teraz, zdaje się, strzela sesję modową gdzieś na zboczach Fidzi, ale za chwilę wraca do Nowego Jorku. Choć jest modelem, to uwielbia sporty ekstremalne. Nie może się doczekać przyjazdu do Maine, a Amber z pewnością zechce pokazać mu jakieś atrakcje.

Rozkręciłam się w tych kłamstewkach, ale petardę zostawiłam na koniec.

– Chłopak ma dziewiętnaście lat, ale różnica wieku nie gra roli, bo tata Amber go lubi. Pewnie dlatego, że Julian obraca się wśród przepięknych kobiet i wie, jak się je traktuje. No i pan Spear potrafi poznać się na wartościowych ludziach. Więc nadal możesz ignorować Amber – zachęciłam sarkastycznie. – Oszczędzi ci to frustracji, kto wie, może nawet złamanego serca, gdy ona w końcu zorientuje się, jakim jesteś pustakiem, i cię pogoni, zmęczona tym totalnym brakiem głębi.

– W mordeczkę... – skomentował jeden z jego kumpli.

Nie, jeszcze nie skończyłam.

– Jeszcze jedno – rzuciłam. – Niektórym mężczyznom uchodzą na sucho takie wulgarne odzywki, ale niestety w twoim przypadku widać, jak bardzo są wymuszone. No i obgadywanie dziewczyny tak, żeby wszyscy dookoła słyszeli, świadczy o totalnym braku jakichkolwiek manier. Jest dowodem buractwa. Bo to tylko pomówienia, które nie świadczą źle o kobiecie, ale o tobie. Reasumując: o tobie mówią same złe rzeczy.

Odwrociłam się do niego plecami i spojrzałam na Taylora.

– Postąp no kroczek do przodu, Taylor – zachęciłam. – Kolejka się przesuwają.

Oderwał ode mnie wzrok i podszedł kroczek do przodu.

– Dobra, spadamy stąd – usłyszałam za plecami i poczułam, że odchodzą, a Taylor znów spojrzał na mnie.

– To... było... epickie! – wydyszał.

Może nieco przesadził z tym „epickim”, ale cieszyłam się, że docenił mój występ. No ale teraz musiałam dźwignąć ciężar mojego postępu. Może i Taylor go doceniał, ale obawiałam się, że Amber niekoniecznie będzie miała takie samo zdanie.

– Masz telefon? – zapytałam.

– Ta – odpowiedział.

– Szybko pisz do Amber i każ jej tu natychmiast przyjść. Musimy ją wtajemniczyć w to przedstawienie.

– Jasne – mruknął i wy dobył telefon z kieszeni.

– A jak dasz jej już znać, zadzwoń do rodziców i powiedz im, że wybieracie się na koncert ze mną. Zapewnię transport, zakwaterowanie i będę doskonałą przyzwoitką.

Jego palce zatrzymały się nad ekranem i spojrzał na mnie, jakbym była aniołem, który przed chwilą spadł z nieba. Dokończył pisanie esemesa, a ja zaczynałam coraz bardziej martwić się o to, że Amber może jednak nie docenić tego, co zrobiłam.

Gdy w końcu się pojawiła, odbierałam właśnie dwa kubki czekolady wstawione do papierowego uchwytu. Towarzyszyła jej jakaś młoda kobieta, a na jej widok zapomniałam o targających mną wątpliwościach. Była bardzo wysoka, na oko pięć centymetrów wyższa od Amber, co by dawało jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Bardzo szczupła i zgrabna. Z burzą lśniących, czarnych włosów. Jej strój, podobnie jak Taylora, pasował raczej na spacer po Manhattanie, a nie mecz na wygwizdowie. Nosiła jeansy, wysokie buty i skórzaną kurtkę jak kreację z wybiegu. Musiała mieć domieszkę azjatyckiej krwi, zdradzały to wydatne kości policzkowe, brązowe oczy i porcelanowa cera. Zdziwiająco piękna.

– No hej, Josie! – przywitała się Amber. – Co tam?

Głos Amber przywołał moje lęki. Spojrzałam na nią.

– Musimy porozmawiać na osobności, dziewczynko – powiedziałam.

Zaniepokoiła się, ale Taylor pospieszył mi na ratunek.

– Amber, nie uwierzysz, co się przed chwilą stało!

Amber spojrzała na przyjaciół i odeszliśmy od stoiska na otwartą, trawiastą przestrzeń pomiędzy polem a trybunami.

– Co się dzieje? – zapytała Amber, gdy tylko oddaliliśmy się z zasięgu słuchu innych ludzi.

Już miałam zacząć opowiadać, ale dziewczyna wtrąciła się:

– A tak w ogóle to jestem Taylor. Ta druga Taylor. Psiapsiółka tych tutaj.

– Miło cię poznać, Taylor. Jestem Josephine.

– No wiem – uśmiechnęła się, stając się jeszcze piękniejszą. – Ten dzisiejszy look Amber! Wszyscy ją obczajają! Jest super!

Fajnie, że jej się podobało, ale nie skomentowałam, bo miałam pilniejsze sprawy do omówienia. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wtrącił się Taylor:

– Dziewczyno, Noah stanął za nami w kolejce i nie widząc mnie, gadał o tobie strasznie syfiaste rzeczy!

Amber zbladła.

– Ale spoko, Josie go zmiażdżyła! – dokończył.

Spojrzała na mnie i widać było, że wcale a wcale jej to nie uspokoiło. Ścieśniliśmy krąg i powiedziałam:

– Przykro mi, maleńka. Opowiadał straszne rzeczy i nie mogłam się powstrzymać.

– Co gadał? – szepnęła.

– Nazwał cię kokietką, która może sobie zatrzymać cnotę, skoro ją tak sobie ceni.

Rumieniec oblał twarz Amber.

– Co za fiut! – wykrzyknęła Taylor, patrząc na przyjaciółkę. – Mówiłam ci, że ten dupek myśli tylko o sobie!

– To prawda, sestro – zgodził się Taylor. – Myśli, że wszyscy są w niego zapatrzeni, ale dzisiaj to ty jesteś zjawiskowa. No i żaden dupek nie powinien się tak wyrażać o żadnej dziewczynie, nigdy. A on serio to wszystko wygadawał. Nie jest nic wart, mówię ci!

– To niestety szczerą prawdą – kontynuowałam delikatnym tonem. – I nie omieszkalam mu tego wypomnieć. No i dodałam trochę od siebie.

– Dodałaś? – zapytała Amber słabym głosem, co mnie specjalnie nie zdziwiło po tych bolesnych dla nastolatki ciosach.

– Tak.

– Co dodałaś?

Wzięłam głęboki wdech i nakreśliłam sprawę:

– No więc, powiedziałam mu, że zabieram was na koncert do Bostonu, a tak się składa, że doskonale znam członków Bounce. Przyjaźnię się z Lavonem, więc bez problemu namówię twojego tatę, by pozwolił ci ze mną jechać.

Jej usta rozchyliły się w zdumieniu, a ja spojrzałam na Taylor.

– Powiedz o tym rodzicom, bo przecież jedziemy wszyscy. Jutro rano zadzwonię do Lavona i upewnię się, że wejdziemy za kulisy. Powiedzcie rodzicom, że pokrywam koszty podróży i hotelu i cały czas będę mieć was na oku.

Ciemne oczy patrzyły na mnie uważnie.

– Znasz Lavona Burketta...? – spytała Taylor.

– A owszem – potwierdziłam, ale to nie było teraz najistotniejsze.

Spojrzałam na Amber.

– Trochę nazmyślałam, że flirtujesz przez Skype'a z Julianem, jednym z modeli, z którymi pracuje Henry. Oczywiście mogę was sobie przedstawić i to już nie będzie kłamstwo, ale nie wiem, co twój tata by na to powiedział, więc może najpierw zajmijmy się koncertem, a potem zajmijmy się Julianem?

Amber patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała, co do niej mówię, ale zanim zdążyłam coś dodać, Taylor krzyknął:

– Ooo móój Boożżże!

– Co?? – zapytała druga Taylor.

Taylor wyciągał w naszą stronę komórkę, a na ekranie widać było Juliana, który mokry, cudnie opalony i cudnie wyrzeźbiony wynurzał się z morskiej kipieli. Woda ściekała mu po ciemnych, opadających na twarz włosach, a na ustach igrał zniewalający uśmiezek.

– Baaałaaagam, powiedzcie mi, że jest homo! – jęknął Taylor.

– Niestety, zdecydowanie nie jest – odpowiedziałam.

– Zakochałam się! – szepnęła druga Taylor.

– Możesz przedstawić mnie... jemu? – zapytała Amber, a jej głos był nieledwie świstem powietrza.

Spojrzałam na nią i już wiedziałam, że popełniłam strategiczny błąd; musiałam przywrócić jej uwagę na właściwe tory.

– Nie rozpraszajmy się, dobrze? – zagaiłam. – Po pierwsze, twoi przyjaciele muszą uzyskać pozwolenie rodziców na wyjazd na koncert, a ja muszę omówić sprawę z twoim tatą, żeby upewnić się, że ty możesz się ze mną wybrać. Po drugie, musisz dziś bardzo na siebie uważać i postępować rozważnie. Nie wiem, co Noah robi, gdy już przetrawi te wszystkie rewelacje. Oby nie usiłował użyć ich przeciwko tobie.

Zbliżyłam się i mówiłam ciszej:

– Ty, ślicznotko, musisz zachowywać się tak, jakby w ogóle ci nie zależało. Albo zgadzasz się na takie traktowanie, albo puszczasz go kantem. Jeśli będzie cię ignorował, reagujesz tym samym. Możesz obgadać sprawę z przyjaciółmi, albo nawet... – zawahałam się przez moment – ...ze mną, jeśli ufasz mi na tyle, żeby wyłożyć swoje uczucia. Jeśli nadal będzie tobą zainteresowany, rzuć mu tylko okruszek swojej uwagi. Jego dzisiejsze słowa i zachowanie są dowodem na to, że na więcej nie zasługuje.

W następnej chwili Amber udowodniła, że ma bardzo wąski kanał zainteresowań i mieści się w nim naraz tylko jeden chłopak. Skinęła głową w stronę telefonu Taylora i powtórzyła:

– Możesz przedstawić mnie jemu??

– Amber, słyszałaś to, co przed chwilą powiedziałam?

Widziałam, że przełyka z trudem; w jej oczach pojawił się ogień, a głos drżał, gdy zapytała:

– Nazwał mnie kokietką?

Poczułam ciężar w sercu na widok jej miny i dźwięk tego głosu. Moja biedna dziewczynka. Przytuliłam ją i dotknęłam jej twarzy. Poglądziłam policzek kciukiem i szepnęłam:

– Tak, moja śliczna dziewczynko. I nie były to słowa godne dżentelmena.

– Zachowywał się tak, jakbym mu się podobała.

– Z pewnością – powiedziałam. – Ale ma też drugą twarz, tę, którą pokazuje kolegom. Zachowuje się tak, jakby za wszelką cenę chciał dorosnąć do roli szkolnego twardziela, wydaje mu się, że aby utrzymać tę pozycję, musi zaliczać kolejne dziewczyny, a to jest bardzo złe.

– Ale Josie, on mi się podobał... od zawsze – szepnęła.

Wzięłam głęboki wdech, bo pamiętałam aż za dobrze ze szkolnych lat, jak to było zdobyć w końcu uwagę upatrzonogo chłopaka. Pogłaskałam ją po twarzy, mówiąc:

– Moja śliczna, to nie będzie łatwe i na pewno masz mieszane uczucia. Musisz zrozumieć, że on nie sprostął twoim wyobrażeniom. Chwilę ci zajmie pogodzenie się z tym faktem, ale to jest bolesna prawda. Może to, co mu powiedziałam, dotrze do niego i spojrzy na ciebie w innym świetle. Jeśli tak się stanie, musisz postawić twarde warunki i nie zgodzić się na nic, co nie będzie wynikało z szacunku, dobroci i głębokiego uczucia.

– To najprzystojniejszy chłopak w szkole – dodała.

– Może i tak, ale uwierz mi, gdybyś usłyszała jego słowa, straciłby sporo ze swojego powabu, nawet gdyby mówił o innej dziewczynie.

– To sama prawda, Amber – wtrącił Taylor.

Opuściłam rękę i obie spojrzaliśmy na niego.

– To totalny duppek – dodał.

– Zawsze był dupkiem – potwierdziła druga Taylor.

– Mnie oczywiście nie wypada nazywać nastoletniego chłopaka dupkiem – zaczęłam i wszystkie oczy skierowały się na mnie. – Ale potwierdzam słowa Taylor. Obu. Zachował się jak ostatni duppek.

Rzeczni przyjaciele wybuchnęli śmiechem, a oczy Amber się rozszerzyły. W końcu też się roześmiała, a potem ujęła moją dłoń i powiedziała:

– „Duppek” wypowiedziany twoim głosem to najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałam w życiu!

Dotknęła mojej ręki. To było bardzo miłe. Dobrze, że nie zalała się łzami, gdy usłyszała, co wygadywał Noah Young. Dobrze, że nie zezłościła się na mnie za tę całą intrygę, ale gdyby tak się stało, wiedziałabym, że na to zasłużyłam, w końcu sama kiedyś byłam nastolatką. Najważniejsze, że teraz się śmiała. Moje rozmyślenia przerwał piskliwy wrzask:

– Serio, Conner? Wydaje ci się, że możesz mi ot tak dać kosza??

– Oho! – mruknęła Amber i spojrzeliśmy w stronę miejsca, w którym Conner stał ze swoją dziewczyną.

Dalej tam byli, ale teraz blondynka chowała się za nim, a szarżowała na nich drobna, ale na pierwszy rzut oka drapieżna rówieśniczka.

– Do ciebie mówię! – krzyczała, wskazując na Ellie. – Myślisz, że jesteś lepsza ode mnie?

Twarz Connera zastygła w gniewie, postąpił krok w stronę brunetki, wciąż chowając za sobą Ellie. Poczułam, że nogi same niosą mnie w ich stronę. Amber i Taylorowie podążyli za mną. Zatrzymaliśmy się przy nich, Conner spojrzał na mnie.

– Josie... – zaczął, ale przerwałam mu stanowczym tonem.

– Chyba musicie porozmawiać na osobności. – Wyciągnęłam rękę do blondynki. – Chodź ze mną – zachęciłam ją.

– To Ellie – szepnęła Amber za moimi plecami.

A więc dobrze zgadłam.

– Chodź, Ellie, pooglądamy mecz i poczekamy na Connera.

Patrzyła wyczekująco w jego stronę, a on zerkał na nią przez ramię.

– Idź – ponaglił ją. – Josie się tobą zajmie.

Zawahała się tylko chwilę, zaciskając usta, po czym ruszyła w moją stronę.

– Miej oczy dookoła głowy! – syknęła brunetka w naszą stronę.

Ellie ujęła moją dłoń i ścisnęła ją nadzwyczaj pewnie, zważywszy na fakt, że jedyną pewną informacją o mnie było to, iż przyszłam z siostrą jej chłopaka. Odciągnęłam ją, zerkając na Connera, a on rzucił tylko:

– Poradzę sobie z tym, Josie.

– Tak ci się tylko wydaje! – Brunetka wciąż syczała przez zęby.

O rety. Chyba Conner miał przechlapane. Zabrałam Ellie z linii ognia i podeszliśmy do trybun, znajdując ustronne miejsce. Choć mecz już się zaczął, nikt z nas nie zwracał na to uwagi. Ellie zbladła, wciąż ścisnęła moją dłoń. Amber i Taylorowie otoczyli nas.

– Jestem Josephine – przedstawiłam się.

– Wiem – zaczęła cicho nieśmiałym tonem, unikała mojego wzroku. – Con mi o tobie opowiadał. Nowa dziewczyna jego taty.

Na dźwięk tych słów przeszły mnie miriady ognistych igieł. Poczułam niemal fizyczny ból, żar nadziei w sytuacji, która przecież była beznadziejna. Musiałam skupić się na tej przerażonej dziewczynie, a nie na własnych odczuciach.

– Myślę, że Conner chciałby, abyś usiadła ze mną i z jego tatą. Dołączy do nas, gdy załatwi sprawy z tamtą młodą damą.

– To bez znaczenia. – Pokręciła głową. – Dorwie mnie. Gada po całej szkole, że mnie załatwi.

– Nie powinnaś więc być sama – powiedział Taylor, przysuwając się.

– Będziemy cię pilnować, Ellie. Mia jest wściekła, bo wie, że przegrała, a ty masz trofeum. Wypali się, zobaczysz – dodała Amber.

Westchnęłam. Trofeum, zaiste. Conner uknuł tę intrygę. Naprawdę liczyłam na to, że będzie potrafił ją teraz rozsypać bez łamania zbyt wielu serc.

– Chyba muszę usiąść... – poprosiła Ellie słabym głosem.

– Zabierzmy ją na trybuny! – zarządziłam.

Odnalazłam schody prowadzące do naszych miejsc, wypatrzyłam Jake'a w tłumie. Po obu jego stronach ziały puste miejsca dla Ethana i dla mnie.

Puściłam Ellie, ale chwyciłam Amber za ramię i szepnęłam jej do ucha:

– Czy możesz zaprowadzić Ellie na górę i poprosić tatę, żeby zszedł do mnie?

Pokiwała głową, wpatrując się w moją twarz.

Taylor odebrał ode mnie zapomniane napoje i zaczęli wdrapywać się po schodkach. Wepchnęli się między ludzi siedzących na skraju rzędu, żeby dostać się do Jake'a. Widziałam, jak Amber pochyla się w jego stronę, a potem jego spojrzenie podążyło w dół, odnajdując mnie. Wstał, a dzieciaki zaczęły się sadowić na zwolnionym miejscu. Po chwili zbiegał po schodkach w moją stronę.

Bez słowa chwyciłam go za rękę i pociągnęłam do cichego miejsca, w którym przed chwilą staliśmy. Stanęłam blisko niego, wspierałam się na palce i powiedziałam:

– Mam tylko chwilę, żeby wszystko ci opowiedzieć.

Brwi podjechały mu na czoło.

– Później wtajemniczę cię w szczegóły, więc będziesz mógł gniewać się na mnie do woli, ale póki co po prostu wtajemniczę cię w bałagan, którego narobiłam. Chciałabym, żebyś się zgodził, bym zabrała Amber i Taylorów na koncert Bounce do Bostonu. Znam członków zespołu i można powiedzieć, że przyjaźnię się z frontmanem. Więc załatwię im wejście za kulisy. Będę ich pilnować, obiecuję. Bardzo chciałabym to zrobić dla Amber i jej przyjaciół, bo miałam okazję poznać Noah Younga i nie było to miłe spotkanie. Chcę, żeby Amber utarła mu nosa, a zrobi to, jadąc na koncert i spotykając się z muzykami.

Jake zamrugnął, a ja ciągnęłam wywód:

– Conner właśnie poskramia pewną dziewczynę, która groziła Ellie fizyczną krzywdą. Pospieszylismy jej na ratunek, dlatego teraz siedzi z nami. Podejrzewam, że będziesz musiał zainterweniować, bo dziewczyny, zamiast wściekać się na Connera, mogą skoczyć sobie do oczu. A przecież bęcki należą się twojemu synowi i jakoś by sobie z nimi poradził. Może nie powinnam się wtrącać, ale chyba będzie potrzebował rady kogoś dojrzałego i bardziej doświadczonego w tej trudnej drodze do monogamii.

Jake gapił się na mnie bez słowa.

– I dodam jeszcze – kontynuowałam – że jeśli Amber i Noah się spotykali, to to już skończone. Niestety, dość aktywnie się do tego przyłożyłam. Przez jakiś czas pewnie będziesz znosił nastoletnią huśtawkę nastrojów. To znaczy... więcej niż zwykle. Przepraszam z góry za wszystko, co się wydarzy w najbliższej przyszłości.

Gdy przestałam mówić, Jake jeszcze przez chwilę na mnie patrzył, po czym stwierdził:

– Śliczna, nie było cię zaledwie kilka minut!

Odczułam to jak kilka miesięcy. Postanowiłam się więcej nie odzywać.

– Czy Con potrzebuje mnie teraz? – rozległ się głos Jake'a w zaległej nagle ciszy.

– Mówi, że to ogarnie.

– Więc ogarnie – mruknął, spoglądając w dół na swoje buty.

Zdałam sobie sprawę z tego, że wciąż ściskam jego dłoń, ale gdy chciałam się wycofać, jego palce się zacisnęły.

– Przepraszam, Jake, strasznie namieszałam.

Spojrzał na mnie.

– O co chodzi z Noah, Josie?

Widziałam, że nie odpuści. Mocniej uścisnęłam jego dłoń i podeszłam bliżej, zanim wyznałam:

– Nie wiedział, kim jestem, więc podsłuchiłam go. Jak to stwierdził Taylor, gadał straszne bzdury o Amber.

Jake zacisnął usta w taki sposób, że nieco się przełękłam, ale zamierzałam dokończyć:

– Trochę mnie poniosło i powiedziałam mu do słuchu – przyznałam.

– Powiedziałaś mu do słuchu?

– W rzeczy samej – potwierdziłam.

– Czy powinienem porozmawiać z rodzicami Noah? – zapytał, ale szybko pokręciłam głową.

– Gadał bzdury o Amber?

Tym razem powoli pokiwałam. Czułam, jak powietrze wokół nas zaczyna wibrować od jego wzbierającej energii.

– Co wygadywał?

Stałam jeszcze bliżej i złożyłam dłoń na jego piersi, szukając właściwych słów i wówczas przypomniało mi się, co powiedział Taylor.

– To nieważne Jake, rozniosłam go.

– Czy Amber wie, co wygadywał? – zapytał Jake.

– Częściowo tak. Ale Taylorowie się tym zajmą. Bardzo ją wspierają. No i żadne z nich nie przepada za Noah.

– Była przy tym?

Pokręciłam przecząco. Wziął głęboki oddech, potem wypuścił powietrze. A potem niespodziewanie się uśmiechnął, objął mnie ramieniem i poprowadził z powrotem w stronę trybun.

– Czyli co, jedziemy na koncert, Śliczna? – zapytał.

My?

Nie zapytałam na głos. Nie zapytałam, bo zajęłam się obejmowaniem go. Dziwnie było tak iść z rękoma zwisającymi wzdłuż ciała, podczas gdy on obejmował mnie i przyciskał do swego boku. Gdy doszliśmy do schodków, przepuścił mnie przodem i dotknął moich pleców. Tymczasem wrócił Ethan, a młodzież już się wygodnie rozsiadła, ale zostawili dla nas miejsce. Nie było Connera, a Ellie wciąż wyglądała na podenerwowaną. Jake usadowił się pomiędzy mną a swoją córką. Znowu siedzieliśmy bardzo blisko, stykając się biodrami i udami. Ale już mnie nie objął. Objął za to swoją córkę i ucałował ją w czubek głowy. Wyglądała ślicznie, gdy spojrzała na niego wzrokiem pełnym miłości, nieco zagubionym. Wydał mi się wspaniały, gdy tak wspierał córkę, nie mówiąc jej przy tym ani słowa. Jeszcze wspanialszy niż zwykle.

Chyba jednak takie spoufalanie się z córką było dozwolone podczas meczu tylko przez chwilę, bo już po kilku sekundach Jake znowu zwrócił uwagę na mnie. Przycisnął mnie do swego boku. Conner miał chyba prawo myśleć, że byłam nową dziewczyną jego ojca. Afektowne gesty, którymi obsypywał mnie często i naturalnie, mogły być właśnie tak odebrane. Czy powinnam porozmawiać o tym z Jakim? Chyba nie należało wprowadzać dzieci w błąd, mogłyby nie zrozumieć, jeśli w jego życiu nagle, a pewnie nieuchronnie, pojawiłaby się jakaś inna kobieta.

Pojawił się Conner, ale Jake nie odsunął się, tylko zmierzył go groźnym spojrzeniem. Chłopak jednak patrzył tylko na Ellie. Przysiadł się do niej, przejmując opiekę od Taylora, który siedział tuż obok. Stało się dla mnie jasne, że wygrała trofeum. Conner świata poza nią nie widział, był czuły i opiekuńczy, na pewno bardzo mu na niej zależało.

Musieliśmy się ścisnąć, ale nikomu to nie przeszkadzało, bo pozostali kibice byli zaangażowani w to, co działo się na boisku. Niestety, nasze napoje wylądowały pod ławką i zostały zdeptane. Ethan się do tego przyczynił, gdy podskakiwał podekscytowany po zdobyciu przyłożenia przez Trytonów. Podczas przerwy Jake wysłał go po nowe w towarzystwie Ellie i Connera.

Mecz był ekscytujący, bo choć nie byłam na żadnym od czasów licealnych, widać było, że zawodnicy są bardzo utalentowani. Miałam nadzieję, że to koniec dramatów na dziś. Dla mnie największą sensacją tego wieczoru było to, że gdy Jake nie zagrzewał do gry zawodników,

tupiąc, krzycząc przez tubę z dłoni i wiercąc się obok mnie, jego dłonie spoczywały na moim ciele. Posunął się nawet do tego, że smyrał mnie palcem po biodrze przez jeansy! Dokładnie tak, smyrał mnie! Choć było to bardzo przyjemne, gdyby dzieciaki zauważyły, co się dzieje, mogłyby nabrać błędnych wyobrażeń.

Trytoni wygrali i gdy huczny aplauz wybrzmiał, Jake zakomenderował naszemu stadku:

– Spadamy!

Wstaliśmy z miejsc. Ethan ruszył przodem, za nim Amber plotkująca z Taylorami, dalej Conner obejmujący Ellie. Jake ponownie mnie objął, prawie tak, jak Conner swoją dziewczynę.

Spojrzałam na Jake'a i zauważyłam, że szedł dumny i zadowolony mimo wszystkich tych małych dramatów, które się dziś rozegrały. Wyglądał nadzwyczaj przystojnie. Ale przecież zawsze tak wyglądał.

Patrzyłam pod nogi, bo szliśmy po żwirze, a ja miałam buty na obcasach, a przy okazji zauważyłam, że Ellie zaczepiła palec o pasek Connera. Miałam ochotę tak samo przywłaszczyć sobie Jake'a. Stać się dla niego osobą, która mogła pozwalać sobie na takie gesty. Osobą należącą do niego.

Westchnęłam, gdy zdałam sobie sprawę, że naprawdę czas przestać udawać. Tak samo Jake mógłby obejmować swoją córkę, gdyby takie zachowanie przy rówieśnikach nie wydawało jej się obciachowe.

Wypatrzyłam Noah stojącego z kumplami przy granicy trybun. Przyglądał się Amber. Bardzo wnikliwie. Jego koledzy również i o dziwo w ich spojrzeniach był raczej podziw, a nie pogarda.

Amber udawała, że go nie widzi, ale doskonale zdawała sobie sprawę z jego obecności. To ignorowanie nie uszło jego uwadze. Zacisnął szczęki i przeniósł wzrok na mnie. Przez chwilę patrzyłam mu w oczy, usiłując nie uśmiechać się triumfalnie. Myślałam o Amber: „Moja szkoła!”, nawet powiedziałam to głośno. Poczułam, że ramię Jake zacieśnia się wokół moich ramion. Musiał również zauważyć, że Amber odwraca się, by rzucić mi porozumiewawcze spojrzenie.

Mrugnęłam do niej, a ona posłała mi uśmiech. Poczułam ciepło w całym ciele, gdy Jake przycisnął mnie do siebie jeszcze mocniej i szepnął:

– Opiekujesz się moją córeczką.

– Tak, Jake. Ale dla mnie to chyba ważniejsze niż dla niej.

– Mylisz się, Śliczna – odpowiedział, spoglądając mi w oczy.

To ciepło było tak przejmujące, tak przyjemne, że musiałam skupić się na stawianiu stóp, aby nie dać mu się obezwładnić i nie upaść na twarz. Przeszliśmy jeszcze ze dwa metry, gdy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego.

– Moje dzieciaki! – krzyknęła niezwykle atrakcyjna, wysoka, energiczna rudowłosa kobieta, która wyrosła przed nami jak spod ziemi.

– Kurwa... – mruknął Jake.

Już nie wyglądał na zadowolonego. Musieliśmy przystanąć, bo kobieta uchwyciła Amber i uściskała ją serdecznie, choć dziewczyna pozostała niewzruszona. Kobieta nie przejęła się tym, zaczęła za to wyłuskiwać Connera z ramion Ellie i ścisnąć się z nim. Chłopak odwzajemnił uścisk, ale nie było w nim afektu. To musiała być Donna, matka jego i Amber.

Przyjrzałam jej się uważniej. Amber była jej kopią, ale nie tak krągłą. I tak, jak wspomniał Jake, miała potężną, natapirowaną fryzurę. I inne rzeczy też miała potężne. To była do niedawna żona Jake'a. A ja miałam pozostać dla niego nikim.

Spojrzała na Amber i obrażona wydeła usta.

– Nigdy nie dzwonicz!

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, zwróciła się do syna:

– A ciebie widuję wyłącznie, gdy zajdę do Wayfarer’s!

– Mamo... – zaczął się tłumaczyć Conner, ale wówczas wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, dojrzałam kręcącego się w pobliżu młodego przystojniaka, który musiał być nowym partnerem Donny. Była w moim wieku, może odrobinę starsza, a ten mężczyzna na moje oko nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Widać było, że zazdrościł Jake’owi prezencji, postury, męskiej aury, którą ten roztaczał. Takich rzeczy nie można było zdobyć, nie można było wyćwiczyć. Takim mężczyzną jak Jake trzeba się było urodzić i potem przez całe życie pracować nad utrzymaniem tego wszystkiego. Po drugie, Donna obrzuciła nasze splecione sylwetki szybkim, taksującym spojrzeniem, po czym zatrzymała wzrok na byłym mężu:

– Jake – przywitała się.

– Donna – odpowiedział.

Przeniosła na mnie wzrok, a Ethan w tym czasie przysunął się do ojca.

– To jest Josie – przedstawił mnie Jake i, jakby nie było to dość oczywiste, niepotrzebnie skinął głową w moją stronę.

– Ta, wnuczka Lydii Malone – stwierdziła Donna, przyglądając mi się wnikliwie.

– Ta sama – potwierdziłam. – A ty jesteś matką Connera i Amber. Miło cię poznać.

To było kłamstwo, oczywiście. Byłam po prostu zazdrosna, bo ta kobieta związana była niegdyś z Jakiem w sposób, jakiego nigdy nie miałam dostąpić. Wstydziłam się tego uczucia, ale nie potrafiłam go zwalczyć. Do tego bardzo nie podobał mi się wyczytany między wierszami opowieści Jake’a fakt, że porzuciła go w sposób, który bardzo zranił jego uczucia. No i dzieci ani razu o niej nie wspomniały. Podczas gdy Amber desperacko potrzebowała matki, ta była nieobecna w jej życiu. Poza tym obie latorośle zdawały się niezadowolone z tego spotkania, a to mówiło o niej bardzo wiele.

Witałam się nieszczerze również dlatego, że przyprowadziła ze sobą tego nieszczęsnego młodego chłopaka, którego obecność wprawiała wszystkich w zakłopotanie. Nawet się nie przywitał. Nie podszedł bliżej. A ona nie zawracała sobie głowy tym, aby go komukolwiek przedstawić. Był tylko trofeum na wystawce. Nie miał żadnej prawdziwej wartości. I choć Donna była atrakcyjną kobietą, nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego pozwalał jej tak sobą pomiatać.

– No tak, ciebie też – mruknęła niewyraźnie, po czym przeniosła wzrok na Jake’a.

– Krążą o was plotki na mieście.

Przygotowałam się na to, że Jake gwałtownie zaprzeczy, ale nie odezwał się.

– Jest szansa na spotkanie w weekend? – zwróciła się ponownie do swoich dzieci.

– Mam już plany, mamo – odpowiedział cicho Conner.

Chyba spodziewała się takiej odpowiedzi z jego strony, bo tylko uniosła pytająco brwi, patrząc na Amber.

– Serio? – zapytała Amber tonem sugerującym, że to pytanie jest po prostu śmieszne.

Taylorowie zbliżyli się, jakby chcąc chronić przed nią przyjaciółkę. To również wiele mówiło o układach w tym stadzie.

– No wiesz – zaczęła Donna, jakby nie odczytując zachowania i tonu córki.

– Mogłybyśmy jutro urządzić sobie babski wieczór! – Uśmiechnęła się szeroko. – Piżama party!

Oczy Amber zwęziły się gniewnie, zanim powtórzyła:

– Ty tak serio?

– No tak! – Przez twarz Donny przemknął grymas skonfundowania.

– Nie widziałam cię przez miesiąc, albo i dłużej.

Dość długo. Poczulałam, że i moje oczy zamieniają się w szparki.

– No cóż... – zaczęła Donna, ale Amber wycelowała w nią palec.

– W tym czasie odeszła Lydia!
– Kochanie... – próbował załagodzić Jake. Jego uścisk osłabł, pewnie zamierzał podejść do córki.

Twarz Donny złagodniała i kobieta powiedziała cicho:

– Wiem, córuniu, przecież dzwoniłam.

– Ta, raz zadzwoniłaś! – sarknęła Amber.

Donna chciała jeszcze coś powiedzieć, ale córka jej na to nie pozwoliła.

– Oszczędź sobie. Lydia odeszła, ale pojawiła się Josie. Gdy Lydia była z nami, nie potrzebowaliśmy cię. Teraz, gdy mamy Josie, również cię nie potrzebujemy! – wysyczała.

Donna wyglądała na urażoną.

– Amber! – rzucił Conner dość łagodnie, ale było coś ostrzegawczego w jego tonie.

Jednak to Jake podjął akcję. A ja byłam totalnie zmieszana, bo przekaz płynący ze słów Amber był jednocześnie wspianiały i karygodny.

– Zostaw! – krzyknęła Amber, gdy Jake mnie puścił i ruszył w jej stronę.

Ethan, zalękniony, przytulił się do mnie, a Amber uniosła dłoń, jakby chciała zatrzymać ojca gestem.

Odruchowo zacisnęłam palce na ramieniu chłopca.

– Daj spokój! – Ręka Amber opadła, gdy Jake się zatrzymał. – Nic mi nie jest. Wszystko dobrze. Będzie dobrze, bo musi być.

Nic nie było dobrze, bo twarz Amber skurczyła się jak do płaczu i dziewczyna odwróciła głowę, żeby to ukryć, po czym odbiegła. Taylorowie ruszyli za nią. Ellie spojrzała na Connera, a gdy skinął przyzwalająco głową, rzuciła się za nimi. Jake odsunął się na bok ze ścieżki, aby ludzie, którzy najwyraźniej przystanęli, żeby popatrzeć sobie na tę telenowelę, mogli się rozejść. Wcześniej ich nie zauważyłam. Pociągnął za sobą Donnę. Nie bardzo wiedziałam, co zrobić, więc przepchnęłam Ethana na bok. Cichy towarzysz Donny nawet nie pisnął, lecz również zszedł ze ścieżki. Nie zareagował również na to, że Jake dotknął Donny. Conner również nam towarzyszył, obserwując czujnie rodziców.

Jedno spojrzenie na twarz Jake'a i już wiedziałam, że za moment emocje wezmą górę. I nie będzie to przyjemne.

– Gdy nie będziemy mieli publiki – rzucił Jake – to sobie porozmawiamy.

– Jake... – zaczęła Donna, a jej twarz wyglądała tak, jakby nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Musiała zdawać sobie sprawę z tego, że ignorowanie córki przez miesiąc było bardzo złe.

– Nawet nie zaczynaj! – rzucił Jake i zwrócił się do Connera: – Zabierz Josie i Ethana i odnajdźcie Amber.

– Ja również mam z nią do pogadania – odpowiedział Conner.

O rety. Zamierzałam odciągnąć Ethana, gdy Jake rzucił ostrym tonem:

– Zabierz stąd brata i Josie!

Conner zignorował go i zwrócił się do matki:

– Ona cię potrzebuje!

– Kochanie... – zaczęła Donna, ale nie powiedziała nic więcej.

– Albo zaczniesz patrzeć dalej niż czubek własnego nosa, mamó, albo stracisz córkę na zawsze – dokończył Conner.

Donna tylko uchyliła usta, a Conner spojrzał na brata i polecił, wyciągając do niego rękę:

– Chodź, Eath.

Ethan podbiegł do niego. Conner spojrzał na mnie.

– Lepiej zostań z tatą – rozkazał i odeszli.

Popatrzyłam na Jake'a. On gapił się dość nienawistnie na Donnę.

– Mam nadzieję, że on ci wystarcza – powiedział, patrząc na wciąż milczącego mężczyznę. – Naprawdę, mam taką nadzieję. Dla niego porzuciłaś wszystko inne, i to nie wróci, jeśli się nie ogarniesz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jake objął mnie ramieniem i wyprowadził w rzedną rzekę ludzi wciąż płynącą główną ścieżką. Przez moment się nie odzywałam, czując, że emocje Jake'a opadają. Musiał poukładać sobie myśli. Ale czułam, że łatwo nie będzie.

– Wszystko dobrze? – zapytałam cicho.

– To dobra kobieta – odpowiedział zaskakująco. – Nie żartuję, Josie. Do tego naprawdę kocha swoje dzieci. Nie rozumiem, co się z nią stało.

– Nie rozumiałeś również, dlaczego zakończyło się wasze małżeństwo – zauważyłam ostrożnie.

Poczułam, że ściska moje ramię.

– To szczerza prawda. Ale ta kobieta musi się nauczyć rozmawiać z ludźmi. Conner ma rację, musi przestać myśleć wyłącznie o sobie.

Z tego, co zdążyłam zauważyć, obaj mieli rację.

– Rzeczywiście – wyszeptałam tylko.

– Moja córka miała ciężki wieczór – powiedział nabrzmiałym od emocji głosem.

Patrzył w dal, a gdy podążyłam za jego wzrokiem, dostrzegłam całe nasze stadko przy jego samochodzie.

– To fakt – powiedziałam cicho.

Zatrzymał mnie i rzekł przepraszająco:

– Miałem zamiar zostawić Ethana w domu pod opieką Amber i Taylorów i udać się do ciebie. Ale muszę być przy mojej córce.

Przez myśl przebiegło mi kilka pomysłów na to, co moglibyśmy robić we dwójkę w moim domu. Nic z tego nigdy nie miało dojść do skutku. Miło byłoby chociaż wypić drinka i pogawędzić w pokoju z widokiem. Musiał jednak być teraz z córką, to nie ulegało wątpliwości.

Pokiwałam tylko głową.

– Mam jeszcze ptysie – wypaliłam bez sensu.

– Co proszę? – Brwi Jake'a zbiegły się na czole.

– No cóż... – zaczęłam wyjaśniać. – Masz pewne doświadczenie z kobietami i być może zauważyłeś, że jedzenie w pewnych trudnych okolicznościach przynosi im ukojenie. Jedzenie i towarzystwo przyjaciół. Taylorowie, Conner z dziewczyną, ty i Ethan, wszyscy możecie przyjechać do mnie, bo mam mnóstwo pysznych ptysiów.

Twarz Jake'a złagodniała:

– A wiem, że ty dobrze zajmiesz się moją córeczką – odpowiedział.

Tak. Mogłam zająć się jego córeczką.

– Ptysie wygrały, Śliczna! – rzekł, ruszając nas z miejsca.

Ptysie wygrały.

Poczułam się lepiej. Miałam nadzieję, że rodzina, przyjaciele i ptysie sprawią, że i Amber poczuje się lepiej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozpad

Następnego ranka, odziana tylko w koszulkę nocną i szlafrok, podreptałam do kuchni. Nacisnęłam guzik ekspresu do kawy i rozległo się przyjemne bulgotanie. Oparłam się o krawędź blatu i zapatrzyłam się w szare wzburzone morze. Nie mogłam przestać się uśmiechać. Ptysiowy plan wypalił.

Taylorowie bywali już z Amber w Lawendowej Willi i z radością tu wrócili. Ellie dla odmiany odwiedziła dom pierwszy raz i z miejsca się w nim zakochała, jak to ujęła z emfazą.

Siedzieliśmy wszyscy wokół babcinego kuchennego stołu, podjadaliśmy ptysie i popijaliśmy kakao, i nawet Amber i Ellie zaczęły się w końcu śmiać z żarcików Ethana, który za punkt honoru obrał sobie zabawianie nas konwersacją. Okazał się, że jest skutecznym komikiem.

Z uśmiechem wspominałam również fakt, że gdy odprowadzałam wszystkich do drzwi, Jake bardzo się ociągał z wyjściem. Tym razem nie dotknął mojej twarzy, nie cmoknął mnie w policzek, nie pociągnął za włosy, co było niemożliwe, bo kok na karku się do tego nie nadawał. Zamiast tego pocałował mnie w usta, podtrzymując pod brodę. Być może był to tylko przyjacielski, czuły buziak, ale mimo to wargi mrowiły mnie przyjemnie i stwierdziłam, że nigdy wcześniej nie odebrałam równie satysfakcjonującego pocałunku. Nawet w o wiele bardziej namiętnych sytuacjach, jak te z Dee-Amondem, a on przecież całował świetnie. W tamtej krótkiej chwili pozwoliłam sobie jeszcze poudawać. Jeszcze przez moment. Zrobiłam sobie ostatni, mały prezent. Wspaniały prezencik.

– Za to, jak wspaniale zaopiekowałaś się dzisiaj naszym stadkiem, jestem ci winien kolejną kolację w The Eaves – szepnął Jake.

Z nim wybrałabym się nawet na piknik do Hadesu.

– To nie będzie konieczne, Jake – odpowiedziałam zamiast podzielić się tą myślą.

– A właśnie że będzie – odpowiedział i odczułam intensywniej dotyk jego dłoni na twarzy. – To nara, Śliczna!

Drzwi się za nim zamknęły. Udałam się na spoczynek z szeptem Jake'a przy uchu i dotykiem jego ust na moich. Spałam jak dziecko.

A teraz musiałam ułożyć plan na nowy dzień. Trzeba było zająć się roślinami w szklarni. Musiałam również zatrudnić księgowego, który zająłby się podatkiem spadkowym. No i czekały mnie jeszcze zakupy spożywcze gdzieś poza Wayfarer's, bo apetyt Ethana był niewyobrażalny i naprawdę było mu wszystko jedno, co pakował do buzi, nie musiały to być wyrafinowane potrawy. Najpierw jednak musiałam zadzwonić do kogoś z ekipy Lavona Burketta i załatwić przepustki za kulisy. A wieczorem czekała mnie wyprawa na walkę Jake'a i musiałam jeszcze ustalić lokalizację hali sportowej. W tamtej chwili odezwał się telefon w mojej torebce, a na wyświetlaczu, gdy już go z niej wydobyłam, dojrzałam twarz Henry'ego. Odebrałam, przyłożyłam telefon do ucha i przywitałam się:

– Cześć, Henry!

– Cześć, serduszko! – odpowiedział łagodnie. – Co słychać?

– Wszystko świetnie – odrzekłam, nalewając sobie kawy i ponownie opierając się o blat, spoglądałam w okno.

Streściłam mu pokrótce wydarzenia poprzedniego dnia, pomijając oczywiście moje fantazje na jawie i pożegnalny pocałunek. Gdy skończyłam, Henry milczał przez moment, po czym stwierdził:

- Chyba coraz bardziej przywiązujesz się do tego Jake’a i jego dzieci.
- Wszyscy są uroczy. – Nawet nie usiłowałam zaprzeczyć.

Po kolejnej pauzie zapytał ostrożnie:

– Jesteś pewna, że to rozsądne, skarbie? Dzieci szybko się przywiązują, a do ciebie bardzo łatwo się przywiązać. Szczególnie w sytuacji, gdy brakuje im matki. Nie potrzeba im kolejnej znikającej z ich życia kobiety, szczególnie porządnej kobiety.

Nie zdążyłam dotychczas wyjaśnić Henry’emu, że pragnę zwolnić, koordynować jego działania z pokoju z widokiem tak często, jak to tylko będzie możliwe, a więc będę przy dzieciach Jake’a, gdy będą mnie potrzebować. Co oznaczało, że przy Henrym będę zdecydowanie rzadziej. Nie chciałam teraz brać się za barki z tą sytuacją.

– Wiesz, Henry, w dzisiejszych czasach można się komunikować na odległość na różne sposoby – zaczęłam pokrętnie, ale w ten właśnie sposób usiłowałam naprowadzić go na swój tok myślenia. Mogłam robić dla niego wiele, nie będąc bezpośrednio przy nim. Musiałam przecież w końcu podjąć ten temat.

– Racja – mruknął.

– A co u ciebie? Wszystko w porządku? – zmieniłam temat.

– Znasz mnie – rzucił krótko.

Znałam. Taka odpowiedź oznaczała, że dużo pracował, dużo imprezował, a jeśli dołączyła do niego najnowsza kochanka, to i z nią sobie dużo używał. Byłam o tym przekonana, nawet nie musiałam pytać.

– Niedługo jedziesz do Paryża – zauważyłam.

– Tak – potwierdził.

– A jak radzi sobie Daniel?

– Nie jest tobą. – To akurat była prawda i wiedziałam, co ma na myśli.

– No nie jest – potwierdziłam i w tym momencie zadzwonił domowy telefon.

Odstawiłam kubek, ruszyłam w stronę aparatu i poprosiłam Henry’ego:

– Zaczekasz chwileczkę? Dzwoni telefon Buni.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedział.

– To pewnie zajmie tylko chwilkę – zapewniłam. – Zaraz wracam.

– Czekam – dodał tonem, w którym pobrzmiwała dziwna mieszanka łagodności, głębi i jakaś sztywność, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

Skupiłam się jednak nie na Henrym, a na dzwoniącym telefonie stacjonarnym. W miejsce komórki przyłożyłam zdjętą ze ściany słuchawkę.

– Lawendowa Willa – rzuciłam do niej.

– Josephine?

To był Arnold Weaver. Serce mi stanęło, bo telefon od pana Weavera mógł oznaczać wiele rzeczy, z których chyba żadna nie była przyjemna, a już jedna szczególnie.

– Panie Weaver, jak się pan miewa? – wydusiłam.

– Mów mi Arnie, Josephine, ciągle ci to powtarzam.

– Oczywiście – mruknęłam.

– Obdzwońm dzieci i wszyscy przyjadą w ten weekend, więc Eliza będzie miała towarzystwo.

To chyba nie była dobra wiadomość. Wiedziałam, co chce mi powiedzieć.

– To świetnie, nacieszycie się sobą – powiedziałam cicho.

– Dziękuję, Josephine. Zadzwonię, jeśli cokolwiek... – Słowa zamarły, ale po chwili podjął: – Zadzwonię później. Przez jakiś czas nie będę jeździł do biura, więc możesz celebrować wolne poranki.

To również rozumiałam.

– Oczywiście, będę czekać. Proszę przekazać Elizie wyrazy miłości.

– Zrobię to. Udanego weekendu, Josephine.

Słyszałam w jego głosie, że choć spodziewał się wizyty dzieci, ich wspólny weekend wcale nie zapowiadał się przyjemnie. Mimo wszystko pożegnałam go słowami:

– Wam również, Arnie.

– Dbaj o siebie, Josephine, i... – Znowu chwila ciszy. – Dziękuję ci. Eliza bardzo czeka na spotkania z tobą. Ale przecież musi jeszcze z dziećmi i wnukami... – Głos mu się łamał.

– Rozumiem – zapewniłam go. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Josephine.

– Dbaj o siebie, Arnie.

Rozłączył się, a ja odwiesiłam słuchawkę na widelki. Musiałam zadzwonić do Jake'a. Natychmiast. Musiał wiedzieć, że z Elizą jest już bardzo źle. Arnie zadzwonił po dzieci, bo to mogła być ostatnia okazja do spotkania z matką. Szykowałam się na jej odejście. Ja również musiałam się z tym pogodzić, a jedyną pociechą, o jakiej mogłam pomyśleć, było usłyszenie kojącego głosu Jake'a. Nie mogłam jednak przytłoczyć go tą informacją. Nie znałam bokerskich rytuałów przed walką, ale na pewno myślenie o umierającej kobiecie, nawet nieznanym, nie było jednym z nich.

Usłyszałam swoje imię dobiegające z komórki. Henry wołał. Zapomniałam o tym, że wciąż trzymam go na linii.

– Henry – powiedziałam do telefonu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Nie chciałam opowiadać mu o Elizie. Nie potrzebowałam jego współczucia, podnoszenia na duchu, troski, a na pewno zalałby mnie tym wszystkim.

Pragnęłam, by to wszystko dał mi Jake.

– Wszystko dobrze – skłamałam. – Dzwonił dawny przyjaciel Buni. – To na szczęście nie było kłamstwo. – Posłuchaj, muszę już kończyć. Jeszcze się nie ubrałam, a mam do załatwienia kilka spraw.

– W porządku, kochanie – odpowiedział i zapytał ni z tego, ni z owego: – Zamierzasz spędzić cały weekend w Lawendowej Willi?

– Oczywiście, Henry. A gdzie niby mam go spędzić?

Zamierzałam być w domu, nie licząc oczywiście tych chwil, w których będę oglądać walki Jake'a i Micka.

Tego oczywiście nie powiedziałam na głos.

– Tak tylko pytam – mruknął Henry i dodał głośniejszym głosem: – Później porozmawiamy.

– Dobrze, Henry, dzwonił się jutro.

– Jasne. Do usłyszenia.

– Pa, Henry.

Nawet nie czekałam, aż się rozłączy, tylko kliknęłam czerwoną słuchaweczkę i natychmiast wybrałam numer Jake'a. Po dwóch sygnałach usłyszałam:

– Śliczna.

– Cześć, Jake – przywitałam się.

– Jak ci upływa poranek? – zapytał.

– Rozkosznie – skłamałam. – A jak tam Amber i Conner?

– Con jeszcze śpi – zaczął. – Odwiózł Ellie, ale gadali przez telefon chyba jeszcze do drugiej w nocy. Amber chyba w porządku, bo przenocuje ją dziś Taylor.

– Które z nich...?

– Chłopak. Ma podobno lepsze kosmetyki, więc mogą się bawić. Taylor dziewczyna ma za to lepsze ciuchy, ale są za duże na Amber, więc nici z przebieranek.

– Ach tak... – Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Tylko po to dzwonisz?

– Eee... nie po to – odpowiedziałam.

– To o co chodzi, mała? – zapytał niższym, słodszy tonem.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że... w zasadzie to nie wiem co. Czego się życzy komuś przed walką? Chyba nie połamania nóg?

– Nie, tego na pewno nie! – Usłyszałam, że tłumy śmiech.

– No więc chciałam powiedzieć coś odpowiedniego na taką okazję.

– Skop mu dupę, zmiażdż go, znokautuj, rzuć go na dechy i takie tam – podał mi kilka przykładów.

– Zrób z nim wszystko powyższe – powiedziałam.

– Stare dobre „Powodzenia!” też nie zaszkodzi – dodał, tłumiąc kolejne parsknięcia.

– W takim razie powodzenia! – potwierdziłam.

– Na pewno mi się powiedzie, bo będziesz siedzieć przy samym ringu i patrzeć, jak walczę.

Poczułam rozlewające się po całym ciele ciepło. Naprawdę uważałam, że Jake jest wspaniały, i może dlatego było mi tak trudno. Gdyby był mniej wspaniały, to nie musiałabym udawać, że cała ta jego wspaniałość należy do mnie, że mogę jej doświadczać.

– Wybierasz się do Weaverów? – zapytał Jake, nie zwracając uwagi na moje pełne zadumy milczenie.

– Ja... to znaczy... – Do diaska! Dlaczego miałam taki problem ze zwerbalizowaniem tego? – Arnie zadzwonił z samego rana i odwołał moją dzisiejszą wizytę. Na weekend przyjeżdżają do nich dzieci, więc Eliza będzie miała towarzystwo. Arnie też zostanie w domu – oznajmiłam.

Cisza, a potem krótkie:

– Ja pierdolę.

Już wiedział, dlaczego przybywają dzieci Weaverów.

– Przykro mi, Jake – powiedziałam cicho. – Nie chciałam ci tego mówić. Nie chciałam, żeby takie nieprzyjemne wieści odwracały twoją uwagę od dzisiejszej walki. Wprawdzie nie znasz Weaverów osobiście, ale martwisz się o mnie i...

– Cokolwiek cię gnębi – przerwał mi – i cokolwiek chodzi ci po głowie, możesz się tym ze mną podzielić. Nawet jeśli wieczorem miałbym walczyć z Holyfieldem.

Gdyby Jake nie był tak wspaniały, byłoby mi zdecydowanie łatwiej.

– Jak sobie z tym radzisz? – zapytał.

– Słabo – wyznałam szczerze.

– Potrzebujesz towarzystwa? – dopytywał.

Nie, nie potrzebowałam. Musiałam sama sobie poradzić. Co nie znaczy, że go nie pragnęłam. Jake jednak miał wieczorem walkę, więc nie powinnam go angażować.

– Dziękuję, Jake. Mam dziś sporo do zrobienia, więc jak się czymś zajmę, oderwę umysł od nieprzyjemnych myśli. No i czekam na wieczór z twoim udziałem. Wszystko w porządku, naprawdę.

– Na pewno? – naciskał.

– Na pewno – potwierdziłam.

Przez chwilę milczał, po czym powiedział:

– Dobra, kochanie, ale jeśli będziesz mieć chwilę słabości, natychmiast dzwonisz, tak?

O tak. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby nie był tak cudowny.

– Tak, Jake – zgodziłam się.

– Cholera! – mruknął nagle. – Chyba Con wstał. Chcę z nim pogadać, zanim wyjdzie do pracy. Muszę uciekać.

– W porządku. Do zobaczenia wieczorem!

– Do zobaczenia, Śliczna.

– Powodzenia i... zmasakruj go.

Znowu stłumiony śmiech, a po chwili:

– Obiecuję, że tak będzie, Josie. Do później, kochanie.

– Do później, Jake.

Poczekalam, aż się rozłączy, i odłożyłam telefon. Pociągnęłam łyk kawy i wyjrzałam przez okno na rośliny w szklarni Buni. Musiałam się nimi zająć, potrzebowały mojej opieki. Ja również potrzebowałam oderwać myśli od Elizy Weaver, Arniego i ich dzieci, które przybywały do domu, by pożegnać się z matką. Jak również od tego, jak cudowny był Jake, choć tak bardzo pragnęłam, by nie był ideałem.



Od pracy w szklarni oderwał mnie dzwonek domowego telefonu.

Udało mi się już załatwić przepustki za kulisy po koncercie Bounce, który miał się odbyć za dwa tygodnie w Bostonie. Zadzwoiłam do managera zespołu, który nawet bez konsultacji z muzykami stwierdził:

– Nie ma problemu, Josephine. Twoje nazwisko będzie na liście i dostaniesz tyle wejściówek, ile będziesz potrzebowała.

Wysłałam wiadomość do Jake’a, a on odpisał tylko: „Zrozumiano, Śliczna!”. Gdy Amber dowiedziała się, że będzie balować za kulisami z Taylorami, odpisała: „SQUEEEEE!!!”.

Zajęłam się grzebaniem w ziemi, ale nie było mi łatwo nie myśleć o Jake’u. Starłam się więc przerzucić myśli na kompletowanie odpowiedniego stroju na galę bokserską. Nigdy nie byłam na takim wydarzeniu. Nie miałam pojęcia, w co się ubrać. I właśnie z rozmyślań nad strojem wyrwał mnie dzwonek telefonu. Odłożyłam sekator, otrzepałam dłonie z uwędzonych listków tymianku i poszłam odebrać.

– Lawendowa Willa – rzuciłam do słuchawki zwyczajowo.

– Josephine?

– Tak.

– Mówi wielebny Fletcher.

Nieco zdziwił mnie jego telefon, więc przysiadłam na krawędzi kuchennego blatu i spytałam:

– Dzień dobry, pastorze, jak się pan miewa?

– Wszystko w porządku, miło, że pytasz – odpowiedział. – Nie chciałbym zawracać ci głowy, ale doszły mnie słuchy, że odwiedzasz Elizę Weaver i odbierasz Ethana Speara ze szkoły.

No cóż, plotki w Magdalene szybko się rozchodzą. Dlaczego jednak dzwonił, żeby powiedzieć mi, iż o tym wie?

– Tak właśnie robię – potwierdziłam.

– Czy to oznacza, że planujesz zostać w mieście na dłużej? – dociekał.

– Dokładnie.

– To cudowna wiadomość. Miło by nam było, gdybyś zaczęła uczęszczać na nabożeństwa, i może któregoś wieczoru wpadłabyś do nas na kolację?

Nie przewidywałam udziału w nabożeństwach. Mimo że wierzyłam w Boga i czasem nawet się do niego zwracałam, nie chodziłam na poranne nabożeństwa. Mogłam zrywać się bladym świtem, żeby poćwiczyć z Jakiem, ale nie po to, żeby wysłuchiwać kazań. Na kolację jednak mogłam wpaść.

– Chętnie przyjmę zaproszenie na kolację – powiedziałam.

– Dzwonię jeszcze w jednej sprawie – dodał wielebny.

– Tak?

– Znasz, zdaje się, Pearl Milshorn?

– Oczywiście – potwierdziłam. – To jedna z najbliższych przyjaciółek Buni.

– Wiesz pewnie również o tym, że jej syn mieszka w Portland, córka w Bar Harbor, a wnuki rozrzucone są po całym kraju. Kilka razy w tygodniu ktoś do niej wpada pomóc zrobić zakupy czy posprzątać, a Ruth albo ktoś z parafian podwożą ją na niedzielne msze, ale poza tym niewiele osób ją odwiedza. No i do chodzenia używa już balkonika, więc ciężko jej się przemieszczać. Wiem, że Lydia wpadała do niej raz w tygodniu albo zabierała ją do Lawendowej Willi, a teraz, gdy odeszła, Pearl na pewno brakuje...

– Zjrzę do niej, wielebny – przerwałam mu, zła na siebie, że sama o tym nie pomyślałam. – Zorientuję się, czy nie potrzebuje pomocy i czyichś regularnych wizyt.

Odkąd przyjechałam do miasta, Pearl dzwoniła kilkakrotnie, a jako jedna z niewielu przytuliła mnie podczas pogrzebu i złożyła kondolencje. Nie pomyślałam o tym, żeby ją odwiedzić, bo nie widywałyśmy się w Lawendowej Willi za życia Buni.

Pomyślałam za to o Ethanie, który bardzo lubił seniorów. Być może wizyta u Pearl sprawiłaby mu frajdę, a już ona na pewno ucieszy się z takiego kompana. Podejrzywałam, że się znają, skoro była przyjaciółką Buni.

– Byłoby wspaniale, Josephine, dziękuję – powiedział pastor.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Miałam dużo na głowie, powinnam była wcześniej sama o tym pomyśleć.

– Teraz myślisz – zauważył.

Rzeczywiście.

– Widzimy się jutro na nabożeństwie?

Wątpię.

– Postaram się – powiedziałam mimo tych wątpliwości.

– Może weźmiesz ze sobą rodzinę Spearów? – zasugerował.

Najwyraźniej zamiarem pastora było nie tylko zapewnienie opieki biednej duszyczce Pearl Milshorn, ale i zbawienie kilku kolejnych.

– Porozmawiam o tym z Jakiem – odpowiedziałam, bo nie chciałam okłamywać pastora. Jeśli Jake odmówi, to sprawa sama się rozwiąże, a ja nie wymówię łgarstwa prosto do ucha sługi bożego.

– Świetnie! – stwierdził. – Ruth zadzwoni do ciebie z potwierdzeniem terminu kolacji. Dbaj o siebie, Josephine!

– Wzajemnie, pastorze!

Odwiesiłam słuchawkę i już miałam zająć się szukaniem numeru Pearl, ale nagle moje myśli wróciły do Dee-Amonda, jedyne go leku na moje modowe niedyspozycje. Musiałam szybko załatwić sprawę z Pearl, więc zadzwoniłam do niej i z radością zgodziła się spotkać ze mną we wtorkowe popołudnie. Ten entuzjazm sprawił, że na moment powróciły wyrzuty sumienia.

Zadzwoiłam do Amonda.
– Moja piękna – przywitał mnie.
– Cześć, Amond. Wszystko u ciebie w porządku?
– Świetnie, dziewczyno. Wczoraj dotarłem do Paryża, a podróż dała mi w kość
– odpowiedział.
– To przykre – mruknęłam, bo aż za dobrze znałam bolączki związane z jet lagiem.
– Masz jakąś sprawę? – zapytał, gdy zamilkłam.
– Potrzebuję porady – oznajmiłam.
Przez chwilę się wahał, po czym zapytał:
– Porady w jakiej sprawie...?
– Wiesz, wybieram się dziś na mecz bokserski – zaczęłam – i nie wiem, w co się ubrać.
Wspominałeś kiedyś, że bywasz na różnych walkach, więc na pewno wiesz, jaki strój jest odpowiedni na taką okazję.
– Wybierasz się oglądać walkę? – zapytał po chwili.
– Nawet nie jedną, a kilka. Mają tu ligę bokserską i walki odbywają się od rana. Mnie zależy na obejrzeniu dwóch.
– Idziesz oglądać walki – stwierdził raczej, niż zapytał.
– No tak – potwierdziłam.
– A mogę wiedzieć, po co tam idziesz? To nie jest typ rozrywki preferowanej przez ciebie.
– Zawodnicy mnie zaprosili – wytłumaczyłam.
– Zawodnicy? Kilku?
– Tak.
– Ale przeciwnicy? – dopytał.
O rety. Nie zapytałam żadnego z nich, z kim będą walczyć. Obaj byli w wadze ciężkiej. A co, jeśli mieli walczyć ze sobą nawzajem? W takiej sytuacji kibicowałabym Jake'owi. Niestety, przegrana Mickeya byłaby dla mnie przykra. No i chyba nie chciałam patrzeć, jak okładają się pięściami. Oby nie walczyli ze sobą.
– Nie – odpowiedziałam, mając nadzieję, że tym razem nie kłamię. – Po prostu dwaj różni zawodnicy.
– Moja dziewczyna! – Amond był wyraźnie rozbawiony. – Królowa śniegu, która w kilka tygodni rozpałała Maine do czerwoności!
Poczułam, że brwi zbiegają mi się na czole.
– Że co proszę?
Nie powtarzał się, tylko skwitował:
– To będzie dobre!
– Co będzie dobre?
– Nic, moja piękna. Nagle poczułem palącą potrzebę przybycia do Maine i zobaczenia tego wszystkiego na własne oczy!
Uśmiechnęłam się, choć nie do końca wiedziałam, co ma na myśli. Naprawdę jednak ucieszyłabym się z jego wizyty.
– Bardzo by mnie to uradowało, Amond. Mógłbyś zatrzymać się u mnie w Lawendowej Willi, tu jest mnóstwo miejsca. Jesteś fanem boks, a tutejsza społeczność jest w niego bardzo zaangażowana. Nawet młodzież chodzi na treningi. Moglibyśmy wybrać się na jakąś galę razem.
Naciskałam, bo wiedziałam, że Amond uwielbia boks, a idea spędzenia z nim miło czasu przypadła mi do serca.
– Coś mi się zdaje, dziewczyno, że wokół ciebie jest już wystarczający tłumek facetów

– stwierdził, co mnie zdziwiło. – Ale zastanowię się i dam ci znać. Muszę tu jeszcze nakręcić teledysk, wycieczka do Maine musi poczekać.

Zupełnie o tym zapomniałam.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

– A co do stroju, to naprawdę nie ma znaczenia. We wszystkim wyglądasz świetnie! – ciągnął, a mnie to stwierdzenie wydało się bardzo miłe. – Ale powiem ci jedno: gdy facet zaprasza kobietę, by mu kibicowała, chce widzieć ją przy ringu zimną jak głaz dla innych, a dla niego wystrojoną jak na wybieg. Będą chcieli ci zaimponować i skopać tyłki przeciwnikom.

Nie wiem, czy moja wystrojona osoba zmotywuje Jake’a, ale Mickeya na pewno.

– A więc odstrzelić się – potwierdziłam.

Zaśmiał się i odpowiedział:

– Baw się dobrze!

– Zamierzam, Amond – zapewniłam go, choć miałam mieszane uczucia.

Ale wystrojenie się zawsze robiło mi dobrze.

– A poza tym wszystko ok? – zapytał zmysłowym głosem.

– Miewam chwile słabości – zwierzyłam się – ale przyjaciele babci się mną zajmują.

– Dobrze to słyszeć. Pogadam z Ginny, może poluzuje mój grafik na tyle, bym mógł wyrwać się do Maine.

– Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

– Ja również. Na razie!

– Na razie, Amond!

W drodze do szklarni w myślach robiłam inwentaryzację garderoby. Gdy już wykombinowałam idealny strój, pomyślałam, że skontaktuję się z Dakotą, moją przyjaciółką z Los Angeles, i poproszę, żeby wysłała mi trochę ubrań i butów z rezydencji. Czułam, że się przydadzą. Dopisałam ten punkt na później w moim mentalnym notatniku i chwyciłam za sekator, żeby dokończyć porządki w szklarni.

Myślami byłam ciągle przy Jake’u. Musiałam zwalczyć to pożądanie, było jednak tak silne, iż wymagało to czasu, i to sporo czasu. To, że tak często się spotykaliśmy, wcale nie pomagało. Henry’ego widywałam codziennie, nieraz spędzając z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc znałam już ten ból. Czułam jednak, że tym razem będzie to jeszcze trudniejsze i będzie jeszcze bardziej bolało.



Gdy wstąpiłam do hali sportowej, przekonałam się, że Amond miał rację w kwestii stroju. Niemal wszystkie kobiety były wystrojone, poza kilkoma wyjątkami, ale one z pewnością nie przyszły podrywać zawodników, ale oglądać mordobicie. Panowie uznali za to, że na rozgrywki ligi amatorskiej wystarczą jeansy i T-shirt. Kobiety stanęły jednak na wysokości zadania. Oczywiście ich ubrania nie były tak dobrej jakości jak moje, a ich fryzury i makijaże również znamionowała pewna toporność. Moja kreacja pochodziła jednak prosto z wybiegu, więc miałam niezaprzeczalną przewagę. Dostałam ją od projektanta, który w ten sposób zapraszał mnie do swojego łóżka. Suknię przyjąłem, ale zaproszenia już nie.

Gdy zdjęłam płaszcz przy szatni, wiele oczu skierowało się w moją stronę, zarówno męskich, jak i żeńskich. Trwała przerwa między walkami, więc przestrzeń wspólna była zatłoczona, ludzie kłębili się przy stoiskach z napojami i przekąskami, stali w kolejkach do toalet.

Miałam więc sporą publiczność.

Zdziwiłam się, widząc takie tłumy. Walka przed tak ogromną publicznością nie była pewnie łatwa i denerwowałam się. W przypadku płatnych walk w telewizorach mogły oglądać go niegdyś miliony widzów, ale co innego publika za ekranami, a co innego tyle osób zebranych w jednym miejscu. Odpędziłam tę myśl jako zupełnie absurdalną, w końcu Jake był bardzo pewny siebie i w żadnej sytuacji nie okazywał zdenerwowania. Zamiast się tym zadreć rozdawałam uprzejme uśmiechy ludziom, którzy na mnie spoglądali, i czekałam cierpliwie w kolejce do kasowego okienka, z płaszczem przerzuconym przez ramię, przyglądając jedwab sukni na biodrze.

Miałam na sobie suknię w odważny wzór w kolorach klejnotów: szmaragdowym, szafirowym i rubinowym, przeplatany perłowymi wstawkami. Góra była dość luźna, ale odsłaniała sporo ciała, całe ramiona, barki i łopatki. Wszystko trzymało się na cienkiej obróżce materiału wokół szyi. Szereg plis w talii prowadził w dół do obcisłej spódnicy, w której mogłam poruszać się tylko dzięki odważnemu rozcięciu z tyłu. Czerwone sandały na szpilce, z odkrytymi palcami, naprawdę szalone, dopełniały stroju. Gdy Henry zobaczył mnie w nich po raz pierwszy, wyraz jego twarzy wyrażał wyłącznie podziw. Szkoda, że nigdy nie przerodziło się to w nic więcej. Dziś buty też nie zawiodły, bo mężczyźni zerkali na moje obnażone wdzięki, na stopy również. Włosy związałam w luźny koński ogon z boku głowy, a w dłoni ścisnęłam małą, czerwoną kopertówkę.

Nie chciałam zbyt wcześnie wchodzić do hali, ale kolejka szybko się przesuwiała. Zanim zdążyłam wypowiedzieć własne nazwisko, zrobił to za mnie mężczyzna w okienku.

– Josephine Malone.

– Tak, to ja – potwierdziłam, zdziwiona, że wie, kim jestem.

– Jake i Mickey dobrze panią opisali – stwierdził i szybko dodał: – Ale wrażenie na żywo jest jeszcze większe.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się niezręcznie i sięgnął po dwie koperty przeznaczone dla mnie; wysunął je w moim kierunku przez szczelinę w okienku.

– Bilety od Micka i Jake’a – wyjaśnił. – Mick zaraz walczy, więc proszę się pospieszyć. Radzę jednak użyć biletu od Jake’a, bo jako założyciel klubu ma najlepsze miejsca.

Spojrzałam na identyczne koperty i uniosłam na niego pytający wzrok.

– A która to koperta od Jake’a?

– Odwróć je, kochanieńka. Jake podpisał swoją „Śliczna”, a Mick „Josephine”.

Faktycznie, tak właśnie były podpisane.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie, moja droga.

Odpowiedziałam uśmiechem i opuściłam kolejkę. Stając z boku, otworzyłam kopertę od Jake’a i wyciągnęłam bilet. Miał nadrukowany numer sektora, rzędu i miejsca, wyglądał bardzo profesjonalnie. Wejście prowadzące do mojego sektora znajdowało się kilka kroków dalej.

Sala była naprawdę duża i wypełniona po brzegi. Lokalna społeczność faktycznie była mocno zaangażowana w boks. Na moim bilecie widniał napis „rząd pierwszy, miejsce 2”, a to chyba oznaczało jedno z najlepszych miejsc.

Obok dwóch pustych miejsc przy samym ringu siedziała wysztafirowana kobieta, która zlustrowała mnie od dołu do góry i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Gdy usiadłam na miejscu numer dwa, zrozumiałam, dlaczego numer jeden pozostawało puste. Znajdowało się tuż przy narożniku, więc nie było bezpieczne. Z mojego fotela widziałam wyraźnie cały ring. O rety. Kobieta obok pochyliła się w moją stronę i wyciągnęła dłoń

uzbrojoną w czarne, biało nakrapiane szpony.

– Jestem Alyssa, kobieta Juniora – oznajmiła, gdy uścisnęłam jej dłoń.

– Bardzo mi miło, Alyssa, jestem Josephine.

– Wiem, kobieta Jake'a.

Zamrugłam.

– Wieści szybko się rozchodzą – uzupełniła, zanim zdążyłam wyprowadzić ją z błędu.

– Junior zaraz wchodzi na ring, walczy z Mickiem – kontynuowała, a ja miałam szansę tylko coś mruknąć. – Mickey pewnie spuści mu łomot, ale on kłania się tylko przed Jakiem. Ale przed Jakiem kłaniają się wszyscy.

Ta wiadomość była podwójnie dobra, bo oznaczała, że nie będą przeciwnikami i że Jake najprawdopodobniej wygra swoją walkę. A na to mogłam popatrzeć.

Alyssa zaś miała patrzeć na to, jak jej mężczyzna dostaje bęcki, a to na pewno nie należało do przyjemności.

– Przykro mi – powiedziałam tylko.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, zatańczyły jej sięgające ramion blond loki. Na końcu języka miałam sugestię, żeby suszyła je na okrągłej szczotce, a nie na wałkach, co z pewnością robiła, a przez to jej fryzura była nienaturalnie wielka i niepotrzebnie odwracała uwagę od jej ładnej twarzy. Ale z drugiej strony wszyscy mężczyźni z pewnością gapili się tylko na zdecydowanie zbyt głęboki dekolt jej obcisłej czarnej sukienki, nie zwracali sobie głowy fryzurą.

– Junior się nie przejmuj, wierz mi. Przyzwyczał się do przegrywania, bo to rozumiałe, gdy jest się w jednej kategorii wagowej z Jakiem i Mickiem.

– Tyle dobrego – zauważyłam, a jej uśmiech się poszerzył i dodała:

– Potem może świętować, czy to zwycięstwo, czy to przegraną, wiesz, co mam na myśli?

Przytaknęłam, bo chyba wiedziałam.

– A zawodnik po walce... – Uśmiechnęła się, rozmarzona. – Nie ma nic lepszego. Cała ta agresja, adrenalina buzująca wciąż w jego żyłach... Uwielbiam te noce po walce!

O tak, teraz to już na pewno rozumiałam.

– Rzeczywiście – wymamrotałam.

Odwracając się, musnęła porozumiewawczo moje ramię swoim i w tym momencie wyczułam, że coś się dzieje.

– Idą! – oznajmiła.

Podążyłam za jej wzrokiem i dojrzałam zmierzającego w stronę ringu Micka, odzianego w zielony szlafrok z białymi klapami. Jedyne na potężnych zawodnikach taki strój wyglądał dobrze. Przyznaję, że przeszedł mnie przyjemny dreszczyk, gdy zauważył mnie, podchodząc do ringu. Przechylił głowę, uśmiechnął się ponętnie i wkroczył między liny. Na plecach miał napis „Irlandczyk”. Niezła ksywka, ale nie tak dobra jak „Truck”. Zdjął szlafrok i pokazał się w pełnej krasie, bo miał na sobie jedynie buty i zielone satynowe szorty z koniczynkami na białych lamówkach.

Zawodnik w przeciwległym narożniku, który musiał być Juniorem, nosił biało-czerwone spodenki. Nie wyglądał na żadnego juniora. Był wielki, łysy i o wiele straszniejszy od Micka. Poczulałam niepokój. To, że Alyssa złożyła dłonie wokół ust i krzyknęła: „Zmasakruj go, kochanie!”, wcale nie pomogło. Zachowanie było okropnie prostackie, ale reakcja Juniora, który uniósł rękawicę do piersi, a potem do ust i przesłał buziaka w stronę swojej kobiety, wydało mi się słodkie.

– Kocham cię, tygrysie! – wrzasnęła w odpowiedzi.

Uśmiechnęłam się, bo to doprawdy było urocze. Zawodnicy rozgrzewali się

w narożnikach, przyjmując ostatnie uwagi od technicznych poza ringiem, a ja założyłam nogę na nogę, odrzuciłam płaszcz na oparcie krzesła i złożyłam torebkę na podółku.

– Jest mańkutom – usłyszałam Alysę, gdy mężczyzna w czarnych spodniach i szarej koszuli, przewiązanej pod szyją nieproporcjonalnie dużą muchą, wyprowadził zawodników na środek ringu.

– Kim jest? – zapytałam.

– Mańkutom – powtórzyła. – Mickey. Lewusem. Junior nie może przewyciężyć tego, że atakuje z drugiej strony. Przez cały rok ćwiczył z leworęcznymi partnerami, żeby w końcu pokonać Micka i skoczyć do góry w rankingach. Mick jest zawsze numerem dwa, Jake numerem jeden. Ale jego nie da się pokonać i Junior o tym wie, dlatego mierzy się z Mickiem. Jestem jednak pełna obaw, bo Mick rozsmarował w tym sezonie po deskach wszystkich przeciwników. Jest w szczytowej formie.

– Skoro tak to się zapowiada, to czy nie jest ci trudno oglądać tę walkę? – zapytałam, bo naprawdę mnie to zastanowiło.

– To twoja pierwsza walka? – zapytała z szerokim uśmiechem.

Pokiwałam głową.

– Więc dopiero to zrozumiesz, kochana – stwierdziła. – Zaufaj mi. Gdy zobaczysz Jake’a na ringu, majtki przemokną ci w ciągu chwili. Zanim to nastąpi, ja już będę ujeżdżać swojego faceta w domu. Gdyby sprawy miały się tutaj jednak przeciągnąć, wcale nie zdziwiłby mnie widok ciężarówki Jake’a stojącej na poboczu z zaparowanymi szybami.

Dość dosadnie powiedziane i znów zaniepokoiłam się w podniecający sposób, przygryzając wargę. Zauważyła to i wybuchnęła śmiechem, po czym stwierdziła:

– Przygotuj się na jazdę życia, dziewczyno!

Poczułam, że włoski na całym ciele stają mi dęba. Sam sposób, w jaki Jake oddychał, hipnotyzował mnie. Moczenie majtek dla kogoś, kto nie był mną zainteresowany, wydawało się bardzo kiepskim pomysłem. Na szczęście te rozmyślenia przerwał głos dobiegający z głośników. Dowiedziałam się, że Mickey ma na nazwisko Donovan (istotnie, Irlandczyk!). Sędzia rzucił im tylko kilka słów, zawodnicy oddalili się na moment do narożników, po czym wrócili na środek i tryknęli się rękawicami. Zabrział gong i zaczęło się.

Na szczęście oglądanie Micka, który już na pierwszy rzut oka był lepszy od Juniora, i nie trzeba było mieć pojęcia o boksie, by to zauważyć, nie sprawiło, że zamokły mi majtki. No i walka nie była tak przerażająca, jak się spodziewałam. Naprawdę mi się spodobało, choć w grę wchodziły pot, stęknięcia i duża dawka makabry. Poczułam ulgę, gdy sędzia uniósł w górę rękawicę Mickeya po trzech rundach. O dziwo, polubiłam również wulgarną, złąknioną krew, głośną Alysę, która przez cały czas zagrzewała Juniora do walki okrzykami, więc tylko delikatnie zaklaskałam, żeby nie robić jej przykrości.

Przez chwilę Mickey przyjmował gratulacje od przeróżnych akolitów spoza ringu, po czym spojrzął na mnie, uśmiechnął się i mrugnął, schodząc ze sceny. Odpowiedziałam uśmiechem, bo było to bardzo miłe.

– A to co miało znaczyć? – zapytała Alyssa, gdy Mick odtruchtał w stronę szatni.

– Mickey trenuje w siłowni Jake’a – wyjaśniłam, nie wdając się w szczegóły, ale chyba mnie zrozumiała, bo uniosła brodę i rzuciła:

– Ach tak...

Sięgnęła po torebkę, wydobyła telefon i zaczęła nerwowo przebierać po nim palcami.

– Dawaj no swój numer, skoczmy na lunch albo na drinka, a teraz musimy lecieć na moje fighterskie bzykanko. Albo machnę ci gratisowy manicure i pedicure. Mam salon w Magdalene.

– Zatrzymała się na chwilę, zerkając na mnie. – Opowiesz mi, jak Jake się spisuje po walce.

– Ja, to znaczy...

– No, szybcitko! – ponagliła mnie.

Naprawdę, bardzo ją polubiłam mimo tej głośnej prostackości. Zamierzałam przecież trochę pomieszkać w Magdalene, a póki co jedyną znajomą w zbliżonym wieku była żona pastora. Podałam jej więc swój numer. Zamierzałam jeszcze wyjaśnić, że myliła się co do mojego układu z Jakiem, ale zerwała się z miejsca i spojrzała na mnie:

– Jake zaraz wchodzi. Baw się dobrze i nie ześlizgnij się z krzeselka – powiedziała, po czym pochyliła się, otarła policzkami o moje na pożegnanie i odeszła, drobiąc w sandałach na platformach, które wyglądały jak pożyczone od jednej z tancerek Jake’a.

Przez chwilę patrzyłam za nią, po czym zwróciłam wzrok w stronę ringu. Za moment miała rozpocząć się ostatnia walka wieczoru – walka Jake’a. Choć publika wyglądała tak, jakby siedziała tu od wczesnych godzin porannych, w powietrzu dało się wyczuć ekscytację, wypełniał je szum podniesionych głosów. Atmosfera przypominała jakiś ciągnący się od kilku dni festiwal, który miało właśnie zakończyć pojawienie się na scenie największej, oczekiwanej przez wszystkich gwiazdy.

Jake miał wielu fanów, którzy teraz zaczęli nieśmiało skandować „Truck! Truck!” i po chwili przerodziło się to w rytmiczny wrzask i kanonadę braw. Nadchodził. No i stało się: żołądek zawiązał mi się na supeł, a nogi drżały. Zaciśnęłam dłonie i odwróciłam się w stronę wąskiego przejścia między krzesłami, którym się zbliżał. Prawie wszyscy widzowie wstali, klaskali, zagrzewali go do walki okrzykami. W końcu go dojrzałam. Granatowy szlafrok z szarymi klapami i lamowaniami. Za nim podążał równie rosły mężczyzna, który być może z piętnaście lat temu był w podobnej formie.

Na Micku szlafrok leżał dobrze. Ale to Jake sprawił, że jedno z przewidywań Alyssy się spełniło. Coś poruszyło się niespokojnie w bardzo intymnych partiach mojego ciała. Najbardziej intymnych. Wstałam na chwiejnych nogach, jakby nieświadomie. Mój wzrok lepił się do ciała Jake’a. Gdy był przy samym ringu, jego spojrzenie, dotychczas wbite w podłogę przed jego stopami, przeniosło się na mnie. Och, jak ten szlafrok na nim leżał i jakże intensywny był jego wzrok! Drżenie między moimi udami zmieniło się w jednostajną wibrację.

Uśmiechnęłam się do niego. Ale gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, uśmiech zamarł mi na ustach. Żar. Niemal fizyczna siła. Poczułam namacalnie palącą furię Jake’a Speara. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego ognia w jego oczach, takiego gniewu, takiej pewności. To nie był nawet gniew, ale coś o wiele bardziej ekstremalnego. To była furia. I nie był skierowany na przeciwnika, z którym miał za moment walczyć. Był skierowany na mnie. Oderwał wzrok od mojego spojrzenia i wszedł na ring. Wciąż czułam palący żar jego rozognionego spojrzenia. Nie mogłam się otrząsnąć po tym pełnym furii spojrzeniu, którym mnie poczęstował. Usiadłam i położyłam torebkę na kolanach.

Obcisłe, granatowe szorty ze stalowoszarymi lampasami podkreślały skończone piękno jego na wskroś męskiego ciała. Gdy tak podskakiwał w narożniku, zauważałam również jego potężne ramiona i barki, to, w jaki sposób nimi potrząsał, w jaki kręcił głową, w jaki energia napinała wszystkie jego mięśnie, gdy markował ciosy w powietrze.

Ta wizja nakładała się na wszystkie obrazy Jake’a, jakie zachowałam w głowie, a podniecenie wróciło, uporczywe, wyraźnie wyczuwalne.

Przedstawiono zawodników i rozległ się huczny aplauz. Nawet ja klaskałam jak szalona, choć nie odważyłam się pokrzykiwać.

Znowu konsultacje w narożnikach, znowu taniec na środku, zderzanie się rękawicami, uwagi faceta w szarej koszuli. I zaczęło się.

Zabrział gong i Jake Spear rzucił się robić to, w czym był najlepszy. A ja, patrząc na

niego, czułam, że mój świat zapala się i w sekundę spopiela. Wszystko, czym byłam, stanęło w płomieniach. Wszystko, co wiedziałam. Wszystko, co sobie starannie zaplanowałam. Czułam, że się rozpadam, podziwiając pierwotne piękno walczącego Jake'a. Siedziałam tam naga, surowa, obnażona i odrodzona, choć pozornie zachowywałam spokój, obserwując go, z nonszalancko skrzyżowanymi nogami, torebką na kolanach. Byłam na granicy spełnienia, czując pulsowanie między zaciśniętymi udami.

Widziałam tylko jego.

Zniknęłam.

Nie byłam już sobą, ale przecież wciąż byłam. Po raz pierwszy od lat poczułam, że naprawdę jestem sobą.

To wszystko trwało nie dłużej niż pięć minut i w tym czasie Jake rozniósł przeciwnika.

Pięć minut.

Wielkie czerwone cyfry na zegarze wiszącym przed stanowiskiem sędziów oznajmiały to wszem wobec. Przeciwnik padł po otrzymaniu dwóch ciosów w korpus i ostatnim, potężnym prawym prostym w głowę, która odskoczyła na bok. Krople potu z jego skroni i z lśniącego od wilgoci ramienia Jake'a rozprysnęły się na wszystkie strony, oczy mężczyzny się zamknęły i padł z hukiem na deski, bez świadomości, nawet nie podpierając się ręką, by złagodzić upadek.

Tłum zaczął szaleć. Zamarłam, patrząc na nieruchome ciało, nad którym sędzia odliczał głośno do dziesięciu, z każdą wykrzykiwaną sekundą wyrzucając w górę ramię, a Jake tańczył niecierpliwie obok.

Sędzia podniósł się i uniósł w górę ramię Jake'a, a tłum zagrział jeszcze donośniej. Jake jednakże nie pławił się w zwycięstwie. Bez zbędnych ceregieli wrócił do narożnika i zszedł z ringu, nawet nie zakładając szlafroka. I nie patrząc na mnie. Minał mnie bez słowa i podążył w dół przejścia na tyły hali. Nie zastanawiając się ani chwili, ta nowa ja chwyciła płaszcz i torebkę i ruszyła za nim. Przemierzyłam alejkę i dostrzegłam na jej końcu zwalistego mężczyznę w żółtej koszulce polo z napisem „ochrona” na piersi. Podeszłam do niego.

Zanim się odezwałam, obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów i zapytał:

– Czyja jesteś, ślicznotko?

– Jake'a – odpowiedziałam, patrząc mu w oczy.

Uśmiechnął się i ustąpił mi z drogi. Za nim były drzwi, które pchnęłam, naciskając na dźwignię. Usłyszałam, jak woła za mną:

– W hali na lewo, a potem pierwsze drzwi na prawo.

Drzwi zatrzasnęły się za mną i ruszyłam prawie biegiem według jego wskazówek.

W pomieszczeniu „na prawo” stały metalowe szafki, na środku stalowy stół, przypominający taki z sali zabiegowej. Leżała na nim rozbebeszona torba, pełna ubrań Jake'a, na nich spoczywały zdjęte rękawice.

Jake siedział na stole, a obok stał starszy mężczyzna, który odprowadził go na ring. Zanim zdążyłam się odezwać, Jake wyrzucił z siebie tylko jedną krótką komendę:

– Wyjdź.

Tym razem byłam przekonana, że nie mówił do mnie. Kątem oka zauważyłam, że mężczyzna z rozbawionym grymasem zerka na mnie, potem znów na niego, a potem w podłogę, po czym wychodzi.

Jake zeskoczył ze stołu i obaj ruszyli w moim kierunku, więc zeszedłam z drogi. Gdy mężczyzna wyszedł, Jake zamknął za nim drzwi. Na zamek. Wiedziałam, po co tu przyszedłam, choć udawałam, że nie wiem. Wmawiałam sobie, że się boję, chociaż wcale się nie bałam. Czułam, że tak ma być, choć usiłowałam sobie wmówić, że to niewłaściwe. Wiedziałam, co robić, choć udawałam przed sobą samą, że nie wiem. To nie ja. To właśnie ja. Otworzyłam usta,

by powiedzieć coś, co musiało się z nich wydostać, ale nie zdążyłam.

– Wychodzisz jutro na kolację z Mickiem? – warknął Jake, patrząc na mnie tym płonąącym wzrokiem, i poczułam, jak furia wypełnia pomieszczenie.

– Zmieniłam zdanie – szepnęłam natychmiast w odpowiedzi.

– Świetna, kurwa, odpowiedź, Śliczna!

Słowa uderzały mnie jak ciosy, a jednocześnie czułam, jakby każde z nich było pieszczotą. Stałam nieporuszona, unieruchomiona jego piorunującym wzrokiem, czując, jak wali mi serce, jak rwie się oddech. Jak moje najskrytsze zakamarki pulsują i raptownie wilgotnieją. Ruszył w moją stronę, a ja wciąż ani drgnęłam. Gdy jego ciało zderzyło się z moim i chwycił mnie za biodra, jeden z cieniutkich obcasów się przechylił, upuściłam płaszcz i torebkę i poczułam, że za moment polecę do tyłu. Ale Jake nie zamierzał do tego dopuścić. Wciąż na mnie napierał, przytrzymując w garści moją spódnicę. Poczułam za plecami ścianę, materiał podjechał do góry, a Jake przygwoździł mnie sobą.

– Majtki w dół, Josie! – rozkazał szorstkim głosem i gdyby nie ściana za mną, jego ton na pewno powaliłby mnie na podłogę.

Poczułam dreszcz biegnący po plecach i niżej, wzdłuż ud. Oblizawałam usta, wykonując polecenie, zsuwając majtki z bioder kciukami, aż ześlizgnęły się na kostki. Spadły na podłogę, gdy Jake chwycił mnie za pośladki i uniósł. Objęłam go nogami w pasie, przytrzymałam się potężnych barków i po chwili poczułam, że jego usta spinają się z moimi. Wpuściłam jego język i jęknęłam, gdy w końcu poczułam jego smak, tak wyczekiwany. Zaciśnęłam wokół niego wszystkie członki, gdy całował mnie brutalnie, moszcząc się między moimi udami. Czułam przez delikatny materiał, jak bardzo jest gotowy, wplotłam dłoń w jego włosy i przylgnęłam do jego ciała tak mocno, jakbym pragnęła, by mnie wchłonął. Poczułam jego dłoń między nami i po chwili był wewnątrz, głęboko, posuwając mnie rytmicznie, gwałtownie, wspaniale, rozkosznie. Wciąż mnie podtrzymywał, mrużąc w moje usta, a ja w jego.

Nagle oderwał mnie od ściany i przeniósł na stół, nawet na chwilę nie wyslizgując się z mojego wnętrza. Poczułam pod plecami chłód metalu, gdy atakował mnie zajadłe. Łaknęłam każdego pchnięcia, witałam je jękami, wzdychaniem, przywierając do Jake'a całą powierzchnią spragnionego ciała, wbijając w niego ramiona, nogi, piersi, podrzucając biodrami, dając do zrozumienia, że chcę więcej.

Poczułam, jak jego dłoń wślizguje się w gorącą, wilgotną przestrzeń między nami, jak jego kciuk odnajduje mój najczulszy punkt, i moim ciałem szarpnęły fale gwałtownego, katartycznego orgazmu. Oderwałam się od jego głodnych ust i krzyknęłam przeciągle. To był chyba drugi etap mojego przebudzenia. Poczułam szorstką taśmę wciąż oplatającą jego dłonie na wnętrzach moich ud, uniósł się i złożywszy moje nogi na swoich ramionach, spojrzał na mnie.

Jego granatowe oczy płonęły, twarz wykrzywiał dziki grymas pasji. Nigdy w życiu nie widziałam niczego równie pięknego. Znowu zaczął się poruszać i tym razem czułam go jeszcze dogłębniej, mogłam skupić się na jego rozkoszy, czuć go bardziej, świadomiej, każdy ruch, każde pchnięcie, jego palce zaciśnięte na delikatnej skórze pod moimi kolanami. Jego bestialskie jęki wypełniły pomieszczenie i w końcu doszedł. Wszedł we mnie ostatni raz, tak mocno, że aż stół się przesunął. Odchylił głowę do tyłu, żyły na jego gardle napięły się, a jego krzyk spełnienia był tak donośny i pełen satysfakcji, iż miałam wrażenie, że nie tylko ten stół przesunęliśmy, ale jakąś górę. Cały łańcuch górski. Góry Skaliste. Himalaje. Andy. Wszystkie naraz. Jego głowa opadła tak nisko, że dostrzegłam ponad nią jego plecy. Palce wciąż zaciskały się na moich nogach, a ja poczułam wewnątrz ostatnie drgnięcie rozkoszy.

Trwał tak, przygwoździwszy mnie do stołu. Nie poruszał się. Ja również nie drgnęłam. Mijały kolejne chwile, zdające się wiecznością. I wówczas poczułam, że oblekam się w nowe

ciało.

– Jake – szepnęłam, wciąż patrząc na jego szyję opuszczoną w takiej pozycji, jakby przyglądał się miejscu, w którym nasze ciała wciąż się łączyły.

Uniósł głowę, spojrzał mi w twarz, uwolnił moje nogi i spoczął na mnie całym ciężarem ciała.

– Nie... – szepnął.

Chciałam coś powiedzieć, ale dotknął mojego policzka i przejechał kciukiem po ustach.

– Nie – powtórzył. – Nie mów nic, kochanie. Nie myśl. Tylko bądź ze mną, teraz, tutaj. Porozmawiamy gdzieś, gdzie będziesz czuła się bezpieczna. Obiecuj mi.

– Ja nie... – zaczęłam, ale nacisk jego ciała się zwiększył.

– Obiecuj mi to, kochanie – szepnął.

Przez długą chwilę patrzyłam mu w oczy, po czym przytaknęłam.

Wysunął się ze mnie i aż uchyliłam usta, tak dziwne zdało mi się to odczucie. Sięgnął w tył i wydobyl ze swojej torby ręcznik, po czym delikatnie mnie wytarł. Moja twarz na pewno złagodniała, bo było to bardzo przyjemne i widziałam, że mój grymas błogości odbija się w jego oczach. Siebie wprawdzie nie mogłam zobaczyć, ale byłam pewna, że jego postkoitalny image jest lepszy.

Odrzucił ręcznik, podciągnął spodenki i pociągnął mnie gwałtownie za biodra, stawiając na nogi. Przytrzymał mnie, opuszczając spódnicę, po czym chwycił mnie w talii i posadził na stole. Patrzyłam, jak zbiera z podłogi mój płaszcz, torebkę i w końcu porzucone pod ścianą majtki. Przygryzłam wargę, bo nie było to zawstydzające, wręcz przeciwnie. Widok mężczyzny zgarniającego z podłogi moje majtki, na tle betonowej ściany, przy której wziął mnie po raz pierwszy, był bardzo podniecający. Nie było w tym krzty romantyzmu, ale w oczach uczestniczki tego aktu ten gest stał się najbardziej romantyczną z możliwych rzeczy. Każda kobieta na moim miejscu odebrałaby to tak samo. A jednak miałam w sobie jakąś niepewność. Coś się nie zgadzało. Coś trzeba było naprawić.

Ta myśl przywołała na moje usta tylko jedno, drżące słowo:

– Jake...

Podszedł do mnie szybko, słysząc swoje imię. Rzucił moje rzeczy na stół obok mnie, a majtki wepchnął do swojej torby.

Spojrzałam na torbę, potem na niego, a on rzucił tylko:

– Zostań ze mną.

– W porządku – odpowiedziałam wciąż drżącym głosem.

Znowu mnie pocałował, ale teraz, po tym, co się stało, dotyk jego ust był jeszcze słodszy.

Wydobył z torby granatową bluzę i narzucił ją na siebie, potem spodnie od kompletu. Zapiął bluzę, po czym podał mi płaszcz. Wsunęłam ręce w rękawy. Narzucił swoją torbę na ramię, wyciągnął kluczyki od auta i podał mi torebkę. Pociągnął mnie za rękę w stronę drzwi. Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, przyciągnął mnie do siebie, obejmując ramieniem, aż musiałam odwrócić się przodem do niego, by ułożyć się wygodnie pod jego zaborczym ramieniem. Objęłam go w pasie, żeby być jeszcze bliżej. Wiedziałam, że pełno wokół nas ludzi, ale byłam przejęta tym, co stało się przed chwilą, i po prostu nie zwracałam uwagi na zaczepki, krzyki, brawa, aż ktoś stojący blisko krzyknął:

– Tak jest, kurwa, Truck zaorał!

Zatrzymaliśmy się gwałtownie i widziałam, jak Jake wskazuje palcem na faceta w marnym dresie, którego twarz zbladła, gdy mój partner syknął:

– Zamknij, kurwa, mordę!

Jego usta, dotąd półotwarte, zacisnęły się w wąską kreskę, jakby chciał pokazać, że już

bardziej się zamknąć nie może. Znowu ruszyliśmy do wyjścia i dopiero przy drzwiach zdałam sobie sprawę z tego, że wszystkie te krzyki i brawa wcale nie dotyczyły wygranej walki. Ludzie gratulowali mu tego, co wydarzyło się w szatni, i najwyraźniej było słyszalne dla wielu. Dobry Boże...

– Jake... – szepnęłam po raz kolejny, drżąc jeszcze bardziej.

Pchnął drzwi i rozkazał cicho:

– Trzymaj się blisko.

Nie bardzo miałam inne wyjście, bo trzymał mnie przy sobie, zdeterminowany, by zabrać nas w inne miejsce, choć nie miałam jeszcze pojęcia gdzie.

Otworzył auto i wsadził mnie na fotel pasażera. Drżącymi rękami zapinałam pas, podczas gdy on odpalał silnik.

– Moje auto zostało na parkingu – powiedziałam, choć pewnie domyślał się, że nie przyszedłam na piechotę.

– Odbierzemy go jutro, kochanie – rzekł, rzucając mi szybkie spojrzenie.

Jutro? Nie dopytywałam. Był zajęty wycofywaniem z parkingu, a manewrowanie takim wielkim autem nie było łatwe, więc nie odzywałam się, by go nie rozpraszać. Zerknęłam przez tylną szybę, gdy wyjeżdżaliśmy z terenu imprezy.

Dopiero na trasie do Magdalene, gdy Jake odezwał się do przyłożonego do ucha telefonu, zorientowałam się, że zamierzał z kimś porozmawiać.

– Con? – rzucił, a po chwili przerwy powiedział: – Tak, wygrałem. Jutro ci opowiem. Słuchaj, nie wrócę na noc do domu.

Wzięłam głośny wdech, Jake spojrzał na mnie, potem znów na drogę i kontynuował:

– Godzina policyjna obowiązuje. Dziś ty pełnisz honory głowy domu, więc mnie nie zawieź! W porządku, Con, do jutra!

Rozłączył się, a gdy to zrobił, powiedziałam:

– Jake, musimy porozmawiać.

– Porozmawiamy, gdy już odstawię cię bezpiecznie do domu, Josie.

– Powinniśmy teraz porozmawiać.

Odłożył telefon i chwycił moją dłoń, składając ją na swoim twardym udzie.

– Porozmawiamy, gdy już odstawię cię do domu, maleńka – powtórzył delikatnie.

Nie odezwałam się więcej. Ścisnął moją dłoń mocniej, a ja myślałam już tylko o jednym.

O rozmowie w domu.

W domu.

W ciszy dojechaliśmy do Lawendowej Willi. Jake wziął swoją torbę z tylnego siedzenia i pomógł mi wysiąść. Już otworzyłam drzwiczki i miałam zamiar zeskoczyć, ale pojawił się po mojej stronie i prawie wyniósł z auta. Otworzył drzwi swoim kluczem i wprowadził mnie do środka. Gdy drzwi się za nami zamknęły, poprowadził mnie prosto do sypialni. I wtedy rozpoczęła się najdziwniejsza, najcudowniejsza, ale i najbardziej przerażająca noc w moim życiu.

Chyba jednak najcudowniejsza.

Włączył lampkę przy łóżku, postawił torbę na podłodze, a obok rzucił moją torebkę i zsunął płaszcz z moich ramion. Objął mnie w pasie i poprowadził prosto do łóżka. Pociągnął mnie za sobą, upadł na plecy, a ja upadłam na niego, ale po chwili przetoczył nas tak, by znajdować się na górze.

– Teraz jesteś bezpieczna i możemy porozmawiać – powiedział, gdy już ułożył się wygodnie nade mną.

Byłam w bezpiecznym miejscu. W jedynym bezpiecznym miejscu, jakie miałam. I to on mnie tu przyprowadził.

– Uprawialiśmy seks – powiedziałam, choć przecież z pewnością jeszcze o tym nie zapomniał.

– A i owszem – zgodził się, patrząc mi w oczy, a wzrok miał ciepły, ale i czujny zarazem.

– W szatni.

– Ta – potwierdził.

No cóż, niewiele więcej pozostało w tej materii do dodania, poza wszystkimi implikacjami, jakie ten czyn za sobą niósł. Nie byłam chyba gotowa na rozmowę o tym.

– Gniewałeś się na mnie przed walką – stwierdziłam, choć tak naprawdę pytałam.

– Nie, mała, byłem wkurzony – odpowiedział.

O dziwo, zrozumiałam różnicę.

– A teraz się gniewasz?

Przyglądał mi się uważnie.

– A czy wyglądam na rozgniewanego? – zapytał zamiast odpowiedzieć.

– Nie.

– Przelecenie mojej kobiety ubranej w najseksowniejszą kieckę, jaką widziały ściany tamtej hali sportowej, zrobienie tego po raz pierwszy w szatni, co jest cholernie podniecające, takie coś sprawia, że facet szybko zapomina o byciu wkurzonym. Bardzo szybko.

Pominęłam ozdobniki i skupiłam się na sednie jego wypowiedzi.

– A co ja takiego zrobiłam?

– Co zrobiłaś? – Zamrugał gwałtownie.

– Tak, Jake, co ja takiego zrobiłam?

Przez chwilę mi się przyglądał, po czym powiedział:

– Śliczna, jesteś moja i umówiłaś się na randkę z innym facetem.

– Tak, jestem twoja, ale nie w taki sposób.

Rozejrzał się po pokoju, jakby szukając wokół nas jakichś wyjaśnień, po czym zapytał:

– Nie jesteś moja w jaki sposób?

Chyba wiedziałam, o co pytał...

...ale nie, nie wiedziałam.

Musiałam o to zapytać, musiałam się upewnić i gdy po chwili przyglądania mu się słowa w końcu wydostały się z moich ust, brzmiały nieśmiało, ale były również pełne nadziei i lęku.

– Jestem twoja w taki właśnie sposób?

Już wiedział, czego się obawiałam. Jego twarz złagodniała, gdy dotknął mojej i szepnął:

– Tak właśnie jest.

Zamknęłam oczy, by w pełni rozkoszować się jego słowami, a gdy je otworzyłam, mój głos wciąż brzmiał niepewnie:

– Myślałam, że lubisz wielkie fryzury i wielkie... inne rzeczy.

– Co? – zapytał, przekrzywiając głowę.

– Mówiłeś, że...

– Wiem, co mówiłem, kochanie. Wiem również, że to ci się nie spodobało. No i gdy po wejściu do sypialni Lydii zadzwoniłaś do mnie, usłyszałem, że to, w jaki sposób byłaś moja kiedyś, zmieniło się w to, w jaki sposób jesteś moja teraz.

– Chyba coś mi po drodze umknęło – przyznałam.

Uśmiechnął się nieznacznie, zakreślił palcem zarys mojej skroni i powiedział:

– Próbowałem dać ci to do zrozumienia w delikatny sposób, ale zdawało mi się, że jestem równocześnie dość dosadny.

– Nie byłeś – stwierdziłam, a jego brwi podjechały w górę.

– Trzymasz się za ręce z wieloma facetami?

Nie. Z żadnym.

– Nie.

– Siadasz tuż obok nich podczas meczy?

– No... nie.

– Rozciągasz się leniwie na kanapie, składając głowę na ich piersiach?

No tak, rozumiałam, do czego zmierza.

– Och – szepnęłam tylko, a jego uśmiech się poszerzył.

– No właśnie – powiedział cicho. – Och.

Poczułam się wspaniale, bo Jake właśnie powiedział mi, że całe moje udawanie było w rzeczywistości prawdą. Ciągle jednak odczuwałam jakąś niepewność.

– Ale ja nie mam nastroszonej fryzury ani...

Zamilkłam, gdy jego dłoń zamarła, a twarz zbliżyła się do mojej twarzy.

– Maleńka, masz wszystko, co potrzeba.

Patrzyłam w jego oczy i rozkoszowałam się ciepłem, które przeze mnie przepływało. Mogłam tylko powiedzieć swoje „Och”.

Przyglądał się mojej twarzy, w szczególności ustom, i aż wstrzymałam oddech, czekając, co zrobi. Spojrzał mi w oczy.

– Często się tak spalasz? – zapytał łagodnie.

Wiedziałam aż za dobrze, o co mu chodziło.

– Nigdy – odrzekłam równie cicho.

Uśmiechnął się uśmiechem, który odczułam w dolnych partiach ciała, wzrok znowu mu zapłonął. Nagle jednak uśmiech zgasł i powiedział:

– Musisz zadzwonić do Micka.

Odwrociłam wzrok i odpowiedziałam:

– Na to wygląda.

– Mała – zawołał i znów spojrzałam na niego. – Musisz do niego zadzwonić.

– W porządku, Jake.

– Ale najpierw weźmiemy prysznic – oznajmił.

O rety. To nie był jednak koniec oznajmiania.

– Nie, najpierw przetrniesz te taśmy. Gdy będę cię miał nagą pod prysznicem, chcę mieć do dyspozycji więcej niż tylko koniuszki palców. A potem dogodzę ci ustami. Marzę o tym od czasu kolacji w The Eaves. Teraz mam szansę, nie zamierzam dłużej czekać.

Poczułam pulsowanie w całym ciele.

A on mówił dalej:

– Potem śpimy. Jutro zadzwonisz do Micka.

– W porządku, Jake – przytaknęłam znowu, ledwie słyszalnym głosem.

– Założysz do spania jedną ze swoich koszulek, wybieram tę niebieską, chyba że masz coś seksowniejszego.

Nie odpowiedziałam. Niebieska była w praniu. Ale miałam coś lepszego.

– Żadnych majteczek.

Skurczyłam się pod nim. Spojrzał na moje usta. Znowu wstrzymałam oddech.

– No to pod prysznic.

Nie miałam szans powiedzieć nawet słowa. Podążałam za nim pokornie, pewnie dlatego, że trzymał mnie za rękę i praktycznie włókł za sobą. No, może nie włókł, bo byliśmy na tym etapie znajomości, na którym poszłabym za nim wszędzie.

A już pod prysznic w pierwszej kolejności.



Usta Jake'a zacisnęły się, zassał mnie stanowczo, po czym zaczął niestrudzenie pracować językiem. I właśnie wtedy doszłam. Poczułam, że wdziera się we mnie, a wewnątrz mojego ciała wciąż pulsowało. Oplotłam jego uda nogami, uchwyciłam się potężnych ramion, a on niemal uniósł nas z łóżka, podparty na ręce, przyciskając mnie do siebie, zagłębiał się raz za razem, całując moją szyję.

Roztapiałam się w rozkoszy, wciągając w nozdrza zapach jego ciała, rozkoszowałam się mocą jego ruchów, dźwiękiem jego pomruków, ogromem jego silnego, potężnego ciała. Nagle poczułam, jak przygryza skórę na mojej brodzie, pieści mnie zębami, a odczucie było dziwaczne i bardzo przyjemne jednocześnie, podniecające, intymne. Uwielbiałam to.

Wtulił twarz w moją szyję, wcisnął się do wnętrza po raz ostatni i jęknął w moje ciało. Moje dłonie błądziły po jego ciele, podziwiałam twardość jego mięśni i gładkość skóry, ale teraz, gdy wystrzelił we mnie, zamarłam, przywierając do niego każdym centymetrem obnażonego ciała. Czekałam, aż jego oddech się wyrówna, a ciało odpręży, a wówczas powiedziałam coś, czego nie powiedziałam żadnemu mężczyźnie przez ostatnie dwadzieścia trzy lata:

– Bardzo mi się podobaś, Jake'u Spear.

Uniósł się i spojrzał mi w twarz, a ja stwierdziłam, że wcześniej się myliłam. To właśnie teraz, zrelaksowany, ciągle we mnie, patrzący na mnie tym ciepłym wzrokiem, był najpiękniejszy.

Nie odpowiedział tym samym. Zrobił coś lepszego. Pocałował mnie, głęboko, słodko i długo. Odwzajemniłam pocałunek, przytulając się do niego. Musnął moje usta delikatnie, po czym mruknął:

– Muszę się oporządzić. Zaraz wracam.

Pokiwiałam głową.

Wycofał się, przesuwając nosem po linii mojej szczęki, w sposób, który odezwał się mrowieniem nie tylko w skórze mojej twarzy. Wyszedł z łóżka, narzucił na mnie kołdrę. Patrzyłam, jak nagi wymyka się z pokoju.

Przewróciłam się na bok, gapiąc się na drzwi, bo na nic innego nie było mnie stać. Leżałam rozleniwiona, a mój umysł zupełnie opustoszał.

Gdy Jake wrócił, mogłam tylko przyglądać mu się z podziwem. Miał wspaniałe ciało. Niewiarygodne. Wyjątkowe. Właśnie to ciało przytuliło się do mojego w łóżku.

– Wszystko dobrze? – zapytał, oplatając mnie ramionami.

Wpatrywałam się w jego mocarną pierś.

– Josie? – zapytał, gdy milczałam.

– Boję się – przyznałam cicho.

Przytulił mnie mocniej i wyszeptał w moje włosy:

– Zapomnij o strachu, kochanie. Nie ma się czego bać. Nie ze mną.

– Są pewne sprawy, które muszę ci o sobie powiedzieć – kontynuowałam z wzrokiem wciąż wbitym w jego pierś.

– Masz czas, by mi to wszystko opowiedzieć.

Chciałam się odsunąć, ale przytrzymał mnie, wplatając dłoń w moje wciąż mokre włosy, przycisnął mnie do swojej piersi. Choć nie mogłam na niego spojrzeć, mówiłam dalej:

– To nie są łatwe sprawy.

Zapadła nabrzmiała napięciem cisza, która wcale mi się nie podobała.

– Lydia dużo o tobie opowiadała – zdradził w końcu.

Zamknęłam oczy. Wiedziałam. Już wiedziałam.

Uścisk jego ramion był już prawie bolesny, gdy powtórzył:

– Lydia wszystko o tobie opowiedziała.

Dobry Boże. O Boże.

Poczułam ogień w piersi, ale nie byłam w stanie teraz o tym rozmawiać. Musiałam szybko zmienić temat.

– Coś dziwnego dziś się ze mną stało, Jake – powiedziałam.

– Opowiedz mi – szepnął.

– Nie potrafię. Nie wiem, co to było.

– Kiedy to się stało?

– Gdy zaczęłam walczyć.

– Ale co dokładnie poczułaś? – zapytał, a jego ramiona drgnęły.

– Jakbym się rozpadała.

– Rozpadała?

– Tak.

– Ale w dobry czy zły sposób?

– Dobry – powiedziałam. – W bardzo dobry.

– Dlaczego przyszedł do szatni? – zapytał po chwili ciszy.

– Ja... – zaczęłam, usiłując wyjaśnić, że chciałam zapytać, dlaczego był na mnie zły, ale przecież to nie była prawda.

Nie wiedziałam, dlaczego tam poszłam.

– Siedziałem tam może ze dwie minuty, zanim się pojawiłaś.

– Ja... – zaczęłam znowu i znów się zacięłam.

Dotknął mojej twarzy, odgiął moją głowę do tyłu. Nasze spojrzenia się spotkały, a księżycowy blask kładł się na naszych twarzach.

– Mała, byłem na ciebie wkurzony, ale gdy teraz na to patrzę, w chwili, w której przekroczyłaś próg szatni, całkiem mi przeszło, a to dlatego, że wyglądałaś na nieźle podjaraną.

O rety.

– Tak było – szepnęłam.

– A więc przyszedł tam po to, by sobie ulżyć.

Tak? O Boże. Tak było.

– Ja... – zaczęłam po raz trzeci, a łóżko, a także my oboje, zatrzęśliśmy się od jego tłumionego śmiechu. – Jake? Czy ty się śmiejesz?

– No pewnie! – zagrzmiał i choć było to oczywiste, potwierdził: – Śmieję się jak szalony.

– Nie wiem, co jest takie zabawne!

Wciągnął mnie na swoją pierś, więc mogłam spojrzeć mu w oczy.

Jego głos wciąż był pełen rozbawienia, gdy powiedział:

– Może nie rozpadłaś się, tylko zrzuciłaś kamuflaż?

– Jaki kamuflaż?

– Ten, który nosiłaś od bardzo dawna – wyjaśnił, ale tym razem jego głos zabrzmiał całkiem poważnie.

Tak, znał mnie już z opowieści Buni. Nie odpowiedziałam, ale ześlizgnęłam się z jego ciała, chciałam uciec, schowałam twarz, przytulając ją do jego piersi.

– Może innym razem o tym pogadamy – zasugerował łagodnym tonem.

Z ulgą przyjąłem tę sugestię.

– Cieszę się, że podkreśliło cię oglądanie mnie na ringu – zmienił temat Jake.
– Poznałam pewną kobietę tuż przed twoim wejściem. Ostrzegła mnie, że tak będzie. Ma na imię Alyssa.

– Alyssa. Aż dziwne, że nie dosłyszałem jej jęków przez ściany, gdy szedłem na ring. Przez ostatnie lata zdarzało nam się z chłopakami widzieć, jak pada na kolana przed opuszczonymi bokserkami Juniora, zanim na dobre zamknęły się za nimi drzwi szatni.

Wyglądało na to, że bokserzy i ich partnerki nie mieli żadnych zahamowań, jeśli chodziło o rozmowy o seksie. Nie to jednak mnie zastanawiało.

Martwiło mnie to, że być może stałam się jej następczynią po dzisiejszej gali.

– Ty przynajmniej zamknąłeś drzwi – zauważyłam, chcąc uciec od tej myśli.

– Oj, mała – skwitował tylko.

Podobało mi się oglądanie jego walki, choć nigdy nie przypuszczałabym, że tak będzie. Chętnie popatrzyłabym sobie jeszcze. Niestety, chyba nie mogłam się tam już więcej pokazać. To by było dość przerażające.

– Josie.

– Jestem zmęczona – mruknęłam i była to prawie prawda.

– Małeńka, spójrz na mnie.

Westchnęłam i uniosłam wzrok. Patrzył na mnie i gdy tylko nasze oczy się spotkały, powiedział:

– Wiem, że z pewnością takie szybkie numerki nie są sportem, który regularnie uprawiasz, ale zapomnij o tamtym wrzeszczącym, pyskującym dupku. Powiem ci, jak to wyglądało z mojej strony. Jesteś piękna. Masz klasę. Jesteś słodka. A tamta kiecka była świetna i niewyobrażalnie seksowna. Znokautowałem trzeciego zawodnika w rankingu w pięć minut, ale bardziej byłem dumny z tego, że wychodzę z hali w twoim towarzystwie. Byłem dumny również z tego, że wszyscy słyszeli, iż jesteś moja, że jesteś moja w taki właśnie sposób. Byłem bardziej dumny z tego, że wiedzą, co ci dałem i co ty dałaś mnie, niż z tego, że znokautowałem świetnego zawodnika.

– To, co mówisz, jest jednocześnie absurdalne i bardzo piękne – wypaliłam.

Błysnął w uśmiechu zębami i powiedział:

– Skup się więc na tym pięknym aspekcie.

– Postaram się tak właśnie zrobić, Jake.

Poczułam jego twarz blisko, pocałował mnie. Znowu głęboko i słodko, ale tym razem krócej, po czym przeniósł usta na moje czoło.

Położył się, pociągając mnie za sobą i przytulając do swojego boku.

– Dogadałaś się z Alyssą? – zapytał, gdy ułożyliśmy się wygodnie.

– Była urocza, choć jednocześnie głośna i pyskata.

– Niezły z niej numer. Fajna babka, dobra matka. No i ma zbawienny wpływ na Juniora.

– Poprosiła mnie o numer telefonu.

Poczułam, jak obejmuje mnie mocniej.

– Pogadam z Juniorem, wezmę jej telefon. Jeśli ona do ciebie nie zadzwoni, ty będziesz mogła to zrobić. Masz wprowadzić mnie i dzieciaki, ale kobiety potrzebują swojego towarzystwa. A to będzie dobre towarzystwo.

Nie miałam zbyt wielu przyjaciółek, ale te, które się wokół mnie kręciły, potwierdzały jego tezę.

– Zadzwonię, jeśli się pierwsza nie odezwie.

– Dobrze – mruknął, obejmując mnie mocniej, po czym zamilkł.

A ja wciąż wpatrywałam się w geometrię cieni na jego piersi.

– Jake? – szepnęłam po chwili.

– Mała, wszystko jest w porządku – odpowiedział, choć nawet nie zadałam tego pytania.

Nie chciałam go zadawać, bo obawiałam się, że ten spontaniczny akt mógł zniszczyć relację, jaką udało nam się zbudować, relację, którą uważałam za coś wspaniałego, której nie chciałam stracić. Chciałam ją umocnić, rozbudować, pragnęłam, by trwała wiecznie.

– Co będzie z nami dalej? – zapytałam.

– Nie wiem, Josie. Mam tylko nadzieję, że tak samo mocno jak ja pragniesz, by to trwało.

Zamknęłam oczy i przycisnęłam policzek do jego piersi. Właśnie tego pragnęłam. Niczego nie pragnęłam bardziej. Nie spodziewałam się, że on szuka tego samego, a przecież przed chwilą powiedział, że tak właśnie jest. Nie radziłam sobie z kłębiącymi się we mnie uczuciami. Przez tyle lat byłam jedynie zadowolona, aż zapomniałam, co to znaczy być naprawdę szczęśliwą. Musnęłam ustami jego skórę i zapytałam nieśmiało:

– Czy ja ci się podobam?

Poczułam jego dłoń przesuwającą się w górę mojego kręgosłupa, aż zatrzymała się na karku.

– O tak, kochanie, bardzo mi się podobasz.

Przełknęłam węzeł wzruszenia w gardle. Poczułam, że jego palce zaciskają się delikatnie na mojej szyi.

– Idź już spać, Josie – poradził mi.

Ułożyłam się przy nim wygodniej, choć nie zamknęłam oczu. Po chwili poczułam, jak jego obejmujące mnie ciasno ramiona stopniowo się rozluźniają, po chwili jedna ręka zsunęła się bezwładnie z mojego ciała i wiedziałam, że zasnął.

Ja jednak nie mogłam spać. Do tej pory moim jedynym spełnionym pragnieniem było to, że Andy usiadł przy mnie podczas szkolnego lunchu. I jak to się skończyło, to już wiadomo. Marnie.

Ale teraz znowu spełniało się dojrzałe już pragnienie. Wówczas czułam się naprawdę szczęśliwa. Teraz było tak samo.

A jednak jednocześnie byłam przerażona. To uczucie przeniknęło mnie na wskroś i przekręciłam się na bok, by spojrzeć przez okno. Z łóżka nie było widać morza, jedynie ścianę atramentowego nieba podświetloną księżycową poświatą. Poczułam, jak ciało Jake'a obraca się i jedno z jego ramion obejmuje mnie od tyłu. Nic więcej nie zrobił, nie odezwał się, nie poruszył.

– Jake?

Żadnej odpowiedzi.

Gdy tak leżałam w jego objęciach, patrząc przez okno w granatową przestrzeń, zdałam sobie sprawę z tego, że to wszystko: ten dom, to łóżko i Jake, było pożegnalnym prezentem od Buni. To ona dała mi to wszystko. Wiedziała, co robi. Dała mi bezpieczeństwo. Gdy to sobie uświadomiłam, poczułam, że moje ciało się odpręża, a oczy same się zamykają. Wtulona w ciepłe, nieustępliwe ciało Jake'a po raz pierwszy od dwudziestu lat zasnąłam beztraska. I totalnie szczęśliwa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zajebicie by jej się spodobał

Jake leniwie otworzył oczy. Josie leżała na nim, jej włosy rozsypały się na jego piersi, policzek przyciskała do jego brzucha; koszulka podjechała jej do góry i jego dłoń spoczywała na nagim biodrze. Uśmiechnął się.

Sypialenka była ukwiecona: różowe ściany, kwietny rzucik na obiciu fotela pod oknem, na narzucie łóżka, na walających się wszędzie ozdobnych poduszkach. Desenie się różniły, ale współgrały ze sobą i przypominały mu o Lydii, bo w stylu Josie na pewno nie były. Ani w jego stylu. Nawet na ścianach wisiały oprawione, wypłowiałe reprodukcje kwiecistych obrazów. Aż dziw brał, że ten róż i te kwiatuszki nie spowodowały u niego ataku impotencji. Josie jednak sprawiała, że mógł stanąć na baczność wszędzie i o każdej porze. Pokój pełen kwiatuszków nie był więc żadną przeszkodą. Udowodnił to zeszłej nocy. A i teraz odczuł, jak działa na niego jej bliskość. Był gotowy, by znowu ją posiąść. Nie skupiał się na kwiatuskach, a na czerwonym skrawku jedwabiu, którym była okryta. Choć uwielbiał niebieski, to ten czerwony fatałaszek rozgrzewał mu zmysły. I teraz Josie, z rozczochranymi włosami, była najgorętszym obrazkiem, jaki w życiu widział. Miał ze sobą tylko jedną prezerwatywę. Nie zabezpieczyli się wtedy w szatni, ale więcej nie zamierzał pozwalać sobie na takie szaleństwa, dopóki oboje się na to nie zgodzą. Do kitu. To oznaczało czekanie aż do wieczora i cały dzień postu, bez porannego numerka. Musieli omówić te sprawy. Ale może nie teraz.

Usiłował nie przypominać sobie, jak cholernie seksownie wyglądała zeszłego wieczoru tuż przy ringu ani tego, jaką miała minę, gdy weszła za nim do szatni, ten ogień w jej ślicznych, niebieskich oczach.

Poruszyła głową w taki sposób, jakby już była świadoma i nie chciała go obudzić. Objął ją ciaśniej i przetoczył ich po łóżku, tak że teraz leżał nad nią. Kolanem rozsunął jej nogi, czuł żar bijący od złączenia jej ud. Cholera. Była taka śliczna. Powiodł dłonią od jej biodra, przez żebra, aż do karku, potem odgarnął włosy z jej twarzy i szepnął:

– Dobry, Śliczna.

– Dzień dobry, Jake – odpowiedziała, uśmiechając się.

Dźwięk jej głosu, ciepło jej ciała, nie mógł tego wytrzymać. Naprawdę tutaj była, leżała pod nim. Włosy rozsypane na poduszce. Jej dłonie niebezpiecznie blisko jego pośladków. Włożył język w każdy przesłodka zakamarek jej ciała. Dwa razy ją przeleciał. Pod prysznicem doprowadził ją na szczyt wyłącznie palcami i patrzył w jej wykrzywioną rozkoszą twarz. Połykał jej namiętne jęki. Czuł, jak wewnątrz jej ciała zaciska się na nim.

Sloane, matka Ethana, była do tej pory najlepsza w te klocki. Aż pojawiła się Josie. Nigdy wcześniej, nawet pomimo starań Sloane, nie dał się ponieść tak, jak w szatni. Josie oddawała mu się w pełni, współpracowała, przylegała do niego, brała go w siebie i oddawała całą siebie.

Ostatni raz, już w jej łóżku, było inaczej, nie tak intensywnie, ale podobało mu się, że wpuściła go mimo tego, że była już usatysfakcjonowana. Obejmowała go namiętnie. Jakby chciała, by ją wchłonął. Jakby pragnęła, żeby nigdy nie wypuszczał jej z objęć.

Pochylił się i przesunął nosem wzdłuż jej nosa, czując, jak jej ciało się odpręża. Musiał wyciągnąć ją z łóżka, ubrać, nakarmić i zabrać do siebie, bo był pewien, że jeśli tego nie zrobi, rozpocznie rozmowę, na którą nie był jeszcze gotowy. Chyba odnalazła się w tej nowej sytuacji, ale wiedział, że trzeba zwolnić. Musiał być delikatny, pozwolić jej się przyzwyczaić. To była gwałtowna zmiana scenariusza, a ona wcześniej nie zauważyła wszystkich sygnałów, które jej wysyłał. Ale pragnęła tego, to nie ulegało wątpliwości. I oto byli tu i teraz. Co wcale nie

oznaczało, że trzeba tak się spieszyć.

Gdy uniósł głowę, powiodła dłońmi po jego bokach, potem piersi, w końcu uchwyciła go za kark. Musiał jak najszybciej wyciągnąć ją z łóżka, bo ten dotyk...

Dotknęła jego twarzy i kciukiem zakreśliła szramę na jego policzku.

– Jak to się stało? – zapytała cicho.

– Bójka w barze – odpowiedział równie cicho.

– A nie walka w ringu? – Zamrugła.

Pokręcił głową.

– Wdałeś się w bójkę w barze?

Nie miał ochoty teraz jej o tym opowiadać. O takich rzeczach mówiło się nad śniadaniowym omletem albo w drodze na kolację w lokalu. Ale wystarczająco dużo zatrzymał do swojej wiadomości, taką drobnostkę mógł jej opowiedzieć.

– Donna lubiła przyciągać uwagę – zaczął opowiadać. – Na początku dużo wychodziliśmy i choć była ze mną, wciąż kokietowała innych. Jakiś koleś zaczął się do niej przystawiać, a mnie się to nie spodobało. Dałem mu to jasno do zrozumienia. Dupek. Sytuacja się zaostrzyła, a że obaj mieliśmy już w czubie, pobiliśmy się. I stąd ta blizna.

Nie wyglądała na zdziwioną. Wyglądała na wkurzoną. Urocze. I słodkie.

– Podrywała innych nawet przy tobie? – zapytała, a jej melodyjny zwykle głos stracił swój zaśpiew.

Spojrzenie jej złagodniało i mruknęła:

– Chyba jednak ją rozumiem.

– Jeśli przyjdą ci do głowy podobne bzdury, może lepiej daj mi znać. Zwodziła mnie przez lata.

– Wciąż ci na niej zależy?

– Nie. Mnie nie zależy, ale mam z nią dwoje dzieci – odpowiedział. – Może gdy postawię ją do pionu, zaczniesz poświęcać im trochę uwagi. Ethan za to się jej boi. Wie, że coś jest nie w porządku, ale nie rozumie co. Za moment zda sobie sprawę z tego, że wychowuje się bez matki, a ta, która urodziła jego brata i siostrę, do niczego się nie nadaje. Jest mocno związany z rodzeństwem, a Donna to dla niego jakaś zagadka. Może nie dotknie go to bezpośrednio, ale jeśli Donna zacznie upierać się przy odzyskaniu praw rodzicielskich, rodzeństwo zacznie znikać w co drugi weekend. A to może być krzywdzące dla całej trójki. Można więc powiedzieć, że wszystkie moje dzieci są utopione w jej szambie. Więc tak, zależy mi na dobrych układach z nią.

– Czy to dlatego kręciła się przy nas podczas meczu?

– Tak.

– Myślę, że macie rację z Connerem, Donna musi przestać myśleć tylko o własnym tyłku.

Takie słowa w ustach Josie zabrzmiały przekomicznie, więc Jake daremnie usiłował powstrzymać śmiech, od którego zatrzęsło się całe jego ciało.

– Tak, z pewnością Con i ja mamy rację!

Znowu się zamyśliła. Znał już ten wyraz twarzy. Lydia miewała podobny, gdy zaczynała coś knuć. Pewnie Josie myślała właśnie o tym, jak zmusić Donnę do poprawy swojego zachowania.

– Kochanie – zaczął. – Ona musi sama się ogarnąć. I ja muszę chronić swoje dzieci przed nią, bez względu na to, jaką formę to ogarnięcie przybierze.

– Racja – mruknęła, patrząc mu w twarz.

Jake nagle zaczął się zastanawiać, jaką matką Josie byłaby dla jego dzieci. Z pewnością lepszą niż Donna. Josie prędzej sama by umarła, niż skrzywdziła Amber czy Connera. Jeśli zalezie Donnie za skórę, ta skupi gniew raczej na rywalce, a nie na dzieciach.

– Niech się ogarnie – dodał jeszcze.
– Hm... – mruknęła znowu Josie, nasrożona.

Jake się zaśmiał.

– Co jest takie zabawne? – zapytała, mrużąc oczy.

– Jesteś taka urocza, gdy przełączasz się w tryb matki kwoki!

Jej twarz się nie zmieniła, ale w oczach pojawił się ogień, który bardzo mu się spodobał, podobnie w głosie, gdy szepnęła:

– Matka kwoka?

– Tak, Śliczna. Obnażyłaś Noah przed Amber, pomogłaś Connerowi rozwiązać problem z dziewczynami, pilnowałaś Ethana, gdy Donna się ciskała. Matka kwoka, jak nic!

Schowała się pod kołdrę. Wiedział, że niekoniecznie chciała pozować na opiekuńczą mamuszkę, ale poczuł gdzieś głęboko, że to świetna postawa wobec niego i dzieciaków. Z pewnością miała instynkt macierzyński. A przecież kiedyś, dawno temu, pragnęła dziecka, ale porzuciła to marzenie. Teraz byłoby to jeszcze możliwe, ale i ryzykowne.

– No wiesz – powiedziała spod kołdry. – Ktoś to musi robić.

Cholernie słuszne stwierdzenie!

– Dobra, Śliczna, wyjaśnijmy coś sobie. Właśnie się obudziłem po pierwszym razie z tobą... i drugim, więc mamy mnóstwo rzeczy do obgadania. Ale Donna do nich nie należy.

Jej głos złagodniał, gdy zapytała:

– A o czym chciałbyś porozmawiać?

– Po prostu porozmawiać. Najpierw ci powiem, że teraz zrobię śniadanie, potem wsadzę cię do ciężarówki, jedziemy po twoje auto, a potem do mnie, gdzie będziemy siedzieć z dzieciakami i oglądać mecz. Taki plan.

Trudno jej było ukryć rozczarowanie, więc mruknęła tylko:

– Och.

Pochylił się i szepnął:

– Miałem tylko jedną prezerwatywę.

– Och – powtórzyła, ale rozczarowanie nie zniknęło.

– O tym również musimy porozmawiać.

– Okej.

– A teraz śniadanko – postanowił.

– Okej.

– Masz może zapasową szczoteczkę do zębów?

– Nie wiem, może Bunia jakieś miała. Poszukam.

– Dobrze. Ekspres wystarczy włączyć?

– Byłam wczoraj wieczorem zajęta innymi sprawami niż przygotowywanie ekspresu, może zauważyłeś?

– Racja – mruknął z szerokim uśmiechem, znowu ocierając się twarzą o jej policzek.

– Znajdź szczoteczkę, a ja nastawię kawę.

– Jake? – zapytała jakby nieśmiało. – To się dzieje naprawdę?

Oż w mordę. Wieczorem powiedziała, że bardzo jej się podoba, choć wiedział o tym instynktownie. Teraz miał pewność, że jej się podoba.

– Myślisz, że to sen, maleńka? – zapytał.

– Tak – szepnęła.

Oż w mordę.

– To jawa, Josie – zapewnił.

Uniosła się i musnęła ustami jego policzek, a zrobiła to w sposób tak sugestywny, że

odczuł to nie tylko na twarzy, ale i niżej, głębiej, dreszcz przeszedł w dół przez jego pierś aż do łądźwi.

Podobała mu się. Cholernie.

– Szczoteczka... – szepnęła.

– Ta – mruknął, po czym zsunął się z jej ciała.

Pomyślał, że jeśli będzie miała problem z seksem bez prezerwatywy, to kupi kontener gumek i poutyka je we wszystkich zakamarkach, aby mogli spontanicznie oddawać się przyjemnościom w każdym miejscu, w którym akurat najdzie ich ochota. Kupi taki zapas, że nigdy się nie skończą i będzie je trzymał u niej w domu, w jej aucie, w swoim aucie, w portfelu i w jej portfelu, w torbie na siłkę, w biurze, w klubie, a także w jej nocnej szafce i we własnej sypialni. Wszędzie. Będą zalegać wszędzie całymi tuzinami.

Podciągnął sportowe spodnie i odwrócił się, po czym wyszedł z pokoju, nie zerkając nawet za siebie. Gdyby to zrobił, widok Josie w tej seksownej koszulce, z jasnymi lokami rozrzuconymi na poduszce niechybnie sprawiłby, że wygrana przed momentem bitwa z uporczywą erekcją rozpoczęłaby się na nowo.

Zbiegał po schodach i zamarł, bo usłyszał kogoś przed frontowymi drzwiami. I ten ktoś nie pukał ani nie dzwonił. To mogło być któreś z jego starszych dzieci albo ktoś z agencji opieki, bo również dostali od Lydii klucze. A może ktoś z jej dawnych przyjaciół? Ale przecież nikt, może poza dziećmi, nie odważyłby się gmerać przy zamku w niedzielny poranek i nie zadzwonił najpierw, by oznajmić swoje przybycie. A przecież zamknął drzwi, był tego pewien. Nie zapomnieliby o czymś tak ważnym, nie naraziłby Josie na niebezpieczeństwo.

Gdy zatrzymał się na półpiętrze, do mieszkania wszedł mężczyzna. Facet miał ze sobą skórzaną torbę, jakby wpadł na dłuższą wizytę.

Jake zszedł jeszcze kilka stopni i z rękoma skrzyżowanymi na piersi zagrzemiał:

– Może mi powiesz, kim, do kurwy nędzy, jesteś?

Mężczyzna nerwowo odwrócił głowę w stronę głosu. Obrzucił Jake'a taksującym spojrzeniem, a jego twarz stężała od gniewu.

– Ty jesteś Jake, jak miemam? – zapytał zduszonym głosem.

Jezu! Czy to był...?

– Wciąż nie wiem, kim ty jesteś – stwierdził Jake.

– Henry Gagnon – przedstawił się przybysz.

Tak. Ten koleś był popieprzonym szefem Josephine. Na domiar złego był przystojny, co nie wróżyło dobrze. Niestety, był również dobrze ubrany. A na domiar wszystkiego w doskonałej formie. Ale najgorsze było to, że się tu pojawił.

– Szef Josie – powiedział Jake.

– Tak – odpowiedział Gagnon wciąż napiętym głosem. – O wiele więcej niż szef Josie.

– Więcej?

– Dokładnie tak – rzekł Gagnon, a na tę deklarację Jake poczuł, że całe jego ciało się spina.

Czy Lydia nie wiedziała, co łączyło Josie z tym gościem? Jake już miał coś odpowiedzieć, gdy Gagnon spojrzał za niego i rozległ się uszczęśliwiony krzyk Josie:

– Mój Boże! Henry!

Obejrzał się, by na nią spojrzeć, a ona minęła go na schodach, z pojaśnioną twarzą, w czarnym, rozchełstany szlafrocisku narzuconym niedbale na tę cholernie seksowną koszulkę, cała szczęśliwa, uśmiechnięta i rozpromieniona.

Poczuł się lepiej tylko na sekundę, gdy jej dłonie w poufały sposób dotknęły jego pleców i brzucha, kiedy mijała go na schodach. Oczywiście nie odsunął się nawet na centymetr, żeby

ułatwić jej przejście, i patrzył wściekły, z mięśniami zamienionymi w stal, jak Josie zbiega ze schodów, podchodzi do Gagnona i wspinając się na palce, składa dłonie na jego piersi, dając jasno do zrozumienia, że zamierza pocałować go na powitanie. Ale to Gagnon zareagował szybciej, odsuwając jej ręce i cofając się o trzy kroki.

Jake zszedł za schodów, czując, że atmosfera gęstnieje, a Josie zapytała skonfundowana:

– O co chodzi?

– To, kurwa, jakiś żart! – przerwał jej Gagnon.

Jake ustawił się tak, by móc widzieć oboje. Z rękoma znów skrzyżowanymi przed sobą słuchał, jak Josie pyta:

– O czym ty mówisz?

– O tym! – odparł Gagnon, wskazując na nich. – O tobie i tym facecie.

Josie patrzyła za oskarżycielsko wskazującą rękę, potem przeniosła wzrok na Gagnona.

– Nie rozumiem – powiedziała takim tonem, jakby faktycznie nie rozumiała.

– Jezu, Josephine, czego tu nie rozumieć? – Gagnon spojrzał na Jake'a, potem znów na nią. – Zapomniałaś wspomnieć w tych wszystkich opowiadkach o Jake'u, że jesteś z nim tak blisko – wyjaśnił, wykonując sugestywny gest w kierunku jej stroju.

Jake znowu poczuł się lepiej. O wiele lepiej. Opowiadała o nim temu koleśowi.

– Wiesz, Henry, ta sytuacja jest niezręczna na wszelkie możliwe sposoby – powiedziała Josie, cofając się o krok i, dzięki Bogu, zawiązując szlafroczek. Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Chcę jednak zauważyć, że nie spodziewałam się ciebie. Rozmawialiśmy wczoraj i nie raczyłeś powiadomić mnie o swoim przybyciu. To spora niespodzianka.

– Jak teraz o tym myślę, to chyba dla mnie ta sytuacja nie jest niespodzianką – zaczął Gagnon, po czym spojrzał na Jake'a. – Nie przyzwyczajaj się. Teraz jest super, ale ona szybko się nudzi.

Josie zachnęła się, a Jake poczuł, jak jeszcze bardziej tężeją mu mięśnie karku. Co on wygadywał?

– Henry! – wypaliła Josie oburzona.

– Myślisz, że przez te dwadzieścia trzy lata nie spotkałem żadnego faceta z długim jęzorem, który cię przeleciał? Połowa z nich pytała, czy mnie również się podobało. No i zastanawiali się, czemu nie zatrzymałem cię na dłużej.

Cofnęła się jeszcze trochę, pobladła.

– Czemu tak do mnie mówisz?

Nagle Gagnon pochylił się, jakby chciał ruszyć w jej kierunku, a Jake postąpił krok do przodu. Mężczyzna jednak zatrzymał się w pół gestu i powiedział:

– Dlatego, Josephine, bo mam już dość czekania na swoją kolej, dość czekania, aż się wyszalejesz i skończysz z tym gównem.

Znowu zachnęła się gniewnie, a on kontynuował:

– A teraz posuwasz faceta, który ma klub ze striptizem?

Wyprostowała się, ale jej słowa dotyczyły wcześniejszej wypowiedzi:

– Czekania na swoją kolej?

– Josephine, na miłość boską, jestem w tobie zakochany od chwili, w której przysłaś na rozmowę o pracę dwie dekady temu!

Zamarła. Jake również. Wszystko zamarło. Dwie dekady. To sporo czasu. Tyle razem spędzili. Koleś wyjechał z niezłą petardą.

– Jesteś we mnie zakochany...? – szepnęła.

– Od początku – potwierdził.

– Ale... jak to możliwe?

– Jak mógłbym nie być? – odpowiedział. – Wszędzie ze mną jeździsz. Zawsze jesteś przy mnie. Zrobiłem ci więcej zdjęć niż komukolwiek innemu na świecie i jedno z nich wożę ze sobą wszędzie, ustawiam na pieprzonym nocnym stoliku w każdym hotelu. Zdjęcie, które przedstawia nas razem.

– Jestem twoją asystentką – przypomniała mu.

– Znasz sporo ludzi w branży. Czy ktoś wozi ze sobą zdjęcie z asystentką oprawione w srebrną ramkę?

Pokręciła głową.

– Ale przecież byłeś z tyloma innymi kobietami...

– A ty z innymi mężczyznami – odciął się.

Jej głos zrobił się piskliwy, gdy zauważyła:

– Wybierałeś sobie kochanki tuż przed moim nosem!

– A ty zawsze miałaś to gdzieś, masz to gdzieś i będziesz miała to gdzieś!

– To jest bez sensu! – skwitowała.

Ale nie dosłyszał albo udawał, że nie słyszy, bo powiedział krótko:

– I teraz ja też mam to gdzieś!

Pochylił się i chwycił swoją torbę, po czym zwrócił się do Jake'a, już z dłonią na klamce:

– Dam ci małą radę: pilnuj się. Ona daje tylko tyle, by od siebie uzależnić, a potem porzuca łaknących delikwentów. I uchodzi jej to na sucho. Zostawia za sobą ścieżkę zniszczenia i nawet tego nie zauważa. Siorbie herbatkę i likierek, rozglądając się za kolejnym frajerem, którego mogłaby zmielić.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło zareagować, drzwi zatrzasnęły się za Gagnonem.

Jake się nie poruszył, patrzył tylko na Josie, która skamieniała wpatrywała się w drzwi. Wiedział, że od lat była zakochana w swoim szefie, Lydia mu o tym powiedziała. Jak również o tym, że Gagnon odwzajemniał to uczucie. Jake nie miał pojęcia, jak to rozgryźć. Gagnon był jej ideałem, pragnęła go od dwudziestu lat, więc Jake spodziewał się, że Josie wybiegnie za nim, nie zwracając na niego uwagi. To pewnie dlatego nie był w stanie drgnąć. Czekał w napięciu. Czekał, aż go dorżnie.

Ale stało się coś zupełnie innego. Nie rzuciła się za Henrym. Zamiast tego odwróciła się powoli i zapytała zbolalym głosem:

– Dlaczego jesteś tak daleko?

Nie stał daleko, tylko jakiś metr od niej.

Zrozumiał jednak, co chciała mu powiedzieć, i bardzo podobał mu się ten przekaz. Poczuli, że mięśnie karku mu się rozluźniają, a żołądek uspokaja.

Wyciągnął do niej ręce. Wpadła w jego ramiona, objęła mocno i zaszlochała.

Nie. Nie, do diabła. Tego się nie spodziewał. Ale nie był Henrym Gagnonem i nie zamierzał zmarnować swojej szansy.

Wziął ją na ręce, a ona wtuliła twarz w jego szyję. Zaniósł ją do saloniku i usiadł na kanapie, sadzając ją na swoich kolanach. Pragnęła tej bliskości, bo wtulała się w niego.

– Cicho, maleńka... – szepnął, głaszcząc jej włosy.

Zadrgała od szlochu, wtulając się jeszcze bardziej.

– Ciii, Josie. Facet, który wygaduje o tobie takie rzeczy, nie jest wart twoich łez.

Otarła mokrą twarz o jego pierś i szepnęła:

– Ale on jest moim przyjacielem.

Pokręcił przecząco głową.

– To idiota, który nie miał jaj, żeby zawałczyć o swoje, ale teraz ma jaja, żeby kłapać jadaczką i mieć do ciebie pretensje o to, że sama mu się nie podłożyłaś. Nie jest twoim

przyjacielem. Jest dupkiem!

Nie odpowiedziała. Pewnie nawet nie słyszała tego wywodu, bo była wciąż we własnym świecie. Wiedział, bo wciąż płakała.

– Jak może mówić, że mnie kocha? Podrywał kobiety na moich oczach! – Przerwała na chwilę, po czym prawie krzyknęła: – I to z sukcesami! Ja przynajmniej byłam dyskretna!

Jake nie chciał słuchać o jej dyskrecji. W ogóle nie miał zamiaru o tym rozmawiać. Ale Josie najwyraźniej potrzebowała tej rozmowy, więc musieli ją przeprowadzić.

Jake dotknął jej twarzy i zapytał:

– Naprawdę nie wiedziałaś, że się w tobie podkochuje?

– Wcale! – wystrzeżiła.

– Lydia wiedziała.

Przestała płakać, jakby ktoś wyłączył ją guzikiem, i znowu prawie krzyknęła:

– Wiedziała?

– Ale uważała, że to facet nie dla ciebie.

Jej oczy się rozszerzyły.

– Tak uważała?

– Tak, maleńka. Facet, który przez dwadzieścia lat chciał wzbudzać w tobie zazdrość, żeby cię sprowokować do zainteresowania się nim? – Pokręcił głową. – Nie, w mordę. Lydia szanowała go jako twojego szefa, lubiła jako człowieka, ale nie widziała was razem. Chciała, żeby facet, który będzie się o ciebie starał, włożył w to sporo wysiłku. Bo jesteś tego warta.

Rozchyliła usta, a jej oczy znowu się rozszerzyły, patrzyła w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, na szczęście to szybko minęło.

– Będzie się o ciebie starał... – powtórzyła cicho, jakby odzyskując świadomość.

– Tak – potwierdził. – Bo jesteś tego warta – dokończył.

Przez chwilę po prostu patrzyła na niego, po czym odprężyła się, a jej twarz złagodniała.

– Potrzebna mi chusteczka – oznajmiła cicho.

Uśmiechnął się i pomyślał, że zmiana tematu dobrze jej robi.

– Gdzie są? – zapytał.

Wskazała głową.

– Na stoliku kawowym.

Dojrzał pudełko, więc podniósł się i wciąż nie wypuszczając jej z objęć, wyciągnął kilka chusteczek.

Ocierała twarz i nos tak dyskretnie i delikatnie, jakby przyglądała się jej sama królowa brytyjska. Rozejrzała się świadomie, ale dość bezradnie, najwyraźniej nie wiedząc, co zrobić ze użytymi chusteczkami, co uświadomiło mu znowu dobitnie, jak bardzo była urocza. Wyjął je z jej dłoni i po prostu rzucił na stolik. Przygryzła wargę, ale trwało to sekundę, bo uniół obie dłonie i ujął jej twarz. Spojrzała mu w oczy.

– Już lepiej? – zapytał.

– To była bardzo nieprzyjemna konfrontacja – odpowiedziała.

– Faktycznie, Śliczna. Ale czy już ci lepiej?

– Nie wiem, w końcu cała moja przyszłość, szczególnie zawodowa, właśnie stanęła pod znakiem zapytania. Niewątpliwie będę musiała jakoś przeboleć utratę Henry'ego, co wydaje się nieuniknione. Co nie znaczy, że on nagle przestał być dla mnie ważny.

Jake miał faceta za nic. Miał również nadzieję na to, że Josie ochłonie i również zacznie podzielać jego pogląd na niego.

– A więc wcale nie jest lepiej – stwierdził.

– Nie, Jake, nie jest lepiej. – Wzięła głęboki wdech. – Za to desperacko potrzebuję kawy.

I znalazłam nieużywaną szczoteczkę, jeszcze w opakowaniu. Może nie jestem fanką futbolu, ale cieszę się na myśl o spędzeniu całego dnia z tobą i twoimi dziećmi. O Henrym pomyślę jutro.

Objął ją z uśmiechem.

– To brzmi jak dobry plan – stwierdził.

– Skoro już zesłam na dół, to może zaparzę kawę – zaoferowała się.

– Zgoda – odparł i objął ją mocniej – ale dopiero po tym, gdy już mnie pocałujesz.

Rozchyliła usta i uniosła głowę do pocałunku, jej dłonie wjechały wyżej, aż na jego szyję.

Przejął kontrolę, zagarniając ją pod siebie. To chyba oznaczało, że kawa będzie musiała jeszcze zaczekać, bo zamierzał nasycić się wdziękami Josie.

Kochali się na kanapie, która jeszcze niedawno należała do Lydii, w domu, który podarowała swojej wnuczce. Gdy już nacieszyli się sobą, wypili kawę, Jake przygotował dla nich tosty i jajka, a po śniadaniu czekał dość niecierpliwie, aż Josie przyszykuje się do wyjścia. Pomyślał, że Lydii bardzo spodobałby się taki poranek. Zajebicie by jej się spodobał.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Świat u jego stóp

Stałam w kuchni Spearów oparta o kant blatu, a Jake obejmował mnie za szyję, stał bardzo blisko, a do mojej dłoni wkładał komórkę, mówiąc tylko jedno słowo: „Mick”. Zapomniałam, że przecież muszę do niego zadzwonić.

Jake wykazywał dużo wyrozumiałości, był jak zwykle miły i cudowny, nawet po tej nieprzyjemnej scysji z Henrym. Nie chciałam o tym myśleć, bo pewnie znowu wybuchłabym płaczem, a po kilku sekundach miała ochotę czymś rzucić. Najlepiej w Henry’ego.

Ale jego cierpliwość też miała granice: „Długo jeszcze, Śliczna?”, wydarł się na cały dom. Akurat tuszowałam rzęsy w sypialni na górze.

Darł się, serio. Mógł przecież wejść na górę, bywał już w mojej sypialni, na długo przed tym, nim zostaliśmy kochankami. Chwyciłam maskarę i zeszałam na półpiętro.

Stał u podnóża schodów, a gdy tylko mnie zobaczył, zapytał:

– Gotowa?

– Jeśli chcesz mnie o coś zapytać, Jake, zapraszam do mojego pokoju. Nie musisz krzyczeć z dołu.

Usta mu drgnęły.

– Jak rozumiem, nie jesteś jeszcze gotowa, ale postanowiłaś strzelić fozka i zmarnować jeszcze więcej naszego czasu, przychodząc tu zamiast się szybciotko uszykować.

– Masz rację, nie jestem gotowa, ale postanowiłam pouczyć cię, że nie lubię, jak ktoś się do mnie wydziera – strzeliłam mu wykład.

– Mała, mam głos, który mogę podnieść do niezłej głośności, więc wolę go użyć, a nie targać tyłek na górę, jeśli nie ma takiej potrzeby.

Chyba nie zrozumiał, co usiłowałam mu przekazać, to mnie nieco zirytowało. Ale, niestety, był również szalenie przystojny, gdy tak sobie stał nonszalancko, patrząc na mnie i uśmiechając się przekornie. Nie sposób było się na niego gniewać.

Obniżył głos, a jego twarz nagle spoważniała.

– Śliczna, trzeba odebrać Ethana o jedenastej, a wcześniej jechać pod halę po twój samochód. Naprawdę musisz się pospieszyć.

To, że jego niecierpliwość była uzasadniona, również nieco mnie zirytowało.

– Pospieszę się – powiedziałam, odwracając się, by wrócić na górę, ale zatrzymał mnie, wołając: „Mała!”.

Spojrzałam na niego z półpiętra.

– Wierz mi, później docenię fakt, że dziś zostawisz włosy rozpuszczone.

Od lat czesałam się w koczki, kuczki, upinałam włosy na różne sposoby. I z pewnością nie byłam typem kobiety, która pozwalała mężczyznom decydować o tym, jak się będzie nosić. Jedynie Henry miał w tej kwestii coś do powiedzenia, ale on był moim szefem. A jednak, gdy kończyłam toaletę, przecesałam jedynie włosy palcami, rozprawdzając na nich keratynowy eliksir, i zostawiłam je rozpuszczone. Spojrzenie Jake’a utwierdziło mnie w przekonaniu, że była to słuszna decyzja.

Odzyskałam swój samochód, zostawiłam go na parkingu pod domem i wdrapałam się do ciężarówki Jake’a. Odebraliśmy Ethana od kolegi i przez całą drogę wysłuchiwalismy relacji o tym, jak bardzo epicki, świetny i niewiarygodny był *Raptor zabójca*.

Ethan trajkotał swoje urocze trywialności, a ja zastanawiałam się na tym, jak to było możliwe, że po nocy, podczas której związek mój i Jake’a przeszedł tak przeogromną przemianę,

czułam się tak swobodnie. Działo się tak dlatego, że zniknęło uporczywe pragnienie. Zniknęło udawanie. To nie był sen. To się działo naprawdę.

Więc, choć przytrafiła mi się ta nieprzyjemna konfrontacja z Henrym, cieszyłam się faktem, że Jake był mój przed nią, w jej trakcie, i po niej. Mogłam więc rzucić się w jego ramiona, cieszyć dotykiem jego dłoni i szukać ukojenia, co też zrobiłam. A świadomość, że mogę sobie pozwolić na coś takiego, była budująca.

To było wspaniałe: mieć przy sobie kogoś, kto doskonale rozumiał, co było dla ciebie ważne. A do tego był świetny w łóżku. Hojny. Dbał o moją przyjemność. Każdy centymetr jego ciała był piękny, a wiedziałam to już na pewno, bo dokładnie go sobie obejrzałam, dotknęłam, posmakowałam. Uwielbiałam zapadać przy nim w sen, a chyba jeszcze bardziej budzić się obok niego. I to była jedyna nowość. Poza tym nic się nie zmieniło, byliśmy tylko Jake i ja.

Gdy szykowałam się rano do wyjścia, przeanalizowałam zachowanie Jake'a od momentu, w którym odczytano testament, i zdałam sobie sprawę z tego, że nasza znajomość to była jedna, długa randka. Po prostu tego nie dostrzegłam.

Mogłam więc już mówić o nas. Obojgu nam podobało się to, że mieliśmy już swoją historię.

Podskórnie odczuwałam jednak jakiś niepokój, penetrował prawie niezauważalnie moje szczęście. To była myśl o tym drugim mężczyźnie, jedynym, poza moim szkolnym chłopakiem, którego dopuściłam tak blisko, którego sama wybrałam... Nie mogłam teraz o tym myśleć. Jake nie był taki jak on. Jake nie był jak mój ojciec.

Jake był szarmancki, hojny, troszczył się o mnie, przedkładał moje potrzeby nad własne i miał dobre serce.

Ani mój ojciec, ani on nie mieli takich cech.

Pewnie właśnie dlatego, że przez ostatnie dwadzieścia trzy lata nie byłam w żadnym stałym związku, a Jake był, jaki był, odczuwałam ten podskórny niepokój. Musiałam po prostu omówić te lęki z Jakiem i byłam pewna, że pomoże mi je odpędzić. W końcu do tej pory pokazał już, że mu na mnie zależy. I to również było piękne.

Zatrzymaliśmy się przed jego domem, który okazał się wspaniałym, świetnie utrzymanym, starym trzypiętrowym budynkiem, otoczonym przez starodrzew, z widokiem na morze. Gdy Ethan oprowadzał mnie po pokojach, ze zdziwieniem odkryłam, że Jake miał oko do wystroju, co było raczej przyjemnym zaskoczeniem. Meble i dekoracje wyglądały na wygodne i świetnej jakości, choć emanowały męskością i podejrzewałam, że Amber może się czuć nieco nieswojo w tej męskiej jaskini. Zauważyłam nawet kilka poduszek, plamy koloru i kilka pstrokatych fragmentów tapet, ale to były drobne niedociągnięcia.

Trzy pomieszczenia spodobały mi się najbardziej. Wypełniona sprzętami ze stali nierdzewnej kuchnia ze lśniącą czerwoną zabudową i czarnymi granitowymi blatami. Cały sufit składał się ze świetlików. To pomieszczenie z pewnością dobudowano niedawno. Sypialnia Jake'a na samej górze, w której królowało ogromne, niezaścielone, a przez to jakże zapraszające łóżko w starym stylu. Obok była łazienka ze szklanym sufitem, z ogromną kabiną prysznicową i wbudowaną w podłogę wanną. Kobiece marzenie! No i biuro tuż obok, pokój z widokiem na morze. Stało w nim zabytkowe biurko, znajdował się też kącik z wygodnym fotelem i lampką. Od razu zapragnęłam zwinąć się na nim z książką, czytać i zerkać na morze.

Gdy schodziliśmy na dół, Ethan ogłosił z dumą:

– Tata wszystko wyremontował, z Tomem, Bertem i Coertem. I Mickey czasem pomagał.

– Ale jak to? – zapytałam, patrząc na tył głowy chłopca.

Odwrócił się z uśmiechem.

– To była totalna rudera! Totalna! Tata wszystko poskładał do kupy, zanim się

wprowadziliśmy. Mamy fotki. Chcesz zobaczyć?

Pewnie, że chciałam, więc pokiwałam głową. Gdy zesliśmy ze schodów, Ethan odbiegł, pewnie po albumy. To właśnie wtedy Jake pociągnął mnie do kuchni, postawił przy ladzie, włożył mi do ręki telefon i zakomenderował:

– Mick.

Gapiałam się na niego.

– Ethan powiedział, że Mick pomagał ci przy renowacji domu – zauważyłam.

– Tak było. A teraz dzwoni do niego – rozkazał Jake.

– Potrafię sama zadzwonić i odwołać naszą randkę. Nie musisz stać nade mną.

– Wiem, Śliczna. – Uśmiechnął się, choć ja nie widziałam nic zabawnego w tej sytuacji.

– Wiem również, że Mickey to spoko koleś. Kumpel. Dobry kumpel, więc z pewnością nie będzie robił afery, bo w końcu znamy się od lat. Wiem też, że po swojej walce gnał pod prysznic i zamierzał zająć puste miejsce obok ciebie. Musiał widzieć, że poszłaś do mojej szatni, albo słyszeć, co się działo wewnątrz. Pewnie czuje się jak kutas, który próbował podebrać mi dziewczynę, i nie winię go za to. Ale jeśli będzie próbował znowu do ciebie podbijać, nie omieszkam mu powiedzieć, że jest kutasem. I nie ma szans.

Myśl o tym, że Mickey wiedział, co wydarzyło się w szatni, była dość przerażająca, więc postanowiłam się skupić na innym aspekcie tej rozmowy.

– Więc stoisz tuż obok, żeby przyjść mi na ratunek, gdyby Mickey był nieprzyjemny wobec mnie?

– Dokładnie – potwierdził.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że jestem dorosłą kobietą?

– Tak. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – powiedział, uśmiechając się szeroko, co było diablo atrakcyjne. – Jak również z faktu, że wczoraj, pod ścianą szatni, oficjalnie stałaś się moją kobietą, i nie pozwolę, by ktokolwiek był wobec ciebie kutasem.

Choć jego postawa była ekstremalnie protekcyjna, to jednak podobała mi się. Byłam również nieco zła na siebie za ten fakt. Stałam więc tylko i patrzyłam na Jake'a, a on nie odsunął się i nie zabrał ręki z mojej szyi. To była próba sił i przegrał, ale tylko dlatego, że ponownie spojrzął na mój telefon i powiedział:

– Mała, Mick!

Zdałam sobie sprawę z tego, że się nie odsunie. Skoro oficjalnie stałam się „jego kobietą”, musieliśmy sobie przedyskutować pewne sprawy. Wiele spraw. Patrzyłam na niego jeszcze przez chwilę, po czym wybrałam numer Micka.

Po trzech sygnałach usłyszałam:

– W końcu dzwoni, by spuścić mnie na drzewo.

– Ja... to znaczy... Mickey? – zająknęłam się po takim powitaniu.

– Niech zgadnę, Jake stoi tuż obok.

Z trudem zwalczyłam chęć roześmiania się, ale wciąż czułam się źle z tym, co za chwilę musiałam zrobić. No i z tym, że wiedział, co się wydarzyło między mną i Jakiem. Nieważne, czy słyszał moje krzyki, czy ktoś mu o tym doniósł.

– Tak jest faktycznie – potwierdziłam.

– W jego sytuacji stałbym dokładnie w tym samym miejscu – mruknął Mickey.

– Zakładam, że wiesz, po co dzwonię... – powiedziałam cicho.

– Mała, gdy widziałem, jak na niego patrzysz, jak on patrzy na ciebie, to byłem prawie pewien, że się między was nie wcisnę. Wczoraj powiedziałem Jake'owi, że idziemy na randkę, i to był bezczelny ruch. A bezczelność jest zawsze głupia. Nie tracił czasu i potwierdził swoją własność. Zrobiłbym to samo.

Nie bardzo podobało mi się określenie „potwierdził swoją własność”, bo przecież nie czułam się niczyją własnością (choć faktycznie, dał mi do zrozumienia, że za moment będę jego, przyciskając mnie do ściany. Po prostu się nie opierałam). Ale skoro Mickey zachowywał się godnie w tej niekomfortowej dla siebie sytuacji, postanowiłam nie wdawać się w dyskusję.

– Dobrze to znosisz – powiedziałam do telefonu i poczułam, jak dłoń Jake’a się zaciska, więc uniosłam wzrok.

Na jego twarzy malowała się ulga i rozumiałam, że byli przyjaciółmi, a ta sytuacja naprawdę mogła się skończyć bardzo nieprzyjemnie.

– Jesteśmy z Jakiem kumplami. Widziałem, jak na siebie patrzycie, więc zachowałem się jak kutas. Jake potwierdził, że jesteś jego, więc ustępuję. Ale mądry facet zawsze trzyma rękę na pulsie, więc będę miał na was oko. Jeśli coś się zepsuje pomiędzy tobą i Jakiem, będę tuż obok.

Nie byłam pewna, czy nie żartował. Może trochę, ale i tak nie komentowałam. Nie chciałam, żeby ta ulga zniknęła z twarzy Jake’a, więc tylko coś mruknęłam.

– No to do zobaczenia podczas kolejnych rozgrywek, na grillu u Jake’a albo na siłce.

Jake grillował?

– Tak? – dopytał Mickey, gdy nie odpowiedziałam. Oczywiście wyobraźni już widziałam Jake’a na tarasie z widokiem na wodę, obracającego na ruszcie steki. Ciekawe, jak smakowały?

– Tak – odpowiedziałam. – Do zobaczenia na rozgrywkach i... eee... na siłce.

Jake pocałował mnie w czubek głowy i w końcu się odsunął.

– No to na razie, Josephine. Do zobaczenia, mała.

– Na razie, Mickey. – Zniżyłam głos do szeptu. – Przykro mi.

– Nie ma powodu – odpowiedział łagodnie. – Ja się nie załapałem, ale ty dobrze trafiłaś.

Nie patrz na jego przeszłość. Jake to dobry facet. Najlepszy. Po prostu źle wybierał kobiety. Do teraz.

Jakie to było słodkie! Tak właśnie mówił przyjaciel.

– Dziękuję ci, Mickey.

– Jasne, kochanie. Nara.

– Nara.

Rozłączyłam się, a gdy uniosłam wzrok, Jake zaglądał do lodówki, rozmawiając przez telefon. Zdecydowałam, że muszę kupić taką wielką lodówkę do Lawendowej Willi.

– Amber, kochanie, nie odzywasz się. Daj znać staruszkowi, że wszystko okej, żeby nie zaczął wydzwaniać po szpitalach. Jeśli cię to zachęci, to robię taco i pyszny dip, a Josie spędzi tu cały dzień. Przyciągnij tu swój tyłek, możesz wziąć Taylorów.

Rozłączył się, wsunął telefon do tylnej kieszeni i wyłonił się zza drzwi lodówki z paczką mielonej wołowiny, a zanim drzwiczki się zatrzasnęły, odchylił głowę do tyłu i krzyknął:

– Con! Do kuchni! Nie obchodzi mnie, z kim gadasz, chodź się przywitać z Josie!

– Mogłam pójść na górę, zapukać do jego pokoju i się przywitać! – zauważyłam.

– Gdy mamy gości, moje dzieci schodzą na dół, żeby się przywitać – powiedział Jake i nie mogłam się z nim nie zgodzić.

Nie skomentowałam jednak, bo zauważyłam, że oprócz wołowiny Jake wydobyl ser w pudełku. Chyba spróbowanie tego specjału było nieuniknione...

Zacisnęłam usta. Ethan wpadł do pokoju, wrzeszcząc:

– Topiony seeeer!

– Twoja kolej na robienie sosu, młody! – rzucił Jake, a Ethan puścił się biegiem do szpiżarni i zniknął w jej wnętrzu.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytałam.

– Zrelaksuj się, a gdy wszystko będzie gotowe, wyraż zachwyty! – odpowiedział.

Uśmiechnęłam się, słysząc to zalecenie. Jake również się uśmiechnął, a widząc to, stwierdziłam, że jestem w stanie tolerować tę jego nadopiekuńczość i zaborczość. Przebywanie w jego kuchni, którą własnoręcznie odnowił, z jego synem, który pełen zapału biegał w tę i z powrotem, było tego warte. Zdecydowanie.

Pojawił się Conner.

– Cześć, Josie! – rzucił, po czym z taką samą jak ojcowska nonszalancją, ale inną intencją, podszedł do mnie i cmoknął mnie w policzek.

– Cześć, tato. – Odwrócił się do ojca, który akurat przekładał mięso do rondla.

– Con – rzucił Jake i spojrzał na syna, mrużąc oczy.

– Potrzebujemy do tego fasolki? – zapytał chłopak.

– Tak. Możesz ją przynieść i przy okazji wyjaśnić mi, co to za mina.

Niezrażony moją obecnością Conner odpowiedział bez ogródek:

– Już dwa razy dzwoniłem do Ellie, dwa razy się nagrałem. Nie oddzwoniła.

– O-ou... – mruknął Ethan, który właśnie kroił bryłę sera wielką jak cegła, kolorem przypominającą ohydny sos, w którym moczył precel w centrum handlowym.

Jake, z drewnianą łyżką w dłoni, z piętami opartymi na biodrach, patrzył na syna i w jakiś cudowny sposób wciąż wyglądał na władczygo pana sytuacji.

– Zerwałeś wczoraj z Kaylee? – zapytał cicho.

– Ta – odpowiedział Conner tonem sugerującym, że nie było to ani łatwe, ani przyjemne doświadczenie.

Jake nie drażył, tylko zapytał:

– Czy Ellie wie, że jest tą jedyną?

– W zeszłym tygodniu jej to powiedziałem – stwierdził Conner, otwierając puszkę fasolki.

– Tak ma być – mruknął Ethan.

Jake zignorował uwagę najmłodszego i znowu zwrócił się do Connera:

– Czy Mia dalej się jej czepia?

Conner tylko na niego spojrzał, a to spojrzenie mówiło jedno: tak, Mia dalej czepia się biednej Ellie.

Niedobrze.

– W niedzielę o dziewiątej jest w kościele – przypomniał mu ojciec.

– O dziewiątej, a już prawie południe. Jest w domu od dwóch godzin – odpowiedział Con.

A na to nie było już żadnej odpowiedzi, więc Jake milczał.

– A Zoe też spławiłeś? – wtrącił się Ethan.

– Właśnie skończyłem z nią rozmawiać – mruknął Conner.

Jake spojrzał na mnie, a ja przygryzłam wargę i powiedziałam tylko „Oj!”, ale chyba było w tym wiele treści, bo Jake opuścił głowę i uśmiechnął się w podłogę.

– Josie. – Conner jakby się obudził i zwrócił się do mnie. – Jesteś laską.

Kiepski początek rozmowy.

– Powiedzmy, że jestem – potwierdziłam zupełnie niepotrzebnie.

– Co ona odwała? – zapytał.

Ta rozmowa zdecydowanie nie zmierzała w bezpiecznym kierunku. Wszyscy trzej panowie Spear spojrzeli na mnie.

– Obawiam się, że nie znam jej na tyle, by odpowiedzieć na twoje pytanie – odpowiedziałam cicho.

– Zawsze odbierała, a przynajmniej oddzwaniała, gdy tylko odsłuchiwała wiadomość ode mnie – powiedział.

Wkroczyliśmy na bardzo wyboistą ścieżkę. Przypomniało mi się pytanie, które Jake zadał mi tydzień wcześniej, i postanowiłam wyłożyć tę kartę.

– Czy myślisz o niej poważnie?

– Bardzo poważnie – odpowiedział Conner bez zastanowienia. – Jest słodka. Jest taka śliczna. I jest fajna. Eath ją lubi. I tata. Nawet Amber ją lubi, a przecież jej nie można dogodzić. Uwielbiam sposób, w jaki Ellie na mnie patrzy, i jak się czuję, będąc z nią.

Dość bezpośrednio się o niej wypowiadał. Ale to było przesłodkie.

– Mówiąc inaczej, nie chcesz jej stracić – wydedukowałam.

– Mówiąc inaczej, nie, nie chcę – potwierdził.

Podeszłam do wyspy i złożyłam dłonie na blacie. Obaj synowie Jake'a patrzyli na mnie uważnie. Musiałam delikatnie to rozegrać.

– Podczas meczu byłeś dla niej bardzo miły. Opiekuńczy. Cały dla niej – powiedziałam.

Twarz Connera się zmieniła, moje słowa sprawiły mu satysfakcję, ale pewnie myślał również o tym, jaki był dla Ellie. Niestety, miałam również mniej przyjemne rzeczy do powiedzenia.

– Jednak świadomość, że jest się jedną z wielu, nie jest przyjemna. Choć zerwałś z pozostałymi dziewczynami... Co za okropna terminologia, tak nie powinno się określać kończenia związku z dziewczyną, mogły się z tym nie pogodzić. Więc to pewnie Mia. Dziewczeta potrafią być bardzo nieprzyjemne. Będzie dokuczać Ellie, gdy nie będzie cię w pobliżu. I Ellie o tym wie. Daj jej trochę czasu, niech emocje się wyciszą. Potem zadzwoń do Ellie, jeśli wciąż nie będzie się odzywać. Jeśli nie oddzwoni, spotkaj się z nią.

– Tak zrobię – mruknął Conner i dodał głośniejszym głosem: – Czy powinienem rozmówić się jeszcze raz z Mią?

– A czy już tego nie zrobiłeś? – odpowiedziałam pytaniem.

– Kazałem jej się odczepić i wkurzyłbym się, gdyby tego nie zrobiła.

– A jeśli tego nie zrobi, a ty się wkurzysz, to co będzie dalej?

Conner nie odpowiedział, a ja aż za dobrze wiedziałam dlaczego. Był taki sam jak jego ojciec. Nie mógłby w żaden realny sposób skrzywdzić kobiety i Mia o tym wiedziała. Jego potencjalny gniew nie był dla niej żadną groźbą. Ale Conner myślami był już przy kimś innym.

– Cholera, może powinienem teraz do niej pojechać?

– Daj jej jeszcze trochę czasu, może oddzwoni – wtrącił się Jake. – Kilka godzin. Potem zadzwonisz, jak Josie zasugerowała, a jeśli nie odbierze, pojedziesz do niej.

Conner wyglądał, jakby nie bardzo podobał mu się ten plan, ale przytaknął. Nagle zadzwoniła komórka, którą trzymałam w dłoni. Na wyświetlaczu widniał napis „Nieznany numer”. Zdenerwowałam się, bo to mogło oznaczać Henry'ego dzwoniącego z hotelowego aparatu, ale przecież mógł użyć swojego telefonu. Odebrałam i przyłożyłam komórkę do ucha.

– Mówi Josephine.

– Josie, dziewczyno, jesteś legendą! – zapiszczał damski głos.

– Słucham? – zapytałam, wpatrując się w granitowy blat wyspy.

– Kochanieńka, słyszałam o wczorajszej akcji! – oznajmiła kobieta.

Wtedy rozpoznałam, że dzwoni Alyssa.

– Jedziesz, mała, rządzisz! Chyba dobrze ci było, ale jemu jeszcze lepiej. Normalnie chcę być tobą, jak dorosną! Wchodzisz do hali, laska z wyższej półki, co to pierdzi fiołkami, ujeżdżasz Jake'a w szatni, a potem wychodzisz dumna, z podniesioną głową, na swoich dizajnerskich szpileczkach. Niezła z ciebie petarda, słyhać cię było w całym stanie!

Mruknęłam coś niewyraźnie w odpowiedzi, no bo co mogłam odpowiedzieć na te niewybredne, prawie wykrzywane komplementy?

– O boszzzz! – zapiszczała. – Mam nadzieję, że to dojdzie do Donny! Nie dość, że suka, to do tego durna. No wiesz, helo! Budzi się i widzi obok siebie tego młodego wilczka, który może i jest podobny do Jake’a Speara sprzed dwudziestu lat, no ale przecież nim nie jest. Jak raz pozwolisz Jake’owi odejść, to już go nie odzyskasz, nieważne, ilu chłopaczków zaliczysz po drodze!

To było dość bezpośrednio... Nie zdążyłam skomentować, nie zdążyłam nawet wyjść z pomieszczenia, bo taką rozmowę powinnam odbywać raczej na osobności, gdy Alyssa znowu zaczęła trajkotać:

– Zresztą, kto by chciał bzykać dwudziestolatka? Czy ona się naćpała? Każda normalna kobieta wie, że wiązać się trzeba z facetem, który już się wyszumiał. Może będzie miała szczęście i ten akurat się wyszumi z nią. Odpuściła, a teraz próbuje coś ugrać, ale Jake nie zadaje się z idiotkami, a ona jest królową idiotek, skoro pozwoliła mu odejść.

Słyszałam, że się zapowietrza i bierze głęboki wdech, ale nie byłam dość szybka.

– No i nawet nie pytaj, jaka jest beznadziejna, jeśli chodzi o dzieci. Chyba mózg by mi wybuchł!

Tu akurat się zgadzałyśmy co do joty.

– A to akurat prawda – udało mi się wtrącić.

– No ja myślę! – odpowiedziała, tłumiąc śmiech. – Do rzeczy, mała. Mój zakład jest nieczynny w poniedziałki, ale otworzę specjalnie dla ciebie, bo jesteś legendą, i jak opowiem moim klientkom, że ta zyleta, która bzyka Trucka, jest moją klientką, to się zlecą całymi tabunami i wezmą ze sobą psiapsioly!

O rety.

– I wierz mi, ja nie kłapię jadaczką na marne – kontynuowała, zanim pisnęłam choć słówko – a te cudne usta są zręczne nie tylko w mówieniu prawdy, zapytaj Juniora. Przyjedź jutro o trzeciej. Salon Piękności Maude. Należał kiedyś do mojej mamy. To ona była Maude, nie ja, to chyba jasne. Gdy już cię odpicuję, skoczmy na drineczka i akurat wrócę, by podać Juniorowi kolację, a ty będziesz mogła wrócić do Jake’a i wbić mu nowe szpony w plecy!

– Obawiam się, że nie dam rady – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Muszę zająć się Ethanem.

– Nie bój nic, pobawi się z moim Bryantem, są kumplami. Sofie, moja starsza córka, ich przypilnuje.

– Chyba muszę to przedyskutować z Jakiem i z Ethanem.

– Starszy gdzieś koło ciebie? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam, wciąż wlepiając wzrok w wyspę.

– No jakżeby inaczej! To pytaj, poczekam.

– Zaczekaj momentik – westchnęłam ciężko.

Jake patrzył na mnie, mieszając rumieniące się mięso.

– Alyssa dzwoni. Mówi, że jej córka Sophie przypilnuje Ethana, a my w tym czasie...

– TAK! – wciął się Ethan. – Mogę jutro po szkole iść do Bryanta, tato, mogę, mogę???

– Jasne – odpowiedział Jake, rzucając synowi uśmieszek, po czym przeniósł wzrok na mnie i mrugnął.

Poczułam motyle w brzuchu i przypomniałam sobie, co jeszcze wywoływało to uczucie.

– Jake i Ethan się zgadzają – powiedziałam do telefonu.

– No i ekstra! – krzyknęła. – Pamiętaj, jutro o trzeciej, u Maude. Na Cross Street, jakieś dwie przecznice na północ od Wayfarer’s. Nara!

Nawet nie czekała, aż się pożegnają.

Odłożyłam telefon na blat.

– Wnioskuje, że na jutro umówiłaś się z Alyssą – rzekł Jake, choć przecież było to oczywiste.

– Tak – potwierdziłam.

– To dobrze – powiedział z uśmiechem, a jego głos złagodniał.

Polubiłam ją, ale czułam, że ta sympatia się pogłębi, bo Jake najwyraźniej również ją lubił i cieszył się z naszej znajomości.

Usłyszałam jakiś hałas przy drzwiach do garażu. W sekundę później stanęli w nich Amber i Taylor w wersji męskiej. Za nimi podążała Taylor w wersji żeńskiej takim krokiem, jakby zamykała pokaz i zaraz miała strzelić pozę na końcu wybiegu.

Amber podeszła do ojca i nie zwracając uwagi na smażące się mięso i łyżkę w jego dłoni, zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła w policzek, wspinając się na palce.

– Cześć, tato, jeszcze żyję – przywitała się.

– No widzę – odpowiedział, rzucając jej uśmieszek.

Znowu poczułam motyle w brzuchu.

Zanim porozkoszowałam się tym obrazkiem, Amber ruszyła do mnie, chwyciła mnie za rękę i zaczęła nią energicznie potrząsać.

– Josie! Tak się cieszę, że tu jesteś! Muuuuuuuszę z tobą pogadać!

Ta potrzeba była tak silna, że zostałam wywleczone z kuchni i pociągnięta na schody. Taylor najwidoczniej podzielał tę potrzebę, bo popychał mnie w górę, złożony w dłonie na wysokości moich nerek.

Przeszliśmy przez drzwi pokoju, na których wisiała urocza drewniana, ozdobiona niebieskimi i różowymi kwiatuśkami tabliczka, na której widniały w kontraście dość agresywne słowa: „Wchodzisz – giniesz!”, a pod spodem, mniejszymi, drukowanymi literkami: „TO DO CIEBIE, KURDUPLU!”.

Jeszcze niżej dopisano czarnym markerem, innym pismem: „Nie nazywaj mnie kurduplem!”.

Już przy zwiedzaniu domu rozbawiło mnie to i teraz znów się uśmiechnęłam. To rozbawienie mieszało się jednak z pytaniami o to, dlaczego i w jakim celu Amber przywlekła mnie na górę i wepchnęła do swojego pokoju.

Dotychczas widziałam tylko pokój Ethana (w którym wszystko było pokryte godłami przeróżnych sportowych drużyn, nawet pościel), bo drzwi do sypialni starszych dzieci zawsze pozostawały zamknięte.

No i teraz przekonałam się, jak Amber potrafiła przetrwać w tej męskiej jaskini. Każdy centymetr tej różowo-niebieskiej enklawy krzyczał „Nastolatka!!”, od krzykliwej, choć wciąż stylowej narzuty na łóżko, przez poprzyklejane do ścian wycinki z kolorowych gazet, aż do porzucanych wszędzie ciuchów, butów i kosmetyków.

Nie miałam czasu się rozglądać, bo Amber stanęła przede mną. Taylorowie zbliżyli się w pełnej konfidencji, a drzwi zamknięto. Amber oddychała ciężko, machała dłońmi przed twarzą, zapowietrzona z ekscytacji.

– Dobra, dobra, dobra... – powtarzała, po czym w końcu odetchnęła głęboko.

Wzdrygnęłam się, gdy nagle pisnęła mi prosto w twarz:

– Nigdy nie zgadniesz, co się stało!

Choć obawiałam się, że uszkodziła mi bębni, to jednak jej entuzjazm był zaraźliwy, więc zapytałam z uśmiechem:

– No co takiego się wydarzyło, moja śliczna?

– Alexi Prokurov powiedział do mnie „cześć”! – wrzasnęła.

– Kto taki? – Zamrugałam.

– No najfajniejszy chłopak w szkole! – poinformował mnie Taylor.

– To fakt – dodała Taylor. – Ten gość to petarda!

Gdy Amber znów zaczął szczebiotać, przeniosłam na nią wzrok.

– Dobra, dobra, dobra! No więęęc, siedzieliśmy wczoraj w restauracji, a on po prostu podszedł do naszego stolika i powiedział „cześć”!

– A miała na twarzy romantyczny szkic numer dwa, sam ją umalowałem! – pochwalił się Taylor.

Bardzo dobry wybór. Nie miałam szansy tego powiedzieć, bo odezwała się Taylor, dodając:

– Alexi nigdy nie umawiał się z dziewczynami z naszego liceum.

– Nigdy – podkreślił Taylor. – Zazwyczaj były to jakieś żylety z innych szkół.

– I on ma motor! – dodała Amber, a ja poczułam ukłucie niepokoju.

O rety.

– I gra na gitarze! – wymieniała jednym tchem.

O rajušku.

– I ma kapelę! – kontynuowała.

Oj, tylko nie to...

Na jej twarz wypłynęło rozanielenie.

– To jest jak sen...!

– To jest rewelacja! – oznajmił Taylor. – To jest kosmos! Jedynym facetem fajniejszym od Noah jest Alexi. – Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. – To jest cudowne!

– Sam pisze sobie piosenki! – dodała Taylor. – Słyszałam jego kapelę, grali w klubie urządzonym w garażu. Było super!

– Słuchaj – zaczął Taylor tonem wymagającym uwagi, więc spojrzałam na niego. Wyciągał w moją stronę telefon. – Strzeliłem mu fotkę, gdy wychodził z restauracji. Nie za wyraźna, ale widać, jaki to przystojniak.

Spojrzałam na wyświetlacz i faktycznie, atrakcyjność chłopaka była niezaprzeczalna mimo marnej jakości zdjęcia. Przedstawiało młodego mężczyznę siedzącego na motocyklu, właśnie unoszącego lśniący, czarny kask, który zamierzał założyć. Było widać, że chłopak jest wysoki. Miał grzywę rozczochranych, jasnych włosów i nawet z daleka dała się zauważyć jego świetna sylwetka. Ubrany był w powycierane, dziurawe na kolanach jeansy, czarny T-shirt i skórzaną kurtkę. Na nogach miał wysokie motocyklowe buty. Taki chłopak był marzeniem każdej licealistki. Ale gdyby taki ktoś przyszedł zabrać Amber na randkę, Jake by chyba zwariował.

Mruknęłam coś tylko, bo lęk nieco mnie sparaliżował.

– A Noah dzwonił już dwa razy! – oznajmiła Amber, gdy się nie odezwałam.

– A ona nie odebrała! – uzupełniła Taylor.

– Nagrał się. A teraz niech sobie czeka – dodał Taylor.

Choć byłam dumna z działań Amber, rzuciły one zupełnie nowe światło na to, co działo się między Ellie i Connerem. Mój poziom niepokoju nagle wzrósł, choć był już dość znaczący.

– To mądre zagranie, Amber – powiedziałam, a ona się uśmiechnęła. – A teraz, jeśli chodzi o tego chłopaka... – Nie dałam rady dokończyć, bo przyskoczyła do mnie i chwyciła mnie za obie dłonie.

– Josie, on podszedł prosto do naszego stolika i powiedział cześć do mnie! To była najlepsza chwila mojego życia!

O rety...

Widząc ogrom jej szczęścia, wyswobodziłam jedną dłoń, dotknęłam policzka dziewczyny

i powiedziałam:

– Więc mam nadzieję, że cię polubi, moja śliczna. Ale nie tylko dlatego, że jesteś piękna, ale również dlatego, że jesteś bystra, a także jesteś wspaniałą przyjaciółką. Z pewnością wie to wszystko.

Przez jej twarz przemknęła nadzieja i wydała mi się w tym momencie jeszcze ładniejsza.

– Myślisz?

– Tak myślę i taką mam nadzieję – odpowiedziałam.

Jej uśmiech jeszcze się poszerzył.

Zanim ktokolwiek jeszcze się odezwał, dobiegło nas wołanie z dołu:

– Sos gotowy!

To był głos Jake'a. Amber puściła mnie, odskoczyła i krzyknęła:

– Sosik! Umieram z głodu!

Wybiegła z pokoju, Taylor podążył za nią.

Zostałyśmy we dwie, wpatrując się w otwarte drzwi.

– Czy ten Alexi to porządny chłopak? – zapytałam, odwracając się w stronę Taylor.

– Na pewno porządniejszy niż Noah – odpowiedziała.

Nie bardzo mnie to uspokoiło, bo w końcu coś takiego nie stanowiło żadnego osiągnięcia.

– Jeśli Alexi się nią zainteresuje, to na pewno nie spodoba się panu Spearowi.

– Z pewnością – potwierdziłam oczywistość.

Podeszła do mnie, nasze spojrzenia się spotkały.

– Ma same dobre oceny, robi naprawdę świetną muzykę, no i chodzą plotki, że jak już ma dziewczynę, to jest jej wierny. Wiem, że akurat żadnej nie ma. Widziałam go jednak kilkakrotnie z jakąś i coś mi się wydaje, że w podejściu do dziewczyn jest podobny do Connera. Więc Amber mogła trafić gorzej niż Noah. Ale na szczęście Alexi to o wiele lepsza opcja.

Fakt, że Alexi był wierny, nieco mnie pocieszył, a informacja, że traktował dziewczyny tak jak Conner, była jeszcze przyjemniejsza.

Uśmiechnęłam się więc do niej i uściśnęłam jej dłoń. Skinęłam głową w stronę drzwi i podążyłam za nią w dół schodami.

– Dzień dobry, panie Spear! – rzuciła, mijając Jake'a u podnóża schodów.

– Cześć, kochanie – mruknął niby do niej, ale patrzył na mnie.

Zatarasował swoim potężnym ciałem zejście ze schodów. Więc musiałam zatrzymać się i spojrzeć mu w oczy.

– Wszystko dobrze? – zapytał cicho, przyglądając mi się uważnie, a wiedziałam, że widać po mnie niepokój.

– U Amber, owszem. Ale jeśli wszystko ułoży się po jej myśli, to u ciebie... – zawahałam się – nie bardzo.

– Ale o co chodzi? – zapytał, marszcząc brwi.

– Wczoraj przywitał się z nią w restauracji młody chłopak. Taylor pokazał mi jego zdjęcie, na którym siedział na motocyklu.

Dla odmiany stężały mu mięśnie szczęki, a ja mówiłam dalej:

– Doszło do mnie też, że on gra na gitarze.

Zapłonęły mu oczy i drgnął mięsień policzka.

– Komponuje własne piosenki i gra w zespole.

– Kurwawurwawurwa... – mruknął Jake w przestrzeń.

– Ale są i dobre wieści: ma same piątki i jest wierny jednej dziewczynie.

Jake spojrział na mnie i widziałam wyraźnie, że nie bardzo go to pocieszyło.

– No chyba zacznę tęsknić za Noah – zauważył.

Zacisnęłam usta, żeby się nie roześmiać.

– Na motocyklu? – zapytał.

Mrugnęłam porozumiewawczo.

Uniósł wzrok do sufitu i rzucił dramatycznym tonem:

– Dlaczego nie obdarowałeś mnie wyłącznie synami?

Zaintrygował mnie ten zwrot ku niebiosom, więc zapytałam:

– Wierzysz w Boga?

Spojrzał znowu na mnie, a jego brwi ponownie zbiegły się na czole.

– No... tak.

– Skoro tak, to informuję cię, że wielbny Fletcher zaprosił mnie na nabożeństwa i podkreślił, że powinnam przyprować cię i twoje dzieci.

– No nie wątpię. – Jake stanął przy mnie i objął mnie ramieniem.

– Nie lubię wstawać rano, ale mają i wieczorną mszę.

Spojrzał na mnie pobłażliwie, gdy szliśmy do salonu.

– Nie lubisz wstawać rano?

– Nie.

– Ale wstawiałaś, żeby ze mną poćwiczyć.

Spojrzałam na niego przelotnie, nic nie mówiąc. Przyciągnął mnie do siebie i uśmiechnął się szerzej.

– Dobrze, przejdziemy się na wieczorną mszę, Śliczna. Ale na pewno nie dziś. Może w przyszłą niedzielę. Chyba powinienem nieco się zbliżyć do Boga i szepnąć mu słówko, że musi mieć oko na moją córeczkę, która zadaje się z koszykarzami i jeżdżącymi na motocyklach gitarzystami.

Zgodziłam się, a on przycisnął mnie mocniej do swojego boku z uśmiechem.

W salonie mecz już leciał na wielkim telewizorze, a dzieciaki konsumowały pomarańczowy sos, w którym pływały jakieś czerwone i zielone farfocle.

Jake usadowił mnie w wielkim fotelu tak zręcznie, że choć mebel był przeznaczony dla jednej osoby, to oboje się w nim zmieściliśmy.

– Eath! – zawołał Jake. – Przynieś nam porcję sosu i paczkę chipsów!

Ethan zeskoczył z kanapy i pobiegł wykonać polecenie. Po chwili Jake trzymał już na kolanach miskę i paczkę chipsów.

Nie miałam wyjścia, musiałam wyrobić sobie zdanie na temat tego „specjału”. Zdumiałam się, bo dip miał gładką konsystencję, smakował wyraziście, a chipsy były świeże i chrupkie. Świetne połączenie.

– Egzamin zdany? – zapytał Jake.

Patrzył na mnie z uśmiechem.

– To nie camembert – stwierdziłam – ale i tak smaczne.

Z uśmiechem wpakował sobie do ust ociekający dipem chips.

Mecz wszystkich wciągnął i stwierdziłam, że takie siedzenie w objęciach Jake’a, z wesołą kompanią wokół, jest bardzo przyjemne. Ethan pokrzykiwał podekscytowany. Conner i Jake wymieniali komentarze na temat zagrywek i zawodników. A ja konwersowałam z Amber i Taylorami o wszystkim, tylko nie o futbolu. Kosmetyki, pielęgnacja cery, moda, ale i wygląd co przystojniejszych zawodników, to były nasze tematy.

Po pierwszej połowie Jake zagonił nas do kuchni i przygotowaliśmy taco. Mięso musiało dojść, a gospodarz komentował wszystko jak szef kuchni. Choć przyprawiał wszystko gotową mieszanką z torebki, efekt był zaskakujący. Danie wyszło przepyszne. Ethan i Conner podgrzali resztki dipu i dodali go do swoich porcji. Podchwyciłam ich pomysł, który postanowiłam

zrealizować podczas kolejnego „wieczoru taco” u Jake’a.

Zjedliśmy, po czym Amber i Taylorowie wynieśli nasze naczynia do kuchni. I wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Amber – rzucił Jake, a ona bez słowa protestu poszła otworzyć.

Znajdowaliśmy się dość daleko od drzwi, bo od salonu biegł szeroki korytarz, w którym wałały się plecaki, stały biurka z laptopami i różne rupiecie. Słyszeliśmy tylko niewyraźne odgłosy i pomruki z korytarza, a po chwili Amber wróciła i rzekła drżącym głosem.

– Tato, Con... Przyszli pan Earhart i Mia, chcą z wami rozmawiać.

Mia? Ta dziewczyna, która skonfrontowała się z Ellie i Connerem podczas meczu? Ciało Jake’a stężało, a Conner mruknął: „Co jest, do diabła?”, ale ja patrzyłam tylko na Amber. Wyglądała na nieźle przestraszona.

Jake uniósł mnie i podniósł się z fotela, po czym pociągnął mnie za rękę w stronę drzwi wejściowych.

– Con, chodź z nami – pomrukiwał Jake po drodze. – Amber, zostańcie wszyscy tutaj.

Conner już podążał za nami, nawet nieproszony, czułam go za sobą. Nie wiedziałam, dlaczego włączono mnie do tego powitalnego komitetu.

Choć stojący w korytarzu mężczyzna nie był tak rostry jak Jake (w końcu kto był?), ale już na pierwszy rzut oka zorientowałam się, że nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Panowie musieli być w podobnym wieku.

Przybysz był również ewidentnie wściekły.

Patrzył na Connera tak nienawistnym wzrokiem, iż obawiałam się, że za moment wyrzuci mu jakąś krzywdę.

Spojrzałam na Mię i wiedziałam, że coś kombinuje. Oczy jej płonęły, tłumiała uśmiezek. W obliczu takiej wściekłości ojca nie powinna podśmiechiwać. Coś tu się nie zgadzało.

– Neal, co jest? – rzekł Jake niezobowiązująco, stając pomiędzy mężczyzną a swoim synem.

Facet oderwał wzrok od Connera i spojrzał na Jake’a.

– Musimy pogadać – syknął – na osobności.

Jake przez moment uważnie mu się przyglądał. Po chwili skinął głową i wskazał na drzwi do jedyne zamkniętego pomieszczenia na dolnym piętrze.

Postarałam się tak manewrować między obecnymi, by wprowadzić Connera do pokoju jako ostatniego. Trzymałam go na dystans od Mii i jej ojca, prosząc cicho:

– Conner, kochanie, zamknij drzwi.

Widziałam na jego twarzy mieszaninę emocji: skonfundowanie, gniew i zmęczenie.

Zamknął drzwi i spojrzeliśmy na zebranych w pokoju.

– O co chodzi? – zaczął Jake.

– Mia jest w ciąży – oznajmił Neal bez zbędnych wstępów.

O rety.

– Twój syn jest tego sprawcą! – dodał, jakby nie było to dość oczywiste.

Powietrze w pomieszczeniu jakby stężało, a twarz Jake’a zamieniła się w kamień.

– To jakaś kompletna bzdura! – rzucił Conner.

– Pilnuj tego dzieciaka, Jake! – warknął na to Neal.

Jake tylko spojrzał na syna, a ten powtórzył:

– To kompletna bzdura, tato!

– Nie wierzę, że tak mówisz! – wtrąciła Mia i wystarczyło mi jedno spojrzenie na nią, by już wiedzieć, że jeśli w ten sposób próbowała się odegrać, to była bardzo marną aktorką.

– To raczej ja nie wierzę! – odparł Conner. – Dobrze wiesz, że to jakieś wymysły!

– A właśnie że nie! – wypaliła.
– Jeśli jesteś w ciąży, to ciekawe, z kim? Bo na pewno nie ze mną! – powiedział Conner i atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała.
– Con! – rzucił Jake ostrzegawczo.
– Lepiej uważaj, chłopcze! – warknął znowu Neal.
– Czy mogę zapytać, skąd wiesz, że jesteś w ciąży? – wtrąciłam się, patrząc na nią, ale to jej ojciec się odezwał.
– A czy ja mogę zapytać, kim pani jest?
Spojrzałam na Jake’a, a on odpowiedział:
– Neal, to jest Josie Malone, przyjaciółka rodziny.
– Szkoda, że poznajemy się w takich okolicznościach, Neal – dodałam natychmiast łagodnym tonem. – Musimy jednak zorientować się, z jaką sytuacją mamy tu do czynienia, by móc konstruktywnie dyskutować.
– Zrobiłam test ciążowy – oznajmiła Mia, zanim jej ojciec zdążył ustosunkować się do moich słów.
Spojrzałam na nią.
– Taki z apteki? – zapytałam.
– Tak.
– Masz go ze sobą?
Jej twarz zeszywniała, ale szybko wybrnęła:
– Spanikowałam, gdy wyszedł pozytywny, i wyrzuciłam go.
– No jasne – mruknął Conner i atmosfera znowu zrobiła się nieprzyjemna, więc powiedziałam do niego:
– Proszę, kochanie.
Wytrzymał moje spojrzenie, zaciskając szczęki.
Spojrzałam na ojca Mii.
– Bardzo mi przykro, Neal, i wiem, że sytuacja jest nieprzyjemna dla wszystkich stron, ale rozumiesz chyba, że jeśli Mia faktycznie jest w ciąży, trzeba będzie sporo spraw omówić i dużo się pozmienia. Przede wszystkim losy bardzo młodych ludzi. Mia będzie musiała powtórzyć test, aby potwierdzić rezultat.
– Twierdzi, że jest w ciąży – odezwał się Neal.
– Niedawno byłam świadkiem jej zerwania z Connerem i widziałam, jak się zachowała podczas meczu, więc wiem, że sytuacja jest dla niej trudna.
Zmrużył oczy.
– Twierdzi pani, że moja córka zmyśla w takiej sprawie?
Pokręciłam głową, patrząc mu w oczy.
– Twierdę, że to delikatna sprawa, a jej wynik może wpłynąć na wiele osób, więc one wszystkie powinny być w nią od początku zaangażowane. – Spojrzałam na Mię. – Mogę zaraz wyjść po test. Zrobienie go potrwa chwilę, a gdy już poznamy wynik, wrócimy do rozmowy.
Jej twarz znowu skamieniała, poruszyła ustami, a w końcu powiedziała:
– Nie będę robić drugiego testu. Robienie pierwszego było wystarczająco traumatyczne.
– Niestety, moja droga, w ciąży dzieje się mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy – powiedziałam łagodnie. – Ale Conner zasługuje na to, by zobaczyć wynik testu.
Potrząsnęła włosami i skrzyżowała ręce na piersi.
– On na nic nie zasługuje. Bawił się mną, zrobił mi dzieciaka i porzucił. Na gównu zasługuje!
Conner do tego momentu trzymał się dzielnie, ale teraz nie wytrzymał.

– Ciekawe, jakim sposobem zrobiłem ci dzieciaka, skoro nie uprawialiśmy seksu?
Co za ulga. I interesujący zwrot akcji. Wierzyłam mu. Całkowicie.

– Neal – wtrącił się Jake. – Mamy tutaj słowo przeciwko słowu, ale szybko można rozwiązać ten problem. Pojadę po test. Josie zostanie z tobą i Mią. Conner pójdzie na górę. Wycieczka do apteki i test zajmą jakieś dwadzieścia minut. I będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

Neal patrzył na Connera już mniej nienawistnie, ale przecież nie znałam człowieka, nie mogłam wiedzieć, o czym myślał. Potem przeniósł wzrok na córkę i powiedział łagodnie:

– Zrób ten test, kochanie.

Wówczas zrozumiałam. On też był kiedyś nastoletnim chłopakiem i pewnie czułby się okropnie, gdyby w czasach jego młodości jakaś dziewczyna pojawiła się z ojcem w progu jego domu. I to z taką wieścią.

Dziewczyna zbladła i wypaliła:

– Nie zrobię drugiego testu.

– To potrwa chwilkę i... – zaczął Neal.

Zbliżyła się do niego z twarzą wykrzywioną grymasem.

– Nie zrobię testu, tato!

– Mia...

Rozglądnęła się po pokoju i rzuciła:

– Mogę zrobić w domu.

– Nalegam, żeby jednak wykonać go tutaj – naciskałam.

– A dlaczego ty masz o czymkolwiek decydować? To moje siki, moje ciało. A ty nawet nie należysz do tej rodziny! – odparła.

Wytrzymałam jej wzrok i powiedziałam cicho, niewzruszona:

– Dobrze wiesz, dlaczego akurat ja mogę nalegać.

– Z całym szacunkiem, Josie, ale nie podoba mi się, że zarzucasz mojej córce oszustwo – wtrącił Neal, z trudem się powstrzymując przed wybuchem.

Conner wszedł mu w słowo.

– Jeśli naprawdę jest w ciąży, to dlaczego odmawia zrobienia testu? Jaki masz z tym problem, Mia?

– Mam taki problem, że jesteś fiutem i ledwie wytrzymuję z tobą w jednym pomieszczeniu! Nie mam zamiaru czekać tu jeszcze dwadzieścia minut z tobą! – wypaliła.

– Neal, proszę cię, żebyś wziął swoją córkę w karby – mruknął Jake wściekle.

Neal zwrócił się do niej:

– To jest trudne dla nas wszystkich, nie utrudniaj bardziej!

– Najtrudniejsze jest dla mnie! – zwróciła się do ojca, wskazując na siebie kciukiem.

– No chyba raczej dla mnie – powiedział Conner, ewidentnie zły. – Panie Earhart, nie uprawiałem seksu z pańską córką. Zerwałem z nią i to się jej nie spodobało. Josie widziała, jaką scenę mi z tego powodu urządziła podczas meczu. Widziała to również moja siostra, jej przyjaciele i wielu postronnych. Oni wszyscy potwierdzą, że groziła dziewczynie, z którą się spotykam, nie tylko podczas meczu. Koniec końców, jeśli faktycznie jest w ciąży, to na pewno nie ze mną.

Neal przyglądał się Connerowi uważnie, słuchając jego tyrady. Potem spojrzał na córkę.

– Zrobisz ten test, Mia. Tutaj.

– Nie – syknęła.

– A właśnie że tak – rzekł głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Jej twarz poszarzała. Ojciec również to zauważył.

– Błagam, powiedz mi, że nie wymyśliłaś tego, że Conner Spear zrobił ci dziecko – szepnął.

Nie odpowiedziała, ale jej ciało ją zdradzało. Nie wyglądała już na pewną siebie, stała się wyraźnie podenerwowana. To również nie umknęło jej ojcu.

– Okłamałaś mnie – rzekł bardzo cicho.

Zasznurowała usta i otarła dłonie o jeansy.

– Nie jesteś w ciąży? – zapytał zduszonym głosem.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, po czym pokręciła głową.

– A co zamierzałaś zrobić w sytuacji, gdy już prawda wyszłaby na jaw? – zapytał, choć widać było, że wcale nie chce poznać odpowiedzi.

Mia przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

– Mia – powtórzył bardzo nieprzyjemnym tonem. – Co chciałaś zrobić?

– Zajść w ciążę z kimkolwiek i zwalić to na Connera – szepnęła drżącym głosem.

– Jezu! – szepnął, patrząc na nią tak, jakby po raz pierwszy w życiu ją zobaczył.

Jej twarz wykrzywił paskudny grymas, po czym machnęła ręką w stronę Connera.

– Przez trzy miesiące się razem prowadzaliśmy, a potem ot tak mnie olał!

Robiła taki cyrk z powodu trzech miesięcy?

Byłam naprawdę poruszona.

– Idź do auta – szepnął Neal.

Spojrzała na Connera.

– Nie możesz chodzić z dziewczyną, a potem tak po prostu ją odstawić!

– Mia, idź do auta! – rozkazał Neal głośniejszym głosem.

Przeniosła wzrok na ojca.

– Upokorzył mnie! Zostawił dla innej!

– Przysięgam na Boga, jeśli w tej chwili nie pójdziesz do auta...!

– Jesteś fiutem i fiutem pozostaniesz! – syknęła Mia, a wówczas Jake nie wytrzymał.

– Twoja córka nie jest mile widziana w moim domu – powiedział niskim głosem.

Nie wytrzymała i załamała się, ale jakoś jej nie współczułam. Knuć intrygę z wpędzaniem chłopaka w ojcostwo? Niedopuszczalne.

– Zraniłaś mnie – szepnęła do Connera.

– Do auta, Mia – powtórzył ojciec, ale łagodniej, bo chyba już trochę znał swoją córkę. To, co wyprawiała, przekraczało wszelkie granice, ale w końcu nieco się odkryła, więc pewnie dlatego złagodniał.

Spojrzała raz jeszcze zażawionymi oczyma na Connera, potem na ojca i bez słowa wyszła z pokoju.

Neal przecesał włosy palcami, potem spojrzał na Jake'a.

– Jake, nie wiem, co ci powiedzieć...

– Nic nie mów. Dzieciaki robią różne durnoty. – Zawiesił głos, patrząc na mężczyznę.

– Ale byłbym zobowiązany, gdybyś pogadał z nią o tym, co wygaduje o Ellie, dziewczynie Connera. Jest na niego wkurzona, rozumiem to. Nie wiem, jak mogła się szarpnąć na tę akcję. Ale naskakiwanie na Ellie to już za wiele.

Neal mógł tylko skinąć głową. Co też zrobił, po czym rzucił w stronę Connera:

– Conner, synu, wybacz.

Con nie odpowiedział. Mimo tego, że nie doczekał się odpowiedzi, Neal skinął głową raz jeszcze i wyszedł.

Conner ochłonął przez chwilę, zamknął drzwi i spojrzał na ojca.

– Te same bzdury powiedziała Ellie albo kazała komuś jej o tym donieść.

O tym samym pomyślałam.
– Ta – rzucił Jake.
– To dlatego Ellie nie dzwoni.
Z pewnością.
– Ta – powtórzył Jake.
– Muszę do niej pójść.
Jak najszybciej.
Conner złożył dłoń na klamce.
– Synu – zaczął Jake. – Wyciągnij z tego naukę. Facet może złamać kobiecie serce, ale i ona ma swoje sposoby na odegranie się. Zapamiętaj to i w przyszłości wybieraj rozważniej.
Conner zacisnęła szczęki i wyszedł z pokoju. Jake zamknął za nim drzwi.
– Skąd wiedziałas?
– To jest naprawdę okropna dziewczyna, a do tego bardzo kiepska aktorka.
– Myślisz, że będzie dalej mącić?
– Jeśli jej ojciec nie wyciągnie odpowiednich konsekwencji – zniżyłam głos do szeptu
– to pewnie wykorzysta każdą okazję, żeby to właśnie robić.
– Conner ze mną rozmawia, może nie o wszystkim, ale jest blisko ze swoim staruszkiem
– oznajmił Jake. – Nie obiecywał żadnej z nich, że nie będzie widywał się z innymi. Dopiero Ellie dostała tę obietnicę. Jestem facetem, myślę po męsku i uważam, że to zagranie było poniżej pasa, bo w końcu chłopak nie popełnił żadnej zbrodni.
Nie odpowiedziałam.
– Zgadzasz się ze mną? – dopytał.
– To nie było randkowanie z pięcioma dziewczynami w metropolii. To było pięć dziewczyn z jednego, niedużego liceum. Gotowy przepis na katastrofę. Po części masz rację. Jeśli nie obiecywał im wyłączności, to faktycznie nie zasłużył sobie na takie potraktowanie. Po prostu kiepsko wybrał te dziewczyny. Bardzo kiepsko.
– A co ma zrobić, jeśli ona dalej będzie z nim pogrywać?
– Również się odegra – powiedziałam.
– A w jaki niby sposób? – Brwi Jake’a podjechały do góry.
– Zepsuje jej opinię.
– Jak niby?
– Nie jestem mężczyzną ani tym bardziej młodym chłopakiem, ale gdybym nim była, to na pewno nie zainteresowałabym się dziewczyną, która urządza takie akcje po trzech miesiącach niezobowiązującego randkowania.
– Wystarczy to rozpowiedzieć.
– Nie osobiście, bo to postawiłoby go w złym świetle. Ale Taylorowie to niezli plotkarze. Chociaż w tak małej społeczności może obeszloby się bez ich pomocy. W każdym razie Mia na pewno też wyciągnęła z tego jakąś naukę. Tak ekstremalna reakcja na zerwanie była naprawdę przedramatyzowana.
– Nie wiem, czy powinienem mu to podpowiadać, nawet jeśli zapyta o radę.
– Może powinienes. Choć myślę, że Conner i tak nie utrzyma języka za zębami. Przyszła do jego domu z ojcem, wciągnęła nas wszystkich w to bagienko i mam nadzieję, że to się na niej odbije.
– Mama kwoka... – mruknął Jake, obejmując mnie.
– Od początku mi się nie podobała – oznajmiłam.
– No mamusia kurka, doprawdy – mruczał, śmiejąc się.
Mnie nie było jednak do śmiechu.

– To musi być dla ciebie bardzo trudne. – Uniosłam na niego wzrok. – Możesz tylko przyglądać się, jak twoje dorastające dzieci uczą się podejmować decyzje i ponosić ich konsekwencje.

– No tak, to nie pączki u babci... – zgodził się.

Dotknęłam jego ramienia, potem bicepsa, nagle myśląc już o czymś zupełnie innym.

– Mała – rzucił. – Jednak z ciebie naprawdę cholerna petarda!

Conner i jego dziewczyny, Amber i jej motocykliści, to wszystko stało się nagle nieistotne.

– Mam ochotę zerwać z ciebie te fatalaszki i przelecieć cię na kanapie w tej sekundzie.

Przeszył mnie niezwykle przyjemny dreszczyk.

– Szkoda, że dzieciaki siedzą za ścianą... – szepnął w moje usta.

Wielka szkoda.

– Zaiste... – szepnęłam.

– Zrobimy to w twoim łóżku, gdy już odwiozę cię do domu – szepnął wprost do mojego ucha.

– O tak... – odpowiedziałam, zaciskając palce na jego bicepsie.

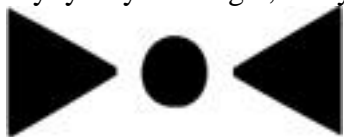
– Nie mogę się doczekać, Śliczna.

– Ja również, Jake...

– A co mi dasz na zachętę?

Nie musiał prosić dwa razy. Uniosłam głowę i nasze głodne usta się zetknęły. Nie wiem, czy to ja mu coś dawałam, czy on po prostu brał. Nie przeszkadzał mi nieporządek wokół, ślady życia całej rodziny. Po takim pocałunku oddałabym mu wszystko. Absolutnie wszystko.

Gdybym tylko mogła, złożyłabym świat u jego stóp.



– Nie, ten sweter zdecydowanie nie – stwierdził Taylor.

Od niefortunnej debaty nad rzekomą ciążą minęła godzina. Oglądaliśmy wywiad z rozgrywającym, który miał na sobie kremowy sweterek z wyłogami, wyjątkowo nietwarzowy.

Conner jeszcze nie wrócił.

Nie opowiedzieliśmy dzieciakom o tym, co się wydarzyło. Zwróciłam rozmowę na inne tory, prosząc o zdjęcia domu Spearów sprzed renowacji. Ethan rzucił się biegiem, a po chwili wrócił, niosąc koperty pełne zdjęć. Miał rację, mówiąc, że dom był niegdyś rudera. Nie powinno mnie już dziwić, że Jake potrafi dokonywać cudów, a jednak wciąż dziwiło.

Meczowa niedziela trwała dalej, ale skończyło się już jedzenie. Jake obiecał, że za chwilę zamówi pizzę.

– Masz rację – zgodziłam się z Taylorem. – On doskonale wie, że jest być może aż nazbyt śliczny. Ciemnoskóry gracz zdarłby z siebie takie wdzianko nawet siłą woli. Mężczyzna o ostrzejszej urodzie, o masywnym karku, również. Ale taki piękniś, który wie, że jest piękny, wygląda w nim idiotycznie.

– Właśnie – zgodził się Taylor.

– To jakaś schiza, że Josie uważa go za przystojniaka. Wszyscy uważają, że jest ciachem. A na mnie w ogóle nie działa i nigdy mi się nie podobał – wtrąciła Amber, a Jake wyszeptał mi do ucha:

– Mała, to jest akurat rozgrywający z drużyny, której kibicuję.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się nad tym, dlaczego moje osądy na temat stroju czy urody zawodników miały dla Jake'a jakiegokolwiek znaczenie. Niezależnie od tego, w której drużynie grali.

– I Ethan również – dokończył Jake.

Spojrzałam na Ethana, który siedział na kanapie z ramionami skrzyżowanymi na piersi, wyciągniętymi przed siebie nogami i zaciśniętymi ustami, z miną cokolwiek niewyraźną.

Najwyraźniej moje zdanie na temat zawodnika, który grał w ukochanej drużynie, miało jednak spore znaczenie.

– Taylorowie i Amber, powinniśmy przestać obrażać sweter tego zawodnika, bo to uraża uczucia Ethana! – zadeklarowałam.

Spojrzeli na chłopca.

– Przepraszam, Ethan – powiedziała Taylor.

– Sorry, Eath – dorzucił Taylor.

– Skuza, kurdupłu – dokończyła Amber.

Ethan rzucił Amber nieładny grymas.

– Nie nazywaj mnie kurdupłem! – wrzasnął, krzywiąc się, po czym spojrzał na ojca i zażądał informacji:

– Czy z Connerem wszystko dobrze?

Zrobiło mi się ciepło od jego troski. Być może obraził się na nas za krytykowanie stroju gracza, ale bardziej obchodził go brat. Co za dobry dzieciak!

– Nic mu nie będzie, kolego – zapewnił Jake.

– Ale czy teraz nic mu nie jest? – dopytał młody.

I do tego bystrzak.

– Masz rację, Eath – powiedział Jake łagodnie. – Ale niedługo już wszystko będzie dobrze.

– Obiecujesz? – zapytał Ethan, patrząc pytająco na ojca.

– Obiecuję, synu – zapewnił Jake.

– Nigdy nie będę chodził na randki! – Chłopiec spojrzał w końcu w ekran telewizora.

– Nigdy!

Jake przełknął śmiech, a Amber i Taylorowie wymienili porozumiewawcze uśmiešky.

– Chciałabym, żeby w końcu ktoś mi wyjaśnił, o co chodzi z tym zagranie bezpiecznym – rzuciłam, by rozładować atmosferę. – Wasz tata tłumaczył mi to wielokrotnie w czasie meczu, ale obawiam się, że nie wszystko zrozumiałam.

– Przecież to banalne, Josie! – zaczął Ethan. – Zagranie bezpieczne jest wtedy, kiedy atakujący zostaje zatrzymany na własnym polu punktowym.

– A co to jest pole punktowe? – dopytałam.

Ethan zamrugał, a Jake wydał z siebie kolejne parsknięcie.

– Ta duża część boiska na końcu – wyjaśnił Ethan. – Tam gdzie się zdobywa przyłożenie.

– Ach tak – mruknęłam. – Tak myślałam.

Ethan uważnie mi się przyglądał.

– Już na pewno wiesz, o co chodzi? – dopytał.

– Na pewno – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się, najwyraźniej dumny, że potrafił mi to wyjaśnić.

Niestety, jego chwilę triumfu przerwał odgłos otwierania drzwi do garażu. Uśmiech zamarł i chłopiec spojrzał na drzwi wejściowe do salonu.

Chwilę później do pokoju wszedł Conner. Patrzył na ojca, a wyraz jego twarzy wskazywał na to, że zapewnienie o sielankowej przyszłości było rzucone na wyrost.

– Tato! – rzucił nieco desperacko i zniknął we wnętrzu domu.

Jake złożył rękę na moim kolanie, wstając, i podążył za synem.

Taylor mruknął coś ostrzegawczo. Amber wstała ze swojego miejsca i usiadła obok brata na kanapie, trącając go w ramię.

– Chcesz coś słodkiego? – zapytała.

– Nie jestem głodny – mruknął i usłyszałam to z jego ust po raz pierwszy od chwili, gdy się poznaliśmy.

– A pomożesz mi przygotować coś dla Taylorów i dla mnie? – zapytała, wyrażając w ten sposób troskę.

Spojrzał na nią i pokiwał głową.

Gdy wszyscy przemieszczali się do kuchni, zdołałam złapać Amber za dłoń i uścisnąć ją. Odpowiedziała tym samym, rzucając mi zmartwione spojrzenie. Była taką dobrą siostrą!

Po chwili wszyscy, łącznie z Ethanem, zjadali się łakociami w kuchni, a wówczas wrócił Jake.

– Josie – zawołał mnie krótko i znów zniknął.

Podążyłam za nim i stanęliśmy w odległym kącie kuchni. Oparłam się o krawędź blatu wyspy.

– Co z Connerem? – zapytałam cicho.

– Nie za dobrze – odpowiedział.

O rety.

– Wychodzi na to, że ta Mia Earhart to niezła intrygantka – dodał po chwili.

– O rety – powiedziałam półgłosem.

– No, mówię ci, uknuła niezłą komedię. Czy może raczej tragedię. Matka jednej z jej przyjaciółek przyjaźni się z matką Ellie. Ta przyjaciółka powiedziała matce, że Conner zbrzuchacił Mię. No i oczywiście wieść dotarła do matki Ellie. Zmartwiła się, bo wiedziała, że Conner spotyka się również z jej córką. Rodzice kazali Ellie zerwać z Connerem i nie zbliżać się do niego, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Conner musiał skonfrontować się nie tylko ze wściekłym ojcem Ellie, ale i z dziewczyną, na której mu zależy, a która uważa go za fiuta.

– Ale Mia nie jest przecież w ciąży – przypomniałam mu.

– Ja to wiem. Ale oni nie dali się tak łatwo o tym przekonać.

Zacisnęłam usta, a po chwili szepnęłam, zbliżając się do niego:

– Ale przecież prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– Nie jestem pewien, czy mój syn jest gotowy na to, by czekać nie wiadomo jak długo. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo mu na niej zależy, dopóki jej nie stracił. Jest przybity.

– Biedny Conner... – szepnęłam, patrząc w przestrzeń.

Jake objął mnie za szyję, zbliżając twarz do mojej.

– Niestety, ta sytuacja nieco modyfikuje nasze plany na wieczór. Conner pewnie nie wyjdzie z pokoju, ale powinienem tu być na wypadek, gdyby jednak się na to zdecydował. Później muszę jeszcze skoczyć do klubu, ale to już gdy dzieciaki zasną. Więc po pizzy odwiozę cię do domu, ale, niestety, nie zostanę.

Bardzo to było przykre, ale jednocześnie zrozumiałe.

Przytaknęłam, a potem zasugerowałam:

– Może mógłbyś zadzwonić do rodziców Ellie i powiedzieć im, co naprawdę zaszło?

– Tak chciałem zrobić, ale Con się nie zgodził. Jest zraniony, a w przypadku facetów to znaczy, że jest wkurzony. Nie może pogodzić się z myślą, że Ellie mu nie wierzy, bo nie spał z żadną z nich, dzięki Bogu. Nie wiem, czy jest jeszcze prawiczkiem, i nie chcę wiedzieć, mam tylko nadzieję, że jeśli nie, to był w tych sprawach rozsądny, co mu od zawsze powtarzałem.

Wiem po prostu, że z tymi dziewczynami do tej bazy jeszcze nie dotarł. Z Mią, bo nie podobała mu się tak bardzo, a z Ellie dlatego, że za bardzo ją szanuje. Twierdzi, że skoro Ellie mu nie wierzy, to jej strata, bo on nie zamierza toczyć bojów z jej rodzicami, skoro jest skłonna uwierzyć w kłamstwa Mii.

– Chyba ma rację, tak postępując – powiedziałam.

– Ellie to dobra dziewczyna, ale cóż. Podobała mi się jej nieśmiałość, lubił się o nią troszczyć, a tu proszę, pierwsza kłótnia i takie rozczarowanie... Rozumiem, że jest wściekły. Wścieka się, bo ją stracił, ale chyba bardziej o to, że mu nie uwierzyła i nie stanęła po jego stronie w tej trudnej sytuacji. To dużo rozczarowania i dużo gniewu jak na jeden raz.

– Biedny Conner... – powtórzyłam.

– No właśnie – mruknął Jake i nagle zmienił temat: – Czy myślisz, że ten twój bezmózgi szef będzie cię jeszcze niepokoił?

– Słucham? – Poczułam, jak brwi zjeżdżają mi się na czole.

– Pojawi się jeszcze u ciebie?

Nie miałam pojęcia, co zamierzał, wciąż byłam zszokowana jego zachowaniem i faktem, że pojawił się w Lawendowej Willi bez zapowiedzi.

– Nie wiem – odpowiedziałam.

Poczułam, że jego dotyk staje się bardziej intensywny.

– Jake? – zapytałam, nie wiedząc, o czym myśli, choć podejrzewałam, że o rozterkach swojego syna.

– Wydaje mi się, że dzieciaki już wiedzą, co jest między nami, ale chyba jest jeszcze za wcześnie, byś została na noc.

– Oczywiście – zgodziłam się.

– Ale mam obawy, by zostawić cię w domu samą, skoro ten dupek ma klucz i może wrócić, by ci się naprzykrzać.

Spodobało mi się to, co powiedział między wierszami. Przytuliłam się do niego, ale uniosłam głowę, by spojrzeć mu w oczy i zapewnić:

– Poradzę sobie.

– Wiem, że znacie się od lat i on wciąż wiele dla ciebie znaczy, ale to, co zrobił dziś rano, było naprawdę posrane. Nie chcę, by mieszał ci w głowie.

– Jeśli się zjawi, każę mu oddać klucz i wyjść. Możemy porozmawiać, gdy sprawa nieco przyschnie i nie będę już taka wściekła.

– Wciąż jesteś zła? – zapytał.

Skinęłam głową.

– To, co dziś zrobił, jest niewyobrażalne. Jeśli faktycznie żywił do mnie uczucia od lat, powinien był wyjawić to wcześniej. Teraz już na to za późno, bo zbyt wiele się zmieniło.

– Westchnęłam. – Faktycznie, jeszcze do niedawna wiele dla mnie znaczył. Byłam przekonana, że nie odwzajemnia moich uczuć, i to było bolesne. Nie rozumiem, czemu rozegrał to w ten sposób. W międzyczasie poznałam ciebie i dzieci i moje uczucia przeniosły się zupełnie gdzie indziej. Nie komunikowałam tego, bo, nauczona doświadczeniem, czekałam, aż przejmiesz inicjatywę. Chyba jednak Henry wyczuł, co się dzieje, w rozmowach ze mną i przybył, by przypieczętować swoją własność, jak by to ujął Mickey. Śmiało mogę rzec, że spóźnił się o jakieś dwadzieścia lat. Powinien mieć tego świadomość. Nie mogę sobie wyobrazić również tego, że postawił na szali nie tylko naszą przyjaźń, ale i lata współpracy. To zabolalo. Do tego zrobił to w tak bezpośredni sposób. Więc tak, jestem zła.

Ja monologowałam, a Jake gładził moją twarz. Jego spojrzenie coraz bardziej łagodniało. Aż i ja złagodniałam.

– Mam nadzieję, że widzisz, iż sprawy ze mną i moją rodziną posuwają się ostro do przodu – powiedział.

– Na to właśnie miałam nadzieję – odpowiedziałam, przytulając się do niego mocniej.

Zbliżył usta do moich i szepnął:

– Chciałbym, aby część tych spraw, która obejmuje tylko nas dwoje, jeszcze bardziej przyspieszyła, ale im poświęcimy czas dopiero jutro.

– W porządku – szepnęłam, wtulając się w jego ramiona, bo aż za dobrze zrozumiałam, co miał na myśli.

– Poświęcimy im mnóstwo czasu. Całe godziny.

Zadrżałam w jego ramionach. Wsunął dłoń w moje włosy i pocałował mnie, a ja z rozkoszą odwzajemniłam pocałunek. Był przerozkoszny.

Nagle usłyszałam Ethana:

– Amber, poczuj to, Josie i tata całują się w kuchni!

– O Boże! – szepnęłam.

Jake tylko przełknął śmiech.

– Chodź tu, kurduplu, i daj im spokój! – odwrzasnęła Amber.

No cóż, chyba nie było już wątpliwości, że dzieciaki faktycznie wiedziały, co było między nami. Ja zorientowałam się ostatnia, ale z perspektywy czasu wcale tego nie żałowałam.

– Nie mów na mnie kurdupel! – krzyknął Ethan, po czym zapytał: – Bierzecie ślub?

Poczułam, że chyba upadnę.

– Nie strasz mojej dziewczyny, co, koleżko? – poprosił Jake.

– Wszystkie dziewczyny chcą ślubu – stwierdził Ethan ze znanstwem.

Chyba zaczęłam posapywać z przerażenia.

– Inaczej to ujmę – powiedział Jake. – Nie uważasz, że twojemu staruszkowi należy się trochę prywatności?

Ethan spojrział na mnie i oznajmił:

– Ale nie będę zakładał jakichś głupich garniturków!

– Zapamiętam – odpowiedziałam przez ściśnięte gardło.

Chyba to go uspokoiło, bo odwrócił się na pięcie i wyszedł do salonu. Jake oplótł mnie ciasno ramionami, wciąż wplatając jedną dłoń w moje włosy.

– Tutaj nie można się nudzić – zauważyłam.

– Nie – zgodził się.

– To był interesujący dzień – zauważyłam.

– Ta – potwierdził z uśmiechem.

– I o dziwo, zgłodniałam – dodałam.

– Pora nakarmić moją kobietkę – powiedział, a ja tylko mruknęłam zadowolona.

– No to jedziemy po pizzę, nie będę zamawiać z dowozem. Złożę zamówienie przez telefon i jedziemy je odebrać. Poczekamy w aucie i w tym czasie zabawimy się jeszcze.

Znowu mruknęłam, tym razem wyrażając coś zupełnie innego. Jake'owi to nie umknęło, bo znowu mnie pocałował, dodając:

– No to nie ma na co czekać.

Poczułam, że uśmiecha się, wciąż mnie całując. Odczekaliśmy jednak jeszcze całe pięć minut, całując się jak szaleni, i dopiero potem złożyliśmy zamówienie.

Wyszliśmy dwie sekundy po tym, jak Jake się rozłączył.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wyszeptał jej imię ostatnim tchnieniem

Łóżko poruszyło się. Kosmyk włosów ześlizgnął się z mojego karku. Odwróciłam się, otworzyłam oczy i ujrzałam Jake'a. Siedział na krawędzi materaca, pochylał się nade mną, przełożywszy rękę ponad moim ciałem.

– Już pora na trening? – zapytałam w półśnie.

– O tak... – odpowiedział dziwnym, mrukliwym głosem.

To mógłby być codzienny dzwonek mojego budzika. Odwróciłam się na plecy i szepnęłam:

– Kupiłam nowe ciuchy na siłownię, więc nie muszę już pożyczać od Amber.

Pochylił się, a jego głos stał się jeszcze głębszy i bardziej namiętny.

– Dziś będziemy ćwiczyć bez ubrań, Śliczna.

Miałam wrażenie, że roztopię się i wsiąknę w materac.

– Otworzyłem siłkę, zostawiłem chłopaków na posterunku. – Jego ciało było już tuż nad moim. – Mamy kilka godzin.

– Kilka godzin?

Pocałował mnie, nie zamykając oczu, więc utonęłam w ich głębokim błękicie.

– Kilka godzin – powtórzył.

– O rety... – szepnęłam w jego usta.

Zamknęłam oczy, szykując się na kolejny, rozkoszny pocałunek. Rozchyliłam usta, wpuściłam go do środka. Bardzo spodobała mi się taka pobudka. I widok jego twarzy, która była pierwszym, co zobaczyłam po uchyleniu powiek. I jego nabrzmiały od pożądania głos również mi się podobał. I fakt, że czekały nas całe godziny rozkoszy.

Włożyłam dłonie pod jego koszulkę, dotykając twardych, gorących pleców. Chciałam więcej jego ust. Więcej jego całego. Niestety, oderwał usta od moich, ale na szczęście tylko na chwilę, by wygiąć się w łuk i ułatwić mi ściągnięcie z niego ubrania.

Wystarczył jeden rzut oka na jego wyrzeźbioną pierś, by moje ciało zdecydowało się, czego chce. Napałam na niego i pozwolił mi przejąć inicjatywę. Patrzyłam na jego ciemne włosy rozrzucone na mojej poduszce, na rozleniwione, ale pełne ognia oczy. Na ciemny cień zarostu na jego policzkach, ścięgnię na szyi i te piękne mięśnie klatki piersiowej. Zachwycił mnie. Cały. Mogłam mieć to wszystko.

Musnęłam wargami jego szorstką szczękę, a dotyk zarostu tylko mnie roznamiętnił, więc zawędrowałam wargami niżej, na szyję. Zwiedzałam wargami każdy zakamarek, smakowałam jego skórę. Wówczas poczułam, jak jego dłonie zjeżdżają w dół moich pleców, wsuwają się w majtki i chwytają moje pośladki. Tak jak wcześniej jego szorstki głos, tak teraz podobał mi się jego szorstki dotyk: dotyk palców mężczyzny, który sam odnowił swój dom, który był bokserem, twardzielem.

Mruknął rozkosznie, gdy pieściłam ustami jego pierś, dźwięk był głęboki i dźwięczny, rezonował między moimi udami, a jego palce wbijały się w moje pośladki. Uniosłam głowę, by widzieć jego twarz. Przyglądał mi się uważnie. Fakt, że to ja zapaliłam ten ogień w jego oczach, również odbił się echem w dole mojego brzucha. Znowu pochylałam głowę, by podarować mu kolejną partię rozkoszy.

– Cholera, maleńka...!

Chyba podobało mu się to, co robiłam, ale postanowiłam zaangażować również dłonie. Eksplorowałam nimi twarde węzły mięśni na jego brzuchu i niżej, zafascynowana. Zacisnął

dłonie na moich włosach, gdy wsunęłam dłoń za jego spodnie. Uniósł biodra, a gest był niemal błagalny. Nie mogłam mu tego odmówić, chwyciłam w dłoń to, co miał do zaoferowania. Był na to aż nadto gotowy.

– Cholera, maleńka! – jęknął znów gardłowo, oplatając mnie ramionami.

– Lubię eksplorować twoje ciało, Jake – szepnęłam.

– A ja lubię, jak je eksplorujesz, Josie – mruknął.

– Cieszę się, że mogę sprawiać ci przyjemność.

– Mam cię całą na sobie: twoje włosy, twoją seksowną koszulkę, twoje usta, jak mogłoby mi to nie sprawiać przyjemności?

Byłam mile połączona tymi słowami, poprowadziłam usta wyżej, na jego szyję, zarys szczęki, w końcu do jego ust. I poruszyłam zacisniętą dłońią. Mruknął coś, podrzucił biodrami pod moją dłońią.

– Chcę dać ci spełnienie... – szepnęłam, przyspieszając.

Spojrzał mi w oczy.

– Póki co nieźle ci idzie, Śliczna – powiedział, wyplątując dłonie z moich włosów, przenosząc je na piersi.

Pocałowałam go, poruszając dłońią.

– Ale potem ja dam ci wszystko... – szepnął.

O tak!

– Ja myślę! – mruknęłam, na moment odrywając wargi od jego ust.

Jego palce prześlizgnęły się po moich piersiach, pieścił mnie przez delikatny materiał; przeniósł dłonie pod koszulkę i kontynuował zabawę moim piersiami.

Otarłam się o niego.

– Kręci cię ta zabawa? – zapytał.

Tylko jęknęłam, mój oddech przyspieszał.

– Kręci cię to, mała? – dopytywał.

– Bardzo – wydyszałam.

– Bardzo?

– Tak.

Wsunął dłonie w moje majtki, jedną z tyłu, drugą z przodu, a jego palce poczynały sobie coraz śmielej, aż w końcu wsunęły się do środka.

Przygryzłam jego wargę, gdy poczułam ruch dłoni, a on mruknął rozkosznie, po czym stwierdził:

– Faktycznie, nieźle już jesteś rozgrzana.

Poruszałam dłońią coraz szybciej, zacisnęłam dłoń bardziej, poruszałam nią po całej długości i jednocześnie ujeżdżałam jego dłoń.

– Pocałujesz mnie w końcu porządnie czy będziesz mnie tylko drażnić? – zapytał, gdy dyszałam w kącik jego ust.

– Chyba... – Mój głos się rwał. – Chyba nie jestem w stanie cię teraz całować.

Jego dłoń nie próżnowała, a ja jęknęłam i zacisnęłam pięść.

– Obawiam się, Josie, że pora skończyć tę zabawę, bo zaraz będzie po sprawie.

Nie chciałam, by zaraz było po sprawie. Ostatni raz przejechałam dłońią po całej długości i choć jego palce wewnątrz mojego ciała bardzo mnie kręciły, zapragnęłam poczuć tam coś innego.

– Chcę cię poczuć w sobie – szepnęłam.

Jego dłoń przesunęła się w górę moich pleców, na kark, nawinał moje włosy na pięść.

– Doprowadzę cię na szczyt ręką.

W sumie i na to mogłam przystać.

– A potem raz jeszcze ustami.

No i tak mi mów. Powtarzałam tylko „okej, okej”, prawie bez tchu.

– A potem ty weźmiesz mnie głęboko do gardła!

O tak, zdecydowanie! Tego najbardziej nie mogłam się doczekać.

– Okej – szepnęłam, nabijając się na jego niestrudzone palce.

– I dopiero potem cię przelecę.

– Jake! – Byłam już tak blisko, na granicy spełnienia.

– No i jak to brzmi?

– Świetnie! – krzyknęłam.

Widział moją wykrzywioną ekstazą twarz, słyszał mój jęk rozkoszy, nabijałam się na niego, wciąż zaciskając dłoń na jego przyrodzeniu. Świat wokół zniknął, było tylko moje wyprężone ciało dosiadające jego mocarnego ciała, jego dłoń między moimi udami, druga na karku i fale rozkoszy przelewające się przeze mnie. Opałam na niego, chowając twarz w jego szyi. Czułam, jak delikatnie gładzi wilgotne gorąco między moimi nogami.

– Dobrze było?

– O tak... – odpowiedziałam cicho, wciąż gładząc go delikatnie.

Dłonie znów objęły moje pośladki.

– A może masz ochotę na kawę, zanim rozpoczniemy drugą rundę?

Zapamiętał, że jestem uzależniona od kawy. Jak miło.

– Nie ruszaj się z łóżka, bo tylko mnie rozdrażnisz! – rzuciłam.

– No to rozkładaj nogi, kochanie, bo mam na ciebie smaka! Jesteś gotowa, a ja jestem głodny!

Zadrżałam na tę zapowiedź, uwalniając go w końcu.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam, jakich użyć słów.

Dziękuję ci za to, jaki jesteś. Wiele dla mnie znaczysz. Uszczęśliwiasz mnie, a nie czułam tego od dziesięcioleci. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko prawda.

Nie powiedziałam jednak nic z tego. Pociągnął mnie w dół, pocałował głęboko. A potem przetoczył mnie na plecy. I pokazał mi, jak bardzo jest głodny.

Bardzo.



Leżałam w łóżku, naga, usatysfakcjonowana. Jake w łazience na końcu korytarza pozbywał się zużytej prezerwatywy. Nawet ta chwila rozłąki była nieprzyjemna, ale po trzech intensywnych orgazmach, a szczególnie tym, który mi zafundował ustami, nie miałam nastroju na narzekanie.

Dojrzałam jego sylwetkę, gdy nagi podążał korytarzem, ale minął drzwi sypialni. Dokąd on niby się wybierał? Kluczowe w tym pytaniu było to, dokąd się wybierał na golasa?

Uniosłam się z trudem, bo ciało chciało leżeć i odpoczywać, podparłam się łokciem i już miałam go zawołać, gdy na nocnym stoliku, obok otwartego opakowania, dojrzałam jego portfel, z którego wysuwał się blister z prezerwatywami. Gdy pociągnęłam, wysunęły się. Było ich pięć, szóstą zużyliśmy. Uśmiechnęłam się pod nosem, mając nadzieję, że Jake szybko wróci i może pomyśli o tym, żeby jednak zrobić tę kawę. W końcu jego sylwetka pojawiła się w drzwiach.

Uniosłam w górę prezerwatywy.

Wargi drgnęły mu w uśmiechu. Wyjął opakowanie z mojej dłoni i odrzucił na stolik, po czym zakradł się do łóżka, wciągnął mnie na siebie i okrył nas kołdrą. Ześlizgnęłam się częściowo z niego, ale było mi miło i ciepło.

– To ile nam jeszcze tych godzin zostało? – spytałam.

– Niestety, już nie za wiele. Zostawiam to tuż przy łóżku.

– Biorę tabletki i jestem zdrowa, Jake – mruknęłam, przytulając się do niego.

Twarz mu złagodniała i odpowiedział:

– Dobrze wiedzieć, ale za to ja nie badałem się od siedmiu miesięcy i w tym czasie nie byłem abstynentem. Nie licząc naszego numerku w szatni, zawsze się zabezpieczałem. Teraz będziemy już tylko my, a ty wolisz bez, co jest super. Ale poczekajmy z tym, aż zrobię sobie coroczny przegląd.

Tylko my. Cudnie.

– Cudowny z ciebie facet, wiesz o tym? – powiedziałam, wodząc palcem po jego żuchwie.

– Ty też jesteś cholernie cudowna – rzekł, układając siebie i mnie na boku.

– Czuję się szczęśliwa, gdy tak mówisz.

– A ja czuję się szczęśliwy, gdy ty czujesz się szczęśliwa.

Wtuliłam się w jego ciało. Tak, był cudowny, to nie ulegało wątpliwości. Pocałował mnie, krótko, ale słodko.

– Kawa się parzy – mruknął, odsuwając się nieznacznie.

– Świetnie – mruknęłam. – To po to wyszedłeś z pokoju?

– Ta.

– I przemaszerowałeś przez dom Buni na golasa.

– Ta. To teraz jest twój dom i przez twój dom przemaszerowałam na golasa.

W moim domu. Nagi Jake. Oblizwała usta. Objął mnie mocno, ale twarz mu spoważniała.

– Ten dupek twój szef nie naprzykrzał się?

Pokręciłam głową.

– Nie odzywał się. A ja nie zamierzam dzwonić, zanim wszystkiego sobie w głowie nie poukładałam i nie będę wiedziała, co powiedzieć.

– A co zamierzasz mu powiedzieć?

– Że odchodzę? – odpowiedziałam pytaniem.

– Naprawdę byś to zrobiła? – odrzekł, a uśmiech zamarł na jego ustach.

Pokiwałam głową.

– Muszę jeszcze omówić to z prawnikiem, ale już wiem, że posiadłość Buni jest dużo warta. Ja również sporo odłożyłam i zainwestowałam. Nawet po zapłaceniu podatku od spadku zostanie całkiem pokaźna sumka. – Przez chwilę patrzyłam na jego poruszającą się grdykę, po czym dokończyłam: – Nie wiem jednak, jak sobie poradzę z faktem, że jestem bezrobotna. Lubię mieć co robić.

– I latać jak fryga.

– Co proszę?

– Latać po świecie – powtórzył. – Do Paryża czy Rzymu.

– A wiesz, że nie za bardzo...

– Co proszę? – zapytał teraz Jake.

Wytrzymałam jego intensywny wzrok.

– Lubię być tutaj, w Lawendowej Willi. W Magdalene. To przerwa od zabieganej codzienności, relaksowanie się każdą chwilą, nabieranie nowych nawyków. Coś jak wakacje. Ale pod koniec urlopu ma się ochotę wrócić do dawnego życia. Do domu. Do ustalonego rozkładu

dnia i obowiązków. Spędziłam tu jednak trochę czasu i nawet przed niechlubną wizytą Henry'ego czułam, że to właśnie tutaj jestem w domu. Miałam zamiar zapytać go, czy pozwoli mi wykonywać część pracy zdalnie. Stąd. Bo to właśnie tutaj jestem w domu i tutaj chciałabym pozostać.

– Więc i tak zamierzałaś nieco zwolnić?

– Tak – przyznałam.

– To dobra wiadomość, Śliczna – powiedział, zacieśniając uścisk, a jego twarz i spojrzenie złagodniały.

– Też tak uważam. – Bardzo spodobała mi się ta jawna manifestacja jego zadowolenia.

– Na pewno znajdziesz sobie jakieś satysfakcjonujące zajęcie – zapewnił. – Ale powiedz mi jeszcze, co, do cholery, znaczy „niechlubna”?

Zachichotałam i pocałowałam go w uśmiechnięte usta.

– Haniebna, niegodziwa – wyjaśniłam.

– Masz w sobie mnóstwo świetnych cech, kochanie. Ethan podłapuje twoje wyrafinowane słownictwo. Przysięgam, dziś rano, gdy Conner zabierał go do szkoły, młody stwierdził, że jest rozdrażniony i użył tego w kontekście bycia zdenerwowanym.

– No i prawidłowo – potwierdziłam, ale co innego mnie zastanowiło. – Conner wozi Ethana do szkoły?

– Tak, czasami. Otwieram siłkę z samego rana, więc chłopaki mogą poćwiczyć przed pracą. Jeśli z jakichś powodów nie zdążę wrócić, Conner albo Amber go zawożą, w końcu oboje mają własne auta.

Wtedy dotarło do mnie, że przecież niedługo musi iść otworzyć siłownię. I że miał jeszcze zajrzeć do klubu.

– Często jeździsz do klubu, gdy dzieciaki już zasną? – zapytałam.

– Prawie co noc. Siłownia na siebie zarabia, ale marne grosze. Gdybym zatrudnił kogoś na stałe, pewnie nie wyszedłbym spod kreski. Muszę więc sam otwierać i zamykać. Con pomaga, jak może, ale ma niewiele wolnego czasu. Złapał nową pracę, a przecież musi też mieć czas na naukę i zabawę. W domu i tak bardzo mnie wyręcza przy młodszym bracie. W klubie pomaga mi pewien facet, ale tam nietrudno o jakiś przekręt. Nikt nic nie kombinuje, jeśli wiedzą, że mogę pojawić się w każdej chwili. To porządne miejsce, ale na to trzeba nieustannie pracować. Podejrzany element zawsze się pojawi, nieważne, co zrobię. Jeśli młodzież jest w domu z Ethanem, to mogę się tam kręcić całą noc. W ten sposób nigdy nie wiedzą, kiedy się pojawię, więc pomyślą dwa razy, zanim coś zmagstrują.

– Czyli tak naprawdę wiesz życie bardzo podobne do tego sprzed zostania właścicielem klubu, z tą różnicą, że nie masz żony, która by opiekowała się w tym czasie dziećmi – podsumowałam.

– Tak, ale na szczęście mam dzieci na tyle dorosłe, że mogą zająć się sobą i młodszym bratem, więc radzimy sobie.

– O której poszedłeś wczoraj do klubu?

– Około jedenastej.

– A w domu byłeś o...?

– Po drugiej.

– I rano musisz otworzyć siłownię?

Przetoczył się na mnie.

– Trzeba sobie radzić – odpowiedział.

– Widzę, że sobie jakoś radzisz – odpowiedziałam. – Pomijając codzienne nastoletnie bolączki, twoje dzieci wiodą szczęśliwe życie. Są zdrowe, nakarmione, mają piękny dom

i własne pokoje, w których się świetnie czują. Widać, że bardzo cię kochają, a ty starasz się być z nimi, kiedy tylko się da. Wiedzą, że się o nich troszczysz. Jesteś surowy, ale sprawiedliwy i można z tobą pogadać. To jest urocze, wręcz piękne. Nie nadużywasz swojej rodzicielskiej władzy. Ale z pewnością to cię wykańcza.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał, przechylając głowę. – Że powinienem pozbyć się siłowni? Klubu się nie pozbędę, bo to on opłaca dzieciom ich pokoiki.

– Nie. Chcę powiedzieć, że powinienes się wysypiać. Albo przynajmniej zawozić syna do szkoły. Ja mogę otwierać siłownię i siedzieć w biurze, gdyby ktoś czegoś potrzebował. Musisz tylko pokazać mi, co i jak.

Nic nie powiedział. Więc ja się odezwałam.

– To przecież nie jest trudne, prawda? Jeśli nie masz księgowego, tym również chętnie się zajmę, w końcu prowadziłam rachunkowość Henry’ego. Nie mam wprawdzie studiów w tym zakresie, ale ukończyłam kilka kursów, by móc rozwiewać wszelkie wątpliwości Henry’ego w sprawie jego finansów.

Jake dalej milczał. A ja dalej mówiłam.

– Albo mogłabym wieczorami zaglądać do klubu. Nie mam wprawdzie takiej władzy jak ty, ale jeśli ludzie będą wiedzieć, że jesteśmy razem, to może moja obecność nieco ich przytemperuje. Mogłabym mieć oko na wszystko. I tak prowadzę raczej nocny tryb życia, więc nie miałabym z tym problemu.

Jake wciąż się nie odzywał i zaczęło mnie to niepokoić. Uświadomiłam sobie, że był przekonany o własnej nieomyślności we wszystkim, co robił. To się tyczyło również bycia ojcem. Chyba to, co mówiłam, odebrał jako podważanie jego kompetencji, a przecież w grę wchodziły jego dzieci i jego interesy. Musiałam jakoś z tego wybrnąć.

– Nie mówię, że ty nie...

– Cicho, Śliczna – przerwał mi.

Zamknęłam usta. Patrzył na mnie takim wzrokiem, że cała się w sobie skurczyłam.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić. To nie był mój zamiar...

Dotknął moich ust, uciszając mnie, ale było w tym geście mnóstwo czułości. Potem mnie delikatnie pocałował. Odrywając usta od moich, szepnął:

– Mama kwoka troszczy się o dobro moich dzieci. Moja kobieta troszczy się o moje dobro.

Zaprotestowałam jakimś mruknięciem, ale tak naprawdę podobał mi się sens tych słów. I to, jak wyraził swoją czułość delikatnym pocałunkiem. A potem opowiedział mi pewną historię:

– Trzy, cztery lata temu Junior wypadł z obiegu. Nie mógł znaleźć roboty, bo gospodarka była w zapaści. Alyssa też miała swoje problemy. Łatwo było odpuścić sobie wizyty u kosmetyczki, gdy domowe fundusze wysychały. Zakład był jednakże otwarty po zwykłych godzinach pracy i w dni wolne, by umożliwić klientkom wizyty w dogodnym dla nich terminie. Więc zarabiała niewiele, choć pracowała ciężiej. To pozwoliło im utrzymać dom. Do tego prowadziła dom, gotowała, bo Junior łapał się najdziwniejszych zajęć w najdziwniejszych godzinach, by cokolwiek zarobić. Jeździł po całym stanie na różne rozmowy o pracę. Nigdy na to nie narzekała. Nigdy go nie besztala. Przez trzy lata był bez stałej pracy, ale gdy się na nich patrzyło, zachowywali się jak gołąbeczki. Junior był dla niej całym światem, słońcem i księżycem. I dalej tak jest, a ona mu to okazuje w każdej chwili w każdy możliwy sposób. On ją za to kocha. Zasłoniłby ją własnym ciałem przed kulą. Wyszepałby jej imię ostatnim tchnieniem. Bo dobra kobieta troszczy się o swojego mężczyznę.

Umilkł, a ja miałam łzy w oczach. I raz jeszcze stwierdziłam, że bardzo, bardzo lubię Alyssę.

Jake mówił dalej:

– Byłem żonaty trzy razy. Nigdy nie czułem takiego wsparcia. Żadna z zaobrączkowanych przeze mnie kobiet mi tego nie dawała. Nie mówiły mi, jaki to jestem cudowny. Nie ofiarowały pomocy, gdy robiło się krucho. A teraz, gdy wszystko się ustabilizowało, gdy wyszedłem na prostą i poukładałem sobie życie, ty oferujesz mi pomoc, choć znam cię zaledwie kilka tygodni.

– Nie możesz kłaść się o drugiej i wstawać do pracy o wpół do siódmej. Nie na dłuższą metę. To niezdrowe – powiedziałam łagodnie.

– Od lat tak robię, Josie, tak wygląda mój styl życia. Przyzwyczałem się i to mi nie przeszkadza. Znajduję czas na wypoczynek – odpowiedział równie łagodnie. – Najważniejsze jest dla mnie to, że się tym przejmujesz.

Oplotłam go ramionami.

– Cieszę się, że raduje cię moja atencja, ale i tak uważam, że powinieneś wprowadzić mnie w sprawę siłowni i klubu.

Zaśmiał się tak, że aż całe łóżko się zatrzęsło.

– Ja wcale nie żartuję! – zaprotestowałam.

– Wiem! – rzekł, wciąż się śmiejąc.

– No więc? Dasz mi klucze do siłowni i oprowadzisz mnie po klubie?

– Będziesz głądzić o tym tak długo, aż to zrobisz? – zapytał z uśmiechem.

– Dokładnie tak.

– No to chyba nie mam wyboru.

– Nie masz. A ja poczuję się lepiej, mogąc pomóc – dodałam.

– Takie sobie wyznaczyłem zadanie: sprawiać, byś czuła się lepiej. – Zabrzmiało to tak, jakby się ze mną droczył.

– Możesz mi płacić za pomoc w naturze! – zadeklarowałam całkiem serio.

Teraz już nie wytrzymał i zaśmiał się całym sobą, upadając na mnie. Jego ciało było ciężkie i bardzo twarde.

– Jake! – pisnęłam z wysiłkiem, wbijając palce w jego plecy.

Uniósł się, ciągle się śmiejąc.

– Ja wcale nie żartuję! – powiedziałam, usiłując przekrzyczeć ten śmiech, ale on oparł czoło o moje i nie zamierzał chyba przestać.

Klepnęłam go w plecy.

– Bardzo jesteś dobry w płaceniu w naturze! – zauważyłam.

– Zdążyłem sam się zorientować, mała, ale wierz mi, nie musisz na to pracować!

Mówiąc szczerze, taką właśnie miałam nadzieję, ale wznowiłam te żartobliwe negocjacje.

– No to będę pobierać wynagrodzenie w tacy!

To wywołało nową lawinę wesołości.

– Wcale nie zamierzałam być zabawna! – stwierdziłam, mrużąc oczy.

Nagle jednak rozbawienie zniknęło. Poczułam się tak, jakby jego ciało stało się jakąś ochronną kopułą, miłą i ciepłą, a przede wszystkim bezpieczną.

– Wiesz, że Lydia wiele mi o tobie opowiadała...

Poczułam, że puls mi przyspiesza, moje ramiona zacisnęły się wokół jego ciała jakby niezależnie od mojej woli. Nie musiałam jednak nic mówić, bo Jake zrozumiał ten gest.

– Wiem wszystko o twoim ojcu. Wiem, co robił twojej matce i że robił to często. Wiem, że to widziałaś. Wiem, że kazał ci patrzeć. Wiem, że to było skrzywione i że to skrzywiło ciebie.

Zamilkł, a ja zamarłam.

– Wiem o Andym.

Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę. Nie byłam na to wszystko gotowa, ale Jake wyszeptał do mojego ucha:

– I wiem również o tamtym facecie.

Zacisnęłam powieki.

– Nie mówię tego wszystkiego po to, żeby cię przestraszyć, ani po to, żeby cię zranić. Lydia musiała zrzucić z siebie ten ciężar, więc zwierzyła mi się. Powierzając mi te wszystkie mroczne tajemnice, pokazała, jak bardzo mi ufa, powierzając również ciebie. I to jest zaszczyt, maleńka.

Gdy mówił, przez cały czas dotykał mojej twarzy.

– Mówię ci o tym wszystkim teraz, gdy jesteś już moja, gdy leżysz przy mnie, tak blisko, naga, bezpieczna, i budujemy wspólnie coś nowego, troszcząc się o siebie nawzajem. Nie masz w tych sprawach doświadczenia i chcę, abyś wiedziała, że ja wiem, dlaczego tak jest. Dlaczego nigdy tak naprawdę nie byłaś w związku z mężczyzną. Wiem, skąd ta sytuacja, i wziętem to sobie do serca. Możemy wrócić do tych bolesnych spraw, ale tylko wtedy, gdy ty będziesz na to gotowa. Na tę chwilę wiedz, że zrobię ci tyle tacy, że już nie będziesz mogła na nie patrzeć. Bo taka jest twoja zachcianka. Ty opiekujesz się mną, ja opiekuję się tobą. Będę prowadził cię na szczyt, kiedy tylko zechcesz. Będę szykował ci kolacje, zabierał cię do restauracji, nawet do Nowego Jorku, żebyś mogła się spotkać z przyjaciółmi, albo do Paryża, jeśli akurat będziesz miała ochotę na ślimaki. Ale nie będę robił tego wszystkiego w zamian za to, co mi dajesz. Ty decydujesz, co mi dać i kiedy. A ja poczuję się źle tylko wówczas, gdy okażesz, że zbyt mało dostajesz ode mnie.

Zamilkł. Ja również się nie odzywałam.

– Josie, rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Nabrałam powietrza przez nos, otworzyłam w końcu oczy i spojrzałam na niego. Wszystko, co powiedział, było skończenie piękne. Cudowne. Ale zamiast dać mu to do zrozumienia zapytałam tylko:

– Wiesz o Andym?

– Tak, maleńka – odpowiedział cicho.

– Wiesz, co się stało, gdy ojciec dowiedział się o...

– Wiem, że wylądowałaś w szpitalu – wciął się. – Wiem.

Zacisnęłam usta.

– Wiem również, że to wtedy Lydia zwróciła się do służb socjalnych i przyznano jej prawo do opieki nad tobą.

Bunia faktycznie wszystko mu o mnie opowiedziała. Mogłam tylko przytaknąć.

– Wiem, że kończyłaś szkołę u Świętego Michała, dobrą, prywatną szkołę dla dziewcząt. Bezpieczną i blisko Lydii.

Nie przerywałam mu.

– Wiem, że w college'u poznałaś pewnego dupka.

Serce skoczyło mi do gardła.

– Możemy teraz o tym nie rozmawiać? – zapytałam słabo.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedział, muskając kciukiem moją zuchwę.

– Masz rację, nigdy nie byłam w żadnym poważnym związku. No... do teraz.

– A ja nie byłem chyba nigdy w żadnym udanym związku, więc musimy popracować nad tym razem – odrzekł szybko.

Wytrzymałam jego intensywny wzrok, myśląc o tym, że to wspaniale, iż mnie nie oceniał, nie oceniał życia, jakie prowadziłam, ani wyborów, których dokonałam. Nie dawał mi odczuć, że byłam słaba czy dziwna. I tak, bardzo chciałam pracować z nim nad naszym związkiem. Moje

spojrzenie się zamgliło, gdy powiedziałam:

– Zobaczyłam w nim ojca.

– Wiem – odpowiedział cicho.

– Nie w Andym – dodałam, aby mieć pewność, że wie, o kim mówię. – Był uroczy, gdy się poznaliśmy. Po rozstaniu również. Dzwonił. Nawet pisał. Ale nie było już powrotu.

– Wiem.

– Mówię o tym drugim mężczyźnie – powtórzyłam, choć wiedziałam, że Jake ma tego świadomość.

– Tak.

– Bałam się, że na nic więcej nie mogę już w życiu liczyć.

– Rozumiem.

Wtedy przypomniałam sobie, co powiedział w noc naszego pierwszego razu, i nabrało to nowego sensu.

– Założyłam więc maskę, przebranie, spod którego nie było widać mnie, ale i ja niczego bym spod spodu nie dojrzała.

– Tak. A wiesz, co w tym pokochałem?

Co pokochał?

Pokochał?

Serce zatrzepotało mi w piersi.

– Co pokochałeś, Jake?

– To, że zrzuciłaś to przebranie, patrząc na moją walkę. Że twoje prawdziwe ja ujrzało światło dzienne właśnie w tamtym momencie. Wtedy, gdy siedziałaś pod ringiem tylko dla mnie i patrzyłaś, jak robię to, co kochałem przez całe życie. Niby dalej chodzisz, jak chodziłaś, mówisz, jak mówiłaś, ale wtedy, pod tamtą ścianą, gdy przyjęłaś mnie w siebie, od tamtego momentu mam czystą, prawdziwą ciebie. Dzieciaki również mają prawdziwą ciebie. Niby już wcześniej cię poznaliśmy, ale czuję, że coś się zmieniło. I różnica nie polega na tym, że teraz leżysz przy mnie naga. Po prostu teraz widzę prawdziwą ciebie. Czasem roześmianą, czasem stojącą do konfrontacji, jak w sytuacji z Mią, a innym razem wspierającą Amber podekscytowaną nowym chłopakiem. Nie boisz się zaryzykować. Chcesz się zaangażować, po raz pierwszy od lat. Chcesz iść w to razem ze mną. I to właśnie kocham.

Miałam już wilgotne oczy, a jego dłoń spoczywała w gotowości na mojej twarzy, na wypadek pojawienia się jakiejś łzy.

– Nie wkurzaj się na Lydię za to, że powiedziała mi o tym wszystkim – powiedział delikatnie.

Pokręciłam tylko głową, bo gdy Jake był znowu taki cudowny, jeszcze cudowniejszy niż zwykle, nie było mi łatwo.

– Zrobiła to, więc teraz ja nie muszę się zwierzać – zauważyłam.

Zwierzanie się nie przychodziło mi łatwo, więc można powiedzieć, że zrobiła mi kolejny prezent. Ale to ja narzucałam sobie te ograniczenia, to ja zakładałam maski.

– Ukrywałam się przez tak wiele lat, Jake... – powiedziałam, uciekając wzrokiem od jego spojrzenia.

Poczułam łagodny nacisk opuszek jego palców na twarzy.

– Teraz przeżyjesz to wszystko. Ale czy naprawdę, patrząc wstecz, powiedziałabyś teraz, że nie wiodłaś wspaniałego życia? Poznałaś tylu ludzi, zwiedziłaś tyle miejsc.

Znowu pokręciłam głową, ale to on skomentował:

– Oczywiście, że nie. Teraz po prostu dostaniesz od życia jeszcze więcej.

Dostanę jeszcze więcej. O wiele więcej.

– To właśnie tego chciała dla nas Bunia, prawda? – zapytałam.
Coś zmieniło się w jego spojrzeniu; zjechał dłonią na moją szyję i powiedział:
– Prawda.
– Myślisz, że teraz, gdziekolwiek jest, czuje się szczęśliwa?
– Z pewnością – potwierdził.
Odprężyłam się, bo ta myśl bardzo mi pomogła.
– To dobrze... – szepnęłam.

Chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego pochylił się i musnął wargami moje usta, potem kolejny raz i jeszcze jeden, a w końcu pocałował mnie głęboko. Przeturlaliśmy się i znowu znalazłam się na gorze. Bawiliśmy się tak przez chwilę, przewalając się po łożku i całując. Gdy znów byłam pod nim, a on wędrował ustami po mojej szyi, mruknął:

– Właśnie dlatego zrobiłem zapas prezerwatyw.

Już dwie sekundy później, gdy poczułam coś gorącego i twardego na udzie, a jego dłoń zawędrowała do mojej piersi, wszystkie myśli uleciały.

Nawet ta o kawie.



Nie miałam za wiele czasu na prace w ogródku, więc uwijałam się jak w ukropie. Trzeba było jeszcze usunąć martwe części roślin, rozsypać nawóz i przekopać ziemię przed zimą, a wrzesień już dobiegał końca. Co by tu posadzić na wiosnę? Kukurydzę. Ziemniaki. Dynie.

Dynie koniecznie, bo Ethan z pewnością chciałby zrobić sobie latarenkę na Halloween.

Jake odjechał po lunchu złożonym z kanapek, które dla nas przygotowałam. Nie było go jakies pół godziny. Dochodziła pierwsza i mój czas na prace ogrodowe się kończył.

Gdy lata temu pracowałyśmy w ogrodzie z Bunią, wydawał się o wiele mniejszy. Nie było opcji, żebym zdążyła ze wszystkim, co sobie na dziś zaplanowałam. Musiałam część prac przełożyć na kolejny dzień.

W końcu o trzeciej musiałam stawić się w salonie Alyssy, a wcześniej odebrać Ethana ze szkoły. Po zabiegach pielęgnacyjnych zamierzałyśmy skoczyć na drinka, więc musiałam świetnie wyglądać. Ten wystrzałowy wygląd potrzebny był mi jednakże głównie na wieczór, bo po tych wszystkich przygodach czekała mnie kolacja u Jake'a i wizyta z nim w klubie. Zamierzał mnie oprowadzić i wszystko pokazać, na wypadek gdybym musiała się tam pokręcić i zdać mu relację, o czym wspominał z tłumionym uśmiechem. Nie zamierzał pozwalać mi na takie rzeczy. Ale ja i tak zamierzałam to robić.

Wrywałam akurat zwiędłe pędy kukurydzy, gdy usłyszałam:

– Josephine.

Uśmiezek spowodowany rozmyślaniami o tym, co mnie czekało, zamarł mi na ustach, gdy zobaczyłam Henry'ego stojącego za białym płotkiem.

Wyglądał świetnie jak zwykle: wysoki, przystojny i ciemnowłosy, taki sam, jakiego oglądałam go przez lata. Siwizna się nie pojawiła, a wiedziałam, że się nie farbował. A rysy miał szlachetne jak zwykle. Nie tak szlachetne jednak jak Jake'a. Miał w sobie coś ostrego, ale to było nic w porównaniu z Jakiem.

Zlustrował mnie uważnie i jego twarz zamieniła się w nieruchomą maskę. Wiedziałam, co to oznacza. Zawsze przybierał taki wyraz twarzy, gdy miał rozmówcę za nic albo ta osoba go denerwowała. Dziś po raz pierwszy mnie dostało się to spojrzenie.

– Henry – przywitałam go, idąc w kaloszach po nierównej grządce. Zatrzymałam się przy płocie i rzuciłam, nawet nie próbując ukryć emocji: – Nie jestem pewna, czy chcę teraz z tobą rozmawiać.

– Rano wylatuję do Paryża – zakomunikował krótko. – Amond przesunął zdjęcia o jeden dzień, bym mógł cię odwiedzić. Nie mam czasu na długie pogawędki. Albo zrobimy to teraz, albo przez telefon. I myślę, że teraz jest odpowiedniejszym momentem.

To wyjaśniało dziwne komentarze Amonda podczas naszej rozmowy. Wiedział, że Henry jest w drodze do mnie. Wiedział, że idę oglądać walki mężczyzn, którzy byli mną zainteresowani, dlatego tym bardziej rozeźlił mnie fakt, że nie uprzedził mnie o wizycie Henry'ego. To były drobiazgi. Liczyło się tylko to, co tak naprawdę możemy sobie teraz powiedzieć, tak stojąc twarzą w twarz.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, Henry, to mów. Nie mam wiele czasu, muszę dokończyć tu pracę, potem jechać do szkoły po Ethana. Jestem umówiona z przyjaciółką, a wieczór spędzam u Jake'a z jego rodziną. Cokolwiek chcesz powiedzieć, mów teraz.

Jego maska się rozmyła, ale tylko nieznacznie.

– Spędzasz wieczór z Jakiem i jego rodziną.

– Tak – potwierdziłam.

– Jak myślisz, czy właściciel lokalnego klubu go-go wie, że twoja babka była milionerką?
– zapytał bezczelnie.

Poczułam dreszcz i wyprostowałam się.

– Jeśli sugerujesz, że Jake'a interesują tylko pieniądze Buni, to jesteś w błędzie. A do tego mnie obrażasz. A pogardliwy ton, w jakim się wypowiadasz o klubie, również jest bezczelny. To bardzo szanowane miejsce. Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

– Czy istnieje w ogóle coś takiego jak szanowany klub go-go? – zapytał, ignorując moje słowa.

– Taki właśnie jest klub Jake'a – odparłam. – Jeśli jednak to ma być tematem naszej rozmowy, to niestety przybyłeś do Lawendowej Willi na próżno. Nie mam zamiaru o tym rozmawiać.

– Nie o tym chciałem rozmawiać.

Wytrzymałam jego spojrzenie. Widziałam, jak zaciskają mu się szczęki, po czym w końcu przemówił:

– Rozmawiałem z Danielem. Skontaktował się z firmą w Los Angeles, która spakuje twoje rzeczy z domu nad basenem i prześle je tutaj. Przybędą najpóźniej pod koniec tygodnia. Daniel zgodził się również oficjalnie objąć stanowisko mojego asystenta. Dostaniesz półroczną odprawę, za dwa dni pieniądze będą na twoim koncie, w tym samym czasie dotrą oficjalne papiery. Wystarczy podpisać i odesłać w dogodnym dla ciebie terminie.

Poczułam ucisk w skroniach.

– A więc zwalniasz mnie dlatego, że związałam się z mężczyzną... – stwierdziłam.

– Kończę nasz zawodowy związek, ponieważ przestał być użyteczny.

– A jest bezużyteczny dlatego, że jesteś we mnie od lat zakochany, ale nigdy nie odważyłeś się, by to okazać, a teraz, gdy spotkałam mężczyznę, na którym mi zależy, wywołuje to u ciebie jakąś traumę. No i możesz poradzić sobie z nią w jedyny znany ci sposób: zwalniając mnie, bo to jest w twojej mocy.

Jego twarz nawet nie drgnęła.

– Jesteś milionerką, Josephine, a odprawa jest godna.

– Myślę, że godniejsza byłaby taka, która opiewałaby na sumę miesięcznej pensji za każdy rok, który dla ciebie przepracowałam, Henry – zaczęłam się wyklócać tylko dlatego, że

mnie rozdrażnił.

– Dobrze więc, poproszę Daniela, aby naniósł poprawki do dokumentów rozwiązujących nasz kontrakt – odpowiedział natychmiast.

Wtedy właśnie poczułam ukłucie w sercu, jakby nagle przeszła je strzała. Aż dziw, że nie zachwiałam się do tyłu.

Zraniona duma. Znowu. Tym razem jednak strzał wymierzony był we mnie.

– I to wszystko? – zapytałam.

– To wszystko – potwierdził.

– Dwadzieścia trzy lata u twojego boku, a ty po prostu płacisz mi żadaną sumę i odchodzisz.

– Tak. – Nie wahał się ani chwili z odpowiedzią.

Po raz trzeci tego dnia poczułam napływające do oczu łzy, ale to nie był dobry, emocjonalny płacz, który mogłoby wywołać zasłyszanie historii o kimś miłym albo wspomnienie mężczyzny, na którym kiedyś bardzo mi zależało.

To były łzy straty i zdrady.

– Nie potrzeba tutaj łez, Josephine – rzekł Henry zdawkowo. – Byliśmy po prostu fotografem i asystentką.

– Przez te wszystkie lata nie miałam nikogo prócz Buni i ciebie.

Maska znowu zamigotała, ale odzyskał kontrolę. Nic na to nie odpowiedział.

– Poczułeś się zraniony tym, że znalazłam drogę do szczęścia? I tak mi odpłacasz?

– Nie jestem do końca pewien, czy można znaleźć szczęście przy boku właściciela klubu ze striptizem gdzieś w środku nicości, ale jeśli tak definiujesz szczęście, Josephine, to nie zamierzam stawać ci na drodze.

No właśnie. Usuwał się z mojej drogi.

– Moim pierwszym wspomnieniem jest widok ojca uderzającego głową mojej matki o kuchenną podłogę.

Udało mi się rozbić jego maskę tym wspomnieniem tak gwałtownie, że aż się cofnął. Wspomnienie wróciło, wyraźne i obrzydliwe jak zawsze. Mówiłam dalej:

– Jakiś czas później matka odeszła i nigdy nie wróciła. A gdy ojciec dowiedział się, że spotykam się z chłopakiem ze szkoły, pobił mnie tak dotkliwie, że wylądowałam w szpitalu na tydzień.

Kolejny spazm i szept: „Josephine...”.

– Bunia mnie z tego wyciągnęła. Znornalniałam, o ile to możliwe po takich przejściach. Poszłam do college’u. Tam się zakochałam. On mnie kontrolował, to prawda, ale był przystojny i troskliwy, tak mi się przynajmniej wydawało. Do czasu, aż pierwszy raz mnie uderzył, a ja spałam ze schodów i zламаłam obojczyk. Po tym również wróciłam tutaj, do Buni.

Wyciągnął rękę ponad płotem, ale cofnęłam się.

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tym, Henry, dlaczego jestem taka wycofana?

– Kochanie...

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, żeby zapytać?

– Jo...

– Nie. Nie przyszło. A byłam tak bardzo w tobie zakochana, gdy zaczynałam dla ciebie pracować. Odczuwałam z tego powodu ból każdego dnia. A teraz dokładasz ból po stracie jednej z dwóch osób w moim życiu, które naprawdę troszczyły się o mnie, z wzajemnością. Ale przywykłam do bólu.

– Byłaś we mnie zakochana? – powiedział z pustą twarzą.

– Na zabój.

– Kochanie... – szepnął zbolalym głosem.

– Teraz dowiedziałam się, że żywiłeś wobec mnie podobne uczucia, a mimo to nigdy nie zapytałeś, dlaczego jestem taką asekurantką. Dlaczego jestem wyniosła. Dlaczego sprawiam wrażenie bujającej w obłokach. Nawet nie próbowałeś przebić mojej tarczy. Nawet nie przyszło mi do głowy, że żywisz do mnie jakieś głębsze uczucia, bo... bo... nie wiem, dlaczego ani razu nie dałeś mi tego odczuć. Okazywałeś czułość wielu innym kobietom, ale mnie nigdy.

– Cały czas dawałem ci znaki, Josephine...

– Nie. – Pokręciłam głową. – Za to Jake dawał. Wiedział o wszystkim, co mnie spotkało, więc był świadom, że musi stąpać ostrożnie. Spodobałam mu się, więc delikatnie parł do przodu.

– Miał jednak przewagę, prawda? Ja nie znałem twojej gównianej przeszłości – zauważył Henry.

– Nie zapytałeś! – wysyczałam, pochylając się na moment w stronę płotu. – Przez dwadzieścia lat ani razu nie zapytałeś!

– A skąd miałem wiedzieć, że jest o co pytać, Josephine?

– Jeśli kogoś kochasz, to chcesz wiedzieć o tej osobie wszystko! Pragniesz zaleczyć jej rany. Chcesz być blisko w potrzebie. Cały czas chcesz być blisko.

– Czy ty mi mówisz, że zakochałaś się w facecie, którego znasz od dwóch tygodni?

– Nie, Henry. Mówię, że dawałam ci moją miłość przez dwadzieścia trzy lata.

Przez jego twarz znowu przemknął grymas. Wiedział, że każde moje słowo jest szczerą prawdą.

– Jak miałem powiedzieć o swoich uczuciach komuś, kogo zatrudniałem? Komuś, kto naprawdę się dla mnie liczył i bałem się, że przez to ją stracę?

– Może trzeba było zaryzykować? Nie byłam warta tego ryzyka?

– Przypomnę ci, kochanie, że ty również nigdy nie podjęłaś tego ryzyka. Miał rację, niestety.

– Bałam się – uświadomiłam mu.

– Teraz to rozumiem, ale przecież wtedy nie mogłem mieć o tym pojęcia. W tej kwestii również miał rację. Spojrzałam na ziemię przy moich stopach.

– Josephine... – zawołał mnie, a ja uniosłam wzrok.

– Nie było nam pisane, Henry – stwierdziłam.

– Skąd możemy to wiedzieć, skoro nawet nie spróbowaliśmy?

– Ja to wiem, bo właśnie zakochuję się w mężczyźnie, którego znam dopiero dwa tygodnie. Mimo tak krótkiego czasu nie potrafię sobie wyobrazić kolejnego dnia bez niego.

– Gdy spróbował coś powiedzieć, przerwałam mu: – Nie, to nie tak. Potrafię to sobie wyobrazić, ale nie chcę tego.

– Nie jestem pewien, czy to właściwa partia dla ciebie.

– A ty byłbyś właściwy, skoro tak łatwo oceniasz ludzi, nawet ich nie znając?

– Wczoraj, przy naszej szorstkiej wymianie zdań, cały czas stał obok, a mimo to nie stanął w twojej obronie.

– To prawda. Ale jesteś moim pracodawcą, ja mam czterdzieści pięć lat i słusznie uznał, że nie powinien się wtrącać. Wtrącił się, gdy zniknąłeś, i był przy mnie, pozwalając mi się wypłakać, pocieszając mnie.

– A więc jest ideałem – stwierdził Henry na poły sarkastycznie, na poły z niedowierzaniem.

– Nie, wcale nie – zaczęłam wyjaśniać. – Jest nadopiekuńczy i przytłaczający. Potrafi wybrać mi miejsce obok siebie i posadzić mnie tam jak lalkę. Często zachowuje się jak dyktator. Przeklina jak szewc i pozwala na to samo dzieciom, szczególnie najstarszemu synowi, ale

zamierzam z chłopakiem niedługo porozmawiać na ten temat. Jestem pewna, że ma mnóstwo innych wad, i wkrótce je wszystkie odkryję, jeśli sprawy będą toczyć się takim biegiem. Ale jestem szczęśliwa, że tak właśnie się toczy.

– A więc to ty nie dajesz nam szansy – powiedział Henry.

– Nie. Po prostu mieliśmy swoją szansę, ale jej nie wykorzystaliśmy. Nasz czas minął. I oboje jesteśmy temu winni. Ale ja idę dalej. To nie ja pojechałam do ciebie tylko po to, żeby się zwolnić. To ty przyjechałeś tutaj.

– A czy mogłabyś dalej dla mnie pracować, wiedząc, co do ciebie czuję? Skoro tyle dla ciebie znaczę, czy pozwoliłabyś mi biernie przyglądać się, jak oddajesz się innemu mężczyźnie?

– Nie. Zrezygnuję oczywiście – odparłam szczerze. – Chciałam zrobić to w inny sposób, zachować jakoś tę relację z osobą, która tyle dla mnie znaczyła, z tobą. Ale nie zdążyłam wymyślić sposobu, jak tego dokonać.

Gdy moje słowa wybrzmiały, patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Cholera, powinienem był polecić z tobą na pogrzeb Lydii – stwierdził dość szorstko.

To prawda. Powinien był. Ale tego nie zrobił. Gdyby jednak to zrobił, nie miałabym teraz Jake'a. Ani Amber. Ethana ani Connera. Nie odpowiedziałam.

– To ja wszystko spieprzyłem – szepnął takim tonem, że moja wściekłość zniknęła, czy może raczej zamieniła się w dotkliwy ból.

– Oboje mieliśmy w tym swój udział – powiedziałam cicho.

– Nie miałaś szansy zmienić swojej przeszłości. Ja mogłem się z nią zmierzyć.

To nie uległo wątpliwości.

– To ja spieprzyłem – powtórzył, ale nie mogłam już tego słuchać.

Postąpiłam krok i złożyłam dłoń na jego piersi.

– Przestań, Henry.

– Dwadzieścia trzy lata... Każdego ranka czekałem, aż wejdiesz do mojego pokoju hotelowego, niosąc mi kawę. Daniel nie jest nawet w połowie tak atrakcyjny, no i płęć się nie zgadza. Przesyła mi kawę przez obsługę hotelu.

Opuściłam głowę, opierając ją na spoczywającej na jego piersi dłoni. Uwielbiałam przynosić mu kawę. Uśmiechał się wtedy do mnie tak promiennie! Siadywaliśmy razem na pogawędkę, omawialiśmy plany na nadchodzący dzień, wszystko: rzeczy do zrobienia, miejsca do odwiedzenia. Albo nie rozmawialiśmy wcale. Zawsze potrafił mnie rozbawić. Gdy teraz spojrzałam wstecz, zdałam sobie sprawę z tego, że naprawdę dawał mi znaki. Każdego ranka. Złożył dłoń na moim karku. Była silna, a dotyk był słodki i przyjemny w chłodnym, jesiennym powietrzu.

– Jak już znajdziesz sposób na to, jak zakończyć nasz związek – wyszeptał w moje włosy – daj mi znać.

Choć przeszkadzał mi płot pomiędzy nami, przysunęłam się i przycisnęłam policzek do jego piersi.

– To mnie wykończy, kochanie. Odchodzę – rzekł wciąż szeptem, a palce na mojej szyi zacisnęły się na moment.

Odsunęłam się, nie chcąc dawać mu złudnej nadziei. Nie zamierzałam przecież go skrzywdzić, a jednak zrobiłam to, choć stało się to nieintencjonalnie. Nie odjął dłoni od mojej szyi, a gdy w końcu uniosłam głowę, pocałował mnie, i to bardzo głęboko. Moje wargi odruchowo się uchyliły, wpuszczając go do środka. Smakował wybornie i całował świetnie. Nie zdziwiło mnie to, w końcu to był Henry, chodzący ideał. No i miał sporo wprawy. Nie poczułam jednak ognia, który z pewnością ogarnąłby mnie w takiej sytuacji jeszcze trzy tygodnie wcześniej. Rano dotykał i całował mnie Jake, a z tym nic nie dawało się porównać. Nic. Nawet

pocałunek Henry'ego. Oderwał usta od moich i spojrzał mi w oczy. Zobaczył, że moje spojrzenie było zupełnie niewzruszone, gdyż wcale nie starałam się tego ukryć.

– To ja wszystko spieprzyłem – powiedział raz jeszcze pełnym bólu głosem.

Poczułam skurcz w gardle, cofnęłam się o krok, a jego dłoń spadła z mojego karku. Znowu pojawiły się łzy. Nie mogłam dojść ze sobą do ładu. Choć przy Jake'u czułam, że mam wszystko, to teraz, gdy Henry odchodził, czułam jednocześnie, że wszystko tracę.

– Bądź szczęśliwa – powiedział łagodnie. – Naprawdę tego ci życzę.

– Tobie życzę tego samego – odpowiedziałam.

Węzeł na gardle się zacisnął, gdy Henry wyszeptał:

– Żegnaj, moja Josephine.

Uśmiechnął się smutnym, nieobecny uśmiechem.

Czułam ból, gdy odchodził.



Zanurzyłam stopy w ciepłej wodzie. W chwili, gdy to zrobiłam, odezwała się Alyssa:

– No dobrze, kochanie, powiedz wszystko mamusce.

Spojrzałam na nią zdziwiona. Miała chyba na myśli to, co stało się między mną i Henrym. Porzuciłam pracę w ogrodzie i odkryłam, że Alyssa zasypała mnie esemesami na temat wizyty Ethana, Bryanta i Sofie.

Gdy chłopcy się oddalili, poznałam Sofie. Dowiedziałam się wówczas, że między najstarszą córką i najmłodszym synem była jeszcze trójka dzieci. Sofie była młodszą, cichszą i nieśmiałą wersją Alyssy, naprawdę słodką dziewczyną.

Alyssa wsadziła mnie do swojego auta i zaparkowałyśmy na tyłach jej zakładu. Zapaliła światła i przygotowała dla mnie fotel. Przybytek w niczym nie przypominał tego, co wyobraziłam sobie, słysząc nazwę Salon Piękności Maude, był to raczej elegancki zakładzik, jakich wiele można było znaleźć w Nowym Jorku, Los Angeles, czy nawet w Paryżu. Złamana biel ścian, złoto, srebro i modernistyczne kryształowe lampy dodawały splendoru. Patrzyła na mnie wyczekująco pełnym troski wzrokiem.

– Mam do czynienia z dupeczkami od lat, przewinęły się ich tutaj tłumy. Znam ten wyraz twarzy, więc mów mi tu szybko, co się dzieje.

Coś we mnie pękło. Ukryłam twarz w dłoniach i zapłakałam. Poczułam, że kładzie mi na kolanach pudełko chusteczek, i gdy nieco się opanowałam, spojrzałam na nią załzawionymi oczami.

– Mów – ponagliła mnie.

Ten ciepły ton, łagodne spojrzenie, wszystko to, co opowiedział o niej Jake, sprawiło, że zaczęłam się zwierzać.

Wydmuchałam nos, otarłam twarz i opowiedziałam jej wszystko.

Wszystko.

O tym, jak dziadek traktował babcię. O tym, że mój ojciec i wujek nabrali takich samych, złych nawyków, bo taki mieli wzorzec. Nie szanowali matki. Obrażali ją. Pakowali się w kłopoty. Imprezowali. Dolewali benzyny do piekielnych płomieni, jakimi było jej życie. I mieli to wszystko gdzieś. Nigdy się nią nie przejmowali. Opowiedziałam o tym koszmarnym wspomnieniu ojca bijącego matkę. O Andym. O tym, jaki był wspaniały, mój pierwszy prawdziwy chłopak. Wiedział, jakim potworem był mój ojciec, i próbował mi to wynagrodzić.

Postępował ze mną tak delikatnie, tak bardzo starał się, by nikt się o nas nie dowiedział. Opowiedziałam nawet o tym, jak po pobiciu, gdy leżałam w szpitalu, włamał się do naszego domu, krzychał na mojego ojca i ciskał przedmiotami. Musiała zgarnąć go policja, a przynajmniej tak doniosła mi Alice, moja przyjaciółka. A potem wszystko się skończyło. Mój związek z Andym i z ojcem. Porzuciłam ich obu.

Opowiedziałam o tym, jak odnalazłam azyl w domu Buni, a ona się mną zaopiekowała i pomogła mi się pozbierać. Opowiedziałam jej o beztrudnych latach w college'u i o poznaniu charyzmatycznego chłopaka, z którym zamieszkałam po skończeniu uczelni, a który okazał się agresywnym sadystą. Opowiedziałam, jak mnie pobił, a ja znów uciekałam do Buni.

Opowiedziałam o tym, jak poznałam Henry'ego i zaczęłam życie u jego boku po włożeniu maski zimnej, niedostępnej profesjonalistki. O tym, jak żyłam w kłamstwie.

Powiedziałam o śmierci Buni, o testamencie, o tym, że zostawiła mnie w spadku Jake'owi, a on przyjął ten dar z radością.

Opowiedziałam o dziwnych relacjach z tutejszymi mężczyznami, a potem o przybyciu Henry'ego i naszym rozstaniu, które złamało mi serce kilka godzin wcześniej.

Słuchała, zajmując się moimi dłońmi i stopami. Kobieta, która zwykle nie pozwalała mi dojść do słowa, teraz tylko pomrukiwała, wtrącając od czasu półsłówka w stylu: „Okej”, „A niech to!”, „W mordę!” czy „...mhm...”.

Gdy skończyłam opowieść, spojrzała mi w oczy i skwitowała:

– Siostrzyczko, to jest naprawdę popieprzona historia.

To, że zrozumiała, wydało mi się bardzo ważne. Poczułam, że moje serce się otwiera, emituje ogień, który spala resztki maski, jakie usiłowałam utrzymać na twarzy.

– Po tym wszystkim stwierdzam, że jesteś jeszcze większą legendą, niż początkowo sądziłam.

To stwierdzenie nieco mnie skonfundowało.

– Co to niby znaczy? – spytałam.

– Dziewczyno! Miałaś ojca fiuta, matkę, która cię porzuciła, i faceta, który tak cię wychował... Taka przeszłość złamałaby wiele kobiet. Szczególnie że to ciągnęło się latami. I do tego wiedza, że ciągnęło się od pokoleń... Czyste wariactwo. A ty co? – Potrząsnęła głową. – Ty się nie dałaś złamać. Znalazłaś robotę, której każda by ci pozazdrościła, latałaś po świecie, obracałaś się wśród gwiazd, dumna jak królowa. Dajesz czadu!

– A nie uważasz... – zawahałam się – że byłam słaba, skoro całe życie ukrywałam...

– Laseczko, to była strategia przetrwania. Twoje życie w kłamstewku osładzały designerskie kiecki, loty pierwszą klasą, szampan i kawior. – Rzuciła mi szeroki uśmiech. – Myślę, że nieźle to rozegrałaś!

Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. I teraz nagle do mnie dotarło, iż faktycznie wyszłam z traumy obronną ręką.

– A starsza pani Malone, ostra petarda! – Zaśmiała się. – Zostawiła cię Jake'owi w testamencie? Zawsze wiedziałam, że coś kombinuje, ale że takie coś!

– To szczerza prawda. – Również się uśmiechnęłam.

Alyssa puściła do mnie oczko i wróciła do polerowania paznokci.

– Ale z tym Henrym to wyszło naprawdę kiepsko – ciągnęła. – Ta cała zmarnowana miłość, przez tyle lat... Trochę jak w jakimś europejskim filmie, który zapowiada się na romansidło, a w końcu nic się nikomu nie udaje, a po seansie ma się ochotę iść do baru i nawalić, żeby zapomnieć, że w ogóle się coś takiego obejrzało.

– Właśnie na to mam ochotę – potwierdziłam, a Alyssa uniosła wzrok. – Ale taki seans piękności, prezent od kobiety, która potrafi słuchać, wydaje się lepszym pomysłem

– dokończyłam cicho.

Rzuciła mi łagodne spojrzenie.

– Najlepsze jest to, że i tak pozwolę ci się ubzdryngolić, gdy tylko lakier wyschnie.

– To faktycznie jest najlepsze – potwierdziłam.

Znowu pochyliła się nad moimi paznokciami, więc powiedziałam do czubka jej głowy:

– Mam jednak nadzieję, że wódka nie rozwiąże mi języka na tyle, bym opowiedziała Jake’owi o tym, co wydarzyło się dziś między mną i Henrym.

Pokręciła przecząco głową, wkładając pędzelek do buteleczki z lakierem.

– Siostrzo, Jake nie może się o tym dowiedzieć! – powiedziała, spoglądając mi w oczy.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – przedrzeźniła mnie. – Bo, dziewczyno, to jest Jake Spear!

Co niby przez to rozumiała?

– Ależ Alysso... – zaczęłam, ale przerwała mi.

– Posłuchaj mnie, Josie. Nie masz doświadczenia z facetami, a ci, z którymi byłaś, okazali się dupkami. Ale skoro już jesteś z takim facetem jak Jake Spear, nie możesz mu wypaplać, że gdy jego nie było, gdy na chwilkę opuścił gardę i zostawił cię samą, pozwoliłaś pocałować się przystojniakowi, który od dekad był w tobie zakochany. Nie możesz mu powiedzieć, że gdy byłaś z nim, położył na tobie rękę inny facet. Nie teraz, gdy sprawa jest świeża. Nie za pięć lat. Nie możesz mu tego nigdy powiedzieć.

Nie sądziłam, że to dobra rada. Przecież mówiłyśmy o Jake’u! Był ze mną szczery i otwarty, więc z pewnością oczekiwał tego samego.

– Nie jestem pewna, czy Jake chciałby, żebym zataiła przed nim coś takiego – powiedziałam pewnie.

Pokręciła głową.

– Coś ci opowiem, kochanieńka, bo Junior jest ulepiony z tej samej gliny. Idziemy dziś na drynia, tak? Może się tak zdarzyć, że jakiś facet się mną zainteresuje. Zacznie się kręcić koło mnie jakiś dupek, nie zważając na to, że mam na palcu wielki pierścionek, który dostałam od mojego faceta. To się zdarza, gdy Juniora nie ma przy mnie, bo gdy jest, to żaden nawet nie spojrzy. Ale jeśli jakiś zagada, gdy Junior jest w kibelku, to spławiam go tak szybko, jak tylko się da, a zapytana tłumaczę Juniorowi, że koleś pytał o godzinę. Albo o wynik meczu, bo przez chwilę nie uważał. Nigdy nie mówię, że ktoś do mnie podbijał. Gdybym to zrobiła, Junior by go znalazł, skuł mu mordę, a ja musiałabym pracować na kaucję, żeby wykupić go z mamra.

Zaniepokoiło mnie to przynajmniej na kilku płaszczyznach.

– Okłamujesz męża? – zapytałam.

– No ba! – odrzekła.

Dziwaczne.

– Myślisz, że Jake chciałby dorwać Henry’ego?

– No ba!

Dobry Boże!

– Ale Henry jutro leci do Paryża!

– Musiałby chyba spieprzyć na księżyc, gdyby Jake dowiedział się, że był na tyle bezczelnym dupkiem, żeby złożyć ci pod jego nieobecność kolejną niezapowiedzianą wizytę, która skończyła się pocałunkiem. I to, że nie miałaś z tego całowania żadnej frajdy, nie miałyby żadnego znaczenia. Gdy taki facet uzna kobietę za swoją, nikt nie ma prawa dotknąć jej choćby palcem. Nie liczy się to, że ty i ten Henry byliście niespełnionymi kochankami jeszcze w czasach, gdy miałaś piętnaście lat, a o seksie uczyłaś się z *Błękitnej Laguny*. Nie nachodzi się kobiety Jake’a. Raz pozwolił ci rozprawić się z nim samodzielnie. Ale koleś pojawiający się po

raz drugi? – Pokręciła głową z wymownym grymasem. – O nie!

– Jake dopytywał dość często po tamtym pierwszym razie, czy Henry mi się nie naprzykrza...

– No ja myślę!

– A gdy kazał mi odwołać randkę z Mickiem, stał tuż przy mnie, z dłonią na mojej szyi, by upewnić się, że będę posłuszna.

– Wcale mnie to nie dziwi!

Chyba jednak musiałam zastosować się do jej rady.

– Jeśli cię zapyta, czy koleś się kontaktował, powiedz, że nie. Potem możesz mu powiedzieć, że zakończyliście sprawę telefonicznie. Ale nigdy nie mów mu o tym pocałunku. Nigdy. Rozumiesz?

Pokiwałam głową.

Mówiła dalej, a ja słuchałam uważnie.

– Kochana, powiem ci to bez ogródek, że jak już nauczysz się właściwie obchodzić z facetem w typie Jake’a czy Juniora, to dostaniesz w zamian... – Wymowne potrząśnięcie głową. – Niezłą jazdę. Nie ma nic lepszego. Nie oddają tego, co dostają. Oddają o wiele więcej. Zaharują się, by ci dogodzić. Obchodź się z nim umiejętnie, a zatrzęsiesz swoim światem w posadach!

To brzmiało naprawdę obiecująco i wiedziałam, że ma rację, bo Jake już zaczął mi dogadzać.

Alyssa kontynuowała swój instruktaż:

– Ale zanim to się stanie, musisz się sporo nauczyć. To, jak wyglądasz, jak się ubierasz, to, jaka jesteś... On już wie, że dostał niezły zestaw. Ale to nie znaczy, że możesz spocząć na laurach. I wierz mi, on nie zechce się tym dzielić i będzie chciał mieć pewność, że nikt nie tyka jego towaru. Micka spuścił na drzewo... – Pstryknęła palcami. – Ot tak! Kumplują się, owszem, ale Jake wymiótł konkurencję, nie dał mu szansy. Jak myślisz, co by zrobił, by sprzątnąć cię sprzed nosa sławnego fotografa? Co by zrobił, gdyby wiedział, że taki ktoś sobie z tobą pogrywa i chce ci zaszkodzić?

Mruknęłam tylko.

– No właśnie! – zgodziła się.

– Przemyślę to – powiedziałam.

– Dobrze to sobie przemyśl. Coś tam jeszcze czujesz do tego Henry’ego, on do ciebie też. A Jake nie podoba mu się nie tylko dlatego, że mu ciebie sprzątnął. A jeśli Jake by go dorwał i wywiercił nową dziurę w dupie, jak myślisz, jak odpłaciłby mu Henry?

Wiedziałam, do czego zmierza.

Pochyliła się w moją stronę.

– Naucz się reguł tej gry. Im szybciej, tym lepiej. Jasne?

– Eee... jasne – potwierdziłam po chwili, bo choć niby ją rozumiałam, wciąż nie miałam pewności, jak postąpić.

Widząc jednak jej pełne przekonanie do swoich racji, stwierdziłam, że w tej chwili najbezpieczniej będzie się z nią zgodzić.

– Jezusie, teraz to i ja muszę się napić, i to szybko! – oznajmiła. – Kończymy te pazurki i lecimy na wódeczkę!

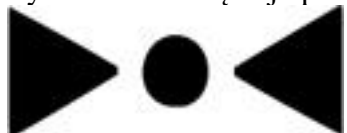
– Alyssa – powiedziałam, patrząc, jak nakłada perfekcyjną warstwę fioletowego lakieru.

– Ta? – spytała, unosząc wzrok.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

– Do usług, kochanie! – Uśmiechnęła się.

– Jeśli kiedyś będziesz... no wiesz... ja będę... mam nadzieję, że wiesz.
– Oj, kochaniutka! – Dokończyła malowanie. – Wiem i zapamiętam to sobie! Junior daje mi w kość, dzieciaki też. Mam mnóstwo klientek i psiapsiółek, ale chyba żadna nie umie utrzymać języka za zębami. Ale ty chyba umiesz dotrzymać tajemnicy, co?
– Oczywiście – zapewniłam ją.
– No to łądujesz na szczycie mojej listy Psiapsiół Do Wygadania Się.
Uśmiechnęłam się na myśl o tym, że znalazłam się na takiej liście. I to wysoko.
– No i w końcu mam z kim posiedzieć podczas walk! I to jest najlepsze!
To było najlepsze.
Alyssa okazała się najlepsza.



– Nigdy, pod żadnym pozorem nie daj się namówić na agresywne prostowanie. Używają formaldehydu. Keratyna, tylko keratyna! – instruowałam Paulette, jedną z tancerek w klubie Jake’a. Siedziałam tuż obok przy jej toalecie w szatni, akurat miała przerwę. – Alyssa w Salonie Piękności Maude stosuje keratynę. To droższy zabieg, ale naprawdę sprawia, że włosy są zadbane, odżywione i lśniące.

– I naprawdę się wygładzą? – zapytała Paulette.
– Staną się proste jak u Japonki! Więc jeśli jednak zależy ci na objętości, to przedyskutuj to z Alyssą. Ale jak już będą proste i lśniące, to mycie i układanie zajmie ci połowę czasu w porównaniu z tym, ile musisz im go poświęcić teraz.
– Suszę je chyba całą wieczność! – mruknęła.
– Wobec tego musisz spróbować. Wykonujesz taki fajny ruch głową, więc wyobraź sobie, jak spektakularny będzie efekt, gdy włosy złapią światło i opadną na twoje plecy!

Wyszczrzyła się w uśmiechu.
– O tak, to by było coś!
Odzwajemniłam uśmiech, bo już to widziałam oczami wyobraźni. Rozległo się gromkie pukanie i usłyszałam zza drzwi głos Jake’a:

– Facet chce wejść do garderoby!
– Zgoda! – odrzyknęła Paulette, zawiązując szlafrok, który prawie całkowicie obnażał jej obfite piersi. – Jako jedyny facet z ekipy pyta o zgodę – wyjaśniła.
– Przecież już widział twoje wdzięki – rzekłam, ściągając brwi na czoło.
– No tak, jakiś milion razy! – Zachichotała. – Ale i tak zawsze pyta. To urocze i słodkie. Inni faceci po prostu wchodzą jak do siebie, choć Jake ich za to opieprza. Gdy się kręci w pobliżu, to jeszcze się pilnują, ale gdy go nie ma, to zapomnij!

Nie dziwiło mnie to wszystko. Jake był w końcu, wbrew pozorom, uroczy i słodki. No i powinien wiedzieć, że jego pracownicy na zbyt wiele sobie pozwalają.

Jake przywitał się krótkim „Yo!” i brnął niezbyt zgrabnie przez zawalony pokój.
Dopięłam swego i byłam w klubie. A siedziałam w przebieralni dlatego, że gdy już Jake mnie oprowadził, przedstawił wszystkim barmanom, kelnerkom i ochroniarzom, akurat ten, który miał mieć na mnie oko, musiał odebrać jakiś ważny telefon w biurze. Przez jakiś czas oglądałam występy, sącząc martini, ale gdy zauważyłam, że Paulette schodzi ze sceny, wymknęłam się za nią za kulisy, by przedstawić jej zalety zabiegów keratynowych.

– Widzę, że poznałaś Paulette. – Jake przystanął przy nas.

- Tak – odpowiedziałam.
- Twoja laska jest super, Jake! – rzuciła Paulette, a ja się uśmiechnęłam.
- Ty również – odpowiedziałam jej.

Uśmiechnęła się promiennie, po czym wstała, zrzucając szlafroczek i z dumą prezentując biust, oznajmiła:

- Pora trochę nimi potrząsnąć!
- Do później, Paulette, miło było cię poznać! – krzyknęłam za nią.
- To do później, mała! – odpowiedziała, puszczając do mnie oczko i zniknęła za drzwiami.

Spojrzałam na Jake'a.

- Kazałaś jej wyprostować włosy? – zapytał.
 - Dałam jej wiele cennych wskazówek w tym temacie – odpowiedziałam.
- Z uśmiechem chwycił mnie za rękę i podniósł z krzesła.
- Martini ci się zagrzało. Idziemy po nowe.

Podążyłam za nim, bo nie zamierzałam protestować, a ciepłej wódki nie lubiałam.

Zaprowadził mnie do baru i usadził na hokerze. Staął tuż obok i skinął głową na barmana, którego już poznałam, miał na imię Adam. Chłopak postawił przed nami świeżutkie martini i piwo.

Upiliśmy po łyczku. No, ja łyczek, a Jake sobie zdrowo golnął z butelki. Odstawiłam kieliszek i poczułam, jak jego dłoń wślizguje się pod moją bluzkę na plecach, a palce leniwie kreślą znaki na skórze.

To było bardzo przyjemne. Zauważył, że pod wpływem jego pieszczoty aż wysunęłam koniuszek języka z ust, i wsunął palce za moje spodnie. Pochylił głowę i już miał coś powiedzieć, coś, co jeszcze bardziej by mnie podkręciło, ale nie dałam mu dojść do słowa.

- Kolacja była wspaniała, dziękuję – odezwałam się.
- To był zwykły cheeseburger, mała – rzucił z szerokim uśmiechem.

No tak. Z plastrami kremowego sera. To chyba był główny składnik każdego dania u Spearów i o dziwo, nawet mi to nie przeszkadzało. Ser topił się wspaniale na pysznym kotlecie i naprawdę podbijał smak.

– Conner jest już chyba w lepszym humorze? – zauważyłam, bo wrócił do domu po pracy i zachowywał się tak, jakby te wszystkie sceny rodem z telenoweli wcale się nie wydarzyły.

– Jakoś się z tym mierzy – odpowiedział Jake. – Na pewno jeszcze wszystko przeżywa, ale nie chce tego okazać.

- Dlaczego? – Uniosłam pytająco brwi.
- Bo jest synem swojego ojca. Nie ma żadnego wyboru w takich kwestiach.
- Ale przecież w gronie rodzinnym jest bezpieczny i może się otworzyć – zauważyłam.
- To prawda – perorował Jake – ale nie chce zarażać nas swoim złym humorem.

Szczególnie Ethana. Wie, że może na mnie liczyć w potrzebie. Ale jedyne, co może zrobić, to iść dalej. I on o tym wie. W końcu przeboleje i o tym wie również. Musimy dać mu trochę luzu i pozwolić załatwić to po swojemu.

Pokiwałam głową, bo to wydawało się rozsądne. A potem wypaliłam:

- Męscy pracownicy wchodzi do szatni tancerek bez pukania.

Przez chwilę mi się przyglądał, po czym zrezygnowany pokręcił głową i mruknął:

- To małe gnojki.

– Nie jestem pewna, czy im to tak naprawdę przeszkadza. Ale Paulette wspomniała, że docenia, iż ty pukasz.

- Pogadam z chłopakami – zrobił dramatyczną pauzę i podkreślił: – ...raz jeszcze. Muszę

chyba użyć nieco dosadniejszych słów.

Pochyliłam się w jego stronę i szepnęłam:

– Myślę, że jej to jednak nie przeszkadza, Jake, ale...

– Pokazywanie się na golasa na scenie to co innego, to ich praca. To nie znaczy, że każdy może się na nie gapić, kiedy mu tylko przyjdzie na to ochota. Za kulisami mają swoją przestrzeń, w której mają czuć się bezpiecznie. To one decydują, komu się pokażą, a nie chłopaki. Może ona się tym nie przejmuje, ale ja się przejmuję. Skoro faceci, którzy z nimi pracują, nie potrafią okazać tancerkom szacunku, to jak mam przekonać klientów, że oni powinni?

– Tutaj masz absolutną rację – stwierdziłam.

Uśmiechnął się szeroko.

– Mogę zadać ci pytanie? – Spojrzałam mu w oczy.

– Pewnie, pytaj o wszystko, Sliczna.

Nie byłam do końca pewna, czy powinnam zadawać to pytanie, jednak w ciągu tego krótkiego czasu, jaki spędziliśmy razem, Jake niczego przede mną nie ukrywał, wiele mi o sobie opowiedział i chciał, abym go poznała. Wiedziałam, że nie mamy przed sobą tajemnic, po prostu jeszcze nie doszliśmy do etapu intensywnego zwierzania się. Nie chciałby, żeby cokolwiek pozostało ukryte, tego byłam pewna. Niemal pewna. Musiałam więc jakoś ogarnąć to, co zamierzałam właśnie uczynić. I zrobić to mądrze.

– No więc, załóżmy... – zaczęłam asekurancko, oblizując nerwowo usta – że wydarzyło się coś, co by ci się nie spodobało. Jeśli taka sytuacja by zaistniała, to czy powinnam ci o tym powiedzieć, wiedząc, że będziesz niezadowolony? A może powinnam, ponieważ jesteś szczery i z pewnością oczekujesz tego samego?

Zanim skończyłam, wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Na gorsze. Chyba jednak tego nie ogarniałam...

– Co się stało? – zapytał szorstko.

– Pytam hipotetycznie – spróbowałam.

– Co się stało? – powtórzył.

Zdażyłam wypowiedzieć tylko imię Henry'ego, gdy poczułam, jak chwyta mnie za rękę i ściąga ze stolka, po czym zaprowadził mnie do swojego biura. Wstukał kod w panel, który zamigotał na zielono, i drzwi się otworzyły.

Już wcześniej zauważyłam, że ten pokój był przytulny. Na podłodze leżał kolorowy, wzorzysty dywan, a pod ścianą stała kanapa obita czarnym pluszem. Krzesła tapicerowane granatową skórą stały przed drewnianym biurkiem sporych rozmiarów.

Choć było widać wyraźnie, że Jake nie spędza tu wiele czasu, a jeśli już, to tylko po to, by omawiać interesy, przestrzeń ta nie odrzucała swoją surowością.

Do pomieszczenia wchodziło się po czterech stopniach, a jedna ze ścian była przeszklona, więc było widać z niego całe wnętrze klubu. Pomieszczenie było częściowo wygłuszone, więc po zamknięciu drzwi dobiegało nas tylko wątle echo dudniącej muzyki.

Jake wprowadził mnie do środka, zamknął drzwi na zamek, podprowadził do biurka i stanął tyłem do niego, opierając się udami o blat. Skrzyżował ręce na piersi.

– Co się stało? – zapytał po raz kolejny.

– Zostawiliśmy drinki – zaczęłam, żeby zyskać na czasie, bo zaczynałam się denerwować.

– Co się stało?? – syknął.

Przez chwilę mu się przyglądałam, po czym zaczęłam nieudolnie:

– Powinnam chyba najpierw wyjaśnić, że Alyssa nauczyła mnie, iż nie powinnam...

– Mała, to, co działa w przypadku Alyssy i jej męża – przerwał mi – niekoniecznie zadziała u nas. Nie jesteśmy Alyssą i Juniorem. Ty naprawdę, do cholery, nie jesteś jak Alyssa.

A to, co ja daję tobie, to nie to samo, co Junior daje jej.

– Ale oni chyba zbudowali zdrowy, silny związek – zauważyłam.

– Owszem. Ale Alyssa ma rodzinę, wszyscy cali i zdrowi, kochają ją jak wariaci i wspierają bez względu na wszystko. Spotkała Juniora i jeszcze sobie dodała dobroci. A ty miałaś Lydię. I nikogo więcej. Mnie poznałaś dopiero wtedy, gdy ją straciłaś. Więc jeśli chodzi o Alysę, to miała zupełnie inny start. Ma wokół siebie mnóstwo ludzi, którym może się zwierzyć w razie kłopotów. Ty masz tylko mnie.

Oboje mieli swoje racje.

– Mów więc, Josie. – Pochylił się w moją stronę. – Co się stało?

– Henry był dziś w Lawendowej Willi i mnie zwolnił – wypaliłam.

Jake zamrugał. Odchylił się i wyszeptał:

– Pieprzony kutas!

– I tak zamierzałam odejść, Jake – przypomniałam mu.

– To nie umniejsza jego chujowatości. Pieprzyć to! Możesz go pozwać. Bez względu na to, co zamierzałaś zrobić, nie dałaś mu podstaw do zwolnienia cię. To jawna dyskryminacja. Możesz go odrzucić z forsy.

– Daje mi dwuletnią odprawę – dodałam.

– Spokojnie możesz podwoić tę sumę – odparł Jake.

– Kochanie, naprawdę nie chcę, aby ta sprawa stała się jeszcze bardziej nieprzyjemna – powiedziałam łagodnie. – Odbyliśmy dłuższą rozmowę i choć zaczęła się szorstko, to zakończyła się zupełnie inaczej. Mimo to wyprowadziła mnie z równowagi. Jemu wciąż bardzo na mnie zależy...

– Gdyby zależało, nie zwolniłby cię.

– Posłuchaj mnie, proszę... – szepnęłam.

Jake przestał się odzywać.

– Choć rozmowa zaczęła się nieprzyjemnie, pod koniec było raczej łzawo. Wierzę, że za jakiś czas uda nam się odbudować nieco tę relację, ale zgodziliśmy się, że nie na zawodowej stopie. To byłoby dla nas obojga zbyt trudne.

– No i dobrze – mruknął Jake.

Zagryzłam nerwowo wargę. To nie umknęło Jake'owi, zerknął na moje usta, potem spojrzał mi w oczy.

– Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– No więc...

– W mordę – mruknął i dokończył ostrzej: – Co?

– To znaczy... a więc... tak naprawdę, to nie wiem...

– Josie, mała, co jest? – zaniepokoił się.

– Wydaje mi się, że on chciał sprawdzić, czy ja... spróbować, czy... – Wzięłam oddech i dokończyłam: – Pocałował mnie.

Poczułam, jak jego emocje wypełniają pomieszczenie, a ciało napięło się w bardzo niepokojący sposób.

– Co zrobił?

– To był taki pożegnalny pocałunek – powiedziałam cicho.

– Gdyby taki faktycznie był, nie spowiadałabyś mi się z tego – odparł. – Głęboki?

Zacisnęłam usta, a brwi Jake'a zbiegły się na czole.

– Pozwoliłaś mu wedrzeć się do twoich ust? – szepnął złowieszczo.

Alyssa miała rację, trzeba było trzymać głowę na kłódce.

– To było pożegnanie, Jake.

Gapił się na mnie, a ja po prostu stałam jak posąg.

Nie podobał mi się wyraz jego twarzy. Przerazał mnie, bo był wściekły, a przecież dopiero wczoraj Jake uświadomił mi, że zraniony mężczyzna wpada we wściekłość.

– Jake...

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedział cicho.

Przełknęłam.

– Te usta należą do mnie – dodał, wciąż bardzo cicho.

Pokiwałam głową.

– Nigdy, Josie. W dupie mam, kim ta osoba będzie, jaką wspólną przeszłość mieliście, jak bardzo emocjonalny będzie to moment czy to, że będzie ci po prostu szkoda tego człowieka. Te usta należą do mnie.

Musiałam chyba się zgodzić.

– W porządku, kochany – szepnęłam.

– A teraz chodź tutaj – rozkazał.

Natychmiast wykonałam polecenie. Opierając się o krawędź biurka, rozsunął nogi i przycisnął mnie do swojego ciała, obejmując ciasno ramionami. Uniosłam głowę, by na niego spojrzeć.

– Nigdy niczego przede mną nie zatajaj, bez względu na to, jakiej reakcji się spodziewasz. Zareaguję po swojemu, ale nigdy cię przy tym nie skrzywdzę. Mam już doświadczenie, jeśli chodzi o to, co może się spieprzyć między mężczyzną i kobietą. I powiem ci, że sekrety i kłamstwa bardzo się do tego przyczyniają.

– W porządku – zgodziłam się.

– Więc jeśli ten koleś się jeszcze do ciebie odezwie, daj mi znać.

– W porządku – powtórzyłam.

– Jeśli ktokolwiek będzie z tobą pogrywał, zdenerwuje cię, cokolwiek, też mi o tym powiesz. Nieważne, jak to będzie błahostka. Niech ktoś ci rzuci choćby krzywe spojrzenie w sklepie, chcę o tym wiedzieć.

– Dobrze, Jake.

– Każda komórka twojego ciała – zaczął. – Każdy jego centymetr, na zewnątrz i wewnątrz, każde twoje odczucie, każda emocja mają należeć do mnie. Nie dziel się tym z nikim innym. Nigdy.

Choć przecież już cała mu się oddałam, fizycznie i psychicznie, najwyraźniej potrzebował kolejnego potwierdzenia, więc powiedziałam:

– Dobrze, kochanie.

– Alyssa to dobra babka i wiem, że chciała dobrze, doradzając ci. Ale to my musimy wypracować swoje własne zasady, razem. Jeśli zaczniemy się od siebie oddalać, to będzie początek końca, rozumiesz?

– Rozumiem, Jake.

Poczułam, że jego ramiona drgnęły, i szepnął:

– Rozumiesz.

To chyba było dla niego ważne nie tylko w kontekście tej chwili i tej rozmowy. Bardzo ważne. To była deklaracja, która odmieniała światopogląd, ustawiała priorytety. Wsunęłam dłonie pomiędzy nasze ciała, przylgnęłam do jego piersi.

– Jesteś na mnie zły? – zapytałam.

– Nie, bo powiedziałaś mi o tym. Gdybyś tego nie zrobiła i dowiedziałbym się z innego źródła, wtedy byłbym wkurzony.

Moje dłonie powędrowały na jego szyję, całym ciałem usiłowałam wślizgnąć się na niego

niby wąż.

– No to co, zacieramy te złe wspomnienia? Teraz cię pocałuję, a ty mi się odwzajemnisz, aż dojdziemy do momentu, w którym przelecę cię na tym biurku?

– Pocałuję cię teraz, a potem pozwolę się przelecieć na twoim biurku – odpowiedziałam, a mój głos był nieledwie świstem powietrza.

– Dobra odpowiedź, Śliczna – szepnął w moje usta.

Pozwoliłam się pocałować. Pozwoliłam przelecieć się na biurku. Niedługo potem siedziałam na hokerze przy barze, sącząc świeżutkie martini, które wstrząsnął, nie zamieszał, dla mnie Adam i, nieuważnie słuchając rozmowy Jake'a z jednym z bramkarzy, pomyślałam sobie, że Alyssa jednak nie miała racji. Musiałam nauczyć się, jak postępować z Jakiem. Jej metody z Juniorem były po prostu ich. Być może usiłowałyby się wyklócać, że jednak postępuję z Jakiem niewłaściwie.

Wiedziałam jednak, że radzę sobie z nim doskonale.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rozkosznie

Obejmowałam Jake'a za szyję, przytknęłam czoło do jego czoła, nasze przyspieszone oddechy się mieszały. Czułam jedną jego rękę na piersi, drugą na biodrze. Opierałam się o jego kolana i ujeżdżałam go dziko, szepcząc jego imię, bo czułam, że jestem coraz bliżej.

– Szybciej, mała – szepnął.

– Jake... – Mój głos był ledwie słyszalny.

– Szybciej, Josie! – ponaglił mnie.

Przyspieszyłam, poczułam go jeszcze głębiej! O tak! Tak lepiej! Jego palce na mojej piersi były coraz bardziej brutalne, coraz bardziej precyzyjne. Ognista nitka łączyła ją z gorącym, pulsującym miejscem między moimi nogami. Mocniej! O tak, byłam coraz bliżej!

– Kochany...! – szepnęłam jękliwie.

– Jedziesz, mała – mruknął. – Zaciśnij się wokół mnie!

Tak zrobiłam, a gdy dłoń na mojej piersi również się zacisnęła, odrzuciłam głowę do tyłu ze zduszonym jękiem, wbiłam palce w jego kark i rozkoszowałam się intensywną falą spełnienia. Przytrzymał mnie jeszcze nabitą na siebie, drugą dłoń wplótł w moje włosy. Przytulił twarz do mojej gorącej szyi, podrzucił biodrami i również jęknął gardłowo. Poczułam przeszywający dreszcz, gdy dyszał w moją szyję, i napięłam wszystkie mięśnie, szczególnie te wewnątrz. Mruknął rozkosznie i objął mnie jeszcze ciaśniej.

– Uwielbiam to... – szepnął w moją szyję.

Cieszyłam się, że to uwielbiał. Nasze oddechy się uspokajały. Całowałam gorące zagłębienia na jego karku. Po chwili zsunął mnie z siebie i złożył na poduszkach, wycofał się, całując mnie w brzuch tuż pod pępkiem, potem coraz wyżej, między piersiami, po szyi i brodzie, na koniec musnął ustami moje wargi i szepnął:

– Zaraz wracam.

Potwierdziłam niewyraźnie, że go słyszę, i patrzyłam, jak wychodzi z łóżka, zarzucając na mnie kołdrę i oddala się do łazienki.

Zostałam sama w jego łóżku. Wylądowaliśmy w nim niemal po całej nocy w klubie. Poranek w pełni.

Wcześniej jednak odstawił mnie do domu, a ja ustawiłam budzik na jakąś barbarzyńską porę i podjechałam pod siłownię. Z przyjemnością patrzyłam, jak parkował na tyłach, patrząc na mnie, a nie na drogę, a mimo to poszło mu to sprawnie i płynnie.

– Widzisz? Potrafię jednak wstać bladym świtem! – krzyknęłam, gdy wysiadał z auta i podchodził do mnie.

Nic nie powiedział, nie przywitał się, zamiast tego przyciągnął mnie do siebie i pocałował żarłocznie, rzucając mi przed tym szeroki uśmiech.

Otworzył, pozapalał światła, a w chwilę potem pojawił się pierwszy ranny ptaszek, który usłyszał tylko:

– Radź sobie sam, John! Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebował!

I to był koniec pracy. Zgarnął mnie do swojej ciężarówki i pojechaliśmy do niego.

Dzieciaki nie wyszły jeszcze do szkoły. Ethan wpadł w ekstazę na myśl o tym, że dziś nie będzie musiał siedzieć przez ponad pół godziny z „beznadziejnym” nauczycielem i innymi „przegrywami”. Podstawówka zaczynała lekcje o wpół do dziewiątej, liceum o ósmej, więc jeśli odwoziło go któreś z rodzeństwa, czekał na rozpoczęcie lekcji.

Nie za bardzo cieszyła mnie perspektywa stracenia kolejnych trzydziestu minut, więc

robiłam miny, Jake się śmiał, a dzieciaki rzucały nam pytające spojrzenia, na które oczywiście nie odpowiedzieliśmy.

Gdy w końcu zawieźliśmy Ethana do szkoły, a ciężarówka zatrzymała się na powrót przed domem Spearów, Jake w zasadzie wniósł mnie po schodach na górę i mogliśmy się w końcu sobą nacieszyć. No i nacieszyliśmy się, dogłębnie.

Jake wrócił z łazienki, wślizgnął się pod kołdrę, wciągnął mnie na siebie i oplótł ramionami.

– Dobra – zaczął. – Kumam, że możesz wstać wcześniej i spotkać się ze mną na siłce, ale czy ma się to dziać tylko po to, bym woził cię w tę i z powrotem, do tego w towarzystwie dzieciaków?

Chyba nie wstałam tak wcześnie po to, żeby mnie woził po całym mieście, ale po to, żeby mu coś udowodnić.

– W sumie mógłbym robić tak codziennie – dokończył.

– Ale założeniem było to, że się wyśpisz, Jake – zauważyłam.

– Mała, jeśli mam do wyboru spanie albo przybijanie cię do łóżka, to przecież nie wybiorę spania!

Podobał mi się jego wybór, ale przecież nie o mnie tu chodziło.

– Nie podoba ci się taki plan dnia? – zapytał.

– Usiłuję być pomocna.

Wplótł dłoń w moje włosy i przyciągnął moją głowę, nasze twarze prawie się zetknęły.

– Jesteś pomocna, mała. Teraz się zdrzemniemy, a po takiej jeździe będę spał jak zabity.

– Teraz chcesz spać?

– Ta.

W sumie drzemka zrobiłaby dobrze nam obojgu. Z klubu wyszliśmy o pierwszej, a mój budzik zadzwonił o piątej trzydziści, bo przecież musiałam wziąć prysznic przed wyjściem z domu w celu otwarcia siłowni.

– No to śpimy – powiedziałam.

Przetoczył mnie na plecy, pocałował w szyję i wyliczył:

– Dobra. Drzemka. Pobudka. Prysznic. Lunch. A potem wracam na siłownię sprawdzić, czy ktoś nie pojawił się i mnie nie wyrugował z interesu.

– A tak się może stać? – spytałam zaalarmowana.

– Nie, mała! – odpowiedział ze śmiechem.

– Już brałam dziś prysznic – poinformowałam go.

– Weźmiesz drugi. Ze mną.

Już miałam protestować, ale dotarło do mnie to „ze mną”.

– A teraz nie gadaj już, tylko śpij.

– To niegrzeczne tak się do kogoś odzywać! – Moje oczy się zwięzły.

– Mała...

– A do tego rozkazywanie dorosłej osobie, by spała, jest pretensjonalne.

– Mała.

– Mała? – powtórzyłam po nim.

– Mała.

– To jest twoja odpowiedź?

– Nie, moja odpowiedź to: „Mała, zamknij się już i śpij!”, ale przecież już to powiedziałem, więc uznałem, że nie ma sensu się powtarzać i cię wkurzać. Uznałem, że samo „Mała” wystarczy.

– Nie potrafię odczytać tego wszystkiego z jednego „Mała” – powiedziałam.

– Nauczysz się odczytywać bardzo wiele rzeczy z jednego „Mała” – rzekł pewnie.
W sumie to cieszyłam się na tę perspektywę, ale przecież nie mogłam tego powiedzieć na głos.

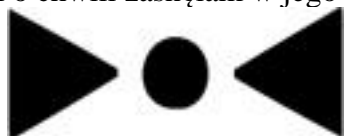
Gdy tak patrzyłam na niego bez słowa, pochylił się i pocałował mnie, głęboko i słodko. Potem ułożyliśmy się na boku, nasze nogi rozkosznie splątane, a Jake w końcu mruknął:

– A teraz śpij, mała.

– No dobrze – poddałam się.

Ucałował mnie w czubek głowy.

Po chwili zasnęłam w jego ramionach.



Siedziałam przy blacie, a Jake podgrzewał zupę z puszki, gdy zadzwonił mój telefon. Jake chwycił moją torebkę i zręcznie przerzucił ją na moje kolana.

– Dzięki, kochanie! – mruknęłam, nurkując w niej w poszukiwaniu telefonu. – Amber dzwoni – poinformowałam go, przykładając komórkę do ucha. – Cześć, kochanie! – rzuciłam do aparatu.

Wrzasnęła tak głośno, że odsunęłam go prawie na odległość ramienia:

– Nigdy nie zgadniesz, co się stało!!

– Co? – zapytałam, ostrożnie zbliżając telefon do ucha.

Usłyszałam, że Jake podśmiechuje pod nosem.

– Amber? – rzuciłam w ciszę po drugiej stronie.

– Cześć, Josie! – To był Taylor. – Amber się trochę zapowietrzyła i nie może gadać. Mam tylko minutkę, bo zaraz lecimy na lekcję, ale chciała ci powiedzieć, że Alexi dosiadł się do nas podczas lunchu!

Serce mi zatrzepotało, tak jak w czasach, gdy byłam nastolatką. Zdążyłam już zapomnieć, jakie to uczucie... Cudowne!

– Naprawdę? – spytałam szeptem.

– Siedział przez cały czas! – powiedział z dumą Taylor. – A Amber zachowała zimną krew! Była słodziutka i miła, taka wiesz, niby nieśmiała, no i zaczęła z piskami i wymachiwaniem rękami, aż oddalił się na bezpieczną odległość.

Spojrzałam na Jake'a, który przyglądał mi się uważnie spod zmarszczonych brwi.

– Przekaż jej, że jestem bardzo dumna!

– Zrobi się! Muszę lecieć, lekcja się zaczyna.

– Dobrze, kochanie, miłego dnia! – pożegnałam się.

– Nara! – usłyszałam jeszcze i się rozłączył.

– Co jest? – zapytał Jake, gdy tylko odsunęłam telefon od twarzy.

Serce znowu mi zatrzepotało, ale już nie z ekscytacji.

– No cóż... – zaczęłam.

– No co? – powtórzył pytanie i pochylił się ostrzegawczo w moją stronę. – Josie!

– No więc Alexi przysiadł się do Amber podczas lunchu.

– O Jezusie wszechmogący... – mruknął.

– Jest tym faktem bardzo podekscytowana – powiedziałam mu.

Rzucił mi niewyraźny grymas. Dotknęłam jego szyi i zakomunikowałam oczywistość:

– Jest szczęśliwa!

– Ale jeśli zechce ją wozić na motocyklu, to go zastrzelę!
Niby żarcik, ale jednak się odsunęłam.
– Masz broń? – spytałam.
– Nie – odpowiedział, wracając do mieszania zupy. – Ale coś mi się wydaje, że muszę właśnie dziś jakąś kupić.

Zachichotałam pod nosem, ale chyba mówił poważnie, bo stwierdził w stronę rondla:

– Nie żartuję!

– No już dobrze, kochanie! – uspokoiłam go. – Wezmę coś do picia. Co chcesz?

– W dupę tam... – wymruczał i głośniej: – Colę!

Nie poszłam jednak po napoje; zamiast tego przytuliłam się do jego pleców, objęłam mocno i szepnęłam:

– Jesteś świetnym ojcem, Jake!

Pocałowałam go w łopatkę przez sweter i poszłam po colę.

Spojrzałam na niego przelotnie i zauważyłam, że napięcie nieco z niego zeszło. Uśmiechnęłam się, bo to oznaczało, że chyba radziłam sobie coraz lepiej z moim mężczyzną.



– No to on, że *Raptor Zabójca* jest do kitu. No to ja, że *Apokalipsa Zombie* jest do chrzanu. A on, że zombie są super, no to ja mu mówię, że nie ma czegoś takiego jak zombie. No to on wyjechał, że ludzie nie mogą się zmieniać w samoloty, a ja na to, że chyba nie widział transformersów, a on do mnie, że transformersy to roboty!

Ethan nadawał jak nakręcony, leżąc na kanapie Buni głową w dół, z nogami zarzuconymi na oparcie. Amber malowała paznokcie w fotelu nieopodal. Byliśmy po kolacji i deserze, a mimo to Conner pogryzał chipsy, które kupiliśmy podczas nieznośnie długiej wyprawy na zakupy z Pearl. Staruszka wspomagała się balkonikiem i trwało to całą wieczność.

Miałam rację, Ethan już ją znał i świetnie się dogadywali. Nie licząc męki w sklepie, miło spędziliśmy czas.

Conner udawał, że coś tam czyta z podręcznika, który leżał rozłożony na jego kolanie, obok miski z sosem do chipsów.

Siedziałam na kanapie pomiędzy Ethanem i Jakiem, na szczęście on nie leżał do góry nogami.

W telewizorze migąło studio meczowe. Jake zaprogramował mi dekodery, więc mogłam teraz nagrywać *Project Runway* i oglądać go z Amber, gdy chłopaków nie było w pobliżu. Przystaliśmy na to z Amber, więc tradycji meczowej w poniedziałek stało się zadość.

Ethan ciągle nadawał, a Jake objął mnie i przysunął bliżej do siebie. Przytuliłam się do jego piersi, podwinęłam nogi pod siebie. Gdy Ethan przerwał, by nabrać oddech, wtrąciłam:

– Krawat tego łysego komentatora jest wyjątkowo nietwarzowy!

– No nie? – zgodziła się Amber.

Z ciała Jake'a, jak ze studni, wydobył się grzmiący, ale stłumiony śmiech, całe jego ciało zarezonowało.

– Ło Jezu... – mruknął Conner.

– Nie powinieneś wzywać imienia pana nadaremno – zwróciłam uwagę chłopakowi, nie odrywając się od ciała Jake'a.

– A ty nie powinnaś gadać głupot na temat krawatów najlepszych komentatorów! – rzucił

z uśmiechem.

– To jakaś niepisana zasada? – zapytałam.

– No pewnie – potwierdził Conner.

Wywróciłam oczami, a jego uśmiech tylko się poszerzył.

– A niech ci tam będzie – mruknęłam.

Przytuliłam się mocniej do Jake'a, on położył stopy na kawowym stoliku. Objęłam go i oglądałam mecz już bez szemrania.



W drodze na siłownię zaszłam do Szopy i ku własnemu zdziwieniu odkryłam, że są otwarci od samego rana. Okiennice były odsłonięte, więc zajechałam na chwilę, bo przypomniałam sobie, że kawa u nich jest przepyszna.

– Halo? – zawołałam niepewnie w ciemną czeluść otwartego okienka.

– Josie, czego potrzebujesz? – rozległo się ze środka.

Wpatrzyłam się w czern.

– Tom? – zapytałam.

– To ja. Tylko kawa? Czy kawka i omlety dla ciebie i Jake'a?

Plotki najwyraźniej szybciotko się rozchodziły.

– Kawa wystarczy, Tom! – odpowiedziałam. – To znaczy dwie kawy!

– Robi się! – powiedział bezcielesny głos.

Zadzwoiła moja komórka. Odwróciłam się tyłem do okienka i odebrałam.

– Chyba z tobą nie rozmawiam – oznajmiłam.

– Josephine. – To był Amond.

– Wiedziałeś, że on do mnie leci – powiedziałam obrażonym tonem.

– Nie wiedziałem, że będzie zawracał ci dupkę – odpowiedział Amond. – Źle z nim, dziewczyno – dodał.

Zamknęłam oczy, czując ukłucie mentalnego bólu.

– Poznałam kogoś, Amond – powiedziałam, otwierając je.

Milczał, więc mówiłam dalej.

– Jestem na ciebie zła, Amond. To było bardzo nieprzyjemne spotkanie dla wszystkich zaangażowanych. Może byłoby inaczej, gdybym wiedziała, że Henry przybędzie.

– Chciał, żeby to była niespodzianka – wyjaśnił Amond.

– No i była – odrzekłam.

Westchnął.

– Porozmawiam z nim. Ten jego nowy asystent Daniel jest w porządku, no ale przecież nie jest tobą i wszyscy świrują, że Henry stracił swoją żonę. Myślą, że bez ciebie straci wyczucie.

Mużę? Byłam dla Henry'ego żoną? Mój umysł pracował gorączkowo i faktycznie zdałam sobie sprawę z tego, że Henry robił mi mnóstwo zdjęć. Podczas każdej sesji zniecka odwracał się w moją stronę i pstrykał, nawet jeśli po prostu stałam i przyglądałam się albo rozmawiałam przez telefon. Wydawało mi się, że się po prostu wygłupia. Ale nie wygłupiał się, teraz to wiedziałam.

Może i było to piękne, schlebiało mi, ale takie nagłe rewelacje, oznajmione zbyt późno, to było za wiele, nie chciałam się z tym mierzyć.

– Nie rozmawiaj z nim. Bardzo wiele się wydarzyło i pozmieniało, i tak miałam go poprosić, by zdjął ze mnie część obowiązków. Lubię tutaj przebywać, w domu Buni. Czuję spokój. I poznałam kogoś, jak wspomniałam.

– Jak tylko skończymy zdjęcia, przylatuję – oznajmił.

Zacisnęłam dłoń na telefonie, bo to oznaczało tylko tyle, że Amond przylatuje obejrzeć sobie Jake'a. Niewielu mogło się z nim równać, ale, niestety, Amond był jednym z nich. Był równie postawny i równie charakterny. Zawsze mówił to, co myślał. Jeśli Jake mu się nie spodoba, nie omieszka mnie o tym poinformować.

Jake'a również. A to może się nie spodobać Jake'owi.

– Amond, to nie jest konieczne – powiedziałam szybko.

– Skoro dwa tygodnie w Maine z tym facetem sprawiły, że porzucasz Henry'ego i swoje dotychczasowe życie, to chyba jednak jest.

– Amond...

– Zapowiadam się, więc to nie będzie nieprzyjemna niespodzianka. Dam ci znać, kiedy dokładnie przybędę. Szykuj mi pokój w tym swoim domku.

– Amond!

– Nara, Josephine! – rzucił i rozłączył się.

– Boże! – wypaliłam, odejmując telefon od ucha.

– Kawa! – rzucił Tom za mną.

Odwróciłam się i nie dostrzegłam nikogo w czarnej czeluści, a na ladzie stały dwa papierowe kubki.

– Ile się należy? – zapytałam w ciemność.

– Jeśli wpadniecie niedługo z Jakiem na omlety, to kawę dziś masz gratis – odrzekła ciemność głosem Toma.

Przyjrzałam się uważniej i dostrzegłam tylko poruszające się cienie i czerwony poblask jakiejś płyty grzewczej. Niezwykłe.

Zamierzałam wpaść na omlety, oczywiście, ale gratisowej kawy nie potrzebowałam.

– Tom, doprawdy, pozwól mi zapłacić!

– Nie wezmę od ciebie żadnej forsy, więc lepiej zanieś kawę Jake'owi, póki gorąca!

Gapiałam się w okno.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu, chwytając kubki. – Później wpadniemy na omlety.

– Pozdrów Jake'a! – odpowiedział Tom.

– Pewnie!

Wsypałam dwie saszetki śmietanki i absurdalną ilość cukru do kawy Jake'a, do swojej nie dodałam nic, po czym pożegnałam się raz jeszcze i ruszyłam do samochodu.

Czekałam pod tylnym wejściem do siłowni jakieś dwie minuty, zanim pojawiła się ciężarówka Jake'a. Wsiadł i podszedł do mnie z uśmiechem.

– Dwa dni z rzędu – rzekłam dumnie. – Chyba już coś udowodniłam? Dasz mi klucze?

Zamiast odpowiedzi objął mnie i pocałował tak, że prawie upuściłam pyszne kawusie od Toma, które trzymałam w wyciągniętych na boki rękach.

– Ta – rzucił, ale zdążyłam już zapomnieć, o co pytałam.

– Ale co?

– Dam ci klucze.

– Och – mruknęłam.

Ciągle się uśmiechał i spojrzał w końcu na kubki w moich dłoniach.

– Czy jedna jest może przypadkiem dla mnie?

Zamiast odpowiedzi wypaliłam:

– Amond przylatuje, żeby cię sprawdzić.
– Co proszę? – Uniósł brwi w zdumieniu.
– Dee-Amond, mój przyjaciel, nagradzany hip-hopowiec, może o nim słyszałeś, dowiedział się, że Henry mnie zwolnił. Powiedziałam mu, że zamierzam zostać w Maine i że tutaj kogoś poznałam. A on bardzo się o mnie troszczy. Więc jak tylko skończy zdjęcia do teledysku, przylatuje, żeby cię sprawdzić.
– I? – zapytał Jake.
– Nie przejmujesz się tym?
– Przejmowałbym się, gdyby okazało się, że po wszystkim, co przeżyłaś i gdzie byłaś, nie ma na tym świecie osoby, która się o ciebie troszczy w trudnym okresie zmiany miejsca zamieszkania i utraty pracy. A skoro ten facet się o ciebie martwi, to dobrze o nim świadczy. Niech przyleci i zobaczy, jak dobrze nam razem. Więc nie, nie przejmuję się. Mam gdzieś to, że jakiś raper będzie mnie sprawdzał.
Po raz kolejny pomyślałam, że Jake Spear to petarda.
– Zacznę się jednak przejmować, jeśli moja pyszna kawa z Szopy ostygnie, więc dawaj mi ją szybciotko!
Wręczyłam mu kubek.
Objął mnie i przyciągnął do siebie, po czym pochylił głowę i szepnął:
– Niech sobie przylatuje każdy raper, projektant i model, z którym kiedykolwiek pracowałaś. Niech sobie sprawdza mnie i dzieciaki. Nawet bym tego chciał. Skoro oni są jedyną rodziną, jaką miałaś, to chętnie ich wszystkich poznam. Dawać ich tu!
Dobry Boże!
– Wiesz, że stajesz się coraz wspanialszy? – szepnęłam.
– Kochanie, jest siódma rano, a ja już trzymam w ramionach ukochaną, która przyniosła mi kawę z Szopy, a za dwie godziny poczęstuje mnie sobą. Myślę, że i ty stajesz się coraz wspanialsza.
– No i to jest odpowiedź.
Uśmiechnął się szeroko, pochylił głowę i pocałował mnie.
Otworzył drzwi, ja pozapalałam światła, po czym wręczył mi klucze. Dwie godziny później zmywałam naczynia po śniadaniu, a Jake odwoził Ethana do szkoły. Gdy wrócił, wylądowaliśmy w łóżku i poczęstowałam go sobą.
I było cudownie.



Dwa dni później siedziałyśmy z Alyssą w restauracji Weatherby. Właśnie regulowałam rachunek za sałatki, gdy zadzwoniła moja komórka. Po raz któryś tego popołudnia.

– Jezu, rozrywają cię! – zauważyła Alysa, gdy po raz kolejny zignorowałam dzwonek.
– Rozeszło się, że Henry mnie zwolnił. Niektórzy dopiero przy tej okazji dowiedzieli się o śmierci Buni. I teraz mnie obdzwanają – wyjaśniłam, wpychając wibrujący telefon na samo dno torby.

Miałam już dosyć kondolencji i ubolewania nad tym, że rozstałam się z Henrym. Wiele osób myślało, że byliśmy związani ze sobą nie tylko zawodowo. Wyglądało na to, że obcy ludzie wyczuli to, na co ja byłam ślepa. Pojawiały się również oferty pracy, w tym jedna od młodego, obiecującego nowojorskiego projektanta, który by chyba umarł ze szczęścia, gdybym zgodziła się

pracować dla niego, nawet zdalnie, pojawiając się w Wielkim Jabłku raz na miesiąc.

– Kochana, z twoimi koneksjami wepchnęłabyś mnie tam, gdzie chciałem się znaleźć już pięć lat temu, i dokonałabyś tego w pół roku – powiedział mi.

To było słodkie, choć nie sądziłam, bym miała aż takie koneksje. Chciałam przecież znaleźć sobie jakieś zajęcie, nawet Jake mnie do tego zachęcał.

– Cieszymy się, że tak wiele z siebie nam oddajesz, ale nie możesz stracić kontaktu z tym, co było i kim jesteś – powiedział.

Miał rację.

A ja miałam wielu przyjaciół, z którymi nie chciałam stracić kontaktu. Ich troska rozgrzewała mi serce. Zbyt wiele uwagi było jednak przytłaczające, a już szczególnie podczas lunchu z przyjaciółką, więc przestałam odbierać telefon i postanowiłam później oddzwonić do każdego.

– Fajnie, że znajomi cię wspierają w trudnych chwilach – powiedziała Alyssa, gdy wstawaliśmy od stolika.

– Rzeczywiście, to fajne – zgodziłam się.

Objęła mnie z uśmiechem. Również otoczyłam jej talię ramieniem i tak wyszliśmy z lokalu.

– Wstąpię z tobą jutro do Cyrku – rzuciła. – Oblukam tancerki, podpatrzę trochę nowych sztuczek, żeby troszkę wstrząsnąć Juniorem.

– Byłoby wspaniale! – odpowiedziałam z uśmiechem, przepuszczając ją w drzwiach.

– No i git. Spotkamy się na miejscu o dziesiątej.

– Świetnie, o dziesiątej – potwierdziłam.

– A jeśli będziesz potrzebowała pomocy w rozpakowywaniu pudeł, dzwoń śmiało. Chętnie bym w nich zanurkowałam i trochę poprzymierałam. Pozwól mi na to, to dopiszę cię do testamentu!

Przybyły moje rzeczy, które odesłał Henry, i zamierzałam spędzić całe popołudnie, rozpakowując je. To miała być oficjalna przeprowadzka do Lawendowej Willi.

Słodko-gorzka.

Towarzystwo Alyssy z pewnością przeważałoby szalę na rzecz słodczy. Chciałam, żeby mi pomogła.

– Czuj się zaproszona – powiedziałam. – Zaplanujemy sobie szczegółowo jutrzejsze wyjście.

– Super! – rzekła z entuzjazmem.

Ucałowałyśmy powietrze przy swoich uszach i odeszła, machając mi na pożegnanie i wołając jeszcze:

– To do później, kochanieńka!

Odpowiedziałam tym samym i podążyłam w stronę auta.

Gdy stałam przy drzwiczkach, znowu usłyszałam dzwonek i pomyślałam, że może to ta sama osoba co ostatnio i ma jakąś pilną sprawę.

Zatrzymałam się, gdy zobaczyłam imię na wyświetlaczu.

– Arnie, jak się masz? – przywitałam się ostrożnie.

– Bywało lepiej, Josephine – odpowiedział po długiej chwili ciszy.

Spojrzałam na swoje stopy.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam.

– Nie, kochanie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że Eliza jedzie dziś do hospicjum.

Hospicjum.

Niech to.

– To już? – zapytałam, czując ukłucie w sercu.
– Tak, już niedługo... – odpowiedział zbolalym głosem.
Zacisnęłam drżącą coraz bardziej dłoń na telefonie.
– Czy zdążę jeszcze przyjechać i się z nią zobaczyć?
– Oczywiście – zapewnił mnie. – Na pewno będzie jej miło.
– A które to... gdzie...? – Nie wiedziałam za bardzo, jak zadać to pytanie.
Podał mi nazwę i adres ośrodka opieki paliatywnej, a ja poczułam, że zaczynam się dusić.

Łzy wypełniły mi oczy.

– Przyjadę jutro – obiecałam.
– Lepiej dzisiaj, Josephine – powiedział cicho i poczułam, jak spływają mi po policzkach.
– Dobrze. Nie... nie zatrzymuję cię.
– Do zobaczenia później.
– Na pewno, Arnie. Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś.
– Do widzenia, kochanie – powiedział jeszcze i rozłączył się.

Stałam na chodniku, wciąż gapiąc się na buty; czułam, że łzy płyną mi po twarzy.

Jake miał rację. Nie powinnam była się w to angażować. To było dla mnie zbyt wiele.

– Josephine? – usłyszałam wołanie za plecami.

Odwróciłam się i zobaczyłam Micka. Chyba się uśmiechał, ale nie widziałam wyraźnie przez łzy. Gdy tylko dojrzał moje mokre policzki, wyraz jego twarzy diametralnie się zmienił.

– Jezu! – mruknął. – Kochanie, co się stało?

– Elizę Weaver właśnie przenoszą do hospicjum.

Nie miał nawet szansy się odezwać, bo ukryłam twarz w dłoniach i zapłakałam. Nawet nie odłożyłam telefonu do torebki.

Wziął mnie w ramiona. Gdy poczułam jego siłę i wsparcie, nie wytrzymałam i zaszlochałam, tak gwałtownie, jakbym miała czkawkę.

Obrócił mnie i zaczął prowadzić chodnikiem. Poczułam, że jedno z jego ramion odsuwa się, a chwilę potem usłyszałam:

– Jake, stary, przyjeżdż do remizy. Mam tu Josephine i trochę z nią kiepsko. Kogoś zabierają do hospicjum. Chyba właśnie się dowiedziała i załamała się.

Uniosłam na niego wzrok i próbowałam powiedzieć łamiącym się głosem, że nic mi nie będzie. Mickey rzucił mi krótkie spojrzenie, ale nie przestawał mówić do telefonu:

– Tak. Dobrze. Do zobaczenia. Będziemy w świetlicy. Nara.

– Jake jest zajęty – powiedziałam, gdy wsuwał telefon do tylnej kieszeni.

– Myślę, że dla ciebie porzuci wszystkie inne zajęcia – odpowiedział.

Nawet mimo całego smutku, jaki odczuwałam, myśl o tym, że faktycznie Jake zawsze znajdzie dla mnie czas, była bardzo budująca.

Mickey podprowadził mnie do remizy i schodami w górę, do pokoju z aneksem kuchennym, w którym stała wielka, wysłużona skórzana kanapa. Było tu przyjemnie i nadszpiewanie czysto.

Mickey posadził mnie na kanapie, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko, wziął mnie za ręce. Opanowałam się nieco, powstrzymałam morze łez i zaczęłam mu opowiadać, kim są Arnie i Eliza. Słyszał o nich, ale nie znał osobiście. I wtedy pojawił się Jake.

Uniosłam wzrok.

Był taki wysoki i postawny, pewność siebie biła z każdego ruchu. Nie odrywał ode mnie spojrzenia. Mickey puścił moje dłonie i odchylił się na oparcie krzesła, a ja wstałam, patrząc na Jake'a. Po chwili trzymał mnie w objęciach, a ja lkałam jak szalona.

– Miałeś... miałeś ra-rację – jękałam się w jego pierś, trzymając się kurczowo jego ciała.

- Ciii, kochanie, wcale nie miałem.
- To za... za dużo...
- Udźwigniesz to – zapewnił mnie.

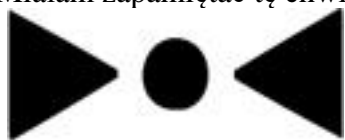
Te słowa uderzyły mnie z ogromną mocą. Mylił się i jednocześnie miał rację.

Gdy dowiedziałam się o śmierci Buni, byłam na plaży w Malibu. Henry robił zdjęcia modelce w sukni za dziesięć tysięcy dolarów, której rąbek moczył się w oceanie. Chyba chciałby, żebym po prostu przerwała sesję i poinformowała go o tym fakcie. Gdy dowiedział się później, był zły, ale nie mógł tego okazać. Na pewno by tego chciał, teraz to wiedziałam. Ale nie przerwałam mu. Cicho oddaliłam się do namiotu, w którym czesano i malowano modelki. Akurat stał pusty. I to właśnie tam walczyłam z emocjami. I czułam się skończenie samotna. Bunia odeszła, a ja zostałam kompletnie sama. Gdy jej zabrakło, a ja byłam pewna, że Henry'ego nigdy nie będę miała w sposób, w jaki go pragnęłam, doświadczyłam absolutnej samotności.

To nie straty Elizy doświadczałam teraz tak boleśnie, nie tylko jej. Wróciło poczucie straty Buni i Henry'ego, tak bardzo świeże.

Ale teraz nie byłam już sama. Mickey zaopiekował się mną na ulicy. A teraz stał przy mnie Jake: wysoki, silny, potężny. Mogłam wypłakać się w niego, a jego mocarne ciało neutralizowało moje dreszcze, zarówno te fizyczne, jak i emocjonalne. Nikt wcześniej nie dał mi takiego wsparcia, nawet Henry. Tylko Bunia mnie wspierała. A teraz robił to Jake. Więc mylił się, twierdząc, że sobie z tym poradzę. Sama na pewno bym sobie nie poradziła. Nie byłam jednakże sama. Miałam jego. Więc miał również rację. Przy nim potrafiłam to udźwignąć i ta świadomość dodawała mi sił. W tamtym momencie zrozumiałam, że go kocham, choć świadomość tego dotarła do mnie w tak bolesnym momencie. Wiedziałam, że zapamiętam tę chwilę: ja w ramionach Jake'a, stojąca w remizie, płacząca nad utratą przyjaciółki, utratą Buni i utratą Henry'ego.

Miałam zapamiętać tę chwilę do końca życia.



– Hej!

To chyba mnie ktoś wołał. Zatrzymałam wózek z zakupami i odwróciłam się, spoglądając w alejkę między regałami. Zamarłam.

Był niedzielny poranek. Robiłam zakupy, bo cały dzień miałam spędzić w domu Jake'a na oglądaniu telewizji i odpoczywaniu w rodzinnym gronie. Conner nie pracował. Taylorowie również mieli wpaść. Ja zgłosiłam się na ochotnika, żeby coś ugotować. Spieszyłam się, bo chciałam już być z nimi wszystkimi, ale musiałam przecież mieć z czego gotować.

W piątek Jake zabrał mnie w odwiedziny do Elizy. Od tamtej pory nie niepokoiłam Arniego, zadzwoniłam jednak do wielebnego Fletchera, by dowiedzieć się, czy moment, którego wszyscy się obawialiśmy, już nadszedł.

– Jeszcze nie, Josephine, ale to może stać się w każdej chwili – poinformował mnie spokojnym tonem.

Przyjęłam to do wiadomości i poprosiłam, by zadzwonił, jeśli cokolwiek się wydarzy.

Do dzisiaj nic się nie wydarzyło.

Po smutnej wizycie w hospicjum podjechaliśmy z Jakiem do szkoły po Ethana i spędziliśmy popołudnie w Lawendowej Willi. By zapomnieć o smutkach, spędziłam sobotni wieczór z Alyssą w klubie Jake'a i świetnie się bawiliśmy. Sofie została z dziećmi, a Junior

wybrał się z nami. Siedzieliśmy przy barze, sączyliśmy drinki, a Jake podchodził od czasu do czasu, gdy akurat nie miał nic do roboty.

Bardzo polubiłam Juniora. Zadziwiająco ładnie się wyrażał, choć zdarzało mu się zakląć, tak samo, jak jego żonie. Gdy jednak bluzgał, był nawet atrakcyjny. Atrakcyjności przydawał mu też fakt, że ani razu nie spojrzął na prężące się na scenie tancerki. Nie odrywał oczu od żony. I nie zachowywał się tak tylko dlatego, aby nie podpaść żonie. Był po prostu po uszy zakochany w Alyssie. W chwili, w której zdałam sobie z tego sprawę, zauważyłam, że Jake zachowuje się tak samo w stosunku do mnie. Chociaż miał o wiele więcej okazji do tego, by pogapić się na rozneglizowane tancerki, były dla niego tylko estetycznymi obrazkami. Nie zwracał na nie po prostu uwagi. A mnie swoje zainteresowanie demonstrował nieustannie.

Zrobiło się bardzo późno i przyjaciele zabrali mnie do domu, bo Jake musiał zostać i czegoś dopilnować. Nawet fakt, że Jake został w klubie, nie zepsuł mi wieczoru.

I choć położyłam się spać w środku nocy, zerwałam się z samego rana, żeby kupić składniki niezbędne do truflowego risotto, które zamierzałam zaserwować Spearom. Wprawdzie nie były to taco z serowym dipem, ale patrząc na to, jak dzieciaki zajadały się wcześniej moimi daniami, wiedziałam, że i tym razem się nie rozczarują.

Nie miałam ochoty spotkać podczas zakupów byłej Jake'a, a to właśnie Donna zmierzała w moim kierunku. Wzięłam głęboki wdech.

Zatrzymała się w pół kroku i uśmiechnęła niepewnie.

– Eee... Josie, prawda?

– Tak – potwierdziłam, nie uświadamiając jej, że dla niej jestem Josephine. – Co słychać, Donna? – zapytałam, choć przecież wcale mnie nie obchodziło, co u niej słychać. Nie chciałam jednak być niegrzeczna.

– W porządku – odpowiedziała, po czym dodała: – Nieźle. U mnie nieźle. A u ciebie?

– Dziękuję, wszystko dobrze. Miło, że pytasz.

Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę i spojrzała na półki ponad moją głowę. Niestety, nie oddaliła się, życząc mi miłego dnia.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam, a ona znów spojrzała na mnie. – Nie chcę być nieuprzejma, ale Jake i dzieciaki czekają na mnie – podkreśliłam.

– Ja tylko... – zaczęła, szukając właściwych słów. – Zastanawiam się, co u Connera i Amber. Słyszałam jakieś plotki na temat Cona i jestem zaniepokojona.

– A dzwoniłaś do niego?

– No tak, ale stwierdził, że wszystko gra – odpowiedziała.

Milczałam, więc podjęła:

– Ale doszło do mnie, że jakaś dziewczyna zaszła z nim w ciążę, co było nieprawdą, a ona dalej sieje ferment i przez to dziewczyna Connera z nim zerwała.

To akurat było prawdą. A Taylor doniósł mi z niekłamana przyjemnością, że Mia dograła się za rozsiewanie takich plotek. Dziewczyny wykluczyły ją z towarzystwa, a chłopcy nie chcieli na nią nawet spojrzeć. Zasłużona kara, jeśli ktoś by mnie pytał. Nie podzieliłam się z Donną tą wiedzą.

– Tak było rzeczywiście – powiedziałam zamiast tego.

– Ta dziewczyna, z którą zerwał... Ellie... Bardzo ją lubił.

– To prawda.

Spojrzała na mnie pytająco.

– Więc jak może mówić, że wszystko jest okej?

– Nie jest – rzuciłam krótko.

– Cholera... – powiedziała i jakby na chwilę odpłynęła, cała zatroskana. – A co u Amber?

– zapytała.

– U niej wszystko w porządku.

– Bo ona... wiesz, niezręcznie mi z tobą o tym rozmawiać, ale ona nie odbiera moich telefonów.

No właśnie, chyba nie ze mną powinna o tym rozmawiać.

– Faktycznie, dość to dziwne, że chcesz omawiać ze mną sprawę kluczową, jaką niewątpliwie jest dobrostan twojej córki – zauważyłam. – Dlaczego po prostu nie spróbujesz się skontaktować bezpośrednio z nią? Nawet jeśli nie odbiera, to przecież możesz wybrać się do szkoły, wiesz, gdzie mieszka, nie musisz podejmować jakiegoś trudnego śledztwa, żeby ją znaleźć.

Uchyliła usta i wyglądała naprawdę niemądrze, ale ja jeszcze nie skończyłam.

– A skoro Amber nie odbiera, to dlaczego nie porozmawiasz z jej ojcem? To wasza wspólna sprawa. Nie wiem, dlaczego rozmawiasz na ten temat ze mną, podczas zakupów. Ta sytuacja jest dla mnie wysoce niezręczna.

– Nie owijasz w bawełnę – stwierdziła, gdy skończyłam mówić.

– Gdy w grę wchodzi Jake, Conner i Amber, nigdy nie owijam.

Coś zmieniło się w jej twarzy i rzekła dziwnym głosem:

– Dobrze, że dajesz im taką szczerłość.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś ty dała im cokolwiek – odparłam.

Przez jej twarz przemknął grymas. Nie odezwała się jednak.

– Posłuchaj, wyjaśniłam już, że jestem zajęta, ale powiem ci coś jeszcze – zaczęłam.

– Chyba przejmujesz się tym, że utraciłaś kontakt z dziećmi. To dobrze wróży, ale tylko pod warunkiem, że faktycznie zrobisz coś w tej kwestii. Minęło jednak sporo czasu i stałaś się dla nich praktycznie obca. To dotyczy nie tylko starszych dzieci i Jake'a, ale i Ethana. Jest jeszcze mały, zależny od ojca i starszego rodzeństwa. Jeśli zamierzasz zrobić teraz jakiś dramatyczny powrót do ich życia, to zastanów się dobrze, bo to może zaburzyć stan rzeczy przede wszystkim małemu Ethanowi. I choć nigdy nie miałam dzieci – kontynuowałam, gdy patrzyła na mnie w milczeniu – to wydaje mi się, że obecność matki jest bardzo ważna i powinnaś do niego wrócić jak najszybciej. Wiem jednak, że do tej pory szło ci z dziećmi dość kiepsko, więc radzę ci przedyskutować nowe metody z Jakiem, aby nie powodować dodatkowych komplikacji w ich życiu.

– Ty chcesz, żebym rozmawiała z Jakiem? – zapytała z wyraźnym niedowierzaniem, co nieco mnie rozeźliło.

– Przecież jesteś matką dwójki jego dzieci! – zauważyłam.

– Ale jestem również jego byłą żoną. Mamy wspólną przeszłość – odpowiedziała.

– No właśnie. Przeszłość, jak słusznie mówisz.

Wzdrygnęła się. Przyglądałam jej się, myśląc, że nie jest chyba aż tak nierozgarnięta, jak mogłoby się wydawać.

– Donna, powiem to wprost. Jeśli w jakikolwiek sposób będziesz próbowała odzyskać Jake'a, nie pozwolę na to. Dał mi jasno do zrozumienia, że wszystko pomiędzy wami jest skończone.

Kolejny grymas, jakby niezrozumienia. Chyba jednak była aż tak nierozgarnięta.

– Dobra, to się zaczyna robić zbyt dziwaczne – stwierdziła w końcu. – Niepotrzebnie zagaiłam tę rozmowę.

– Chyba faktycznie niepotrzebnie, zrobiłaś to jednak. I radzę ci wziąć sobie do serca to, co powiedziałam. Wszystko – podkreśliłam ostatnie słowo.

Wytrzymała moje spojrzenie, po czym oznajmiła:

– Nie chcę zabrzmieć niepoważnie, serio. Pani Malone była w porządku, a ludzie gadają, że jesteś bardzo do niej podobna. Powinnaś jednak wiedzieć, że to, co było między mną i Jakiem, jest bardzo skomplikowane, a taka przeszłość nigdy nie znika.

Była aż tak nierozgarnięta. I nagle zrobiło mi się jej szkoda.

– To smutne, że naprawdę w to wierzysz – powiedziałam jej. – To nie jest żadna skomplikowana przeszłość. Nie ma już waszej wspólnej przeszłości. Nie ma już was. Chyba pielęgnujesz w sobie jakieś błędne wyobrażenia i radzę ci je porzucić. Dla twojego własnego dobra.

– Możesz uważać to za żart, ale Jake już do mnie wracał – stwierdziła.

– Ale również od ciebie odchodził. A potem jeszcze dwukrotnie wziął ślub. A teraz poznał mnie – nie poddawałam się.

Pokręciła głową, w ogóle mnie nie słuchając.

– Nie chcę być wredna, ale...

– Nie jesteś wredna, Donna – przerwałam jej, chcąc jak najszybciej skończyć tę bezowocną dyskusję. – Ale marnuję tu z tobą czas. Zadzwoń do Jake’a, to z nim powinnaś omawiać sprawy waszych dzieci. Może nie będzie to dla ciebie łatwe, ale w końcu chodzi o wspólne dobro, przede wszystkim dobro dzieci.

– Mój Boże... – szepnęła. – Ty naprawdę nie masz problemu z tym, że będę rozmawiać z Jakiem.

– Nie mam – powtórzyłam swoje stanowisko. – A teraz przepraszam, ale spieszę się.

– Ja... – Znowu pokręciła głową. – No dobra.

– Zadzwoń do Jake’a.

– Zadzwonię – potwierdziła, wciąż z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Miłego dnia, Donna.

– Tobie też, Josie.

Już chciałam skomentować nazywanie mnie „Josie”, ale przecież już prawie wszyscy tak do mnie mówili. W jej przypadku jednakże nie było to wcale przyjemne. Miałam już dość tej irytującej rozmowy i chciałam jak najszybciej od niej uciec. Skinęłam głową, odwróciłam się w stronę wózka z zakupami i spojrzałam na listę produktów.

Później tego dnia, gdy dzieciaki już się nachwaliły nie tylko mojego risotto, ale i bruschetty, którą przygotowałam jako przystawkę, zostałam w kuchni sama z Jakiem. Przygotowywałam deser.

Opowiedziałam mu o moim spotkaniu i rozmowie z Donna.

Jake nakładał właśnie lody do pucharków, miał więcej siły i łatwo mu szło formowanie kulek z zamrożonej bryły. Ja nurkowałam w słoikach z polewą krówkową, której smaku jeszcze nie znałam. Odkręcałam słoiczki z bakaliami, potrząsałam puszką z bitą śmietaną. Wszystko wyglądało przepysznie.

Widać było, że się zdenerwował. Wyszedł do garażu. Podążyłam za nim bez słowa. Stał przy samochodzie z telefonem przy uchu.

– Chyba sobie, kurwa, jaja robisz! – syknął do aparatu.

O rety.

Jake rzucił mi wściekłe spojrzenie, a ja mogłam myśleć tylko o tym, jak niesamowity, srebrny odcień przybrały jego oczy w zimnym, jarzeniowym świetle.

– Nie! – warknął do telefonu. – Po pierwsze, nie będziesz więcej rozmawiać z Josie. Budujemy tu coś, czego nigdy nie zrozumiesz, i wszystko układamy po swojemu. Jeśli wyłożysz mi argumenty przemawiające za taką rozmową, to może na nią zezwolę. Po twoich gównianych zagraniach wobec Connera i Amber nie masz prawa nawet zbliżyć się do Josie. Nawet jeśli

wylądujecie obok siebie na fryzjerskich fotelikach, ona dla ciebie nie istnieje. Czy to jasne?

Cała się spięłam, gdy na moment zamilkł.

– I wybij to sobie z głowy, że jeszcze kiedykolwiek się zejdziemy! To się nigdy nie zdarzy, Donna. Skąd ci to strzeliło do łba, to nie wiem! Od lat ze sobą nie sypialiśmy, a gdy w końcu cię rzuciłem, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby wrócić. Jak w ogóle mógłbym o tym pomyśleć, skoro od tamtego czasu wjechało w ciebie jakieś dwadzieścia obcych kutasów? Niedobrze mi się robi na samą myśl. Więc wbij sobie do głowy, że to się nigdy nie zdarzy! Dotarło?

Chyba robił się zbyt brutalny, więc dotknęłam jego bicepsa i szepnęłam:

– Jake...

Zignorował mnie, ciągle szczekając do telefonu:

– Spierdoliłaś sobie relacje z własnymi dziećmi. Mam ci pomagać je odbudować, to przestań w końcu myśleć tylko o własnej dupie! Dopóki nie udowodnisz mi, że nie żyjesz w jakiejś głupiej bajeczce, nie zwracając uwagi na świat dookoła, to nie masz co liczyć na moją pomoc. Dzieci ci się nie wymykają, Donna. Od dawna są poza twoim zasięgiem. Con stara się nie ignorować matki, bo jest dobrym chłopakiem. Ale Amber ma cię gdzieś. Dopóki się nie pozbierasz, nie masz co liczyć na powrót do ich życia. Słyszysz mnie dobrze?

Nie mówiłam nic więcej, po prostu podeszłam jeszcze bliżej. Zdawał się mnie nie zauważać, wciąż skupiony na tym, co mówiła Donna.

– Przestań robić sceny, ten płacz i łzy nie robią na mnie wrażenia, Donna. Pojawiasz się w moich myślach wyłącznie wówczas, gdy Amber potrzebuje kobiecej ręki, a ja myślę, że nie ma przy niej jej gównianej matki. Na szczęście ona teraz ma Josie. A tobie przyda się pobudka. Nie mogę uwierzyć, że zagadałaś Josie w sklepie. Jak w ogóle śmiałaś jej zasugerować, że może stracić to, co razem wypracowaliśmy? Że ty masz jeszcze jakieś szanse na odzyskanie mnie i rodziny? Wszystko spieprzyłaś i wszystko straciłaś, bo nigdy ci na tym nie zależało. Jeśli się nie ogarniesz, to zapomnij, że odzyskasz choć cień rodziny!

Wziął głęboki oddech i dokończył:

– Jesteśmy po rozmowie. Przemyśl to sobie, Donna. I obudź się, kurwa!

Rozłączył się i wsunął telefon do kieszeni.

– Teraz już wiesz, co kombinuje ta suka? – warknął.

– Wydaje mi się, że powinienes zjeść lody i trochę ochłonać, zanim o tym porozmawiamy – powiedziałam.

– Wchodzimy do domu i zostawiamy Donnę i jej gówniane sprawy za nami. Zjemy lody i zapomnimy o niej.

Zgodziłam się, bo nie chciałam, żeby się denerwował. Chciałam dla niego tylko tego, co dobre.

– Czy jej kochankowie są podobni do ciebie? – zapytałam.

– Ci, których widziałem, raczej tak – zacisnął zęby.

– Chyba traktuje ich jako mało znaczące substytuty ciebie. I ma nadzieję, że ty jeszcze wrócisz.

– To jest chore – stwierdził.

– Zgadzam się.

– Ona jest walnięta – powiedział.

– Najwyraźniej.

– Dobła się do ciebie?

– Słucham? – zapytałam.

– Czy zasiała w twojej głowie jakieś wątpliwości swoim durnym gadaniem?

- Oczywiście, że nie! – Zmarszczyłam brwi.
- Między nami koniec – oznajmił pewnie.
- Wiem o tym, Jake – zapewniłam go.
- Przykro mi, że cię to spotkało – rzekł łagodnie, przyglądając mi się. Twarz mu pojaśniała.

– A mnie nie – odpowiedziałam szybko. – Jeśli Donna dzięki temu ogarnie swoje bzdury, to cieszę się, że porozmawialiśmy. Dzieci potrzebują matki. Może ona w końcu nią zostanie.

Jake uśmiechnął się i objął mnie ramionami.

- Ogarnie swoje bzdury?

– No tak.

Objął mnie ciaśniej.

– Choć strasznie mnie ta sprawa wkurzyła, to żałuję, że nie było mnie w sklepie i nie byłem świadkiem tego, jak ją opieprzasz.

- To było dość przytłaczające – stwierdziłam.

– Przytłaczające... – mruknął, zerkając w dół na mnie, jego uśmiech się poszerzał.

– Tak, przytłaczające – powtórzyłam, czując pierwsze motylki w brzuchu.

– Konfundujące – mruknął raz jeszcze, muskając wargami moje usta.

– Tak... – szepnęłam jeszcze, zanim mnie pocałował.

Całowaliśmy się łapczywie. Wplotłam palce w jego włosy, miałam ochotę stopić się z jego ciałem.

Otrzeźwiło nas walenie w garażowe drzwi i wrzask Ethana:

- No weźcie, co jest? Halo? Gdzie te lody?

Oderwałam się od ust Jake'a, patrząc w jego uśmiechnięte oczy i dosłyszałam, jak Ethan drze się za drzwiami, ale już nie w stronę garażu.

- Con! Tata i Josie macają się w garażu!

Nie dosłyszałam odpowiedzi brata, ale Ethan ciągnął obrażonym głosem:

- Mam to gdzieś! Chcę lody!

Znowu walenie w drzwi.

- Szybciej z tym!

– Trzeba nakarmić mojego dzieciaka lodami – zauważył Jake.

- Jak najszybciej.

– To mu poprawi humor, bo zaraz potem się dowie, że trzeba biec do kościółka.

- Tak to właśnie rozegramy.

Nasze czoła się zetknęły i pozwoliliśmy sobie na jeszcze jeden łagodny buziaczek.

Wyszliśmy z garażu, trzymając się za ręce. Dokończyliśmy przyozdabianie pucharków i Ethan dostał pierwszą porcję, którą zaniósłam mu na kanapę w salonie.

– Jak będę miał dziewczynę, to tylko będę chodził z nią za rękę – oznajmił z pełnymi ustami. – Nie będzie żadnego całowania!

Zacisnęłam usta, usiłując nie roześmiać się w głos.

Taylorowie i Amber się nie hamowali.

- Ale gadasz głupoty! – stwierdził Con.

– Wcale nie! – Ethan przelknął.

– Braciszku, wierz mi, to są głupoty! – powtórzył Conner, a oczy mu błyszczały rozbawieniem.

- Nie! – trzymał się swego Ethan.

Conner mrugnął do mnie, po czym odwrócił wzrok z powrotem na mecz w telewizji.

Wręczyłam drugi pucharek Taylor i wróciłam do kuchni, gdzie Jake szykował kolejne

porcje. Choć się uśmiechałam, było mi ciągle żal Donny. Tak wiele straciła... Jednak jej strata była moim zyskiem.

Radość z tego powodu zwyciężyła.



– Właśnie zaczął się mecz Coltów – szepnął Ethan, siedzący w ławce obok ojca. Oddzielało mnie od niego ciało Jake’a.

– Cicho, młody – mruknął Jake.

Ethan nie zamierzał być cicho.

– Przegapimy – dodał.

– Nagrywa się – szepnął Conner, siedzący obok brata.

– Niech tylko nikt nie wygada wyniku! – ostrzegł Ethan.

– Łoboziu! – mruknął Taylor zza Amber, która siedziała po mojej drugiej stronie. – To jest Kieran Wentworth!

– Gdzie? – Taylor machnęła falą czarnych włosów, rozglądając się.

– Cztery ławki za nami, po drugiej stronie. – Taylor wskazała nieznacznie głową. – Chyba wrócił do domu na weekend.

– Kim jest Kieran Wentworth? – zapytałam cicho, pochylając się w stronę Amber.

– Był w ostatniej klasie, gdy przyszliśmy do szkoły. Jest tak wspaniały, że stał się legendą! Studiuje w Bostonie. Taylor się w nim podkochuje od zawsze!

Obejrzałam się dyskretnie i wypatrzyłam młodego blond przystojniaka z wysokimi kośćmi policzkowymi, które wspaniale wychodziłyby na zdjęciach, i mocną, kwadratową szczęką. Był szeroki w ramionach. Błękitna koszula wyjątkowo dobrze na nim leżała.

– Faktycznie niezwykle przystojny – potwierdziłam, pochylając się do Amber.

– No ba! – zgodziła się.

– Coś mi się nie chce wierzyć, że nie zauważył wdzięków Taylor... – mruknęłam.

– No wiesz, Josie, on ma dziewiętnaście lat i jest w college’u. A ona to słodka szesnastka.

Nic z tego nie będzie.

– Za dwa lata może będzie – stwierdziłam.

– Za dwa lata na pewno będzie zajęty – odpowiedziała Amber.

– Nie, jeśli będzie miał na kogo czekać.

Poczułam, że na mnie spogląda. Mrugnęłam do niej, uśmiechnęła się. Jake pochylił się w moją stronę.

– Znam ojca Taylor, więc nie zapędzajcie się tak daleko.

Mruknęłam tylko, zerkając na niego.

– Mała, on ma dziewiętnaście lat.

– No i? – zapytałam.

– Jest w college’u.

– No i?

Spojrzał na mnie zdziwiony, jakby to, co powiedział, nie wystarczyło.

Odezwał się chór, więc wstaliśmy z resztą wiernych. Gdy pieśń wybrzmiała, pojawił się wielebny Fletcher, a gdy wypatrzył nas w ławce, uśmiechnął się. W chwilę później poprosił wszystkich o modlitwę za Arnego Fletchera i jego rodzinę, która kilka godzin wcześniej utraciła Elizabeth.

Poczułam, że Jake mnie obejmuje i przyciąga do siebie. Rozpaczałam wraz z Arniem i jego rodziną. Jednocześnie czułam radość z powodu tego, że cała moja nowa rodzina była tak blisko.

Gdy wychodziliśmy z kościoła, postarałam się, by cała nasza grupa, a w szczególności Taylor, znalazła się w pobliżu Kierana Wentwortha, który stał blisko starszej pary, zapewne swoich rodziców. Gdy przechodziliśmy obok, udałam, że się potykam, co przyszło mi dość łatwo, bo w końcu ciągle mi się to przydarzało.

Musiałam się kogoś przytrzymać, więc użyłam Taylor, manewrując nią tak, że obie prawie wpadłyśmy w jego ramiona. Jake mnie przytrzymał. Jednak Taylor faktycznie wpadła w ramiona Kierana. Patrzył zdumiony na egzotyczną piękność.

Poczułam, że Jake przyciąga mnie do siebie.

– Serio? – szepnął do mojego ucha tonem rozbawionym i zmartwionym jednocześnie.

Nie bardzo rozumiałam, w jakim kontekście użył tego słowa, bo w rodzinie Spearów miało ono jakiś milion znaczeń.

Zignorowałam jego uwagę, po czym pociągnęłam go w stronę Kierana i Taylor.

– Przepraszam, straszna ze mnie niezdara! – usprawiedliwiłam się, rzucając mu niewinny (pozornie...) uśmiezek.

Spojrzał na mnie, niechętnie odrywając wzrok od Taylor. Wciąż obejmował ją w talii.

– Nic się nie stało – odpowiedział.

Uśmiechnęłam się szerzej, po czym odciągnęłam Jake'a za rękę, zostawiając młodych samym sobie.

– To było epickie! – stwierdził Taylor, gdy zrównaliśmy się z naszym stadkiem.

– Josie jest epicka! – dodała Amber.

Słyszając jej słowa, tak się wzruszyłam, że tym razem naprawdę się potknęłam.

Jake przytrzymał mnie pewnie i przyciągnął do swego boku. Spojrzałam w górę, był w świetnym humorze.

Czekaliśmy przy samochodach z dziesięć minut. A gdy Taylor w końcu się pojawiła, miała rozanielony wyraz twarzy.



Minęły dwa dni.

Opierałam policzek o twarz Arniego.

– Będziemy za nią tęsknić – powiedziałam cicho.

– Oj tak, będziemy... – potwierdził. – Do zobaczenia na stypie.

Kiwnęłam głową i odeszłam, ustępując miejsca Jake'owi. Ucisnął dłoń Arniego i złożył wyrazy współczucia. Odsunął się po chwili, nie chcąc zabierać zbyt wiele czasu, bo już ustawiła się kolejka.

Wyjął z mojej dłoni parasolkę i objął mnie w talii. Przeszliśmy do samochodu, chroniąc się od deszczu pod dużą, czarną kopułą. Kiepsko mi wychodził spacer na szpilkach po nasiąkniętej trawie, obcasy zapadały się w rozmiękłym gruncie. Miałam nadzieję, że po osuszeniu i wypastowaniu buty będą jeszcze nadawały się do noszenia.

Jake jakimś cudem pomógł mi wsiąść do auta, co nie było łatwe, bo miałam na sobie obcisłą ołówkową spódnice.

Otrząsnął parasol z wody i rzucił go na tylne siedzenie. Patrzyłam, jak deszcz rosi jego

włosy i garnitur od Hugo Bossa, gdy obchodził maskę. Gdy tylko zasiadł obok mnie, stwierdziłam:

– Pasuje ci ten garnitur, Jake.

– Dzięki, mała – mruknął, odpalając silnik.

Wyjechał płynnie z cmentarnej alejki i włączył się do ruchu.

– Nie musimy jechać na stypę, jeśli to dla ciebie za wiele.

– Bunia by pojechała – odpowiedziałam.

– Ale ty nie jesteś Lydią – stwierdził.

Spojrzałam na niego i stwierdziłam, że ta mgiełka wilgoci na włosach i ramionach nie tylko nie odbierała mu urody, ale sprawiła, że wydawał się jeszcze przystojniejszy.

– A jednak trochę nią jestem, Jake – szepnęłam.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu i patrzył na mnie ciepłym, łagodnym wzrokiem, po czym spojrzał z powrotem na drogę. Chwycił moją dłoń i złożył ją na swoim udzie.

Nie puścił jej, dopóki nie podjechaliśmy pod dom Weaverów.



Późnym popołudniem tego samego dnia stałam w biurze na siłowni i patrzyłam przez okno, jak Jake rozmawia z jednym z chłopców z ligi juniorów. Dzieciak patrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jakby spoglądał co najmniej w oblicze Supermana.

– Serio? – usłyszałam głos Alyssy, która rozglądała się krytycznie po pomieszczeniu.

– Jak on tutaj cokolwiek znajduje? System ewidencji nie jest nawet zdigitalizowany! Wszystko na papierze!

Nie skomentowałam.

Przeniosłam wzrok na Micka, który stał przy ringu i zagrzewał do walki dwóch młodzików. Potem na Juniora, który nadzorował trzech kolejnych walących w worki. Wróciłam do Jake'a, który uniósł gardę, po czym kilkakrotnie uderzył powietrze, demonstrując ciosy.

Chłopczek powtórzył podpatrzony ruchy. Gdy skończył, Jake z uśmiechem poklepał go po ramieniu.

Młody promieniał.

Gdy patrzyłam na tego mężczyznę, który tak świetnie radził sobie z młodzieżą i ewidentnie to uwielbiał, pomyślałam, że powinnam dziękować Bogu za to, że nie wpakował mnie dotychczas w żaden inny poważny związek.

– Musisz pomóc mu to ogarnąć, Josie. Nie wiem, jak on może pracować w takich warunkach. To miejsce to jakaś strefa mroku!

Spojrzałam na nią, potem omiotłam wzrokiem biuro. Strefa mroku, zaiste!

Dzień wcześniej zasugerowałam mu, że wszystko uporządkuję, choć nie użyłam słów „strefa mroku”, a raczej „kolosalny nieporządek”.

Odpowiedział coś w stylu:

– Nie jestem panem porządnikiem. Ogarnij to, a wówczas dostaniesz tyle tacos, że będziesz jeść, aż pęknie, i tyle orgasmów, że chyba po nich nie wstaniesz.

Choć obie formy płatności, szczególnie ta druga, brzmiały bardzo kusząco, nie omieszkiałam zauważyć:

– Jeśli nie będę w stanie wstać, to nie będę w stanie niczego tu ogarnąć.

To stwierdzenie sprawiło, że pocałował mnie żarłocznie, a nasze karesy zostały

przerwane przez jakiegoś klienta, który wparował do biura i rzucił:

– Wynajmijcie sobie jakiś pokój!

No więc ogarniałyśmy z Alyssą, która przyszła tu nie tylko z Juniorem, ale i z dwoma synami, którzy należeli do kadry.

Chyba musiałam milczeć dość długo, bo w końcu mnie zawołała:

– Josie?

– Czy myślisz, że można zakochać się w mężczyźnie, którego zna się zaledwie kilka tygodni? – zapytałam w przestrzeń.

– Tak – odpowiedziała, a jej twarz złagodniała.

– A więc zakochałam się w Jake’u – oznajmiłam.

– Co ty nie powiesz?

– Co ja nie powiem.

Oparła się o biurko. Ja stałam tuż obok sfatygowanego krzesła Jake’a. Na jej ustach wykwitł uśmiech.

– A wiesz, ile czasu zajęło mi zakochanie się w Juniorze? – uniosła pytająco brwi.

Pokręciłam głową.

– Pół godziny – oznajmiła.

– Pół godziny? – zapytałam zdziwiona, bo przy tym moje zakochywanie się w Jake’u trwało wiecznie.

– Zaprosił mnie na randkę i posadził przed sobą przy stoliku w The Eaves. Gdy złożyłam zamówienie, powiedział, że nigdy w życiu nie widział nikogo równie pięknego. I już. Podziało. Widziałam wyraźnie, jak bardzo cieszy się z tego, że jestem tam z nim. Widziałam, jak na mnie patrzy. A tamta chwila to był zaledwie początek i tak to trwa już dziewiętnaście prefantastycznych lat!

– Piękne jest to, co mówisz.

– A jakże, Josie! – zgodziła się.

– Cieszę się, że czujesz właśnie coś takiego.

– Kochanieńka – uniosła dłoń i dotknęła mojego policzka – po całym tym bagnie, przez który przebrnęłaś w życiu, ty też to masz, a ja jestem z tego powodu przeszczęśliwa!

Ja również byłam przeszczęśliwa. Byłam w siódmym niebie.

Oczy nam się zaszklily. Nagle cofnęła się i powiedziała:

– Jeśli rozkleimy się tutaj jak jakieś gówniary, to zaraz nas wyrzucą!

Myliła się. Jake znikąd by mnie nie wyrzucił, nawet z siłowni, za płkanie jak bóbr. A przecież uważał, że ten klub to bardzo poważne miejsce.

– Oddychajmy głęboko – poradziłam jej, zatrzymując te przemyślenia dla siebie.

Zaczęłyśmy sapać jak parowozy, aż wybuchnęłyśmy od tego śmiechem.

– Kobieto! – dosłyszałam głos Juniora przez uchylone drzwi. – W sali treningowej nie ma podśmiechujek!

Wyjrzałyśmy przez okno. Stał za szybą i uśmiechał się do nas. Było widać, że te nasze „podśmiechujki” raczej przypadły mu do gustu. Naprawdę go polubiłam.

Jake również zaglądał do biura, ale nie uśmiechał się, miał łagodną, nieco zamyśloną minę. Wymieniliśmy uśmiechy dopiero, gdy nasze oczy się spotkały.

– No dobra, żadnych płaczów i żadnych podśmiechujek. Będziemy od teraz śmiertelnie poważne! – rzuciła do mnie Alyssa.

– Całkiem poważne – potwierdziłam, robiąc grobową minę.

Znowu się obśmiałyśmy.

– Co ja powiedziałem? – rzucił groźnie Junior, ale wystarczyło na niego spojrzeć, żeby

dostrzec, że żartował.

Alyssa śmiała się do rozpuku, a ja dołączyłam do niej.



Dwa dni później leżałam rozparta na łóżku Amber, przyglądając się, jak Taylor nad wyraz zręcznie pokrywa jej twarz kolejnymi warstwami makijażu. Miał do tego smykałkę. Do pokoju wparowała druga Taylor.

– Już podjeżdża! – oznajmiła.

– O rety, o w mordę, o Boże! – zaczęła mamrotać Amber.

– Błagam, powiedz, że nie na motocyklu! – Spojrzałam na dziewczynę, czując, że puls mi skacze.

– Nie. W oldskulowym mustangu! – powiedziała.

– Epickie...! – wydyszał Taylor.

– Jego ojciec odnawia stare fury – wyjaśniła Taylor. – Alexi pomaga mu w weekendy. A potem się wozi wszystkimi tymi wypasionymi brykami!

– Zajeżdźcie! – Taylor coraz bardziej się podniecał.

Choć fakt, że Alexi wspiera rodzinny biznes i ma pracę, był chwalebny, to ja byłam skupiona na Amber.

Wyglądała na przerażoną. Po dwóch tygodniach podchodów i wspólnego spożywania lunchu w końcu zaprosił ją na randkę. Następnego ranka jechaliśmy na koncert Bounce do Bostonu, ale nie na tyle wcześnie, by musiała odmówić spotkania. I tak by nie odmówiła.

Wcześniej szalała z radości, a teraz szalała z przerażenia. Musiałam jakoś ją uspokoić, bo obie te sprawy zaprzętały mi myśli. Ześlizgnęłam się z łóżka i ujęłam ją pod brodę.

– Słuchaj uważnie i weź to sobie do serca – powiedziałam cicho. – To nie ty jesteś szczęściarą, bo Alexi Prokurov zabiera cię na randkę. To on ma szczęście, bo mu nie odmówiłaś. Nadążasz?

Pokiwała, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami.

– Wyglądasz przepięknie! – Cmoknęłam ją w czoło. – Baw się cudnie, kochanie!

Uśmiechnęła się nieśmiało i z nadzieją, a ja liczyłam na to, że Alexi Prokurov stanie na wysokości zadania. Uśmiechnęłam się do Taylorów i wyszłam z pokoju.

Podążyłam schodami w dół i akurat trafiłam na moment, w którym Jake otwierał drzwi. W samą porę! Alexi na żywo wyglądał o wiele lepiej niż na niewyraźnym zdjęciu i był prawie tak samo wysoki jak Jake.

Gdy ten zamknął za nim drzwi, wyciągnął rękę i przywitał się:

– Panie Spear.

Jake patrzył na wyciągniętą dłoń, ale ujął ją dopiero, gdy stanęłam obok i dyskretnie wsunęłam dłoń do tylnej kieszeni jego jeansów. Uścisk był krótki, po czym Jake oznajmił:

– O północy ma być z powrotem.

– Na pewno odwiozę ją o czasie – zapewnił Alexi.

– Słyszałem, że jeździsz na motocyklu?

– Tak – potwierdził chłopak.

– Moja córka na niego nie wsiądzie.

Alexi tylko kiwnął i spojrzał na mnie.

– Ty jesteś Josie? – zapytał.

- Panna Malone – upomniał go Jake.
- Alexi spojrział na niego przelotnie, potem znów na mnie.
- Panna Malone, tak – poprawił się.
- Tak, Alexi. – Wyciągnęłam do niego rękę. – Jestem Josie, panna Malone.
- Amber cały czas o tobie opowiada – rzekł, ściskając moją dłoń.
- To miłe – zaczęłam, ale on już patrzył gdzieś poza moje plecy.
- Wiedziałam, co zobaczył, i odwróciłam się.

Amber schodziła po schodach. Taylorowie zostali na górze, w końcu Alexi nie musiał wiedzieć, że potrzebowała aż tyle wsparcia przed tym spotkaniem.

Nie miała na sobie ani przykrótkiej spódniczki, ani makijażu à la królowa nocy. Zamiast tego podkreślające figurę jeansy i mój różowy, kaszmirowy sweterek. Na nogach sandały na platformach, a na późniejszą zamszowa kurtka, przerzucona teraz nonszalancko przez przedramię.

Zeszła ze schodów i rzuciła Alexiemu nieśmiały uśmiech.

Idealnie!

- Cześć – przywitała się.
- Cześć. Wyglądasz super! – powiedział.
- Dzięki – mruknęła, pochylając głowę i zakładając za ucho kosmyk pięknych, rudych włosów.

Naprawdę idealnie! Byłam z niej taka dumna!

- Niech mnie ktoś zabije... – mruknął Jake na tyle cicho, że żadne z nich nie usłyszało.

Z trudem przełknęłam chichot.

- Północ, Amber – przypomniał jej ojciec.
- Dobra, tato. – Podeszła do niego i pozwoliła się uściskać.
- Cmoknął ją w policzek.
- Uważaj na siebie, kochanie, tak? – rzucił, odsuwając się.
- Pewnie, tato.

Alexi wziął Amber za rękę, a gdy tylko ich dłonie się zetknęły, dziewczyna rzuciła mi rozanielone spojrzenie.

- Bawcie się dobrze! – zawołałam za nimi, gdy Alexi wyprowadzał ją przez drzwi.
- Miło było cię poznać! – rzucił na odchodne.
- Ciebie również – odpowiedziałam, gdy podążaliśmy za nimi i przystanęliśmy w progu.
- Zaśmiałam się pod nosem, ale Jake nie podzielał mojego entuzjazmu.
- Wydaje się miły – zauważyłam.
- Za każdym razem mam wrażenie, że zejdem z tego świata... – mruknął Jake, a jego słowa rozlały się jak balsam po mojej duszy.

Objęłam go.

- Jesteś wspaniałym ojcem, Jake’u Spearze! – szepnęłam w jego pierś.
- Czy to nie przefajne?

To Taylor zepsuł nam tę chwilę, pojawiając się na schodach.

- Przufajne – potwierdziłam.

Taylorowie przybili piątkę.

Ethan przepchnął się pomiędzy nimi, schodząc na dół.

- Wszyscy jesteście walnięci! – podsumował.
- Dzięki Bogu, że mam jakieś sześć lat spokoju, zanim będę musiał przerabiać cały ten bajzel jeszcze raz z Ethanem!

Uniosłam wzrok na Jake’a i tym razem wcale nie powstrzymałam śmiechu.



– Jake... – jęknęłam.

– Cicho, mała! – szepnął.

– Jake!

– Cholera! – mruknął, wplatając dłoń w moje włosy, odchylając moją głowę i wpijając się w moje usta.

Krzyknęłam w jego gardło, czując obezwładniającą falę rozkoszy.

– Odchyl się! – rozkazał, a ja wygięłam ciało w łuk, chwytając się kranu, a drugą dłonią krawędzi blatu w hotelowej łazience mojego pokoju w Bostonie.

Nie przestawał wbijać się we mnie, a ja uniosłam wyżej kolana. Patrzył żarłocznym wzrokiem w miejsce, w którym nasze ciała stapały się ze sobą.

– Uwielbiam patrzeć na to, jak przyjmujesz mnie w siebie – mruknął.

A ja uwielbiałam patrzeć na to, jak on patrzy.

– Pięknie... – szepnął.

Zacisnęłam się wokół niego, uniósł wzrok, by spojrzeć mi w oczy. O tak, to było piękne i wszechogarniające.

– Chodź do mnie! – powiedział, a jego głos stał się chrapliwy.

Objęłam go ramionami, on oplótł mnie jedną ręką w tali, drugą wplótł w moje włosy, odrzucił głowę w tył i jęknął przeciągle.

Całowałam jego szyję, smakowałam skórę. On również pochylił głowę.

– To bardzo kiepskie, że muszę położyć cię do łóżka i wyjść – rzekł zapowietrzonym od rozkoszy głosem.

Było już po koncercie.

Amber i Taylorowie spali w swoim pokoju. Conner i Ethan w pokoju, w którym miał spać i Jake. Ja miałam jedynekę, właśnie po to, by mógł wpaść do mnie i zrobić to, co przed chwilą zrobił.

Zdjęcia młodzieży w towarzystwie Lavona i pozostałych członków Bounce zalały media społecznościowe. Wszyscy bawili się świetnie, a Lavon był doprawdy słodziutki. Gdy wróciliśmy do hotelu, dzieciaki były tak nakręcone, że myślałam, iż nigdy nie zasną.

Padli jak muchy po pół godzinie.

I wówczas do moich drzwi zastukał Jake.

A teraz musiał wyjść i mnie tu zostawić. I było to bardzo, bardzo kiepskie.

Uniósł na mnie wzrok.

– Chyba dzieciaki już się z tobą oswoiły... – powiedział.

Mruknęłam coś tylko, bo to przecież nawet nie było pytanie.

– Mała, chciałbym cię mieć przy sobie cały czas, chciałbym budzić się przy tobie i przy tobie zasypiać. Gdy jutro wrócimy do domu, usadzę dzieciaki przy stole i sobie to z nimi omówię.

– Ale co omówisz? – Zapamiętałam tylko to o budzeniu się obok mnie.

– To będzie rozmowa na temat tego, że Josie będzie u nas całkiem często nocowała.

– Ach tak... – Ciekawe, czy dostrzegł, jak bardzo ucieszyła mnie ta perspektywa.

– Chyba nie masz nic przeciwko tej opcji? – rzekł, a wargi drgnęły mu w uśmiechu.

– Nic a nic – potwierdziłam.

Pocałował mnie, zawędrował ustami na moje piersi, ale po chwili przerwał te pieszczoty, by zająć się zużytą prezerwatywą.

Pomógł mi zejść z blatu i zaprowadził za rękę prosto do łóżka. Miałam na sobie tylko kusą koszulkę, więc opatulił mnie szczerze kołdrą.

Leżąc w półśnie, z dłońmi złożonymi pod policzkiem, obserwowałam, jak się ubiera.

– Myślisz, że dzieciaki się dobrze dziś bawiły? – zapytałam.

– Serio? – odpowiedział pytaniem, zerkając na mnie.

Zapiął koszulę, przysiadł na skraju łóżka i pochylił się nade mną, odgarniając włosy z mojego czoła.

– To był najlepszy dzień w ich życiu – powiedział cicho. – Wycieczka do wielkiego miasta, pałaszowanie krabów w wykwintnej restauracji, nocleg w wypasionym hotelu, w jakim nigdy nie byli, choć ojciec Taylor ma mnóstwo kasy. A na koniec koncert i spotkanie z zespołem.

– Cieszę się – szepnęłam.

– Uwielbiają cię, wszyscy, nawet Taylorowie.

– A ja uwielbiam ich – odpowiedziałam szybko.

– Za to ja uwielbiam ciebie – powiedział.

Zamarłam na tę deklarację.

– Mała? – zapytał, gdy milczałam, gapiąc się na niego.

– Ja ciebie również – szepnęłam ochrypłym głosem, a Jake znów pochylił się nade mną.

– No niech to – mruknął. – Pocałuj mnie szybko, zanim zrobię coś, za co obwołają mnie najgorszym ojcem świata, co zostawia swoje dzieci same w pokoju hotelowym na całą noc.

Nasze pokoje sąsiadowały ze sobą, były nawet połączone drzwiami, ale... Nie chciał zostawiać dzieci bez opieki. Był takim dobrym ojcem!

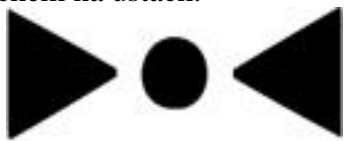
Uniosłam się na łokciach i zaczęliśmy się całować, długo i soczyście.

– Do zobaczenia rano, Śliczna. – Jake oderwał w końcu usta od moich.

– Do zobaczenia, kochanie!

Pożegnaliśmy się z uśmiechem i patrzyłam, jak wślizguje się w szczelinę w drzwiach łączących nasze pokoje.

Po mojej głowie rozlewała się świadomość, że Jake Spear mnie uwielbia. Zasnęłam z uśmiechem na ustach.



Zmierzch zastał mnie w domu Spearów. Była niedziela i Taylorowie już się rozeszli. Jake stał ze mną przy moim samochodzie.

– Zadzwoń później i dam znać, jak przebiegła nasza rozmowa – poinformował mnie, nie wypuszczając z ramion. – Jeśli nie będzie sprzeciwu, jutro śpisz w moim łóżku.

Poczułam niepokój i dreszcze ekscytacji. Pocałował mnie delikatnie na pożegnanie i mruknął:

– Trzeba to w końcu załatwić.

– Dobrze, kochany, porozmawiamy później.

Raz jeszcze mnie pocałował, po czym otworzył drzwiczki auta, pomógł mi wsiąść i patrzył, jak odjeżdżam.

Wcale nie zazdrościłam mu tej rozmowy. Amber i Conner z pewnością wiedzieli, że jesteśmy blisko, ale wywlekanie tego i omawianie z dziećmi z pewnością nie należało do łatwych

spraw. Miałam jednak nadzieję, że konwersacja na ten delikatny temat przebiegnie bezboleśnie.

Myślałam o tym w drodze do domu, myślałam o tym, wjeżdżając na podjazd przed Lawendową Willą, ale mój umysł opustoszał, gdy dostrzegłam zaparkowanego przed domem lśniącego czarnego mercedesa.

– Co jest...? – powiedziałam na głos, wysiadając z auta.

Boston Stone stał w cieniu ganku.

Wysiadłam, zatrzasnęłam drzwiczki i ruszyłam w jego stronę, zdecydowana wygarnąć mu, co myślę o wizytach o tak późnej porze, szczególnie niezapowiedzianych.

Zanim jednak wyrzekłam choć słowo, potknęłam się, a gdy odzyskałam równowagę i wyprostowałam, zamarłam.

Za Bostonem stał jeszcze jeden mężczyzna, który teraz również wyszedł z cienia.

Zawrzały we mnie uczucia, a wszystkie były negatywne.

To był jeden z dwóch mężczyzn, których nie chciałam już nigdy więcej w życiu oglądać.

Mój wuj.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przepadł. Na dobre.

Jake patrzył za odjeżdżającym samochodem Josie, po czym wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Podążył schodami w górę wprost do pokoju córki i zapukał, a gdy zawołała ze środka, uchylił drzwi i wsunął przez szczelinę górną połowę ciała.

Leżała na łóżku, w dłoni trzymała telefon. Wiedział, że rozmawia z Alexim, bo wystarczyło spojrzeć na rozmarzony wyraz jej twarzy.

– Kończ pogaduszki, kochanie, mamy zebranie w kuchni. Oddzwonisz, gdy skończymy – rzucił łagodnie, ale stanowczo.

– Dobra, tato – odpowiedziała bez sprzeciwu.

Patrzył na nią dość zdziwiony przez sekundę, po czym cofnął się i zamknął drzwi. Nie wiedział, czy to był wpływ Josie, Alexiego, czy może ich obojga, ale cieszył się z tej zmiany.

Gdy spotykała się z Noah, była marudna, upierdliwa jak wrzód na tyłku. Przy nowym chłopaku uspokoiła się, spokorniała i przestała sprawiać problemy. Być może to była jego zasługa, ale Jake wolał myśleć, że to jednak wpływ Josie.

Alexi odstawił ją o czasie i była w świetnym humorze przez całą drogę do Bostonu.

Jake nie mógł jednak w pełni zaufać temu chłopakowi, przynajmniej nie do czasu, aż zerwą albo doczekają się pierwszego dziecka, za jakieś dziesięć, albo jeszcze lepiej dwadzieścia lat.

Gdy był na półpiętrze, usłyszał dzwonek do drzwi i dojrzał Connera, który spieszył, by otworzyć.

– Idę, tato – rzucił chłopak, spoglądając w górę.

– Dobra – odpowiedział Jake.

– Co jest, do diabła? – usłyszał głos Connera.

W progu stała Ellie z miną zażenowaną, nieśmiałą i pełną wahania.

– Con, możemy chwilę porozmawiać? – zapytała asekuracyjnie.

Jake poczekał chwilę, czy nie będzie potrzebny, ale Con rzucił tylko krótko:

– Wejź do salonu.

Nie zabrzmiało to zapraszająco, ale Ellie kiwnęła głową. Conner przesunął się, by ją wpuścić. Rzucił ojcu spojrzenie mówiące, że to ogarnia, co specjalnie go nie zdziwiło, bo Con radził sobie sam ze wszystkim. W przeciwieństwie do Amber.

Conner ruszył za Ellie do salonu.

Jake powiedział cicho:

– Nie wiem, o co jej chodzi, ale załatw to szybko, bo mamy naradę rodzinną.

Conner tym razem pokiwał głową i zamknął się z dziewczyną w salonie.

Jake westchnął i przeszedł do kuchni, gdzie podłączył telefon do ładowarki i zajrzał do lodówki. Miał nadzieję na to, że cokolwiek się dzieje między jego synem i Ellie, rozprawią się z tym szybko.

Był nastawiony na to, żeby jak najprędzej wprowadzić Josie do rodzinnego gniazdka. Nie zamierzał wdawać się w szczegóły, bo nastolatki już dobrze wiedziały, z czym wiąże się wpuszczenie kobiety do łóżka. Na szczęście Ethan jeszcze się nie orientował w tych sprawach i pewnie po prostu ucieszy się, że będzie mógł spędzać z Josie więcej czasu.

Jake miał nadzieję, że Amber i Con podejną do sprawy z równym entuzjazmem, w końcu żadne z nich nie pokazało, że mają coś przeciwko Josie.

Od czasu zerwania z matką Ethana nie żałował sobie, jeśli chodzi o kobiety, ale jego

dzieci ani razu nie przyłapały żadnej w jego łóżku. Przyprawiał je wyłącznie wówczas, gdy nikogo nie było w domu, i szybko odprawiał po fakcie.

Ta rozmowa nie miała należeć do łatwych.

Wydobył z lodówki butelkę piwa, odkręcił kapsel i wrzucił go do kosza. Ruszył do pokoju Ethana, żeby zawołać go na rodzinne spotkanie, ale nie doszedł nawet do schodów, bo znowu rozległ się dzwonek do drzwi. Zmarszczył brwi i poszedł otworzyć.

Zauważył, że z salonu nie dobiegały żadne odgłosy, ale to chyba był dobry znak.

Przez szybkę w drzwiach dostrzegł stojącą na zewnątrz osobę i zaklął pod nosem. To była Donna. Odstawił butelkę na stolik i otworzył. I mógłby przysiąc, że miała taki sam wyraz twarzy jak przed chwilą Ellie.

– To nie jest dobra pora – rzekł, otworzywszy.

– Jake, musimy porozmawiać – powiedziała łagodnie.

– Może i tak, ale na pewno nie teraz. Zadzwoń, zanim się pojawisz, nie możesz mnie tak nachodzić bez uprzedzenia!

Złożyła dłoń na jego piersi. Odruchowo cofnął się prawie o metr, a jej dłoń opadła. Nie wierzył, że wyprawiała takie rzeczy. Serio?

– Spieprzyłam sprawę – oznajmiła Donna.

– Nie będziemy teraz o tym mówić! – odpowiedział szybko.

– Jake...

– Ale masz na myśli naszą córkę czy syna?

Pokiwała głową.

– Tak... to też. Ale chodzi o nas.

– O dzieciach porozmawiamy innym razem. A o nas nie będziemy mówić nigdy więcej, bo od dawna nie ma żadnych „nas”.

Jej twarz przybrała błagalny wyraz.

– Jake, już zawsze będziemy jacyś „my”!

Ona naprawdę była walnięta.

– Donna, w chwili, gdy wykopałaś mnie z domu po raz pierwszy, zabiłaś nas.

– Wiem, że cię skrzywdziłam.

– Kobieto, to było czternaście lat temu!

– Byliśmy szczęśliwi – powiedziała.

– Nie, Donna. Ja byłem szczęśliwy. Tobie nigdy nie można było dogodzić. Zawsze doszukiwałaś się jakichś ale. Byłaś zła bez względu na to, czy to znalazłaś, czy nie. To zabiło też moje szczęście i teraz, gdy patrzę wstecz, widzę, że nigdy nie byłem tak naprawdę szczęśliwy. Za to teraz jestem. Ale teraz przeszłość nie ma już najmniejszego znaczenia, bo jest tylko mglistym wspomnieniem.

Zabolały ją te słowa, ale nic go to nie obchodziło.

W domu jego syn rozmawiał z dziewczyną, która złamała mu serce dwa tygodnie wcześniej, i musiał trzymać rękę na pulsie. Do tego czekała go ważna rozmowa z dziećmi. Nie miał teraz czasu na jakieś popierdółki z eks. Już miał kazać jej spadać, ale odezwała się ponownie:

– A więc Josie czyni cię szczęśliwym?

– A jakże. A teraz posłuchaj...

Donna się wcięła, ale wyłożyła niewłaściwą kartę.

– Może i jest ładna, ale jest też jakaś taka... dziwna.

O nie. Nie, do cholery!

– Jest dziwna? – szepnęła Jake.

– Tak śmiesznie mówi i śmiesznie się zachowuje... Czy to cię naprawdę...?
– Śmieszy cię to, że wysłuchuje problemów twojej córki, zabiera ją na zakupy, kupuje kosmetyki, interesuje się tym, czym interesuje się Amber, i pokazuje, że można jej zaufać? I to właśnie Amber robi?

– Ja...

– I śmieszne jest to, że gdy Conner musiał skonfrontować się z wkurwionym ojcem byłej dziewczyny, stanęła pomiędzy nimi i załagodziła sytuację, udowadniając, że Con jest niewinny i nie zrobił nic złego?

Donna zamknęła usta i gapiła się na niego.

– Coś ci wyjaśnię, Donna, to wszystko nie jest dziwaczne. Dziwaczne jest to, że matka ignoruje swoje dzieci, bo jest bardziej zajęta sprowadzaniem do swojego łóżka chłopcisiów, którzy wyglądają jak jej mąż sprzed dwóch dekad. Dziwaczne jest to, że taka kobieta nie ma w związku z tym czasu dla swoich dzieci. Josie była dla nich lepszą matką przez ostatni miesiąc niż ty przez ostatnie pięć lat.

– Okropne jest to, co mówisz – szepnęła Donna.

– Może i okropne, ale jak bardzo prawdziwe – odparł Jake. – A dowodem na to jest fakt, że przysłałaś tutaj, wyobrażając sobie, że możesz do mnie wrócić. Nawet nie zapytałaś o dzieci. Więc one są tam, w środku, a ty ich nie zobaczysz, bo nawet nie przyszło ci do głowy, by się nimi zainteresować. Dopóki nie zaczniesz myśleć o nich poważnie, nie będziesz mieć do nich dostępu.

Jake nie przejął się bolesnym grymasem, który pojawił się na jej twarzy. To był koniec rozmowy, więc zamierzał kończyć tę scenkę rodzajową.

– Widzę, że nic sobie przez ostatni tydzień nie przemyślałaś. Albo myślałaś nie o tym, co trzeba. Więc dam ci jeszcze trochę czasu, nie spiesz się. I nie waz się tu więcej przychodzić. Nie chcę cię widzieć, nie chcę z tobą rozmawiać. Nie powstrzymam cię jednak przed rozmawianiem z twoimi dziećmi, więc mogę tylko poprosić o to, żebyś robiła to mądrze, jeśli już będziesz próbować, mając na sercu ich dobro, nie własne. Jeśli znowu coś schrzaniysz, to Josie i ja będziemy musieli sprzątać bałagan, jaki po sobie zostawisz. Ale błagam cię, spróbuj choć wyobrazić sobie przez moment, że jesteś porządną matką. Dla nich. Nie mam ci w tej chwili nic więcej do powiedzenia. Idź sobie i więcej tu nie wracaj. Jasne?

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie wierzę, że to się dzieje... Nie mogę uwierzyć, że odzywasz się do mnie w ten sposób! Nawet jeśli wszystko pomiędzy nami skończone, tak się nie robi.

Chryste! Co z nią było nie tak?

– To koniec i tak to się właśnie robi, lepiej przyjmij to do wiadomości. I przestań w końcu myśleć tylko o własnej dupie.

Jake wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi, nie oglądając się.

– Tato, dzwoniła twoja komórka! – wrzasnął Ethan, gdy tylko przestąpił próg.

– Dzięki, koleżko – rzucił Jake, przechodząc przez pokój.

– Nie ma za co – odpowiedział młody, nawet na moment nie odrywając się od gry.

– Eath, za chwilę mamy naradę rodzinną w kuchni, więc spauzuj gierkę – dodał Jake.

– A co będziemy omawiać?

– Josie.

– Bierzecie ślub? – zapytał Ethan, odrywając wzrok od ekranu i przekrzywiając głowę.

Na to pytanie przeprawa z Donna uleciała z głowy Jake'a, uśmiechnął się i odpowiedział:

– Jeszcze nie.

– Ale wszystko okej? – dopytał chłopiec z troską.

– Jak najbardziej.

– To co, wprowadza się? – kontynuował przesłuchanie Ethan.

Jake zdusił śmiech i odparł:

– Nie tak do końca, ale chciałbym, żeby więcej przebywała w naszym domu, i chcę was zapytać, czy nie macie nic przeciwko temu.

– Ja nie mam, pod warunkiem, że nie spiknie się z Amber i nie będzie nas zmuszać do oglądania jakichś pierdół modowych czy konkursów wokalnych przez cały dzień – odparował Ethan, odwracając wzrok z powrotem na ekran. – To skoro ja się zgadzam, to czy muszę pauzować grę i iść na tę naradę?

Jake już miał coś odpowiedzieć, ale jednocześnie otworzyły się drzwi do salonu i zadzwoniła jego komórka.

– Jednak spauzuj, synek – mruknął rozkojarzony, patrząc, jak Ellie wybiega z pokoju z płaczem i zatraskuje za sobą drzwi wejściowe.

Conner wyłonił się z salonu i spojrzał na zamknięte drzwi, za którymi zniknęła. Jake poruszył się w półmroku i starszy syn spojrzał na niego. Jego twarz nie wyrażała jakichś gwałtownych emocji, może poza rozdrażnieniem, więc cokolwiek doprowadziło Ellie do łez, na niego za bardzo nie wpłynęło.

– Wszystko dobrze? – zapytał Jake.

– Jak widać, u niej nie – odpowiedział Conner.

– Chcesz pogadać?

Conner wzruszył ramionami.

– Chciała się zejść. Czuję się marnie z powodu tego, że mi nie uwierzyła. Rozmawiała z rodzicami, aby pozwolili jej dać mi kolejną szansę. Cholerną szansę. – Pokręcił przecząco głową, rzucił okiem na drzwi, potem znów spojrzał na ojca. – Miała swoją szansę i nie wykorzystwała jej.

To była jego decyzja i bez względu na to, czy Jake się z nią zgadzał, czy nie, musiał ją zaakceptować.

– Chyba mocną ją to poruszyło – zauważył.

– Ta... – Conner raz jeszcze spojrzał na drzwi.

– Wsiadaj do auta i jedź za nią, nie można jej tak zostawić. Upewnij się, że dotrze bezpieczna do domu. I wracaj szybko, bo mamy do pogadania.

– O Josie? – zapytał chłopak.

– Auto, Ellie w domu. Potem pogadamy – powtórzył Jake, wskazując głową na drzwi.

– Jeśli chcecie zaliczać kolejne bazy, to ja nie mam nic przeciwko. Świetnie gotuje, nawet jeśli to są jakieś warzywka, które we mnie wmusza. A rano zabiera Ethana do szkoły, więc odpada mi jeden obowiązek.

Przeszli do kuchni i Jake oparł się o futrynę, patrząc, jak Conner otwiera garażowe drzwi.

– Powiedziałem, co myślę. Możecie sobie urządzać spotkanie beze mnie.

– Może jednak z tobą, jak już wrócisz. Leć! – Jake raz jeszcze wskazał głową na drzwi.

– Josie się wprowadza?

Jake odwrócił głowę, słysząc głos Amber za sobą.

Głos wypełniony nadzieją.

– Nie, kochanie – rzekł, ignorując dzwoniącą po raz kolejny komórkę. – Ale chciałbym, by trochę więcej tu bywała.

– Supcio! – pisnęła Amber. – W końcu jakieś laski w tym domu! Będziemy urządzać wojny na poduszki i może nawet namówimy was na oglądanie *Salonu Sukien Ślubnych* na dużym telewizorze!

No cóż, chyba nie musiał już organizować oficjalnej rodzinnej narady...

– Mam na myśli to, że od czasu do czasu zostanie na noc. – Wytrzymał wzrok córki.

Zrobiła taką minę, jakby powiedział coś totalnie głupiego.

– No ta, a niby o co chodzi?

Poszło o wiele łatwiej, niż się spodziewał.

– No to mogę już nie schodzić na to spotkanie i oddzwonić do Alexiego? – zapytała Amber.

– Pewnie, kochanie – potwierdził.

Skoro dzieciaki uważały, że nie ma co robić wielkich podchodów do tego tematu, i dla nich obecność Josie była naturalna, postanowił odpuścić oficjalne rodzinne spotkanie.

Amber uśmiechnęła się, przyskoczyła do niego i cmoknęła w policzek, po czym pognęła na górę. Tak bardzo zmieniła się przez ten miesiąc i była to niewątpliwie zasługa Josie.

Sięgnął po telefon, chcąc przekazać jej radosną nowinę, że jutro śpi w jego łóżku. I pojutrze. I... Trzy nieodebrane połączenia. Wszystkie od Josie. Poczul skurcz w żołądku i wybrał jej numer. Odezwała się po jednym sygnale drżącym głosem:

– Jake!

– Co się dzieje, maleńka?

– Boston Stone tu jest – powiedziała, a on poczuł pieczenie za mostkiem.

– Co, w mordę?

– Jest z nim wuj Davis – dodała słabo.

Wuj Davis. Davis Malone. Pierworodny Lydii, totalny skurwiel. Jake odpiął telefon od ładowarki i ruszył w górę po schodach.

– I jeszcze Terry Bagiński, właśnie przyjechała.

– Po chuja? – zapytał, przeskakując w górę po dwa stopnie.

– Wuj chce podważyć ważność testamentu – szepnęła.

W mordę!

– Trzymaj się, Śliczna, zaraz tam będę! – rzucił, waląc w drzwi Amber.

Amber pozwoliła wejść, ale jeszcze szeptał do słuchawki.

– Za moment tam będę, maleńka, tak?

– Tak, Jake.

– Rozłączam się teraz.

Musiał przerwać tę rozmowę z bolącym sercem.

Otworzył drzwi do pokoju córki.

– Muszę jechać do Josie, miej oko na Ethana.

– Dobra, tato, jedź. – Patrzyła na niego uważnie.

Wybiegł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi.

– Zostajesz z Amber, młody! – rzucił do Ethana. – Muszę lecieć załatwić coś ważnego.

– Dobra, tato! – odpowiedział chłopak, wciąż zaangażowany w grę.

Jake wskoczył do samochodu, a wycofując z garażu, wybrał numer Connera.

– Ellie jest już w domu – poinformował go syn bez zbędnych wstępów.

– Jesteś bliżej Lawendowej Willi niż ja, więc jedź tam natychmiast! – rozkazał Jake.

– A co się stało? – zapytał Conner z niepokojem.

– Pojawił się tam wuj Josie.

Josie była obecna w życiu rodziny Spearów od lat, choć nie fizycznie. Lydia opowiadała im w końcu o niełatwych kolejach własnego życia i choć dzieciaki nie miały może pojęcia o drastycznych szczegółach, to znały zarys sytuacji.

– Jadę – odpowiedział Conner i Jake wiedział, że syn domyślił się, co się święci.

– Nie odstępуй jej na krok, dopóki się nie pojawię. Jestem w drodze.

– Jasne.

– Nara.

– Pa, tato.

Jake przyspieszył, nie wypuszczając telefonu z dłoni, w razie gdyby Josie znów zadzwoniła.

Gdy przybył, przed domem stały już cztery samochody, a kiedy wysiadał z auta, zerwał się jakiś złowieszczy wiatr, jakby dla podkreślenia powagi sytuacji...

Na ganku stało pięć niewyraźnych postaci. Conner stał naprzeciwko Stone'a, Terry Bagiński i syna Lydii. Josie chowała się za plecami jego syna.

– Przybyła kawaleria – usłyszał sarkastyczny komentarz Terry, gdy podchodził do syna i Josie.

– Co tu się dzieje? – zapytał, usiłując dostrzec w półmroku twarz Josie.

– Chcą wejść, Josie nie chce ich wpuścić, więc nie wejdą – wyjaśnił Conner.

Jake stanął przy niej i obrzucił spojrzeniem przybyszy.

– Josie was nie wpuści, więc pora się zbierać – oznajmił.

– Mam parę spraw do omówienia – odpowiedziała na to Terry.

– Proszę więc do niej zadzwonić i umówić się na oficjalne spotkanie – nie dawał za wygraną Jake.

– Nie ma takiej potrzeby, gdyż szczęśliwym trafem są tutaj wszyscy zainteresowani.

– Jest niedzielny wieczór, Terry. Cokolwiek macie do omówienia, można to zrobić o normalnej porze w dzień pracy.

– Sprawa jest oczywista. Niedorzeczne zapisy w testamencie Lydii jasno wskazują na to, że była niepoczytalna. Poświadcza to też fakt, że w zapisach nie uwzględniła swojego syna – zaczął się mądrzyć Stone.

Jake nawet na niego nie spojrzał, zamiast tego rzucił nienawistne spojrzenie Terry.

– Zdradzasz zapisy testamentu Bostonowi Stone'owi?

– Davis Malone, jako jedyny krewny w pierwszej linii ma prawo wiedzieć, jakie zapisy widniały w ostatniej woli i testamencie jego matki – odpowiedziała Terry.

– Nie o to pytałem – rzekł Jake groźnym tonem. – Pytałem o to, czy zdradzasz poufne zapisy Bostonowi Stone'owi, który nie jest żadnym krewnym.

Nie odpowiedziała. A więc zrobiła to.

– Wspomniałaś o nim podczas odczytywania testamentu. Teraz jesteście tu oboje. To znaczy, że kolaborujecie.

– Z nikim nie kolaboruję! – zaprzeczyła Terry. – Tu nie ma takiej potrzeby.

– A więc to nie jest jakiś spisek mający na celu sprzedanie posiadłości Stone'owi, by mógł przerobić ją na hotelik albo zrównać z ziemią, czy co też tam mu się roi? I spłacenie Malone'a?

– Nie mogę przewidzieć, co pan Malone zrobi z domem, gdy go odziedziczy – syknęła przez zęby, co było oczywistym kłamstwem.

– Nie wiesz? A nie zachodzi tu przypadkiem konflikt interesów? Nie masz udziałów w Stone Incorporated?

Nie zdążyła skontrolować, bo wtrącił się synalek Lydii.

– Co to w ogóle za bzdury! Nie mogę wejść do rodzinnego domu!

Josie przytuliła się do pleców Jake'a, który całą uwagę skierował na starca. Mężczyzna wyglądał na niezłe steranego życiem, ale przecież żył tak na własne życzenie. Wyglądał również na niezłą mendę.

– Nigdy tu nie mieszkałeś – wypalił Jake.
– Ale to dom rodzinny mojej matki! – oznajmił Davis.
– Tak, ale gdyby ona stała tu teraz z nami, trzymałaby wspólny front z Josie! – dodał Jake, bo przecież mężczyzna musiał o tym wiedzieć.
– Niestety, moja matka zmarła, zanim można było dokonać poprawek w zapisach – kontynuował bajdurzenie Davis.
– Miałeś jakieś sześćdziesiąt lat na poprawki i nie zainteresowałeś się tym, więc chyba jednak nie można ich było dokonać – wypalił Jake.
– Koniec tych bzdur! – warknęła Terry. – Pozamierzamy tutaj. Omówmy to w środku.
Jake spojrzał na nią.
– Niczego nie będziemy omawiać w środku. Josie będzie rozmawiać z wami tylko podczas oficjalnego spotkania. A teraz albo odjedźcie stąd sami, albo dzwonię po Coerta i odjedźcie w jego asyście.
– Wzywanie policji nie będzie konieczne, Jake – odezwał się Stone.
Głos Jake’a się zmienił, gdy odpowiedział mężczyźnie.
– Uszło z ciebie powietrze, gdy Josie cię splawiła, więc skumałeś się z Terry i tym gościem, myśląc, że może choć w ten sposób uda ci się ją wydymać. Nie mogłeś przełknąć tego, że dała ci kosza, jak prawdziwy mężczyzna, co? Myślisz, że coś tutaj ugrasz? Wystawiasz się tylko na kolejny strzał.
– Nikt przy zdrowych zmysłach nie przepisuje w testamencie człowieka – odpowiedział spokojnie Stone.
– Niestety, muszę się nie zgodzić. Jak widzisz, w przypadku Josie i mnie wszystko zadziało, co potwierdza, że Lydia doskonale wiedziała, co robi.
– To absurdalne! – uciął Stone.
– Myśl sobie, co chcesz, ale prawda jest tylko jedna – odparł Jake.
– Pieprzyć te gadki! – warknął Davis, patrząc na Josie. – Otwieraj te cholerne drzwi, dziewczyno!
– Wynoście się, wszyscy! – rzucił Jake, zanim Josie zdążyła zaprotestować.
– Możemy zorganizować spotkanie – wtrąciła się Terry. – Pan Malone jest gotów iść na ugodę i zgodzi się na równy podział funduszy ze sprzedaży Lawendowej Willi.
Jake poczuł, jak Josie przywiera do jego pleców. Spojrzał na kobietę.
– Wyjaśnij mi, jak możesz przemawiać w imieniu tego człowieka? Jesteś prawniczką Josie!
Nie odpowiedziała. Najwyraźniej miała w tym jakiś interes. Suka. Jake miał dosyć tej szopki.
– Skoro chcecie, by policja wyprowadziła was z posesji, nie ma sprawy – mruknął, przyciągając do nich Connera. – Daj mi klucze, kochanie – szepnął. – Wejdziemy do środka, sami.
Josie patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma, potknęła się, ruszając do drzwi, ale przytrzymała ją pewnie.
Conner osłonił ją własnym ciałem i podeszli do drzwi, wepchnęli Josie do środka i zamknęli się od wewnątrz.
– Światła, Con – rzucił Jake, po czym wydobył komórkę i wybrał numer Coerta.
Zawołała go po imieniu, a Jake przygarnął ją do siebie wolną ręką, przyciskając telefon do ucha.
– Daj mi chwileczkę, kochanie – szepnął.
Zacisnęła usta w zbolałym grymasie.

– Cze, Jake, co tam? – odezwał się Coert po drugiej stronie.
– Jestem w Lawendowej Willi. Mam przed domem intruzów, którzy nie chcą opuścić posesji, choć prosiłem ich o to grzecznie kilkakrotnie.

– Kurwa! – warknął Coert, pewnie oderwany od meczu w telewizji.

Jake, nie puszczając Josie, wyjrzał przez szybkie drzwi. Samochody ciągle stały przed domem, w mroku poruszały się niewyraźne cienie postaci.

– Będę zobowiązany, po prostu przeгон tych dupków!

– Oj, będziesz, stary, bo gra moja ulubiona drużyna!

Coert był fanem futbolu, jakiś czas temu przeprowadził się z Denver, gdzie kibicował i gdzie miał świetną robotę. Przeprowadzka na drugi koniec kraju mogła wynikać tylko z dwóch powodów: albo on spieprzył coś w robocie, albo jakaś kobieta spieprzyła coś w jego życiu.

Jake wiedział, że w przypadku Coerta była to druga opcja.

– Powiem ci tylko, że jednym z tych dupków jest Boston Stone.

– To sprawi, że szybciej włożę buty – rzucił Coert. – Ten koleś to ostatni fiut.

– Tu się zgadzamy.

– Jadę.

– Dzięki, stary – mruknął Jake.

– Nara.

Rozłączył się, spojrzał w dół na Josie i widział wyraźnie, że była przerażona. Conner wrócił z wnętrza domu, gdzie pozapalał światła.

– Zadzwoń do siostry. Niech spakuje siebie, ciebie i Ethana. Weźmie twoje książki i przyjedzie tu z młodym. Nie zostawimy Josie samej na noc.

– Jake... – szepnęła słabo Josie.

– Robi się! – Conner przeszedł do kuchni.

– Pieprzyć ich! – Jake spojrzał w dół. – Spędzisz noc w swoim własnym domu, i nie sama! – oznajmił.

Zacisnęła usta i wtuliła się w jego pierś.

Objął ją, pocałował w czubek głowy i szepnął:

– Wszystko będzie dobrze, Śliczna.

– On chce Lawendowej Willi...

– Nie dostanie jej.

– Czai się tam, przed domem!

– Coert już jedzie, za kwadrans stąd znikną.

Poczuł, że usiłuje go objąć, ale jakby nie miała siły. Pieprzony Stone! To na pewno ten dupek wszystko zorganizował!

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył Jake, obejmując mocniej swoją kobietę.

Uniosła wzrok i spojrzała na niego, teraz już nieźle przerażona.

– A jeśli ojciec też przyjedzie...?

Kurwa!

Na szczęście pojawił się Conner, więc Jake zakomenderował:

– Nalej Josie kieliszeczek tej nalewki z barku, wiesz, taka fikuśna butelka, wygląda i pachnie jak syrop na kaszel.

– Jasne – odpowiedział chłopak i wycofał się do kuchni.

– Usiądźmy lepiej – powiedział Jake, gdy znów go zawołała.

Podprowadził Josie do sofy w saloniku. Miał ochotę usiąść obok niej, wziąć ją na kolana, nie, wolałby położyć się z nią i dać jej wszystko, co było jej potrzebne w tej sytuacji, trzymać ją blisko, bezpieczną w jego ramionach. Nie wiedział, co na to powiedziałyby jego syn ani ona sama.

Przytulił ją mocno, obejmując ramieniem i ściskając jej dłoń.

– No więc, jakiś czas temu Lydia poprosiła mnie, bym trochę poszperał – zaczął.

Josie spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Zrobiłem to. Twój ojciec nie żyje, maleńka.

Przez moment patrzyła na niego z kamienną twarzą, po czym znowu wtuliła się w jego pierś.

Otoczył ją ramionami.

Pojawił się Conner z kieliszkiem różowawego płynu, podszedł do stolika, odstawił na niego kieliszek i usiadł bezceremonialnie na blacie, po czym złożył dłoń na kolanie Josie.

Co za dobry dzieciak!

– Rodzeństwo jedzie? – zapytał syna.

– Tak – odpowiedział Conner. – Cali w skowronkach.

– Dzięki, stary – szepnął Jake.

Conner tylko skinął głową.

Josie uniosła się, rzuciła Connerowi nieprzytomny uśmiech, po czym powiedziała:

– Muszę pościelić dzieciom łóżka...

– Zajmiemy się tym razem, gdy przyjadą Amber i Ethan.

– Ale...

– Napij się, Śliczna. Uspokój się. Zajmiemy się wszystkim.

Jakiś spazm przemknął przez jej twarz, gdy powtórzyła za nim:

– Zajmiecie się wszystkim.

– Tak – potwierdził.

Patrzyła na Jake'a, a Conner podsunął jej kieliszeczek.

– Strasznie to śmierdzi... – skomentował Conner, ze zgrozą przyglądając się, jak Josie faktycznie upija lyczek.

Tym razem uśmiechnęła się już świadomie i szczerze.

Tak właśnie, wszystkim się zajmą.



– Mickey powiedział mi parę słów na temat całej sprawy, ale Jezu, co tu się dzieje?
– mruknął Coert, patrząc na drzwi wejściowe do domu.

Właśnie wyszli na zewnątrz, a wcześniej z jednym z jego zastępców usunęli grupę upartych intruzów z posesji.

Coert wszedł do domu, merytorycznie i profesjonalnie poinformował Josie o oczyszczeniu posesji. Teraz stał z Jakiem przed domem.

– Babka z klasą, jak ci się udało taką wyrwać? – zapytał, gdy podchodzili do radiowożu.

– Uważa, że jestem zajebisty! – rzedł Jake dumnie, szczerząc się.

– Chyba mózg jej wyprałeś!

Uśmiech zszedł z ust Jake'a.

– Dobra, koniec wygłupów, teraz mi powiedz, czy uważasz, że ten wujek chujek stanowi dla Josie jakieś zagrożenie? Myślisz, że będzie się narzucał, zanim sprawa testamentu się nie rozwiąże?

– O tym, czy testament zostanie podważony, zadecyduje sędzia. – Coert również spoważniał. – Do tego czasu Josie nie będzie mogła dysponować zapisanymi jej dobrami. Sędzia

zdecyduje również o tym, czy wuj będzie mógł wejść do domu, zamieszkać w nim. Myślę jednak, że w obliczu faktu jego jawnej wrogości oraz tego, że Josie już tu mieszka, nie zezwoli na to. Być może pozwoli facetowi wejść w asyście i rozejrzeć się, ale w innym przypadku Josie nie musi go wpuszczać. Wątpię również, żeby ktokolwiek nakazał sprzedaż domu.

– Więc nic jej nie grozi – powiedział Jake.

– Ma przecież własny majątek, którym może dysponować, więc nie – potwierdził Coert.

Miała pieniądze. Całe mnóstwo. Ale przecież nie o pieniądze tutaj chodziło. Były jeszcze dwie sprawy, którymi należało się zająć.

– Wiesz może, czy Terry Bagiński prowadzi jakieś interesy ze Stone Incorporated?

– Wielu ludzi z miasta ma udziały w tej firmie – rzekł Coert.

– Ta pokrętna odpowiedź znaczy, że nie wiesz?

– No, oficjalnie nic nie wiem, ale wcale by mnie to nie zdziwiło – zaczął Coert i dokończył niższym głosem: – Być może współpracuje z nimi tylko po to, żeby cię wkurzyć...

Jake skrzywił się i pokręcił głową.

– Przeleciałem ją gdzieś między żonami, ale to było wieki temu! – przyznał się. – To był najgorszy numerek w moim życiu, serio, pamiętam to niestety nawet po latach. Nie przepada za mną, ale naprawdę myślisz, że chce się mścić po tak długim czasie...?

– Baby robią takie akcje cały czas, taka ich natura – stwierdził ze znawstwem Coert, a Jake przypomniał sobie niedawną rozmowę z Donna jako najlepszy przykład. – Stone chce kupić Lawendową Willę? – zmienił nagle temat policjant.

– Chciał – odpowiedział Jake – ale gdy zobaczył Josie, stwierdził, że to na nią ma większą chrapkę. Nie była zainteresowana i chciała mu to dać do zrozumienia w łagodny sposób, ale ciężko to zniósł. Zaczął rozpuszczać o niej jakieś plotki i wkurzyła się, dając mu ostatecznego kosza.

Coert uniósł brwi w zdumieniu.

– Serio? Mści się, bo dostał kosza?

– Na to wygląda. Gość musi mieć naprawdę mikroskopijny fiuta...

Coert zniżył głos do szeptu.

– On może ci zagrozić, Jake. Jeśli płaci temu starymu capowi, by wywalczył dla niego Lawendową Willę, może pójść na noże. Wiele osób z miasta potwierdzi, że Lydia mieszkała tu aż do śmierci. Ale Stone ma tyle kasy, że może opłacić jakieś nieczyste zagrania.

To była kiepska wiadomość.

– Lydia zapisała mi Josie w testamencie – powiedział.

– Co proszę? – Brwi Coerta zbiegły się na czole.

– Lydia zapisała mi Josie w testamencie – powtórzył Jake.

– Ale jak to Josie, osobę?

– Tak.

Coert wybuchnął śmiechem, a Jake splótł ramiona na piersi.

– No to pozamiatane! Najwyraźniej Lydia jednak postradała rozum, zapisując ci w testamencie wnuczkę! – powiedział w końcu policjant, gdy już się nieco opanował.

– Wal się! – mruknął Jake, ale nie było w tym złości.

– Lydia bardzo się o ciebie troszczyła – powiedział cicho policjant. – O twoje dzieci również. Wszyscy to widzieli. Byłeś dla niej prawdziwym synem, takim, jakiego zawsze chciała mieć, a twoje dzieci traktowała jak wnuczęta, bo jej rodzona wnuczka zawsze była gdzieś daleko. Ludzie gadali, zastanawiali się, dlaczego nie spiknęła cię z Josie po zerwaniu ze Sloane, w końcu Josephine jednak pojawiała się tutaj od czasu do czasu. Nikogo nie zdziwiłby fakt, że ostatnią wolą Lydie było właśnie to, byście się zeszli. Setka świadków zeznałaby to w sądzie pod

przysięgą.

Jake zafiksował się na stwierdzeniu, że był dla Lydii jak syn. Poczuł ucisk w gardle.

– Przyjechałem do miasta piętnaście lat temu, a duchy Davisa i Chestera Malone'ów wciąż unoszą się nad tą społecznością, choć skurwiele nawet tutaj nie mieszkali. Wpadali tylko od czasu do czasu i robili rozpierduchę, i to taką, która naprawdę dotykała lokalną społeczność. Ludzie wciąż to pamiętają. Ileż można grozić własnej matce? – Coert odetchnął głęboko. – Chcę tylko powiedzieć, żebyście się nieco przyczaili, i może sprawa sama się rozejdzie po kościach.

– Dzięki, stary – rzucił Jake.

– Masz u mnie dług – przypomniał mu Coert.

– Włączyłeś nagrywanie meczu?

– Wiesz, że oglądanie nagrania to żadna frajda! – mruknął Coert.

– A przestań! Będzie się nawet lepiej oglądać, bo przewiniesz sobie reklamy.

Zapewniliśmy ci po prostu nieco rozrywki z wieczora.

– To zapewnicie mi jeszcze omlecek u Toma, ty i twoja kobieta.

Jake znowu się uśmiechnął.

– Tylko nie podbijaj do niej! Mick już się przekonał o tym, że tylko ja się dla niej liczę.

– Ale przynajmniej sobie popatrzę. – Coert wzruszył ramionami i wyciągnął do Jake'a dłoń.

– Dzięki za pomoc, Coert! – Jake ją uściskał.

– Od tego jestem, stary, do usług!

Coert wszedł do radiowozu i powoli odjechał. Jego zastępca zniknął już jakiś czas temu. Jake nie czekał, aż tylne światła auta znikną, wszedł do domu, zamknął za sobą drzwi i przekręcił zamek. W salonie zostawił dzieciaki z Josie. Ethan zgrywał twardziela, ale siedział przytulony do niej. Amber krzątała się gdzieś i stukala szafkami w poszukiwaniu pościeli, choć nikt jej jeszcze o to nie prosił.

– Ktoś zadzwonił do Josie, tato – poinformował go Conner. – Poszła do pokoju z widokiem, żeby pogadać.

Jake skinął głową i wszedł na schody. Mógł dzwonić ktokolwiek. Odkąd Gagnon zwolnił ją dwa tygodnie wcześniej, jej telefon w zasadzie nie przestawał dzwonić. Miał nadzieję, że Terry, wuj czy Stone nie zdobyli jej numeru.

Uchylił drzwi. W pokoju paliło się tylko jedno małe światełko, a Josie siedziała w oknie wykuszowym, wyglądając na morze. Nie rozmawiała przez telefon.

Odwróciła głowę w jego stronę, rzucając mu puste spojrzenie. Nie mógł niczego wyczytać z jej twarzy, co napełniło go niepokojem. Takie zawieszenie nie było w jej stylu.

Umościł się, unosząc ją, przyciskając jej plecy do swojego torsu. Poczuł, jak rozluźnia się w jego objęciach, oparła głowę na jego ramieniu.

– Dzwonił Amond. Przylatuje we wtorek – poinformowała go.

W mordę, tego jeszcze brakowało! Znanego na całym świecie rapera, który będzie się tu rządził i go oceniał!

– Dobrze, że odwiedzi cię ktoś, na kogo czekasz.

Znowu spojrzała na morze.

Po chwili, wciąż obejmując ją ciasno ramionami, odezwał się:

– Kochanie, martwisz mnie. Wiem, że w twojej głowie pewnie szaleje huragan, ale powiedz mi coś, nie odcinaj się.

No to powiedziała coś:

– Jak umarł ojciec? – zapytała lekkim tonem, jakby chciała się dowiedzieć, co jest na kolację.

Wiedział, że to była jej forma obrony. Budowała mur wokół siebie od wczesnego dzieciństwa. Wziął głęboki oddech i zasugerował:

– Może jutro o tym porozmawiamy?

Odwróciła się w jego objęciach, spojrzała mu w twarz.

– Jak umarł, Jake?

Kurwa.

– Dużo się dzisiaj nadenerwowałeś, jesteś pewna, że chcesz teraz tego słuchać?

– Tak – odpowiedziała natychmiast.

Przysunął ją do siebie jeszcze bliżej i zaczął mówić:

– Gdy Lydia zyskała prawo do opieki nad tobą, przygruchał sobie jakąś nową kobietę. Pomiałał nią. Na nieszczęście dla niego, miała rodzinę, której to się nie spodobało. Wyrwali ją z jego łap, zmusili do złożenia skargi. Zarzuty podtrzymano, poszedł siedzieć. Siedział krótko, ale chyba nie bardzo dogadywał się z kolesiami z pierdła. Dostał kosę, ale strażnicy albo mieli to gdzieś, albo po prostu puszczały takie występki płazem. Rana się zakaziła. I sześciomiesięczny wyrok okazał się dożywociem.

– Umarł w więzieniu?

– Ta – potwierdził Jake.

– Od rany ciętej?

– Tak wynika z akt.

– Pewnie wydawało mu się, że jest twardzielem, że nie potrzebuje szycia i antybiotyków... – snuła domysły Josie.

Uśmiechnął się, słysząc słowo „twardziel” padające z jej ust.

– To posrane, Jake – oznajmiła.

Jego grymas się poszerzył.

– On chyba nigdy nie był zdrowy na umyśle, Śliczna.

Nie odpowiedziała, zamiast tego umościła się w jego ramionach i znowu spojrzała przez okno na morze.

– Nie oddamy Lawendowej Willi – szepnęła.

– Nie, nie oddamy – zapewnił ją.

– Choćbym miała wydać na prawników wszystkie pieniądze, on nie dostanie niczego, co należało do Buni! – szepnęła głosem pełnym emocji i Jake poczuł, że ją odzyskuje.

– Na pewno nie będzie trzeba wydać aż tak wiele. I to naprawdę pójdzie szybko – obiecał.

Potała policzkiem jego pierś.

– Boston Stone to nawet nie gad, to skończony dupek!

– Tu się zgadzamy, Śliczna! – potwierdził.

– A ta cała Bagiński jest odstręczająca!

Na to nic nie odpowiedział.

– Jaki ona ma problem? – dopytała z nieukrywaną ciekawością, choć przecież nie mogła wiedzieć, że problem dotyczy Jake’a.

Cholera. Ale skoro obiecali sobie szczerłość, to chyba nie mógł wywinąć się od odpowiedzi, którą znał.

– Zdarzyło mi się przelecieć ją dekadę temu, potem natychmiast straciłem zainteresowanie – powiedział i poczuł, jak wyswobadza się z jego objęć.

– I o to taki foch? – zapytała Josie, a on odczuł ulgę.

– Nie jestem pewien, czy tylko o to. Chcę jednak, żebyś wiedziała, jaki był mój wkład w jej historię.

– Co ty w niej widziałeś? – zapytała, marszcząc brwi.

– Dziesięć lat temu nie była wiecznie wkurwioną wiedźmą i nie miała wiecznie skwaszonej miny.

Josie przez chwilę uważnie mu się przyglądała, po czym oznajmiła:

– Kobiety to zaiste dziwne stworzenia...

Nie uważał za stosowne, żeby to potwierdzić.

– No ale ja również mogę się na niej teraz odegrać, w najlepszy możliwy sposób: pokazując jej, że jestem z tobą – dodała Josie.

Czuł, jak jego ciało tężeje. Naprawdę ją kochał, w mordę!

– Ta... – szepnął ochryplym głosem.

Znowu wtuliła się w niego, obejmując go ramionami.

– Szkoda, że ona nigdy się nie dowie, iż zdobyłam cię tym wszystkim, czego jej braknie. Jest odrażająca i śmieszna, a ja taka nie jestem. Wiem z doświadczenia, że mężczyźni nie lubią odrażających i niedorzecznych kobiet.

Jego ciało zatrzęśło się od śmiechu, gdy powiedział:

– Nie, tego mężczyźni zdecydowanie nie lubią.

– Pewnie jest po prostu nieszczęśliwa – podsumowała Josie.

– Pewnie tak – zgodził się.

Gdy czuł, jak ufnie się do niego przytula, stwierdził, że mimo całej tej burzy szalejącej wokół nich, mógłby tak przesiedzieć z nią całą wieczność. Ale nie mogli sobie na to pozwolić.

– Dzieciaki się martwią, kochanie. Jeśli już ci lepiej, zejdźmy do nich i pokaż im to.

Nie zdziwił się, że natychmiast się podniosła.

– Nie pomyślałam o tym – rzuciła, wyciągając do niego rękę i pociągając go za sobą.

– Mała? – zapytał, opierając się nieznacznie. – Na pewno już lepiej?

– Mam ciebie, tak? – odpowiedziała pytaniem.

Podobała mu się taka odpowiedź, szczególnie że powtórzyła z emfazą:

– Oczywiście, że już mi lepiej, bo mam ciebie!

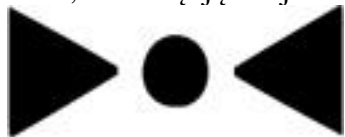
O tak! Tak, do cholery! Przyciągnął ją do siebie, przytulił i pocałował głęboko.

– Dziękuję, że tak troskliwie się mną zajmujesz, kochany – szepnęła.

– Z przyjemnością, maleńka.

O tak. Tak, do cholery! Był w niej po uszy zakochany! Przepadł. Na dobre. Oddał jej swoje serce i miał nadzieję, że troskliwie się nim zajmie, że nigdy nie zechce go zwrócić. Postanowił zachować to wyznanie na lepszy moment, na chwilę, w której naprawdę to do niej dotrze, w której to zapamięta, a nie tego wieczora, który obrócił fantastyczny weekend w szambo.

Wstał, cmoknął ją raz jeszcze i zeszli do dzieci.



Kurwa.

Wytrzymał spojrzenie jej zmrużonych oczu.

Trwała poranna krzątania. Conner pakował plecak na kuchennym blacie, Amber latała po domu jak walnięta, bo zbyt długo stroiła się w fatalaszki Josie i upiększała jej kosmetykami, a Ethan siedział przy barku śniadaniowym i pochłaniał jajecznicę, dyndając nogami na hokerze. Jake stał przy blacie z kubkiem świeżej kawy w dłoni, a Josie stała przy zlewie, zmywając po Amber i Connerze.

Jeszcze chwilę temu wszystko wyglądało całkiem sielsko w Lawendowej Willi.

Zeszłego wieczoru Josie się pozbierała i dzieciaki odetchnęły z ulgą. A rano żadne z nich nie pisnęło słówka o tym, że spali wszyscy w jednym domu, mało tego, że ich ojciec i Josie spali w jednym łóżku.

Pojechał otworzyć siłownię, a Josie przygotowała śniadanie dzieciakom, szykując się na rozgardiasz, jakim zawsze było wybieranie się do szkoły.

Jake wrócił dziesięć minut temu.

I to Conner rzucił rewelację, że odwiedziła go Ellie. Jake nie zdążył opowiedzieć tego Josie. I teraz, gdy tak patrzyła na niego przez zmrużone powieki, stało się dla niego jasne, że bardzo nie spodobał się jej ten fakt. Wciąż patrzyła na Jake'a, ale pytanie skierowane było do Connera:

– Wszystko dobrze, kochanie?

– Pewnie. Jej strata – mruknął Conner.

– Con! – W końcu spojrzała na chłopaka. – Naprawdę w porządku? – spytała cicho tak słodkim tonem, że Jake'owi zdało się, iż poczuł tę słodycz na wargach.

– W porządku, Josie – powtórzył Conner ciszej.

Chyba ją uspokoił, bo skinęła głową.

Conner odchylił głowę i wrzasnął:

– Amber! Ruszaj się!

Rzuciła kolejne zagniewane spojrzenie Jake'owi, najwyraźniej obwiniła go za to, iż pozwalał dzieciom drzeć się pod dachem.

Jake już powstrzymywał parsknięcie śmiechem i ledwie wytrzymał, gdy Amber odwrzasnęła z góry:

– Przecież mam swoje auto! Jedź sam!

Josie splotła ręce na piersiach, ale wyrzaskiwana konwersacja trwała w najlepsze.

– Spóźnisz się!

– Conner! – wtrąciła się Josie, patrząc na Jake'a. – Bardzo się cieszę, że dbasz o to, by Amber nie spóźniała się do szkoły, ale byłabym wdzięczna, gdybyś robił to ciszej. Jeśli przestaniesz się wydzierać w domu, to nie będę wmuszać w ciebie fasolki szparagowej, która będzie dziś na kolację.

– Dobra! – Conner wyszczerzył się w uśmiechu.

Jake zduśił śmiech, mało skutecznie jednak, więc Josie znów przeniosła na niego wzrok.

– Nara, Eath! – Conner przerzucił plecak przez ramię.

– Nara, Con! – odpowiedział młody z pełnymi ustami.

– Nara wszystkim! – rzucił jeszcze Conner, wychodząc.

– Miłego dnia, Conner! – powiedziała Josie do jego pleców.

– Do później, synu! – dorzucił Jake.

Do pomieszczenia wpadła Amber, lamentując:

– Nie mogę znaleźć podręcznika do matmy!

– Byłaś zaledwie w pięciu pokojach w domu, sprawdziłaś we wszystkich? – zapytał Jake.

Zanim Amber zdążyła wybuchnąć, wtrąciła się Josie:

– Pomogę ci szukać.

Wyszły z kuchni.

Ethan zeskoczył ze stołka i wstawiając talerz do zlewu, oznajmił:

– Jajka Josie są najlepsze!

Jake tylko siorbnął kawę, słysząc tę oczywistość.

– Myślę, że zamiast ciągać Josie do nas powinniśmy częściej tu przyjeżdżać. Ma mniejszy

telewizor, ale kanapa jest wygodniejsza.

– Zamieniłbyś telewizor na przytulną kanapę?

– Ona tak obejmuje, jak się w nią zapadam... – oznajmił Ethan z uśmiechem.

– Mam! – Amber machała książką, wpadając na powrót do kuchni.

Wepchnęła książkę do torby i ucałowała po kolei ojca i Josie, która wkroczyła za nią.

To Josie sprawiła, że stała się taka słodka!

– Nara, kurdupłu!

Wrażenie słodkości się rozwiało.

– Ej no! – jęknął Ethan. – Jesteś do kitu!

Amber uśmiechnęła się słodziutko w progę.

– Ale i tak mnie kochasz!

– Prawie nie! – nadąsał się Ethan.

– Właśnie że bardzo!

– Nie da się kochać kogoś, kto jest do kitu! – uświadomił ją brat.

Nie przejęła się tym stwierdzeniem, rzuciła mu uśmiezek i wyszła.

– Zbieraj się, Ethan! – Jake sprowadził go na ziemię. – Umyj zęby, pakuj graty, plecak stoi przy drzwiach. Raz, raz!

– Dobra... – Ethan wyszedł na fochu.

– Mała? – Jake spojrział w stronę Josie, która płukała ściereczkę w zlewie, gdy już zostali sami.

W odpowiedzi rzuciła mu tylko jedno słowo:

– Ellie?

– Mała... – zaczął z uśmiechem.

Wrzuciła ściereczkę do zlewu i wzięła się pod boki. Miała na sobie jeansy, choć on wołał oglądać ją krzątającą się w tych kusych, seksownych koszulkach nocnych. No ale przecież nie byli tu sami.

– Czy Conner naprawdę sobie radzi? – zapytała.

– Tak twierdzi.

– Ale naprawdę? – naciskała.

– Mała, skoro tak twierdzi – powiedział cicho – to tak jest.

Nie wystarczała jej taka odpowiedź.

– Co mu powiedziała Ellie? – dopytywała.

– Że chce, by do siebie wrócili.

– A on się nie zgodził i już, po sprawie?

– Na to wygląda.

– Dwa tygodnie temu świata poza nią nie widział!

– Dwa tygodnie w liceum to jak dwa lata w dojrzałym związku – odpowiedział Jake i widział, że Josie straciła rezon, bo przecież w ich związku również wiele się zdarzyło przez dwa ostatnie tygodnie.

– Gdy ty szarpałaś się tutaj zeszłego wieczoru, u nas również wiele się działo – dodał, choć wcale nie chciał. Ale Donna miała niewyparzoną gębę i wołał, by dowiedziała się o jej wizycie od niego.

– A co się działo?

– Donna wpadła z wizytą.

Widział, jak oczy Josie się rozszerzają.

Opisał wizytę w kilku zdaniach, kończąc:

– To wariatka, ale postarałem się, by parę spraw tym razem do niej dotarło.

– Ona nie jest wariatką, Jake – stwierdziła Josie. – Gdy jest się młodym i ma się wszystko, można w ogóle nie zdawać sobie z tego sprawy.

Pokręcił przecząco głową.

– Skończyłem trzydziestkę, gdy urodził się Con. Ona miała dwadzieścia dziewięć lat. Nie była młoda. Była walnięta.

Tym razem to Josie pokręciła głową.

– W każdym wieku można pragnąć czegoś z całego serca i nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. Potem, gdy to się straci, przez lata się zaprzecza, że w ogóle się to miało, jednocześnie szukając substytutów i licząc na to, że się to odzyska.

Jake zamarł. „Pragnąć czegoś z całego serca”. Te słowa uderzyły go tak mocno, że nie był w stanie odpowiedzieć. Gapił się tylko na Josie.

Czy ona właśnie powiedziała, że to jego pragnęła z całego serca? Czy to możliwe, że również straciła dla niego głowę? Najwyraźniej również oddała mu serce i był przekonany, że będzie je trzymał w garści i nigdy, przenigdy go nie wypuści.

– Jake?

– Jestem – ocknął się.

– Wszystko dobrze?

– Oj tak, bardzo dobrze! – odpowiedział.

Już miała coś dodać, ale do kuchni wpadł Ethan.

– To kto mnie wiezie? – zapytał, ale wcale nie oczekiwał odpowiedzi. – Nie mogę się doczekać, aż wszystkim powiem, że poznałem Lavona Burketta! Popadają!

– Ja cię zawiozę, mały. – Jake odstawił kubek na blat. – Bierz plecak i leć do auta.

– Dobra! Nara, Josie! – I tyle go widziała.

Zdażyła jeszcze życzyć mu udanego dnia.

Jake podszedł do niej i złożył dłonie na jej szyi.

– Wracam o dziewiątej. Zadzwoń w tym czasie do prawników, dowiedz się, kto może cię reprezentować i o co chodzi z zagrywkami Terry.

Pokiwała głową.

– Jeśli zadzwonią, proponując spotkanie, nie zgadzaj się na nic, zanim tego nie przegadamy, jasne?

Pokiwała znowu.

– A teraz mnie pocałuj.

Wspięła się na palce i spełniła to rozkoszne żądanie.

– Dziś znowu się wszyscy do ciebie zwałamy – powiedział, gdy ich usta się rozdzieliły.

– Zanim nie dowiemy się, co knuje twój stryj, okupujemy Lawendową Willę.

– Zgoda. – Przyłgnęła do niego.

– Wczoraj miałem pogadać z dziećmi o naszym związku, ale one najwyraźniej nie mają z nim żadnego problemu. Również chciałyby spędzać z tobą więcej czasu.

– To świetnie – szepnęła w jego ciało.

– Ja będę miał w tym układzie najświetniej! – stwierdził.

Uniosła głowę z uśmiechem.

– Nara, Sliczna – szepnął, raz jeszcze ją całując.

Poczuł spokój, zostawiając ją w dobrym humorze.

– Nara, kochanie! – odpowiedziała.

Wyszedł, bo Ethan już czekał w samochodzie.



Gdy porsche Josie zajechało na podjazd, Jake stał na drabinie przy frontowych drzwiach. Ethan wyskoczył z siedzenia pasażera.

– Cze, tato! – Minął mężczyznę, uważając, by nie potrącić drabiny, i pognął do lodówki.

Nawet z wysokości Jake dostrzegł, że biodra Josie kołyszą się ponętnie, gdy tak kroczy na szpilkach w jego stronę.

Spojrzała na lampę, którą przykręcał do fasady, potem na pudła, które stały u stóp drabiny.

– Zakładam czujniki ruchu przy wszystkich punktach oświetleniowych na zewnątrz – wyjaśnił, spoglądając w dół. – Jest tu ich jakiś milion.

Patrzyła na niego ciepło, łagodnie i uśmiechała się tak słodko, że prawie stracił równowagę.

– Tylko ostrożnie, kochanie! – szepnęła, po czym weszła do domu.

Jake uśmiechnął się do siebie.



Josie uporządziła się w łazience i wróciła do łóżka, wślizgnęła się pod kołdrę. Jake objął ją i wychylił się, by zgasić nocną lampkę.

Gdy już splekli się tak, że ciężko byłoby odróżnić, gdzie zaczynało się czyje ciało, szepnęła:

– Lubię czuć cię bez żadnych przeszkód.

Przyszły wyniki jego badań, z których wyczytali, że jest całkowicie zdrowy. Mogli przestać używać prezerwatyw.

– Ja również to uwielbiam, mała – stwierdził, wiedząc, że jemu sprawiało to chyba jeszcze większą frajdę.

Nie poruszała się, nic nie mówiła i zdało mu się, że zaraz zaśnie, ale nagle zawołała go po imieniu.

– Muszę ci coś powiedzieć – zakomunikowała, gdy zapewnił, że słucha.

Jej ton brzmiał niepokojąco.

– Mów – zachęcił ją.

– Jutro przylatuje Amond...

– Ta.

– Jest moim przyjacielem.

– Wiem, Śliczna.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała to w końcu:

– Ale nie wiesz, że kiedyś spędziłam z nim noc.

Cholera. Nie odpowiedział. Uniosła głowę, choć nie widziała w ciemności jego twarzy.

– Prosiłeś, bym niczego przed tobą nie zatajała – przypomniała mu nieco zalęknionym tonem.

O to właśnie prosił, to teraz ma.

– O to właśnie prosiłem.

Poczuł, jak jej ciało się napina. Czyżby zaczynała się bać? Dotknął jej twarzy, musnął kciukiem policzek.

– Pomieszka tu jakiś czas, z tobą, zdaję sobie z tego sprawę. I choć fakt, że spędziliście razem noc, niekoniecznie musi mi się podobać, to muszę to zaakceptować. Nie żyłaś jak zakonnica przez ostatnie dwadzieścia lat. Ja również nie prowadziłem się jak mnich. I takie sprawy będą co jakiś czas wypływać. Ja powiedziałem ci o Terry. Ty mnie o Amondzie. Są jakąś maleńką częścią naszego życia. A teraz mamy wspólne życie, tak?

– Tak, Jake.

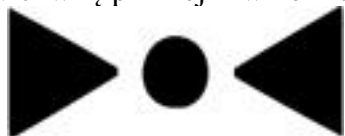
– No to już mamy to ustalone. A teraz śpij.

Rozluźniła się i wtuliła w niego.

– Dziękuję za szczerość – szepnęła.

– Wzajemnie – szepnęła, przywierając do niego plecami.

Zasnęła pierwsza, a Jake, mając świadomość, że wszyscy są razem, bezpieczni w jej domu, w chwilę później również zapadł w sen.



– O Boziu, o rety, to będzie epickie! – wydyszał Taylor w chwilę po tym, gdy Ethan wpadł do pomieszczenia i oznajmił, że na podjazd wtacza się kolumna limuzyn.

Raper Dee-Amond zawsze robił wejście smoka.

Gdy tylko gruchnęła wieść o jego przyjeździe, Amber zaprosiła Taylorów, a Conner wziął poranną zmianę, by móc być w domu w tym czasie. Jake siedział czujny na posterunku, bo przecież nie mógł zostawić Josie samej w towarzystwie bogatego, przystojnego, sławnego eksfaceta.

Gdy Ethan zaanonsował przybycie gości, Josie zerwała się z krzesła w kuchni i podreptała ich powitać. Dzieciaki pobiegły za nią, Jake zamykał pochód.

Może nie była to cała kolumna. Pięć potężnych, lśniących SUV-ów. W środkowym otworzyły się drzwiczki i Josie ruszyła w tamtym kierunku. Jake zatrzymał się, skrzyżował ręce na piersi i patrzył bez ruchu, jak Dee-Amond wysiada w pełnym majestacie z auta, uśmiecha się do jego kobiety i oplata ją ramionami, a ona odwzajemnia uścisk.

W mordę.

– To... jest... epickie! – wydyszał Taylor.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę! – dodała Taylor.

– Myślałam, że zeświruję, gdy poznałam Lavona, ale teraz! – piszczała Amber zapowietrzonym głosem. – O rety, on naprawdę tu jest, w Magdalene, w domu Josie!

– Chodź! – usłyszał Jake i spojrzał w stronę samochodów.

Amond już nie ścisnął Josie, teraz prowadziła go za rękę w ich kierunku. Mężczyzna popatrzył na dom i oznajmił:

– No niech mnie, piękna, teraz już wiem, dlaczego chcesz tu zostać. Wypasiona chata!

Przystanęli przed drzwiami, a Josie wskazała ręką na zebranych.

– A to moje stadko! – oznajmiła z dumą i Jake pewnie uśmiechnąłby się, słysząc to, gdyby nie okoliczności.

Nie odwzajemnił jej uśmiechu.

– Conner, najstarszy syn Jake’a – wskazała, a Conner uściśnął wyciągniętą w jego stronę

dłoń Amonda. – Amber, jego córka. – Dziewczyna aż klasnęła, zanim wyciągnęła rękę, a Amond uśmiechnął się do niej przyjaźnie. – Taylorowie, gwardia przyboczna Amber. – Amond już prawie otwarcie się śmiał. – Ethan, najmłodszy syn Jake’a – dokończyła.

– Ale super! – szepnął młody.

– No yo, mały! – rzucił do niego Amond.

– No i Jake.

– No w mordę – mruknął Amond, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Co to mogło znaczyć? Jake mruknął:

– Miło mi.

Uściskał dłoń Amonda, a wówczas ten powiedział coś jakże oczywistego i jakże niespodziewanego:

– Ty jesteś Truck.

– Rety! Tato! On cię zna! – krzyknął Ethan.

– To ja – odpowiedział Jake.

Amond spojrzał na Josie, nie puszczać dłoni Jake’a.

– Josephine, dziewczyno, nie powiedziałaś mi, że ten twój zawodnik to Truck! – Zanim Josie zdążyła się odezwać, ciągnął: – Widziałem twoją walkę z DeMatteo w Vegas. Rozsmarowałaś go po deskach! Sędziowie nie mogli uwierzyć. Koleś ledwo stał, a ty dalej tańcowałaś!

Jake nie zamierzał informować Amonda o tym, że ruszał się, bo gdyby tylko się zatrzymał, natychmiast by zemdlał.

– Fan boksu?

– Zaje... eee... to znaczy wielki! – odpowiedział Amond.

– No to jesteśmy kwita, bo muzę robisz zajebistą. – Jake nie hamował swojego słownictwa.

Amond ostentacyjnie błysnął zębami i diamentami w uszach.

– Wszyscy do środka – zarządziła Josie i nie wiedziała, czy bardziej cieszy się z faktu, że Jake zdał egzamin, czy z tego, że był tu jej przyjaciel.

A może z obu tych kwestii? Jake z satysfakcją zauważył, że przeniosła się z ramienia Amonda na jego ramię.

– Jak widzisz, sytuacja się nieco zmieniła i mam pełną chatę. Pokój dla ciebie przygotowałam, ale nie jestem pewna, czy twoja ekipa się pomieści.

– Zatrzymają się w mieście – rzucił Amond i w tej chwili samochody zaczęły wycofywać się z podjazdu, został tylko SUV Amonda. – Jeśli faktycznie brakuje miejsca, mogę jechać z nimi.

– Dzieciaki byłyby bardzo rozczarowane, gdyby nie mogły się jutro pochwalić, że spędziły wieczór z Dee-Amondem – wypaliła szczerze Josie.

Amond rzucił jej spojrzenie, potem zerknął na Jake’a.

– Dzieciaków nie chciałbym rozczarować.

– No właśnie! – Josie wciągnęła Jake’a do domu, potem to samo zrobiła z Amondem.

Jake został z tyłu, zamykając drzwi i słyszał, jak Josie szczebiocze:

– Zrobimy ci drinka, zanim zacznę szykować kolację!

Odwróciła się, rzucając Jake’owi uśmiech przez ramię.

Nie zdążył go odwzajemnić, a może nie chciał?

Westchnął ciężko i ruszył za nimi do kuchni.



Zawibrowała komórka, którą Jake odłożył na biurko, by przejrzeć klubowy rejestr zakupów alkoholu.

– No – przywitał się.

– Nie uwierzysz, ale pieprzony Dee-Amond właśnie przyszedł i prosi o widzenie z tobą.

Nie zdziwił się. Co nie znaczyło, że ucieszył się z tej wizyty. Do tej pory obyło się bez spieć. Wypili po drinku, zjedli kolację.

Położyli dzieciaki spać i podczas niezobowiązującej pogawędki Jake musiał w końcu stwierdzić, że pora na niego, bo klub się sam nie ogarnie. Nie uśmiechało mu się zostawianie Josie z Amondem. Było jasne, że Josie traktowała Amonda tylko jak przyjaciela, ale z jego strony Jake wyczuł zupełnie inną sympatię. Nie miał pojęcia, co może się wydarzyć pod jego nieobecność.

Gdy dzieciaki się przy nich kręciły, gawędzili o bzdurach. Josie zagadywała, Amond odpowiadał, Jake coś tam mruzczał. Zdawało mu się, że to obecność dzieci sprawiała, że Josie nie poruszała żadnych poważnych tematów.

Taylorowie udali się do siebie, a dzieciaki w końcu poszły spać, ale ciężar rozmowy się nie zmienił. Josie jednak była spokojna, nie wyglądało na to, że pomijała celowo jakieś trudne sprawy. Chyba po prostu chciała spędzić niezobowiązujący wieczór z przyjacielem, a nie rozdrapywać rany.

Jake nie chwalił się siłownią. Nie powiedział również, że prowadzi nocny klub. Jak zareagowałyby na to Amond? Zdawał się wyluzowany, ale przecież mógł zmartwić go fakt, że Josie zadaje się z kimś, kto prowadzi taki biznes.

– Przyprowadź go do biura – rzucił Jake do telefonu.

– Dobra.

Odłożył telefon i ruszył do drzwi biura. Otworzył je i wcale się nie zdziwił, widząc ludzi żywiłowo reagujących na obecność rapera. Amond nie zwracał na nich uwagi, patrzył na Jake'a.

– Świetnie było cię poznać! – rzucił ochroniarz, wyciągając rękę do celebryty.

– Jasne, brachu! – Amond obdarzył faceta sekundą swojej drogocennej uwagi.

Jake ustąpił Amondowi w progu, skinął głową ochroniarzowi w podziękowaniu. Pozwolił gościowi przejąć inicjatywę. Podeszedł do jego biurka, oparł się o nie udami i skrzyżował ręce na piersi.

Amond nie ruszył się ze środka pomieszczenia, tylko stwierdził:

– Masz klub z cipkami.

Słaby początek.

– Ta – odparł Jake.

Amond uważnie mu się przyglądał.

– Coś mi się wydaje, że już wiesz, iż sypiałem kiedyś z Josephine.

Coraz marniej.

– Powiedziała mi o tym.

– Chciałem zatrzymać ją przy sobie, ale nie była co do tego przekonana. Utrzymujemy kontakt na tyle, na ile mi pozwala. Ciągłe się o nią troszczę, ale już nie w ten sposób. To porządna dziewczyna i to wiele dla mnie znaczy.

Jake tylko skinął głową.

– Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, to chciałbym wiedzieć, co tu się kroi. Chałupę ma niezłą, ale wy przecież macie swoją. Więc co, do cholery, robiliście wszyscy w jej domu?

– Pilnowaliśmy jej – odpowiedział krótko Jake.

– Bo? – wypalił Amond.

– Jej stryj chce podważyć testament. Nie wiemy, jak i kiedy. Jej dawni prawnicy, ci sami, którzy przez lata byli na usługach jej babki, nie odbierają telefonów. Wuj jest stary, ale niegdyś był skończonym dupkiem. Ten dom wiele dla niej znaczy. Nie zamierzam zostawiać jej bez opieki ani tym bardziej zmuszać jej do opuszczenia Lawendowej Willi, gdy ten chujek gdzieś tam się czai i nie wiadomo, co mu chodzi po głowie. Ona czuje się w tym domu bezpiecznie, więc tam właśnie będzie mieszkać. A ja będę jej tam pilnował. Z moimi dziećmi, bo ich również nie zamierzam zostawiać bez opieki.

Amond złożył dłoń na oparciu jednego z krzeseł.

– O co chodzi z tym wujem? – zapytał.

– Przyjaźniłem się z jej babką. Powiedziała mi, że nie utrzymuje z synem kontaktu od dwudziestu ośmiu lat, czyli od czasu, gdy przejęła oficjalnie opiekę nad Josie. Stało się to po tym, gdy jej drugi syn, ojciec Josie, pobił córkę. Josie wylądowała w szpitalu. A starszy syn, rzeczony wuj, nie chciał, by babka się angażowała w całą sprawę. Lydia zerwała kontakt z bezdusznymi synami. Skoro starszy trzymał stronę brata-sadysty, rozumiem, dlaczego wołała zerwać z nimi kontakt. Teraz stary wujcio wrócił. Chce domu, chce pieniędzy, może chce w jakiś sposób zemścić się na Josie. Nie dopuszczę do tego.

Czuł, jak wściekłość Amonda wypełnia pomieszczenie, w końcu raper odezwał się:

– Wylądowała w szpitalu?

– Tak. Ale ten skurwiel już nie żyje. Niestety, jego brat wciąż się turla. Obaj byli skurwielami od małego, tak ich wychował mąż Lydie, który podobno był jeszcze gorszy.

– Do chuja pana... – mruknął Amond.

– To samo mógłbym powiedzieć – wycedził Jake.

– Nie wiedziałem o tym wszystkim – stwierdził Amond.

– Gdyby Lydia mi nie powiedziała, ja też pewnie do tej pory bym nie wiedział. Josie nikomu o tym nie opowiadała, nawet Gagnonowi, aż do niedawna – kontynuował Jake.

– Czy ten skurwiel jakoś się nazywa? – zapytał Amond.

No, tak to mogli rozmawiać!

– Chcesz powęszyć?

– Pewnie, do cholery! – potwierdził zapalczywie Amond.

– Davis Malone – powiedział Jake bez zbędnej zwłoki. – Pewnie opłaca go Boston Stone, lokalny potentat z wielką kasą i małym fiutem. Josie go spławiła, do tego dała do zrozumienia, że nie zamierza sprzedawać domu. Zaangażowali pewną prawniczkę, sukę Terry Bagiński, którą niestety kiedyś przeleciałem. Było tak nędznie, że nawet nie zadzwoniłem, i teraz nie wiem, czy to przypadkiem nie jest jakaś zemsta za tamtą niefortunną schadzke sprzed dekady.

– Możesz pobrudzić sobie ręce? – zapytał Amond i Jake wołał nie wiedzieć, co przez to rozumie.

– Ja naprawdę kocham Josie, więc chcę zakończyć tę sprawę jak najszybciej. Ten dom to wszystko, co jej zostało po ukochanej babce. Mógłbym wziąć ją do siebie, w końcu świetnie się dogaduje z moimi dziećmi, ale nie chodzi przecież o to, żeby wywlekać ją z miejsca, w którym czuje się naprawdę bezpiecznie. Nie odda tego domu. Nie sądzę, by go straciła, ale sama myśl o tym wyprowadza ją z równowagi. Stone ma tyle kasy, że bez trudu uprzykrzy jej życie, a chciałbym uniknąć tego za wszelką cenę. Mogą wywlec na powierzchnię jakieś zamierchłe brudy, nie chcę do tego dopuścić. Chcesz grać sam, chcesz grać nieczysto, więc nie będę stawał

ci na drodze, jeśli to uchroni Josie przed dalszym cierpieniem.

– Mogę sobie pozwolić na bardzo wiele.

– Powtarzam, rób, co uważasz za słuszne, byle jej nie zaszkodzić.

– A ty jak bardzo możesz się pobrudzić?

– Ja muszę pozostać czysty, bo gdy ty już znikniesz, ja zostanę z kobietą i dziećmi, o których muszę się zatroszczyć.

– Kochasz ją? – zapytał Amond wprost.

– Ponad życie – odpowiedział Jake równie szybko.

– Ona cię kocha.

– Wiem.

Amond wytrzymał jego wzrok.

– Kurwa, ta świadomość boli – szepnął w końcu i Jake ucieszył się, że nie jest na jego miejscu. – Henry nieco w jej życiu namieszał – dodał po chwili.

– Tym już się zająłem.

– Była w tym twoim porno-królestwie?

– Nazywajmy to klubem nocnym, bo to miejsce tym właśnie jest – upomniał go Jake.

– Tak, była tu. Doradzała nawet moim tancerkom, jak mają dbać o włosy, bo dobra fryzura to gwarancja wyższych napiwków.

Amond wybuchł śmiechem, a i Jake się uśmiechnął.

– Dobra, stary, między nami cool! – powiedział w końcu Amond.

– Nie obraż się, ale nawet jakby nie było cool, to i tak miałbym to w dupie – odpowiedział Jake. – Ze względu na Josie jestem grzeczny. Naprawdę, miała tylko jedną osobę w rodzinie, która się o nią troszczyła. To była wspaniała kobieta, ale odeszła. I Josie zasługuje na to, by mieć nową rodzinę. To jej zamierzam dać. Jeśli możesz się do tego przyczynić, to będę zobowiązany. Chciałbym dać Josie wszystko.

– Kumam, bracie – skomentował Amond, wciąż patrząc Jake'owi w oczy.

– Świetnie.

– A teraz, stary, zobaczę, jak się tu urządziłeś. Sprowadziłem ekipę, mam zwitek pięćdziesięciodolarówek, które mogę powtykać za stringi. I już na wstępie obczaiłem, że w Maine można się dobrze zabawić!

To był ten moment, w którym i Jake wybuchł śmiechem.



Przytrzymał jej nadgarstki nad głową, drugą ręką opierał się o łóżko. Pracował biodrami tak intensywnie, że aż oboje unieśli się ponad materacem, Josie przytrzymała się jego ciała nogami oplecionymi wokół jego ud. Czuł, jak jej gorące wnętrze pulsuje i zaciska się wokół niego. Był w niebie. A Josie była już bardzo blisko.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę, maleńka! – szepnął w jej usta, gdy dyszała na niego, usiłując zwokalizować jego imię.

Przyspieszył, wbił się głębiej i to było to.

– Jeszcze chwilę, Josie...!

A niech to! Szybciej, mocniej. Wiła się pod nim, zaciskając uda, oddech jej się rwał.

– Uwolnij moje ręce...! – poprosiła.

– Nie, chcę mieć kontrolę, kochanie! – rzucił, cofając się, potem wbijając z pełną mocą.

Jęknęła.

Pięknie!

Pocałował ją, penetrując językiem wewnątrz jej ust. Uniosła głowę, odwzajemniając jego głodny pocałunek.

– Nie wytrzymam dłużej!

– Poddaj się mi!

To był ten moment, poczuł to i usłyszał. Ich palce się splotły, zacisnęła uwięzione dłonie wokół jego dłoni. Zacisnęła uda mocniej, aby poczuć go w sobie jeszcze głębiej. Nie przestawał się poruszać, a ona wiła się w ekstazie. Cudnie! Tak cudnie, że i on w końcu doszedł, wydając zduszony jęk w jej szyję. Przesunęła nogi wyżej, nie chcąc, by ich ciała się rozdzieliły. Wciąż pulsowała rozkosznie. Czuł, jak eksploduje wewnątrz niej. Smakował skórę jej szyi, wdychał zapach wilgotnych włosów, ale najrozkoszniejsze było to gorące miejsce wciąż pulsujące wokół niego. O tak, bez zabezpieczenia było o wiele lepiej! Poczuł, jak muska wargami jego ucho.

– Uwolnisz w końcu moje ręce? – szepnęła.

Uniół się na rękach, ale nie uwolnił jej. Widział w półmroku jej włosy rozrzucone na poduszce i nie musiał dostrzegać szczegółów, by stwierdzić, że nie potrafi wyobrazić sobie niczego piękniejszego. Nic lepszego nigdy nie przytrafiło mu się w całym życiu. Pocałował ją ponownie. W końcu oderwał usta od jej warg i puścił jej nadgarstki. Objęła go natychmiast.

– Bardzo lubię, gdy budzisz mnie w ten sposób po powrocie z klubu – mruknęła rozleniwiona rozkoszą.

Obudził ją pocałunkiem. No i jakoś tak się rozpędzili.

– Zapamiętam to sobie – powiedział.

Zaczęła gładzić jego ciało i pomyślał, że nigdy wcześniej żadna kobieta nie dotykała go z taką czułością. Nie rozumiał, jak tak delikatny dotyk mógł dawać tak wiele rozkoszy.

– Chcesz się umyć? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała dość niechętnie, bo najwyraźniej nie miała ochoty wychodzić z łóżka.

To, że nie chciała go opuszczać ani na chwilę, również mu się podobało. Ucałował jej policzki, potem szyję, piersi, w końcu brzuch. Uniół się z łóżka i rozkazał łagodnie:

– Tylko szybciutko!

Ujęła jego twarz w dłonie i szepnęła:

– Ma się rozumieć!

Przeglądał się, jak narzuca frywolną koszulkę, wciąga majtki i przerzuca przez ramię szlafroczek, po czym drepcze do łazienki.

Stąpiła ostrożnie, nie chcąc robić hałasu i załatwiła wszystko po cichutku, nie usłyszał nawet szmeru. Włożył w tym czasie spodnie od piżamy.

Podeszła blisko, zrzuciła szlafrok, objęła go i spojrzała mu w oczy.

– Jak poszło z Amondem w klubie? – zapytała.

– Przyprowadził sześciu przydupasów, dwóch managerów, dwóch ochroniarzy i jeszcze jakiegoś „konsultanta”. W hotelu zostawili specjalistkę od PR-u i stylistkę, bo nie bierze się drewna do lasu. Obsypali dziewczyny i bar deszczem banknotów. Chyba niektóre dziewczyny zwariowały na ich punkcie i zaferowały również nieco więcej niż taniec. Przestałem liczyć rachunek, gdy doszedłem do trzech tysięcy, a oni się dopiero rozpędzali. Dziewczyny zarobiły krocie i najwyraźniej postanowiły odpłacić w naturze.

– To chyba znaczy, że poszło nieźle – zauważyła Josie.

– Wychlali mi wszystkie najdroższe alkohole. Musiałem wydobyć z sejfu zapasy trunków, które wyciągaliśmy tylko na wyjątkowe okazje, gdy już ktoś postanowił wyczyścić

sobie konto, pijąc koniaki po pięćdziesiąt dolców za kieliszek. Nawet ja tego wszystkiego wcześniej nie próbowałem.

– Czyli nieźle.

Uśmiechnął się.

– Więcej niż nieźle.

– Wiedziałaś, że Amond cię polubi. – Josie przytuliła się mocniej.

– Kochanie, on przede wszystkim lubi ciebie, więc zaakceptuje wszystko, co cię uszczęśliwia, cokolwiek i ktokolwiek to będzie.

Jej twarz złagodniała, sądził, że na myśl o Amondzie, ale nie o to chodziło.

– Tak, zaakceptuje wszystko, co mnie uszczęśliwia.

Uwielbiał przekonywać się, że potrafi ją uszczęśliwić. Widział to w jej oczach, w jej uśmiechu. Dlaczego nigdy wcześniej mu się to nie przytrafiło? Powinien się cieszyć, bo teraz to miał. Świadomość, że daje komuś szczęście. To musi trwać.

– Będziemy tak stać przytuleni czy pozwolisz mi w końcu się położyć i pokimać?

Zachichotała i pocałowała go, stając na palcach.

– Pozwolę ci uderzyć w kimę! – powiedziała, luzując uścisk.

Ułożyli się wygodnie, splekli w skomplikowany węzeł i poczuł, jak jej ciało się rozluźnia.

– Dobranoc, Śliczna.

– Dobranoc, kochany – szepnęła i poczuł rozkoszny skurcz w żołądku na dźwięk jej głosu.

Zasnęli, przytuleni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przynajmniej dwa razy

Następnego ranka ledwie zdążyłam przekroczyć próg Salonu Piękności Maude, gdy Alyssa zakrzyknęła:

– Chodź no tutaj, ściągnij te fikuśne lakiereczki i nóżki do wody, ślicznotko, bo zamierzam wręczyć ci drineczka i oznajmić niusy!

Spojrzenie miała zaiste podekscytowane, a fotel do pedicure i wszystkie utensylia już czekały przygotowane.

Gdy ponownie na nią spojrzałam, nie byłam pewna, czy jestem gotowa na te „niusy”. Mimo to podeszłam karnie do fotela, złożyłam kurtkę i torebkę na pobliskim krześle i zasiadłam.

Ledwie włożyłam stopy do pachnącej, gorącej wody, gdy Alyssa chwyciła moją dłoń i zanurzyła palce w miseczce z kąpielą do manicure, jakby bez tego nie mogła zacząć mówić, i zatrajkotała:

– Suki się doigrały, a mówiąc „suki”, mam na myśli Donnę Spear i Terry Bagiński.

Czułam, jak oczy mi się otwierają szerzej, gdy wyprostowałam się i zapytałam:

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wpadły po uszy w szambo. Spadł na nie wodospad gówna.

O rety.

– To niby dobrze? – dopytałam.

– Heloł, siostrzo? – Pochyliła się i wydobyla moją stopę z wody, złożyła ją na podpórcę i zaczęła prace upiększające. – Czy miałabym prawie kisiel w majtkach, opowiadając ci o tym, gdyby nie było dobrze?

– Nie... nie.

– No właśnie. A teraz słuchaj. – Nabrała powietrza, szykując się do dłuższej przemowy. – Więęęęc, Donna ma tę psiapsiołę, trzymają się razem od ery kamienia łupanego. Ma na imię Rita, w sumie to dobra z niej dziewczyna i nawet ją lubię. Jest moją regularną klientką, ma dzieciaki w podobnym wieku. Wjechałyśmy kiedyś autem do basenu i...

– Nie chcę być niegrzeczna – przerwałam na tyle delikatnie, na ile potrafiłam – ale czy muszę poznać cały życiorys Rity, by zrozumieć, co ona ma wspólnego z eks Jake’a i prawniczką?

– No tak – rzuciła Alyssa, zamieniając moje stopy na podpórcę. – Chciałam tylko podkreślić, że ona jest w porządku. Do tego stopnia, że wspierała swoją psiapsiołę przez cały czas, nawet gdy było krucho. A wiesz, że bywało krucho, bo Jake na pewno ci wszystko opowiedział. Jesteście ze sobą tak szczerzy, że na tę myśl mam ciary. – Spojrzała na mnie. – W końcu powiedziałaś mi, że ją spławił w ten weekend.

Uśmiechnęłam się do komentarla o „ciarach”, szczególnie że spowodowała je szczerść między partnerami, i potwierdziłam:

– Tak było.

– No dobra, więc Donna po tej akcji trochę szalała. Zadzwoiła do psiapsioły i jęczała, wciągając rum nosem. Rita wysłuchiwała tej samej smętnej pioseneczki od lat i stwierdziła, że ma dość. Nie wytrzymała.

– O rety... – szepnęłam.

– O tak – potwierdziła Alyssa. – No i Rita postanowiła odwiedzić Donnę i trochę nią potrząsnąć, choć moment był niefortunny, bo akurat Donna była pijana w trzy dupy. Wygarnęła Donnie wszystko, podkreślając to, że całe miasto wie o tym, iż Jake nie jest dla niej i nigdy go nie odzyska. No i ci wszyscy ludzie uważali również, że podchody i lamenty Donny są żalose,

nie wspominając o tych jej polowaniach na młodych chłystków. No i dodała jeszcze, że Donna ma na mieście reputację gównianej matki, a przez to uważają ją za nic. Za to Jake'a mają za bohatera, skoro sam podjął się wychowywania dzieci. No a najnowsza plotka jest taka, że miasto kipi z radości, iż Jake znalazł sobie w końcu porządną kobietę, bo wszyscy mu w tej kwestii kibicowali. I nie dość, że jesteś dobra dla Jake'a, to jeszcze wspaniale zastępujesz matkę jego dzieciom.

Miło było słuchać tego wszystkiego i wiedzieć, że lokalna społeczność wspiera nasz związek, jednak sposób, w jaki Rita wyłożyła to wszystko Donnie, nieco mnie martwił.

– No i jak Donna to przyjęła? – zapytałam.

– Nie za dobrze, bo ona woli się łudzić. Woli zaprzeczać faktom. A tutaj zarówno Jake, jak i jej najlepsza przyjaciółka wyłożyli jej sprawę jasno tego samego wieczoru. – Alyssa pokręciła głową z ubolewaniem. – Więc się wkurzyła. Wykopała Ritę, a potem zaczęła obdzwaniać pozostałe dziewczyny i obrabiać jej dupę. Niestety, wszyscy trzymali wspólny front z Ritą i tylko powtarzali Donnie to samo, co ona.

– O rajuśku... – mruknęłam.

– A tak właśnie – potwierdziła Alyssa, sięgając po czątki. – No więc pewnie się nie zdziwisz, jak ci powiem, że Donna nie siedziała beczynnienie na kacu, sortując sobie priorytety. Niiieeee. Zamiast tego z samego rana zjawiała się w pracy i złożyła wypowiedzenie. Wieść niesie, że wyprowadza się do Bostonu.

Spięłam się.

– Słucham?

– Wszędzie to rozpowiada. Jedna klientka powiedziała mi, że wpadła na nią podczas zakupów i usłyszała, że Donna nie wyobraża sobie życia w mieście, w którym Jake wije sobie gniazdko z inną kobietą. Zdaje się, że Donnie umknął fakt, iż po niej Jake miał jeszcze dwie żony, a pomiędzy nimi zaliczył kilka innych panienek. Najwidoczniej nie przebiło to bańki, którą wokół siebie nadmuchała Donna, dopiero Jake zrobił to ostatnio.

Prawie nie słuchałam, bo myśli zaprzętało mi coś innego, nie plany Donny.

– Ale nie będzie próbowała zabrać ze sobą Connera i Amber? – zapytałam z przestraczeniem, a dłonie Alyssy zatrzymały się. Dotknęła mojej stopy pieszczotliwie.

– Kochanie, w życiu – powiedziała łagodnie. – Czy ją kiedykolwiek obchodziły własne dzieci?

Nie znałam Donny aż tak dobrze, ale z tego, co sama zauważyłam i co powiedzieli mi inni, wynikało, że nie.

– Zdaje się, że nie.

– No właśnie. Nigdy. Donna myśli tylko i wyłącznie o sobie. Ma w głowie trzy obrazy: siebie, Jake'a albo kogoś podobnego do niego, kto ją przybije do łóżka.

Zagryzłam wargę.

– Coś słabo wyglądasz – zauważyła Alyssa.

– Boston leży tylko niecałe trzy godziny drogi stąd – zauważyłam.

– No tak. Junior nie ma żadnych byłych żon, ale gdyby miał, to bardzo bym się cieszyła, gdyby mieszkały w miejscu oddalonym o prawie trzy godziny drogi.

– Ale to oznacza, że będzie mieszkała prawie trzy godziny drogi od swoich dzieci.

– Widzę, do czego pijesz, ale w końcu mieszkała w tym samym mieście i nic z tego nie wynikało, więc...

– Myślisz, że serio się wyprowadzi? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia. Może to był szalony pomysł, który uknuła po pijaku, a na trzeźwo wszystko sobie przemyśli. A może faktycznie wyjedzie. Ma tutaj świetną robotę, byłaby durna,

gdyby ot tak ją porzuciła.

– Muszę powiedzieć o tym wszystkim Jake’owi – oznajmiłam oczywistość.

– Tylko mi się tu nie wrywaj, ślicznotko, bo jestem w połowie roboty!

No super... Ściągnęłam cugle i czekałam cierpliwie, aż skończy.

– No to teraz się trzymaj fotela, bo najlepsze zostawiłam na koniec.

No to jazda.

– Mam jedną klientkę, która jest asystentką w kancelarii Weaver, Schuller i Partnerzy.

Była tu chwilę temu i zdradziła mi coś w sekrecie, więc właśnie udaję, że wcale ci tego nie mówię. Chyba nie wie, że się przyjaźnimy, ale zawsze coś mi wygada. Zwykle nie rozpowiadam tych rzeczy, ale widzę, co się dzieje, więc słuchaj uważnie i tak to rozegraj, jakbyś nie usłyszała ode mnie ani słówka. Nie chcę jej zaszkodzić, bo to dobra dziewczyna, po prostu nie umie utrzymać języka za zębami.

– Oczywiście – zapewniłam cicho.

Alyssa była wtajemniczona w moje sprawy, bo codziennie rozmawialiśmy przez telefon.

Była miła, zabawna, a ja potrzebowałam przyjaciółki.

– No więc, Boston Stone i jego firma są klientami Weavera i spółki.

– O nie... – zaczęłam, bo miałam złe przeczucie.

– Czekaj chwilę – uspokoiła mnie Alyssa. – Ta cała Terry Bagiński jest jakoś tam związana z partnerami kancelarii, choć nie jest bezpośrednio partnerką. Davis Malone zaś nie ma nic wspólnego ze Stone Incorporated. Więc kiedy się pojawił, jak to barwnie ujęłaś, nawet jeśli nie jest związany ze Stone’em, Terry powinna była mu powiedzieć, że występuje tu konflikt interesów, w końcu była twoją prawniczką. Zamiast tego, by zadowolić Stone’a, zdecydowała się wziąć tę sprawę i reprezentować Malone’a. Tak przynajmniej powiedziała Schuller, gdy się o wszystkim dowiedziała. Terry zasugerowała, by kancelaria zajęła się reprezentowaniem twojego stryja, a ciebie zostawili na lodzie. Problem w tym, że Bagiński nie może sama decydować o tym, kogo będzie reprezentować, bo tylko formalni partnerzy kancelarii mają takie prawo.

Zamarłam w oczekiwaniu.

– A skoro ta właśnie kancelaria zajęła się wykonaniem testamentu Lydii, to teraz nikt od nich nie może go podważać, muszą bronić zapisów. Arnold Weaver teraz jest na urlopie i oplakuje zmarłą żonę, ale przecież nie umarł wraz z nią. Schuller i on przyjaźnią się od dawien dawna. Nie robią niczego bez obopólnej zgody. Więc gdy Schuller przedstawiła pomysł Terry Weaverowi, ten się strasznie wkurzył.

Nagle zeszło ze mnie napięcie.

– Arnold Weaver udał się do kancelarii i razem z Schuller kazali Terry pakować swoje graty. Wywalili ją na zbity pysk. No i wówczas asystenci i pozostali prawnicy puścili farbę, że Terry namawiała mnóstwo klientów do inwestowania w biznesy Stone’a, bo sama była udziałowcem jego spółki. Nie znam się na prawie, ale Weaver i Schuller się nieźle wkurzyli, bo to stawia ich kancelarię w niezbyt dobrym świetle.

Ja również nie znałam się na prawie, ale nawet bez tej wiedzy nie brzmiało to korzystnie.

– W każdym razie – kontynuowała Alyssa – Stone się o wszystkim dowiedział, pojawił się w biurze bez zapowiedzi, zażądał spotkania z partnerami, powiedział im, że mają zatrudnić z powrotem Terry i wziąć sprawę twojego wuja, inaczej stracą go jako klienta. W odpowiedzi dostał tylko pytanie o to, komu i gdzie mają odesłać jego akta.

– O Boże...

– No, wiem. Ale z tego, co słyszałam, może i Stone ma kasę, ale Weaver i Schuller trzymają całe sądownictwo w garści. Jakies płotki próbują coś tam oskubać, ale wszyscy wiedzą,

że w sprawach prawnych idzie się właśnie do nich.

Uśmiechnęłam się.

– Więc nie dali mu się – stwierdziłam. – I co zrobił Stone?

– Poszedł do Terry, bo tylko ona mu pozostała. – Alyssa nieco się zasepiła. – Jest teraz jej jedynym klientem i do tego grubą rybą, więc pewnie przez jakiś czas będą ci jeszcze uprzykrzać życie.

– Mam nadzieję, że jednak moi prawnicy zaczną do mnie oddzwaniać – powiedziałam tylko.

– No ja myślę! – Alyssa uśmiechnęła się szeroko i wróciła do pracy.

– Dziękuję, że mi to wszystko powiedziałaś, kochana. Nikomu nie zdradzę, skąd mam te informacje.

– Gdyby to były ploty, tobym ci nie powiedziała. Ale źródło jest sprawdzone.

– Uściskałabym cię, ale boję się, że spadnę z fotela.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Miała takie ciepłe, brązowe oczy...

– Decyzja o porzuceniu dotychczasowego życia i osiedleniu się w Magdalene była najlepszą decyzją w moim życiu – zwierzyłam się.

W jej oczach stanęły łzy.

– Dobra, laleczko, tylko mnie tu teraz nie rozmiękczej, bo się rozbeczę! Może moja robota wygląda na lekką, łatwą i przyjemną, ale taka nie jest! Muszę się skupić!

– Dobrze, nie doprowadzę cię do łez.

– Lepiej mi powiedz, którą kieckę mi pożyczysz na dzisiejsze wyjście do The Eaves z Amondem.

Zamierzaliśmy najechać dziś ten lokal całą hordą: rodzina Jake'a i ja, Alyssa, Junior i ich dzieciaki oraz cały dwór rapera. Jego manager zarezerwował dla nas całą salę.

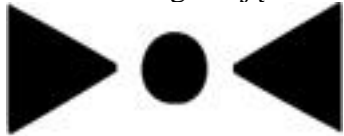
Nie mogłam się już doczekać!

– Wpadnij, kiedy będziesz wolna, i wybierzesz sobie, co zechcesz! – zaoferowałam.

– Chyba odwołam ostatnią klientkę!

Pół godziny później miałam manicure i pedicure jak spod igły. Dałam Alyssie ogromny napiwek, wzbraniała się, ale nalegałam.

I w końcu mogłam ją swobodnie uściskać.



Potknęłam się w moich szalowych lakierczkach od Louboutina już w progu siłowni. Zapewne dlatego, że Jake stał w ringu w zasadzie goły, tylko w szarych szortach, tenisówkach i rękawicach, z ochraniaczem na głowie. Był mokry od potu i okładał pięściami jakiegoś koleśia, którego nawet nie zauważyłam.

Musiałam się opanować, czując spazm w dole brzucha, gdy tak szłam przez pełną ludzi siłownię. Jak to się stało, że miejsce tętniło życiem, nawet w środku dnia, gdy wszyscy teoretycznie powinni pracować?

Dziś dodatkowymi klientami byli chłopcy Amonda, którzy przecież musieli trzymać formę. Boksowali worki i wyciskali sztangi. Amond się nie wysiłał, stał przy narożniku w designerskim dresie, obserwując Jake'a w ringu.

I to właśnie Amond pierwszy odwrócił się w moją stronę, bo Jake był skupiony na przeciwniku.

– Cześć, piękna! – zawołał.

Choć nie tylko on mnie pozdrowił, bo i kilku znajomych panów przywitało się, gdy szłam przez halę, ja byłam skoncentrowana na Jake’u, nawet wtedy, gdy odpowiedziałam:

– Cześć, Amond.

– Stop! – zawołał Jake głosem stłumionym przez ochraniacz w ustach.

Sparring partner się odsunął i zniżył gardę, a Jake wypluł kawałek plastiku na rękawicę i spojrzał na mnie z uśmiechem:

– Cze, Śliczna!

– Witaj, kochanie! – odpowiedziałam.

Podszedł do lin, przechylił się przez nie i nadstawił spoconą twarz do pocałunku. Przytrzymałam jego otoczoną miękkim kaskiem szczękę i cmoknęłam go prosto w usta.

– Mam niusy – powiedziałam, ale zanim skończył lustrować moją twarz z zaciekawieniem, zadzwoniła komórka w mojej torebce.

– Poczekaj chwilę – mruknęłam. – Czekam na ważny telefon.

Zerknęłam jeszcze na Amonda, a potem na wyświetlacz, na którym migał nieznany mi numer.

– Mówi Josephine Malone – powiedziałam zamiast zwyczajowego „halo”.

– Josephine, moja droga, tu Arnie.

– Dzień dobry, Arnie! – przywitałam się, zerkając dla odmiany na Jake’a.

– Posłuchaj, zacznę od przeprosin, że nie odpowiadaliśmy na twoje telefony. Mieliśmy pewne spięcia wewnątrz firmy i musieliśmy to rozwiązać. To już za nami i wiem, że testament Lydii ma być zakwestionowany. Zajmę się tą sprawą osobiście.

– Arnie... – powiedziałam łagodnie, odwracając wzrok od ciała Jake’a, bo ten widok mnie rozpraszał. – Nie ma potrzeby, żebyś teraz...

– A właśnie że jest potrzeba – uciął moje protesty. – Sam spisywałem ten testament, jestem pewny jego zapisów. Znałem Lydię trzydzieści lat i mam pewność, że była poczytalna. Ten pozew składany jest tylko po to, żeby uprzykrzyć ci życie, i szybko się z tym uporamy.

– Te słowa przynoszą mi ulgę – powiedziałam, znów spoglądając na Jake’a.

– Jeśli będziesz do czegośkolwiek potrzebna, odezwę się – rzekł pewnym głosem. – Ale najpierw będę musiał się przyjrzeć nowemu prawnikowi, którego znajdzie pan Malone.

– Nowemu prawnikowi?

– Skierowano go błędnie do naszej kancelarii. Wyjaśniliśmy mu, że musi znaleźć inną kancelarię. Dam znać, gdy już poinformuje nas, kto go będzie reprezentował.

– Będę zobowiązana – powiedziałam cicho.

– I o nic się nie martw, Josephine! – Jego ton był pewny i profesjonalny. – Tak jak wspomniałem, to ma tylko uprzykrzyć ci życie. Wszystko się ułoży. Nie oddamy ani domu, ani majątku, ani niczego, co w tym domu się znajduje. Zatrzymasz wszystko, co Lydia na ciebie przepisała.

– Dziękuję, Arnie – szepnęłam.

– Do usług – odpowiedział.

– Do usłyszenia.

– Do usłyszenia, trzymaj się, moja droga!

Rozłączyłam się, spojrzałam na Jake’a z uśmiechem i powtórzyłam:

– Mam wieści!

Wyprostował się i odezwał do partnera w ringu:

– Koniec na dziś, Troy. Ale, ale. Poznaj moją panią! – Podszedł do lin. – Troy, to jest Josie. Josie, poznaj Troya.

– Miło cię poznać, Troy! – Uśmiechnęłam się do niego.

– Wzajemnie – odpowiedział i obnażył czarny ochraniacz, który miał w ustach. Wypluł go do rękawicy i odezwał się do Jake’a: – Opuszczasz lewą.

– Zauważyłem – odpowiedział Jake.

– Trzymaj gardę – dodał Troy, skinął głową na pożegnanie, uderzył Jake’a rękawicą w ramię i wyszedł z ringu, unosząc jedną z lin.

Odsunęłam się, a Jake wyskoczył pomiędzy mnie i Amonda.

– Ciągnij, mała – rozkazał Jake, chwytając zębami sznurówkę przy lewej rękawicy.

Było coś pierwotnego w tym geście i moje ciało zareagowało spontanicznie. Chwytał zębami sznurówkę przy prawej, a ja poczułam kolejny spazm. Potem wyciągnął ręce w moją stronę. Chyba miałam ciągnąć... rękawice.

– Co to za wieści? – wtrącił się Amond, wrywając mnie z fantazji.

Patrzył na mnie uważnie, ale ja przeniosłam pytający wzrok na Jake’a, który właśnie ściągał kask.

– Wtajemniczyłem go w nasze sprawy wczoraj w klubie – wyjaśnił.

– To naprawdę nie są aż takie sprawy... – zaczęłam, spoglądając na Amonda.

– Co za niusy? – ponowił pytanie.

Jake sięgnął po bluzę leżącą nieopodal i zasugerował, abyśmy przeszli do biura. Odebrał ode mnie rękawice, rzucił wszystko na sofę i założył bluzę.

Już miałam się odezwać, ale Jake zaczął pierwszy.

– Nie chciałem obarczać twojego przyjaciela naszymi problemami, mała, i widziałem, że chciałaś, żeby wasze spotkanie było beztrudne i przyjemne, ale musisz zrozumieć, że mamy problem, a jak się ma problem, to trzeba zaangażować wszystkie środki w to, by go rozwiązać.

Nie bardzo rozumiałam.

– Ale o co...?

– Mniejsza o wstęp – dodał Amond. – Mów, co tam nowego na froncie.

– Zdaje się, że w końcu mam prawnika – oznajmiłam.

– Powiesz coś więcej? – dociekał Jake.

Westchnęłam, a potem przekazałam im wszystko, co sprzedała mi Alyssa, prosząc o dochowanie tajemnicy. Amond nie miał wprawdzie komu rozpowiadać, ale za to Jake mógł.

– No i dobrze, sukę mamy z głowy – rzucił Jake po wysłuchaniu mojej relacji.

Zaczęli wymieniać jakieś porozumiewawcze spojrzenia, grymasy i machanie brwiami, aż w końcu nie wytrzymałam.

– Czy fakt posiadania macicy sprawia, że kobieta jest niezdolna do posługiwania się mową i radzenia sobie ze stresującymi sytuacjami?

Nie odpowiedzieli i nie byłam do końca pewna, czy zrozumieli, że oczekuję wyjaśnień.

– Trzeba jeszcze wyeliminować Stone’a i twojego wuja – odezwał się w końcu Jake.

– No, trzeba – potwierdziłam.

– No więc to nie koniec naszych kłopotów – dodał.

– Nie otwieram jeszcze szampana – rzuciłam z przekąsem.

– Wymądrzaj się tak dalej, Śliczna, a Amond popatrzy sobie, jak cenię sobie twoją buźkę, nawet wówczas, gdy używasz jej do szczekania.

No co za komentarz!

– Chyba muszę zostawić was samych – zauważył Amond.

– To słuszna uwaga, Amond. Mamy jeszcze do omówienia kilka spraw, ale to już w cztery oczy.

– Spoko, piękna. W końcu przyszedłem tu, żeby trochę poćwiczyć, a nawet jeszcze nie

kiwnąłem palcem. Więc może zacznę – odpowiedział.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Co to za sprawy do omawiania w cztery oczy? – zapytał Jake.

Podeszłam bliżej i opowiedziałam mu o planach Donny. Nie za bardzo mu się spodobały.

– Ta suka zamierza ot tak uciec?

– To nie jest sprawdzona wiadomość, tylko plotka z salonu piękności. Nie powinniśmy na niej polegać.

Zdawał się mnie nie słuchać.

– Matka Ethana też zabrała dupę w troki i wyjechała. Dzwoni tylko wtedy, gdy zaczyna ją gryźć sumienie, czyli nie za często. Wysyła mu kartki na urodziny w kopertach pełnych pieniędzy, drogie świąteczne prezenty, ale to przecież nie zastąpi matki. Zaprasza go na ferie i święta, a potem w ostatniej chwili odwołuje plany. I teraz matka dwójki pozostałych moich dzieci zamierza mi zafundować powtórkę z rozrywki?

Nie odzywałam się.

– Nie wierzę w ten syf! – dokończył.

Złożyłam obie dłonie na jego piersi.

– Jake, nie wiemy jeszcze na pewno, że wyjeżdża.

– Wyjedzie. Zdała sobie sprawę z tego, że całe miasto się z niej śmieje. Zaszyje się w jakiejś norze i nikt nigdy jej nie znajdzie. Nie jest typem kobiety, dla której priorytetem w życiu, czymś, o co trzeba walczyć zębami i pazurami, jest opieka nad dziećmi.

Zacisnęłam usta, ale z tyłu głowy zamigotała mi myśl, że Jake tak właśnie traktuje opiekę nad dziećmi.

– To suka! – syknął.

Przyłgnęłam do jego piersi i zapytałam:

– Chcesz, żebym z nią pomówiła?

– Nie – odrzekł natychmiast. – Ja się tym zajmę.

– Nie chcę być jędzą, kochanie, ale właśnie twoje zajęcie się nią ostatnim razem doprowadziło do tej sytuacji. Może jednak przyda się trochę mojej dyplomacji?

Zacisnął szczęki.

– Przemyślmy to – naciskałam łagodnie. – Dajmy jej trochę czasu i zobaczymy, co zrobi. Nie ma co powodować dodatkowych spięć, bo może jeszcze zmieni zdanie.

Poczułam jego dłonie na biodrach.

– Masz rację, Śliczna. Tak zrobimy.

Objęłam go za szyję i zagruchałam:

– Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałam...

– Nie ty ją sobie wybrałaś, a ja – odpowiedział. – Kurwa! Jak dobrze, że tym razem wybrałam prawidłowo!

Roztopiłam się w środku i przyłgnęłam do niego całym ciałem, zaciskając dłonie na jego karku.

– Cieszę się, że tak uważasz – szepnęłam.

– Nie uważam, tylko wiem – powiedział, a ja poczułam motyle w brzuchu.

– Przestań być dla siebie taki surowy. Byliście zakochani, a z tego, na ile już zdążyłam cię poznać, wnioskuję, że potrafisz się mocno zaangażować. Twoje były dokonują własnych wyborów i być może nie zdają sobie nawet sprawy, jak bolesne będą ich konsekwencje i jak wiele stracą. Ty nic już nie stracisz. Poświęciłeś się dzieciom i dajesz im wszystko, czego potrzebują. Zrozumieją to pewnego dnia i będą wdzięczne. Być może już to do nich dotarło.

– Piękne jest to, co mówisz, ale ciężko nie wyrzucać sobie tylu błędnych wyborów.

– A może... – podciągnęłam się na rękach i stanęłam na palcach – po prostu spróbuj tego nie robić?

Uśmiechnął się i w końcu mnie objął.

– Najpierw mądralińska, teraz pani sierżant. Co w ciebie dziś wstąpiło?

– Muszę troszeczkę naprostować mojego mężczyznę – odpowiedziałam.

Chyba bardzo go to rozbawiło, bo aż trząśł się od śmiechu. Nie zamierzałam się wykłócać, cieszyłam się, że humor mu się poprawił.

Pocałował mnie, a przecież od jakiegoś już czasu na to czekałam. To było o wiele lepsze niż słuchanie jego śmiechu.

Chyba nie tylko Amond i jego ekipa mogli dokładnie przyjrzeć się temu, jak wysoko Jake cenił sobie swoją buźkę.

Wcale nie obchodziło mnie, że widzą nas przez szybę.



– Dobra, piękna, powiem ci, co widzę, i lepiej trochę tu poczaruj, bo jeśli nic nie zrobisz, to za tydzień, za miesiąc, a może i jutro będziesz tu mieć Armageddon.

Amond pochylał się nade mną i szeptał mi do ucha. Siedzieliśmy przy dużym, prostokątnym stole w The Eaves.

– Ale co masz na myśli? – spytałam, unosząc brwi.

– Wiele masz na głowie, więc ci to wyłuszczę. Ta mała pojawia się u was cała wylaszczona, i to wiesz, tak na tip-top, jakby chciała przyciągnąć czyjaś uwagę. Ale chłystek traktuje ją tak, jak zwykle, bo pewnie razem dorastali i nie zwracał na nią uwagi.

Powiodłam wzrokiem po zgromadzonych przy stole i dotarło do mnie, że „ta mała” to Sofie, a „chłystek” to Conner.

– No więc mała słodka Sofie chyba mocno to przeżyła, bo on nie okazał jej nic poza przyjacielskim zainteresowaniem. Wygląda, jakby miała przed oczyma wizję końca świata.

O rety.

– A dalej – rozkręcił się Amond – wchodzimy do lokalu i akurat tak się składa, że chłopak idzie za nią. I widzi, że wszyscy faceci, starzy i młodzi, nie mogą oderwać oczu od tego stadka samiczek: od ciebie, twojej psiapsioly, jej córki i córki twojego faceta.

Spojrzałam na Connera, który udawał, że kroi stek, ale gdy tylko Sofie zachichotała po jakiejś uwadze rzuconej jej przez ojca, jego wzrok wystrzelił do niej.

– O rety... – powiedziałam tym razem głośno.

– No ba – jechał dalej Amond. – Gdy się zorientował, że mała przyciąga uwagę, nagle jakby przejrzał na oczy. A ona głupia nie jest, od razu to zauważyła. I nie bardzo wie, jak to dalej rozegrać. Wie za to, jak zgrywać słodziutką idioteczkę, i to najwyraźniej działa, bo wasz chłopak w dziesięć minut oszalał na jej punkcie.

– A niech to – szepnęłam.

– Mam trzy córki i wiem, że gdyby taki chłopak jak ten się za nimi oglądał, tobym chyba rozum postradał. Ten cały Junior kocha swoją żonę, kocha swoją rodzinę, ale jak się zorientuje, co się święci, to przestanie być taki uroczy. Taka cicha woda, już ja znam ten typ, jak się wkurzy, to rozsądzi wszystko wokół.

– Conner to przyzwoity chłopak – oznajmiłam, patrząc na Amonda.

– Ty sobie możesz tak twierdzić, bo nie jesteś szesnastką, którą chętnie by przybił do

materaca – rzekł Amond, szczerząc w uśmiechu białe zęby.

– Powiem ci coś, mój drogi, Conner nie przybił do żadnego materaca żadnej ze swoich dwóch ostatnich dziewczyn – syknęłam.

Jego uśmiech był już isticie szatański.

– Powstrzymał się aż z dwiema? – zapytał Amond, unosząc brwi.

Umościłam się wygodniej, gotowa na kłótnię, i dodałam:

– A ostatnia z nich była urocza i nieśmiała, zupełnie jak Sofie.

– Jezus, nie mów mi, że koleś ci się zwierza? – Brwi Amonda podjechały na czoło.

– Tak się jakoś złożyło przy okazji zerwania z jedną z nich, że dowiedziałam się o tym.

– No co ty nie powiesz!

– On naprawdę się o nie troszczy i jest rozsądny.

– No co ty nie powiesz! – powtórzył Amond, wciąż się sarkastycznie uśmiechając.

Zaczynałam się martwić.

– Ale ostatnio nie wykazywał zaangażowania.

– Zaraz się zaangażuje, wspomnisz moje słowa – powiedział pewnie Amond.

Gdy spojrzałam na Connera, akurat uśmiechał się do Sofie i musiała to dostrzec, bo policzki jej zapłonęły i spuściła wzrok, sięgając po szklanekę z wodą. No i stało się, przewróciła ją, rozkojarzona, zerwała się z krzesła, jej ojciec zrobił to samo i zaczęli histerycznie wycierać wodę swoimi serwetkami. Przeniosłam wzrok na Connera, który szczerzył się w swój talerz z miną aż nazbyt przebiegłą.

Cholera!

Almond stłumił śmiech. W tym momencie usłyszałam szept Jake'a z drugiej strony:

– Mamy przesrane. Conner jest na łowach i upatrzył sobie Sofie. Jak tylko Junior się zorientuje, przestanie być taki uroczy.

Mruknęłam coś, odwracając się do niego, z grymasem totalnej ignorancji na twarzy. Jake tylko pokręcił głową i rzekł:

– Ale słabo ściemniasz!

– No dobrze, widzę to, ale to Amond zwrócił moją uwagę na tę sprawę.

– Ta, i ma ubaw przez cały wieczór, bo to nie jego dzieciak i nie jego kumpel, który zechce urwać łeb ojcu tego dzieciaka.

Choć sytuacja zdawała się dość niebezpieczna, zachichotałam i powtórzyłam moją radę:

– A może po prostu zobaczymy, jak się sprawy ułożą?

– Już ja wiem, jak ty będziesz beczynn timer patrzeć – zaczął Jake. – Wiesz, mam w domu małą gapę i ślicznotkę. Mam również syna, który jest jak mój klon, więc ja już wiem, jak się te łowy skończą. Muszę tylko się upewnić, że nie skończy się na tylnym siedzeniu jego wozu. Lubię mojego syna, chcę, żeby jeszcze trochę pożył. Lubię również Juniora i nie chciałbym musieć masakrować go gdzieś w zaułku za zmasakrowanie mojego dzieciaka.

– Troszkę chyba koloryzujesz, Jake – zauważyłam. – Byliby bardzo ładną parą.

– Byłaś kiedyś szesnastką, ja byłem siedemnastolatkiem. I wyobraź sobie, że Junior również był.

Jake patrzył, jak robię dość zakłopotaną minę.

– No właśnie – skwitował.

Już miałam rozprawić się z halibutem na moim talerzu, gdy coś mignęło mi przed oczami. Uniosłam wzrok i dostrzegłam, że Alyssa, która siedziała po drugiej stronie między ochroniarzem Amonda i jego drugim managerem, aż cała tańczy. Strzelała oczami między dzieciakami, a w końcu uniosła kciuk w górę.

Jake szepnął mi do ucha:

– No to pozamiatane. Alyssa już się podnieciła faktem, że jej córka wyrwała popularsa. Jeśli mój syn zrobi kolejny ruch, pilnuj, by się za bardzo nie rozpędził. A ja będę mieć na oku Juniora.

Och. A więc to chciała mi powiedzieć Alyssa.

– Zgoda – odpowiedziałam Jake’owi.

Uśmiechnął się i mnie cmoknął.

– Faj! – wrzasnął Ethan i wszyscy spojrzeli na niego. – Oni cały czas to robią!

– Poczekaj, młody, i na ciebie przyjdzie pora! – oznajmił Amond.

– Nie będę całował Josie! – Młody wyglądał tak, jakby go zemdliło.

– Nie Josie, no coś ty! – Amond zaśmiał się. – Znajdziesz sobie własną dziewczynę.

– Tak. Będzie gotować jak Josie, ubierać się jak Josie i mówić jak Josie. Ale będziemy się tylko trzymać za ręce! – powiedział pewnie Ethan.

Co za słodziak!

– Gust to ty masz dobry, ale mogę się założyć, że gdy odwiedzę was za piętnaście lat, nie będziesz już tylko trzymał dziewczyn za ręce! – powiedział Amond.

Ethan się rozpromienił, bo najwyraźniej zanotował tylko to, że Amond odwiedzi go za piętnaście lat.

– Stoi! – zadeklarował.

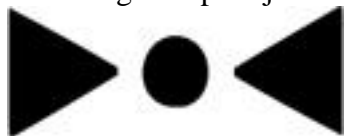
Upiłam łyk szampana. Jake odchylił się w tył na swoim krześle i z butelką piwa w dłoni szepnął coś Amondowi za moimi plecami. Ale ja nie słuchałam. Przyglądałam się. Odczuwałam.

Siedziałam z grupą przyjaciół z dwóch różnych światów, a oni pili, jedli, świetnie się bawili i miałam to zapamiętać do końca życia, tę chwilę, w której mój mężczyzna, obejmując mnie delikatnie, pokazywał wszystkim, że należę do niego.

Wówczas zrozumiałam. Buni nie chodziło tylko o Jake’a. Nawet nie o Jake’a i jego rodzinę. Chciała, bym miała normalne życie, pełne takich właśnie szczęśliwych chwil. Chciała, bym czuła się bezpiecznie wśród ludzi, którym mogłam zaufać. Oddając mnie Jake’owi, dała mi to wszystko.

Odstawiłam kieliszek i włożyłam do ust kęs ryby, ale nie mogłam skupić się na jedzeniu. Wzniosłam oczy do sufitu, który był pomalowany ciemnoczerwoną, satynową farbą. Raz jeszcze uniosłam kieliszek w toaście i przez moment nie widziałam sufitu, nie słyszałam niczego wokół. Przed oczami miałam babcię i to właśnie do niej powiedziałam w myślach: „Dziękuję ci, Buniu!”.

Teraz mogłam spokojnie rozprawić się z halibutem.



Następnego popołudnia obserwowałam, jak ekipa Amonda żegna się serdecznie z moją ekipą. Nie umknęło mojej uwadze, że Jake i Amond uścisnęli sobie przedramiona i coś poszeptali. To, że się dogadali, nie ulegało wątpliwości i usiłowałam ignorować fakt, że to całe dogadywanie dotyczyło moich kłopotów z wujem i Bostonem Stone’em.

Uściskałam wszystkich po kolei, Amonda zostawiając sobie na koniec. Przytulaliśmy się długo i mocno. Szepnął mi coś, co mnie zszokowało, zraniło i jednocześnie rozgrzało:

– Chciałem ci dać dokładnie to samo, piękna. – I po chwili, wciąż nie wypuszczając mnie z objęć, dodał: – I choć to nie moja zasługa, cieszę się, że w końcu to masz. Kocham cię, Josephine.

Zacisnęłam powieki.

– Ja ciebie też, kochanie – odszepnęłam do jego ucha, tak cicho, by nikt inny nie usłyszał.

Poluzował uścisk, odsunął mnie nieco i spojrzał mi w oczy. Gdy wsiadał na tylne siedzenie masywnej limuzyny, poczułam, że Jake oplata mnie ramieniem, a dzieciaki stają blisko.

Machaliśmy im na pożegnanie, a gdy zniknęli za zakrętem, wróciliśmy do domu.



Następnego ranka wyprowadzałam Jake'a i Ethana z kuchni, wciąż ściboląc coś na skrawku papieru, który trzymałam w dłoni.

– Mała, daj mi to już, po prostu wyślesz mi esemesa, gdy coś sobie przypomnisz! – Jake zaczął się niecierpliwić.

– Już, już! – mruknęłam, notując sprawunki.

– To lista zakupów, a nie Wielka Karta Swobod! – zauważył Jake. – Śliczna, dawaj to! Muszę odwieźć Ethana do szkoły, a w siłowni już na mnie czekają!

Spojrzałam na niego przez zmrużone powieki.

– Nie rozumiem, dlaczego to ty będziesz robił zakupy, skoro ja nie mam nic do roboty przez cały dzień!

– I tak będę w markecie, bo muszę spotkać się z hurtownikami alkoholu, więc przy okazji machnę spożywkę. A ty tu masz górę prania do zrobienia po wczorajszym remanencie w ciuchach dzieci.

– Mogłabym zrobić pranie, zakupy i, wyobraź sobie, nawet zawieźć Ethana.

– Ale przecież i tak jadę na siłkę, więc po co odpalać drugi wóz?

– No niby tak, ale...

– Mała – wciął się – robiłaś kiedyś pranie szmat pięcioosobowej rodziny z całego tygodnia?

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Ja też nie, tylko dla czwórki. I wierz mi, niby to maszyny odwalają całą robotę, ale czas jakby szybciej płynie. Poza tym masz zabrać Pearl do Alyssy, no i ogarnąć nieco, bo przecież to nie ja wywaliłem ekipę sprzątającą dlatego, że nie doszorowali futryn.

Ethan zachichotał.

Jake miał rację i oczywiście nie za bardzo mi się to podobało.

– To drewno ma ponad sto lat, Jake, trzeba je należycie pielęgnować! – fuknęłam.

Jake tylko westchnął.

– Dasz mi tę listę w końcu?

Podaliśmy mu świstek.

– A teraz dasz mi buziaka? – zapytał, wsuwając złożoną kartkę do tylnej kieszeni spodni.

– Idę do auta! – oznajmił ostentacyjnie Ethan, krzywiąc się.

Byłam nieco urażona, więc zastanawiałam się poważnie, czy zrobić to, czy jednak nie.

– Chodź no tutaj! – zażądał Jake, gdy tylko mały zniknął za drzwiami.

– Miałam wam pomagać! – powiedziałam obrażonym tonem.

– Wrócę do domu wieczorem, zasiądę z dziećmi do kolacji, którą nam ugotujesz, i spojrzę na Appalachy poskładanych, czyściutkich ubrań, i wtedy sobie porozmawiamy o tym, jak się objęłaś cały dzień.

No tak, teraz wyglądało na to, że jednak będę bardzo zajęta pomaganiem. Podeszłam do

niego, a wówczas objął mnie mocno i pocałował głęboko i słodko.

– Nara, Śliczna! – rzucił na pożegnanie, ześlizgując się swoim nosem wzdłuż mojego.

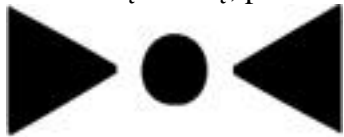
– Nara, kochanie! – odpowiedziałam.

Wyszedł, a ja odwróciłam się na pięcie i już miałam ruszyć korytarzem, gdy potknęłam się o coś, prawie łądując na czworaka, na szczęście dałam radę odzyskać równowagę. Spojrzałam w dół, to była tenisówka. Nieopodal leżała druga do pary, a dalej porzucone kozaki na obcasie, należące do Amber. Wyżej wisiała cała góra wierzchnich okryć i szalików, z których tylko dwa były moje. Szłam przez korytarz, zbierając różne rzeczy, które powinny leżeć zupełnie gdzie indziej, na przykład tablet Ethana ładujący się pod stołem. W saloniku nie było wcale lepiej: laptop Amber leżał na kanapie. Przy stoliku obok fotela ktoś zostawił notatki, chyba Conner, który wczoraj tu właśnie odrabiał zadania. Kuchnia wyglądała równie żałośnie, z górą naczyń w zlewie, patelniami i rondlami na kuchence i kubkami z niedopitą kawą porzuconymi na każdym wolnym skrawku blatu.

Wyjrzałam przez okno na morze szarpane sztormem, kapryśne niebo i przygotowany do zimowania ogród. Wisterię na trejażu przycięto, miała odrosnąć na wiosnę. Już widziałam siebie sadzącą tu dynie dla Ethana i pomidory w nadziei, że Conner spróbuje plonów z rodzinnego ogródka. Wiedziałam, że wciąż tu będę, i ta myśl była bardzo przyjemna. Takiego życia od zawsze pragnęłam, choć to marzenie umarło, gdy chłopak, którego kochałam, zepchnął mnie ze schodów. Ból pękającego obojczyka je zniszczył, a gdy doszłam do siebie, zapomniałam, że w ogóle miałam takie marzenie. Ale teraz wróciło do mnie, jasne i kolorowe, piękne.

Wyglądałam przez to właśnie okno domu Buni setki, jeśli nie tysiące razy, ale zawsze bez nadziei na przyszłość. Aż do teraz.

Uśmiechnęłam się, potem zaśmiałam w głos, ale po chwili śmiech przeszedł w szloch.



Następnego dnia udałam się do wypożyczalni, żeby zdobyć gry dla Ethana i jego kolegów, mających zostać na noc. Jake nazywał te wieczory „orgiami playstation”.

Wystukałam kod na wyświetlaczu i patrzyłam, jak maszyna wypłuka żądany tytuł.

Na wyświetlaczu komórki, którą wyciągnęłam z torebki, wstukując kolejny kod, zamigotało imię Taylor. Zdażyłam się już przekonać, że chłopak lubił sobie poplotkować. Co tam lubił, on to uwielbiał!

– Taylor, jak się masz? – zagadnęłam, przyłożywszy telefon do ucha.

– Mam niusiki, Josie! – zaświerkał.

Nawet to lubiłam, co tam lubiłam, to było zazwyczaj przezabawne!

– No to słucham – rzuciłam, wybierając na wyświetlaczu maszyny kolejny tytuł.

– Con zaczął działać. A ta cała Sofie nie jest nieśmiała, jest ultranieśmiała! Gdy tylko spróbował dotrzeć się podczas lunchu, dosłownie zwiewała, porzucając tacę z jedzeniem! I tak przez cały tydzień!

– O rety... – mruknęłam, pakując do torby pudełko DVD.

– A dziś było jeszcze gorzej.

– O rety – powtórzyłam, wyobrażając sobie, co mogło być gorszego w rankingu nastolatków.

– Dzisiaj, zwiewając, wywaliła się jak długa między stolikami!

Przeszedł mnie dreszczyk grozy. Biedna Sofie!

– A potem było już jak w powieści young adult! Conner podbiegł do niej, pozbiierał ją z podłogi, pytając, czy wszystko okej, a ona uderzyła w płacz i uciekła! Cała szkoła o tym gada!

Nie za dobrze to brzmiało.

– Ale dobrze gadają czy źle gadają?

– Hełoł, Josie? Con to gorący towar, który ostatnio został oczerniony przez Mię i wystawiony do wiatru przez Ellie, więc ma status bohatera ze złamanym sercem. A Sofie jest śliczna, nieśmiała i chyba nawet jeszcze się nie całowała! Założę się, że wszystkie dzierlatki będą dziś zapisywać tę akcję w pamiętnikach różowym atramentem i rysować na marginesach setki serduszek!

– A więc stawiamy na dobrze? – zapytałam, wyciągając ze szczeliny w maszynie ostatnią płytę.

– No pewnie! – Zaśmiał się po drugiej stronie. – Czekaj, Amber mi tu macha i coś gada... Chce, żebyś przekazała panu Spearowi, że wróci dziś później, bo idą po szkole do kina, a potem na kolację.

To był manewr w stylu Amber, czyli wysłuzenie się mną w przekazaniu ojcu wieści, że zamierza sobie porandkować, z czego on wcale nie był zadowolony i na co zgadzał się z oporem.

– Powiedz jej, że to załatwię – rzuciłam.

– Supcio!

– Miłego popołudnia, Taylor. I proszę mi tam uważać na lekcjach!

– No pewnie! Tobie również miłego dnia, Josie!

– Pozdrów ode mnie ekipę – dodałam.

Pożegnaliśmy się i wrzuciłam telefon do torby razem z płytami.

Odwrociłam się i zamarłam. Postąpiłam krok do tyłu i wpadłam na maszynę.

– Ty głupia, mała suko! – zasyczał wuj Davis, pochylając się w moją stronę.

Serce waliło mi jak oszalałe, nie mogłam się poruszyć. Widziałam go podczas tamtej nieproszonej wizyty, ale było ciemno. Teraz aż strach było patrzeć, co czas uczynił z jego twarzą. Gdy byłam dzieckiem, zdawał mi się potężny i straszny. Bałam się go nawet bardziej niż własnego ojca, który był gwałtowny i brutalny. Ale wuj był jeszcze gorszy. Została z niego tylko zasuszona skorupa, która pękłaby pod najlżejszym naciskiem.

Moje przemyślenia trwały moment, po chwili już sięgałam po telefon.

– Ten dupek, który do mnie zadzwonił i powiedział, że moja matka wszystko ci zostawiła, miał w kieszeni tamtą prawniczkę. A teraz, gdy muszę szukać innej, nie bardzo chce wyskakiwać z kasy. Tamta suka, która miała wszystko załatwić, teraz się wykręca i twierdzi, że wcale nie pójdzie tak gładko. Naradzała się z jakimś sędzią, który stwierdził, że są jakieś nierozwiązane sprawy sprzed cholernego półwiecza i przez nie majątku nie można podzielić!

Zamrugalam, przetrawiając te informacje, dla mnie chyba dobre. A staruch gadał dalej, chyba nie zdając sobie sprawy z wagi tych wiadomości.

– I teraz ten dupek Stone stwierdził, że sam mam sobie radzić! Znalazłem prawnika, który zgodził się reprezentować mnie za procent od tego, co od ciebie wyciśniemy, ale twój prawnik – zamachał palcem niebezpiecznie blisko mojej twarzy, a ja nie miałam już gdzie się wycofać – zasypał go tyloma trudnościami, że żąda zaliczki, by w ogóle w to brnąć!

Przełknęłam głośno. Wuj zmrużył oczy i już miał gadać dalej, gdy ktoś mu przerwał, mówiąc:

– Odsuń się od pani Malone!

Po naszej lewej stał szeryf w służbowej koszuli i jeansach, wysoki i przystojny, co zauważyłam już poprzednio, bo ciężko było nie dostrzec tak ostentacyjnej postury i urody, i na tej jego przystojnej twarzy malował się bardzo poważny wyraz.

– Co tu się dzieje?

To był Mickey, zbliżający się z prawej.

Wuj nie przejmował się nimi i gadał dalej:

– Nie będę dopłacał za odzyskanie czegoś, co powinienem dostać po matce! – syknął.

– Proszę póki co grzecznie, odsuń się pan od pani Malone! – powtórzył policjant.

Zero reakcji ze strony wuja.

– Ten dom i jej kasa są moje, suko! Chciałem zostawić ci połowę z dobroci serca, choć tak naprawdę należy ona do Chessa, tylko że on kopnął w kalendarz, ale wcześniej nigdy mnie nie wydymał, jak ty to zrobiłaś, to chyba jednak zatrzymam sobie wszystko!

Czułam zbliżających się mężczyzn, szeryf znów się odezwał:

– Ostatni raz to mówię, proszę się odsunąć!

Stary nie zdążył, bo Mickey chwycił mnie za ramię, odsunął na bok i zajął moje miejsce.

– Nie skończyłem rozmawiać z bratanicą! – warknął Davis.

– A właśnie że skończyłeś! – poinformował go Mickey jeszcze spokojnym tonem.

– Stawiasz się staremu człowiekowi?

– Informuję tylko, że nic więcej już jej nie powiesz – dokończył Mickey i zasłonił mnie swoim ciałem, mówiąc cicho: – Idź do swojego auta, kochanie.

– Ani, kurwa, drgnij! – rozkazał wuj, znowu wygrażając mi palcem.

A Mickey stanął pomiędzy nami.

– Proszę pana, niech się pan odsunie od pani Malone i pana Donovana! – zażądał policjant.

Wuj wychylił się zza przysłaniającego mnie ciała Micka.

– Jeszcze nie skończyliśmy, suko! Dostanę, co moje, nieważne, co będę musiał zrobić, by to zdobyć!

– To są groźby karalne, które wygłasza pan przy świadkach i przy policji – uświadomił go oficer.

– Mam to w dupie! – syknął stary do policjanta.

– To kiepsko świadczy o pańskim rozsądku.

– No to wytaczaj działa! – przerwałam im.

Wysłałam zza osłaniającego mnie ciała Micka i odezwałam się:

– Myślisz, że ciągle się siebie boję?

– Twój stary niczego cię nie nauczył, co?

Och, co za buta! Cały wuj!

– O tak, wiele się nauczyłam, leżąc w szpitalu po tym, gdy mnie pobił.

Mężczyźni skamienieli.

– Ale jestem starsza. Mądrzejsza. I ty też jesteś starszy. Ale najwyraźniej głupszy. I znowu próbujesz uprzykrzyć komuś życie, bo to cię kręci, jak każdego socjopatę. Możesz się starać, ale tym razem ci się nie uda. Może cię to nawet nieźle sfrustrować, więc radzę zaprzestać tych prób.

– Marzę o tym, by zaangażować w to wszystkie siły, jakie mi zostały!

Wzruszyłam ramionami.

– No to zapraszam do potyczki, jeśli chcesz na to stracić resztki pieniędzy i czasu, jakie ci pozostały.

Zmrużył oczy, jakby szacując swoje szanse.

– Ułatwię ci to. Wypisz mi czek i zniknę z miasta.

Och, jak dobrze znałam to sępienie. Przez całe życie patrzyłam, jak o n i mój ojciec doili pieniądze z Buni.

– Czyżby Boston Stone opłacił twoją małą wycieczkę, a teraz, gdy umył ręce, nie masz za co wrócić, dokądkolwiek chcesz wracać? – zapytałam.

Poruszył się niepewnie. Trafiłam w dziesiątkę.

– Nie dostaniesz ode mnie ani centa – powiedziałam mu.

– Wszystko ci odbiorę, dom i pieniądze mojej matki! – odwarknął.

– Jeśli naprawdę ci się wydaje, że możesz wygrać ze mną w sądzie, to ponawiam zaproszenie. To nie ja przekroczyłam siedemdziesiątkę i kocuję w obcym mieście bez jednej życzliwej duszy.

– To się okaże!

– Oczywiście, że się okaże – zgodziłam się. – Miło było znów pana spotkać, panie władzo! – uśmiechnęłam się do szeryfa, ignorując starca.

– Mów mi Coert – rzucił z uśmiechem.

Kolejne dziwne imię, ale przynajmniej lepsze niż Boston.

– Dziękuję, Coert! Dzięki za pomoc, Mickey.

– Nie ma sprawy, mała!

– Zapraszam do nas na kolację, dzwoniemy się – zaoferowałam.

– Dzięki!

Zignorowałam wuja i postanowiłam zapomnieć o tej konfrontacji, kontynuując wypełnianie planu dnia.

– Do widzenia, panowie! – rzuciłam na pożegnanie.

Usłyszałam za sobą jakieś grzeczności i wyszłam, machając im na pożegnanie.

Byłam w połowie drogi do Lawendowej Willi, gdy odezwał się telefon leżący na siedzeniu pasażera. Dzwonił Jake, więc złamałam swoją żelazną zasadę, która mówiła, żeby nie rozmawiać w czasie prowadzenia auta.

– Cześć, kochanie! – przywitałam się.

– Serio?

Znowu to nadużywane słowo. I co niby miało znaczyć tym razem?

– Co serio? – zapytałam.

– Właśnie gadałem z Mickiem.

– Ach.

– Ach? Ten dupek atakuje cię w sklepie, prawie włązi na ciebie, a ty nawet nie zadzwonisz do mnie, żeby się pożalić? I teraz mówisz „ach”?

– Jake, kochanie – zaczęłam najśłodszy tonem. – To zasuszony dziadek. Boston Stone przestał go wspierać. Jestem prawie pewna, że wuj nie ma grosza przy duszy. Choć to była nieprzyjemna konfrontacja, to on już nie stanowi żadnego zagrożenia. No i pojawili się Mickey i szeryf Coert.

– Ale ja się nie pojawiłem, a ty jesteś moją kobietą! Powiniennem od razu dowiadywać się o takich akcjach!

– Nie możesz pędzić mi na ratunek za każdym razem, gdy choćby najdzie cię przecucie, że coś mi grozi. Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. No i stary wygadał mi mnóstwo informacji, które go pogrążają, a dla mnie są świetnymi informacjami. Boston Stone umył ręce, Arnie wziął moją sprawę na tapet, a wuj ma problem ze znalezieniem prawnika, który podjąłby się reprezentowania go.

– Kochanie – odezwał się Jake – cokolwiek się wydarzy, nawet coś, co uważasz za błaahostkę, chcę natychmiast o tym wiedzieć, jasne?

– Nie mogę rozmawiać i prowadzić jednocześnie – westchnęłam. – Miałam zamiar opowiedzieć ci o tym przy kolacji.

– Czyli za jakieś pięć godzin!

No tak, kawał czasu.

– Pamiętasz, co ci mówiłem o krzywych spojrzeniach w sklepie?

Pamiętałam.

– Tak – potwierdziłam cicho.

– No więc co masz zrobić następnym razem w takiej sytuacji?

– Zadzwoń do ciebie.

– Dobra odpowiedź, Śliczna.

Odczekałam chwilkę po tej dość zabawnej próbie tresury, po czym zmieniłam temat:

– Udało mi się wypożyczyć wszystkie gry i filmy dla Ethana.

– Cudne wieści! – odpowiedział Jake i trudno było wywnioskować z jego tonu, czy się cieszy, czy może raczej rozpacza z tego powodu.

– Nie sądziłam, że wszystkie będą dostępne, ale mam je.

– Trzeba chłodzić szampana!

Uśmiechnęłam się do tej riposty.

Skoro humor mu się poprawił, przyszła pora na informację, która z pewnością miała ucieszyć go jeszcze mniej niż wizja oglądania głupawych filmów z nieletnimi.

– Amber ma randkę po szkole. Wróci późno.

– No super... – mruknął tym razem już otwarcie zboliałym tonem.

– A Conner odegrał dziś scenkę z romantycznej komedii, czy może tragedii, gdy Sofie uciekając przed nim na stołowiec, wywaliła się jak długa. Pozbierał ją z podłogi.

– Ten Taylor jest szybszy od Twittera... – zauważył Jake.

– Tak, dzięki niemu jestem na bieżąco!

– No i co było dalej? Przymierza się do zaliczenia pierwszej bazy?

– Niestety, Sofie uderzyła w płacz i jednak mu zwiąła.

– Dobrze, że zgrywa niedostępną – mruknął Jake jakby do siebie. – Łatwych dziewczyn się nie ceni. Trzeba się napracować, nastarać, wtedy się wie, że człowiek ma cenić to, na co tyle się napracował.

To chyba była jakaś deklaracja. Zrobiło mi się ciepło.

– Dobra, widzimy się później – uciął rozmowę Jake.

– Dobrze, kochany, pa!

– Pa, Śliczna!

Rozłączyłam się i odrzuciłam telefon na siedzenie pasażera, skręcając na podjazd przed domem.



Materac się poruszył i po chwili po Jake'u, wychodzącym z łóżka, została tylko ziejąca chłodem pustka.

– Jake...? – mruknęłam zaspana.

– Nie włączaj światła. Bierz telefon i jeśli tylko usłyszysz coś podejrzanego, dzwoń na policję.

Serce podskoczyło mi do gardła.

– Co się dzieje?

– Włączyło się światło na tyłach domu – rzucił krótko i wyszedł z sypialni, nie zapalając

po drodze światła.

Zerwałam się, gdy już minął szok, zarzuciłam szlafrok i drżącymi rękami zawiązałam pasek, nie wypuszczając z dłoni telefonu.

Na wyświetlaczu budzika migiała czwarta dwanaście. Wyjrzałam przez okno i faktycznie, światło na tylnym ganku się paliło. Jak, u licha, Jake to wyczuł? Przecież miał taki mocny sen!

Na dole rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a ja aż podskoczyłam.

Wybrałam numer, a gdy zgłosiła się centrala policyjna, wyrzuciłam drżącym głosem:

– Mówi Josephine Malone z Lawendowej Willi w Magdalene. Aleja Lawendowa dziesięć.

Wstałam z łóżka i przystanąłam w progu sypialni. Uniosłam dłoń, żeby zatrzymać Connera, którego głowa ukazała się w uchylonych drzwiach jego pokoju.

– Ktoś włamuje się do domu, mój partner zszedł na dół – powiedziałam do telefonu, a po chwili syknęłam: – Conner, nie! – gdy chłopak przemieścił się w stronę schodów.

Minął mnie, wyjmując z mojej dłoni jakiś żelazny świecznik, który bezwiednie zgarnęłam ze stolika, wychodząc z pokoju.

– Jego siedemnastoletni syn również zszedł na dół – poinformowałam operatorkę.

– Wysłałam radiowóz. Proszę w miarę możliwości zamknąć się w bezpiecznym miejscu.

Stałam na szczycie schodów, niepewna, czy nie powinnam zejść i jakoś pomóc.

– W domu są jeszcze trzej ośmiolatkowie i nastolatka – szepnęłam do telefonu.

– Proszę zebrać ich razem i zamknąć się gdzieś. Radiowóz już jedzie.

– A co z Jakiem i Connerem? – zapytałam bezradnie.

– Proszę pani, bezpieczeństwo dzieci! – rzuciła operatorka.

No tak, dzieci są najważniejsze! Podbiegłam pod drzwi sypialni Amber, wpadłam do środka i pochyliłam się nad nią.

– Amber, obudź się! – Potrząsnęłam ją za ramię.

– Co...? – mruknęła zaspana.

– Wstawaj, kochanie, szybko! Musimy przejść do pokoju Ethana.

Nie zareagowała, więc potrząsnęłam nią mocniej.

– Amber, wstawaj!

Odrzuciła kołdrę i postawiła stopy na podłodze, a potem nagle obie wrzasnęłyśmy, gdy zapaliło się światło w korytarzu.

Pólnagi Conner, tylko w spodniach od dresu, stał w progu. Wyglądał jak młodsza wersja swojego ojca.

– Josie, tata obezwładnił twojego wuja w kuchni. Masz zadzwonić po policję i poprosić o Coerta, by go stąd wywiózł.

– Co się tam dzieje? – dosłyszałam z telefonu.

Zagotowałam się. Wręczyłam telefon chłopakowi.

– Mam policję na linii, powiedz im to wszystko – rzuciłam, po czym zbiegłam na dół do jasno oświetlonej kuchni.

Jake odziany tylko w spodnie od piżamy stał nad siedzącym przy kuchennym stole wujem.

– Siedź tu i ani drgnij, dziadu! – warczał na niego Jake. – Daj mi tylko powód, żebym cię złamał na pół, a z chęcią to zrobię!

– Jake! – zawołałam ostrzegawczo, wchodząc do pomieszczenia.

– Zadzwoniłaś po gliny? – Strzelił w moją stronę wściekłym wzrokiem.

– Od razu. Conner rozmawia z centralą.

Wuj nie patrzył na mnie, tylko na Jake'a.

Conner pojawił się za mną.

– Tak jak mówiłem, facet, który się włamał, ma chyba z siedemset lat i nie stanowi zagrożenia. Mamy go przy stole w kuchni. Dobrze. – Rozłączył się i spojrzał na ojca. – Policja już jedzie.

– W mordę... – mruknął wuj.

I wówczas nagle mnie olśniło, jak wiele znaczeń może mieć jedno proste słowo. Uniosłam brwi i zapytałam:

– Serio?

– Josie – zaczął Jake, ale zignorowałam go.

– Powaliło cię? – spytałam wuja.

– Dziewczy...

– Coś ty sobie wyobrażał? – przerwałam również jemu.

Nie odpowiedział, zamiast tego rzucił:

– Cholerne czujniki ruchu, po co to wynaleziono...

– Coś ty chciał zrobić? – powtórzyłam pytanie, a gdy nie odpowiedział, dodałam: – Ty naprawdę jesteś idiotą!

– Trochę szacunku dla wuja!

– Miałabym do ciebie szacunek, gdybyś sobie na niego zasłużył! – Przeniosłam wzrok na Jake'a. – Wszystko okej? – zapytałam.

– Ja tak, ale oranżeria ucierpiała. Tamtędy chciał wejść.

– Zapłacisz mi za to! – syknęłam.

– A czym niby? Krwią? Włamałam się, żeby zwinąć coś, co mógłbym zastawić w lombardzie! Nie mam nawet na benzynę do domu!

– Trzeba było może jednak oddać tę krew, bo ode mnie nie dostaniesz ani centa! I nie wyniesiesz najmniejszego bibelotu z tego domu! – powiedziałam i dodałam szybko: – Dziś za nocleg nie będziesz musiał płacić, bo wnoszę zarzuty i spędzisz noc w areszcie! A teraz zrobisz sobie kawę! Jake? Kawy? – zapytałam, podchodząc do ekspresu.

– Chętnie, mała – rzekł i jego głos zadrżał, ale bynajmniej nie ze strachu.

Śmiał się.

– Coś cię bawi? – zapytałam, włączając ekspres.

– Nic – skłamał, szczerząc się.

– Dobra odpowiedź, choć i tak wiem, że kłamiesz!

– Wolę się zabezpieczyć, bo jesteś taka urocza, gdy się wkurzasz!

– Wkurzenie nie może być urocze! – wkurzyłam się już na dobre.

– W twoim wydaniu jest, Śliczna!

Spojrzałam na Connera, opanowując się.

– Obudziłam twoją siostrę i chyba napędziłam jej stracha. Powiedz jej, proszę, że wszystko już okej i może wracać do łóżka.

– Jasne, Josie! – rzucił Conner równie rozbawiony i poszedł na górę.

– I ubierz się, bo się przeziębisz! – krzyknęłam za nim.

Jake ryknął śmiechem.

– Co jest znowu takie zabawne? – zapytałam, przenosząc na niego wzrok.

– Ależ mam ochotę cię pocałować, ale nie zrobię tego, gdy ten zasraniec na nas patrzy!

Nadrobimy to później – obiecał Jake.

– No ja myślę – odpowiedziałam.

– Zaraz się porzygam... – zadeklarował wuj.

– Nie odzywaj się lepiej! – wypaliłam.

Jake znowu się zaśmiał.

Przewróciłam oczami i sięgnęłam po kubki, bo coś mi się wydawało, że zapowiadał się dłuugi poranek...



Radiowóz z wujem Davisem wpakowanym na tylne siedzenie właśnie odjeżdżał, a ja, Jake i szeryf Coert zostaliśmy w przedpokoju.

– Dziękuję, panie władzo. – Wyciągnęłam do niego rękę.

– Mów mi po prostu Coert – odpowiedział, ściskając moją dłoń.

– Dobrze, po prostu Coercie – uśmiechnęłam się szeroko.

Odpowiedział tym samym i zwrócił się do Jake'a:

– Przywieź Josie na posterunek za kilka godzin. Starego załadujemy do celi, niech się przyzwyczaja, a wy wpadnijcie o jakiejś normalnej porze.

– Jasne – odpowiedział Jake.

– Przykro mi, że cię to spotkało, Josie. – Coert spojrzał na mnie.

– A mnie nie. Szczerze wątpię, że po próbie włamania ktokolwiek zgodzi się go reprezentować. Żaden sędzia nie potraktuje poważnie kogoś, kto ma w aktach taki występ. Sam wbił sobie ostatni gwóźdź do trumny i bardzo jestem z tego powodu kontenta!

– Dobrze, że są i pozytywne aspekty tej sprawy – zauważył Coert.

– Owszem, są – potwierdziłam.

– Pogadałbym sobie jeszcze, stary, ale muszę położyć moją panią i syna do łóżek. – Jake objął mnie.

– No tak – mruknął Coert.

– Nara, szeryfie – rzucił Conner.

Coert nie odrywał wzroku ode mnie.

– Mam nadzieję, że następnym razem zobaczymy się w przyjemniejszych okolicznościach.

– Nie mogę się doczekać!

Jake klepnął go w ramię i odprowadził do drzwi, a gdy wrócił, odezwał się do syna:

– Idźcie na górę, zaraz dołączę.

– Wszystko dobrze? – zapytałam.

– Muszę zabezpieczyć wybite okno.

No tak.

Tylko naprawdę wspaniały facet pomyślałby o tym, żeby zabezpieczać szybę wybitą w oranżerii w środku nocy.

– Pomogę ci, tato.

A Conner był takim wspaniałym synem!

– Poradzę sobie, Con, uderzaj w kimę. Za chwilę idziesz do pracy, musisz być wypoczęty.

– Pomogę, tato – powtórzył Conner i ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie, pewnie po to, żeby założyć buty.

– Twój syn jest świetny – powiedziałam Jake'owi.

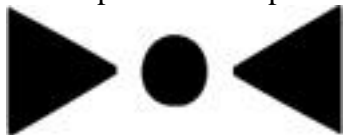
– Tak, mała – zgodził się, a jego spojrzenie, ciepłe i łagodne, powędrowało na schody, po których schodziła półprzytomna Amber.

– Ethan rzyga, tato – oznajmiła.

- Zajmę się nim, a ty ogarnij okno – powiedziałam.
- Dobra, mała – rzucił i cmoknął mnie przelotnie w usta.

Podążyłam za Amber schodami, ale tak się chwiała, że przytrzymałam ją i zaprowadziłam do łóżka, na które padła jak długa.

Okryłam ją szczelnie kołdrą i pognałam do łazienki, gdzie Ethan rzeczywiście wymiotował, co było aż nadto wyraźnie słychać. Po chwili do łazienki wpadł Bryant i zaczęli puszczać pawie naprzemiennie. To była nauczka dla mnie, żeby nie kupować tyle niezdrowych przekąsek i nie pozwalać im pochłaniać wszystkiego jak leci podczas oglądania filmów.



Poczułam, że łóżko się ugina, ale tym razem Jake wchodził do niego, a nie wychodził.

- Okno zabezpieczone?
- Tak, mała. A jak Ethan?
- Już dobrze.

Mruknął coś, przyciągając mnie do siebie.

- Jake?
- Tak?

– Skąd wiedziałeś, że światło się zapaliło? Przecież spaliśmy jak zabici.

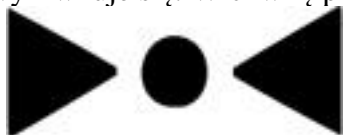
– Mam szósty zmysł – odpowiedział. – Prawdziwy facet, gdy kładzie się na spoczynek pod jednym dachem z rodziną, musi być wyczulony na to, co dzieje się wokół, szczególnie gdy podejrzewa, że może dziać się coś niebezpiecznego.

Otworzyłam oczy, ale widok przysłaniała mi imponująca równina jego piersi, połyskująca w mdłym blasku świtu.

– Śpij, kochanie – mruknął.

– Juuuz... – skłamałam, bo wcale nie zamierzałam spać. Czułam przy sobie jego silne ciało i bezpieczny kokon kołdry.

Ciepło, które mnie zalało, nie było jednakże spowodowane przez pielesze. Byłam bezpieczna, z rodziną. Cieszyłam się tym poczuciem bezpieczeństwa, słuchając, jak oddech Jake'a wyrównuje się. W chwilę po nim zasnęłam.



– Cześć, Josie!

– Cześć, Deon! – Uśmiechnęłam się do bramkarza, który otworzył dla mnie drzwi Cyrku.

Szłam przez główną salę, machając Paulette, której włosy wyglądały precudnie po keratynie, i Shoshanie, która wprawdzie nie zarabiała więcej, ale jej chłopak był zachwycony zmianą koloru włosów z rudego na ciemnokasztanowy. Skinęłam również Adamowi za barem.

Gdy wpisywałam kod do biura Jake'a, pomyślałam, że wnoszenie skargi to bardzo żmudny proces, ale na szczęście chłopcy, którzy zostali z nami aż do popołudnia, uważali wycieczkę na komisariat i oskarżanie „starego harpuna”, jak nazwał wuja Ethan, za świetną zabawę. Na szczęście Junior i Alyssa również uważali, że zapewniliśmy ich synowi świetną rozrywkę. Niestety, z rodzicami drugiego kolegi musiał pomówić Jake, bo nieco zaniepokoił się

faktem, że Joshua przesiadywał na policji. Do tego w godzinę po wyjściu chłopców pojawiła się Taylor i aż piszczała z ekscytacji, a to oznaczało, że jeszcze przez jakiś czas nie spędzimy z Jakiem słodkiego sam na sam. Jej egzaltacja wynikała z tego, że Kieran Wentworth spędzał kolejny weekend w domu. Spotkali się na jakiejś gali sztuk walki, w której zeszłego wieczoru brał udział młodszy brat Taylor. Co ciekawe, Kieran nie miał młodszego brata, który mógłby pokazać się na gali, ale i tak się tam pokazał. Sam ćwiczył sztuki walki, więc jakiś tam pretekst do pójścia miał. Przesiedział całe wydarzenie z Taylor. I teraz ona szalała z radości.

Ubywało wieczoru, a tymczasem wrócił Conner, który chyba działał podobnie, gdyż wybrał się na występ chóru. Na koncert, podczas którego Sofie śpiewała solo. Wszystko wyglądało obiecująco, gdy po występie skomplementował jej solówkę. Podziękowała i wydawało się, że Conner zdobywa kolejne punkty, ale gdy poprosił ją o numer, stwierdziła, że zasługuje na kogoś lepszego, kogoś takiego jak Ellie, i uciekła.

Conner przez resztę wieczoru wydzwaniał po ludziach, usiłując zdobyć jej numer. W końcu mu się udało i zniknął w swoim pokoju. Nie wyłonił się z niego więcej, więc miałam nadzieję, że udało mu się skłonić Sofie do rozmowy, przynajmniej przez telefon.

Choć sprawa wyglądała na pracochłonną, przeczuwałam, że Sofie jest tego warta. Miałam nadzieję, że Conner przebije się przez mur, który zbudowała wokół siebie, bez względu na to, co nakłoniło ją do jego wybudowania.

Jake musiał wyjść do klubu, więc nie zanosilo się na nasze tango-przytulango.

Upewniłam się, że Ethan śpi, poprosiłam Amber, żeby miała na niego oko, i udałam się do klubu.

Wyszykowałam się.

Mała czarna, bardzo wysokie szpilki, wieczorowy makijaż i rozpuszczone włosy.

Okryłam się szczelnie płaszczem i gdy wkraczałam do biura Jake'a, nikt nie widział, jak się wystafirowałam.

Weszłam po schodkach, a on uniósł głowę znad biurka.

– Co za niespodzianka, skarbie, nie wiedziałem, że dziś się tu pojawisz! – Uśmiechnął się.

– Ale jestem – zaczęłam, a gdy zadzwoniła moja komórka i zobaczyłam, że to Alyssa, odrzuciłam torebkę na krzesło i z przepaszającym uśmiechem odebrałam.

– Cześć, kochana – przywitałam się, rozwiązując pasek płaszcza.

– OESU! – krzyknęła Alyssa. – Nie uwierzysz, co się stało.

Coś mi się zdawało, że wiem, o co chodzi, w końcu Conner chwilę wcześniej zdobył numer jej córki.

– W co nie uwierzę? – zapytałam mimo to.

– Nie za późno dzwonię?

– Ależ skąd – zaszcebiotałam, pozwalając płaszczowi zsunąć się z ramion i przyglądając się, jak twarz Jake'a zmienia się na widok mojej kusej sukienki.

– Słuchaj tego! – zaczęła Alyssa. – Właśnie dzwoniła do mnie kumpela i powiedziała mi, że Pearl Milshorn wycofała kasę na budowę galerii handlowej przy moło!

– Taaa...? – zapytałam nieprzytomnie, bo nie bardzo wiedziałam, dlaczego Alyssa uznała, iż ta informacja zainteresuje mnie akurat o północy.

– Pearl nie zainwestuje kasy w tę budowę, Josie! No wiesz, mieli tam budować te wszystkie butiki, sklepiki, towar z najwyższych półek. Pearl była największą inwestorką. Chciała potem podarować udziały dzieciom, chociaż podatki zżarłyby mnóstwo z jej kasy, ale...

Nie słuchałam. Podwinęłam spódniczkę, wsunęłam kciuk za koronkę majtek i zaczęłam je powoli zsuwać, wciąż obserwując minę Jake'a. Jego głodny wzrok odbił się dreszczem między moimi obnażonymi udami.

– To interesujące – rzuciłam do telefonu.

– Josie! – Alyssa zaczynała tracić cierpliwość. – Czy ty słyszysz, co ja mówię? Pearl śpi na pieniądzach, była pierwszą co do ważności inwestorką, zaraz po niej Boston Stone! Jeśli wycofa swoją kasę, to cała inwestycja weźmie w łeb. Nie rozpoczną budowy!

Na dźwięk tego nazwiska otrzeźwiałam.

– Co mówiłaś?

– Doszło do niej, że Stone uprzykrza ci życie, i postanowiła dla odmiany uprzykrzyć życie jemu. Wycofuje kasę. I powiedziała pozostałym inwestorom, że wyłoży ją ponownie tylko wówczas, jeśli Stone zostanie odsunięty. To jest wielka sprawa, Josie! Mówimy tu o miejscach pracy, materiałach budowlanych, gigantycznych kosztach. Wszyscy naciskają na Stone'a, żeby się wycofał. Mało tego, odpowiedziała, jaki z niego sukinkot, więc nikt nie chce wchodzić z nim w spółki. To jest milionowy projekt, który przyniesie o wiele więcej kasy niż ta, którą należy wyłożyć na początku. To było oczko w głowie Stone'a, a teraz guzik z tego będzie miał! Wysiudają go, bo nie pozwolą zarznąć kury mającej znosić złote jajka!

– O rety... – szepnęłam i w tej samej chwili Jake wyrósł tuż przy mnie, wsunął dłonie pod moją sukienkę i zaczął napierać na mnie ciałem tak, że musiałam się cofać.

Jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, bym odczuła spazm przebiegający od palców po czubek głowy.

– Czy to nie ekstra?? – zapytała Alyssa.

– Tak, to w istocie ekstra, ale muszę już kończyć. Zadzwoń jutro.

– Wszystko tam gra u ciebie?

Jake podprowadził mnie do sofy.

– Gra, i to jak. Dzięki, że mi to wszystko powiedziałaś. To świetna wiadomość.

– Też tak myślę. Jutro pogadamy!

– Dobranoc, kochana!

– Pa, laleczo!

Jake wyrwał mi telefon i rzucił go za siebie, chyba celując w fotel, ale odgłos, który wydał upadający aparat, oznaczał, że nie trafił.

Usiłowałam go odepchnąć, chwytając za ramiona.

– Mam wieści o Bostonie Stonie.

– W dupie mam teraz Bostona Stone'a – odpowiedział.

– No tak...

– Masz jeszcze jakieś zagrywki w zanadrzu, mała, czy moja kolej?

Miałam, ale choć Alyssa przekazała mi dobre wieści, to jej telefon wyrwał mnie z nastroju.

– Twoja kolej – powiedziałam więc.

– Czy ty wiesz, co się dzieje z facetem, który ma świetną laskę, wyglądającą nawet w swetrze jak milion dolarów, gdy ta laska wchodzi do jego biura opięta jakimś strzępkiem materiału, udającym sukienkę, i zdejmuje przed nim majtki?

No, miałam nadzieję, że właśnie tak zadziała. Jego spojrzenie i ton mówiły mi, że zadziałało nadspodziewanie skutecznie.

– Wybieraj, albo mnie teraz połkniesz, albo ja nurkuję pod tą sukienką. I to będzie dopiero początek zabawy.

Trudny wybór, bo już wiedziałam, jakie cuda potrafi wyczyniać ustami. Ale lubiłam również pieścić jego, podniecał mnie jego smak, wielkość, rozkoszne jęki, które moje oralne umiejętności wyrywały z jego gardła.

– Skoro ty nie możesz się zdecydować, to ja wybieram! – wydyszał. – Chcę cię widzieć

na mojej kanapie, w tej sukience, z rozłożonymi udami.

– No... dobrze...

Pochylił się i już, już miał mnie pocałować, ale zamiast tego szepnął takim głosem, że poczułam go wszędzie:

– Kładź się, mała, i szeroko!

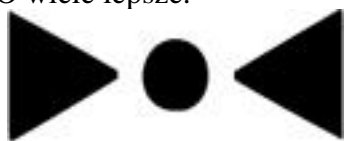
Ochoczo wykonałam polecenie, prawie zrobiłam szpagat!

Zarzucił sobie moje nogi na ramiona, uniósł moje biodra i zanurkował twarzą między moimi udami. Napięłam wszystkie mięśnie, odrzucając głowę do tyłu.

Po chwili szczytowałam. A potem jeszcze trzy razy, gdy się rozkręcił.

To było o wiele lepsze niż obłapywanki po kryjomu.

O wiele lepsze.



Następne popołudnie spędziliśmy u Jake'a i tym razem to ja byłam gościem, który przybył z podrózną torbą z zamiarem dłuższego pobytu.

Wuj Davis siedział i nieprędko miał wyjść, gdyż nie posiadał pieniędzy na kaucję. Oskarżenie o wtargnięcie na teren prywatny i włamanie w tym przypadku stało się dość poważne, gdyż okazało się, iż wuj był kilkakrotnie notowany za różne przewinienia.

Zmierzałam właśnie z kuchni do salonu z paczką nachosów i miską ulubionego przez wszystkich dipu, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi.

– Otworzę! – krzyknęłam.

Ochota na otwarcie mi przeszła, gdy przez szybki dojrzałam postać za drzwiami. Boston Stone również mnie dojrzał, a jego nieruchoma twarz jeszcze bardziej stężała.

Dzwonek zadzwieczał ponownie.

– Mała, otworzysz? – usłyszałam głos Jake'a.

– Kochanie, chyba musisz tu jednak podejść! – odpowiedziałam, patrząc na intruza przez szybkę.

Poczułam, że Jake staje za mną, i usłyszałam, jak warknął:

– Nie, kurwa, to się nie dzieje!

Wyminął mnie i otworzył drzwi, wyrzucając z siebie:

– Jeśli za pięć sekund będziesz tu jeszcze stał, pogadasz sobie z Coertem i skończy się to zakazem zbliżania.

– Muszę porozmawiać z Josephine – dosłyszałam, bo potężne ciało Jake'a przysłoniło mi widok Stone'a.

– Akurat, kurwa! Pięć!

– Chciałem przeprosić – oznajmił Stone.

Co do...?

– Napisz list z przeprosinami – uciął Jake.

– Przeproszę i będzie po sprawie – upierał się Boston.

– Cztery! – odliczał Jake i postanowiłam wkroczyć.

Odstawiłam miskę na stolik przy drzwiach i dotknęłam jego pleców. Nawet nie drgnął.

– Jake! – powiedziałam łagodnie.

– Trzy!

– Jake! – Czułam twardość jego napiętych mięśni pod palcami. – Jeśli możemy to raz na

zawsze załatwić, to zrobimy to.

– Posłuchaj jej, Spear!

Jake przestał odliczać, ale wciąż się nie poruszył. Dopiero po chwili się odsunął, robiąc mi przejście.

Boston patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem.

– No właśnie, Josephine – wypluł z siebie. – Możesz wydać komendę „waruj!”.

Poczułam, jak brwi zbiegają mi się na czole. Czy on mówił o Jake’u? Bo przecież nie o Pearl. Naprawdę?

– Nie wiem, co masz na myśli, ale jeśli ta uwaga dotyczy Jake’a czy pani Milshorn, to jest wysoce obraźliwa!

Boston wyprostował się i kontynuował wściekłym tonem:

– Wiesz doskonale, o czym mówię, Josephine! Przekaż kundlowi, że przeprosiłem!

Ja również się wyprostowałam i odparłam:

– Nie mam żadnej władzy nad działaniami Pearl. A Jake stoi obok, więc jeśli to jego usiłujesz spacyfikować, to sugeruję, abyś robił to w mniej obraźliwy sposób.

– Nie mówię o nim ani o Pearl – warknął. – Chodzi mi o innego kundla, tego czarnego.

Nie bardzo rozumiałam, ale Jake mruknął wyjaśnienie:

– Amond, mała.

Uniosłam wzrok i dostrzegłam, że Jake tłumaczy uśmiechem, choć sposób, w jaki wyrażał się Stone, był wysoce niestosowny i spodziewałam się zgoła innej reakcji.

– Amo...? – zaczęłam, ale nagle wszystko stało się jasne.

Spojrzałam ponownie na Stone’a.

– Mówisz o moim przyjacielu, Dee-Amondzie?

– Mówię o tym, iż oznajmiono mi, że jeśli przeproszę cię bezpośrednio i obiecuję, że przestanę ingerować w twoje życie na jakiegokolwiek płaszczyźnie, to znikną wszystkie trudności, które jakby znikąd pojawiły się ostatnio na mojej drodze. Więc przepraszam cię bezpośrednio. Nie będę więcej ingerował w twoje życie na żadnej płaszczyźnie. I teraz nalegam, abyś sięgnęła po telefon i poinformowała o tym fakcie zainteresowaną osobę.

Po tej tyradzie to ja poczułam, jak na moje usta wypełza uśmiešek.

– Jest jeszcze jedna drobna sprawa, którą musimy załatwić.

– A mianowicie? – Drgnął mu mięsień policzka.

– Mój wuj nie ma jak wrócić do domu, a chciałabym, aby tam właśnie wrócił i już pozostał. Wycofam zarzuty, jeśli zapewnisz mu środki na podróż oraz kolejne, które przekonają go do tego, że ma zostać tam, dokąd zamierza się udać.

Boston rzucił mi krzywe spojrzenie.

– To będzie wymagało sporych nakładów, bo jest bardzo chciwy i wie, gdzie mnie znaleźć. Oszacował rozmiar mojego majątku i pewnie będzie próbował uszczknąć z niego co nieco, póki starczy mu tchu.

– Może wyzionąć ducha w każdej chwili, młodzikiem już nie jest – zauważył słusznie Stone.

– Tym bardziej chcę go mieć z głowy. To ty go tu sprowadziłeś, więc teraz się nim zajmij. Zrób to albo nie będę wydawać żadnych komend.

Westchnął ciężko, ścięgnęła na szyi mu się napięły, zanim oznajmił:

– Zajmę się twoim wujem.

– W takim razie zadzwonię do przyjaciela, gdy tylko znajdę wolną chwilę – zapewniłam.

– Możliwie jak najszybciej, jeśli dasz radę – rzucił Boston.

– Oczywiście. A teraz, jeśli pozwolisz, wracam do środka oglądać mecz, a gra jedna

z moich ulubionych drużyn, świetnie wyglądają w swoich strojach, więc najpierw pokibicuję.

Jake stłumił śmiech za moimi plecami, a szczęki Bostona się zacisnęły.

– Będę wdzięczny – wycedził przez zęby.

– Udanej niedzieli, Boston – pożegnałam się.

Nic nie odpowiedział, rzucił mi tylko nienawistne spojrzenie, odwrócił się na pięcie i pognął do stojącego na podjeździe mercedesa.

Jake objął mnie od tyłu w talii, wciągnął do środka i zamknął drzwi na zamek. Odwróciłam się w jego ramionach i zaśmiałam. Przytuliłam się do jego piersi. Ten upust pozytywnych emocji w jego ramionach był tak przyjemny, że obiecałam sobie robić to częściej. Raz dziennie, co najmniej!

– Chyba powinnam zadzwonić do Amonda – wydyszałam, gdy nieco się uspokoiłam.

– Trwa pierwsza kwarta meczu. Masz jeszcze trzy, żeby podziwiać obcisłe koszulki zawodników – odpowiedział Jake.

– Hej! – wrzasnął Ethan z salonu. – Umrę tu z głodu! Gdzie są te nachosy??

Znowu wstrząsnął mną śmiech i znowu wtuliłam się w Jake'a. Robić to częściej, zapamiętać. Przynajmniej dwa razy dziennie, nie raz.

– Podgrzeję dip – zaoferowałam.

– Zaniosę chipsy.

– Okej – zgodziłam się na taki podział ról, ale Jake wciąż nie wypuszczał mnie z objęć.

– Wszystko dobrze? – zapytał.

– Tak, przecież jesteś przy mnie.

Jego twarz zmieniła się, gdy to powiedziałam. Chciałam oglądać taki jej wyraz jak najczęściej.

Nie raz dziennie.

Przynajmniej dwa razy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dobra odpowiedź

– Ta jest, maleńki!! – darła się Alyssa. – Zmasakruj go! Wiesz, że mamusia to lubi!!

Nie zdołałam powstrzymać szerokiego uśmiechu. Spojrzałam na ring.

Siedzieliśmy w hali sportowej w Blakeley na rozgrywkach ligi seniorów. Tym razem przeciwnik Juniora był wyraźnie słabszy.

Bryant i Ethan siedzieli z nami, z paczkami halloweenowych słodyczy na kolanach. Trzymałam rękę na pulsie, monitorując konsumpcję, bo nie chciałam przytrzymywać głowy Ethana nad klozetem w czasie walki Jake'a. Trauma była zbyt świeża, nie zamierzałam pozwolić, by to się powtórzyło.

Nie było to łatwe zadanie, bo dwa dni wcześniej Ethan, Joshua i Bryant urządzili zwieńczony niemałym sukcesem rajd po okolicznych domach, przebrani za postacie z *Raptora Zabójcy*. Towarzyszyliśmy im, Jake przyświecał nam latarką. Obeszliśmy cztery dzielnice, i to spore.

Byłam wykończona, gdy wróciliśmy do domu. Zdążyłam tylko ostrzec Ethana przed pożeraniem zbyt dużej części łupów, sama połknęłam garść pestek dyni, które bardzo mi posmakowały, i padłam na łóżko.

Mieliśmy całe michy prażonych pestek, bo kilka dni przed świętem wydłubaliśmy je z pięciu wielkich dyń, a wycięte w krzywe mordy latarenki ustawiliśmy przed frontowymi drzwiami. Nawet Amber i Conner świetnie się przy tym bawili. Halloween było celebrowane w ich rodzinie od lat, a mnie również udzielił się wesoły nastrój.

– Nawet jak już będę miała męża i dzieci, będziemy przyjeżdżać całą rodziną do taty, żeby dłużyć w dyniach! – zadeklarowała Amber.

Jake cały się spiał, słysząc o mężu i dzieciach, a ja zachichotałam. Ta deklaracja była jednak przesłodka i doskonale rozumiałam Amber, gdyż zabawa była przednia!

Jake był w tym mistrzem. Pomógł nawet Ethanowi wyciąć jego dynię w paszczę dinozaura i gdyby przyznawano jakieś nagrody, ta jednogłośnie by wygrała.

W Halloween Conner, Amber i Alexi zostali w domu, żeby wręczać cukierki okolicznym dzieciakom. Starszemu synowi nie bardzo uśmiechało się bycie przyzwoitką. Po powrocie poprosiłam Connera, aby miał oko na Ethana, i położyłam się spać bez Jake'a pierwszy raz od czasu, gdy zaczęliśmy dzielić łóżko.

Przebudziłam się, gdy dołączył do mnie, i usłyszałam, zanim ponownie zapadłam w sen:

– Za rok zostajesz w domu, żebyś mi znowu nie padła po przejściu dwudziestu mil z dziećmiakami.

Za rok. Cóż za rozkoszna perspektywa!

Zdarzało mi się nad wyraz często siadywać tuż przy wybiegu podczas pokazów najwybitniejszych projektantów. Zjeździłam wzdłuż i wszerz wszystkie kontynenty. Wiedziałam, gdzie kupić najlepsze croissanty w Paryżu i najlepszą pizzę w Neapolu. Opalałam się na plażach Australii. Spałam nawet w igloo na Alasce. Jednak to rzeźbienie dyń i prażenie pestek w kuchni Jake'a okazało się najwspanialszym doświadczeniem mojego życia.

Myślałam o tym wszystkim, wysłuchując odgłosów walki, wrzasków tłumu i pisków podnieconej Alyssy. Wyodrębniłam jednak z tej kakofonii szelest odwijanego papierka. Ethan rozpakowywał malutki batonik. Pochyliłam się i szepnęłam mu do ucha:

– Kochanie, wiem, że uwielbiasz słodycze, ale nie zapomnij, co stało się ostatnim razem, gdy z nimi przesadziłeś. Nie chcesz znowu wisieć nad kibelkiem, co? Niech to będzie ostatni na

dziś.

Spojrzałam w jego piękne, niewinne oczęta ośmiolatka i uśmiechnęłam się. Odpowiedział tym samym, prezentując oklejone karmelem i czekoladą ząbki.

W tym momencie Alyssa zerwała się z miejsca i zaczęła dziko podskakiwać, co było dość karkołomne, bo miała na nogach sandały na obcasach, i wciąż się darła:

– Ta jest, kochanie, dalej, na dechy z nim!

Mnie bardziej niż masakra w ringu zainteresowała jej krótka, czerwona sukienka, po chwili jednak przeniosłam wzrok w górę i dojrzałam Juniora, okładającego przeciwnika wciśniętego plecami w liny. Facet nie miał szans.

Sędzia rozdzielił ich po chwili i ocenił, czy ten może jeszcze walczyć. Przeciwnik Juniora potrząsnął głową, uniósł wzrok na sędziego i skinął głową, a wówczas arbiter odstał i znów się spięli.

– Sędzia kalosz! – mruknęła Alyssa, opadając na krzeselko.

Zadźwięczał gong, a potem odbyła się ostatnia runda, którą Alyssa przeskakała i przewrzeszczała, zanim sędzia uniósł w górę urękawiczoną dłoń Juniora. Uśmiechał się do żony. Posłała mu całusa, machając z rozmachem ręką, żeby przypadkiem gest mu nie umknął. Ani nikomu innemu. Chwyciła torebkę i pochyliła się nade mną konspiracyjnie.

– Dobra, lecę do domu na bzykanko. Ogarnij Bryanta. Gdy Jake skończy, daj znać esemeskiem i podrzuc chłopców do nas, będziesz mogła spokojnie wrócić do Jake’a i zaliczyć swoje bzykanko!

Cała promieniała, a ja poczułam ciepłotę zupełnie gdzie indziej na myśl o tym, co mnie czeka.

– Nie ma sprawy! – zgodziłam się na ten plan.

Przybiłyśmy „żółwika”, co ostatnio lepiej mi wychodziło. Gdy za pierwszym razem Conner wyciągnął w moją stronę pięść, gapiłam się na nią przez pół minuty, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Och, te nocki po walce...! – rozmarzyła się Alyssa.

– Leć! – pogoniłam ją.

Złapała syna za policzki, cmoknęła go głośno w usta, na co powiedział tylko „Fuuuj!”, i poleciała, machając grzywą włosów.

– Nara, pani Harper! – odpowiedział Ethan na jej pożegnanie i tyle ją widzieliśmy.

– Możemy popcorn? – zapytał Bryant, gdy tylko matka zniknęła mu z oczu.

– Zastanów się, czy masz jeszcze miejsce na popcorn i czy twój żołądek nie zechce zniwelować swojej zawartości, gdy coś jeszcze do niego wpadnie – odpowiedziałam.

– Co to znaczy „zniwelować”? – zapytał.

– Wyrugować – spróbowałam.

– Co to znaczy „wyrugować”?

– Usunąć.

Uśmiechnął się.

– Dziwacznie mówisz! Dziwnie, ale fajnie!

– Zaiste. Gdy nieco podrośniesz, przekonasz się, że rzeczy zwykłe są po prostu zwykłe. Każdy może być zwykły. Ale wiem z własnego doświadczenia, że rzeczy dziwaczne są zazwyczaj fajne.

– Uważasz, że powinniśmy być dziwaczni? – zapytał Ethan, zerkając na mnie.

– Uważam, że niczego nie trzeba na siłę próbować. Powinieneś być po prostu sobą i to na pewno będzie cool, pod warunkiem, że za wszelką cenę nie będziesz próbować być normalnym.

– Ja zostanę takim magikiem, co to FBI zatrudniło w roli konsultanta, jak w *Białych*

kolnierzykach. Czy to wystarczająco dziwaczne i wystarczająco cool?

No tak, ostatnimi czasy Ethan oglądał właśnie to na Netflixie. Paplał o tym przez cały czas i nawet obejrzelśmy razem kilka odcinków. Serial był świetny.

Obawiałam się jednak, że zostanie magikiem, który doradza policji, nawet takim, który wygląda świetnie w fedorze, nie jest zbyt przemyślanym planem na życie.

– Jeśli przeskoczysz etap zostania magikiem od razu do pracy nad tym, by zostać agentem FBI, to jest to dość dobry plan.

Pokiwał głową z ubolewaniem, ale nie przestawał się uśmiechać.

– To jaka decyzja co do popcornu? – zapytałam Bryanta.

– Chyba nie chcę, by mój żołądek zniwelował piętnaście kit katów, które już w nim leżą – odpowiedział chłopiec.

– Słusznie.

Rozsiadliśmy się wygodnie, bo na deski wszedł Mickey, i choć chłopcy zachęcali go entuzjastycznie do walki, ja ograniczyłam się do klaskania, gdy już sędzia uniósł w górę jego rękę. Czekałam przecież na kogoś innego. W przerwie między walkami zaczynałam się już wiercić, ale gdy tylko sędzia zapowiedział zawodników, zerwałam się z miejsca jak wszyscy. Nogi mi drżały.

Jake szedł wzdłuż rzędów krzeseł, przystanął przy nas i dotknął rękawicą głów chłopców. Potem spojrzał na mnie, a jego wzrok zapłonął, gdy obrzucił mnie szybkim taksującym spojrzeniem. Oczywiście, że odstawiłam się na tę galę! Włożyłam obcisłą granatową sukienkę z lejącym dekoltem, całkowicie bez pleców. Materiał przetykany był srebrną nitką, więc pięknie połyskiwał, no i pasowały do niego srebrne sandały na szpilce. Włosy rozpuściłam, ale nadałam im objętości lokówką. Jake najwyraźniej docenił moje stylizacyjne wysiłki. A mnie podobała się jego reakcja na nie. Bardzo mi się podobała. Gdy już się napatrzył, co przecież trwało jedynie chwilę, wszedł na ring.

Opadłam na krzeselko, ale mrowiło mnie z ekscytacji całe ciało. I to nie ustawało, bo w chwilę potem zaczęła się walka.

Jake tym razem nie powalił przeciwnika w pierwszej rundzie. Walczył całe trzy. Cierpiałam męki, bo oglądanie walczącego Jake'a działało na mnie jak afrodyzjak. Chciałam, by ta walka skończyła się po minucie, tak bardzo byłam na niego gotowa.

Z drugiej strony obserwowanie jego skupienia, precyzji, brutalnej siły, napiętych mięśni i drapieżnych ruchów, którymi hipnotyzował nie tylko mnie, ale wszystkich obecnych, było niezwykłym spektaklem.

Mimo że jego przewaga była ewidentna, zadrżałam, gdy sędzia w końcu uniósł jego rękę. Zerwałam się z miejsca, klaskałam jak szalona, a z mojej twarzy nie schodził uśmiech. Jake mrugnął do mnie i uśmiechnął się do chłopców w drodze do szatni.

– Dobrze, chłopcy, zbieramy się! Rozejrzyjcie się uważnie, czy nic nie zostało! – pospieszyłam ich.

Narzuciłam płaszcz i chwyciłam torebkę. Prowadziłam ich przed sobą jak zaganiająca kurczęta kwoka. Zmierzałyśmy do szatni.

– Wiesz, dokąd iść, mała! – uśmiechnął się do mnie ochroniarz, ten sam co ostatnio.

Podążyliśmy korytarzykiem, ale tym razem grzecznie zapukałam.

– Ta! – rozległo się ze środka.

Ethan wpadł do pomieszczenia, zaraz za nim Bryant.

Miałam przemożne wrażenie déjà vu: Jake siedział na stole w samych spodenkach, przed nim stał Bert, trener.

– Tato, dałeś czadu! – wrzasnął Ethan, podbiegając do ojca i ściskając go.

Jake zeskoczył ze stołu, uniósł Ethana, ściskając go.
– No to jak było? – zapytał.
– Super! – odpowiedział postawiony na nogi chłopiec.
– Jest pan mistrzem, panie Spear! – potwierdził Bryant.
– Dzięki, Bry! – mruknął Jake i podszedł do mnie.
– Kocham tego dzieciaka, mała – szepnął mi do ucha, tak cicho, by nikt inny nie słyszał
– ale pakuj jego i Bryanta do auta, wyrzucić ich na progu domu Alyssy i spotykamy się u ciebie.
Dosłownie za chwilę!

Pokiwałam tylko, bo bliskość jego obnażonego ciała odebrała mi mowę.

– Szybciutko! – ponaglił mnie, prześlizgując się wzrokiem po mojej kiecce.

– Jasne, kochanie – wydusiłam.

Odsunął się nieco, a wówczas ponownie dostrzegłam Berta.

– Cześć! – przywitałam się.

– Miło znów cię widzieć, Josie!

Uznałam, że wystarczy tych grzeczności, więc klasnęłam i rzuciłam do chłopców:

– Dobrze, panowie, pora na nas. Cayenne czeka!

– Twoja fura jest fajna, ale chcemy jechać z tatą! – Ethan spojrzał na mnie błagalnie.

– Mam tu jeszcze parę spraw, młody, a już późno. Jedźcie z Josie – powiedział Jake.

– Ale...

– Z Josie, powiedziałem!

– Dobra... – Ethan spuścił wzrok.

– Do zobaczenia na siłowni, Bert! – pożegnałam się, zagarniając znowu chłopców. – To pa, kochanie! – rzuciłam do Jake'a.

– Nara – powiedział z takim wyrazem twarzy, że odczytałam to nie jako pożegnanie, a jako obietnicę. Musiałam się pospieszyć z tym odwożeniem, choć ledwie trzymałam się na nogach, tak bardzo drżały mi z ekscytacji.

Wysłałam wiadomość do Alyssy, że ruszamy spod hali.

Alyssa miała bardzo sugestywnie zmierzwiłone włosy, była odziana w szlafrok. Mrugnęła porozumiewawczo, wpuszczając chłopców do domu, a jej wyraz twarzy mówił wszystko.

Samochód Jake'a stał na podjeździe. Wystrzeliłam z cayenne jak z procy, prawie biegnąc w stronę drzwi, które otworzyły się akurat w chwili, gdy do nich podeszłam.

Wpadłam do środka rozpędem, a silne ramię Jake'a uchwyciło mnie w talii, przyciągając do jego mocarnego ciała. Wciągnął mnie do domu, zatrzasnął drzwi, przekręcił zamek, po czym przycisnął mnie do ściany. O rety. Jego usta przywarły do moich, zsunął z moich ramion płaszcz. Upuściłam torebkę.

– Majtki, mała!

Poczułam dreszcz, moja sukienka podjechała w górę. Zsunęłam majtki i poczułam, jak zjeżdżają na moje kostki. Jake uniósł mnie, całując głęboko. Uchwyciłam się jego szyi, oplótłam nogami, z tyłu podpierając mnie tylko ściana, ale nie byłam tego świadoma, smakując jego język. Zdawało mi się, że od momentu, gdy ujrzałam go zmierzającego w stronę ringu, do teraz minęła cała wieczność. Byłam tak wygłodniała, że jęknęłam przeciągle w jego usta. Jedną z jego dłoni oderwała się od moich pośladków, wsunął palce do mego wilgotnego wnętrza.

– Moja kobieta robi się mokra, widząc mnie na ringu... – szepnął mi wprost do ucha.

Wycofał dłoń, zsunął bokserki i po chwili już był wewnątrz.

– O tak...! – jęknęłam.

– Jesteś taka mokra...

– Tak...!

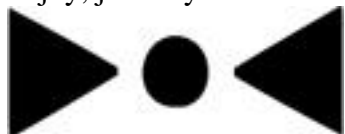
Całowałam jego szyję, żuchwę, ucho, gdy raz po raz przybijał mnie do ściany. Powarkiwiał niskim głosem, jak weszłam już na wysokie rejestry, nie mogąc się powstrzymać. Nasze usta się zwały, naparł na mnie jeszcze gwałtowniej. Przyspieszył. Byłam na granicy spełnienia, oderwałam od niego usta i wyszeptałam jego imię, jakby z przestraczem.

– Tak jest, mała...

Zassał moją dolną wargę i poczułam eksplozję, wszechogarniającą, aż osłabłam w jego ramionach. Nie przestawał poruszać się we mnie, napierał na nie z rozkoszną wściekłością, czułam go wszędzie, czułam go głęboko, aż w końcu jęk niby pomruk wulkanu rozbrzmiał tuż przy mojej szyi. Oddychał ciężko, wciąż dociskając mnie do ściany.

– Uwielbiam gale bokserskie... – szepnęłam mu do ucha.

Spojrzał na mnie usatysfakcjonowany, już zaspokojony, i nigdy jeszcze nie wydał mi się tak przystojny, jak w tym momencie.



– Prześladowali ją w szkole.

Następnego ranka robiłyśmy z Amber zakupy, szykując się na wielkie niedzielne żarcie przed telewizorem. Omawiałyśmy strategię Connera, który wciąż bez większych sukcesów próbował zdobyć zainteresowanie Sofie. Zaczynałam się martwić, bo sprawa się przeciągała.

To, że podobał się Sofie, nie ulegało wątpliwości. Zainteresowanie Connera było aż nazbyt ewidentne. Alyssa bardzo im kibicowała. Junior nie pałał entuzjazmem, ale, tak samo jak Jake, musiał pogodzić się z faktem, że jego córka w końcu zacznie chodzić na randki. Co ciekawe, to właśnie Junior zaczynał się martwić faktem, że w wieku szesnastu lat Sofie nigdy jeszcze na żadnej nie była. Choć Conner miał opinię podrywacza, był przecież synem Jake'a i Junior ten fakt przedkładał ponad jego łowieckie zapędy. Znali się w końcu od lat. Wszystko to sprawiało, że ojciec Sofie raczej jej kibicował, niż się sprzeciwiał. Jediną przeszkodą dla tego związku była więc sama Sofie. Więc obie z Alyssą zaczynałyśmy się niepokoić.

– Co ty mówisz? – Zatrzymałam zakupowy wózek.

– Jeszcze w gimnazjum – powiedziała Amber. – Bardzo jej dokuczali.

Nie mogłam w to uwierzyć. Takiej dziewczynie jak Sofie? Była słodka, śliczna, urocza, miała świetną figurę, wycucie stylu i dobry charakter. Pięknie śpiewała. Nie mogłam się doczekać koncertu świątecznego, podczas którego miała aż dwukrotnie odezwać się solo. To był precedens, bo kierownik chóru zawsze starał się przydzielać solówki tak, by każdy mógł się pokazać. Była jednak najlepsza. Jak można dokuczać komuś takiemu?

– O co chodziło z tym prześladowaniem? – zapytałam.

Amber wzruszyła ramionami.

– Mia i jej przydupaski. Wszyscy wiedzą, że Mia to suka, i zawsze nią była. Sorry, ale inaczej się nie da tego powiedzieć.

Mocne określenie na licealistkę, ale przecież to była prawda. Nie obsztorcowałam Amber za takie wyrażanie się.

– Mia była popularna w szkole, na długo przed tą chryją z Connerem. Chłopcy podbijali do Sofie, a jej się to nie podobało.

– No tak... – Jakoś specjalnie mnie to nie zdziwiło.

– Ale to nie wszystko – kontynuowała Amber. – Pan Harper był wtedy bez pracy, a Mia miała kasę. Ubierała się w markowe szmaty, mieszkała w wypasionej chałupie, a Sofie...

– Amber pokręciła z ubolewaniem głową... – Po Sofie było widać, że u nich się nie przelewa i Mia nabijała się z tego. To było głupie, ale dla nastoletnich dziewczyn przytyki na temat ubrań to koniec świata.

W to nie wątpiłam.

– To dlatego stała się taka nieśmiała?

Amber zastanawiała się przez moment.

– Nigdy nie była przebojowa, ale po tamtych akcjach jej się pogorszyło.

– Czy Conner wie o tym wszystkim? – dopytałam.

– Jest rocznik wyżej, no i jest facetem. Podejrzewam, że nie zwracał uwagi na to, kogo Mia i jej ekipa prześladowali. Gdyby wiedział, na pewno nie umawiałby się z Mią. Connera nie kręca takie agresywne laski.

Całkiem prawdopodobne.

– To już stara historia – podsumowała Amber – ale najwyraźniej nie dla Sofie.

Popchnęłam wózek, zastanawiając się, jak przekazać to wszystko Connerowi, żeby przemyślał swoją strategię, i Alyssie, aby mogła należycie pomóc swojej córce.

– A czy ciebie Mia również prześladowała? – zapytałam cicho.

– Nie. Wiedziała, że Con jest moim bratem, a od zawsze miała go na oku. Może i Spearowie kłócą się między sobą, ale nikomu z zewnątrz nic do tego.

Tyle dobrego.

– A kto inny ci dokuczał? – dopytywałam łagodnie.

– Dzieciaki potrafią być wredne – odpowiedziała Amber i odczytałam to jako potwierdzenie.

– Kochanie... – szepnęłam, bo zrozumiałam w tej chwili, dlaczego była, jaka była, gdy pierwszy raz się spotkałyśmy.

– Teraz już tak nie jest – dodała i było widać, że temat zaczyna ją uwierać.

Nie chciałam, by czuła dyskomfort, ale musiałam jeszcze przez chwilę pociągnąć ten temat. Musiałam powiedzieć jej coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Ujęłam pewnie jej dłoń.

– Pamiętaj, że jeśli kiedykolwiek jeszcze przytrafi ci się jakakolwiek nieprzyjemność lub będziesz chciała po prostu porozmawiać o czymś, co cię trapi, masz mnie. Jeśli uznam, że wymaga to konsultacji z twoim ojcem, powiem ci o tym. Ale jeśli będziesz miała jakąś dziewczynską sprawę i będziesz szukać bratniej duszy, pamiętaj o mnie.

Patrzyła na mnie wzrokiem, z którego mogłam odczytać ulatujący już niepokój i jakąś niedefiniowalną nadzieję na przyszłość, obietnicę czegoś pięknego. Gdy go tak chłonełam, doszedł do nas znajomy głos:

– Czy mogę porozmawiać z moją córką?

Znieruchomiałam. Amber również. Tuż przy nas stała Donna. I patrzyła na nasze splecione dłonie. Oj. Specjalnie wybrałyśmy się do odległego sklepu, żeby nie wpaść na nią tam, gdzie ostatnio. Co za niefart!

– Mogłabyś...? – zaczęła Donna, patrząc na mnie wymownie.

– To chyba Amber powinnaś o to zapytać – odpowiedziałam, czując, jak tętno mi skacze, a palce dziewczyny zaciskają się wokół mojej dłoni.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – rzuciła Amber.

– Kochanie, dwie sekundki, proszę! – Donna przeniosła wzrok na nią.

– Nie.

– Nie odbierasz ode mnie telefonów, a mam ci coś ważnego do powiedzenia. – Donna przysunęła się bliżej.

– Nie odbieram, bo nie chcę z tobą rozmawiać. Wiesz, wyobraziłam sobie, że od dawna

nie mam matki, że ona umarła albo coś w tym stylu. I mam nadzieję, że tata w końcu ożeni się z Josie, a wówczas ona mnie adoptuje i będzie moją prawdziwą mamą, taką, jakiej nigdy nie miałam.

To było tak brutalnie szczere, że Donna wyglądała, jakby otrzymała cios prosto w twarz.

– Amber... – szepnęłam uspokajająco, ściskając dłoń dziewczyny.

Puściła mnie, chwyciła wózek i ruszyła, mówiąc do nas, albo do samej siebie:

– Musimy skończyć zakupy, bo Ethan już pewnie zaraz zacznie się trząść z głodu.

Śniadanie dawno spalił.

To nie ulegało wątpliwości, ale chociaż nie cieszyło mnie najście Donny, i Amber najwyraźniej również, nie mogłam zostawić tej sprawy w zawieszeniu.

– Może powinnyśmy usiąść gdzieś na kawę? – zasugerowałam.

Amber zatrzymała się i odwróciła.

– W życiu! – syknęła.

– W porządku – zaczęła Donna piskliwym głosem i wystarczył mi jeden rzut oka na jej twarz, aby zorientować się, że ledwie tłumiała emocje. – Ja... ja tylko... – Zaczęła się rozglądać, ewidentnie szukając drogi ucieczki.

Naprawdę zamierzała ot tak uciec.

– Słoneczko, dokończ zakupy z listy. Zamienię dwa słowa z twoją matką i spotkamy się przy kasach.

– Dla mnie bomba! – rzuciła Amber zupełnie beztrąsko i ruszyła wzdłuż alejki.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedziałam do Donny i choć było widać, że najchętniej odrzuciłaby tę propozycję, tylko bezradnie przytaknęła. Była zbyt zdruzgotana, aby podjąć jakąś decyzję samodzielnie.

Wyszliśmy ze sklepu i odsunęliśmy się od drzwi.

– Wyjeżdżasz z Magdalene? – zapytałam wprost.

Zamrugnęła jak postać z kreskówki.

– To jest bardzo małe miasteczko, Donna – przypomniałam jej.

– Ja... Anderson chce dać mi podwyżkę, żeby mnie zatrzymać, ale w Bostonie czeka na mnie jeszcze lepiej płatna praca i...

– Nie możesz wyjechać – wciąłam się.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Jake nie chciałby, abyś wyjechała – zaczęłam i widziałam, jak rozdziawia usta, jeszcze bardziej zdziwiona. – Chce, żebyś była matką dla swoich dzieci. Może masz gdzieś moje zdanie, ale ja również nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Dzieciaki, niestety, pewnie nie okażą, że w ogóle ich to obchodzi. Mogę cię jednak zapewnić, że to, co widać na zewnątrz, nie odzwierciedla ich uczuć. Porzuciłaś je, inaczej tego nazwać nie można. Jeśli teraz oficjalnie je zostawisz i znikniesz, rozdrapiasz rany, które nigdy się nie zagoją.

– Ale ona mnie nienawidzi... – szepnęła Donna.

– Ma prawo tak właśnie czuć – potwierdziłam. – I tylko ty możesz zmienić to uczucie w coś innego. Jest wściekła na ciebie i na pewno nie będzie to łatwe. Ale jeśli ci się uda, nie będziesz żałować tej walki.

– Jak ja niby mam to zrobić? – zapytała bezradnie.

– Zacznij od przyjęcia podwyżki i pozostania w mieście. A potem jakoś się pouklada.

– Ludzie myślą, że...

– Twój były mąż jest właścicielem nocnego klubu, to ten klub zapewnia byt jego rodzinie – przerwałam jej. – Myślisz, że zdanie ludzi na ten temat ma jakiegokolwiek znaczenie dla twoich dzieci?

Zamknęła usta.

– Zadzwoń do Amber i zaproś ją na zakupy. Jeśli odmówi, zadzwoń ponownie i zaproś ją do kina. Zaproś Connera na kolację i powiedz mu, by zabrał siostrę. Nie ustawaj, nawet jeśli będą odmawiać. Zasypuj ich esemesami, niech wiedzą, że o nich myślisz. Zaproś ich na noc do siebie. Przekup ich prezentami, niech choć zauważą twoją obecność. Nieważne, co zrobisz, ale rób to. Pokaż, że walczysz o swoje dzieci. Dzwon, proś, błagaj. Przepraszaj. Wymyśl tysiąc sposobów na to, by im pokazać, że ci zależy. Nie mogę ci zagwarantować sukcesu, ale musisz sobie uświadomić, że oni są warci każdego wysiłku.

– Masz własne dzieci? – zapytała, a ja poczułam ukłucie bólu, choć wiedziałam, że nie spytała po to, by mnie zranić.

– Nie.

– Więc skąd możesz...

– Bo moja własna matka zostawiła mnie na łasce potwora – powiedziałam wprost i widziałam, jak jej oczy się rozszerzają. – Zadbala tylko o własne bezpieczeństwo i nie oglądała się za siebie. Od trzydziestu pięciu lat nie dała znaku życia. A ja przecież nie potrzebowałam jej tylko dlatego, by mnie chronić przed ojcem. Potrzebowałam po prostu matki.

Nic więcej nie mogłam zrobić, nic więcej nie mogłam powiedzieć.

– Resztę zostawiam tobie. Zakładam, że dokonasz słusznego wyboru. A teraz wybac, i miłego popołudnia.

Odwrociłam się i zrobiłam kilka kroków, ale usłyszałam, że woła mnie po imieniu. Odwróciłam się.

– Czy dalej ubiera się w H&M? – zapytała Donna.

– Tak – potwierdziłam i podałam jej jeszcze trzy inne butiki. – Powodzenia, Donna – pożegnałam się i naprawdę miałam to na myśli.

– Dziękuję, Josie... – odpowiedziała ochryplym głosem.

Machnęła niepewnie ręką i odeszła. Amber stała już w kolejce do kasy.

– Kazałaś jej spadać? – zapytała, gdy stanęła obok.

– Nie, moja śliczna, nie kazałam.

– Ona ma nas w dupie, Josie.

– To się okaże.

– Ta, zobaczymy... – mruknęła Amber, przenosząc wzrok na plecy osoby stojącej przed nią w kolejce.

Westchnęłam. Przez całą drogę do domu dziewczyna się nie odzywała, ale pomogła mi wnieść zakupy do kuchni, po czym udała się do swojego pokoju na górze. Pewnie musiała obgadać sprawę z Taylorami lub z Alexim, który ponoć potrafił słuchać. I całować również, a przynajmniej tak twierdził plotkarz Taylor. Pierwsza cecha mnie cieszyła, o drugiej wolałabym nie wiedzieć.

– Co się dzieje? – Jake zaszedł mnie od tyłu.

– Chłopcy oglądają mecz? – zapytałam w odpowiedzi.

– No w mordę...

– Czy oglądają?

– Ta – odpowiedział, przyglądając mi się uważnie.

– No to porozmawiajmy w kuchni.

Wyjęłam z szafki wielką miskę, zaczęłam napełniać ją chipsami i ze zdziwieniem przyglądałam się, jak Jake miesza śmietanę z zupą w proszku.

Opowiedziałam mu o spotkaniu w sklepie, a gdy skończyłam, nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

Raczej na zmartwionego.

– Musimy trzymać rękę na pulsie – powiedział po chwili.

– Jasne – potwierdziłam, a potem zapytałam: – Coś ty zmieszał w tej misce?

– Dip cebulowy.

Taaaak? Zacisnęłam usta, niezbyt zachęcona.

– Zachwycisz się, mała!

– Czy ty podajesz dzieciom cokolwiek, co nie jest wysypane z torebki, wydobyte ze słoika bądź z puszki?

– Ta. Twoje dania.

Przewróciłam oczami.

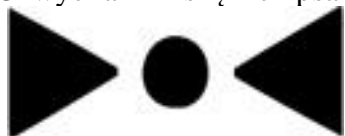
Jake przytulił mnie, nie wypuszczając z ręki miski.

– Słyszę jęki Ethana, pora go nakarmić!

– Idźmy więc. Może jak zjedzą tyle chemikaliów, to się zakonserwują na przyszłość...

Jake wybuchnął śmiechem.

Chwyciłam miskę z chipsami i podążyłam za nim do salonu.



Siedziałam oparta plecami o Jake'a, a on dyszał ciężko w mój kark, obejmując mnie w talii. Wyciągnęłam ręce do przodu, a biodrami wcisnęłam się w niego. Czułam go wciąż głęboko. Emocje i ekstaza stygły.

Musieliśmy jakoś rozładować napięcie, które narosło w poniedziałek z samego rana. Wyprawianie dzieci do szkoły po weekendzie było istnym armagedonem. Jake otworzył siłownię, ja zawiozłam Ethana i wróciliśmy akurat na poranną gimnastykę w łóżku Jake'a.

Jego dłonie przeniosły się z mojego brzucha na piersi.

– To co, drzemeczka?

– A ty zamierzasz drzeć? – odpowiedziałam pytaniem.

– Zaraz przychodzi klient na trening osobisty. Muszę lecieć.

Mruknęłam niezadowolona, opierając się o niego.

– Nie ułatwiasz mi tego...

– Jak trzeba, to trzeba...

– Trzeba przede wszystkim dogodzić mojej kobiecie. I właśnie przed chwilą to zrobiłem.

Teraz pora na inne obowiązki.

Uśmiechnęłam się do tej deklaracji i poczułam, jak Jake unosi się i wysuwa. Odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy. Ciemnoniebieskie, piękne. Uwielbiałam jego oczy. Uwielbiałam jego włosy, bliznę na jego policzku, moc w jego ciele. Ciepło, które mi dawał. Uwielbiałam czuć go w środku. Uwielbiałam go całego.

– W mordę...

Z tych marzeń wróciłam na ziemię, do jego łóżka.

– Co się stało?

– Nie ułatwiasz mi wyjścia... – powiedział, ujmując mnie pod brodę.

– Ale przecież nie przeszkadzam w nim, prawda?

– Wystarczy mi to spojrzenie, za którym kryje się coś, co mnie przyciąga.

Wzięłam głęboki wdech. Pocałował mnie, a potem powiedział, patrząc mi głęboko w oczy:

- Dobrze, że niedługo wracam.
- Też mnie to cieszy – odrzekłam.

Jego oczy rozgrzały się uśmiechem i bardzo mi się to podobało.

Wyszedł z łóżka i podążył do łazienki.

- Ja sobie tak tutaj poleżę – powiedziałam.
- Nie żałuj sobie.

Gdy wyszedł z łazienki i założył ciuchy treningowe, wciąż sobie leżałam. Pochylił się i pocałował mnie na pożegnanie.

- Do zobaczenia wieczorem – mruknął.
- No ja myślę!

Ucałował mnie w skroń i wyszedł z sypialni.

Uśmiechnęłam się do siebie i objęłam jego poduszkę. Może z pięć minut poleżałam w tym błogostanie, a potem nagle przypomniałam sobie, że dziś jem lunch z Alyssą. Musiałam też pojechać do Lawendowej Willi i przywieźć sobie więcej ubrań, bo te, które przywiozłam ze sobą do Jake'a, nadawały się już tylko do prania. No i nie byłam do końca pewna, czy mam wszystkie produkty potrzebne do przygotowania dzisiejszej kolacji.

Musiałam się zbierać. Niechętnie wstałam z łóżka, pozbierałam ciuchy z podłogi i przesłam do łazienki, żeby się wyszykować.

Gdy skończyłam toaletę i już miałam zejść po schodach, mój wzrok padł na coś, co mnie powstrzymało. Zerknęłam przez uchylone drzwi do biura Jake'a i zamarłam. Na biurku stało moje zdjęcie w ramce. Gapiłam się na nie bez ruchu. Znałam je przecież, Henry je zrobił kilka lat temu na plaży w Cannes. Dzień wcześniej skończył sesję i zdecydował, że jeszcze trochę tam zostaniemy. Spacerowaliśmy po plaży, rozśmieszał mnie.

Słodko-gorzkie wspomnienie.

Ale jakim cudem to zdjęcie znalazło się na biurku Jake'a? Z głową pełną przypuszczeń weszłam do pokoju. Henry musiał dać to zdjęcie Buni, a ona dała je Jake'owi. Ale dlaczego?

Nieczęsto wchodziłam do biura Jake'a i nigdy go tutaj nie widziałam. A prawa górna szuflada, która zawsze była zamknięta na klucz, teraz była wysunięta do połowy.

To tam trzymał tę ramkę? Ale dlaczego przechowywał to zdjęcie w szufladzie? Może po prostu wrzucił je tam i o nim zapomniał? W końcu nie znałam szczegółów relacji jego i Buni, a ta znajomość trwała siedem lat. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, co przez wszystkie te lata się wydarzyło.

Zerknęłam raz jeszcze do szuflady i poczułam gulę w gardle, gdy zobaczyłam stos kopert przewiązany błękitną wstążką.

- O mój Boże... – szepnęłam zduszonym głosem, nie mogąc oderwać wzroku od listów.

Znałam tę paczuszkę. Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do Buni przez ostatnie dwadzieścia lat, spoczywała na jej biurku. Teraz leżała w szufladzie Jake'a, razem z moim zdjęciem. Dlaczego? Dlaczego miał to wszystko? Dlaczego Bunia mu to dała? I dlaczego, do cholery, nie powiedział mi o tym? Dlaczego?

Gdy dotknęłam listów, przez moją dłoń przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Uniosłam paczuszkę, one naprawdę tu były, moje listy, prawdziwe. Cała historia mojego życia, opisana... w biurku Jake'a. Nie została mu zapisana w testamencie. Zrobiła to o wiele wcześniej, oddała mu mnie i wszystkie moje mroczne tajemnice. I nie powiedziała mi o tym. On również tego nie zrobił.

- Kochanie, zapomniałem portfela! – rozległo się gdzieś z korytarza, a ja odwróciłam się w stronę drzwi. Moja twarz była jak maska.

Szedł korytarzem, dojrzał mnie w biurze i zatrzymał się. Wyraz jego twarzy mówił

jednoznacznie, że ani to zdjęcie, ani listy nie były jakąś zapomnianą pamiątką. To było coś, co przede mną ukrywał. Jake Spear, pozornie szczerzy, bezpośredni, otwarty, skrywał przede mną taki sekret. Przede mną.

– Śliczna... – zaczął, wkraczając do pokoju; patrzył mi w oczy.

– Bunia ci to dała? – przerwałam mu, unosząc listy.

Zatrzymał się z dala ode mnie, co już samo w sobie było dziwaczne, i odpowiedział zupełnie niedorzecznie:

– Dlaczego myszkujesz w moim biurku?

– Bunia ci to dała? – powtórzyłam.

Zamiast odpowiedzieć powtórzył swoje pytanie:

– Czego szukałaś w tym biurku, Josie?

– Szuflada była otwarta. Zdjęcie stało na blacie. – Odsunęłam się, żeby mógł je zobaczyć.

– Zauważyłam je, przechodząc korytarzem. Należało do Buni i nie wiedziałam, że je masz.

– Stało na biurku? – zapytał nieprzytomnie.

– Jake – zaczęłam spokojnie, choć w środku każda komórka mego ciała trzęsła się jak osika. – To nieważne, czy stało, czy nie. Czy Bunia ci je dała? I te listy?

– Tak – odpowiedział, przenosząc wzrok z ramki na moją twarz.

Serce mi zamarło.

– Przeczytałeś je?

– Maleńka...

– Czytałeś je, Jake? – Głos mi zadrżał.

– Tak.

Spojrzałam na koperty.

– Ile razy?

– Kochanie, to nieistotne...

– Dla mnie istotne. Ile razy to wszystko przeczytałeś?

– Lydia opowiedziała mi to wszystko – przypomniał mi.

Opuściłam rękę, ale nie wypuściłam z dłoni listów.

– Wiem, że ci opowiedziała. Ale co innego jest o kimś opowiadać, a co innego udostępnić jego prywatną korespondencję. Dlaczego to zrobiła? I dlaczego je czytałeś?

– Dała mi je.

– Ale to jest prywatna korespondencja! – Odruchowo pochyliłam się w jego stronę oskarżycielsko.

Przez chwilę nic nie mówił, więc ja się odezwałam:

– Kiedy ci je dała?

– Jakiś czas temu.

– Jak dawno temu?

Postąpił krok do przodu, wypowiadając moje imię.

– Jak dawno temu? – powtórzyłam ostrzejszym tonem, cofając się o krok.

Zacisnął szczęki, po chwili odpowiedział:

– Pięć, może sześć lat temu.

Poczułam fizyczny ucisk za mostkiem.

– Pięć albo sześć lat?

– Tak, kochanie. Ale teraz...

Uniosłam w górę paczkę.

– Chodziłeś sobie po świecie z tą całą wiedzą o mnie, z moimi intymnymi zwierzeniami, przez pięć czy sześć lat??

– Lydia cię nie zdradziła – odpowiedział na to.

W tym momencie coś we mnie się złamało. Ja się złamałam. Rzuciłam listami o ścianę i wrzasnęłam nieswoim głosem:

– A właśnie że, kurwa, zdradziła!

Ruszył w moją stronę, ale wyminęłam go i syknęłam:

– Jake, jeśli się teraz do mnie zbliżysz, to przysięgam na Boga, odejdę i nigdy więcej mnie nie znajdziesz!!

Zatrzymał się jak skamieniały. Gdybym nie była tak wściekła, uznałabym to za urocze. Teraz wydało mi się to jedynie pretensjonalne.

– Czemu Bunia nas sobie nie przedstawiła?

– Josie, już to omówiliśmy...

– Owszem, a twoje wyjaśnienia były bez sensu. I wiesz co, Jake? To wszystko od początku było bez sensu! Może i była blisko z tobą i z dziećmi. Kochała was. Spędzała z wami mnóstwo czasu. Przyjmowała was u siebie. Dała wam swoje serce. Opowiedziała ci o swoich cierpieniach i o moich. Dlaczego więc, do diabła, nie przedstawiła nas sobie?

– Nie dowiemy się tego, ona odeszła.

– Nie – zgodziłam się. – I nie dowiemy się również, dlaczego poznała mężczyznę i zdradziła mu nie tylko swoje najmroczniejsze sekrety, ale i moje!

– Śliczna, weź głęboki oddech i...

– Nie wezmę żadnego oddechu, Jake! – wyplułam z siebie. – Czy to wszystko cię nie dziwi? Czy to nie jest dziwaczne? Czemu ktoś miałby robić coś takiego?

– Nie wiemy...

– A może i się dowiemy! – Skrzyżowałam ręce na piersiach. – Co ci powiedziała, wręczając te listy? Proszę, Jake, poczytasz sobie do poduszki. Tak powiedziała?

Nie odpowiedział. Jake, który mówił mi wszystko, teraz milczał. O Boże, coś jeszcze przede mną ukrywał!

– Dała ci mnie na długo przed tym, nim odczytano testament! – To przecież już wiedziałam. – Miałeś mnie od dawna, w swoim domu. – Wskazałam na ramkę. – Miałeś mnie całą. Każdą moją myśl. Każdą tajemnicę. To ja powinnam ci się z tego wszystkiego zwierzyć!

– A zwierzyłabyś się? – zapytał cicho.

– Chciałabym móc sama zdecydować, czy zrobić to, czy nie!

– Zrobiłabyś to? – naciskał.

– Może nie – odparłam ostro. – Ale to byłaby moja decyzja, a nie jakiegoś wielkiego planu babki. – Mogłeś mi powiedzieć, że wiesz o wiele więcej, było po temu mnóstwo okazji, bo nieraz zastanawiałam się nad jej motywami.

– Kochanie, ale przecież jesteśmy razem, jesteśmy tutaj, wszystko się udało. Jakże to teraz ma znaczenie?

Zła odpowiedź. Bardzo zła.

– Takie, że ja zadaję znaczące pytania, a jedyna osoba, która zna odpowiedzi, nie chce mi ich udzielić.

Znowu nic nie powiedział. Ani słowa.

– Dlaczego mi nie odpowiadasz? – zapytałam.

– Bo to nie ma już znaczenia.

– Dla mnie ma!

Znowu cisza.

– Coś przede mną ukrywasz! – szepnęłam.

– Kochanie, dałem ci całego siebie...

– Nieprawda! Miałaś za to całą mnie! – odpowiedziałam. – Ale coś swojego ciągle przede mną tairsz!

– Błagam cię, czy możemy to już zostawić i iść dalej?

– Myśl sobie, co chcesz, Jake, ale takie obnażenie mnie oznacza zdradę Buni. I fakt, że zatajałeś przede mną to, iż wiesz o mnie wszystko, przez cały ten czas, który razem spędziliśmy, w którym zakładałam, że dopiero poznamy się na naszych warunkach, oznacza, że ty również mnie zdradziłeś. Więc nie, nie zostawimy tego ot tak i nie pójdziemy dalej! Nie pójdziemy aż do czasu, kiedy powiesz mi, co tak naprawdę knuliście z Bunią przez ostatnie lata. Pięć albo nawet sześć!

– Wiem, że to dla ciebie ważne, kochanie, naprawdę wiem to, ale uwierz mi, najważniejsze jest to, żebyś teraz odpuściła.

– Jak byś się czuł, gdyby nagle okazało się, że to ja wiem wszystko o tobie? Że wiedziałam to już w chwili, w której się poznaliśmy, i pozwoliłam ci zakochać się we mnie, nie zdradzając, jak wielką mam przewagę?

Drgnął. O Boże! Co to było?

– Jake!

– Zostaw to!

– Jake!!

– Do diabła! – krzyknął, a potem jeszcze głośniejszym głosem ryknął mi prosto w twarz: – Odpuść, kurwa!

Cofnęłam się.

– Wiesz o tym, że ojciec przeczytał mój pamiętnik, potem nim we mnie rzucił, a potem podbił mi oko.

– Zostaw to wszystko – warknął.

– Wiesz, kiedy dostałam pierwszy okres.

– Odpuść.

– Wiesz nawet, kiedy straciłam dziewictwo.

– Jezu, przestań w końcu!

– Mogłeś odkrywać przede mną swoje życie po kawałeczku. W aucie. Przy kolacji. W łóżku. Ja nie dostałam takiej szansy. Dlaczego, Jake?

– Josie, na miłość boską...

– Dlaczego?? – krzyknęłam głosem piskliwym z emocji.

– Odpuść! – zagrzmiał w odpowiedzi.

– Nie – szepnęłam, patrząc, jak jego twarz tężeje. – Odpowiedz, Jake.

Przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa, napięcie gęstniało.

– Jak to się stało? – przerwałam ciszę. – Jak to możliwe, że dwoje ludzi może być tak blisko, jak my byliśmy jeszcze pół godziny temu, a teraz wszystko skończone?

Jego ciało drgnęło.

– Nic nie jest skończone.

Zignorowałam tę uwagę, wiedziałam lepiej.

– Jak mogła mi to zrobić?

– Jedyne, co zrobiła, to darowanie ci twojego marzenia!

O tak! Wiedział dokładnie, co robić. Jak o n to ujął podczas odczytywania testamentu? Nie posiadać ją, ale zrobić z nią dokładnie to, co Lydia chce, by uczyniono? Jakoś tak. Doskonale wiedział.

– Miałaś dokładne wytyczne – powiedziałam cicho, a w moim głosie były wyłącznie złe emocje. – Wiedziałeś, co robić. Ale ja nie wiedziałam najważniejszego. Nie wiedziałam, na czym

buduję miłość do mężczyzny. Nie wiedziałam, bo on zataił to przede mną.

– Kochasz mnie przecież! – Jego twarz złagodniała.

– Tak – potwierdziłam.

– Maleńka, ja też cię kocham... – dodał łagodnie.

– Niewystarczająco mocno, jak widać.

Jego ciało skamieniało. Wyszłam z pokoju, ale podążył za mną. Chwyciłam za swoją torbę w sypialni, a gdy dotknął mojego ramienia, wściekle strząsnęłam jego dłoń i cofnęłam się.

– Nie dotykaj mnie!

– Josie, do diabła!

– Chcę spotkać się z twoimi dziećmi, żeby wyjaśnić im, dlaczego muszę sprzedać Lawendową Willę i wyjechać.

Teraz to on postąpił krok do tyłu.

– Co ty wygadujesz?

– To koniec.

– To nie koniec!

– To koniec, Jake!

– A właśnie, że nie, do kurwy nędzy!

Spojrzałam mu w oczy.

– A właśnie że tak.

– Co ty wyprawiasz? Chcesz wszystko stracić?

– Może i chcę, ale będzie to moja decyzja, nie twoja. I teraz właśnie ją podejmuję.

– Odrzucasz to wszystko, co zbudowaliśmy?

– Na to wygląda.

– Ależ jesteś, kurwa, uparta! – Skrzyżował ręce na piersi.

Zarzuciłam torbę na ramię, odwróciłam się i wyminęłam go.

– Nie myśl sobie, że to jakaś błaha sprzeczka. Że wszystko sobie przemyślę i wrócę skruszona. To naprawdę koniec.

Pokręcił przecząco głową.

– Boisz się zaangażować? Znowu nakładasz swoją maskę, bo nie jesteś w stanie przeżyć prawdziwego życia? Więc to ja powinienem zapytać, dlaczego to robisz. Dlaczego odrzucasz dobre, prawdziwe życie i wracasz do pustki?

– Jeśli naprawdę mnie o to pytasz, to chyba nieuważnie czytałeś list, w którym opisywałam Buni swoje marzenie – odpowiedziałam i ruszyłam w dół schodami.

Nie płakałam. Chwyciłam płaszcz i torebkę z wieszaka w przedpokoju i podążyłam do garażu.

Nie płakałam, gdy odłożyłam klucze, które Jake mi dał, na ławeczkę do ćwiczeń.

Nie płakałam w drodze do Lawendowej Willi ani dzwoniąc do ślusarza i prosząc go, by natychmiast przyjechał wymienić zamki.

Łzy zaczęły płynąć dopiero w pokoju z widokiem, gdy odeszła wściekłość. Już nie czułam się tu bezpiecznie. Bunia mnie zdradziła.

Mogłam sobie teraz płakać do woli.

Gdziekolwiek się znajdowałam.



Po południu Jake zajął do pokoju Ethana i zastał go z padem w rękach, grającego na Xboxie.

– Cze! – zawołał od progu.

– Cze, tato! – odpowiedział chłopiec, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Mam pytanie, koleżko.

– Ta?

Jake wziął głęboki wdech.

– Wchodziłeś do mojego biura?

– Co?

– Do mojego biura. Zaglądałeś do biurka?

Młody oderwał w końcu wzrok od ekranu i rzekł dumnie:

– No! Otworzyłem szufladę wsuwką Amber. Bryant próbuje i próbuje, i nigdy mu się nie udało otworzyć żadnego zamka, więc wygrałem! – opowiadał, jakby nie było w tym nic złego.

– Fajne jest to zdjęcie Josie, powinno stać w salonie.

Jake odetchnął raz jeszcze, by się uspokoić. To nie jego syn coś tu namieszał, tylko on sam.

– Zatrzymaj grę na chwilę, młody – poprosił.

Ethan chyba wyczuł poważny ton, bo natychmiast nacisnął pauzę.

– Chcę, żebyś coś sobie zapamiętał. W tym domu mieszka dużo ludzi. Dorośli, jak ja, Conner i Amber, bo przecież oni już prawie są dorośli, lubią czasem mieć własne sprawy. Prywatne. Pewnego dnia to zrozumiesz, jak trochę podrośniesz. I trzeba tę prywatność szanować, Eath. Szanuj prywatność innych, bo niedługo zechcesz, aby i twoją szanowano.

Twarz małego zmieniła się tak, że Jake już wiedział, że zanoszą się na jakiś dramat.

– Sknocilem coś? – zapytał chłopiec cicho.

– Nie – skłamał Jake.

Ale przecież to nie było tak do końca kłamstwo. Nie mógł zwać winy na dzieciaka.

Na twarzy Ethana wymalował się grymas rozpacz.

– Czy to przez ten zamek Josie nie odebrała mnie dziś ze szkoły?

– Nie, kolego.

Kłamstwo, kolejne. W mordę.

– Po prostu musimy sobie pewne reguły ustalić, rozumiesz?

– Tak, tato.

– Dzięki, młody, wracaj do gry – mruknął Jake i wyszedł z pokoju.

Ethan zawołał go.

– A gdzie jest Josie? – zapytał, patrząc na ojca przenikliwie.

– Ma jakieś swoje sprawy. – To chyba nie było kłamstwo. – Niedługo wróci, synek. – I tu też miał nadzieję, że się nie mylił.

Ethan przez chwilę patrzył na niego, ale zaraz uznał, że sprawa jest zakończona, i wrócił do grania, mrużąc „No dobra!”.

Ale nic nie było dobrze. Wszystko na dłuższą metę zapowiadało się niedobrze. Jake poczuł, że wszystko spierdolił. I teraz musiał to naprawić. Wiedział jednak, że Josie potrzebuje czasu, nie zamierzał jednak dawać jej go więcej niż do następnego poranka.

Rano zamierzał wybrać się do swojej kobiety i sprawić, by znów było dobrze.



Z samego rana był w siłowni, a gdy usłyszał stukot obcasów na drewnianej posadzce, odwrócił się gwałtownie z walącym sercem.

Uniósł głowę znad biurka i zobaczył Alyssę. Nie. Zobaczył Iwicę zmierzającą, żeby go pożreć. Mierzyl się spojrzeniami i gdy tylko wkroczyła do biura, zamasyście otwierając drzwi, rzucił:

– Alyssa, nie mam teraz czasu.

Trzasnęła drzwiami, skrzyżowała ramiona na piersiach i wypaliła:

– To go lepiej wyczaruj!

– Kobieto...

– Josie nie zjawiała się wczoraj na lunchu, wystawiła mnie!

Jake westchnął, chwytając się krawędzi blatu, by się uspokoić, ale nic na to nie powiedział.

– Cały dzień do niej wydzwaniałam. Odebrała dopiero w nocy. Powiedziała, że trochę się pozmieniało. Że wystawia dom na sprzedaż. Że wraca do Nowego Jorku i swoich projektantów!

Serce zaczęło walić mu tak mocno, iż obawiał się, że dostanie zawału.

– Co się stało?

– To chyba jednak nie jest twoja sprawa – odpowiedział.

– To chyba jednak się mylisz. Jest moją przyjaciółką i zależy mi na niej. Nie miała nikogo prócz swojej babki, a teraz ciebie. I co, tak nagle wyjeżdża? Dlaczego?

– Naprawię to – zapewnił.

– No to lepiej się pospiesz, Jake! – wypaliła. – Bo nie brzmiało to dobrze. Jakbym rozmawiała z pieprzoną królową śniegu! Może w ten sposób się przed czymś broni, może to jest jej tarcza.

Niedobrze. Kurwa! Alyssa nie skończyła.

– Jesteś po trzech nieudanych związkach, Jake. Może i tamte poprzednie kobiety ci się wyślizgnęły, ale najwidoczniej były po prostu z natury śliskie i niewarte zatrzymania. Ale teraz jest inaczej i ty dobrze o tym wiesz. Ale ja za to nie wiem, czemu przesiadujesz w biurze, zajmując się jakimiś pierdołami! – Machnęła ręką. – Ale co ja będę gadać. Jak się tym nie zajmiesz, to i ona ci się wymknie.

– Wiesz, że cię szanuję, Alyssa – zaczął Jake – ale nie wtrącaj się i pozwól mnie i Josie to załatwić między sobą.

Wytrzymała jego spojrzenie i szepnęła jeszcze:

– Lepiej się z tym uwińcie!

Odwróciła się i wypadła z biura tak samo, jak do niego wpadła.

Gdy wyszła z budynku, Jake zerwał się z miejsca, zgarnął kluczyki z biurka i podążył w jej ślady.

– Miej oko na przybytek! – krzyknął do Troya, który boksował gruszkę pod sufitem.

– Jeśli nikogo nie będzie, gdy skończysz trening, po prostu zatrzaśnij drzwi.

– Jasne! – odpowiedział mężczyzna, nie przerywając.

Jake wsiadł do auta i ruszył do Lawendowej Willi.

Musiał myśleć nie tylko o sobie, ale przede wszystkim o swoich dzieciach. Josie była z nimi prawie non stop przez ostatnie kilka tygodni. Gdyby zniknęła, nie poradziłby sobie z pytaniami, chaosem, ich bólem. Nie poradziłby sobie, gdyby zniknęła. Już zaczynały się pytania. Już zaczynały się żale. A on nie był w stanie ich uspokoić. Mógł im po prostu powiedzieć, że jest kretyńcem, ale to chyba byłoby niewychowawcze. Powinien był jej powiedzieć, już na początku ich znajomości. A gdy już stała z listami w dłoni, powinien był się

przyznać, przeproszać. I błagać o wybaczenie. Ale nie zrobił tego, bo był zbyt dumny. Bo był idiotą. A przecież nie chciał utracić tego wszystkiego, tego pełnego miłości spojrzenia jeszcze pół godziny wcześniej, gdy nie chciał wypuścić jej ze swego łóżka, gdy patrzyła na niego tak rozkosznie, rozczochrana, z jego zapachem na ciele.

Zadowolenie. Bezpieczeństwo. Szczęście. Miłość.

Nie chciał, by dowiedziała się, że miał podkładkę, że tak naprawdę nie jest ideałem. Czuł się tak samo, jak w chwili, w której jego dzieci zrozumiały, że nie jest superbohaterem, że nie potrafi dokonywać cudów. Jak w sytuacji, gdy umiera babcia twojej córki, a ty nie możesz jej wskrzesić, choć ona tego właśnie od ciebie oczekuje. Wciąż cię kocha, ale coś nieodwracalnie zniknęło: przekonanie, że możesz wszystko. Chcesz dać jej wszystko, ale widzisz w jej oczach, że ona już wie, iż nie jesteś w stanie.

Miał nadzieję, że Josie o wiele później okaże to rozczarowanie. Powinien był jej powiedzieć. Zamierzał przecież to zrobić. I mógł jeszcze to zrobić, bo jej samochód wciąż stał zaparkowany przed Lawendową Willą.

A przecież miała garaż, choć wyglądał tak, jakby mógł się w każdej chwili rozlecieć. Trzeba to naprawić, wstawić solidniejsze drzwi, w końcu pogoda była coraz gorsza... A może lepiej w ogóle zburzyć tę budę i postawić nowy garaż, bezpośrednio przy ścianie domu, żeby nie musiała wychodzić na zewnątrz?

Na to przyjdzie pora, jak już się pogodzą. Wysiadł z auta, podszedł do drzwi i przekręcił gałkę. Zamknięte. Zadzwoił, jednocześnie szukając klucza. Nie pasował. Jezusie. Zmieniła zamki? Nie mógł uwierzyć, że do tego doszło. Zadzwoił ponownie, potem zapukał.

Ze środka nie dobiegł go żaden dźwięk. Raz jeszcze spróbował włożyć klucz do zamka. Nic z tego.

– Jezusie... – szepnął tym razem na głos.

Wydobył z kieszeni telefon i wybrał jej numer, ale odezwała się poczta głosowa.

– Kurwa!

Rozłączył się, po czym obszedł dom dookoła, zaglądając w okna i próbując szczęścia z pozostałymi zamkami.

Nie było jej widać, a wszystkie zamki zostały wymienione. Stał na tyłach domu, spojrzał na oranżerię, na morski krajobraz i zatokę, potem znowu na dom i uśpiony ogród.

Siedziała w wykuszowym oknie w pokoju na górze. Zdawała się na niego patrzeć, ale gdy tylko uniósł dłoń, wstała i zniknęła we wnętrzu domu. Podbiegł do szklarni, ale nie było jej widać przez szyby i płataninę roślin. Nie dostrzegł jej w oknie kuchni ani salonu. Nie odpowiedziała na ponowne walenie do frontowych drzwi. Znowu zadzwonił i znowu usłyszał jej nagranie na poczcie głosowej. Rozluźnił zaciśnięte szczęki.

– Kochanie, oddzwoń do mnie. Musimy porozmawiać. Teraz odjeżdżam, dam ci trochę czasu. Spotkajmy się jutro w Szopie, o dziewiątej. Zjemy omlety. – Wziął głęboki oddech.

– Dzieciaki za tobą tęsknią, Śliczna, i ja też.

Rozłączył się, wrócił na podjazd i spojrzał na dom Lydii. Na dom Josie. Powinien był jej powiedzieć.

Odjechał, czując ucisk za mostkiem i palenie w piersi.



Następnego poranka o dziewiątej pięćdziesiąt pięć Tom obserwował, jak Jake Spear, po

niemal godzinnym staniu na końcu moła, z kubkiem zimnej już kawy w dłoni, odchodzi sprzed Szopy.

Właściciel patrzył za nim, a potem zaciągnął stalową roletę okienka.



– Proszę, zostawię panią – powiedział uprzejmie urzędnik bankowy, kładąc przede mną pudełko wyciągnięte ze skrytki.

– Dziękuję – odpowiedziałam, biorąc głęboki wdech.

Otworzyłam je, starając się nie myśleć o tym wszystkim, co się wydarzyło. Dzień wcześniej znalazłam klucz w torebce. Naprawdę zdążyłam o nim zapomnieć, bo co innego wypełniało mój umysł. Mianowicie przeświadczenie, że zachowałam się dokładnie tak, jak Donna zamierzała.

Doznałam szoku, przeżyłam dramat i wzięłam nogi za pas zamiast trzeźwo przeanalizować fakty. A przecież kochałam Jake'a, on kochał mnie, a to, co było między nim i Bunią, należało już do przeszłości. Nie chciał mnie w to mieszać i powinnam była mu zaufać, że wie, co robi. Zapewniał mnie, że powinnam odpuścić i że w gruncie rzeczy nic wielkiego się nie stało. Nie byłam pewna, czy te dwa aspekty się nie wykluczają. Ale przecież pewne sprawy były oczywiste. Bunia mnie kochała. Jake również. A gdy już mi to powiedział, odeszłam.

Nie wiedziałam, jak zaleczyć tę zadrę, choć on zdawał się wiedzieć. Mogłam oddzwonić. Mogłam spotkać się z nim w Szopie. Nie zrobiłam tego. Z poprzednim chłopakiem również się sprzeczałam, a skutki były opłakane. Ale Jake nie był taki jak on. Czy naprawdę ktoś inny musiał mi powiedzieć, że jestem idiotką? I może nawet powinnam go przeprosić?

Więcej nie zadzwonił. Nie zadzwonił od czasu, gdy go wystawiłam. I nieco wbrew sobie, teraz właśnie, o trzynastej, kilka godzin po umówionym spotkaniu, na które się nie stawiałam, zaczynałam czuć niepokój. Automatycznie wykonywałam jakieś mało znaczące czynności, a przecież powinnam odszukać Alyssę i dowiedzieć się, jak rozległe konsekwencje miały moje nieprzemyślane działania.

– Zajmę się tym, gdy skończę tutaj – powiedziałam do siebie, przeglądając rzeczy w pancernym pudełeczku.

Pakiety akcji. Biżuteria. Mnóstwo wyglądającej na bardzo starą i bardzo drogą biżuterii. Świadcstwa chrztu: jej, moje, mojego ojca i wuja. I jeszcze akt własności kawałka ziemi na Florydzie. Na samym spodzie leżała nieduża biała koperta. W środku nie znajdował się jednak list, a coś innego. Na kopercie wypisano pismem Buni: „Dla mojej Stokrotki”. Wymacałam w środku niedużą dyktafonową kasetę. Albo to była wiadomość od Buni, albo jakieś tajne akta afery Watergate. No chyba raczej to pierwsze. Odłożyłam wszystko z powrotem do skrytki, a kopertę wrzuciłam do torebki. Wysłałam ze skarbcza i rzuciłam w stronę kierownika:

– Skończyłam!

Skinął głową, podszedł do mnie i razem umieściliśmy kasetkę w depozycie, przekręcając symultanicznie kluczyki.

– Dziękuję.

– Do usług.

Jechałam do domu ostrożnie, myśląc o tym, czy gdzieś w biurku babci leżał dyktafon, ale nie byłam w stanie sobie tego przypomnieć, ale skoro coś nagrała, to musiała gdzieś mieć odtwarzacz, po prostu trzeba było go odszukać.

Na podjeździe przed domem stał stary, ale dobrze utrzymany, biały pickup, a na ganku czekał wysoki, postawny mężczyzna. Wiatr szarpał jego siwe włosy i rozpiętą kurtkę. Mrużył oczy osadzone w twarzy, której pogoda nie oszczędzała.

Pierwszy raz widziałam tego człowieka i choć wyglądał niegroźnie, nie miałam teraz ochoty na konfrontację. Musiałam odszukać dyktafon, przesłuchać kasetę, zadzwonić do Alyssy i zasięgnąć rady na temat tego, jak przyznać się przed facetem, że było się idiotką, a potem spotkać się z Jakiem i jakoś go udobruchać. By wykonać ten plan, musiałam wejść do domu, a to oznaczało nieuchronną konfrontację z nieznanym.

– Dzień dobry! – przywitałam go.

– Josie.

Znałam ten głos. A on najwyraźniej znał mnie. Jego twarz pozostawała jednak nieznaną.

– Przepraszam, ale czy my się znamy? – zapytałam.

– Tom – przedstawił się.

Tom? Niewidzialny Tom z Szopy?

– Jake czekał na ciebie dziś rano – powiedział.

O rety. To naprawdę był kucharz z Szopy! Przyjechał po to, by mi powiedzieć, że Jake faktycznie na mnie czekał, a ja się nie pojawiłam. Mruknęłam coś, bo nagle zrobiło mi się głupio.

– To ja – stwierdził.

Nie rozumiałam.

– Ja – powtórzył. – To ja zasugerowałam Lydii, że powinnaś być z Jakiem.

Poczułam się tak, jakby wiatr wytrącił mnie z równowagi. Szok odebrał mi mowę.

– Co proszę? – szepnęłam w końcu.

– Martwiła się o ciebie. Cały czas się martwiła. Chciała twojego szczęścia. Chciała, by ktoś się tobą zaopiekował. By cię rozśmieszał. By dał ci dobre życie. Wpadała do Szopy. Na kawę. Dużo rozmawialiśmy, gadatliwa była. Powiedziała mi, czego ci trzeba. Miał być wysoki. Przystojny. Zmysłny. Opiekuńczy. I namiętny. Ktoś stąd. Tak, abyś mogła tu osiąść i zatrzymać dom. To wszystko mi powiedziała. A ja pomyślałam o Jake’u.

O mój Boże!

– Był wtedy mężem Sloane, ale i tak go zasugerowałam. Może to były mrzonki, ale nie widziałem ich razem, to nie była dobra kobieta. Chociaż ładna. Faceci się oglądali, choć nie miała twojej klasy – rzucił chyba nieintencjonalny komplement. – Ale przystojna. Na początku cała za Jakiem. Ale na początku zawsze tak jest. Złapie takiego faceta, widzi, jaki jest, jak wygląda, i wydaje jej się, że to będzie bułka z masłem. Zdawało jej się, że on wszystko ogarnie, a ona będzie tylko siedzieć i pachnieć. Ale życie to życie i czasem jakiś syf się przypałęta, że się nieładnie wyrażę. Nawet taki facet jak Jake nie uchroni kobiety przed całym złem świata.

Chyba czekał, aż skomentuję, więc powiedziałam tylko:

– Pewnie tak.

– No więc powiedziałem jej o Jake’u – podjął – choć ciągle był mężem Sloane. Ale święty węzeł małżeński przestaje być święty, gdy trafi się na taką babę.

Musiałam histerycznie zachichotać, ledwie się powstrzymałam.

– Lydii wystarczył jeden rzut oka na Sloane, by wyrobić sobie zdanie na jej temat. Za chwilę Jake już był u niej i pomagał czyścić rynny. I nagle jego dzieciaki zaczęły u niej przesiadywać. A Lydia razem z Jakiem pielęła grządki w swoim ogródku, bo lubiła świeże warzywka.

Jake.

To Jake pomagał jej utrzymywać ogród. Pewnie znajdował czas między milionem swoich

zająć, by wpaść i jej pomóc, bo wiedział, że lubiła warzywka, a on lubił ją i chciał, by miała to zapewnione. Zapiekły mnie oczy.

– Znam Jake’a od zawsze. Byłem najlepszym kumplem jego ojca, nawet drużbą na ślubie. Widziałem, jak chłopak dorasta. Lydia wciąż wpadała na kawę, gdy tylko mogła, a jak już nie mogła, to ja przywoziłem jej kawę tutaj. I rozmawialiśmy. I nie wiem, dlaczego nie przedstawiła cię Jake’owi, gdy spławił Sloane. Czekałem całe lata, aż to się stanie.

Wstrzymałam oddech.

– Ale się nie stało.

Przełknęłam.

– A potem zobaczyłem cię, śliczna byłaś, z klasą.

Wymamrotałam jakieś podziękowanie.

– Nie ma co dziękować, to szczerza prawda. A Jake już cię sobie dokładnie obejrzał na wszystkich tych zdjęciach w domu Lydii.

Poczułam węzeł w gardle.

– W takiej dziewczynie można się zakochać ot tak, od samego patrzenia na te zdjęcia.

– Pstryknął palcami.

O. Mój. Boże.

– Tom...

– A jak dodać do tego sposób, w jaki Lydia o tobie mówiła... Wszyscy w mieście wiedzieli, jakie masz dobre serce i jak bardzo ją kochasz. Tak. – Pstryknął raz jeszcze. – Ot tak można było się zakochać.

Przełknęłam, ale napięcie nie zniknęło.

– Ale widzisz... Lata pierwszą klasą, ma taką wymuskaną pracę, zadaje się z bogaczami i gwiazdami. Nosi drogie ciuchy. Ale nie ma przeszłości, nie ma bagażu. Nie ma byłych mężów ani dzieci. Co miał pomyśleć facet z bagażem? Taki, co utrzymuje dzieci forszą z klubu nocnego? Myślał, że na niego nie spojrzysz, że nim pogardzisz i rozejrzysz się za kimś z wyższej półki, nawet mimo tego, że przyjąłby za ciebie kulkę.

– Jake jest z najwyższej półki – powiedziałam odruchowo.

– Dobra odpowiedź – odrzekł łagodnie.

Wyprostowałam się i spojrzałam w jego jasnoniebieskie oczy.

– Zaprosiłabym cię na drinka, ale muszę pilnie skontaktować się z Jakiem.

Skinął głową, uśmiechnął się i odrzekł:

– No ja myślę.

– Ale... może wpadnę jutro na omlet.

– O! I na to będę czekał, Josie!

– Naprawdę miło było cię zobaczyć, Tom.

– Wzajemnie.

Odwrociłam się i ruszyłam z powrotem w stronę auta. Wyminęłam auto Toma, wybierając numer Jake’a i przyciskając telefon ramieniem do ucha.

Odezwała się sekretarka.

– Cholera! – rzuciłam, wyjeżdżając na główną drogę, odczekałam, aż wybrzmi „Spear. Zostaw wiadomość”, i powiedziałam po sygnale:

– Jake... kochanie, ja, to znaczy... musimy porozmawiać. Byłam... A zresztą! Musimy pogadać, jak najszybciej! Jadę autem, daj znać, gdzie jesteś, przyjadę. Tylko oddzwon.

Rozłączyłam się, ale bałam się wypuścić telefon z ręki. Wiedziałam, że Jake czasem porzucał komórkę w biurze i siedł poćwiczyć albo po prostu zapomniał wsunąć telefon do kieszeni.

Siłownia, tam musiałam najpierw pojechać. Wzięłam zakręt i wówczas zadzwonił mój telefon. Z bijącym sercem spjrzałam na wyświetlacz i po chwili poczułam gorzkie rozczarowanie, gdyż dzwoniła Alyssa. Odebrałam, bo wiedziałam, że się o mnie martwi, co zresztą powiedziała mi wprost po tym, gdy oznajmiłam jej, iż zamierzam sprzedać Lawendową Willę i wyjechać. „Kochaniutka, to jest popieprzone i naprawdę, martwię się o ciebie!” – tak właśnie powiedziała.

Musiałam szybko się z nią rozmówić i dostać się do Jake’a.

– Alyssa, to nie jest dobra po...

– Chuj, dupa i kamieni kupa! – wcięła się.

A to odnosiło się do...?

– Wszystko w porządku?

– Nie – krzyknęła. – Moja Sofie siedzi w ciupie!

Co to niby miało znaczyć?

– W więzieniu? – zapytałam bez sensu, no bo przecież nie było możliwe, by aresztowano słodką, cichutką Sofie.

– W kozie, w szkole! – wyjaśniła Alyssa. – W gabinecie dyrektora konkretnie. Właśnie tam jadę i ty lepiej też, bo Conner siedzi razem z nią!

Poczułam teraz już dość poważne ukłucie niepokoją w sercu.

– Co? – prawie krzyknęłam, zmieniając trasę na drogę do szkoły.

– Tak właśnie. Sofie zadzwoniła, totalnie wydygana, paplała bez sensu, dużo słów, mało treści. Zdaje się, że ta cwaniara Mia znowu rozpowiadała na prawo i lewo, jak to Conner zrujnował jej życie. Sofie podsłuchiwała i nie wiem, co w nią wstąpiło, ale wtrąciła się. Zaczęło się od pyskówek, ale chyba Mia przegięła, bo Sofie pchnęła ją na szafkę i kopnęła w goleń. No i się zaczęło. Akurat napatoczył się Conner, który próbował je rozdzielić, ale Sofie pchnęła go przypadkowo na Mię, a ta stwierdziła, że ją zaatakował. Obie wiemy, że to niemożliwe. Żaden mężczyzna o nazwisku Spear nie podniósłby ręki na kobietę, wiemy to, no nie? Donna przez lata prosiła się o lanie i nie dostała nawet prztyczka. I serio, nie będę nawet zaczynać gadać o tym, co trzeba było zrobić z matką Ethana.

O Boże. Biedny Conner. Biedna Sofie. I ta mała cholera, Mia! Co za bałagan!

– Jestem w drodze – rzuciłam.

– Ja właśnie zaparkowałam pod szkołą.

– Jest tam Jake?

– No pewnie, widzę jego samochód. Sofie mi powiedziała przez telefon, że dojechał pierwszy.

To by wyjaśniało, dlaczego nie odbierał. Nie bardzo wiedziałam, czy już mogę sobie pozwolić na odczucie ulgi. Nie wiedziałam, czy Jake chce mnie tu widzieć po tym, co nawyprawiałam, ale przecież musiałam pomóc wyciągnąć Connera z kłopotów.

Muszę po prostu to ogarnąć, cokolwiek miało się wydarzyć.

– Do zobaczenia! – pożegnałam się, ale Alyssa zaczęła mówić:

– Jeszcze jedno, kochana... Jeśli pojawi się ta Mia, to ja nie ręczę za siebie. Sofie opowiedziała mi o tym nękanii i aż mnie krew załała. Więc błagam, powstrzymaj mnie, zrób, co będzie trzeba, bo ostatnie, czego trzeba mnie, to zarzut napaści na nieletnią.

– Zrobię... co będzie trzeba – zapewniłam ją, mając jednocześnie nadzieję, że jednak nie będę musiała nic takiego robić.

Rozłączyła się.

Gdy dostrzegłam auto Jake’a na szkolnym parkingu, serce waliło mi już jak oszalałe. Zaparkowałam i pognałam do szkoły, biuro dyrektora było zaraz przy wejściu, więc tak po prostu

do niego weszłam.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała sekretarka.

Zamarłam, a wówczas usłyszałam głos Jake'a:

– Ta pani jest ze mną.

Stał w drzwiach do gabinetu, wyciągał do mnie rękę. Spojrzał mi w oczy. Myślałam, że nogi się pode mną ugną, tak obezwładniająca była ulga, którą poczułam. Ruszyłam w jego stronę i podałam mu dłoń. Chwycił mnie pewnie i wciągnął do gabinetu.



– Wyjdź! – rozkazał ojciec Mii.

– Ale tato...

– Ani słowa więcej, Mia! – ostrzegł ją. – Mówiłem ci, że masz się trzymać z daleka od Connera Speara. Mówiłem, że jeśli będziesz się przyzwocie zachowywać, to odzyskasz przyjaciół. Nie posłuchałaś. To teraz się przekonasz, jakie mam inne argumenty.

Staliśmy przed budynkiem szkoły. Mia najwyraźniej przegięła i ojciec stracił resztki cierpliwości. W końcu. Zawieszono ją na trzy dni. Sofię zawieszono na jeden. Connera zwolniono wcześniej do domu, bo nie było sensu, by wracał na kawałek ostatniej lekcji. Wielu uczniów widziało zamieszanie i zdecydowano, że lepiej będzie, jak sytuacja rozejdzie się po kościołach.

Obnażono wszystkie okoliczności, Sofie opowiedziała nawet o tym, jak Mia prześladowała ją w przeszłości. Była zdenerwowana, jąkała się, co było nawet urocze, ale musiało ją to kosztować wiele emocji. Przez cały ten czas Conner nie odrywał od niej wzroku. Na światło dzienne wyszło również kłamstwo o ciąży, a wygadał się ojciec Mii, mówiąc:

– Najpierw rozpowiadasz głupoty, że Conner cię zapylił, a teraz znowu jakaś akcja? Co ja mam z tobą zrobić?

Na szczęście dyrektor znał zarówno charakterek Mii, jak i był świadomy faktu, iż Sofie miała stypendium i była gwiazdką szkolnego chóru. Córce Alyssy dostało się za bójkę, a Mii za przemoc werbalną i rzucanie fałszywych oskarżeń.

Patrzyliśmy, jak Neal odprowadza córkę do auta, a gdy oddalili się poza zasięg głosu, Alyssa powiedziała:

– Dałaś czadu, maleńka! – Przyciągnęła córkę do siebie. – Jestem z ciebie taka dumna, nie dałaś sobie w kaszę dmuchać!

Sofie uśmiechnęła się nieśmiało, ale z dumą. Conner chwycił ją za przedramię i wyplątał z uścisku matki.

Alyssie opadły ręce i szczeka chyba też.

– Zawiozę Sofie do domu, pani Harper – oznajmił.

O rety.

– Ale... – zaczęła Sofie i zamilkła pod jego intensywnym spojrzeniem.

– Ja cię odwiozę – powtórzył głosem nieznoszącym sprzeciwu.

O rety. Sofie wyglądała na przerażoną. Potem spojrzała na krwawą pręgę na jego policzku, którą sama zadała, oczywiście niechcący.

– No... dobrze – powiedziała, choć przecież ewidentnie nie miała żadnego wyboru.

Conner kuł żelazo, póki gorące, wziął dziewczynę za rękę i pociągnął delikatnie chodnikiem. Patrzyliśmy oniemiałe, jak odchodzą na parking uczniowski. Sofie co chwile

odwracała się, ale była już zbyt daleko, abyśmy mogły coś wyczytać z jej twarzy. Alyssa spojrzała na mnie, promieniejąc.

– Coś mi się wydaje, że moja córka wejdzie dziś do domu ze smakiem Speara na ustach!
– powiedziała ekstatycznie.

Zacisnęłam usta, usiłując się nie uśmiechać.

– O Jezu... – mruknął Jake.

– Jake, mój drogi – zaczęła uświadamiać go Alyssa. – Może tego nie wiesz, ale dziewczyna nigdy nie zapomina swojego pierwszego pocałunku. Może my już powoli zapominamy, ale to nie ma teraz znaczenia. Myślę, że twój chłopak może podarować jej takie wspomnienie. Jest mądry. Przystojny. No i to słodziak! No i ona bardzo mu się podoba. Całe życie będzie wspominała ten wieczór z uśmiechem. I dla mnie, jako matki, świadomość, że robi to z właściwym chłopakiem, jest bezcenna.

– Czy możemy przestać się tym podniecać? – poprosił Jake.

Alyssa nie zamierzała przestać.

– Ja wiem, dla ojca świadomość, że jego córka za moment będzie się całować, to chwila, w której budzą się w nim mordercze instynkty. Jego syn pocałuje dziewczynę, a on zaraz poleci kupować śpioszki i grzechotki!

– Czyli że nie przestaniemy? – zapytał Jake.

– Dobra, możemy zmienić temat na to, że cholernie się cieszę, iż doszliście do porozumienia. To oznacza, że w sobotę odpalamy grilla. Nie pozwolę, żeby moja Sofie zaczęła odbudowywać mur, który Conner teraz rozbiera cegielka po cegielce. – Strzeliła palcem w stronę Jake'a. – Przyprowadź swojego syna. Ja zapomnę kupić czegoś ważnego. Poproszę Sofie, by pojechała do sklepu, i to on ją tam zawiezie. – Spojrzała na mnie. – Oczywiście, że będę już to miała, bo oni na pewno spędzą w tym „sklepie” sto lat i chyba byśmy umarli z głodu, czekając na ich powrót.

– I ty tak serio stoisz tutaj i knujesz, jak zapewnić mojemu synowi czas sam na sam z twoją córką? – zapytał Jake, nie dowierzając, a Alyssa wzruszyła ramionami.

– Skoro już dzisiaj się za nią zabiera, to nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy mu tego ułatwić w sobotę.

– Proszę ostatni raz. Koniec gadania o tym.

– To powiem ci ostatnią rzecz, Jake. – Alyssa spojrzała mu w oczy. – Pierwszy pocałunek jest niezapomniany, a jeśli pierwszy chłopak jest w porządku, to pamięta się również mnóstwo innych rzeczy. – Spojrzała na mnie wymownie. – A złapanie Speara to z pewnością niezapomniane przeżycie!

Słodkie. I takie prawdziwe. Ani ja, ani Jake nie skomentowaliśmy tego jednak.

– Dobra, muszę frunąć – oznajmiła Alyssa. – Zostawiłam klientkę z farbą na głowie i mam nadzieję, że Lindsay to ogarnęła, bo jeśli nie, to babce wypali wszystkie włosy!
– Pomachała nam paluszkami i odruchtała na szpilach.

Ciało Jake'a przysłoniło mi widok. Stało się, nie było odwrotu. Pewnie będzie wściekły. Wstrzymałam oddech i uniosłam na niego wzrok.

– Siedziałem u dyrektora, kochanie, nie mogłem odebrać.

Odetchnęłam. A może jednak nie. Był po prostu sobą, jak mogłam choć przez chwilę podejrzewać, że będzie się wściekał?

– Rozumiem – odpowiedziałam.

– Jesteś gotowa na tę rozmowę? – zapytał.

Dobry Boże. Jak ja go kochałam!

Czy właśnie dlatego odpowiedziałam „nie”??

Zesztywniał i zmarszczył brwi.

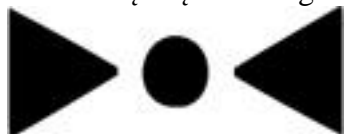
– To, że mi nie powiedziałaś, wciąż się liczy. To, co jest ważne dla ciebie, jest ważne i dla mnie, więc jeśli nie chcesz do tego wracać, to nie musimy. Możemy zamiast tego porozmawiać o tym, co przygotowuję na kola...

Nie dokończyłam, bo zamknął mi usta pocałunkiem. Było całkiem prawdopodobne, że nauczyciele i uczniowie, którzy akurat w tym momencie zdecydowali się wyjrzeć przez okno na parking, doskonale nas widzieli. Nie obchodziło mnie to. Całowałam go jak szalona. Trwało to jakiś czas, po czym odsunął się odrobinę i powiedział:

– Wiesz doskonale, że mógłbym tak długo i wszędzie. Ale trzeba odebrać mojego najmłodszego ze szkoły. Kto to dziś robi, ty czy ja?

– Ja! – odpowiedziałam natychmiast.

Uśmiechnął się. Jak mogłam obyć się bez tego przez całe dwa dni? Tak bardzo tęskniłam!



Amber skończyła odrabiać lekcje u Taylor i dziesięć minut temu wróciła do domu. Gdy tylko weszła i zobaczyła, że szykują posiłek w kuchni, przez jej twarz przebiegło najpierw zdziwienie, potem nadzieja, a potem coś równie pięknego, czego nie byłam w stanie zdefiniować.

– Rzucę plecak na górę – powiedziała i pognąła po schodach do swojego pokoju.

Zdałam sobie sprawę z tego, że fala uderzeniowa mojego niedorzecznie rozdmuchanego dramatu odbiła się nie tylko na Jake'u i na mnie, ale również na dzieciach.

Gdy Ethan zobaczył moje auto przed szkołą, po prostu się do niego wdrapał i oznajmił:

– Lunch był do kitu. Chcę pizzę!

Więc tu nie było uszkodzeń. Conner widział mnie ze swoim ojcem w gabinecie dyrektora. Wyraźnie mu ulżyło, był jednak bardziej zaaferowany swoimi sprawami z Sofie niż naszą sprzeczką. Nie wrócił jeszcze z pracy, ale mieli system zmianowy, więc nie martwiłam się. Teraz wystarczył mi jeden rzut oka na Amber, która w końcu zeszła do kuchni, aby przekonać się, że teraz będę musiała się zmierzyć z konsekwencjami moich czynów.

– Kolacja gotowa – zaczęłam neutralnie. – Ethan na pewno nie zechce czekać na Connera, więc bądź tak dobra i przygotuj mu porcję, wstawimy do piekarnika, żeby nie wystygło.

– Dobra – mruknęła, nawet na mnie nie patrząc.

Nie zabrzmiało to dobrze. Nie mamrotała tak od tygodni. Wyciągając talerze z szafki, knułam strategię, ale to Amber odezwała się pierwsza.

– Nie spieprz tego, co jest między tobą i tatą – wypaliła dość brutalnie.

Stała po drugiej stronie wyspy, patrzyła na mnie, cała dumna i blada. Widziałam, że walczy ze sobą.

– Kochanie...

– Kocham cię, Josie! – wypaliła, a ja myślałam, że serce mi stanie. – Jesteś super. Wszyscy myślimy, że niezła z ciebie petarda. Ja, Con, Eath. Jesteś cool. I z nami tak postępujesz. Ale najważniejsze jest to, żebyś uszczęśliwiła tatę.

Jej słowa były wspaniałe, ale w jej oczach czał się mrok.

– Przez te kilka dni nie był szczęśliwy.

– Amber...

– Najpierw zostawiła go ta głupia lafirynda Mandy. Durna Sloane zostawiła i jego, i Ethana. To jest jakieś szaleństwo. Nie ma lepszego od niego. Ale my wiemy. Ja i Con wiemy,

że to przez nas.

– To nie jest prawda – powiedziałam jej.

– To prawda – wypaliła ostro. – One chciały tylko jego. Nie chciały nas.

Nie odpowiedziałam, bo to samo wynikało z opowieści Jake’a. Świadomość, że Amber i Conner również to wiedzą, bardzo bolała.

– Ale pozbialiśmy się – stwierdziła.

– Wiem o tym, kochanie.

Nie potwierdziła nawet najmniejszym grymasem, że mnie usłyszała.

– Po prostu nie skrzywdź znowu taty.

Zebrałam się w sobie i podeszłam do niej, ujmując jej twarz w dłonie.

– Tata i ja odbyliśmy bardzo nieprzyjemną rozmowę – zwierzyłam się. – Źle ją zniosłam.

Nie mam zbyt wiele doświadczenia z mężczyznami, ze związkami, ale to żadna wymówka. Nawet nie o to chodzi, że źle to zniosłam. Po prostu zareagowałam nieproporcjonalnie. Ale przemyślałam sobie wszystko i wiem, że kocham twoją tatę, kocham was i nigdy już nie zrobię niczego tak głupiego.

Nie dotknęła mnie, nie odezwała się, dlatego mówiłam dalej:

– To nie będzie łatwe, Amber. Każdy z nas ma swój bagaż i będziemy powoli się docierać. Mam jednak nadzieję, że zbudujemy coś bardzo trwałego na fundamentach, które już udało nam się razem postawić. Przepraszam, że tak zniknęłam. To był błąd. Mogę tylko obiecać, że więcej to się nie powtórzy.

– Nigdy?

Wiedziałam, że muszę odpowiedzieć szczerze i że dla niej ta odpowiedź ma kluczowe znaczenie. Wiedziałam przecież, że jest tylko jedna odpowiedź. Wiedziałam, że Jake nigdy nie dopuści się wobec mnie przemocy. Wiedziałam, że nie zrani mnie słowami. Nie będzie mnie zdradzał. Nie będzie przegrywał pieniędzy, kradł, gwałcił i rabował. Wiedziałam.

– Nigdy – obiecałam jej bez wahania.

Zamknęła oczy i oparła czoło o moje usta, uniosła dłonie i chwyciła mnie za nadgarstki.

– Kocham cię, moja słodka dziewczynko – szepnęłam.

Odsunęła się i odpowiedziała z uśmiechem:

– Dobrze, że wróciłaś Josie.

Dzięki niebiosom!

Wróciłyśmy do podawania kolacji. Wręczyłam jej porcję dla Connera i otworzyłam szufladę, żeby wyciągnąć sztucce.

Uniosłam głowę znad widelców, gdy odezwał się sygnał przychodzącego esemesa. Amber sięgnęła do kieszeni, spojrzała na wyświetlacz i schowała go z powrotem. Niezwykle. Zawsze natychmiast odpisywała.

– Wszystko dobrze? – spytałam.

– Ta – odrzekła.

– Amber! – zawołałam, bo widać po niej było, że jednak niedobrze.

Spojrzała na mnie.

– Wszystko okej? – powtórzyłam.

– Mama ciągle mnie męczy – powiedziała w końcu.

– Co to znaczy, że cię męczy? – zapytałam ostrożnie.

– Chce mnie zabrać do kina w weekend.

– Ach tak... – mruknęłam.

– Już odpisałam, że nie, ale coś to do niej nie dociera. O kinie drugi raz nie wspomniała, ale pyta, co słyhać. Chce mnie zabrać na kawę. Wysłała mi nawet zdjęcie swetra na wystawie

i stwierdziła, że by mi pasował. Pyta, czy go chcę.

– A chcesz? – zapytałam, udając obojętność.

– Odpisałam jej „jak ty chcesz”.

– Ale podoba ci się ten sweterek?

Spojrzała w talerz dla Connera.

– Tak, bardzo fajny.

Uśmiechnęłam się i sięgnęłam do drugiej szuflady po serwetki.

– Wobec Connera też jest taka upierdliwa.

– Naprawdę? – zapytałam, wybierając serwetki.

Gdy spojrzałam na nią, przyglądała mi się podejrzliwie.

– To twoja sprawka.

To chyba było oskarżenie. A może nie.

– Tak – przyznałam się.

– Wezmę ten sweter, bo jest fajny – powiedziała Amber z naburmuszoną miną. – Ale nie będzie żadnych kawek ani kina.

– Ty ustalasz granice, kochana – powiedziałam, podchodząc do wyspy.

– To możesz jej to powiedzieć, jak ją spotkasz.

Nie zamierzałam tego robić, więc nie odpowiedziałam.

– Josie?

Spojrzałam na nią niewinnie.

– Kocham cię, ale ty też potrafisz być strasznie upierdliwa!

Uśmiechnęłam się. Przez chwilę patrzyła na mnie naburmuszona, po czym odpowiedziała uśmiechem.



Taki ton Jake’a lubiłam najbardziej: niski i mrukliwy, zapowietrzony z rozkoszy.

– Nie chcesz czuć tego w gardle, mała, wierz mi! – wydyszał.

No to chyba jeszcze mnie nie znał. Pracowałam niestrudzenie wargami i językiem, moja głowa unosiła się i opadała. Czułam, jak napinają się jego uda, jak ściska nimi boki mojego ciała. Patrzył na mnie, a jego oczy płonęły.

Wiedziałam, co to wszystko znaczy, więc uwolniłam go i pełzałam w górę, całując jego brzuch, pierś i szyję, a gdy doszłam do ucha, poczułam, jak zaczyna wślizgiwać się do środka, najpierw ocierając się o wejście, gorący i twardy. Przytrzymał mnie na sobie i przetoczyliśmy się po materacu. Przejął inicjatywę. Poruszał się wolno, rozkoszując się każdym pchnięciem, jednocześnie eksplorując wnętrze moich ust językiem. Oplotłam go nogami w pasie, jedna zsunęła się na udo. Nabrał rozpędu, a ja czułam, jak rozkoszne napięcie narasta. Uniósł głowę, już tylko muskał ustami moje, patrzył mi w oczy. Trawił mnie żar i jego również, ale wewnątrz płonęło coś jeszcze, jakiś płomień, który miał już nigdy nie zgasnąć.

Miłość.

Zacisnęłam nogi, wplotłam dłoń w jego włosy i szepnęłam:

– Kocham cię, Jake!

Przypieszył, nasze oddechy się mieszały.

– Cholera, mała...

– Wszystko w tobie kocham.

– Cholera, Josie! – mruknął.

Czułam, jak moje mięśnie mrowią, jak się spinają, jak nadchodzi spełnienie. Traciłam ostrość widzenia.

– Josie...

Próbowałam się skupić, ale byłam już tak blisko, wiedziałam, że za moment rozkosz eksploduje we mnie, jak zawsze, gdy to robiliśmy, wolniej, szybciej, spokojniej, na wariata, jak zawsze, gdy mnie brał.

Nie chciałam dłużej czekać.

– Kochanie... – szepnęłam bezradnie.

– Patrz na mnie, gdy mówię ci, że cię kocham! – rozkazał.

Wyostrzyłam wzrok i spojrzałam na ukochanego, na mężczyznę, którego miłością byłam ja.

– Kocham cię, maleńka!

Poczułam to wyznanie, przeszło mnie i jęknęłam przeciągle, a on pochwycił ustami mój krzyk rozkoszy. Po chwili również skończył, mrużąc rozkosznie, nie przestając mnie całować. Nie mogliśmy przestać, nawet po tym, gdy już wyslizgnął się ze mnie i leżeliśmy przytuleni. Całował mnie całą, każdy zakamarek mojego ciała, jakby chciał przypieczętować to wyznanie, składając pocałunek na każdym centymetrze mojej skóry. Odpłynęłam, gdy zatrzymał usta między moimi udami i po chwili znowu byłam na szczycie. Położył się na mnie i patrzył mi głęboko w zaszklone rozkoszą oczy.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczął i chyba wiedziałam, co chce wyznać, ale tak naprawdę wcale nie chciałam tego usłyszeć.

– Nie musisz.

– Mała...

– Nie musisz, Jake.

– Gdy tak leżysz pode mną, rozczochrana, wymęczona, a twoje ciuchy walają się po podłodze, wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

Poczułam napływające do oczu łzy.

– To ja nie chciałem poznać cię osobiście.

O Boże.

– Kochany...

– Lydia wciąż mnie namawiała, prosiła, chyba z milion razy. Przed każdą twoją wizytą. Wymyślała jakieś preteksty, żeby cię tu ściągnąć, abyśmy w końcu się poznali. Wychodziła z siebie, żeby to się w końcu stało. Dała mi twój adres mailowy. Twoje konto na Skypie, chciała nas sobie przedstawić choćby internetowo.

– Kochany, nie musisz...

– Gdy pierwszy raz wszedłem do Lawendowej Willi, to zdjęcie stało na stoliku za kanapą. Byłem wtedy ze Sloane, już się między nami psuło. Co nie zmienia faktu, że byłem fiutem, bo wystarczyło mi jedno spojrzenie na to zdjęcie i się zakochałem.

O... mój... Boże.

Łza stoczyła mi się po skroni, a Jake starł ją kciukiem, ale nie przestawał mówić.

– I potem z każdym zdaniem, kiedy o tobie mówiła, wpadałem w to głębiej. Wiedziałem, że gdybyśmy się poznali, gdybyś mnie odrzuciła, to nie zniósłbym tego. Nie chciałem na to pozwolić. Lydia naciskała, ale dość łagodnie. Nie chciała mnie stracić. Widziałem jednak, że ta sprawa nie daje jej spokoju. Nie poddawała się. Dała mi to zdjęcie. A potem dała mi listy.

– Jake...

– W ten sposób dała mi ciebie. Całą. I znając tę prawdę, stwierdziłem, że zasługujesz na

kogoś lepszego.

O Boże!

– Proszę, kochanie... – szepnęłam.

– Chciałam, byś znalazła tego księcia, tego wymarzonego. Łagodnego, cierpliwego, wyrafinowanego, odnoszącego sukcesy. Ja taki nie byłam.

Zacisnęłam powieki, wytoczyły się kolejne łzy.

– Zmarnowałam całe lata... – szepnął poruszony, żal pobrzmiwał w jego głosie.

– Przestań!

– Gdybym tego nie spieprzył, gdyby nie było za późno, próbowałbym cię namówić na dziecko.

– Przestań... – Usiłowałam chyba zamknąć mu usta dłońmi.

– Nie sądziłem, że zechcesz kogoś takiego jak ja.

– W tobie jest wszystko – odpowiedziałam.

Pokręcił głową.

– Nieprawda. Mam trójkę dzieci z dwiema różnymi kobietami, byłem trzykrotnie żonaty. Prowadzę siłownię, która ledwie na siebie zarabia i pieprzony klub go-go, w którym zarabiam na ciuchy i auta dla moich dzieci. Wiem z doświadczenia, że niewiele kobiet chciałoby faceta z takim bagażem. Może chciałyby mnie, ale nie to, co się za mną ciągnie. Chciałbym dać ci więcej. Ale nie mogę pozwolić sobie na to, by latać z tobą pierwszą klasą po całym świecie.

– Dlaczego miałabym chcieć latać po świecie, skoro mogę być tu z tobą?

Chyba nie zrozumiał.

– Przez całe życie pragnęłam tylko ciebie, Jake – powiedziałam, gdy wciąż patrzył na mnie osłupiały. – Pragnęłam cię, zanim dowiedziałam się o twoim istnieniu. Chciałam kogoś przystojnego i silnego, opiekuńczego i namiętnego. Jesteś wszystkim, o czym marzyłam.

– Kochanie – zaczął. – Spójrz na swoje niedawne życie. Spójrz na moje. Czy rozumiesz, dlaczego tak myślałem?

– Rozumiem – przytaknęłam. – Ale czy ty rozumiesz, że osoba, która mnie znała najlepiej, wiedziała, czego pragnę i co będzie dla mnie dobre? I to ona wybrała ciebie dla mnie.

Nie odpowiedział, co chyba było potwierdzeniem.

– Robiłeś, co uważałeś za słuszne, ale w końcu to się stało. I mam swoje marzenie. A skoro twoje uczucie wobec mnie jest szczerze, to mam nadzieję, że ty również masz to, czego pragnąłeś. Czy możemy już teraz patrzeć do przodu?

– Wiem, że chciałaś dzieci, Josie.

– I teraz je mam, Jake.

Przywarł do mnie, a ja pociągnęłam w dół jego głowę i pocałowałam go, unosząc się nieco, po czym znów opadając na poduszki.

– Dziękuję, że mi to wszystko dałeś, kochany. Bo przecież nie musiałeś dzielić się ze mną swoją rodziną. Podzieliłeś się jednak i to jest teraz mój największy skarb. No i serio, czy możemy już skończyć ten temat i iść dalej?

– To mnie będzie uwierać, małeńka, ta świadomość, że mogłem cieszyć się tobą dłużej, dać ci więcej, gdybym tylko nie myślał wyłącznie o własnym bezpieczeństwie.

– Wynagrodzę ci ten stracony czas – obiecałam.

– Jak ja cię kocham, do cholery!

Mógł mi to mówić przez cały czas. Nawet jeśli dorzucał niecenzuralne słowo.

– A ja ciebie – powiedziałam. – A teraz będę zobowiązana, jeśli mnie wypuścisz i pozwolisz mi się oporządzić. Zanim się obejrzymy, będzie szósta rano, a jutro muszę pogadać z projektantem wnętrz. Przenosimy się do sypialni na górze, tej z łazienką, więc nie będę musiała

tuptać na paluszkach po seksie, by nie zbudzić dzieci.

– Chcesz, żebyśmy wprowadzili się do Lawendowej Willi? – zapytał.

– Twój dom jest świetny, Jake, w końcu sam go odnowiłeś i dzieciaki dobrze się w nim czują. Ja również. Ale wszyscy wiemy, że tutaj jest o wiele fajniej.

– To prawda – szepnął, gładząc mnie po twarzy.

– Ale muszę zerwać tapetę w głównej sypialni... Te kwiatuszki... – Odpłynęłam myślami, na nowo urządzając pokój.

– To prawda – powtórzył Jake.

– Zejdiesz ze mnie w końcu? – spytałam.

– Tak i nie.

– Co?

– Nie, bo... – Pochylił się i pocałował mnie głęboko, długo, słodko. – A teraz już tak – powiedział, oderwawszy w końcu usta od moich.

Śmiałam się, gdy się ze mnie zsuwał. Wyciął całe jego ciało, od szyi po uda, wychodząc. Chciałam przypieczętować to uczucie, całując każdy centymetr jego skóry. Bardzo mu się to podobało.

Wzięłam szybki prysznic, narzuciłam frywolną nocną koszulkę i wróciłam do łóżka. Gdy gasił światło, szepnęłam:

– Tak, przy głównej sypialni w Lawendowej Willi jest o wiele lepsza łazienka...

– Ta... – mruknął i czułam, że odpływa.

Umościłam się wygodniej w jego ramionach.

– Dobrze, że wróciłaś, Śliczna... – usłyszałam jeszcze.

Po chwili zasnęłam, wtulona w mojego mężczyznę, z zamierającym na ustach uśmiechem...



– Hej, Josie!

To Jake mnie wołał.

Było wczesne popołudnie. Myszkowałam w pokoju z widokiem w poszukiwaniu dyktafonu.

– Na górze! – krzyknęłam, przewalając antyczne skarby w biurku Buni; musiałam jutro wszystko tu posegregować i uporządkować.

Nadeszła najwyższa pora, by się zorganizować, bo na jutro nie tylko umówiłam dwóch dekoratorów, ale miałam jeszcze dokończyć negocjacje w sprawie pracy u tego obiecującego projektanta. Moje warunki były następujące: dwie tygodniowe wizyty w Nowym Jorku rocznie i okazjonalne pojawianie się na co ważniejszych pokazach. Skoro miałam rozpocząć pracę, potrzebowałam uprzątniętego biurka. Chciałam urządzić tu swoje biuro, bo to na powrót zbliżyłoby mnie do Buni. Miałam nadzieję, że moje warunki zostaną przyjęte.

– Mała!

Spojrzałam w stronę spiralnych schodów, gdzie pojawiła się głowa Jake'a.

– Cześć, kochanie!

– Jak tam idzie? – zapytał, podchodząc do mnie.

– Jutro mam dwa spotkania z ludźmi od wewnątrz. No i dzwoniłam do Nowego Jorku, rozważają moje warunki – odpowiedziałam, nie przestając gmerać w szufladzie.

– No tak. – Poczułam, że zatrzymuje się przy biurku, bo przecież nawet na niego nie patrzyłam. – Czego szukasz?

Przesunęłam po blacie kopertę z kasetą.

Spojrzał na pismo i natychmiast je rozpoznał. Uniósł wzrok na mnie.

– Od Lydii?

– Była w skrytce bankowej – wyjaśniłam.

– O w mordę – mruknął.

Znowu spojrzałam do szuflady.

– Szukam jakiegoś dyktafonu, żeby ją odtworzyć.

Jake otworzył sąsiednią szufladę.

– Tu jest.

Nagle zabrakło mi tchu ze zdenerwowania.

– Śliczna. – Musiał to zauważyć, bo jego głos był łagodny, nienachalny. – Możesz z tym poczekać.

Pokręciłam powoli głową.

Usadził nas oboje tak, jak lubił. Oparłam się plecami o jego ciało, poczułam wokół siebie jego ramiona i wiedziałam, że jestem bezpieczna, chroniona, nie tylko fizycznie.

– Gotowa? – szepnął mi do ucha.

– Tak – odszepnęłam, patrząc na morze.

Usłyszałam klik, potem przez kilka sekund tylko szum taśmy, a w końcu głos Buni:

Josie, Stokrotko moja, skoro tego słuchasz, to znaczy, że mnie już nie ma.

Zamknęłam oczy, zacisnęłam powieki.

I na pewno już poznałaś Jake'a.

Poczułam, że przyciska mnie mocniej do swojego ciała.

Od chwili, gdy go zobaczyłam, wiedziałam, że jest twoim ideałem. A gdy spojrzał na twoje zdjęcie, przekonałam się, że ty również jesteś jego ideałem.

O Boże!

Jakiś nieartykułowany dźwięk wyrwał się z mojego gardła, tłumiony szloch, gdy łzy podeszły mi do oczu.

Najpewniej znasz już zapisy testamentu, Arnio już ci go przeczytał. Pewnie jesteś zdziwiona, może nawet zaniepokojona. Nie chcę zranić cię tym wyznaniem, ale wiedziałam, nawet po tym wszystkim, co mi opowiedziałaś o swoim życiu, że nie jesteś szczęśliwa. Martwiłam się. Twierdziłaś wprawdzie, że jesteś zadowolona, ale zadowolenie to za mało. Pragnęłam dla ciebie pełni szczęścia, moja Stokrotko. Wiedziałam, że to właśnie ja muszę się o to zatroszczyć. Dałam więc cię Jake'owi, a tobie dałam Jake'a. On cię uszczęśliwi, moja kochana Josie.

Czułam, jak po moich policzkach toczą się łzy.

Teraz powiem ci parę rzeczy, które musisz wiedzieć.

Ton Buni zmienił się na rzeczowy i profesjonalny.

Conner, najstarszy syn Jake'a lubi kolekcjonować dziewczyny. To nic dziwnego dla chłopaka w jego wieku, jednak Conner ma ukryte motywy, których sam nie jest świadomy. Jest zapatrzony w ojca, ale jest również inteligentnym obserwatorem. Widział, jak jego ojcu nie układa się w miłości, i teraz on sprawdza wszystkie opcje, żeby nie dokonać niewłaściwego wyboru. Robi to jednak w bardzo kiepski sposób. Będziesz musiała się tym zająć.

Oboje się zaśmialiśmy.

I choć się do tego nie przyzna, mógłby jeść tylko białko i węglowodany, co w praktyce sprowadza się do mięsa i pieczywa, a przecież chłopak w tym wieku potrzebuje warzyw. Jak

wspomniałam, nie przyzna się, ale lubi groszek.

– Groszek... – szepnęłam, o tym dotychczas nie pomyślałam.

Amber, córka Jake'a, jest zauroczona bardzo niewłaściwym chłopakiem. To słodka dziewczyna, ale nie jest świadoma swoich zalet. Myśli, że zwrócenie uwagi tego chłopaka to jakieś wielkie szczęście, nie chce dopuścić do siebie, że to raczej pech. Musisz znaleźć jakiś sposób na to, by do niej dotrzeć i wypłatać ją z tej relacji. Z tego, co opowiadała, widzę wyraźnie, że ten cały Noah nie jest jej wart, ale nie byłam w stanie przekonać jej do moich racji. Proszę, rozwiąż to jakoś, bo ona zasługuje na kogoś lepszego.

Uśmiechnęłam się szeroko.

W końcu Ethan, najmłodszy... To kochany chłopiec, co mogę więcej o nim powiedzieć? Kochany malec, który potrzebuje matki.

Przestaliśmy się śmiać.

Wiem, że godnie mu ją zastąpisz, Kwiatuszku. Miej oko na to, co je, bo dziecko w tym wieku jest nieustannie głodne. Czasem opycha się bez umiaru, a potem to odchorowuje. Wierzę, że ogarniesz ten problem.

Poczułam ciepło, nie tylko ramion Jake'a. Przytulił mnie do siebie jeszcze mocniej.

Mogłabym wiele ci opowiedzieć o samym Jake'u, ale nie zrobię tego. Mam przeświadczenie, że on sam odkryje się przed tobą, w swoim tempie. Pozwól mu na to, pozwól mu pokazać ci siebie tak, jak on zechce to zrobić. Obiecuję ci, moja droga, że nie będziesz żałować, że zapragniesz usłyszeć wszystko, co ma ci do powiedzenia.

Wbiłam palce w rękę Jake'a.

A teraz posłuchaj uważnie, dziewczynko, i nigdy nie zapomnij tego, co powiem. Nigdy nie jest za późno na uchwycenie swojego szczęścia, bez względu na to, jak życie cię przeczło. Wiem, że się ukrywasz, że nosisz maskę. Wiem, dlaczego to robisz. Pora jednak wyjść z cienia, rzucić przebranie. Znalazłam kogoś wyjątkowego, kto ci pomoże, kto poprowadzi cię do światła. Proszę, Josie, weź Jake'a za rękę i pozwól mu to zrobić.

Łzy płynęły już wartko. Czułam, że Jake opiera brodę na mojej głowie.

Kocham cię, moja Josie. I jestem przekonana o słuszności swoich słów, bo przesłam w życiu wiele i to wszystko sprawiło, iż nabrałam przekonania, że nigdy nie odnajdę szczęścia. Co najwyżej zadowolenie. Ale gdy ty pojawiłaś się w moim życiu, poznałam, co to szczęście.

Moje ciało podskoczyło od tłumionego szlochu.

Dziękuję ci, Kwiatuszku, że rozjaśniłaś moje życie. Byłaś moim największym skarbem, od momentu swoich narodzin, aż do tej chwili, w której tu siedzę i mówię do ciebie. Będziesz nim nawet w momencie, w którym zaczerpnę ostatni oddech, i wierzę, że i wówczas, gdy go wypuszczę. Jesteś skarbem, zawsze nim byłaś i zawsze będziesz.

Szlochałam, wtulając policzek w szyję Jake'a, łzy moczyły jego skórę.

Przekaż Jake'owi i jego dzieciom, że zajmowali bardzo ważne miejsce w moim sercu. Choć byłaś obecna w moim życiu, w chwilach, w których nie znajdowałaś się przy mnie, czułam pustkę. Oni ją wypełnili, dając mi radość. Ogromną radość i piękno.

– Jezu... – Teraz to Jake mruknął ochryplym głosem.

Wiedziałam, co czuje, więc przytuliłam się bardziej, a gdy rozległy się ostatnie słowa, odetchnęłam głęboko.

Wiem, że twoje życie wypełnią tym samym, jeśli tylko im na to pozwolisz. Zrób to, Stokroteczko. Żegnaj, kochana dziewczynko. Zawsze będę cię kochać, prawdziwie i szczerze.

Klik.

Zaległą ciszę przerywał tylko mój szloch.

Jake odłożył dyktafon i zaczął uspokajająco gładzić mnie po włosach, po twarzy. Nie

wiem, jak długo tak siedzieliśmy. Może kilka minut, może kilka godzin. Nie puszczał mnie.

– Zapewniła mi wszystko, co mogła... – szepnęłam w końcu ochryłym od płaczu głosem. Oczy mnie piekły.

– Tak, kochanie...

– A potem umarła i dała mi jeszcze więcej.

– Mnie też to dała, Śliczna. – Poczułam, jak porusza się pode mną.

Tak, jemu również dała to, czego pragnął.

Przymknęłam oczy, a po chwili otworzyłam je szeroko.

– Muszę tu ogarnąć i jechać po Ethana.

Życie. Zwykle, wspaniałe życie.

Patrzyłam zafascynowana, jak jego oczy, odbijające niebo zlewające się za oknem z morzem, zmieniają kolor ze stalowego na niebieski.

Odbijało się w nich również szczęście.

EPILOG

Na zawsze i całym sercem

– Gotowe? – zapytał Jake.

Arnie przytaknął z uśmiechem.

– Tu masz wszystko.

Jake spojrzał na podawaną mu kopertę, zastanawiając się, jak coś tak ogromnego mogło się w niej mieścić.

– Tato!

Spojrzał w stronę głosu Ethana. Chłopiec, odziany w smoking, gnał w jego stronę tak szybko, że nie był w stanie wyhamować i łupnął z rozpędu w jego ciało.

Jake złożył mu dłoń na ramieniu. Ethan spojrzał na niego rozemocjonowany i zapytał:

– Czy to jest właśnie TO?

Jake chciał dobrze zapamiętać wyraz jego twarzy.

– Tak, młody, to jest właśnie to – potwierdził.

– Ale super! – westchnął Ethan, odskoczył, wrzeszcząc: – Lecę po Connera i Amber.

Możemy, możemy??

Oczywiście, że mogli.

– Pewnie – potwierdził Jake, a Ethan wystrzelił jak z procy.

– To najprawdopodobniej najpiękniejszy prezent, jaki możesz im dać. – Arnie patrzył na mężczyznę. – Cieszę się, że miałem w tym swój udział.

– Satysfakcja nie wystarczy, zamierzam uregulować rachunek – powiedział z uśmiechem Jake.

Arnie pokręcił przecząco głową.

– O nie, Jake. To mój prezent dla ciebie, Josie i dzieciaków. Cieszcie się tym wspaniałym dniem.

Zanim Jake zdążył zaprotestować, Arnie poklepał go po ramieniu i odszedł.

Jake przez moment patrzył za nim, po czym odwrócił wzrok w stronę zgromadzenia.

Na tyłach Lawendowej Willi rozstawiono białe namioty, pod którymi stały udekorowane kwiatami stoliki. Bukiety zrobiono z ogrodowej lawendy, białych róż i konwalii.

Morze połyskiwało w słońcu.

Z ogrodowych grządek wyłaniały się młode pędy upraw.

Wsparta pergolą wisteria była jednak w rozkwicie, fioletowe płatki tańczyły, unoszone bryzą, jak konfetti. Powiało w chwili, w której ogłoszono Josie jego żoną, a on ją pocałował. Jakby natura chciała usankcjonować ten związek. Nie zauważył tego, tak bardzo był zaangażowany w całowanie świeżo poślubionej żony. Alyssa pokazała mu to na zdjęciu, które zrobił telefonem Junior, twierdząc, że to było „kurde magiczne”.

Faktycznie, zdjęcie było magiczne.

Teraz widział, jak Ethan odciąga Amber od Alexiego, Taylorów i młodego Wentwortha. Dosłownie wywlekał ją z objęć Alexiego. Kieran obejmował Taylor w taki sam sposób.

Uśmiechnął się. Taylor była piękną, lojalną, słodką dziewczyną, każdy chłopak chciałby mieć taką. Ale to przecież Josie zwróciła na to uwagę Kierana.

Młodszy syn i córka w lawendowej sukni druhnny zmierzali w jego stronę.

Conner, bardzo elegancki, siedział rozparty na krześle nieopodal. Sofie siedziała obok, a chłopak trzymał rękę na oparciu jej krzesła.

Sofie przypominała mu nieco młodą Josie, więc Jake wcale się nie dziwił, że w końcu im

się ułożyło i zapowiadało się to na poważny związek. Conner był szczęśliwy. Sofie również. Alyssa prawie skakała z radości i nawet Junior jakoś specjalnie nie protestował. Jake również, w końcu jego córka także znalazła chłopaka i musiał się z tym pogodzić.

Za kilka miesięcy Conner miał rozpocząć naukę na uniwersytecie w Bostonie, co było totalnie do kitu. Jake jednak wiedział, że będzie wpadał w odwiedziny do staruszka, do rodziniki i do swojej dziewczyny.

Conner spojrzął na rodzeństwo i poczuł, że pora nadeszła. W końcu mieli to już wcześniej zaplanowane.

Zanim do niego podeszli, Conner szepnął coś na ucho swojej dziewczynie i wstał, a ona odpowiedziała uśmiechem. Cmoknął ją przelotnie, spojrzął na ojca, który skinął porozumiewawczo, i ruszył od stolika.

Jake obrzucił wzrokiem tłumek. Donna siedziała przy Alyssie, również odzianej w kolory drużyny, panie gawędziły, jego była żona się uśmiechała.

Donna się pozbierała, choć długo to trwało. I oto był rezultat jej wysiłków. Conner i Amber wprawdzie nie pomieszkiwali u niej, ale cała trójka regularnie się spotykała. Josie to nie wystarczało i posuwała się do tego, że zapraszała Donnę do nich przy różnych ważnych okazjach, jak święta czy urodziny. Choć to Josie postanowiła zwrócić jego dzieciom rodzoną matkę, trzeba było przyznać, że Donna również wykonała kawał dobrej roboty. Goście rozmawiali, pili i skubali różne wymyślne przekąski, które serwowali kelnerzy na srebrnych tacach.

Byli tu wszyscy jego bliscy: Bert, Troy, Mickey, Coert, Pearl i Junior. Wielebny Fletcher z żoną. Rodzice dwójki Taylorów. Nawet stali bywalcy siłowni i dzieciaki z bokerskiej ligi juniorów wraz z rodzicami. Bramkarze ze swoimi dziewczynami i klubowe tancerki ze swoimi chłopakami. Wśród gości przechadzali się Jean-Michel DuChamp, ten wizażysta, Acadie prosto z wybiegu i nawet frontman Bounce, Lavon Burkett. Josie pozapraszała nawet kilku projektantów, więc Amber prawie dostała jobla, gdy o tym usłyszała, i jeszcze kilku piosenkarzy i raperów, więc jego synowie również prawie dostali jobla.

Josie i Amond stali na krawędzi klifu, za plecami mieli panoramę morza. Rozmawiali poufale.

Ta suknia naprawdę była fenomenalna. Gdy zobaczył ją zmierzającą w stronę ołtarza, wspartą na ramieniu Toma, w asyście jego synów i druzhen, zaparło mu dech.

Biały materiał przylegał do ciała, skromny dekolt z przodu pięknie podkreślał biust, a głęboki z tyłu kusząco obnażał plecy. Sukienka sięgała kolan, za którymi pieniał się lekki, falbaniasty trenik. Żeby nie było zbyt odważnie, całość przykrywała warstwa lawendowej koronki, od szyi aż do kolan.

To była cała Josie.

Klasa. Styl. Piękno absolutne.

Szkoda, że upięła włosy. Choć fryzura była świetna, wiedział, że zniszczy ją przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Dzieci podeszły do niego.

– Con, zdobądź, proszę, coś do pisania – powiedział, a chłopak sięgnął do wewnętrznej kieszeni smokingu.

– Jestem przygotowany – oznajmił, a Jake się uśmiechnął.

– Tato, no zróbmy to w końcu! – niecierpliwił się Ethan.

No tak, w gorącej wodzie kąpany, jak zawsze. Robił to nie tylko dla Josie, ale i dla siebie, dla dzieci. Ale głównie jednak dla Josie i Ethana.

– Hej, Śliczna! – zawołał.

Odwróciła się do niego. Nawet z tej odległości dostrzegł przy jej uszach błysk diamentów i ametystów odziedziczonych po babci. Ale to diamenty i ametysty od niego połyskiwały na jej nadgarstkach. Na palcu miała wielki pierścionek z brylantem, z którego pomocą oświadczył się przy choince, w obecności dzieci. Josie zabrała Amber do Nowego Jorku, skąd przywiozły suknię. Dopiero podczas ceremonii zobaczył ją w tym wszystkim, bo panie nie pozwalały mu spojrzeć na pannę młodą przed ślubem. Trochę go to wkurzało, bo choć lubił różne świąteczne tradycje, to wszystkie te przygotowania sprawiły, że kilka nocy spędził w pustym łóżku. A to już mu się nie spodobało. Koniec końców musiał im podziękować, bo zobaczenie Josie tak cudnej tuż przed wygłoszeniem przysięgi małżeńskiej było warte tych wyrzeczeń.

Teraz gestem poprosił ją, by do nich podeszła. Widział, jak przewraca oczami i rusza w ich kierunku. Szepnęła coś Amondowi i oczywiście potknęła się, bo obcas jej buta utkwiał w trawie, a trenik zaplątał się między kolanami. Na szczęście mężczyzna miał refleks i przytrzymał ją. A ona zakłęła pod nosem. Co za uroczą niezdara! Jego żona.

Po uratowaniu Josie przed katastrofalną glebą Amond zdecydował, że podprowadzi ją do męża i dzieci.

– Wzywałaś? – zapytała, a Jake nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dzięki, stary – powiedział do Amonda.

– Zielone plamy kiepsko by się komponowały z kolorem sukni – podsumował.

Jake znowu się roześmiał, ale widział, że dzieciaki są spięte. Czas było to załatwić, a Josie najwyraźniej niczego się nie spodziewała, bo znowu przewróciła oczami. Objął ją, przyciągnął do siebie i powiedział:

– Dzieciaki mają dla ciebie ślubny prezent.

Uśmiechnęła się i oznajmiła:

– Jak uroczo!

Ewidentnie nie miała pojęcia, co się kroi.

Amber przygryzła wargę, Conner uśmiechnął się nerwowo. Ethan nie wytrzymał, chwycił Josie za rękę i pociągnął ją w stronę domu.

– No daleeej! – wrzasnął.

Josie spojrzała pytająco na męża i cała podekscytowana podążyła do budynku.

Najstarszy i najmłodszy Spear poprowadzili ją za ręce do saloniku, Amber i Conner za nimi, Amond został na ganku. Na parterze nic się nie zmieniło. Przed przeprowadzką, która miała miejsce podczas świąt, urządzono tylko pokoje dzieciaków, by dokładnie pasowały do ich wyobrażeń. A z głównej sypialni usunięto wszystkie kwiatuszki, co do jednego. Dominowały tutaj teraz biele, beże i szarości. Sypialnia stała się stylowa. Zamówiono pościel najwyższej jakości. Jake co wieczór czuł się tak, jakby kładł do łóżka swoją kobietę w pięciogwiazdkowym hotelu.

Dzieci spały piętro niżej, a ściany były solidne i dźwiękoszczelne. Mogli sobie hałasować do woli. I hałasowali.

– Dobra, zrobmy to w końcu! – zapiał Ethan, gdy zatrzymali się na środku pokoju.

– Dobrze już, dobrze, młody. – Jake usiłował przytłumić nieco jego entuzjazm spojrzeniem, ale i jemu już udzieliła się ekscytacja. – Ty to zrób. – Wręczył chłopcu kopertę.

I teraz młody zaczął się denerwować. Conner, widząc, że zanoszą się na jakiś atak paniki, wkroczył do akcji.

– Dobra, Josie, dużo o tym gadaliśmy – wskazał głową na rodzeństwo – co by ci tu dać w prezencie ślubnym. Tobie i tacie. I to był pomysł Amber. Namówiła mnie i Eatha, a on od razu cały się podniecił. Więc pogadaliśmy z tatą i on już wie.

– Jasne, kochanie – powiedziała Josie, choć wciąż nie miała pojęcia, ścisnęła tylko dłoń

Jake'a w oczekiwaniu.

– Tata był u prawników – wtrąciła się Amber, a oczy Josie się rozszerzyły. – I pogadał jeszcze z jedną osobą, a ona się zgodziła.

– No właśnie, i to już załatwione! – Ethan odzyskał głos i wręczył Josie kopertę.

– Ale co załatwione, kochanie? Co to jest? – spytała, spoglądając na chłopca.

– Otwórz i się przekonaj. – Jake mocniej ścisnął jej dłoń.

Spojrzała na niego pytająco, potem po kolei na dzieci, na końcu na kopertę.

Poczuł ucisk za mostkiem, gdy ją otwierała, po czym całe jej ciało stężało, gdy rzuciła okiem na papiery.

– To ja jestem prezentem! – szepnął Ethan, a głos miał piskliwy i ochryply z podniecenia.

– Dajemy ci mnie w prezencie ślubnym.

Jake też miał wrażenie, że coś drapie go w gardle. Josie patrzyła na Ethana bez ruchu. Trwało to niepokojąco długo, więc Jake objął ją delikatnie.

– To dokumenty adopcyjne, kochanie – wyjaśnił, choć przecież już wiedziała. – Sloane się zgodziła. Wszystko już podpisane. Brakuje tylko twojego podpisu, a gdy go złożysz, Ethan formalnie zostanie twoim synem.

Choć był to piękny gest, Jake miał wątpliwości. Prawda była jednak taka, że przez ostatnie dziewięć miesięcy Josie była lepszą matką dla Ethana niż Sloane przez ponad osiem lat.

Gdy zadzwonił do Sloane, by poprosić ją, aby zrzekła się praw do rodzzonego syna, wciąż bił się z myślami. Ale usłyszał w jej głosie trudną do ukrycia ulgę, gdy zapytała, udając niepewność: „Jesteś tego pewien, Jake?”.

Jego była żona miała właśnie utracić coś, czego tak naprawdę nigdy nie chciała. I być może nie interesował jej nawet rozmiar tej straty. Jej strata była jednak w interesie jego nowej żony. I jego najmłodszego syna. Cała jego rodzina mogła na tym tylko zyskać.

Widział, co działo się w sercu Josie, gdy na jej policzki wystąpił rumieniec, a oczy wypełniły się łzami. Zadała pytanie, które nawet nie przyszło na myśl Sloane. Zadała je Ethanowi:

– Jesteś tego pewien, kochanie?

Ethan odpowiedział pytaniem:

– To mogę już nazywać cię mamą??

To właśnie tego brakowało chłopcu i teraz Jake mu to darował. Jego rodzona matka była do kitu, ale przecież wybrał sobie nową. Idealną. Papiery upadły na podłogę, a Josie ukryła twarz w dłoniach i nogi się pod nią ugięły. Jake przytrzymał ją, objął mocno, a jej ciało trzęsło się od szlochów. Płakała ze szczęścia.

– Ale podoba jej się czy nie? – spytał skonfundowany Ethan.

Amber nie była w stanie odpowiedzieć, więc wtrącił się Conner.

– Tak, mały, podoba jej się.

Josie wyswobodziła się z objęć Jake'a, uklękła i ujęła twarz malca w dłonie.

– Nie, nie tylko podoba mi się. Jestem zachwycona, mój mały. Kocham to, co teraz czuję, bo kocham ciebie. I cieszę się, że jesteś szczęśliwy. To będzie dla mnie zaszczyt, jeśli będziesz nazywał mnie mamą.

Padli sobie w ramiona, a Jake'owi nie pozostało nic innego, tylko przytulić córkę, która rozbeczała się już na dobre.

Conner wypalił w końcu, bo i jemu udzieliło się wzruszenie:

– Ale podpiszesz te papiery czy nie?

Josie uniosła wzrok na Jake'a.

– Podpiszę, gdy tylko mnie podniesiecie. Nie jestem w stanie sama wstać w tej sukience.

Jake roześmiał się, napięcie opadało. Panowie unieśli Josie z podłogi. Ethan próbował pomagać, choć nie bardzo wiedział jak. Amber śmiała się przez łzy. Conner pozbierał papiery i wręczył Josie pióro.

Przemieściła się wyjątkowo pewnym krokiem w stronę stolika przy oknie, złożyła na nim dokumenty i podpisała w wyznaczonym miejscu. Amber znowu ryknęła płaczem, a Conner tylko wznosił oczy ku niebu i przytulił siostrę. Ethan objął Josie w pasie. Jake położył dłoń na jego głowie, przytulając jednocześnie żonę.

I wówczas to się stało. Właśnie dokonał cudu. Widział to w oczach swoich dzieci, widział to w oczach swojej żony. Nie sądził, że jest w stanie to zrobić, a jednak stało się. I nagle poczuł się nagi, mało znaczący, w obliczu tej miłości, w obliczu tego ogromu szczęścia. Czuł się bezwarunkowo kochany. I choć tego nie widzieli, na zewnątrz w tym właśnie momencie powiała bryza, a płatki wisterii zatańczyły w powietrzu jak konfetti.

Być może ktoś, kto był ponad nimi, dawał im znak.



Ktoś zapukał do drzwi hotelowego apartamentu. Jake zdejmował właśnie smoking, w duchu ciesząc się, że nie będzie musiał już więcej zakładać takiej zbroi, gdyż był to jego ostatni ślub.

Josie zamknęła się w łazience, gdy tylko weszli do pokoju. Zabrała ze sobą chyba wszystkie ubrania, jakie posiadała. Nazajutrz mieli jechać na lotnisko w Bostonie, a stamtąd lecieć do Paryża w podróż poślubną.

To był jego prezent ślubny, to i biżuteria z diamentami, którą miała na sobie podczas ceremonii. Josie zabrała do łazienki jakąś niewielką torebunię i Jake podejrzewał, że właśnie w niej ukryty był prezent ślubny dla niego. Spodziewał się jakiejś petardy. Odwiesił marynarkę na oparcie krzesła i uchylił drzwi. Kelner podprowadził pod drzwi srebrny wózek. Truskawki, bita śmietana, czekoladki, dokładnie tak, jak zamówił. Ale przecież prosił o jedną butelkę szampana, a w kubelku stały dwie.

– Zamówiłem jedną butelkę Dom Perignon – powiedział, bo choć nie miał nic przeciwko dobremu trunkowi, nie chciał, by jego żona zalała się nim w trupa przed nocą poślubną.

– Druga to prezent – wyjaśnił kelner.

Pewnie od Amonda.

Jake przepuścił kelnera w drzwiach, wózek wtoczył się do pokoju z charakterystycznym klekotem. Jake wręczył mężczyźnie napiwek, po czym powiesił na klamce wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać!”, przekręcił zamek i ujął niewielką kopertkę powieszoną na szyjce butelki.

Dla Josephine i Jake'a

Wyciągnął karteczkę i przeczytał:

Bądź szczęśliwa. Henry

Kurwa. Zaproсили go na ślub, choć wcale się nie zdziwili, że nie przybył, jego rozczarowanie podczas rozmowy z Josie było ewidentne. Jake rozumiał to aż za dobrze. Gdyby Josie wychodziła za innego, on również uciekłby w tym dniu na drugi koniec świata. I tam właśnie był teraz Henry. Josie na pewno doceni jego gest.

Gdy jednak jego żona wyłoniła się z łazienki w samej bieliźnie, gdy dojrzał przez kremowe koronki ledwie zakrywające cokolwiek majtki, gdy spojrzął na jej rozpuszczone włosy, upodabniające ją do Wenus, cisnął bilecik do kosza. Później jej powie o szampanie. Teraz miał

odebrać swój ślubny prezent.

Patrzyła na niego z miłością i pożądaniem w jasnych oczach. Znał już to spojrzenie, wiedział, co zwiastowało. Prezent był więcej niż satysfakcjonujący. Od początku chciał ją uszczęśliwić, ale ostatecznie to ona uszczęśliwiła jego. Pomyślał, że chyba obojgu im się to udało, gdy zlizywał krople szampana spomiędzy jej piersi, wsłuchując się w rozkoszne mruczenie, jakie wydobywało się z jej ust pod wpływem tej pieszczoty.



Garaż miał być rozebrany, więc Jake sprzątał z niego ostatnie graty. Gdy zdejmował z półki jakieś pudełko, na ziemię sfrunęła nieduża, biała koperta. Zamarł, bo rozpoznał pismo na niej.

Musiał uprzątnąć tę budę, bo architekci zgodnie twierdzili, że postawienie nowego, przyłączonego do domu garażu nie wpłynie jakoś szpecąco na jego bryłę, a będzie o wiele bardziej funkcjonalne. Potrzebowali miejsca na trzy samochody, aby Amber i Ethan nie musieli wychodzić z domu, żeby udać się do szkoły, gdy pogoda była marna. Albo skrobać szyb zimą. Jake twierdził, że wystarczy garaż na dwa auta, ale skoro Josie upierała się przy trzymiejscowym, to taki właśnie zamierzał jej wybudować.

Ale najpierw trzeba było zdemontować stary.

Więc gdy Josie szalała w ogródku z Ethanem, on zajmował się sukcesywnym opróżnianiem budy. Conner pomagał mu po pracy.

Jake

To właśnie jego imię widniało na kopercie leżącej między gratami na przykurzonej podłodze.

Podniósł ją i wydobył ze środka złożony arkusz papieru, czując, jak przyspiesza mu tętno.

Westchnął, widząc pismo Lydii.

Jake

Jestem pewna, że w końcu zajmiesz się tym miejscem i wybudujesz Josie porządny garaż, żeby nie musiała wychodzić na deszcz i mróz.

Czy ona była jakąś jasnowidzką??

Zostawiam wiadomość dla Ciebie tutaj, bo jestem pewna, że ona nie zechce sprzątać wszystkich tych rupieci i Ty będziesz musiał to zrobić.

A więc dajcie sobie szczęście, byłam pewna, że tak się stanie.

Przekonywałam Cię o tym przez lata. I choć nie udało mi się za życia, to zostawiłam Ci w spadku największe dobro, jakie posiadałam. Wiem, że to była najlepsza decyzja, jaką podjęłam, i że nie zmarnowałeś tej szansy.

Byłam pewna tego wyboru, bo Ty i twoje dzieci daliście mi szczęście. Szczęście nie do opisanania. Gdy odnalazłam Ciebie, Connera, Amber i Ethana, poczułam się jak ktoś, kto nie miał niczego, a nagle zyskał wszystko.

Dziękuję, że mi to daliście.

Dziękuję, że uszczęśliwiliście moją najdroższą dziewczynkę.

Dziękuję Ci za to, że jesteś, jaki jesteś.

Kocham Cię, Jake, na zawsze.

Na zawsze i całym sercem.

Lydia

Jake odchrząknął, patrząc na list. Potem przeczytał go ponownie. I jeszcze raz. I po raz kolejny. Włożył kartkę do koperty i wyszedł z garażu. Na skraju ogrodu, za poletkiem lawendy, pracowali, czy może raczej bawili się, jego żona i syn. Nie podszedł do nich.

Udał się na górę i odłożył list na nocny stolik w sypialni. Później pokaże go Josie, gdy już będą sami. Gdy będzie trzymał ją w ramionach, by pomóc jej poradzić sobie z emocjami, jakie jego lektura na pewno wywoła.

Zszedł na dół i wyszedł tylnym wyjściem do ogrodu. Zmrużył oczy w słońcu i usłyszał śmiech.

Wróciła jego córka, z przyjaciółmi. Rozmawiali z Josie i Ethanem. Josie odrzuciła głowę do tyłu, śmiała się, jej niedbale upięte i krzywo zaplecione włosy błyszczały w słońcu jak złota chmura. Miała na sobie szorty, które obnażały pięknie opalone nogi, ale reszta stroju, którą stanowiły kalosze jej babci i jego stary T-shirt, nie była już tak skąpa. Chyba byli tak rozbawieni strojem Ethana, bo miał na sobie różowe jeansy po siostrze. Taylorowi najwyraźniej przypadły do gustu. Jake'a jednak nie obchodził powód ich wesołości. Wystarczyło mu, że byli szczęśliwi. Byli razem. To było właśnie to, czego pragnął dla nich od momentu ich narodzin. I teraz mieli to wszystko.

Gdy tak rozkoszował się tym obrazkiem, stało się coś niesamowitego. Jego żona złożyła rękę na biodrze, a drugą sięgnęła do głowy i rozpuściła włosy. Rozwiały się wokół jej głowy i choć próbowała nieco je ujarzmić, na nic się to zdawało. I choć była w Maine, miała na sobie szorty i kalosze, to wyglądała w tamtym momencie identycznie jak na zdjęciu, na którym ujrzał ją po raz pierwszy. Na tym, które ukrywał przez lata.

Dostrzegła męża i uśmiechnęła się promiennie, czuł ciepło tego uśmiechu wyraźniej niż promienie słońca na twarzy.

Ucałowała czubki palców i przesłała mu pocałunek.

Jego marzenie stało się ciałem.

Jego. Wymarzona. Piękność.

Przez moment patrzył na nią, chcąc na zawsze zapamiętać tę chwilę, po czym ruszył w stronę garażu. Trzeba było dokończyć robotę, odpowiedzieć na potrzeby jego żony i dzieci. Chronić ich przed bezlitosnymi żywiołami.

To potrafił bardzo dobrze.

[1] Truck (ang.) – ciężarówka.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

